

WOLFGANG  
HOHLBEIN

CÓRKA WĘŻA  
MIDGARDU

*Saga Asgard*

● Wydawnictwo TELBIT

# **Powieść ze świata Sagi Asgard**

**Córka Węża Midgardu**

Twierdza płonęła jak olbrzymia pochodnia. A przecież miała być niezwyciężona.

W każdym razie Katharina wyrosła w silnym przekonaniu, że zamek Ellsbusch jest nie do zdobycia, i jeszcze przed godziną żadne moce na niebie i ziemi nie byłyby w stanie zachwiać jej wiarą w ową potęgę. Ellsbusch był najpotężniejszą budowlą, jaką kiedykolwiek widziała, sądziła nawet, że najpotężniejszą w kraju, jeśli nie na świecie. Sam ogromny donżon o czterech poziomach wznosił się na dobrych dziesięciu chłopca, zaś okalająca wierzchołek wzgórza palisada była co najmniej w połowie tak wysoka. Graf Ellsbusch utrzymywał stale pod bronią zastęp dwóch tuzinów ludzi, potężnych wojowników z kolczugami, hełmami i mieczami, i choć Katharina słyszała, że niektórzy z książąt na wschodzie rozporządzali jeszcze liczniejszymi wojskami i zasobniejszymi ziemiami z jeszcze większą liczbą poddanych, to bez wątplenia żaden z nich nie miał tego, co zamek Ellsbusch. Z podwójnym ostrokołem i czterema masywnymi drewnianymi strażnicami dominował w promieniu wielu mil nad okolicą, zapewniając wszystkim mieszkańcom, także wsi o tej samej nazwie, bezpieczeństwo i ochronę przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami. Nawet straszliwa burza, zesłana przez Boga zeszłej zimy dla ukarania ludzi we wsi za ich rozpustne życie i lekceważenie jego woli, która zniszczyła co trzeci dom, a nawet uszkodziła zbudowany z litego kamienia kościół, nie była w stanie zaszkodzić tej potężnej twierdzy.

Teraz zamek Ellsbusch zmieniał się w ogromny stos. Jego płomienie zdawały się strzelać w niebo, jakby chciały je osmalić. Zaledwie przed chwilą, z hukiem, który z pewnością słyszano aż w wiosce, zawalił się donżon, tryskając nieprzerwanym snopem iskier; zdawało się, że podziurawił cały firmament, a z jego niezliczonych nakłuc spada naokoło ognisty deszcz.

Być może niebo i piekło rzeczywiście zamieniły się miejscami, pomyślała Katharina, i ten ognisty deszcz nigdy już nie ustanie, będzie się tylko wzmacniać i wzmacniać, aż w końcu cały świat stanie w ogniu. Może też i ta noc nigdy się nie skończy, bo to i nie żadna noc, lecz początek Sądu Ostatecznego, o którym opowiadał ojciec Cedric.

A wszystkiemu winna była ona sama.

Jakby dla przydania pewności tej straszliwej myśli, w tymże momencie nadbiegła ku niej płonąca postać, nie człowiek, lecz demon, może nawet sam diabeł, przybywający z najgłębszych czeluści piekła, by ją ukarać za jej okropny postępek. Serce Kathariny zamarło, a po chwili jęło walić w piersi jak wściekłe, tak że zdawało się, iż to grzmiący tętent całego tabunu spłoszonych koni. Paniczny lęk ścisnął ją za gardło lodowatą dłonią, lęk, jakiego nie czuła w całym swoim życiu. Stała bez ruchu jak sparaliżowana, nie mogąc oderwać wzroku od gorejącej postaci. Czemuż miałyby zresztą uciekać, gdy to diabeł we własnej osobie nadchodził, by ją zabrać?

Postać zataczała się w jej kierunku, krzycząc i wymachując ramionami jak rozpościerający skrzydła ognisty anioł; Katharina poczuła żar, a do jej nosa doleciał odrażający swąd palących się włosów i skwierczącego mięsa.

W ostatnim półoddechu, nim istota zdołała do niej dotrzeć i opleść ją swoimi upiornymi ramionami ognia, pojawiła się naraz obok niej nie wiedzieć skąd druga postać, i skoczywszy na Katharinę, zwała ją z nóg z taką siłą, że upadła na ziemię i razem z nią potoczyła się do przodu.

Z gwałtownością, która wycisnęła jej z płuc ostatnią odrobinę powietrza, Katharina uderzyła o zwęgloną belkę i padła oszołomiona.

Kiedy wróciły jej zmysły, poczuła je jak wymierzony z impetem cios pięścią, tyle że z odwrotnym skutkiem. Z każdym kolejnym oddechem postrzegała otoczenie z dziwacznie nienaturalną ostrością, jak gdyby jej zmysły usiłowały powetować sobie swą nieobecność sprzed chwili tym większą gorliwością. Słyszała trzaski i syki płomieni, cienie i jaskrawe czerwono-żółte światła wokół niej zdawały się tańczyć w szalonym tańcu świętego Wita, a zewsząd rozbrzmiewały przejmujące wrzaski bólu i śmierci. Demon wciąż szalał, choć w istocie nie demon, lecz coś znacznie gorszego: jeden z żołnierzy grafa Ellsbuscha, którego odzienie i skóra zajęły się ogniem i który upadł teraz na kolana ledwie kilka kroków od niej, okrutnym zrzędzeniem losu wciąż będąc przy życiu, nieprzerwanie krzyczał w agonii, mimo że z każdym oddechem wciągał do płuc trawiący je czysty ogień.

To również stało się z mojej winy, pomyślała z przerażeniem. Do niczego by nie doszło, gdybym dopełniła obowiązku i nie...

Jakaś ręka chwyciła ją za ramię i postawiła tak brutalnie na nogi, że Katharina aż szczęknęła zębami, które natychmiast zaczęły ją boleć, ale i ostatecznie przywróciły do rzeczywistości. Żar i zgiełk przybrały na sile, wzmagając się w szaleńczym crescendo. Dopiero teraz rozpoznała człowieka, który zwał ją z nóg, w ten sposób zapewne ratując jej

życie; jego twarz tak zaszła krwią i sadzą, że ledwo już siebie przypominał.

- Panie! - zawołała wystraszona. - Wy...

Graf Ellsbusch wymierzył jej cios w pierś, o mało co nie przewracając jej znów na ziemię. - Co ty wyprawiasz, chłopcze? - warknął.

- Czyś ty zwariował? Chcesz, żeby cię zabili?

-Panie! -wyjąkała ponownie Katharina. Nagle jej oczy załazy się łzami, daremnie próbowała sobie wmówić, że wzięły się jedynie od gorąca i smolistego dymu. - Błagam... błagam, wybaczcie mi! To wszystko przeze mnie, ale ja nie...

Graf Ellsbusch już jej nie słuchał, ujął ją jeszcze mocniej za ramię i pociągnął za sobą; puścił się przy tym biegiem tak szybko, że Katharina ledwo mogła utrzymać się na nogach. - Uciekajmy stąd!

- wysapał. - Szybciej! Trzymaj się mnie, chłopcze, nieważne, co się stanie!

Choćby chciała, i tak nie mogłaby zrobić nic innego, bo Ellsbusch wciąż ciągnął ją bezlitośnie za sobą. Nie potrafiła nawet określić, w jakim kierunku.

Gdziekolwiek spojrziała, wszędzie płonęło. Rozgrzane powietrze przy każdym oddechu sprawiało jej ból i raziło oczy. Za nimi rozległ się potężny łoskot i grzmot, kiedy reszta donżonu zawaliła się i przekształciła ostatecznie w wielkie usypisko - olbrzymi gorejący grób dla tych nieszczęśników, którzy popełnili błąd, zdając się na jego rzekomo chroniące mury. I na Katharinę.

Graf Ellsbusch wydał nagle strwożone sapnięcie, uczynił szybki krok w bok i przyczał się za tłącymi się resztkami przewróconego na bok dwukołowego wózka. Osioł, który go ciągnął, wciąż jeszcze miał uprzęż na piersi, ale leżał obok martwy, trafiony aż czterema strzałami, których obłamane drzewce wystawały teraz z jego szyi i boku. Widok ten sprawił Katharinie przykrość, bo sama załadowała ten wózek poprzedniego dnia i tutaj go przywiodła.

Nie miała już sił powstrzymywać łez. Czy naprawdę wszystko, czego się tknęła, musiało obracać się wniwecz?

- Cicho! - syknął graf Ellsbusch, chociaż nie rzekła ani słowa, nie wydała najłżejszego nawet dźwięku. -Jeśli nas zobaczą, jesteśmy martwi! -Jego głos brzmiał ochryple od wdychanego dymu i drżał z wysiłku.

Czyżby pobrzmiwał w nim strach? - zdziwiła się w myślach Katharina. To niemożliwe! Był panem na zamku, obrońcą ich wszystkich, nie lękał się nikogo i niczego!

Jednak może odnosiło się to tylko do niebezpieczeństw rodem z tego świata. A twierdza została wszak zaatakowana przez demony przybywające prosto z piekła. Ojciec Cedric miał rację, pomyślała z trwogą. Zbliżał się Sąd Ostateczny i piekło rozwarło swe podwoje, aby wypuścić na ludzi najgorsze demony. Widziała ich, kilkoro olbrzymów, zgromadzonych przed wyrwanymi siłą z zawiasów wrotami, jak robili wrzawę i ryczeli, wyżsi od człowieka, kosmaci, zwalisci i na pozór ocięzali jak niedźwiedzie, lecz tysiąc razy niebezpieczniejsi. Mieli broń i hełmy, a niektórzy chyba też i rogi. Katharina nie była pewna, czy widziała strzelający chwost, czy po prostu trzepoczący płaszcz, ale ich głosy brzmiały z pewnością jak głosy demonów; gardłowe, głośnie i szczekliwe żadną miarą nie mogły dobywać się z ludzkich gardzieli. Katharina rozplakała się.

- Wiem, że się boisz, chłopcze - powiedział Ellsbusch. -Ja także się boję. Ale musimy być cicho. Jeśli nas zobaczą, zabiją nas!

- To... to nie dlatego, panie - wyjąkała. - To moja wina. To... to wszystko zdarzyło się dlatego, że ja...

- Nie pleć głupstw - przerwał jej margrabia, szeptem, ale ostro.

-Jeśli to czyjaś wina, to tego przekłętego klechy, który... - Nie dokończył, usta zacisnął w wąską linię, która na jego poczemialej od sadzy twarzy sprawiała wrażenie cienkiego nacięcia. Katharina dopiero teraz spostrzegła, że jego tabard i znajdująca się pod nim ciężka kolczuga rozerwały się. Krew sączyła się przez plecionkę z drobnych metalowych pierścieni, barwiąc tabard na czerwono i czyniąc go coraz cięższym.

- Dość - rzekł wreszcie. - Na to przyjdzie jeszcze czas... jeśli przeżyjemy. Musisz mi pomóc, chłopcze. Umiesz jeździć konno? Znasz drogę do zamku Pardeville?

Katharina potrząsnęła głową w odpowiedzi na oba pytania. Zastanawiała się, czyby nie powiedzieć Ellsbuschowi, że nawet nie jest chłopcem... ale jakąż to w tej chwili czyniło różnicę? Zresztą nie dane jej było dojść do słowa.

- Zatem się nauczysz — odparł wzburzony Ellsbusch. - A droga do zamku jest całkiem łatwa. Trzy godziny brzegiem rzeki, a jeśli będziesz pamiętać, że te zbiry mogą cię ścigać, dojedziesz tam i we dwie. Najpierw jednak musimy się stąd

wydostać, tak żeby nas nie zauważyli. - Przez chwilę spoglądał znowu na horde demonów przy bramie. Przekrzykiwali się bezustannie, szwargocząc przy tym jeden przez drugiego. Pewnie wzięli jeńców, przeszło jej przez głowę, i radzili teraz o najokrutniejszych sposobach tortur, tak by możliwie najboleśniej przenieść ich z życia do śmierci.

- Dobrze -wymamrotał Ellsbusch, dysząc ciężko. - Chodź. Trzymaj się tuż za mną. I ani mru-mru, bez względu na to, co się zdarzy, zrozumiałeś?

Katharina niemo przytaknęła, a graf spojrzął tylko raz jeszcze na deliberującą horde demonów, a następnie ruszył schylony - ku przerażeniu dziewczyny nie do wyjścia, lecz z powrotem w kierunku, z którego przybyli. Starła się nie patrzeć na ciało człowieka, który właśnie spalił się na jej oczach, ale skwierczenie tłuszczu, syk płomieni i potworny swąd i tak ją dosięgły.

Zręcznie wykorzystując każdy cień i najmniejszą przeszkodę jako osłonę, graf Ellsbusch prowadził ją naokoło zawalonego donżonu do małej szopy po jego drugiej stronie. Wiele razy musieli omijać znieruchomiałe ciała, a raz nawet po nich przejść, żeby uniknąć zdradzieckiego światła płomieni. Ślady walk tutaj nie były aż tak wyraźne jak po drugiej stronie, ale wciąż nie do przeoczenia - wszędzie gorzało i się dymiło, iskry wypełniały powietrze niczym nieprzeliczone roje świecących owadów, a oddychanie z każdą chwilą stawało się coraz większą udręką. Także szopa, do której prowadził ją Ellsbusch, doznała uszczerbku. Jej strzechę zabrał ogień, a tuż za drzwiami Katharina wdepnęła w kleistą kałużę, cuchnącą od gorącej krwi. Wewnątrz było ciemno; przez dłuższą chwilę Ellsbusch gorączkowo, acz po cichu manipulował przy czymś, wreszcie wrócił po Katharinę i ucałując ją bez ceregieli za ramię, pociągnął ją w mrok. Spalone drewno zadrasnęło ją w szyję i obolałe plecy, kiedy spory kawałek musiała z bijącym sercem czołgać się na czworakach w ciemności tak zupełnej, że strach ją nieomal obezwładniał.

W chwili, gdy pomyślała, że dłużej już tego nie zniesie, przedostali się na drugą stronę i wokół na nowo pojaśniało. Spowilo ich czerwone światło, a wraz z nim nowy rój iskieł, które opadając na jej włosy i każdy nieosłonięty skrawek skóry, wgryzały się w ciało tysiącami drobnymi rozżarzonych zębów.

Znajdowali się poza wewnętrzną palisadą. Niebo nad nimi wciąż jarzyło się ciemną piekielną czerwienią; swąd palącego się drewna i przypalonego mięsa był przytłaczający. Do strachu, bólu i wszystkich innych nękających Katharinę okropności dołączyły teraz wznoszące się falami mdłości i kwaśna ślina zbierająca się pod językiem szybciej, niż nadążała ją połykać.

-Wypluj to - doradził jej Ellsbusch - inaczej będzie ci tylko gorzej.

Katharina przyglądała mu się przez chwilę zirytowana. Czyżby graf czytał w jej myślach?

Posłuchała z niechęcią i ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że to rzeczywiście pomaga. Nudności nie minęły wprawdzie, ale przynajmniej przestały się nasilać.

- Posłuchaj mnie, chłopcze - kontynuował Ellsbusch. - To teraz bardzo ważne! Biegnij na dół do wioski. Zdobądź konia czy nawet osła, wszystko jedno co, i jedź do zamku Pardeville. Opowiedz tam, co tu się stało. Niech zbiorą wszystkich mężczyzn, których zdołają znaleźć, i tutaj przybędą! Zapamiętasz?

Katharina skinęła głową, nawet nie próbując powstrzymać łez.

Poczuła się nieopisanie nieszczęśliwa. - Naprawdę chcecie mi raz jeszcze zaufać, panie?

Ellsbusch zmarszczył czoło, przechylił głowę na bok i spojrzął na nią w nowy sposób. —Jesteś ze wsi, prawda?

Katharina przytaknęła. Jak to możliwe, że graf jej nie rozpoznał, kiedy to przecież nie kto inny jak on, nie dalej jak przed kilkoma godzinami, przydzielił ją do straży i tym samym, przynajmniej pośrednio, wywołał katastrofę?

- O wszystkim porozmawiamy później - ciągnął. - Teraz już idź!

Czas ucieka!

Zapewne nie chce o tym mówić, pomyślała Katharina, bo sam siebie częściowo obarcza winą. Pochylony i trochę kulejąc, puścił się dalej pędem, a ona za nim.

Całkowitego nieomal zniszczenia zamku Ellsbusch z zewnątrz nie było prawie widać. Główna brama stała otworem, ale sama palisada wznosiła się jak poprzednio nienaruszona. Gdyby nie dwóch zatłuczonych strażników przy bramie, widok byłby niemal sielankowy.

Tym niebezpieczniejsza okazała się przestrzeń między dwoma ostrokołami. Grunt był tutaj tak spadzisty, że utrzymanie się na nogach kosztowało Katharinę nie lada wysiłek. Co gorsza, rosła na nim mokra trawa, czyniąca ziemię śliską jak mydło. No i nie było gdzie się ukryć. Gdyby choć jeden z demonów odwrócił się w ich kierunku, musiałby ich

od razu zauważyć.

Jednak mieli szczęście. Bóg i przeznaczenie - lub jedynie przypadek - stały wyjątkowo po ich stronie. Dotarli do bramy, nie doznając uszczerbku, potem się przez nią przemknęli i Ellsbusch bezceremonialnie popchnął Katharinę w głęboki cień za wrotami. Usłyszała stłumione szuranie, kiedy dobywał miecza.

- Zrozumiałeś wszystko, co ci powiedziałem?

Dziewczyna przytaknęła, a Ellsbusch niecierpliwie machnął mieczem.

- Biegnij! Ja tu zostanę i zobaczę, czy choć kilku z moich ludzi nie pozostało przy życiu. Może uda nam się ich powstrzymać do czasu, aż przybędzie tu Pardeville ze swoimi żołnierzami!

Może i rzekłby coś więcej, ale już nie zdołał, bo nagle ciemność za jego plecami wyrzuciła ogromny zmierzwiony cień, który natychmiast się nań rzucił. Rozległ się zwierzęcy ryk, a czerwony poblask nieba odbił się refleksem na ostrzu potężnego obosiecznego topora.

Ellsbusch w ostatniej chwili dostrzegł niebezpieczeństwo, odwrócił się i porwał miecz w górę, lecz nie dość szybko. Z okropnym chrupnięciem topór wbił się głęboko w jego ramię, a sapanie zaskoczonego pana zamku przeszło w skowyt udreki. Pochylił się wpół i upadł na kolana, jego miecz jednak nie ustawał i płynnym ruchem przeszył podbrzusze napastnika. Demon chrząknął zaskoczony, wypuścił topór i cofnął się, potykając się kilka kroków, nim powoli osunął się na kolana i zwałił na ziemię.

Graf Ellsbusch również upadł i z głuchym jękiem przechylił się na bok, przyciskając rękę do otwartej rany w ramieniu. Krew płynęła pomiędzy jego palców niczym zabarwiona na czerwono woda; szczęki zacisnął tak mocno, że Katharina usłyszała, jak zazgrzytały mu zęby.

Jednym susem znalazła się obok niego i uklękła. - Panie! - wydyszała. - Na miłość boską! Co wam...?

- Idź! - stęknął Ellsbusch. - Zrób, co ci... powie... działem!

Schyliwszy się niżej, Katharina ujęła go za bark, lecz odskoczyła przerażona, kiedy wrzasnął i zaczął się wić. Ogarnęła ją rozpacz i poczuła się tak bezradna, iż niemal fizycznie ją to zabolęła - Idź! - jęknął. - Ostrzeż... innych!

Katharina otrząsnęła się wreszcie z odrętwienia, zerwała się na równe nogi i pognała na złamanie karku.

W pierwszej chwili rzuciła się po prostu na oślep przed siebie, nie bacząc na kierunek, byle z dala od tego strasznego miejsca i głębiej w bezpieczną ciemność. Potykając się o przeszkody, które w mroku dostrzegała zbyt późno, i dwukrotnie upadając, biegła jednak bez ustanku wciąż dalej i dalej.

W końcu trzeci upadek okazał się tak silny, że fala przenikliwego bólu uderzyła o ściany jej czaszki, niemal pozbawiając ją przytomności.

Może i nawet tak się stało, bo gdy znowu poczuła coś więcej niż tylko boleść i szalone łomotanie pulsu, zorientowała się, że minęło sporo czasu, choć nie potrafiła powiedzieć, jak wiele. Usiadła ze stekiem, przetarła wierzchem ręki twarz i z przerażeniem zauważyła, że rozmazała sobie na czole i policzku ciepłą krew. Musiała się zranić.

Wtem przeszedł ją gorący dreszcz. Zdała sobie sprawę, że krew, której lepkie ciepło czuła na twarzy, nie była jej krwią, lecz Ellsbuscha.

Czy zginął? Jakaś jej część wzdragała się przed tym na samą myśl o jego śmierci, bo przecież pan na zamku Ellsbusch nie mógł ot tak po prostu umrzeć, nie tak potężny wojownik, który wracał zwycięski z niezliczonych bitew i z pewnością bywał już ciężiej ranny. Miała jednak na rękach całą tę krew i nie mogła zapomnieć upiornego odgłosu, z jakim topór demona rozplątał jego ramię...

Otrząsnąwszy się z tej myśli, wyprostowała się i, na ile mogła, oczyściła ręce w trawie, po czym wstała i rozejrzała się, aby rozeznać się w swoim położeniu.

Przeraziła się, widząc, jak blisko płonącego zamku wciąż się znajdowała. Emocje podszeptywały jej, że przebiegła wiele mil, ale w rzeczywistości nie zbiegła nawet ze wzgórza, na którym wznosił się - czy raczej płonął - zamek. Oglądany z tego miejsca w niczym nie przypominał symbolu dumy i obronności, za jaki zawsze uchodził w jej oczach. Płomienie rozprzestrzeniały się coraz szybciej, zająwszy tymczasem również palisadę, i do oszołomionej Kathariny dotarło wreszcie, że zamek Ellsbusch już nie istniał. Jeżeli słońce jeszcze kiedyś wzejdzie, jego blask nie oświetli już niczego oprócz czarnego od spalenizny wzgórza.

I może jej zwłoki, jeśli stąd zaraz się nie wyniesie.

Przypomniawszy sobie ostatnie słowa grafa, zrozumiała, że pan zamku Ellsbusch dał jej nie tylko zadanie, ale i szansę naprawienia koszmarnego błędu. Musiała wezwać lorda Pardeville'a i jego żołnierzy, a przede wszystkim ostrzec wieś. Jeżeli demony z taką łatwością zdobyły tę ogromną twierdzę, jakie szanse mieli niczego nieprzeczuwający mieszkańcy wioski?

Stała przez chwilę z zamkniętymi oczami, nasłuchując, ale jedynymi dźwiękami, jakie usłyszała, były trzask płomieni i odgłosy zaczynającego się u stóp wzgórza lasu. W panice pobiegła w złym kierunku, musiała więc zawrócić spory kawałek po własnych śladach, aby dotrzeć do drogi. Wiedziała, że jeżeli podaży ścieżką przez las, dotrze do wsi w dobre pół godziny; szybciej, jeśli pobiegnie. Ale wszystko w niej przestrzegało ją przed tym. Demony mogły być okrutne, ale z pewnością nie były głupie. Jeśli zdecydowały się zaatakować wieś - jak to zdawał się zakładać graf Ellsbusch - ryzyko wpadnięcia prosto w ich objęcia było zbyt wielkie. Droga na przełaj przez zarośla byłaby krótsza, lecz gąszcz rósł tam tak gęsty, a okolica stawała tak dzika, że na dojście do wioski potrzebowałyby co najmniej dwa razy tyle czasu.

Zdecydowała się wreszcie na kompromis i poszła lasem, nie spuszczać wzroku z gościńca. Nie uszła jednak daleko, kiedy usłyszała hałasy, zatrzymała się więc, a po chwili pogratulowała sobie przezorności, która z dużym prawdopodobieństwem uratowała jej życie.

Ku jej przerażeniu od strony wsi nadjeżdżały demony, pół tuzina, może więcej. Katharina zamarła na chwilę, po czym opadła na obie dłonie i kolano, nie tylko zastygając w bezruchu, ale wstrzymując nawet oddech, kiedy kohorta przejeżdżała tuż obok niej. Było ich siedmiu, jak teraz widziała, i gdyby miała jeszcze co do tego jakieś wątpliwości, ich widok ostatecznie dowodził, że w istocie chodziło o demony. Każdy z nich zdawał się olbrzymem, o co najmniej pięć wyższym od człowieka. Wszystkie pokryte nastroszoną sierścią, odstającą od ich ciał jak drut, niezwykle masywne, jak niedźwiedzie, choć od nich groźniejsze. Co najmniej dwóch rzeczywiście miało rogi, a każdy wyposażony w dziwną broń: miecze - rzecz jasna - ale także topory, straszliwe wekiery i inne, nieznanne jej, przerażające narzędzia walki. Również ich głosy wyraźnie nie były ludzkie.

Katharina usłyszała coś, co przypominało ostry śmiech i co dotknęło jej duszy jak powiew prosto z piekła.

Dopiero gdy horda demonów ją minęła i wokół prawie ucichło, Katharina odważyła się znowu oddychać, a chwilę później - ostrożnie - wstać. Serce łomotało jej tak głośno, że demony właściwie musiały je słyszeć, a na języku poczuła nagle gorzki smak porażki; kolejny raz.

Biła się z myślami. Demony przybyły tu od strony wsi. A co, jeśli już tam wcześniej dotarły?

Próbowała się uspokoić, tłumacząc sobie, że nie było ku temu powodu. Ludzie we wsi prowadzili bogobojne życie, bez względu na to, co ojciec Cedric co niedziela głosił z ambony. Bóg nie miał powodu tak ich karać.

Lecz je widziała.

Jeszcze przez chwilę walczyła sama ze sobą (dokładniej mówiąc, z własnym strachem), po czym, gdy tylko wydostała się z zarośli targających jej włosy i odzienie, niby tysiącami uschniętych ciemnych palców, zawróciła na drogę i pędem ruszyła przed siebie. Być może w ten sposób wpadnie prosto w ręce demonów i zginie, może jednak zyska właśnie tych kilka bezcennych chwil, które zadecydują o życiu lub śmierci całej wsi.

Postanowiła oddać swój los w ręce Boga i zaryzykować. Pobiegła, co sił w nogach.

\*\*\*

Wioska znajdowała się na terenach należących do zamku. Dawniej jej mieszkańcy budowali domostwa tuż przy wodzie, zaledwie kilka kroków od brzegu, co było bardzo wygodne, jako że żyli wówczas głównie z rybołówstwa. Ale te czasy minęły tak dawno temu, że nawet wioskowa starzyzna ledwo je pamiętała. Ryb stopniowo ubywało, ludzie zaczęli uprawiać rolę i hodować bydło. W końcu, po tym jak wioskę trzy lata z rzędu nawiedziły powodzie i nawałnice, wyrządzając wielkie szkody w zagrodach, na domiar złego zabierając ludzkie życie, jej mieszkańcy przenieśli się naprzód z całym dobytkiem jakąś milę w głąb łąd i zbudowali tam sobie nową wieś.

Dziś na miejscu starej leżało już tylko kilka rybackich łódek, większość porzucona i tak zaniedbana, że mało kto odważał się jeszcze wypuścić w nich na wodę.

I naturalnie był tam jeszcze smok.

Katharina tak naprawdę nigdy nie wierzyła w smoki, choć w dawnych legendach i baśniach aż się od nich roiło. Czasem też starzy opowiadali wieczorami przy ogniu o przygodach, jakie przeżyli za młodu; zdarzały się one najczęściej w obcych krajach i z rzadka tylko pojawiały się w nich smoki i inne, jeszcze dziwniejsze stwory. Aż do wczorajszego wieczoru była święcie przekonana, że wszystkie te opowieści były jedynie wytworem fantazji i czczego bajania.

Do wczoraj.

Od tamtej pory widziała, jak armia demonów obróciła w perzynę zamek Ellsbusch, a wszystkich jego mieszkańców wybiła do nogi, a teraz, spoglądając w dół na rzekę, widziała prawdziwego smoka. Był ogromny, co najmniej dziesięć razy dłuższy od małych rybackich łodzi, które bezwzględnie odepchnął na bok. Ciemności nie pozwalały dojrzeć szczegółów, bo niebo zasnuły ciężkie chmury, jak gdyby nawet gwiazdy nie mogły już znieść widoku cierpienia, jakie spadało na ludzi.

Mimo to zobaczyła więcej, niżby chciała. Smok miał smukły, ale masywny tułów i niezliczone chude nogi, na których przysiadł w płytkiej wodzie przy brzegu, nie spał jednak, jak można by sądzić, lecz wyciągnął czujnie łeb na długiej szyi. Katharinie zdawało się nawet, że wyczuwa spojrzenie jego niewidocznych oczu; z pewnością ich czujności nie uchodziło najmniejsze nawet poruszenie. Bez wątpienia stwór **wypatrywał na łądzie ofiary, widać czaił się, by ją zaatakować i pożreć.**

Katharina nieprzypadkowo wybrała ten punkt obserwacyjny. W owym miejscu, zamiast płaskiego brzegu, wznosiła się niewielka skalista skarpa. Dawno temu rzeka wyłobiliła sobie drogę przez wzgórze, formując w kruchej skale stromy brzeg, na tym odcinku wysoki prawie na sto łokci. Katharina nie miała jednak pewności, czy aby smok nie złapie jej nawet tutaj, jeśli będzie nieostrożna i zdradzi się hałasem.

A jeśli nie on, to z pewnością te pół tuzina demonów, próżnujących nieopodal na brzegu.

Katharina nie mogła dostrzec, co robili, ale poryw wiatru przynosił czasem do jej uszu ostre brzmienie ich głosów, a wtedy całkiem wyraźnie słyszała śmiech. Nie czuli strachu, bo niby przed kim, z takim potworem po swojej stronie?

Najdelikatniej jak umiała, odsunęła się od krawędzi. Wstała dopiero, kiedy nabrała zupełnej pewności, że nie będzie dostrzeżona z rzeki. Serce jej biło jak opętane; poczuła, jak bardzo drżały jej kolana i jak ostro wdzierał jej się w gardło każdy oddech. Niesamowity widok w dole pozwolił na chwilę zapomnieć o wyczerpaniu, ale w rzeczywistości zatrzymała się tylko dlatego, że nie miała już siły dalej iść. Jeszcze nigdy w życiu nie biegła tak szybko, ale pół mili przed wioską zwyczajnie osłabła i w ten sposób natknęła się na smoka.

Smok... Na samo to słowo znów przechodził jej po plecach lodowaty dreszcz. Smoki i demony, oznaczające ogień i śmierć. Co jeszcze ją spotka, zanim ta noc dobiegnie końca? Wkroczyła w świat mrocznych dziwów, w którym groza zdawała się nie mieć granic.

Ojciec Cedric miał rację, pomyślała z trwogą. Istniały rzeczy, których człowiek nie umiał sobie nawet wyobrazić. Tylko czy to musiały być bez wyjątku rzeczy złe?

Katharina pozbyła się tej myśli z niejakim wysiłkiem, wyprostowała się ostrożnie i ruszyła w dalszą drogę. Przynajmniej teraz nie wyrastały znikąd żadne demony, by ją zabić, a i wieś nie powitała jej nowym okropieństwem, kiedy w końcu do niej dotarła. W każdym razie nic się tu nie paliło, bo kiedy ogarnęła ją wzrokiem, osada była ciemna i na pozór spokojna. Nic się nie poruszało. Ku jej niezmiernej uldze nie zobaczyła demonów, nie usłyszała odgłosów walki, nie zauważyła ognia. Wszędzie panowała cisza. Nie paliła się nawet lampka oliwna w kościele, choć przecież ojciec Cedric tak pieczołowicie dbał, by jej knot nigdy nie zgasł.

Coś było nie tak.

Kroki Kathariny stawały się tym wolniejsze, im bliżej podchodziła do pierwszego z budynków. Było cicho, zbyt cicho, nawet jak na tak późną godzinę. Ze stajni nie dochodził najcichszy choćby dźwięk. Serce zabiło jej mocniej.

Na palcach podeszła do pierwszego domostwa, znieruchomiła przed schodami złożonymi z trzech zaledwie stopni, a potem ostrożnie przyłożyła dłoń do drzwi. Zaskrzypiały, otwierając się na skórzanych zawiasach do wewnątrz, skąd uderzyła ją całkowita ciemność i bijąca z niej woń przemocy i śmierci.

Pierwszy dom wydał się jej najgorszy, ale w gruncie rzeczy nie różnił się niczym od tuzina kolejnych, które przeszukała skrupulatnie jeden po drugim. Wszędzie to samo -wszyscy martwi. Demony nie okazały litości, ani wobec mężczyzn, ani kobiet, ani dzieci i starców.

Nawet zwierzęta padły ofiarą mieczy i maczug piekielnych zastępów.



Przybyła za późno. Graf Ellsbusch polecił jej ostrzec tutejszych mieszkańców, a ona po raz drugi zawiodła. W tej wsi nie było już nikogo żywego.

Kiedy wyszła z ostatniego domu i skierowała się ku położonemu na środku osady przysadzistemu murowanemu kościołowi, serce przepełniała jej gorycz. Nie rozumiała, dlaczego jeszcze żyła. Bóg chciał, aby to wszystko zobaczyła. Bez wątpienia on sam powstrzymał demona, pragnął, żeby tutaj przyszła i ujrzała na własne oczy, jaką straszliwą cenę ludzie zapłacili za jej zaniedbanie. Dwudzielne drzwi stały otworem. Ciemności wewnątrz rozpraszały po obu stronach nawy, inaczej niż w większości domostw, trzy wąskie, za to bardzo wysokie okna, przez które wlewało się do środka blade światło nocy. W każdym razie pozwalało widzieć, co demony wyrządziły temu świętemu miejscu, zwłaszcza zaś jego opiekunowi. Prosty drewniany ołtarz został wywrócony i strzaskany, a wielki krzyż leżał obalony na ziemi. Wyglądał jakoś tak... niewłaściwie, ale dopiero, gdy się doń zbliżyła, zobaczyła dlaczego.

Nie sam krzyż leżał na ziemi. Z rozpostartymi ramionami spoczywał na nim jego opiekun i obrońca. Katharina poczuła zapach świeżej krwi, a gdy się zbliżyła, doszedł ją stłumiony jęk. Kiedy podeszła jeszcze bliżej, podobny dźwięk wyrwał się z jej ust, spostrzegła bowiem, jak okrutnie demony ukarały świątobliwego człowieka.

Nie powalili go mieczem ani maczugą, lecz urzeczywistnili ponurą obietnicę krzyża, przybijając do niego jego dłonie i stopy.

- O mój Boże... - wyszeptała Katharina. Nie zauważyła nawet, kiedy padła na kolana obok ojca Cedrika i wyciągnęła rękę, nie zebrała się jednak na odwagę, żeby go dotknąć.

- Nie... nie chciałam! - wyjęczała. - Ojczy, uwierzcie mi... nie chciałam, by to wszystko się stało.

Zrazu wydawało się, że ojciec Cedric jej nie słyszał. Leżał z zamkniętymi oczami i pojękiwał, czemu towarzyszył makabrycznie charkotliwy oddech. Po chwili jednak mozolnie odwrócił głowę i spojrzał na Katharinę, a jego zamglony wzrok przejaśnił się.

- Ty... ? - wystękał. - Ty... żyjesz?

Dlaczego miała wrażenie, że słowa te brzmiały jak wyrzut? I co wyczytywała w oczach ojca Cedrika?

- Proszę, wybaczone mi, ojczy - wydusiła. Miała ściśnięte gardło i nawet łez jej zabrakło. — Oni... oni wszyscy nie żyją. Wszystkich...zatkli. Twierdza płonie, a ludzie grafa Ellsbuscha, co do jednego zostali zabici. I... i graf Ellsbusch chyba też.

- Ty! - wysapał znowu ojciec Cedric. - Ty przeklęty, nieszczęsny czarci bękarcie! Dlaczego...

- Tak mi przykro, ojczy - szepnęła Katharina. - Nie chciałam tego.

Uwierzcie mi, proszę!

- Ty! - rzekł ksiądz po raz trzeci, tym razem zabrzmiało to wyraźnie jak przekleństwo. - Niech Bóg przeklnie dzień, w którym do nas przybyłaś! - Po tych słowach jego głowa na nowo opadła, oddech się spłycił, a w końcu ucichł zupełnie.

Teraz jest już ostatnią ocalałą.

O dziwo, ból, na który czekała, nie nadszedł. Uprzytomniła sobie z bezlitosną klarownością, że wszystko zostało zniszczone, a każdy człowiek, którego znała, był martwy. Stało się dokładnie tak, jak myślała: zachowanie jej przy życiu nie było łaską, lecz karą bezlitosnego Boga, o którym przez całe życie opowiadał jej ojciec Cedric.

Widziała, do czego doprowadziło jej zaniedbanie, i teraz sama musiała doprowadzić to do końca.

Jej wzrok padł na połyskujący przedmiot leżący na ziemi obok ukrzyżowanego kapłana. Był to nóż z dziwnie obco wyglądającą rękojeścią i długim dwustronnym ostrzem. Niepewnie wyciągnęła doń rękę, lecz odstąpiwszy od tego zamiaru, zaraz ją cofnęła. Samobójstwo nie wchodziło w grę, gdyż popełniłaby wtedy jeden z siedmiu grzechów śmiertelnych, a i tak w swym mniemaniu ściągnęła na swą duszę już dość przewin wystarczających na niejedno wieczne potępienie.

Wszelako istniał inny sposób.

Kiedy wymamrotała Modlitwę Pańską - jedyną, jaką znała - wstała, opuściła kościół i zwróciła się w kierunku, z którego wcześniej przyszła. Nawet jeśli nad rzeką nie było już demonów, pójdzie oddać się w ofierze smokowi i spłonie w jego ogniu.

Nie uszła za daleko. Ledwie zostawiła za sobą wieś, gdy usłyszała zbliżający się tętent końskich kopyt. Strach powrócił; jakaś jej część chciała po prostu zawrócić i uciekać na złamanie karku.

Katharina uczyniła jednak coś zgoła przeciwnego i stanęła jak wryta. Nawet gdyby uszła demonom - dokąd miałyby pójść? Nie było już nikogo, kogo znała, żadnego miejsca, dokąd mogłyby się jeszcze udać. Zwalczyła więc trwogę i czekała.

Tętent stawał się coraz głośniejszy i wkrótce ujrzała grupę cieni galopujących wprost na nią.

Choć to nie demony, były na swój sposób nie mniej przerażające: pięć, siedem, w końcu dziewięć rosnących bojowych rumaków. Na ich grzbietach siedzieli ciężkozbrojni rycerze. W okamgnieniu dopadli ją i okrążyli, po czym brutalnie osadzili wierzchowce. Skierowało się ku niej groźnie kilka włócznie, z pochew wysunęły się z łoskotem miecze.

-Ani kroku dalej! - ofuknął ją szorstki głos. -Jeden ruch i jesteś martwy!

Katharina nie zamierzała się ruszać. Nie czuła też strachu, za to musiała zmagać się z całkowicie jej obcym, choć gorszym jeszcze przecuciem: nie umrze, bo jeźdźcy nie byli demonami, lecz ciężkozbrojnymi wojownikami. Odmówiono jej nawet łaski śmierci.

Jeden z jeźdźców pochylił się w siodle, dobył miecza i skierował ostrze na twarz Kathariny. - Kim jesteś, chłopcze? I co tu się wydarzyło?

Był to ten sam głos, który usłyszała chwilę wcześniej, nawet jeśli dobiegał stłumiony zza spuszczonej zasłony przyłbicy, *jeździec* wydawał się mężczyzną słusznej postury, jak graf Ellsbusch, może nawet przewyższał go wzrostem, i niezwykle szerokim w barach. Nosił hełm, kolczugę, żelazne nagolenniki i rękawice z cienkiej metalowej plecionki, a do tego ciemnoniebieski tabard z wyhaftowanym na piersi skaczącym koniem. Jego hełm wieńczyła długa na piędź figurka przedstawiająca ten sam motyw. Katharina nie od razu odpowiedziała, potrząsnął więc gniewnie mieczem, drugą ręką unosząc zasłonę przyłbicy. Ukazała się za nią krzepka twarz, na której dominowały starannie wystrzyżona czarna broda i para równie ciemnych oczu.

Oczu bynajmniej nieprzyjaznych.

- Pytam cię po raz ostatni, chłopcze - zgromił ją jeździec. - Co tu się stało? Odpowiadaj albo poczujesz mój miecz!

-Jestem... stąd, panie - wyjąkała Katharina. - Mieszkam tutaj i...

-Jestem Guy de Pardeville - przerwał jej rycerz. - Pan na zamku Pardeville. Lepiej mów, co tu zaszło, zanim moja cierpliwość ostatecznie się wyczerpie.

- Demony, panie - odpowiedziała łamiącym się półgłosem. -To były demony! Zabili... zabili ich wszystkich, wszyscy są martwi!

- Demony? - powtórzył Pardeville. Jeden z jego ludzi wybuchnął śmiechem, ale tylko na chwilę, gdyż hrabia władczy ruchem zmusił go do milczenia. Jego miecz ciągle wymierzony był w gardło Kathariny. Broń musiała być bardzo ciężka, jednak nie drżała.

- Demony, mówisz? - powtórzył raz jeszcze.-I kogóż niby zabili?

-Wszystkich - odparła. - Nikt nie przeżył. Całą wieś wymordowali we śnie, a... a ojca Cedrika przybili do krzyża.

Pardeville z nieporuszoną twarzą świdrował ją wzrokiem, w końcu jednak opuścił miecz, a drugą ręką uczynił ledwo dostrzegalny gest, na co jeden z jego ludzi zawrócił konia i pogalopował.

Możnowładca spojrzał groźnie na Katharinę.

-Jeśli mówisz to tylko, aby udać ważnego albo z nas zażartować, może cię to drogo kosztować, mój chłopcze - powiedział.

- Mówię prawdę, panie - zapewniła Katharina. - Oni... oni tu są!

Zabili wszystkich, a w dole nad rzeką czeka na nich smok.

- Smok.

-I spalili do szczętu zamek Ellsbusch - dodała. - Wszyscy żołnierze zostali zabici i... i graf Ellsbusch też, chyba.

Rycerze poruszyli się nerwowo, hrabia Pardeville również wydawał się wstrząśnięty. Jego oczy zwęziły się. W końcu gwałtownie podniósł głowę i spojrzał ponad drzewami tam, gdzie niebo wciąż jeszcze pałało czerwienią odbijających się w nim płomieni.

-Jeśli opowiadasz to tylko po to, żeby... - zaczął, lecz zaraz urwał w pół zdania i zacisnął usta. W tej chwili przypominał grafa Ellsbuscha i Katharina czekała tylko, aż ciemność się otworzy, wypływając demona, który zaatakuje

go toporem.

Zamiast niego wrócił wysłany wcześniej jeździec. Nadjechał w ostrym galopie, osadził konia w ostatniej chwili, i to tak brutalnie, że zwierzę się spłoszyło. - Chłopiec mówi prawdę, panie! - zawołał. - Księża przybili do krzyża, a chłopów wybili! Sprawdziłem tylko dwie chaty, ale wszyscy tam są martwi.

Niepokój raz jeszcze targnął rycerzami, tym razem Pardeville nie uczynił nic, by uspokoić swoich towarzyszy. Wpatrywał się w Katharinę, potem podniósł głowę i ponownie spojrzął na czerwoną łunę na horyzoncie.

- Do diabła! - Zamaszystym ruchem wsunął miecz z powrotem do pochwy i zacisnąwszy dłoń w pięść, zwrócił się do dziewczyny.

- Ilu ich było? - zapytał. - Policzyłeś ich?

- Nie - odparła. - Ale z pewnością wielu, pewnie stu.

- Stu? Jesteś tego pewien?

Nie, nie była. Sto było po prostu największą liczbą, jaką знаła.

- Zdecydowanie. Może nawet więcej. Jakżeby inaczej mogli zdobyć szturmem twierdzę?

- Tak, zaiste - westchnął ponuro Pardeville. - Ale smoka widziałeś jednego?

Katharina przytaknęła, na co jeden z ludzi Pardeville'a wtrącił: - Nie może ich być zatem więcej niż trzydziestu... góra czterdziestu.

- A nas jest dziewięciu. To mi nie wygląda na równą walkę - odrzekł hrabia. Rozwazał coś chwilę w napięciu, a potem uczynił ruch głową, w końcu, jakby zadawszy sobie pytanie, sam na nie odpowiedział: -Wracamy. Natychmiast. - Wskazał na Katharinę. - Pojedziesz z nami.

- Nie zasługuję na to, panie - wyszeptała.

Nieufność wróciła do oczu Pardeville'a; jeśli w ogóle z nich wcześniej zniknęła. -Jak to?

- Bo... to moja wina, panie.

Słowa nie chciały jej przejść przez usta, ale zmusiła się, by mówić dalej. Musiała się wytłumaczyć. Jeśli Pardeville ją zgładzi, dowiedziawszy się o jej potwornym zaniechaniu, to widocznie tak miało być.

-Ja... ja wracam z zamku - wyjąkała cicho. -Wczoraj kazali mi zaprowadzić tam wóz z owsem i graf Ellsbusch spytał mnie, czy nie zechcę później wstąpić na służbę u niego. Nie sposób było odmówić i... i zaraz przydzielił mnie do warty na palisadzie.

- Niech zgadnę - powiedział Pardeville - zasnąłeś?

- A gdy wróciła mi przytomność, napastnicy już tam byli - potwierdziła Katharina. -Wszędzie. To przez moją nieostrożność mogli wdrzeć się do twierdzy.

- Nie pleć głupstw - odparł Pardeville niemal łagodnie. - Żyjesz jeszcze zapewne tylko dzięki temu, że zasnąłeś. Czy Ellsbusch dał ci coś do picia, zanim objąłeś posterunek? Wino o bardzo gorzkim smaku?

Katharina przytaknęła. - Ale tylko łyczek - dodała pośpiesznie.

- Poczucie humoru Ellsbuscha zawsze było dla mnie zagadką - westchnął Pardeville. - Teraz dostał chyba zapłatę za swe żarty. Nie obwiniaj się, chłopcze. To, co tu się stało, z pewnością nie jest twoją winą.

Cóż z tego, skoro miała w pamięci jeszcze i to, co powiedział jej ojciec Cedric, wydając ostatnie tchnienie. Widziała nienawiść w jego gasnących oczach. Lord Pardeville był dobrotliwym panem i powiedział to tylko po to, żeby ją pocieszyć.

- Dziękuję, panie - szepnęła.

- Naprawdę nie chcesz jechać z nami? - upewnił się hrabia.

- Nie - odrzekła - ale wielce wam dziękuję.

- Podziękujesz później. -Wskazał głową za siebie. -Jeśli zachowasz życie. Ukryj się gdzieś, zanim wrócą te zbiry.

Mówiąc to, poderwał konia i popędził co sił gościńcem, a Katharina została sama.

Patrzyła za nim i pozostałymi jeźdźcami oczami palącymi nagle od gorących łez. Bóg nie uczynił jej życia łatwym...

ale niby czemu miałyby to robić?

Zmogła łyzy, otarła wierzchem dłoni twarz, a następnie wyzywająco odrzuciła w tył głowę, by wreszcie wyruszyć na poszukiwanie smoka i oddać się mu w ofierze.

\*\*\*

Najbardziej obawiała się, że smoka już tam nie będzie i zostanie skazana na życie z tym upiornym poczuciem winy. Lecz los na koniec okazał się łaskawy. Potwór leżał w tym samym miejscu w wodzie i spał, jego demoniczne dzieci na tle bezgwiazdnej nocy wyglądały jak budzące grozę wynaturzone cienie. Dziwne, wydawało się, że ich przybyło. Może wracali jeden po drugim, teraz gdy dokonali swego krwawego dzieła zniszczenia i nie zostało już nic, co mogliby zabić.

Katharinę ogarnęła trwoga. Wróciła na to samo miejsce, z którego wcześniej obserwowała smoka, wyszukała sobie kryjówkę w gęstych krzewach porastających tutaj krawędź skarpy i spoglądała z zapartym tchem na bestię w dole. Serce tłukło jej się w piersi tak głośno, że słyszała je pewnie nawet smok; dłonie miała wilgotne od zimnego potu. Wciąż rozpamiętywała, jak okrutnie demon zabił grafa Ellsbuscha. Zastanawiała się, czy taka śmierć byłaby bardzo bolesna.

I czy aby nie będzie to coś w rodzaju samobójstwa (a zatem grzech śmiertelny), jeśli celowo zejdzie tam na dół i da się pożreć bestii?

Pocieszywszy się myślą, że Bóg z pewnością nie jest tak okrutny i sprawdza tylko po raz ostatni siłę jej wiary i odwagi, podźwignęła się powoli na czworakach, gdy wtem coś trzasnęło, całkiem cichutko, nie głośniejsz, niż łamana gałązka, co jednak dla napiętych nerwów Kathariny zabrzmiało jak strzał z bata. Błyskawicznie zerwała się na nogi, zrobiła zwrot na pięcie i wyciągnęła przed siebie ręce. Przez chwilę zdawało się jej, że dostrzega kątem oka jakiś czmychający cień, a do jej uszu dochodzi odgłos lekkich, bardzo szybkich kroków.

Ale kiedy się lepiej rozejrzała, niczego nie zauważyła. Jedyne, co słyszała, to bicie jej własnego rozszalałego serca.

Skarciła się w myślach za głupotę (co nie przeszkodziło jej ponownie rozejrzeć się z jeszcze większą uwagą) i z ponurą miną ruszyła przed siebie. Nie miała już daleko do miejsca, z którego mogła zejść nad rzekę i zbliżyć się do smoka.

Nie zrobiła nawet pięciu kroków, gdy znowu coś trzasnęło, a kiedy tym razem się odwróciła, zobaczyła coś więcej niż cień. Zaledwie pół rzutu kamieniem od niej stał demon; barczysty, krzepki i rogaty, choć, rzecz dziwna, niewiele od niej wyższy. Serce Kathariny zamarło z trwogi na jedno uderzenie. To był koniec. Demon zabije ją, karząc za przewinę, i nie było już nic, co mogłoby ją uratować. Myśl, że dokładnie po to tutaj przyszła i że właściwie nie ma powodu, aby wpadać w przerażenie, nie przyszła jej w tej chwili do głowy.

Tymczasem, zamiast ją zgładzić, demon zrobił coś zupełnie innego - obrócił się na pięcie i pierzchnął z rozwianą sierścią; a Katharina uczyniła coś zupełnie szalonego.

Nie pojmowała w najmniejszym stopniu, dlaczego to zrobiła, ale miast uciekać i korzystając z okazji, ująć jeszcze z życiem, rzuciła się w długich susach za uciekającym demonem, dogoniła go i wczepiła się ręką w skołtunioną sierść na jego ramieniu. Czmychający stwór sapnął ze zgrozą i, próbując się wyrwać, wypadł z rytmu, a wtedy pędząca za nim na złamanie karku Katharina wpadła nań z taką siłą, że szczeni upadli na ziemię. Szorstkie, cuchnące futro znalazło się nagle na jej twarzy, ustach i nosie i rozległ się dziwnie wysoki, ostry krzyk. Instynktownie wyciągnęła drugą rękę, by ucałować demona, i byłoby się to jej udało, gdyby nie dostała dotkliwego ciosu w brzuch, który pozbawił ją nie tylko tchu, ale przez moment i reszty sił. Z pełnym furii prychnięciem demon wyswobodził się, skoczył na równe nogi i wykonał ruch, jakby chciał wyciągnąć broń i ją wreszcie ukatrupić, gdy naraz zwierzęcy strach przed śmiercią dodał Katharinie wigoru - podciągnęła ku sobie kolana i obiema nogami grzmotnęła go w tułów z taką siłą, że ten, krztusząc się, zaskoczony, potknął się i poleciał w tył.

Na tym nie koniec. Musiała wierzgnąć znacznie mocniej, niż sądziła, bo demon zachwiał się, wymachując rękoma, a jego rogata czaszka odpadła mu z szyi i dokądś się potoczyła... tyle że to nie była jego głowa, lecz wielgachny hełm z dwoma okazałymi, wygiętymi ku dołowi rogami.

Katharinie nie było dane przyjrzeć się jego odsłoniętej twarzy, bo demon wiosłował ramionami w powietrzu coraz bardziej gorączkowo i desperacko, w końcu z groteskową powolnością przechylił się do tyłu... i zniknął z przenikliwym wrzaskiem.

Przez czas potrzebny na zaczerpnięcie pięciu lub sześciu ciężkich oddechów Katharina leżała po prostu bez ruchu i

wpatrywała się w pustkę, w której jeszcze przed chwilą znajdował się ten piekielny pomiot. Wreszcie pojęła, co tak naprawdę się stało, a jej pierwszą klarowną myślą była ta, że Bóg może i jest miłosierny, ale ma zaiste dziwne poczucie humoru. To nie ziemia się rozstąpiła, by pochłonąć zmore. Wyjaśnienie było znacznie prostsze. Krótki pościg i jeszcze krótsza walka przywiodły ich na powrót nad stromy brzeg, demon potknął się o jego krawędź i musiał teraz leżeć roztrzaskany na skałach.

Cóż to miało znaczyć, pomyślała oszołomiona dziewczyna.

Czyżby Bóg jej przebaczył, czy to raczej część jeszcze okrutniejszej kary, a on napełniał ją znowu nadzieją, po to tylko, by ją później i tak uśmiercić?

Ze zgrozą odrzuciła tę myśl jako czystą herezję, przetoczyła się i stanęła na czworakach, po czym chwytając się skalnego występu, wyciągnęła rękę po zerwany z łepety demona hełm. Był niezwykle ciężki i zrobiony z metalu, jakiego nigdy przedtem nie widziała, twardego jak żelazo, ale grubszego i... topornego. Jego kształt był naprawdę dziwaczny, co nie ograniczało się do dwóch spiczastych rogów, należących niegdyś chyba do dumnego tryka - był zaskakująco mały. Gdyby Katharina nie obawiała się doznania poważnych szkód na duszy, nałożyłaby go sobie na głowę, żeby sprawdzić, czy- by na nią pasował. Najwyraźniej nie wszystkie demony były takimi gigantami, jakich widziała na zamkowym wzgórzu.

Rozległo się szuranie i jakby postękiwanie, serce dziewczyny znowu skoczyło w piersi ze strachu. Upuściła hełm, po czym wyprostowała się na kolanach, dziwiąc się samej sobie, dlaczego po prostu nie rzuciła się do ucieczki.

Zamiast się wycofać, podczołgała się aż do urwiska i spojrzała ostrożnie w przepaść.

Demon nie leżał roztrzaskany na skałach. Uczepił się występu tuż pod nią jedną tylko ręką, a drugą wywijając dziko w powietrzu, próbując się czegoś złapać. Katharina pojęła teraz, że to, co wzięła za sierść, było w istocie łopoczącym płaszczem, a oblicze, w które spojrzała, nie było pyskiem demona, lecz niemal smuklejszą niż jej własna, trupio bladą twarzą. Przynajmniej w tym momencie błyszczały na niej oczy ogromne, czarne od śmiertelnego strachu.

Tak jak wcześniej, Katharina zrobiła coś, czym najbardziej zaskoczyła chyba siebie samą: miast pchnąć rzekomego demona w czeluść i wszystko zakończyć, wyciągnęła rękę i pochwyciła jego wirujące ramię, zaciskając palce wokół nadgarstka, niewiele mocniejszego niż jej własny. Zaparłszy się drugą ręką o ziemię, by mieć dobrą podpórę, podciągnęła wijące się demona jednym silnym ruchem ku sobie.

Może zbyt mocno, bo oto nagle kudłata postać znalazła się nie tyle obok niej, co na niej i po raz drugi uczepieni jedno drugiego zwalili się na ziemię. Jakkolwiek tym razem demon zrezygnował z wpakowania kolana w jej brzuch.

Wyrwał się, stanął na równe nogi i podziękował za uratowanie życia, dając jej tak potężnego kopniaka w bok, że Katharina usłyszała pęknięcie własnego żebra i poczuła, jak uszła z jej płuc ostatnia resztką powietrza.

Skomląc z bólu, wiała się i w geście obrony młóciła na oślep ramionami, demon zaś zaniechał maltretowania jej żeber kopniakami.

Wolał za to uderzyć ją w skroń, tak srodze, że teraz naprawdę straciła przytomność; jakkolwiek tylko na krótką chwilę, bo kiedy wróciły jej zmysły, postać stała wciąż nad nią pochylona i wyciągała właśnie rękę, pewnie, żeby jej zmiażdżyć gardło lub coś jeszcze gorszego uczynić. Katharina pisnęła ze strachu, ale nie miała już sił, żeby choć zasłonić dłońmi twarz.

Jednak demon nic jej nie zrobił. Nachylił się jedynie, by podnieść i nałożyć swój hełm, jeszcze krótko łypnął na nią przez wąskie, skośne otwory oczami pełnymi nienawiści, po czym zamierzył się, jakby miał zamiar ponownie ją kopnąć. W końcu przekornie wzruszył tylko ramionami, odwrócił się i szybkim krokiem oddalił się w ciemnościach.

Katharina długi czas leżała na plecach, wpatrując się w chmury nad sobą i będąc jedynie wdzięczną, że żyje; w nie mniejszym stopniu była także skołowana. Dlaczego demon jej nie zabił? Czy w podzięce za uratowanie mu życia? Katharina nie umiała sobie tego wyobrazić... i nawet nie chciała, bo w ten sposób musiałaby nadać potworowi cechy ludzkie, a tych mu odmawiała.

Kiedy w końcu była w stanie jako tako pozbierać myśli, usiadła i starannie obmacała sobie twarz. Krew, którą wyczuła tym razem, należała do niej samej; cała była okropnie obolała. Kiedy pomacała językiem zęby, nie tylko ją zabolowały, stwierdziła również, że dwa z nich się ruszają. Widocznie demon nie tylko rogi pożyczył od kozła, ale i kopania się od niego nauczył. Wciąż jednak żyła.

Ostrożnie zacisnąwszy zęby, podźwignęła się i rozejrzała raz jeszcze dookoła, lecz kiedy zrobiła pierwszy krok, nie mogła już stłumić krzyku bólu. Przynajmniej jedno z jej żeber musiało być złamane, bo przy każdym ruchu zagłębiało jej

się w bok jak cienki rozżarzony nóż.

Zła na siebie za słabość swego ciała, które najwyraźniej chciało ze wszystkich sił powstrzymać ją od odbycia pokuty, pokuśtykała dalej, a wtedy poczuła na nowo kłujący ból w boku i jeszcze jakąś wielką ciemność nadciągającą z głębi jej umysłu. Potem już nic.

Kiedy się ocknęła, przez jej powieki przesączało się szare światło.

Bołała ją głowa, a w ustach czuła wstrętny posmak własnej krwi i innych gorszych rzeczy. Nie mogła się ruszyć, bo przygniatało ją coś bardzo ciężkiego i choć czuła ciepło, powietrze, którym oddychała, było tak zimne, że kłuło ją w gardle.

Już miała otworzyć oczy, gdy w ostatniej chwili stłumiła ten impuls. Dziwiła się trochę, że jeszcze żyła, ale obawiała się tego, co zobaczy, gdy uniesie powieki... i właściwie nie była nawet pewna, czy naprawdę jeszcze żyje. Przypomniała sobie wieś, demony i krzyki, a wspomnienie to nasuwało jej przed oczy wyobraźni inne, upiorniejsze obrazy.

Udało jej się je odpędzić, ale dobroczynne zamroczenie przebudzenia pierzchło gdzieś i teraz z całą powagą rozważała, czy aby nie jest martwa, a może i w piekle. Jednak czy wobec tego nie powinno być goręcej i czy nie powinna czuć parzenia wrażeń w jej ciało rozżarzonych kleszczy i innych narzędzi tortur?

- Możesz już przestać udawać, że jeszcze śpisz - odezwał się jakiś głos obok niej. W każdym razie to chyba właśnie powiedział, bo mówił z osobliwie twardym akcentem, który utrudniał rozróżnienie poszczególnych słów.

Katharina zamrugała i sycząc z bólu, wciągnęła przez zęby powietrze, bo światło ukłuło ją w oczy jak rozpalone do białości igły, po chwili, znacznie ostrożniej, ponowiła próbę. Szarawa światłość zmieniła się w boleśnie intensywny blask słońca. Dopiero teraz zauważyła, że ziemia się porusza.

- Tak lepiej. To było głupie, wiesz? Masz, wypij to.

Dziewczyna miała jeszcze trudności w orientacji. Wszystko jednocześnie wydawało się na nią spadać, a jej lekkie zamroczenie zmieniło się w kompletne zagubienie. W końcu zrozumiała, co głos od niej chciał, i posłusznie otworzyła usta. Ktoś przykładał jej do nich drewnianą czarkę. Piekielna lura, jakiej się w swej naiwności spodziewała, okazała się całkiem zwyczajną wodą, aczkolwiek nieco zwietrzałą. Po pierwszych dwóch ostrożnych łykach piła już łapczywiej, i z pewnością opróżniłaby czarkę do cna, gdyby ta nie została w końcu gwałtownie cofnięta.

-Tyle na razie ci wystarczy. Jeśli będziesz pić zbyt raptownie, zrobi ci się niedobrze.

Katharina zrobiła rozczarowaną minę, powstrzymała się jednak od jakiegokolwiek odpowiedzi - kimże była, aby dyskutować z prawdziwym demonem? - i pomału usiadła.

Być może jednak nie dość wolno, bo natychmiast zakręciło jej się w głowie, a świat wirował już nie tylko naokoło niej, ale zaczął teraz przesuwac się w górę i w dół, i huśtać w taki sposób, że dostawała mdłości.

Jeśli to jest piekło, pomyślała, to inne, niż je sobie wyobrażałam.

Demonów cała kupa -więcej i bliżej niej, niż pragnęła - ale ani płomieni, ani żaru, ani jęków, a jedynym torturowanym, przynajmniej na razie, był jej buntujący się żołądek. Nieznany dobroczyńca zdawał się mieć słusność, ostrzegając ją.

-Jak głowa? - kontynuował głos.

Boli, pomyślała markotnie Katharina, a teraz, kiedy ją o to spytano, znacznie bardziej niż przed momentem. Kiedy uniośszy rękę zaczęła delikatnie rozmasowywać opuszkami palców swoje pulsujące skronie, ostrożnie się odwróciła i po raz pierwszy ujrzała właściciela tego dziwnie obco brzmiącego głosu.

Co za niespodzianka. Oczywiście od dawna już wiedziała, że ani nie jest w piekle, ani w niewoli u prawdziwych demonów czy diabłów, lecz na jakimś statku pełnym z barbarzyńską odzianych wojowników, lecz twarz, na którą spoglądała, nie pasowała ani do jednego, ani do drugiego. Smukła, o niemal delikatnych rysach, nie miała już teraz rogów, lecz dwa okalające ją grube, niemożliwie długie warkocze koloru jasnobłond. No i tchnęła czystością. Mimo to Katharina natychmiast ją rozpoznała. Kiedy ostatnio patrzyła w te wielkie oczy, wzywał z nich śmiertelny strach, teraz jednak spoglądały na nią z ciekawością i niemalże przyjaźnie spod jasnych brwi zrosniętych nad nosem w spiczaste V - Ty? - mruknęła. - Ty jesteś...

Wewnętrzny głos poradził jej zamilknąć, więc ugryzła się w język. A przynajmniej próbowała.

- Kim takim? - spytał chłopak. Jego głos zabrzmiał jakoś... wyczekująco.

- Człowiekiem - odpowiedziała nieswojo Katharina.

- Czy to cię martwi? - pytał dalej.

- Nie - odparła prędko. - Tylko... hm... no, gdyby to było widać...

- Pozwoliłbyś mi spaść? - zapytał. W jego głosie wyraźnie dało się słyszeć cię gorczy.

- Oczywiście, że nie - pośpieszyła z zapewnieniem. - Tylko, że...ja... to znaczy, przykro mi, że oberwałeś.

- Tak, to nie było zbyt miłe - potwierdził chłopiec. Nie mógł być dużo od niej starszy, pomyślała Katharina. Jego głos zabrzmiał teraz trochę drwiąco. -Jak twoje żebra?

Tak samo jak głowa; teraz, gdy ją o to spytał, znów poczuła ostrze niewidzialnego noża powoli wwiercające się w jej bok.

- W porządku - odpowiedziała zduszonym głosem.

- Cieszę się — powiedział. - Byłbym naprawdę niepocieszony, gdybym zranił mojego wybawiciela.

- Tak źle znowu nie... - zaczęła Katharina, po czym gwałtownie się obróciła, zdążając w ostatniej chwili wychylić się za niską burtę, by wyrzucić z siebie nie tylko dopiero co wypitą wodę, ale także resztę zawartości żołądka.

- Niezbyt dobrze znosisz wodę, co? - chłopak uśmiechnął się drwiąco.

Katharina chętnie by mu na to coś odrzekła, ale była zbyt zajęta wypluwaniem do wody gorzkiej żółci. Nie chodziło o to, że wypiała zbyt chciwie i za dużo, ale o to, że jej żołądek od dawna był pusty. To świat szaleńczo kręcił się wokół niej, a dodatkowo kołysał się we wszystkich kierunkach, których rozmieszczenia nie mogła jeszcze stwierdzić.

- Nie martw się - rzekł jej łaskawca. - Tylko na początku jest tak źle.

- Tak? - wykrztusiła Katharina. Więcej nie była w stanie z siebie wydobyć.

- Oczywiście - zapewnił. - Później będzie jeszcze gorzej.

Bardzo zabawne, pomyślała. Było jej zbyt niedobrze, żeby naprawdę mogła się złościć, ale czuła, że powinna. Zrobi to później. Może jednak źle wybrała i powinna była raczej życzyć sobie przebudzenia w czystym.

- A teraz poważnie: to przejdzie. Zobaczysz. Za kilka godzin po czujesz się lepiej. Większość ludzi szybko się do tego przyzwyczaja.

Tym razem zdołała wycedzić dłuższe słowo. - Większość?

Uśmiezek na smukłej twarzy nabrał zuchwałego wyrazu. - Nie wszyscy - potwierdził. Jednak zza drwiącego błysku w jego oczach wyglądało szczere współczucie.

Przynajmniej tak sobie wmawiała.

Żołądek znęcał się nad nią jeszcze długo, a kiedy w pewnym momencie nie zostało w nim już nic, co mogłaby zwrócić, wyczerpana opadła do tyłu, opierając głowę i ramiona na chropawym drewnie kadłuba. Wcale nie poczuła się lepiej, statek pod nią kołysał się i drżał, jak miotany sztormem, chociaż niebo było całkowicie bezchmurne i jasne, a żagiel w czerwono-białe paski zwisał bezwładnie z rei nad ich głowami.

- Posiedź tu - powiedział chłopiec. - Zaraz wrócę.

Katharina nie miała innego zamiaru. Statek był duży - jak na statek - mimo to mierzył niewiele więcej niż trzydzieści kroków wzdłuż i zaledwie pięć lub sześć wszerek. Odpowiednio wielki panował tu ścisk na pokładzie. Nie potrafiła oszacować liczby ludzi, ale przypuszczenia hrabiego Pardeville'a okazały się za ostrożne; przy tym ci mężczyźni bądź co bądź ciągle wykazywali pewne podobieństwo do demonów; czy też niedźwiedzi, nie zdecydowała jeszcze w tej kwestii. Wszyscy bez wyjątku wydawali się niezmiennie muskularni i wyjątkowo rośli. Większość zdjęła swoje dziwaczne hełmy, a wciąż przerażała ogromem; niemal wszyscy nosili peleryny lub płaszcze z ciężkiego futra nadające im jeszcze masywniejszy wygląd.

Co najmniej połowa z nich siedziała na prostych ławkach i wprawiała długie wiosła w ruch, inni tylko stali, rozmawiając ze sobą w tej osobliwie szorstkiej mowie lub robili rzeczy, których nie mogła i nie umiała bliżej określić. Co ciekawe, mało kto zdawał się ją zauważać.

Jeśli w ogóle padało w jej kierunku czyjeś spojrzenie, było raczej pogardliwe, a w najlepszym razie obojętne.

Bezimienny dobrodziej wkrótce wrócił, usiadł obok niej w kucki i przystawił jej do ust rogowy lejek skórzanego

bukłaka. Na samą myśl o tym, że miałyby coś w siebie wlać, zrobiło jej się jeszcze gorzej, ale chłopiec uczynił tylko nerwowy gest, siłą rozwarł jej zęby i wlał w nią kilka łyków czegoś, co z pewnością nie było wodą i co ostro paliło w gardle.

- Co... to jest? - wyrzuciła z siebie, kaszłąc gwałtownie i się krztusząc. Jej żołądek zdawał się być ogarnięty ogniem, wszystko wokół niej wirowało. - Na Boga! Jeśli chcesz mnie... zabić, dlaczego... od razu... mnie... nie utopiłeś?

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu... czymkolwiek ją napoił, zaczęło działać praktycznie w okamgnieniu. Nudności nie zniknęły, ale nabrały innej jakości, nie musiała już natężyć całej uwagi, żeby nie zwymiotować.

- Lepiej? - zapytał wesoło.

Katharina skinęła głową, nagle zakaszła i wykrzywiła boleśnie twarz. Jej złamane żebro zareagowało na to ostrym bólem.

- Co to było? - mruknęła. Jej gardło płonęło wciąż żywym ogniem, ale brewerie w brzuchu zmieniły się tymczasem w uczucie przyjemnego ciepła, które szybko zaczęło rozchodzić się po całym ciele.

- Właściwie to nie dla takich małych chłopczków jak ty - odpowiedział jasnowłosy. Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy i Katharina uznała, że był teraz złośliwy - Ale pomaga na chorobę morską.

Jeżeli wypijesz odpowiednio dużo, ma się rozumieć. Choroba nie znika, ale po chwili staje ci się to zupełnie obojętne.

Podał jej bukłak. - Jeszcze łyk? Ale ostrzegam cię: najpóźniej jutro będziesz tego żałować.

Katharina nawet nie próbowała rozumieć, co miał na myśli. Ciągłe bolało ją gardło, usta zaczynały piec, ale żołądek i wojujące wnętrzości uspokoiły się w okamgnieniu, a jutro miało nadejść jutro, więc wyciągnęła rękę i zmusiła się do wypicia jeszcze kilku łyków. Choć ten napitek palił jej wargi, zdawał się przecież lepszy niż nawroty tych paskudnych nudności.

Jeden ze starszych wojowników o długich, zmierzwionych siwych włosach i z brodą tego samego koloru splecioną w trzy cienkie warkocze podszedł do nich i rzucił kilka słów do młodego blondyna.

Katharina nic z tego nie rozumiała, ale ton głosu w surowej mowie wojownika nie zabrzmiał przyjaźnie, a uśmiech jej dobroczyńcy nie był już tak przekonujący.

Odczekał, aż siwowłosy mężczyzna odwrócił się i odszedł, po czym odebrał jej skórzany worek, starannie go zamknął i przywiązał sobie do pasa. Katharina domyśliła się, że ten drugi nie zgadzał się, żeby dawał więźniowi lekarstwo.

- Jak masz na imię? - zagadnęła.

- Dlaczego pytasz?

Katharina nieśmiało wzruszyła ramionami. - Tak tylko. Bądź co bądź chyba uratowałeś mi życie.

- Na imię mi Ansgar - odpowiedział, a w jego głosie znowu zabrzmiała podejrzliwość. - A skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym zrobić coś tak głupiego?

- Stąd, że jeszcze żyję?

- Nie zabijamy małych chłopców - powiedział.

- Skoro tak, to raczej ty mi zawdzięczasz życie - odrzekła czupurnie.

- Wątpię - wykręcał się Ansgar. - A nawet jeśli tak, to co najwyżej jesteśmy kwita. Umiesz pływać?

Katharina nie rozumiała znaczenia tego pozornego przeskoku myśli, ale odpowiedziała na pytanie zgodnie z prawdą, potrząsając przecząco głową.

- To może nie powinienes tak głośno paplać, że uratowałeś mi życie - powiedział. - Chyba, że ci zależy na błyskawicznej nauce pływania.

Katharina wykazała dość rozsądku, aby nic nie odpowiedzieć, patrzyła tylko zmieszana na Ansgara. Wyglądał na rozwścieczonego, choć nie pojmowała, dlaczego.

To był dobry moment, żeby zmienić temat.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Ciebie? - Ansgar najwyraźniej mimowolnie wzruszył ramionami. - Płyniemy do naszego obozu. Powinniśmy tam



dotrzeć przed zachodem słońca. Co dalej z tobą będzie, zależy od mojego ojca.

Może pozwoli ci odejść.

Jakoś nie chciało jej się w to wierzyć... Czuła, że Ansgar nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. To samo przeczucie podpowiadało jej jednak, że nie byłoby szczególnie mądre rozprawiać z nim teraz o tym.

Zamiast tego poszukała wzrokiem i znalazła owego siwowłosego olbrzymia, który właśnie rozmawiał z Ansgarem. - Czy to twój ojciec?

- spytała.

- Erik - odparł Ansgar. - Mój dziadek. I nasz jarl. - Kiedy zobaczył, że nie rozumie, dodał: - Nasz przywódca.

Ich przywódca, pomyślała. I jego dziadek. Interesujące. Ansgar jakby odczytał jej myśli, bo pokręcił głową i powiedział: - Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Bycie wnukiem jarla nie zawsze przynosi korzyści; nawet kiedy jesteś jego jedynym wnukiem. Wręcz przeciwnie. Zawsze musisz być najlepszy i nie wolno ci czynić błędów. A jeśli jakiś popełnisz, ukarzą cię surowiej niż kogokolwiek innego. - Skrzywił się w grymasie. - Ale ty pewnie to znasz - uśmiechnął się, jakby o czymś wiedział - jako syn wielmoży.

- Skąd ten pomysł? - wyrwało jej się.

Jego uśmiech stał się na powrót drwiący. - Tak. Ojciec przewidział, że właśnie przy tym będziesz się upierać.

- Przy czym? - ostrożnie próbowała się wywiedzieć Katharina.

Kątem oka spostrzegła, że siwowłosey przerwał rozmowę i marszcząc brwi, spoglądał w ich kierunku.

- Przy tym, że jesteś tylko zwykłym wiejskim chłopcem, za którego nikt nie zapłaci okupu - odrzekł Ansgar.

- A gdyby tak było? - zapytała Katharina. Wtem odezwał się w niej cichutki, ostrzegawczy głos i poradził, aby była nad wyraz ostrożna, a najlepiej, żeby nic już nie mówiła; czuła się przy tym jakoś... dziwnie. Ciepło w żołądku zniknęło, za to teraz coś zaczęło się zmieniać w jej głowie. Nie wiedziała co, jako że nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła, nie było to jednak nieprzyjemne... choć nieco straszne. W przyjemny sposób lekko kręciło jej się w głowie.

- Gdyby tak było - Ansgar nawiązał do jej pytania - oznaczałoby dla ciebie duże kłopoty. - Wskazał głową gdzieś za nią. - Do brzegu jest spory kawałek, szczególnie dla kogoś, kto nie umie pływać. To mała łódź, wiesz? Nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebny balast.

Postanowiła sobie, że tego nie robi - mimo to całkiem bezwiednie nie tylko się podciągnęła, ale również odwróciła głowę, żeby spojrzeć na brzeg. Rzeczywiście spory kawałek. Statek mknął z nurtem środkiem rzeki, dodatkowo przyspieszany przez półtora tuzina wiosł po obu stronach, przez co brzeg wydawał się wprost przelatywać obok nich. W tym miejscu Ren robił na niej wrażenie znacznie szerszego niż w pobliżu jej rodzinnej wioski. Nawet dobremu pływakowi nie byłoby zapewne łatwo dostać się do brzegu żywym, a nie kłamała, mówiąc, że nie umie pływać. Katharina przez całe życie bała się wody.

Zdaje się, że te myśli dość łatwo dawało się wyczytać z jej twarzy, bo Ansgar wybuchnął nagle śmiechem i potrząsnął uspokajająco głową.

- Jak powiedziałem: dziadek mi przepowiedział, że będziesz na tyle głupi, żeby twierdzić coś takiego. Ale nie jestem taki naiwny, żeby w to wierzyć.

- Czyżby? - bąknęła nieśmiało Katharina.

- Ci jeźdźcy nie znaleźli się tam przypadkiem - oświadczył Ansgar. - Szukali cię, mam rację?

- Guy de Pardeville? - spytała Katharina i zgromiła się za to, nim jeszcze do końca wypowiedziała te słowa.

- A więc go znasz. To twój ojciec?

- Nie! - odparła, zdecydowanie zbyt pośpiesznie i za głośno. Jednak nie kontrolowała już języka, a jej myśli, mało że zrobiły się osobliwie lekkie, to jeszcze zaczęły biec zupełnie obcymi jej ścieżkami.

Ansgar roześmiał się. - Tak, to brzmi przekonująco. Opanowała się przynajmniej na tyle, żeby nie odpowiadać, jakkolwiek kosztowało ją to sporo silnej woli.

- Wysłaliśmy już posłańca do tego nieznanego ci pana - ciągnął Ansgar - żeby go spytać, jaki okup skłonny jest zapłacić za wiejskie go chłystka, którego w ogóle nie zna. Ciekaw jestem, co odpowie.

O Guy de Pardeville'u Katharina nie wiedziała nic, z wyjątkiem tego, że miał nad wyraz dziwaczne imię i przybył z dalekiego kraju, ale wedle wszystkiego, co wiedziała o rycerzach i możnych panach, nie byłaby szczególnie zaskoczona, gdyby dziadek Ansgara dostał za odpowiedź odciętą głowę posłańca.

- A jeśli odpowiedzią będzie: nic? - zapytała, czując, że język jej się płacze.

Ansgar wyszczerzył tylko zęby i wymownie zerknął na wodę.

Jego dziadek znowu podszedł, warknął coś w swoim dziwacznym języku i Ansgarowi spelzł z twarzy drwiący uśmieszek, zmieniając się w coś na kształt grymasu. Odpowiedział w tym samym języku, a Erik wykonał jakiś ostry gest i ponownie się oddalił, ciężko stąpając.

Jeden z wojowników wybuchnął śmiechem, ale przestał, gdy napotkał gniewne spojrzenie jarła.

- Twój dziadek wydaje się być innego zdania - powiedziała Katharina. Właściwie wybełkotała. Co się z nią u licha działo?

Ansgar skrzywił się, przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu, po czym odpasał bukłak.

- Wypij jeszcze łyk - powiedział. - Albo dwa. Poczujesz się po nich lepiej i może powiesz mi w końcu prawdę.

Katharina wątpiła i w jedno, i w drugie, a po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że to co działo się teraz z jej myślami (i co gorsza z jej językiem), nie było wcale tak przyjemne. Potem jednak powiedziała sobie, że ostatecznie ona była więźniem, a ten chłopiec z głupimi warkoczykami jej strażnikiem, wyciągnęła więc rękę i posłusznie wypila.

Napój wydał jej się ostrzejszy niż poprzednio, ale ciepło wróciło do jej ciała, wraz z zawrotami głowy, które były teraz jeszcze przyjemniejsze.

- Aczszodochładnie... - zaczęła, zamrugwała skonfundowana i zabrała się ponownie do rzeczy, tym razem bardziej skoncentrowana: - A co dokładnie maszterazzzamia... Przełknęła ślinę. - Masz teraz zamiar ze mną zrobić, chciałam powiedzieć.

-Ja? - Ansgar uśmiechnął się szeroko. - Zupełnie nic. Przynajmniej nie dzisiaj. Prześpij się trochę.

Spać? Była więźniem, a dziadek Ansgara spodziewał się za nią dostać duży okup i pewnie ją każe zabić, gdy zda sobie sprawę, że nikt nie zapłaci za nią nawet złamanego halerza. Jakże mogła mu przyjść do głowy ta absurdalna myśl, że mogłaby teraz zasnąć?

I z tą właśnie myślą zasnęła.

Skraevald, jak brzmiała nazwa małej wsi obronnej, w której Katharina obudziła się następnego ranka (z pulsującym bólem głowy i najgorszym w życiu smakiem w ustach), nie była właściwie wioską, a większym obozem; choć jego rozległość wprawiała ją w osłupienie.

Powierzchnią znacznie przewyższał wieś, w której dorastała, a domyślała się, że i mieszkańców miał dużo więcej.

Ku jej zaskoczeniu, była sama i nawet niezwiązana, a obok prostego, acz zdumiewająco wygodnego posłania ze skór, na którym się ocknęła, znalazła misę ze świeżymi owocami i chrupiącymi podpłomykami oraz dzban z wodą. Nie miała już na sobie postrzępionego odzienia, lecz prostą, czystą suknię z jasnego zamssu, muskającą jej skórę jak czuła ręka. Chociaż Katharina na wszelki wypadek unikała pytania, kto zdjął z niej starą szatę, a założył nową, była mile zaskoczona. Jeżeli to w ten sposób rzekome demony traktowały swoich więźniów, to może powinna sobie życzyć, by przez resztę życia pozostać w takiej niewoli.

Naturalnie był to dziecinny pomysł; a do tego dość głupi. Głowa wciąż bolała ją do tego stopnia, że musiała zmuszać się do każdej myśli, mimo to pamiętała swą rozmowę z Ansgarem. Jego dziadek wkrótce odkryje, że jego rzekomy zakładnik jest nic niewart, a co się wtedy z nią stanie, pewnie i sam Pan Bóg nie wie.

A jeśli wiedział, to była mu wdzięczna za to, że jej tego nie wyjawiał.

Co oznaczało, że powoli nadchodził czas, by ukuć plan ucieczki.

Jej pierwsza próba zakończyła się po zaledwie trzech krokach, kiedy odrzuciwszy zasłonę namiotu i zmrużywszy oczy, schylona wyjrzała na zewnątrz i ujrzała przed sobą brodatą, okoloną skołtunionymi kasztanowymi włosami twarz. Mężczyzna wprawdzie nie stał z włócznią w gotowości przed jej namiotem, lecz siedział w pewnej od niego odległości z wygodnie skrzyżowanymi nogami i wyglądał na bardziej znużonego niż czujnego, jednak dostrzegł ją natychmiast, a po chwili warknął w swoim ostrym języku pojedyncze słowo, które w uszach Kathariny zabrzmiało jak szczeknięcie.

Mimo to zrozumiała, co miał na myśli, schowała się pośpiesznie z powrotem do namiotu i przez dobrą chwilę łąjała

się w myślach najgorszymi wyzwiskami. Jakże mogła choć przez chwilę być tak głupia i uwierzyć, że jest to takie proste? Bez względu na to, za kogo uważał ją Erik, była dlań zbyt cenna, by zostawić ją niestrzeżoną.

Złorzeczyła jeszcze przez chwilę losowi i sobie samej, po czym zarzuciła te mało pożyteczne rozmyślenia i dla odmiany rozejrzała się po swoim małym namiocie. Wiele do oglądania nie było: oprócz legowiska, na którym się obudziła, na całe wyposażenie składały się prosty stółek i drewniany stojak, którego przeznaczenie pozostawało dla niej tajemnicą. Uszyty z cienkiej skóry wierzch namiotu zamocowano do ziemi drewnianymi kołkami, tak iż od biedy mogła wysunąć dołem dłoń, ale może dałaby radę rozszerzyć tę szparę. Szybko udała się na tył namiotu, kucnęła i spróbowała szczęścia.

Przeszkoda okazała się krnąbrniejsza, niż się spodziewała, wyciągnęła się więc wygodniej i napięła mięśnie, kiedy ciężki sztylet przeleciał zaledwie o pół piędzi od jej ramienia i wbił się z głuchym dźwiękiem aż po rękojeść w ziemię. Katharina krzyknęła, przestraszona straciła równowagę i wylądowała z piskiem na pośladkach.

- Kołki są wbite bardzo głęboko - powiedział Ansgar, znalazłszy się obok niej. Wyciągnął broń z ziemi i kierując ją uchwytem do przodu podał Katharinie. - Z tym ci pójdzie łatwiej, wiesz?

Katharina spoglądała to na niego, to na ciężki brązowy uchwyt sztyletu, ale się nie poruszyła, toteż Ansgar, wzruszając ramionami, wsunął go sobie z powrotem za pas. - Z drugiej strony szkoda by było tego pięknego namiotu. Moja ciotka własnoręcznie go uszyła.

- Twoja... ciotka? - wymamrotała Katharina, właściwie tylko po to, żeby w ogóle coś rzec.

Ansgar podał jej rękę, a ona ją chwyciła i pozwoliła sobie pomóc wstać. - To właściwie mój namiot - odparł. - Dziadek chciał cię związać i rzucić między świnię, ale przekonałem go, że nie może tego zrobić biednym zwierzętom... Jak twoja głowa?

Katharina zbyła go milczeniem, zastanawiała się jednak, skąd Ansgar mógł wiedzieć o jej bólu głowy, i spojrzała na niego ze zdumieniem.

Wiking był wyraźnie rozbawiony jej zmieszaniem, w końcu puścił jej rękę i wskazał na wyjście. - Mogę pokazać ci obóz, chcesz?

- Naprawdę?

Ansgar odwrócił się, ponawiając gestem zaproszenie, i wyszedł z namiotu. Katharina, mrużąc oczy, ruszyła za nim.

Dzień był jeszcze młody. Słońce nie wspięło się nawet nad wierzchołki drzew, od wschodu obóz ograniczał las, a nad łagodnie opadającym zboczem po drugiej stronie wisiała rzadka mgiełka, mimo to ranek był już jasny. Zapowiadał się upał; tak samo jak wczorajszego dnia i jeszcze wcześniej. Również lato miało być tak gorące i suche jak dwa poprzednie, tegoroczne zbiory zapewne znowu spłoną i wielu ludzi we wsi umrze z głodu.

Wtem uświadomiła sobie, że nie musiała się tym już martwić i ogarnął ją nagły, głęboki smutek.

Ansgar wskazał głową na rzekę w dole; kiedy za nim szła, zauważył, że przed jej namiotem nie ma strażnika.

Krótką drogę wykorzystwała na dyskretne rozeznanie się wokół, bo choć jej - jak to sama przyznała - niezbyt mądrze przygotowana próba ucieczki zakończyła się fiaskiem, nie oznaczało to wcale, że się poddała.

Namiotowa osada rozciągała się spory kawałek wzdłuż brzegu, przy tym jej budowniczości zręcznie wykorzystali osłonę, jaką od niepożądanych spojrzeń i wiatru dawały pobliski las i łagodnie opadające zbocze. Zdawało się zbyt równe, jakby usypane ręką człowieka. Namiotów stało więcej, niż mogła zliczyć (ponad dwanaście), i nie było palisady, ani nawet płotu, tylko drewniana strażnica, która jednak nie dorównywała wysokością nawet wierzchołkom drzew i zapewne została wzniesiona tylko po to, żeby mieć oko na rzekę. Na jej małej platformie nikogo nie zauważyła.

W ogóle widziała zaskakująco mało ludzi, zaledwie garstkę przemieszczających się między namiotami mężczyzn, z których żaden nie był uzbrojony, kilka bez wyjątku starych kobiet i absolutnie żadnych dzieci, chociaż to namiotowe miasteczko, z pewnością, zbudowano dla większej liczby mieszkańców.

Być może była to kwestia wczesnej pory dnia.

Nie śpieszyła się, chcąc przyswoić sobie jak najwięcej szczegółów z otoczenia. Rzuciła jej się przy tym w oczy co najmniej jedna rzecz, która mogła jeszcze okazać się istotna: statek zniknął. Przy końcu niewielkiego drewnianego pomostu kołysała się tylko przycumowana maleńka łódź, mieszcząca nie więcej niż trzy osoby.

- Podoba ci się Skraevald? - zapytał Ansgar. Miała wrażenie, że chciał zadać zupełnie inne pytanie.

- Skraevald?

- Nasz obóz. - Ansgar zamaszystym ruchem ręki ogarnął całe namiotowe miasto. - Mój dziadek tak je ochrzcił. Uważa, że to imię przynosi szczęście.

- Czy nadając obozowi nazwę, nie czyni się go w ten sposób czymś... więcej? - zapytała.

Ansgar skinął głową z uznaniem. - Jesteś nie tylko całkiem ładna, ale i mądra - powiedział. - To nasz drugi rok tutaj. Może takich lat będzie więcej.

- Tutaj? - zdziwiła się Katharina. - Nikt się temu nie sprzeciwił?

- Dlaczego? Kraj jest wielki, a my nikomu niczego nie zabieramy.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał, by zmierzyć ją długim zamyślonym spojrzeniem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś dziewczyną? - zapytał trochę niezręcznie.

Katharina zapalała podejrzliwością. - A skąd...

- Nardis zdjęła z ciebie szmaty, które miałaś na sobie, nie obawiaj się - dodał pośpiesznie. - Od niej to wiem. Ale dlaczego ty mi tego nie powiedziałaś?

- Kiedy wciągałam cię na górę czy w czasie, kiedy byłeś zajęty łamaniem mi żeber? - dopytywała się.

Ansgar zmrużył oczy, zmusił się do nerwowego uśmiešku i na wszelki wypadek zmienił temat. - Pytałaś, czy ludzie tutaj mają coś przeciwko nam - przypomniał. - Na początku rzeczywiście tak było.

Ludzie w okolicy obawiali się nas, to prawda, ale szybko zmiarkowali, że nie ma ku temu powodu. Dzisiaj prowadzą z nami handel.

- A książęta?

- Są całkowicie zajęci uciskaniem swoich poddanych i wzajemnym zwalczaniem się - odrzekł bez namysłu Ansgar. - Dopóki im nic nie robimy, oni też nie wchodzą nam w drogę.

- Więc dlaczego wczoraj wieczorem napadliście na wieś?

Ansgar spojrzał na nią pytająco. - O czym ty mówisz?

- O Ellsbusch - odpowiedziała Katharina. - O wszystkich jego niewinnych mężczyznach, kobietach i dzieciach, których zabiliście, i o ojcu Cedriku, którego wasi ludzie przybili do krzyża!

- Naprawdę nie wiem, o czym... - zaczął Ansgar, urwał jednak, wzruszając ramionami, i powtórnie wskazał na obóz. - Pomów o tym z moim dziadkiem, może on zrozumie. Chodź, pokażę ci wszystko.

Katharina nie ruszyła się z miejsca. - O tym, że jesteście mordercami i barbarzyńcami przekonałam się już na własne oczy - powiedziała - ale nie wiedziałam, że jesteście także tchórzami! Czy nie masz nawet na tyle odwagi, żeby przyznać się do waszych zbrodni?

Ansgar w jednej chwili spoważniał. - Mordercy i barbarzyńcy?

- powtórzył. - Jeśli naprawdę za takich nas uważasz, dziewczynko, jesteś albo bardzo odważna, żeby tak mówić, albo bardzo głupia.

- A cóż mam do stracenia? - rzuciła wyzywająco. - I nie nazywaj mnie dziewczynką. Mam imię.

- Którego mi jednak do tej pory nie wyjawiałaś, dziewczynko - powiedział.

- Katharina - prychnęła - mam na imię Katharina.

- Kara - powiedział po chwili namysłu.

- Katharina - powtórzyła ostro.

- Kara - obstawał przy swoim.

Już miała wybuchnąć, ale uniósł rękę we władczym geście. - Zrozumiałem cię, Kara, ale z wyjątkiem mojego dziadka i mnie nikt tutaj nie mówi w twoim języku i mężczyźni udusiliby się własnymi językami, usiłując je wymówić. - Zaśmiał się cicho. - Poza tym to oszczędność czasu.

Choć Katharina tego nie chciała, musiała się uśmiechnąć, tym samym lody zostały przełamane.

- Chcesz zobaczyć resztę wsi?

- Więc teraz to już wiesz - powiedziała Katharina. - A nie tylko obóz.

Ansgar westchnął, pokręcił głową i przesadnie wywrócił oczami.

- A co byś wolała?

- Nie obawiasz się, że mogłabym uciec? - spytała, zamiast odpowiedzieć.

- Uciec? - powtórzył Ansgar. - A niby dokąd?

Także to pytanie Katharina pozostawiła bez odpowiedzi. Ale długo jeszcze o nim myślała.

Ansgar rzeczywiście pokazał jej każdy namiot w tej dziwnej osadzie, a do tego przedstawił każdemu z jej mieszkańców; co wszakże było dość jednostronną prezentacją. Najwyraźniej mówił prawdę, twierdząc, że jego dziadek i on byli tutaj jedynymi, którzy mówili w jej języku. Usłyszała wiele obco brzmiących imion i musiała wysłuchiwać sporo jeszcze bardziej obco brzmiącej paplaniny, tak iż na koniec była naprawdę rada, kiedy Ansgar zabrał ją z powrotem do namiotu. Mąciło jej się w głowie od tych wszystkich osobliwych imion i dziwnych słów, które usłyszała. Ciągłe miała w ustach wstrętny posmak, a jej żołądek co jakiś czas dawał o sobie znać uczuciem lekkiej nudności; zawsze na przemian z kluciem złamanego żebra.

Zaimprovizowane zwiedzanie na szczęście nie trwało zbyt długo.

Jej pierwsze wrażenie okazało się słuszne: Skraevald miał chwilowo niewiele więcej mieszkańców niż namiotów i tylko dziesięciu czy dwunastu z nich było wojownikami.

- Inni są w drodze z dziadkiem i Werdandi - odpowiedział Ansgar, kiedy spytała o resztę ludzi. - Ale do południa będą z powrotem.

Wtedy na pewno będzie chciał z tobą porozmawiać.

- Do południa? - zdziwiła się Katharina. - Tak szybko to się załatwia?

- Co? - zapytał Ansgar. Usiedli razem w namiocie; Ansgar na małym taborecie, stanowiącym praktycznie całe jego wyposażenie, Katharina ze skrzyżowanymi nogami na posłaniu ze skór. Jedna z kobiet przyniosła im jedzenie: świeżo gotowane warzywa i pocięte go w wąskie paski smażonego kurczaka, który smakował przepysznie. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Ellsbusch, Katharina niezmiernie rzadko dostawała mięso, nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziała na talerzu kurczaka lub choćby lichego zająca czy żyłastą racicę dzika. Może rok temu, może dwa.

Dziadek Ansgara wiedział, jak podejmować cennego więźnia. Pewnie smakowałoby jej jeszcze lepiej, gdyby żołądek nie buntował się przeciwko każdemu kęsowi.

A już naprawdę wybornie, gdyby nie okropna drobna myśl, że ta strawa może być ostatnią przed straceniem.

- Co dokładnie masz na myśli, mówiąc: tak szybko to się załatwia? - drażył Ansgar, kiedy nie odpowiedziała mu od razu.

- Zabijanie i łupienie - powiedziała. - Odkryliście w pobliżu jakąś wieś, która nie może się bronić?

Jasnowłosa znowu wywrócił oczami i westchnął cicho, ale oszczędził sobie odpowiadania, tylko oderwał kolejny kawałek mięsa od kurzego udka, które trzymał w lewej ręce. Katharina nie mogła nie zauważyć, jak lśniaco białe i silne miał zęby; i nie tylko to. Gdyby nie nosił tych głupich dziewczęcych blond warkoczy, wyglądałby naprawdę niczego sobie.

Akurat, kiedy doszła do wniosku, że najwyraźniej postanowił zignorować jej pytanie, doczekała się odpowiedzi: - Nie możesz po prostu dać temu spokój, co?

- Czemu? - spytała zaraz Katharina.

- Co właściwie opowiadali ci o nas rodzice? - zapytał. - Niech zgadnę: że jesteśmy zbójcami atakującymi każdego, kto nie zdąży się ukryć, potworami i demonami żyjącymi jedynie z mordów i grabieży?

- Moi rodzice nic mi nie opowiadali - odpowiedziała. - Nie żyją.

- Och - bąknął Ansgar. - Przykro mi.

- Już od dawna - dodała. - Nie pamiętam ich.

Ansgar pytająco przychylił głowę na bok, a Katharina odpowiedziała na jego następne pytanie, nim zdążył je zadać: - Wychowałam się u dobrych ludzi w Ellsbusch. To tu, to tam. - Prawda była raczej taka, że owi dobrzy ludzie z Ellsbusch oddawali ją jedni drugim. Nie pamiętała oczywiście pierwszych lat życia na wsi, ale w latach, które już sobie przypominała, nigdy nie spędziła więcej niż kilka miesięcy u jednej rodziny.

Rzecz dziwna, świadomość, że wszyscy ci ludzie, z których żaden z pewnością nie był jej przyjacielem, nie żyli, bolała ją tak bardzo, jakby straciła rodzinę.

- No i? - zapytał Ansgar, jakby czytając w jej myślach.

- Nie wiem o was zupełnie nic - przyznała niechętnie. - Poza tym, że ludzie was się boją.

Jednak jeśli miała być szczerą, to nie całkiem odpowiadało prawdzie. Słyszała ponure i przerażające opowieści o okrutnych wojownikach z północy, płynących na swoich rącznych smoczach łodziach w górę Renu, by siać grozę i śmierć, ale były to w końcu tylko opowieści. Ekscytujące historie, przy których słuchaniu serce mocniej biło w piersi, a po plecach przebiegał błogi dreszcz, nic ponadto.

Nigdy nie wierzyła w ich prawdziwość.

Aż do wczoraj.

- Rozumiem - rzekł Ansgar. Wcale nie wyglądał na zdenerwowanego. Raczej na zasmuconego.

- Czyżby? - spytała Katharina. - A co rozumiesz?

- Że te stare historie, które ci opowiadano, są prawdziwe, a zarazem zupełnie fałszywe. - Przeżuwając z zadowoleniem, chciał właśnie sięgnąć do swojej misy, lecz zreflektował się i wyciągnął ją w jej kierunku. Katharina zobaczyła, że na duszonych warzywach leżały jeszcze dwa duże kawałki chrupiącego smażonego kurczaka. Zarówno żołądek, jak i duma gwałtownie przeciw temu zaprotestowały...ale to było mięso, a jej tak ślinka ciekła, że musiała nad sobą panować, żeby nie dać po sobie niczego poznać.

Rzuciła Ansgarowi jednoznacznie pogardliwe spojrzenie, wyciągnęła rękę i sięgnęła po mięso. Oba kawałki. Ansgar uniósł brwi ze zdziwienia.

- A jak to możliwe? - zapytała z pełnymi ustami - że coś jest prawdziwe, a zarazem nie jest?

- Czasami ludzie uczą się na błędach, dziewczynko. Nawet ludzie z naszego ludu, a też i z waszego.

Nie Ansgar to powiedział, lecz jego dziadek, który niepostrzeżenie wszedł do namiotu za ich plecami. Wyglądał na bardzo zmęczonego, Katharina nie musiała pytać, widziała, że nie zmrużył oka przez co najmniej jedną noc. Za to po niemiecku mówił znacznie płynniej niż jego wnuk, bez dukania i bez cienia tego fatalnego akcentu.

Ansgar zerwał się i zaczął przemawiać do niego w swoim twardym ojczystym języku, ale Erik zasunął lewą ręką połę namiotu i władczy gestem uciszył go w połowie zdania: - To niegrzeczne mówić w języku, którego nasz gość nie rozumie, Ansgar.

Krokiem silnego, ale nieskończenie zmęczonego człowieka podszedł bliżej, usiadł w kucki między nią a wnukiem i spoglądał na nich na przemian w sposób, o którym Katharina nie mogła powiedzieć, że jej się podobał.

Szczerze mówiąc, wystraszył ją.

- Zatem poznaliście się już trochę lepiej - kontynuował, zwróciwszy się teraz ku Katharinie. - Muszę przeprosić za nieuprzejmość mojego wnuka. Kazałem mu zająć się tobą, ale najwyraźniej wolał się popisywać, żeby zrobić na tobie wrażenie. To moja wina. Powinienem był wziąć pod uwagę, że mimo wszystko jest jeszcze chłopcem, a nie mężczyzną.

Katharina nie bardzo rozumiała, co miał na myśli, ale uznała, że lepiej o to nie pytać, toteż tylko przyglądała się siwemu wojownikowi bez słowa i z uwagą. Ansgar nadał się.

- Czy dobrze cię traktowano? - spytał Erik, po czym zerknąwszy na mięso w jej ręce i jej ociekające tłuszczem usta, miał wyraźne trudności z powstrzymaniem uśmiechu. Katharina skinęła głową, a Erik, który najwyraźniej nie oczekiwał i nie zaakceptowałby żadnej innej odpowiedzi, ciągnął dalej: - To nie potrwa już długo. Rozmawiałem z wysłannikiem Guya de Pardeville'a. Jutro o wschodzie słońca przy będzie statek, który cię zabierze z powrotem do domu, Katharino.

Zastanawiała się, o jakim domu mówił. Jedyne dom, jaki kiedykolwiek miała, już nie istniał, został zamieniony w cmentarz przez niego i jego demonicznych wojowników.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zwrócił się do niej po imieniu.

- Katharina? - zapytała.

- Katharina - potwierdził Erik.

- Kara - powiedział Ansgar. Zarówno Katharina, jak i jego dziadek zignorowali go.

- Guy de Pardeville gotów jest negocjować twoje uwolnienie - potwierdził Erik. Zmęczony uśmiech przemknął po jego ustach, które przynajmniej w tej chwili sprawiały wrażenie równie szarych i bezkrwistych jak jego broda i włosy. - Robi jeszcze trochę ceregieli o wysokość okupu, ale nie martw się. Robi to chyba tylko dlatego, że duma tak mu nakazuje. Najpóźniej jutro wieczorem będziesz z powrotem w domu.

Katharina była w stanie tylko wlepić w niego zmieszany wzrok.

Dlaczego Guy de Pardeville - albo ktokolwiek inny - miałby chcieć zapłacić za nią okup?

- Co chcieliście przez to powiedzieć? - zapytała opieszale. - Że ludzie się uczą?

- Chciałeś - odparł Erik. - U nas nie ma żadnej różnicy między ty a wy. Wszyscy rodzimy się nadzy, we krwi i bólu, i wszyscy obracamy się w taki sam proch, gdy umieramy. Tak samo jak wy. Tylko że my nigdy o tym nie zapomnieliśmy. Westchnął ciężko. - A odpowiadając na twoje pytanie, moje dziecko: to prawda, był czas - nawet nie tak dawno temu - kiedy działo się dokładnie tak, jak mówiłaś.

Wojownicy z naszego ludu przybywali tutaj, aby kraść i plądrować.

Po obu stronach przelano wiele krwi i dopuszczono się ogromu niesprawiedliwości. Ale te czasy już minęły i nauczyliśmy się ze sobą żyć, zamiast się wzajemnie zabijać.

Z wyjątkiem minionej nocy, pomyślała Katharina.

- To skomplikowane - powiedział Erik, jakby głośno wypowie działa tę myśl. - Nie oczekuję, że to zrozumiesz ani że mi uwierzysz.

Jednak najpóźniej o wschodzie słońca będziesz znowu w domu, obiecuję ci to. A do tego czasu - dodał zmieniając ton i zerkając na wnuka - Ansgar zadba o ciebie. Możesz mu zaufać. Przynajmniej na tyle, na ile ja mu ufam.

Wsparłszy się dłońmi na udach, wstał, skinął raz jeszcze głową wnukowi i wyszedł z namiotu szybko, choć z opuszczonymi z utrudzenia ramionami. Katharina odniosła wrażenie, że pociemniało, kiedy odszedł.

Milczeli jeszcze przez długi czas, kiedy zostali znów sam na sam, a jej myśli krążyły wciąż wokół tego samego pytania: Guy de Pardeville chce zapłacić za nią okup? Dlaczego miałby to robić?

Zaledwie dwa dni temu nie wiedział nawet o jej istnieniu!

- Ty... hm... nie powinnaś brać go zbyt poważnie - odezwał się w końcu Ansgar. - Ma za sobą kilka bardzo uciążliwych dni.

- Uśmiechnął się krzywo. - Mordy i grabieże to żmudna robota.

- To nie tak... - zaczęła, ale zatrzymała się w połowie zdania i zyskała trochę na czasie, wgrzyzając się ochoczo w mięso i przeżuując z apetytem. Ansgar cierpliwie odczekał, aż pogryzła i przelknęła, a następnie spytał: - A niby jak?

- Widziałam tych ludzi - upierała się Katharina.

- Tych, którzy napadli na twoją wioskę? - spytał Ansgar.

- Nie - przyznała z niechęcią. - Tych na zamku. Ja przy tym byłam, Ansgar. Widziałam wojownika, który zamordował grafa Ellsbuscha.

Chłopiec skinął głową, wolno i z namysłem. - Myślisz, że byś go rozpoznała? - zapytał. - Teraz, gdy Werdandi wróciła, wszyscy wojownicy są w obozie. Mogę ci pokazać każdego z nich.

- Tego nie - odpowiedziała. - Ten nie żyje!

- Nie żyje - upewnił się Ansgar - jesteś tego pewna?

- Ja bym nie żyła, gdyby mi w brzuch wbito miecz - odpowiedziała, wzmacniając to stwierdzenie ruchem głowy, po czym przyłożyła sobie rękę do boku, bo złamane żebro zawtórowało jej bolesnym ukłuciem. Kiedy Ansgar podążył wzrokiem za jej ręką, nagle na jego twarzy pojawił się wyraz winy. Jednak nie wspomniał o tym ani słowem.

-W takim razie nie mógł to być żaden z naszych ludzi - powiedział, nie odchodząc od tematu. -Jak to?

- Ponieważ nie straciliśmy żadnego człowieka - odparł Ansgar. - Wszyscy wojownicy, którzy z nami wyruszyli, wrócili bez szwanku...

-Wzruszył nieznacznie ramionami. - No cóż, prawie... ale wszyscy żyją.

- Widziałam ich - upierała się Katharina. Dziwne, chociaż ledwo знаła tego chłopca, nie tylko czuła, że mówi prawdę - ona chciała mu uwierzyć.

- Tej nocy nie doszło do żadnej walki - upierał się Ansgar. -Wracając do obozu, zobaczyliśmy blask ognia, to wszystko! Jedyną osobą, jaką napotkaliśmy, był pewien brudny wiejski chłopiec, który próbował mnie zrzucić z urwiska.

- Widziałam to - rzekła uparcie Katharina.

- Wierzę ci - odrzekł. Naraz zamyślił się głęboko. -Jesteś absolutnie pewna, że to był jeden z... - poprawił się, wymawiając teraz wolno każde słowo: - ...że to był Norman?

Również tego słowa Katharina nigdy wcześniej nie słyszała, ale wiedziała, co miał na myśli. Przytaknęła skinieniem głowy.

- Powinnaś była powiedzieć mi to wcześniej - powiedział Ansgar.

- Uznałam, że wiesz - odpowiedziała. - W końcu byłeś przy tym.

- Byłem zajęty chwytaniem się skały - powiedział opryskliwie - bo ktoś mnie podstępnie zrzucił z klifu.

- Pewnie jakaś niepodejrzewająca niczego wiejska dziewczyna, na którą tchórzliwie zacząłeś się w ciemności? - spytała Katharina, niewinnie trzepocząc powiekami. - Pewnie ta sama, która wciągnęła cię z powrotem na górę, ratując ci życie?

Ansgar milczał, więc Katharina z zadowoleniem wwierała nóż w ranę. - I którą w podzięce skopałeś na kwaśne jabłko?

- O tym nie wiedziałem - odpowiedział skruszony Ansgar.

- Że mnie kopnąłeś?

- Że jesteś dziewczyną - odrzekł rozdrażniony. - Myślałem, że ty... - Ugryzł się w dolną wargę, patrząc przez moment gdzieś w pustkę za dziewczyną, po czym się zerwał. - To skomplikowane.

- Słyszałam to już dzisiaj kilka razy - zauważyła posepnie Katharina.

- Pewnie dlatego, że tak jest - odparł Ansgar. - Zaczekaj tutaj.

Muszę porozmawiać z dziadkiem. Zaraz będziemy z powrotem.

Ansgar nie wrócił zaraz, ani sam, ani z dziadkiem. Minęła co najmniej godzina, podczas której siedziała w swym namiocie, czekając na próżno, by cokolwiek się zdarzyło, w końcu doszło do niej, że zachowała się dość głupio. Ansgar nie spuścił za sobą połę namiotu, więc widziała, że strażnik zniknął - mimo to nadal czuła się jak spętany niewidzialnymi pętami więzień.

Powziąwszy szybką decyzję, zła bardziej na siebie niż na Ansgara czy jego dziadka, wyszła z namiotu w poszukiwaniu jarła. Zrazu nie dostrzegła Erika, za to, kiedy odwróciła się w kierunku rzeki, przeżyła szok: smok znów tam był, tym razem nie sam.

Przy pomocy kołysała się smukła smocza łódź, a zaledwie rzut kamieniem dalej na ospałych falach stał zacumowany drugi, dużo większy statek. Był podobnej konstrukcji, ale masywniejszy i... bardziej złowrogi. Jego reling tworzyły okrągłe, postawione jedna przy drugiej tarcze, a na pokładzie poruszały się dziesiątki ogromnych postaci w dziwacznych hełmach i z jeszcze dziwniejszymi drzewcami. Większość z nich mimo ciepła miała na sobie ciężkie futrzane płaszcze.

Na zwisającym bezwładnie z rei ciężkim żaglu nie było czerwono-białych pasów jak na żaglu Werdandi, lecz haftowana wilcza czaszka. Mniejsza łódź, którą widziała wcześniej przywiązana do pomostu, znajdowała się teraz w połowie drogi do obcego statku. Wiosłowało w niej czterech mężczyzn, a pośrodku stał uderzająco wysoki wojownik, który wyprostowawszy się, spoglądał na stojących na brzegu ludzi.

Trwało chwilę, zanim Katharina zorientowała się, że się myliła: czarnowłosy wojownik właśnie na nią patrzył.

W zasadzie zdawało się to niemożliwe. Łódź była już zbyt daleko, żeby mogła dostrzec coś więcej niż jasny punkt tam, gdzie majaczyła jego twarz, i tak samo musiało to wyglądać z jego strony - ale on wyraźnie przyglądał się jej, i to w



taki sposób, że z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo. Czuła jego wzrok niczym dotknięcie nieprzyjemnie suchej, rozpalonej dłoni.

Wtedy go rozpoznała.

Choć graniczyło to z cudem, bo twarz demona była prawie w całości ukryta za zasłoną jego barbarzyńskiego hełmu, a do tego widziała, jak zginął.

Jednak była absolutnie pewna, że ów wojownik w łodzi był tym samym, którego zabił graf Ellsbusch...

- Więc go już zobaczyłaś - odezwał się stojący za nią Ansgar.

Katharina nawet na niego nie spojrzała, nie poruszyła się także, gdy stanął obok niej. Nie spuszczała wzroku z ogromnego wojownika do czasu, aż przeszedł na ów większy statek; szybkimi, zarazem jednak dziwnie niezgrabnymi ruchami.

- Kto to jest? - zapytała.

- Wulfgar. - Ansgar roześmiał się, ale nie zabrzmiało to miło.

- Jego i wielu z jego wojowników można by uznać za ludzi, których tak się obawiasz. Mówię to, choć większość z nich jest z nami blisko spokrewniona. - Westchnął. - Rodziny człowiek sobie, niestety, nie wybiera.

- To on - powiedziała cicho Katharina. Obserwowała, jak Wulfgar szybkimi krokami zmierzał do niskiego namiotu na rufie smoczej łodzi, żywo przy tym gestykulując i wydając instrukcje. Zauważyła, jak dziwnie niezgrabne były jego ruchy.

- Kto? - spytał Ansgar.

- Demon, którego zabił graf Ellsbusch - odparła Katharina.

- To on.

Ansgar zmarszczył czoło i przemyślał coś, patrząc to na nią, to na ogromną smoczą łódź. Norman włożył swój hełm i wykrzykiwał rozkazy do swoich ludzi, na tyle głośno, że mogli go dosłyszeć.

- Dziwne - rzekł Ansgar. - Powiedziałaś, że nie żyje... Jak na zmarłego, porusza się całkiem nieźle i, jak słyszę, krzyczy też jeszcze całkiem donośnie.

- To był on - zaciętrzewiła się Katharina. - Jestem tego całkowicie pewna.

Najgorsze zaś było to, że nie tylko ona rozpoznała Wulfgara - ponad wszelką wątpliwość, on rozpoznał też ją.

Ansgar chciał jeszcze coś rzec, ale poprzestał na ponownym zmarszczeniu brwi, po czym spojrzał raz jeszcze na czarną smoczą łódź. Na kolejny wykrzyczany rozkaz Wulfgara dwa tuziny długich wiosł zanurzyły się z pluskiem w wodę, a statek ociężale ruszył z miejsca i szybko nabral rozpędu, choć walczył z prądem.

- Jeżeli to, co mówisz jest prawdą, to bardzo źle - powiedział w końcu - lecz jeśli nie, to również źle. To twierdzenie może kosztować cię życie, bez względu na jego słuszność. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Dlaczego? - spytała Katharina.

- Ponieważ Wulfgar jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem, moje dziecko. - Erik pojawił się za nimi niezauważony, jak wcześniej jego wnuk, i musiał usłyszeć przynajmniej ostatnią część ich rozmowy. - Co chcesz powiedzieć o Wulfgarze?

Nie otrzymawszy od razu odpowiedzi, rzucił pytające spojrzenie wnukowi, a ten zaczął mu coś prędko relacjonować w ich ojczystym języku. Tym razem Erik nie uznał tego za nieuprzejmość. Siu-chał z kamienną twarzą i milczał jeszcze przez chwilę, kiedy młodzieniec skończył.

- Ansgar ma rację - odezwał się w końcu, zwracając się do Kathariny. - Jeżeli opowiesz to komukolwiek innemu niż mój wnuk i ja, może cię to kosztować życie; obojętnie, prawda czy nie.

- Mówię prawdę - zaperzyła się Katharina.

- Nie twierdzę, że kłamiesz, dziewczynko - odpowiedział z powagą Erik.

- Ale to nie ma sensu - wtrącił się Ansgar - graf Ellsbusch i Wulfgar od wielu lat są sojusznikami.

- To racja - rzekł Erik - ale musiałeś zauważyć, że coś z nim jest nie tak. Poruszał się dość ostrożnie i miał bóle; chociaż usiłował tego po sobie nie pokazać.

- I co z tego? - fuknął lekceważąco Ansgar. - Stale rozbija się gdzieś ze swoimi wojownikami. Może trafił w końcu na równego sobie.

- Niewykluczone - mruknął Erik, ale nie sprawiał wrażenia przekonanego. Zamyślony, przyglądał się w ciszy odpływającej smoczjej łodzi, wreszcie westchnął raz jeszcze głęboko i obdarzył Katharinę długim, nieodgadnionym spojrzeniem.

- Mój wnuk przedstawił mi twoją relację z ostatniej nocy na zamku Ellsbusch - rzekł. - Czy dokładnie to się wydarzyło? - Uniósł rękę, gdy tylko otworzyła usta. - Przemyśl poważnie swoją odpowiedź. Jeśli kłamiesz i wyjdzie to na jaw, zapłacisz za to życiem. Nie uratuje cię nawet fakt, że jesteś jeszcze dzieckiem.

- Mówię prawdę! - zaperzyła się Katharina. Dlaczego nikt jej nie wierzył?

- Zatem chodź ze mną - rzekł Erik po kolejnej chwili zastanowienia. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i energicznie po- maszerował. Katharina rzuciła Ansgarowi tyleż pytające, co błagalne spojrzenie, które ten jednak umyślnie zignorował, wskazując jej tylko władczy gestem, by poszła za dziadkiem.

Jarl kierował się w stronę największego namiotu. Ani razu nie obejrzał się, żeby się upewnić, czy rzeczywiście za nim szła. Po drodze zagadnął dwóch mężczyzn, którzy natychmiast się odwrócili i oddalili w pośpiechu, co tylko utwierdziło Katharinę w złych przeczuciach. Zaczęła żałować, że cokolwiek powiedziała.

Namiot musiał być w jakiś sposób zaczarowany, ponieważ jego wnętrze wydało jej się co najmniej dwa razy większe, niż na to wskazywały jego rozmiary widziane z zewnątrz, a umeblowaniem w najmniejszym stopniu nie przypominał ubogiego namiotu Ansgara. Był tam stół z co najmniej tuzinem krzeseł, liczne wielkie skrzynie, okute ciężkimi żelaznymi taśmami, a nawet prawdziwe łóżko, obszerniejsze niż większość tych, które Katharina widziała do tej pory Erik potrafił się urządzać, musiała mu to przyznać. Chociaż nigdy nie widziała wnętrza zamku Ellsbusch, wątpiła, aby mogło być wspanialsze.

Jarl wskazał na krzesła poirytowanym gestem ręki, który miał w sobie coś tak kategorycznego, że nie przeszło jej nawet przez myśl, żeby go nie usłuchać. Ansgar zajął miejsce na krześle naprzeciwko, ciągle jednak unikał jej spojrzenia, co zmieniło złe przeczucia Kathariny w coś zgoła innego, o czym jednak wolała na razie nie myśleć.

Choć nie minęło zapewne wiele czasu, miała wrażenie, że siedzieli tak w ciszy całą wieczność. Wreszcie do namiotu weszło jeszcze dwóch mężczyzn, a chwilę później trzeci. Byli mniej więcej w wieku Erika, ze swoimi długimi włosami i kędzierzawymi brodami sprawiali wrażenie dzikich i trochę strasznych, lecz ich lustrujące spojrzenia wydały jej się raczej przyjazne.

Erik wskazał im, by usiedli, po czym zwrócił się do Kathariny.

- To Ole, Twersig i Hrot - rzekł. - Nie mówią twoim językiem, dla tego będę tłumaczyć. Zrozumiałaś?

Katharina przytaknęła, na co Erik zamienił z trzema mężczyznami kilka słów w ich języku, po czym na powrót zwrócił się do Kathariny.

- Opowiedz nam jeszcze raz bardzo dokładnie, coś widziała.

Choć przyszło jej to z trudem, zrobiła jak kazali, pomijając jedynie dwie rzeczy: historię swojej niechlubnej warty oraz dokładne okoliczności spotkania z Ansgarem. Erik przerywał jej od czasu do czasu, by przełożyć, co powiedziała, i choć żaden z pozostałych trzech mężczyzn ani razu się nie odezwał, nie uszło jej uwagi, że ich miny z każdym jej słowem coraz bardziej rzedniały.

- Jesteś absolutnie pewna, że to właśnie Wulfgar zabił grafa?

- Erik zapytał raz jeszcze, kiedy skończyła opowieść.

- Tak - odparła krótko Katharina. Tego jednego słowa Erik nie przetłumaczył, lecz nie było to konieczne. Przy długim stole zaległa ponura cisza.

-Jest bardzo źle - odezwał się jarl.

- Nie wierzycie mi - powiedziała Katharina.

- Chętnie bym ci nie uwierzył - odrzekł Erik, boleśnie wykrzywając wargi - ale niestety pasuje to do pewnych wieści, które mnie doszły, i do pewnych innych obserwacji, które dotychczas wydawały się nie mieć sensu.

Dumał nad czymś przez chwilę, po czym zwrócił się w swoim niezrozumiałym języku do pozostałych trzech wojowników i rozgorzała dyskusja. Choć Katharina nie pojęła z niej ani słowa, podniecone głosy i coraz posępniejsze

miny zdradzały aż nazbyt wiele.

Gdyby nie to, wystarczyłyby jej wyraz twarzy Ansgara - Czy powiedziałam... coś złego? - spytała niespokojnie.

- Nie - odpowiedział Ansgar niezbyt przekonująco - tylko...

- Dlaczego nie pokażesz Katharinie obozu? - dziadek wpadł mu w słowo.

- Poznałam już... - zaczęła Katharina, ale Ansgar obrzucił ją takim spojrzeniem, że zamilkła w pół słowa i wstała.

- Nie zobaczyłaś jeszcze wszystkiego - rzekł pośpiesznie. - Poza tym nie widziałaś Frei i jej młodych.

- Frei?

- Mojej kotki - wyjaśnił Ansgar. - Okociła się przed paroma dniami. Chyba lubisz kocięta? - To nie było pytanie, na które oczekiwał odpowiedzi, i nie dał jej też ku niej okazji, ściągając ją niemal przemocą z krzesła i wyprowadzając z namiotu. Dopiero, gdy znaleźli się na zewnątrz, Katharinie udało się wyswobodzić i gniewnie na niego spojrzeć; choć na wszelki wypadek zrobiła to z odległości kilku kroków.

- Co to ma znaczyć? - syknęła. - Nie traktuj mnie jak głupie dziecko!

- Powinnaś się cieszyć, że mój dziadek traktuje cię jak dziecko - Ansgar odciął się na serio. - Gdyby traktował cię jak dorosłego, nie byłoby ci tak dobrze, uwierz mi. - Jego wzrok spoważniał do tego stopnia, że Katharinie przebiegł po plecach lodowaty dreszcz. - Czy zdajesz sobie sprawę, jakiego nawarzyłaś piwa?

-Ja? - zapytała z oburzeniem Katharina.

- Oczywiście, że nie ty - odparował Ansgar. Odwrócił się, wskazując, aby za nim szła, i ruszył przed siebie. - Twoja opowieść... jeśli to prawda...

- To jest prawda!

- ...sytuacja jest znacznie gorsza, niż dziadek dotychczas uważał - kontynuował Ansgar nieporuszony. - Chodź, wyjaśnię ci wszystko... przynajmniej na tyle, na ile będę mógł. To skomplikowane, czy już ci mówiłem?

- Wielokrotnie - warknęła.

Jasnowłosa wzruszył ramionami, przeszedł między dwoma namiotami i zaczął wspinać się po płaskiej skarpie w stronę lasu. Odezwwał się znowu, dopiero gdy znaleźli się w połowie drogi do pierwszych drzew.

- Musisz wiedzieć, że dziadek nie mówi mi o wszystkim. Uważa, że jestem jeszcze zbyt młody, by zwracać sobie głowę tego rodzaju rzeczami. Kiedyś zostanę może jego następcą, ale o sprawach naszego ludu nie wiem nic! I gdyby to zależało od niego, tak by pewnie było przez następne dziesięć lat!

- Ile ty właściwie masz lat? - chciała się dowiedzieć Katharina.

- Trzynaście - odpowiedział Ansgar i parsknął ze złością. - W następne zimowe przesilenie będę miał czternaście! Większość moich rówieśników ze wsi w tym wieku ma już za sobą pierwszą bitwę!

- Ty przecież też - zauważyła Katharina. - Przedwczoraj, jeśli dobrze pamiętam... i prawie ją przegrałeś.

Ansgar zamarł w pół kroku i przez chwilę zdawało się, że zaraz wybuchnie, ale potem roześmiał się. - A ty?

- Przegrałam - odpowiedziała - ponieważ byłam na tyle głupia, żeby oczekiwać od mojego przeciwnika rycerskości.

- Miałem na myśli, ile masz lat - odparł Ansgar, nie nawiązując do przymówki.

Katharina zastanowiła się przez chwilę. - Dwanaście - powiedziała wreszcie. - Mniej więcej.

- Mniej więcej? Nie wiesz, ile masz lat? - Chłopak wydawał się szczerze zdumiony.

- Dwanaście - powtórzyła. - Następnej zimy będę miała trzynaście.

- Chyba następnego przesilenia zimowego - zadrwił.

Katharina obrzuciła go złym spojrzeniem, ale powstrzymała się od jakiegokolwiek uwagi. Prawda była taka, że nie wiedziała, ani kiedy miała urodziny, ani które dokładnie. Gwoli ścisłości, musiałyby przyznać, że nie wiedziała nawet, czy Katharina było imieniem, którym ją ochrzczono... ani czy w ogóle została ochrzczona. To imię wraz z jakąś datą urodzenia ojciec Cedric wpisał w kościelny zwój, ale podejrzewała już od dawna, że jedno i drugie były po prostu zmyślone.

W zasadzie nie miało to znaczenia. Jedno imię było równie dobre jak inne, o ile miłe Bogu.

Doszli już niemal do skraju lasu. Ansgar dał jej znak, żeby została na miejscu, i poszedł szukać czegoś w zaroślach. Po chwili ją przywołał. Usiadłszy obok niego w kucki, Katharina ujrzała przewrócone, w połowie wydrążone drzewo. Poniżej znajdował się rodzaj małego gniazda z miękkiego mchu i liści, w którym leżały cztery maleńkie kocięta, dwa z nich szare, dwa czarne jak noc. Były jeszcze tak małe, że nie miały nawet w pełni otwartych oczu i wydawały się teraz spać, jednak kiedy poczuły ich bliskość, podniosły chwiejnie łebki, a przy tym zapiszczały cichutko. Instynktownie wyciągnęła rękę, aby podnieść jedno z nich, lecz Ansgar prędko ją powstrzymał, a do tego pokręcił głową.

- Lepiej nie - rzucił. - Freya nie lubi, kiedy dotyka się jej młodych.

- Pokazał jej swoją lewą rękę, na której zobaczyła cztery wąskie, ale bardzo głębokie szramy biegnące w poprzek grzbietu dłoni.

- Myślałam, że to twoja kotka? - zapytała.

- Hm - mruknął Ansgar - no więc, szczerze mówiąc, ona chyba myśli, że to raczej ja należę do niej. Żyje w lesie, czasami przynosi jej łeb ryby lub coś innego do jedzenia. Pozwala się karmić, ale nie dotykać. Tak to już jest z kotami.

Katharina skinęła tylko głową na znak potwierdzenia, usiadła obok wydrążonego pnia i ponownie wyciągnęła rękę. Kiedy jeden z kociaków podźwignął się z trudem, zbliżył na swoich chwiejnych łapkach i zaczął obwąchiwać jej palce, Katharinę ogarnęło dziwne uczucie czułości. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie wziąć drobnego stworzonka na rękę i nie przycisnąć go do siebie.

- Może opowiesz mi co nieco o sobie? - spytał Ansgar siadając obok niej, choć nie aż tak blisko, by poczuła się zagrożona. Już i drugie kocię podeszło, chybotając się i obwąchiwało jej palce.

- Czemu miałabym to robić?

- Może jestem ciekaw dziewczyny nieznającej swoich rodziców i niewiedzącej nawet, ile ma lat.

Katharina czekała, aż pozostałe dwa kocięta podejdy, by ją obwąchać i po chwili tak się właśnie stało. - Nie ma wiele do opowiadania - powiedziała zgodnie z prawdą. - Moi rodzice umarli, kiedy byłam jeszcze oseskiem i ktoś przyniósł mnie do Ellsbusch.

Tam dorastałam. I to już wszystko.

Ansgar patrzył na nią z powątpiewaniem. - Masz dwanaście lat i to jest wszystko, co masz do opowiedzenia o swoim życiu?

To oczywiście nie było wszystko, a jednocześnie w jakiś sposób jednak tak. Nie wiedziała dokładnie, co w ogóle Ansgar chciał od niej wyciągnąć, ale jego pytania napełniały ją rosnącym niepokojem.

Czasami - w ostatnich latach coraz częściej - czuła, że w jej życiu czegoś brakuje, choć nie potrafiła określić, czego. Pytania Ansgara poruszały właśnie to uczucie.

- Mogę ci powiedzieć, jak się wrywa rzepę i czyści chlewnię - powiedziała w końcu. - I jak to jest marznąć i być głodnym, oczy wiście.

To miało zabrzmieć żartobliwie, ale gorzki ton jej głosu popsuł efekt i Ansgar nie uśmiechnął się, tylko spojrzał na nią badawczo i trochę smutno. W jej życiu działa się rzecz jasna o wiele więcej.

Nigdy wprawdzie nie miała prawdziwej rodziny ani przyjaciół, ale bywały szczęśliwe chwile... nawet jeśli teraz nie mogła przypomnieć sobie ani jednej, mimo iż uparcie się starała.

- Wiem, co to znaczy - rzekł nagle Ansgar. - Moja matka również umarła, kiedy nie miałem jeszcze nawet roku. Prawie jej nie pamiętam.

Prawie, Katharina pomyślała ze smutkiem. Prawie to więcej niż wcale. Przynajmniej miał coś, co mógł wspominać. Ona nie wiedziała nawet, czy kiedykolwiek miała rodziców. Może rzeczywiście była dzieckiem diabła, poczętym w nienaturalny sposób i równie bluźnierczo zrodzonym; przynajmniej tak orzekł kiedyś ojciec Cedric, kiedy był pijany.

Ansgar nagle roześmiał się. - Ona była stąd, wiesz?

- Stąd? - Katharina rozejrzała się wokół zdumiona, na co Ansgar zaśmiał się ponownie, tym razem dobrodusznie, i pokręcił głową.

- Oczywiście nie ze Skraevaldu - powiedział - ale stąd, z waszego kraju. Mój dziadek przywiózł ją tutaj ze swojej pierwszej wyprawy.

-Jako niewolnicę? - spytała Katharina, ale pożałowała tych słów, zanim jeszcze do końca je wypowiedziała.

Ansgar nie wziął jej ich jednak za złe, bo pokręcił tylko z uśmiechem głową. - U nas nie ma niewolników - powiedział. - Nikt nie ma prawa posiadać człowieka... nawet gdybyśmy tego chcieli, byłoby to niemożliwe. Nasza ojczyzna nie jest tak ciepła i żyzna jak wasza.

Zimy są dłuższe i chłodniejsze i nie zawsze łatwo jest znaleźć wystarczającą ilość pożywienia. Jaki sens miałyby żywienie kogoś, z kogo nie ma pożytku, bo niechętnie pracuje, a przy pierwszej sposobności poderżnie ci gardło.

W tym rozumowaniu coś się nie zgadzało, ale Katharina nie była w nastroju, żeby o tym myśleć. - To dlatego tak dobrze mówisz naszym językiem? - domyśliła się.

- Dziadek mnie nauczył - potwierdził Ansgar. - I moja ciotka. Z trudem mi to przychodzi i niechętnie go używam, ale on nalega.

- Bo wszystko tutaj pewnego dnia będzie twoje? - spytała Katharina.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytał ze zdumieniem.

- Bo twój dziadek jest waszym jarlem.

- I uważasz, że po jego śmierci ja nim zostanę? - Ansgar potrząsnął głową tak gwałtownie, że jego blond warkocze wleciały, prawie trafiając go w twarz. - Tak, dziadek opowiadał mi, że wasi panowie dziedziczą rangi, ale to głupia zasada. Na rangę jarla trzeba sobie zasłużyć. I w każdej chwili można ją stracić, jeśli ktoś okaże się nie być jej godnym.

To z kolei jej wydało się głupią zasadą. Jaki miał być porządek rzeczy, jeśli nikt nie wiedział, kto jutro będzie rządził krajem?

- Naprawdę nie wiem, czy chcę być jarlem - rzekł Ansgar, gdy zdał sobie sprawę, że nie otrzyma odpowiedzi. - Dziadek tego nie przyznaje, ale nie jestem ślepy, żeby nie widzieć, jak ogromny ciężar spoczywa na jego barkach. Sama właśnie tego doświadczyłaś.

-Jak to?

- Z powodu tego, co powiedziałaś o Wulfgarze, może wybuchnąć wojna. Dziadek był bardzo niespokojny.

- Ale ja przecież tylko...

Ansgar uciszył ją łagodnym gestem. - To nie twoja wina, Karo.

- Katharina - Dziadek od dawna podejrzewa Wulfgara o potajemne realizowanie własnych planów i sianie niezgody. Jeśli mówisz prawdę... - Poprawił się: - Jeżeli się nie pomyliłaś, będzie to dowód, którego od dawna szukał.

-Jaki dowód?

- Żyjemy tutaj już dość długo - powiedział chłopak, zamiast wprost odpowiedzieć na jej pytanie. - Od ponad dziesięciu lat. W każdym razie odkąd tylko pamiętam. Wiem, wielu z naszych ludzi wzniecało niepokoje i siało terror, doszło do wielu złych rzeczy.

Jednak nauczyliśmy się współżyć z wami w pokoju i handlować, zamiast zabijać. Erik zawarł z waszym cesarzem układ, który zezwala nam tu mieszkać. Wasz kraj jest ciepły i żyzny, i zapewnia dość miejsca dla wszystkich.

- Czy Wulfgar tego nie chce?

- On jest wojownikiem - powiedział Ansgar. - Wierzy, że tylko silni mają prawo do życia i panowania. Wielu tak myśli - westchnął.

- Ale, Odynowi niech będą dzięki, nie wszyscy - Odyn? - Pomyślała, że to z pewnością jedno z ich pogańskich bóstw. Ansgar nie odpowiedział, a Katharina skrycie była mu za to wdzięczna. Ojciec Cedric wystarczająco często ostrzegał ją o szkodach, jakich może doznać jej dusza, kiedy się choćby wymówi imiona tych fałszywych bogów.

- Żyjemy tu w pokoju, ale jest on kruchy - kontynuował Ansgar.

- Wulfgar nie jest jedynym, który by się ucieszył z jego zerwania.

Coś trzasnęło. Ansgar błyskawicznie odwrócił głowę i wybałuszył oczy. Kiedy Katharina spojrzała w tym samym kierunku, zaparło jej dech w piersiach.

Obok niej stała największa kocica, jaką kiedykolwiek widziała.

Miała czarnoszare tygrysie pręgi i wyglądała jak powiększona do ogromnych rozmiarów wersja czworga nadal

obwąchujących jej palce młodych, ale sprawiała wrażenie znacznie niebezpieczniejszej. Położyła po sobie uszy, wytrzeszczyła oczy i groźnie wyszczerzyła ostre jak igły zęby. Wyglądały na takie, dla których odgryzienie palca lub nawet całej ręki nie stanowiło żadnej trudności.

- Czy to... Freya? - wyjąkała.

Ansgar powoli skinął głową. - Chyba powinnaś teraz bardzo ostrożnie wycofać rękę - powiedział.

Freya wydała z siebie głęboki pomruk, przypominający warczenie wściekłego psa, ułożyła uszy jeszcze bardziej płasko i podeszła, nerwowo tnąc ogonem powietrze. Nieufnie powąchała dłoń Kathariny (nie cofnęła jej, bo cała zamieniła się w słup soli), obwąchała po kolei cztery popiskujące kocięta, które korzystając z okazji, natychmiast odwróciły się i zaczęły szukać sutków matki. Następnie chwyciła pierwsze młode za kark, żeby je wynieść. Albo i nie.

Ansgar zrobił wielkie oczy, gdy Freya złożyła pomiaukujące kocię na podolku Kathariny i postawiwszy uszy, odwróciła się, aby przynieść drugie młode, a potem trzecie i czwarte. W końcu sama się umościła na jej kolanach i zaczęła głośno pomrukiwać, kiedy kocięta ssały jej sutki.

- Och - wymamrotał Ansgar.

- No, miałeś rację - uznała. - To rzeczywiście niebezpieczna bestia.

Miałeś dużo szczęścia, że nie rozszarpała ci obu ramion.

Ansgar okazał wystarczająco dużo rozsądku, żeby to zmilczeć, tylko patrzył na nią zmieszonym wzrokiem. Katharina zaczęła delikatnie głaskać kocicę, ta zaś zaczęła głośniejszym mruścić.

- Umiesz obchodzić się ze zwierzętami - rzekł w końcu Ansgar.

- Może to ona umie obchodzić się z ludźmi - rozmyślała głośno Katharina.

Chłopak odchrząknął znacząco i zmienił temat. - Chciałem cię przeprosić - powiedział. - To znaczy, tak szczerze, jak należy. - Wskazał głową na jej bok. - Boli jeszcze?

- Tylko kiedy nabieram powietrza - odpowiedziała.

Uśmiechnął się nerwowo. - Nie chciałem - zapewnił. - To znaczy gdybym wiedział, że jesteś dziewczyną, na pewno bym ci tak nie przyłożył.

- Nie było znowu aż tak źle - zbagatelizowała sprawę Katharina.

Ansgar obdarzył ją spojrzeniem, które wyraźnie zdradzało, co myślał o tym zapewnieniu. - Naprawdę myślałem, że jesteś chłopcem - zaręczał uporczywie. - Bądź co bądź bijesz się jak chłopak.

- Hm - bąknęła Katharina.

- I wyglądałaś też jak chłopiec - dodał Ansgar.

- Och, dziękuję.

- To znaczy wczoraj w nocy - prędko sprostował. - Miałeś na sobie spodnie. Nie wiedziałem, że kobiety z waszego ludu noszą tak krótkie włosy.

- A ja nie wiedziałam, że istnieją ludy, w których mężczyźni zaplatają włosy w warkocze - odcięła się. - U nas robią to tylko kobiety.

Ansgar wziął do ręki jeden ze swoich grubych niemal na dwa kciuki warkoczy i oglądał go długą chwilę w takim zamyśleniu, jakby widział go po raz pierwszy. - Co w nich złego? - zapytał. - Są bardzo praktyczne w walce.

- Podobnie jak te tutaj w chlewie i na polu - powiedziała Katharina, przeczesując rozcapierzonymi palcami lewej ręki swoje krótko przycięte włosy. Wprawdzie tak było, ale z pewnością nie tylko dlatego nosiła włosy ostrzyżone niemal tuż przy skórze głowy. Krótkie i brudne, od zawsze, jasne włosy Kathariny nie rzucały się w oczy, choć w rzeczywistości były jeszcze jaśniejsze niż włosy młodego wikinga. Wcześniej nosiła je dłuższe - choć nigdy nie tak długie jak Ansgara - ale dzieci we wsi i niejedni dorosły dokuczali jej z ich powodu, a dwa lata temu obudziła się pewnego ranka z włosami tak wysmarowanymi świńskim łajnem, że mogła je już jedynie ostrzyżyc.

I od tamtego czasu już przy tym została; między innymi dlatego, że było to praktyczne.

Natomiast jeśli chodziło o ubiór... Kiedy Ansgar wspominał jej siermiężne spodnie i jeszcze zgrzebniejszą koszulę, odruchowo położyła wolną rękę na piersi, jakby chciała ochronić miękkie zamsz. W całym swoim życiu nie miała na sobie

jeszcze nic tak cennego i wygodnego w noszeniu.

W zasadzie w ogóle nic nie miała na własność. Jako że nie miała ani rodziców, ani prawdziwych opiekunów, była zdana na noszenie tego, co jej ofiarowywano, a ponieważ ludzie w Ellsbusch byli ubodzy, dawano jej jedynie znoszoną odzież; i taką, której nikt już nie chciał.

- Nie obawiaj się - rzekł Ansgar. Jej gest był chyba nader jednoznaczny. - Tę suknię, tak czy owak, możesz zatrzymać. Twoje stare rzeczy kazałem spalić...

- Przecież były moje! - poskarżyła się Katharina.

- Uważasz, że dokonałaś złej wymiany? - zdziwił się Ansgar, uśmiechając się drwiąco.

- Nie - odparła. - Ale w tej sukni...

Nie mogę pracować w polu ani w chlewie, gorzko dokończyła w myśli. Nie musiała się tym już jednak martwić, bo wszystko to przestało istnieć.

- Oczywiście, jeśli suknia prostej wiejskiej dziewczyny nie jest dla ciebie zbyt licha - dodał Ansgar. Tym razem zupełnie opacznie odgadł jej myśli.

- Myślisz, że jestem przyzwyczajona do czegoś lepszego?

Ansgar wzruszył ramionami i wyszczerzył się znowu, uśmiech nie wypadł jednak przekonująco, a w jego oczach można było znowu dostrzec cień nieufności. - Tego nie wiem - odrzekł wreszcie. - Jeśli jest prawdą, co właśnie opowiedziałaś, to pewnie nie. Choć z drugiej strony...

- Choć z drugiej strony? - powtórzyła Katharina, bo zamilkł, wpatrując się w nią... tym razem z wyraźną pogardą.

- Z drugiej strony Guy de Pardeville jest gotów zapłacić za ciebie okup. To dość dziwne. Nawiasem mówiąc, dziadek też tak uważa.

Przynajmniej w tym punkcie Katharina miała podobne odczucia.

To ją zaniepokoiło. Zmilczała tę uwagę.

- Za kilka godzin tu będzie, sami możemy go o to spytać - powiedział Ansgar, po czym roześmiał się. - Jeśli to rzeczywiście tylko pomyłka... nie mogę się już doczekać wyrazu jego twarzy, kiedy cię zobaczy i zrozumie, że przybył, by zapłacić okup za niewłaściwą dziewczynę.

- A co, jeśli... nie zapłaci? - zapytała niespokojnie.

- Odbierzemy ci tę piękną suknię i utopimy cię w rzece - powiedział Ansgar z powagą. - Co sobie wyobrażałaś? - Napawał się przez chwilę widokiem zagubienia na jej twarzy, po czym, wybuchnąwszy nagle głośnym śmiechem, wstał.

- A cóż ma się stać? Z pewnością cię zabierze, a jeśli nie, to znajdziemy jakieś inne rozwiązanie. Chodź, przejdziemy się jeszcze kawałek. Mam ci wiele do pokazania.

Wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać, i Katharina zbierała się do przyjęcia jego propozycji, gdy Freya prychnęła, wyszczerzyła groźnie zęby, po czym ułożyła się na powrót i mrucząc, zaczęła lizać młode.

Ansgar zrobił zaskoczoną minę.

Katharina zawahała się na moment, a następnie spróbowała delikatnie odsunąć jedno z kociąt od sutka kocięj matki. Tym razem nie skończyło się na ostrzegawczym prychnięciu. W każdym razie stało się dla niej jasne, skąd wzięły się szramy na ręce Ansgara.

- Tak, myślę, że miałaś rację - wyszczerzył się Ansgar.

- W czym? - dopytywała się strapiona Katharina, dokonując oględzin swojej ręki, na której tworzyły się już cztery długie, równoległe sznury koralu, złożone z maleńkich kropelek krwi.

- Ona umie obchodzić się z ludźmi i myśli, że teraz ty do niej należysz - zadrwił Ansgar. - Wygląda na to, że będziesz musiała poczekać, aż nakarmi młode.

- A jak długo może to potrwać? - zapytała Katharina.

- Niezbyt długo - odparł, lecz zaraz wyszczerzył się szeroko i dodał: - Chyba że utną sobie jeszcze małą drzemkę.

I naturalnie to właśnie zrobiły.

\*\*\*

Było już prawie południe, kiedy wrócili do namiotowego miasta i Katharina uzmysłowiła sobie dwie rzeczy. Raz, że najwyraźniej niesprawiedliwie osądziła Ansgara, bo przez cały ten czas siedział dzielnie koło niej, wprawdzie nie skąpiąc jej kąśliwych uwag, ale i dotrzymując towarzystwa, aż młode Frei skończyły poobiednią drzemkę.

Dwa - ostatecznie doszła do wniosku, że Bóg kiepsko z niej zażartował, każąc jej wzrastać na wolności w Ellsbusch wśród jego dobrych ludzi, a szczególnie przy ojcu Cedriku, zamiast jako niewolnicy tego rzekomo barbarzyńskiego ludu.

Jeżeli śniadanie wydało się jej świąteczną ucztą, do opisanego popołudniowego posiłku wprost nie znajdowała słów. Było mięso, ogromne ilości mięsa, a do tego pysznie duszone warzywa i kromki chrupiącego chleba, który smakował zupełnie inaczej, niż wszystko, czego dotychczas próbowała: po prostu niezmiernie.

Nastrój także się zmienił. Katharina jak i wcześniej nie rozumiała ani jednego słowa i ten cudzoziemski język wciąż wydawał jej się grzmiący - chyba nawet rozmowa przyjaciół brzmi tu jak burzliwa kłótnia, pomyślała - jednak wiele było śmiechu przy stole i nie tylko spojrzenia Ansgara i jego dziadka zdawały się przyjazne. Kiedy stąd wychodziła z Ansgarem, uczyniła to z niepokojącym poczuciem wywołania wojny na pełną skalę. Teraz była raczej na miłej uroczystości, i to trwającej co najmniej dwie godziny.

Potem większość mężczyzn rozeszła się do swoich namiotów - włącznie z Ansgarem i jego dziadkiem - aby zażyć krótkiej popołudniowej drzemki. Po kolejnych dwóch lub trzech godzinach dzień zaczął się już chylić ku końcowi. Kiedy pierwsi wojownicy zaspani powychodzili z namiotów, na rzece pojawił się niezgrabny, dwumasztowy żaglowiec. Guy de Pardeville przybywał, aby ją odebrać.

Namiot wydał jej się mniejszy niż rano i chyba rzeczywiście tak było. Wewnątrz ustawiono drugi stół z dużą liczbą krzeseł, a mimo to miejsc jeszcze nie starczyło. Za Guyem de Pardeville'em rozstawili się od razu w dwóch rzędach uzbrojeni mężczyźni, którzy wprawdzie zdjęli hełmy, za to postarali się o tym bardziej ponure miny, zaś Erik nie poprzestał na obsadzeniu krzeseł na prawo i lewo od siebie swoimi najgroźniejszymi i najsrożej wyglądającymi wojownikami.

Co najmniej kolejny tuzin mężczyzn z założonymi na piersiach rękami stanął także za jego plecami i choć Katharina była tutaj już od dłuższego czasu, nie zdecydowała ostatecznie, czy ich widok uznać za napawający lękiem, czy raczej za śmieszny.

Zapewne po trochu i taki, i taki.

Normalnie Katharina przynajmniej uśmiechnęłaby się na taką myśl, lecz w jej sytuacji nie widziała absolutnie nic śmiesznego. Przeciwnie, z każdą chwilą robiło jej się coraz bardziej nieswojo i nawet nieśmiałe uśmiechy, które Ansgar rzucał jej od czasu do czasu, nie były w stanie nic tutaj zmienić. Przede wszystkim sposób, w jaki zagraniczny wielmoża przyglądał się jej, był coraz nieprzyjemniejszy.

Rozmowa rozpoczęła się tuż po zachodzie słońca - znowu przy obfitym posiłku, podczas którego także teraz obficie lały się wino i piwo - i trwała aż do późnego wieczora, choć przywołali ją do siebie dopiero wtedy, gdy Katharina - jakkolwiek zdenerwowana i podekscytowana - nieomal już zasnęła. Siedziała teraz na jedynym wolnym krześle, o wiele dalej od Ansgara i jego dziadka, niżby sobie życzyła, za to bliżej Guya de Pardeville'a, czego wcale nie pragnęła, i czekała, aż coś się zdarzy. Była absolutnie pewna, że nie będzie to nic przyjemnego.

I miała rację.

Pardeville opróżnił trzeci kielich - tylko w czasie, kiedy tu była, wypił już tyle - i odstawił go na stół z niepotrzebnie głośnym brzdękiem, wywołując w ten sposób moment zdumionej ciszy, na co Erik uniósł brwi. Zamiast jednak do siwowłosego Normana, Pardeville zwrócił się do Kathariny.

- Podejdz tu, moje dziecko - powiedział - niech ci się przyjrze! - Wyciągnął zachęcająco rękę, a Katharina posłusznie wstała i do niego podeszła -wpierw rzuciwszy nieomal błagalne spojrzenie Ansgarowi, które ten wszakże zignorował.

- A więc to ty jesteś Katharina - zaczął, przyglądając się jej przez chwilę. - Widzę, że twój przyjaciel miał rację.

- Mój... przyjaciel, panie?



Pardeville wskazał głową Ansgara. - Ten tam dzielny młody wikiński wojownik - wyjaśnił z uśmiechem. - Zdaje się, że zrobiłaś na nim duże wrażenie, a teraz, kiedy widzę cię z bliska, doskonale go rozumiem. - Przechylił głowę na bok. - Doprawdy, jeszcze tylko kilka lat...

- Panie? - zapytała zdezorientowana Katharina.

Guy de Pardeville zaśmiał się w sposób, który nieszczęśliwie jej się spodobał, a kątem oka dostrzegła, jak Ansgar się spał.

Erik odchrząknął. - Byłby jeszcze pewien drobiazg, Pardeville.

Gość przybrał czujną postawę, przez krótką chwilę sprawiał wrażenie, jakby naprawdę nie wiedział, o czym Erik mówi, po czym skinął energicznie. - Ach tak, wybaczone proszę. - Podniósł lewą rękę - druga ciągle spoczywała na przedramieniu Kathariny - na co jeden z jego ludzi sięgnął pod kaftan i wyciągnął wąski skórzany worek, który wręczył Erikowi. Coś cicho zabrzączało, gdy siwy wojownik go przyjmował i pozornie niedbale rzucił przed siebie na stół.

- Za wasze trudy, Eriku - powiedział Pardeville. Uśmiechnął się słabo, jarl zaś odpowiedział nie mniej chłodnym wykrzywieniem warg. Katharina niemal fizycznie poczuła, jak atmosfera między mężczyznami oziębiła się. Dotyk ciągle spoczywającej na jej ramieniu ręki Pardeville'a stawał się z każdą chwilą coraz bardziej nieprzyjemny.

- Czy wolno mi... o coś zapytać, panie? - wymamrotała, chyba tylko po to, aby rozładować narastające napięcie.

- O co tylko zechcesz, moje dziecko - odpowiedział Pardeville, nie spuszczać Erika z oczu.

- Dlaczego... płacicie za mnie okup, panie? - spytała Katharina.

- Przecież mnie nie znacie, a jestem jedynie prostą wiejską dziewczyną, nie szlachetną damą...

- Dziwisz się, że się za tobą ujmuje? - Pardeville usiłował wyglądać na nieco dotkniętego. Westchnął. - To prawda, jestem arystokratą, a ty tylko prostaczką. Ale cóż byłby ze mnie za pan, gdybym nie troszczył się o mój lud?

- Ale wieś Ellsbusch...

- Należała do grafa Ellsbuscha, wiem - przerwał jej Pardeville.

- Lecz on nie żyje, zabity przez tych samych tchórzliwych morderców, którzy wytrzebili twoją wieś, moje dziecko, a byliśmy nie tylko sąsiadami, ale także przyjaciółmi.

Katharina pamiętała to nieco inaczej. Graf Ellsbusch i Guy de Pardeville nie byli wprawdzie wrogami, o ile jej było wiadomo, ale z całą pewnością nie byli przyjaciółmi. Nie odważyła się jednak wypowiedzieć tego głośno.

- Czyż nie jest sprawą honoru roztoczyć opiekę nad rodziną przyjaciela, kiedy ten umiera? - ciągnął Pardeville. - My, panowie, jesteśmy nie tylko od ściągania od was podatków, moje dziecko. Wiem, że wielu tak uważa, lecz tak nie jest. Jesteście nam dziećmi. Czasami musimy was wychowywać twardą ręką, ale jakimże byłbym ojcem, gdybym nie troszczył się o moje dzieci, kiedy są w potrzebie?

- Ale okup...?

- Nie było tego aż tak dużo - odrzekł lekceważąco Pardeville. - I nazwałbym to raczej nagrodą. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Na pewno znajdziemy sposób, żebyś się mogła odwdziaczyć.

- Ale przedtem - wtrącił Erik - musimy jeszcze coś omówić. - Wskazał na Katharinę. - Ta dziewczyna opowiedziała nam pewną historię. Bardzo niepokojącą, gdyby miała okazać się prawdziwa.

- Obawiam się, że jest prawdziwa - westchnął Pardeville. - Zamek Ellsbusch został zaatakowany i spalony. Nikt nie przeżył... podobnie jak we wsi tej biednej dziewczyny. Straszna zbrodnia, bez wątplenia - ale nie zostanie bez pomsty, na to daję wam moje słowo, Eriku. Zwłaszcza iż wiemy, kim byli oprawcy.

Erik rzucił mu pytające spojrzenie, a Katharina po raz kolejny wyczuła zmianę nastroju. Choć ani on, ani żaden z jego ludzi słowem się nie odezwali, nawet nie drgnęły im twarze, nagle... coś zawisło w powietrzu. Coś niedobrego.

- Natknęliśmy się na nich - ciągnął Guy de Pardeville. - Usiłowaliśmy ich zatrzymać, ale ich przewaga była zbyt wielka. Dwóch moich ludzi przypłaciło tę próbę życiem. - Jego wzrok musnął Katharinę. - Dziękuj Panu za to, że znaleźli cię ci tutaj ludzie, moje dziecko, w przeciwnym razie tamci na pewno by cię zabili albo uczynili jeszcze coś gorszego.

Katharina chciała odruchowo coś odrzec i dać wyraz swojemu zdziwieniu, lecz pochwyciła ostrzegawcze spojrzenie Erika i poprzestała na ledwie dostrzegalnym skinieniu głową. Choć wydawało jej się to dziwne, Guy de Pardeville zdawał się jej istotnie nie rozpoznawać. Z drugiej strony zapadł już wtedy zmrok, twarz miała pokrytą brudem i krwią i

miała na sobie inne ubranie.

- Bogiem a prawdą - ciągnął Pardeville, ponownie zwracając się do gospodarza - odzywają się głosy twierdzące, że za tymi tchórzliwymi atakami kryjecie się wy i wasi ludzie, Eriku. - Szybko podniósł rękę, nie dając gospodarzowi dojść do słowa. - Oczywiście, wiem, że to nie może być prawda. Skraeveld jest w końcu znany z tego, że żyje w pokoju ze swoimi sąsiadami. Ale widziano na Renie smoczą łódź, a wiecie, jacy są ludzie. Zawsze mają na podorędziu pochopne zarzuty, a im większe ich ugodzi nieszczęście, tym głośniejsze wołają o winnego, którego mogliby uczynić za nie odpowiedzialnym.

- Werdandi tam istotnie była - potwierdził ze spokojem Erik. - Nawet niezbyt daleko. Gdybyśmy przeczuwali, co się dzieje...

Guy de Pardeville przerwał mu znowu, jeszcze bardziej grubiańskim gestem. - Nikt nie czyni wam ani waszym ludziom zarzutów, Eriku - powiedział. - Mimo to byłoby lepiej, gdybyście unikali okolic Ellsbusch i zamku Pardeville... przynajmniej do czasu, aż emocje ostygną. Zadbam, żeby było powszechnie wiadomo, iż wasi ludzie nie mieli nic wspólnego z tą nikczemną zbrodnią. I że ryzykowaliście życie, aby uratować jedyną ocalałą.

Z jakiegoś powodu wydawało się, że Erik nie to chciał usłyszeć.

Jego oczy znieruchomiały, lecz nie odezwał się słowem. Zapadła cisza; niedobra i ciężąca.

Wreszcie Guy de Pardeville odchrząknął fałszywie, chwycił lewą ręką kubek i upił kolejny łyk, a drugą przyciągnął Katharinę ku sobie. Wzrok Erika sposepniał.

- Cóż, powiedziałem, co miałem do powiedzenia, a wy macie swoje pieniądze, Eriku - powiedział Pardeville. - Zrobiło się późno. I choć umiem docenić waszą gościnność, mamy przecież przed sobą jeszcze długą drogę.

- Nie zostaniecie na noc? - spytał jarl.

- Niczego nie pragnę bardziej - odrzekł hrabia - lecz muszę wracać. Po tym, co wydarzyło się w Ellsbusch, padnie wiele pytań i wielu sprawom trzeba będzie nadać bieg, jak zapewne możecie sobie wyobrazić.

- Jakim na przykład sprawom? - spytał Ansgar.

Guy de Pardeville spojrział na niego, jakby nie był pewien, czy powinien odpowiadać na pytanie jakiegoś chłopca - potem jednak zmusił się do wąskoustego uśmiechu. - To skomplikowane, mój chłopcze. Polityka. Ciesz się, że nie musisz sobie łamać głowy takimi rzeczami.

Wstał i spróbował przysunąć Katharinę bliżej siebie, lecz ona wykorzystała sposobność, by się oswobodzić i stanąć krok przed nim.

- A jeśli... tego... nie chcę? - Ku własnemu zaskoczeniu usłyszała się samą zadającą to pytanie; głosem cichym i przerywanym, ale zdumiewająco pewnym.

Pardeville zamrugał. - Co mówisz? - zapytał. Większość jego ludzi również sprawiała wrażenie osłupiałych z wrażenia, bądź co bądź, to co powiedziała, było niesłychane.

- Ja... nie chcę z wami wracać - odpowiedziała mimo wszystko.

Serce jej zakołatało.

- Czego więc chcesz, dziecko? - spytał Pardeville. - Czyżby zostać tutaj, z tymi... ludźmi? - Miała wrażenie, że chciał powiedzieć coś innego; Ansgar i jego dziadek też nie wyglądali na zachwyconych.

- Nie wiem, panie - powiedziała - ale tam, gdzie żyłam dotychczas, nic już nie ma. Wieś jest zniszczona, a wszyscy, których znałam, nie żyją.

- Znajdzie się rozwiązanie - odparł Pardeville. W jego głosie wciąż słyhać było więcej zaskoczenia niż gniewu. Być może nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby ktoś tak niskiego stanu otwarcie mu się sprzeciwił. - Na razie zamieszkaż na zamku Pardeville, a później znajdziemy rodzinę, która cię przyjmie.

- Ale ja tego nie chcę - odrzekła Katharina.

Zapadła głęboka cisza. Guy de Pardeville wlepił w nią wzrok, Katharina dostrzegła w jego oczach, że wpadał w gniew. Zaskoczenie przeszło najpierw w złość, potem w czystą furję.

- Dość tego - syknął - idziesz ze mną i na tym koniec!

Starł się złapać ją za ramię, ale chybił, gdy Katharina pośpiesznie się uchyliła, i zdołał chwycić tylko sznurek

utrzymujący jej suknię na piersi. Cienki zamsz rozerwał się i Katharina ledwo zdążyła złapać spadającą z jej mizernej figury poluźnioną suknię. Zsunęła się tylko z ramion. Jeden z ludzi Pardeville'a zaczął się śmiać, ale Erik ostro wciągnął powietrze przez zęby i zerwał się gwałtownie, przewracając krzesło.

De Pardeville przez chwilę wpatrywał się w nią bezmyślnie, ale zaraz zmusił się do na pół przekonującego uśmiechu zażenowania. - Naprawdę... bardzo mi przykro z tego powodu - powiedział. - Cóż za niezręczność z mojej strony.

Zapadła cisza, a coś w sposobie, w jaki nie tylko Guy de Pardeville, ale również większość jego ludzi, patrzyli ponad jej głową w kierunku jarła, wydało się Katharinie tak osobliwe, że odwróciła się nieco, by spojrzeć na Erika.

Siwowłosa wojownik stał jak osłupiały, a wyraz jego twarzy... zbijał z tropu. Zbladł, jego oczy zogromniały i stały się niemal czarne ze zgrozy. Ich spojrzenia się spotkały, z widocznym drgnieniem ocknął się z odrętwienia i obszedłszy szybkim krokiem stół, skierował się ku Katharinie. Ansgar ruszył za nim.

- To naprawdę tylko nieszczęśliwy wypadek, jarłu - rzekł Guy de Pardeville. - Każę natychmiast...

- Tak, bez wątplenia - przerwał mu Erik - takie rzeczy się zdarzają. Zatrzymał się niby przypadkiem w takim miejscu, że hrabia musiał cofnąć się o krok, aby nie zostać po prostu odepchniętym przez dużo wyższego mężczyznę, sam chwycił teraz Katharinę za ramię i spojrzał jej uważnie w twarz.

- Nic ci nie jest, moje dziecko?

- Nie - zapewniła szybko. - To naprawdę był wypadek.

Odniosła wrażenie, że Erik w ogóle nie usłyszał jej słów. Jego prześlizgujący się po jej twarzy wzrok świdrował ją na wylot. Lecz na krótko, bo po chwili na twarz wróciło mu zwyczajne opanowanie i puścił jej ramię.

-Ansgar, zabierz Katharinę do swojego namiotu. Niech Nardis zeszyje jej suknię.

- Nie będzie to konieczne - powiedział Pardeville - to przecież tylko...

- Mój wnuk - Erik przerwał mu zimno - zdradził mi, jak bardzo dziewczyna kocha tę suknię, więc dałem ją jej w darze. Nie chcecie chyba popsuć tej radości, kiedy właśnie straciła tak wiele?

- Nie - powiedział Pardeville; lecz głosem, który zdawał się wyrażać coś dokładnie przeciwnego.

-Widzicie - powiedział Erik - tak właśnie sobie pomyślałem. To nie potrwa długo, tymczasem wypijcie z nami jeszcze kubek miodu.

Pardeville już nie odpowiedział, lecz mierzył go wzrokiem tak mrocznym, jakby go nie zapraszał właśnie na kubek miodu, lecz uderzył rękawicą w twarz.

- Idźcie już - Erik ponaglił wnuka. Zaraz poślę do was Nardis.

Czekajcie na nią w twoim namiocie.

Ansgar zdawał się być co najmniej równie zdezorientowany i bezradny jak Katharina, ujął ją mimo to za ramię i niemal przemocą wyciągnął z namiotu. Jeden z wojowników jego dziadka wyszedł za nimi, zachowując jednak spory odstęp. Dziewczyna milczała, póki nie weszli do małego namiotu na drugim końcu obozu. Za to wtedy dała upust emocjom i wyrwawszy się, obróciła się do niego tak raptownie, że sukienka znowu groziła zsunięciem się z jej ramion, więc szybko skrzyżowała na piersiach ramiona, by ją przytrzymać.

- Co to ma znaczyć, Ansgarze? - zapytała. - Co się dzieje z twoim dziadkiem?

- Chciałbym to wiedzieć - odrzekł chłopiec, zmuszając ją prędkim gestem do milczenia. - Ale właśnie miałem ci zadać to samo pytanie: co się z tobą dzieje?

- Ze mną?

- Z tobą - potwierdził Ansgar. - Pomijając fakt, iż dokonałaś chyba najodważniejszej rzeczy, jaką widziałem... Mówiłaś to poważnie?

-Jak to najodważniejszej? Guy de Pardeville nie jest moim panem lennym.

Ansgar spoglądał na nią z politowaniem. -Jeszcze o nim wiele nie słyszałaś, co? — domyślił się.

- Nie. I dlaczego nie miałabym mówić poważnie? Nie chcę z nim wracać. On mnie przeraża.

- Nie jesteś jedyną, która to odczuwa - rzekł poważnie Ansgar - i dobrze cię rozumiem... ale co teraz zamierzasz?

- Zamierzam? - Katharina zareagowała, jakby nie zrozumiała, co miał na myśli, choć oczywiście rozumiała

doskonale. Musiała tylko przed sobą przyznać, że w ogóle się nad tym nie zastanowiła.

- Dobrze cię rozumiem - powtórzył Ansgar. - Widziałem, jak Pardeville na ciebie patrzył, dziadek też to dostrzegł... ale sama dopiero co powiedziałaś, że wszystko, co miałaś, jest zniszczone, a każdy, kogo znałaś, martwy. Chcesz po prostu udać się w świat i szukać szczęścia? - I pokręcił głową w odpowiedzi na własne pytanie. - Byłabyś martwa w ciągu tygodnia.

Katharina wiedziała aż za dobrze, że miał rację, ale jakoś udało jej się powstrzymać łzy. - Myślałam, że... mogłabym...

- Zostać tu z nami? - domyślił się Ansgar, kiedy zamilkła.

Uśmiechnął się smutno. - Nie to, żebym sobie tego nie życzył, ale nie ma rady. Mój dziadek nigdy by na to nie pozwolił.

- Dlaczego nie?

- A nawet gdyby się zgodził - ciągnął Ansgar, nie odpowiadając na jej pytanie - nic by z tego nie wyszło. Nie zostajemy tutaj, wiesz?

Erik rozmawiał po południu z innymi. Odchodzimy. Jutro o wschodzie słońca zaczynamy zwijać obóz i wracamy do domu.

- W takim razie jadę z wami - oświadczyła impulsywnie Katharina.

- Nie spodobałoby ci się tam - odparł smutno Ansgar. - Nasz kraj jest zimny. A zimą słońce czasem przez wiele tygodni w ogóle nie wschodzi. Nie mogłabyś tam żyć, uwierz mi. Zresztą dziadek i tak by na to nie pozwolił.

- A dlaczego nie?

- Przecież słyszałaś Pardeville'a. Naprawdę wierzysz, że mój dziadek ryzykowałby z nim wojnę?

- Z mojego powodu?

- Nie - odparł Ansgar. - On już od dawna szuka pretekstu do podjudzenia możnych przeciwko nam.

Katharina wlepiała w niego wzrok, nagle zadowolona, że tu w środku było prawie zupełnie ciemno, bo w ten sposób nie mógł przynajmniej zobaczyć, że walkę ze łzami przegrała z kretelem. A z pewnością opacznie wytłumaczyłby sobie powód tych łez. Były to łzy gniewu; gniewu na siebie samą. Przez moment głupio wierzyła, że to rzeczywiście może być takie proste. Ale jeszcze bardziej łzy gniewu na los, który znowu okrutnie z niej zadrwił.

- Jest mi naprawdę bardzo przykro - rzekł Ansgar.

Wierzyła mu. Cisza zaczęła się rozsnuwać między nimi i gęstnieć, aż w końcu dziewczyna osunęła się na posłanie ze skór, na którym spędziła poprzednią noc.

Rozległ się odgłos zbliżających się kroków i ktoś gwałtownym ruchem odrzucił płachtę namiotu, lecz nie była to żadna z kobiet, przychodząca, by naprawić jej suknię, lecz Erik. Ansgar podszedł do dziadka i chciał coś powiedzieć, lecz ten po prostu odsunął go na bok, po czym wykonał władczy gest w kierunku Kathariny. - Wstań!

Serce jej znowu zaczęło łomotać ze strachu, zwłaszcza gdy posłuchała Erika, a ten zrobił kolejny, gniewny gest.

- Zdejmij suknię!

- Panie? - wymamrotała roztrzęsiona Katharina.

Erik bezceremonialnie złapał ją za ramiona, odwrócił i pociągnął w dół jej suknię tak ordynarnym ruchem, że cienka skóra rozdarła się do reszty i zsunęła prawie do samych bioder. Zaskoczony Ansgar wciągnął ze świstem powietrze, a Katharina zamarała z przerażenia.

Usłyszała, jak stawy Erika zatrzeszczały, kiedy przysiadł za nią na zgiętych kolanach. Jego szorstka ręka przesuwająca się po jej plecach jak ciepły krzemień, obmacując ją pod lewą łopatką.

- To, tutaj - powiedział - skąd to masz, dziewczynko?

Katharina była zbyt zatrwożona, by móc natychmiast odpowiedzieć. Wiedziała rzecz jasna, o czym Erik mówił, bo nazbyt często pytano ją o czerwone znamię pod lewą łopatką, chociaż jeszcze nigdy nie widziała go na własne oczy - bo niby jak?

Mimo to odrzekła: - Nie wiem. Mam... mam to od zawsze!

Palce Erika dotykały jej pleców i przesuwały się po znamieniu z taką siłą, że nieomal sprawiało jej to ból, a jednak wyczuła drżenie jego dłoni.

-Wygląda jak... - zaczął Ansgar, który stanął obok dziadka, lecz zaniemówił, patrząc na nią pytająco. Wyglądał na przerażonego. - Czy to... blizna?

- Znamię przyrodzone - odpowiedział jego dziadek, wyręczając Katharinę.-I to...

Również urwał, jeszcze mocniej ściskając rękami jej ramiona, tym razem naprawdę sprawiając jej dotkliwy ból. Trzymał ją tak przez pełną udręki wieczność, a następnie obrócił ku sobie tak porywczo i brutalnie, że byłaby upadła, gdyby jej nie przytrzymał. - Kim jesteś, dziewczynko? - zapytał. - Skąd pochodzisz? Kim byli twoi rodzice?

- Tego... nie wiem! - zakwiliła Katharina. - Wszystko już opowiedziałam!

Z jakiegoś powodu jej odpowiedź zdawała się wprawić Erika w jeszcze większy gniew. Jego chwyt stał się teraz tak silny, że zajęczała z bólu, przekonana, że słyszy chrzęst własnych kości. Wtedy puścił ją przestraszony, powstał i odskoczył krok w tył.

-Wybacz, moje dziecko - powiedział - nie chciałem sprawić ci bólu. Przykro mi, ale to naprawdę teraz ważne. Odpowiedz mi na kilka pytań?

Katharina szybko podciągnęła suknię i sama również zrobiła krok do tyłu. Nic już nie rozumiała. Zbliżał się atak paniki.

Mimo to kiwnęła potakująco głową.

- Dziadku? - zapytał rozemocjonowany Ansgar.

Erik w ogóle nie zwracał na niego uwagi, na powrót usiadł przed nią w kucki i spojrzał z uwagą w jej twarz.

- Opowiedz mi o swoich rodzicach - zażądał.

- Ależ ona już przecież... - zaczął Ansgar, lecz dziadek uciszył go gestem, który bliski był ciosu.

- Mów sama - domagał się jarl - co wiesz o swoich rodzicach?

- Nic - odpowiedziała, znów bliska łez. - Nie wiem, kim byli. Ja...ojciec Cedric... opowiedział mi o nich. Powiedział, że umarli, a jacyś dobrzy ludzie przynieśli mnie do niego, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem.

- Czy opowiadał ci o twojej matce?

- Nie - odparła Katharina.

-I nigdy o nią nie pytałaś? Ani o ojca?

Katharina potrząsnęła głową, choć nie mówiła prawdy, bo oczywiście wypytywała Cedrika o swoich rodziców, niejedną raz. Ostatnio dwa lata temu. Spuścił jej wtedy takie lanie, że nawet teraz dotkliwie odczuwała tamte razy - Nie - odparła Katharina. Panika stopniowo ustępowała, lecz czuła, jak jej miejsce zajmował zamęt tak głęboki, że sprawiał jej nieomal fizyczny ból.

- Dobrze - powiedział Erik. Wreszcie się opanował. - Przykro mi.

Nie chciałem cię wystraszyć. Możesz zostać z nami... jeśli chcesz.

- Co... proszę? - wybąkała Katharina. Nie rozumiała, co znaczyły ostatnie słowa Erika.

- Zostaniesz tutaj - powtórzył Erik. - Odeślę Guya de Pardeville'a, a ty zostaniesz u nas. Porozmawiamy później, kiedy przemyślę... pewne sprawy.

Zwrócił się do Ansgara. - Będziesz na nią uważał, rozumiałeś?

Zostawiam dwóch ludzi na straży przed namiotem, ale ty za nią odpowiadasz.

Ansgar kiwnął głową tak szybko, że z pewnością nie miał czasu na przemyślenie sensu tego polecenia, bo kiedy Erik wypadł z namiotu, on odwrócił się do Kathariny z wyrazem całkowitej bezradności na twarzy.

Ta jednak rzekła zdziwiona: - Co to wszystko znaczy?

- O to samo chciałem cię właśnie zapytać - powiedział zdenerwowany Ansgar. - Nic... już z tego nie rozumiem.

Jednym szybkim krokiem stanął obok niej, a drugim za nią, odwrócił ją nie mniej brutalnie niż wcześniej jego dziadek i ściągnął jej z ramion suknię w sposób, za który w jakichkolwiek innych okolicznościach zarobiłby policzek. Jego palce

przebiegały po jej plecach i macały to samo miejsce, które wcześniej badał Erik, jednak ten dotyk nie przypominał tamtego szorstkiego pilnika, a nawet sprawiał jakąś dziwną... cóż, przyjemność.

- Wygląda rzeczywiście jak wąż - zauważył. - Czy to znamie przyrodzone?

- Skąd mam wiedzieć? Jeszcze nigdy go nie widziałam.

Ansgar zamrugał, zmieszany jej nagłą wrogością, potem jednak wzruszył ramionami i podciągnawszy z powrotem jej suknię nerwowymi, szarpanymi ruchami, odchrząknął wymownie i zaczekał, aż się do niego odwróci. Katharina unikała jego spojrzenia, teraz to ją gryzło sumienie. Ansgar chciał tylko być dla niej miły, a tak mu dziękowała. Nie mógł przecież wiedzieć, że ojciec Cedric kilka razy pobił ją tylko dlatego, że to coś tam było.

- To... hm... naprawdę przypomina trochę węża - zaczął niezgrabnie. - Niemal jak...

- Tak...? - podjęła Katharina, kiedy zamilkł.

- Masz to... hm... od zawsze? - spytał wymijająco.

- Czy z przyrodzonymi znamionami tak właśnie nie jest? - odparła Katharina. - Że ma się je od zawsze?

Ansgar ponownie wzruszył ramionami. - Naprawdę nie wiem, dlaczego mój dziadek tak się zachował - zapewnił Ansgar - ani co to znaczy.

Katharina uwierzyła mu; choćby dlatego, że chciała mu uwierzyć.

Lecz to w niczym nie pomogło.

Wkrótce potem zjawiała się Nardis, jedna z trzech starszych kobiet, które poznała rano. Przyniosła nie tylko lampkę oliwną, której małe płomienie wypełnił namiot bezustannie skaczącymi tu i tam cieniami, ale także przybory do szycia. Nieostrożne obchodzenie się z nią Erika okazało się dla sukni ostatecznym ciosem. Nardis ze zmarszczonym czołem oglądała przez moment rozdarcie, po czym rzuciła Ansgarowi brzmiające jak wyrzut słowo i zniknęła, wcisnąwszy mu do ręki lampkę. Katharina czekała na wyjaśnienie, nie otrzymała jednak żadnego, ale po kilku chwilach stara kobieta wróciła, tym razem bez koszyczka z przyborami do szycia.

Zamiast niego przyniosła aż trzy sukienki, które starannie rozłożyła na ziemi, a następnie wskazała na nie dłonią, trąkając z ekscytacją w swoim dziwnym języku i rzucając to jej, to Ansgarowi zachęcające spojrzenia.

- Czy mam... czy mogę wybrać sobie jedną z nich? - wybąkała z niedowierzaniem Katharina.

Każda z tych trzech sukni była strojnieszka i cenniejsza, niż wszystko, co dotychczas widziała. Wszystkie uszyte były z takiego samego delikatnego zamszu, co podarta suknia, którą miała na sobie, ale upiękzone kosztownymi hartami i zdobieniami, suknie godne królowej, a nie biednej sieroty jak ona.

Ansgar, wyglądający na tak samo zaskoczonego jak ona, zwrócił się do Nardis w pytającym tonie i otrzymał w zamian jeszcze bardziej podekscytowaną paplaninę i wymachiwanie ramion.

- Nie - powiedział, lecz zanim jeszcze zdążyło ją ogarnąć poczucie ogromnego zawodu, dodał: - Wszystkie trzy są dla ciebie.

- Jak to? - wyszeptwała z niedowierzaniem.

- Możesz zatrzymać... wszystkie trzy - potwierdził Ansgar. Wciąż wyglądał na zagubionego. - Chce tylko, żebyś którąś założyła, żeby mogła wziąć tę drugą i ją zeszyć. - Zwrócił się do Nardis, o coś pytając, tym razem odpowiedź zdradzała zniecierpliwienie.

Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Te niezmiernie cenne suknie miały należeć do niej? Wszystkie trzy? Nikt w całym Ellsbusch nie posiadał trzech ubrań!

Zdawało się, że nie inaczej myślał i Ansgar. Wgąbiał się to w suknie, to w Nardis, to znowu w suknie. Wyglądał trochę tak, pomyślała Katharina, jakby zobaczył właśnie ducha.

- Czy coś jest nie tak? - zapytała.

- Nie, nie - rzekł pośpiesznie Ansgar. - Tylko... te ubrania były...

- Co? - ponagliła go Katharina, kiedy urwał.

- Nic - skwitował półgłosem Ansgar - przebierz się. Nardis czeka.

Kiedy starszka podkreśliła jego słowa jak poprzednio żywą gestykulacją, Katharina podniosła rękę, by zdjąć suknię,

zatrzymała się jednak w pół drogi i spojrzała surowo na Ansgara.

- Co? - zdziwił się.

Nardis również wbiła w niego wzrok i przez moment Ansgar wydawał się jeszcze bardziej zbity z tropu; wtem wzdrygnął się z widocznym poczuciem winy i wyszedł.

Poczekala, aż zamknęła się za nim płachta namiotu, a potem ściągnęła przez głowę podartą suknię i od razu schyliła się po jakąś inną.

Wszystkie trzy były tak wspaniałe, że dokonanie wyboru wydało jej się zgoła niemożliwością.

Była jednak pewna różnica; w przeciwieństwie do sukni, którą dostała wczoraj, te okazały się na nią za duże. Nie na tyle, żeby nie mogła ich nosić, ale były tak obszerne, że ich skraje ciągnęły się po ziemi.

Nardis rozwiązała ten problem, wyczarowując nagle wąski, również zdobiony cennym haftem pasek i zawiązując go jej wokół bioder.

Następnie stanęła za nią, by, jak przypuszczała Katharina, zawiązać jej suknię na plecach. Tymczasem poczuła nagle opuszki palców Nardis dotykające jej ramion i obrysowujące prawie z czcią kontury znamienia.

- To znamię coś znaczy, prawda? - zapytała.

Oczywiście starszka jej nie odpowiedziała, zapewne nie zrozumiała nawet pytania, ale odsunęła się od niej i zawiązawszy teraz zwawo suknię, obróciła Katharinę, aby jeszcze przez chwilę ponaciągać tu i ówdzie materiał, aż jej nowa suknia jako tako się wreszcie ułożyła.

- Rozumiesz, co mówię? - zapytała Katharina.

Jeśli tak było, Nardis nie zdradziła się z tym. Uśmiechnęła się tylko, poprawiała coś na niej jeszcze przez chwilę, a potem cofnęła się, by przyjrzeć się swojemu dziełu; ostentacyjnie unikała przy tym patrzenia jej w twarz, aż Katharinie przeszedł dreszcz po plecach. Na koniec rzuciła kilka słów, podniosła rozdartą suknię i odeszła.

Katharina chciała pójść za nią, ale doszła tylko do wyjścia. Ten sam człowiek, który już rano pełnił wartę przed jej namiotem, stał przed nim i teraz, tym razem nie poprzestał jednak na przyjaznym spojrzeniu, lecz pokręcił głową i niedwuznacznym gestem dał jej do zrozumienia, że ma zostać w środku. Wyglądało na to, że została w końcu więźniem.

Rozczarowana wycofała się do wnętrza namiotu i przez moment poważnie rozważała pomysł poszukania innej drogi na zewnątrz, lecz zarzuciła go, już choćby z tego powodu, że musiałaby się czołgać po ziemi, brudząc przy tym swoją nową sukienkę; lub ją, co gorsza, rozdzierając. Woląla zatem przeznaczyć ten czas na oglądanie pozostałych dwóch nowych sukienek, leżących na podłodze. Suknie te niewątpliwie otaczała jakaś wielka tajemnica, chociaż nie wiedziała, czy ponura, czy niebezpieczna. Zdawały jej się skarbem, tak cennym, iż niejeden oddałby za nie życie.

Wliczając w to samą Katharinę.

Po krótkim czasie na zewnątrz znowu rozległy się głosy i kroki, i do namiotu weszli Erik, Ansgar i Guy de Pardeville. Cudzoziemski pan był wściekły i nawet nie taił, do kogo kierował swój gniew.

- Sprawiasz mi wielki smutek, dziewczynko - ofuknął ją, ledwo wszedł do namiotu. - Przedsięwzięciem naprawdę długą podróż i poniosłem wiele trudów, aby cię znaleźć, i jak mi odpłacasz?

- Proszę was, panie de Pardeville - powiedział Erik - miarkujcie swój ton! Sami dopiero co rzekliście, że ona jest niemal dzieckiem.

Przerażacie ją.

Guy de Pardeville wyglądał, jakby chętnie wyrządził jej coś znacznie gorszego, niż tylko wystraszenie, wziął się jednak w garść i zwrócił się do Kathariny z uśmiechem, w którym nie było ani krzty szczerości.

- Nawet cię rozumiem, moje dziecko - powiedział. - To wszystko było dla ciebie tak straszne, że musisz się teraz bardzo bać. Pewno jesteś zagubiona. Mimo to nie powinnaś podejmować pochopnych decyzji. Pójdź ze mną, a obiecuję, że znajdziemy dla ciebie jakieś dobre miejsce. -Wskazał głową Ansgara. -Wnuk Erika opowiedział mi, że dotychczas nie miałaś dobrego życia. Zatrószczę się o zmianę twojego losu.

Czekał na odpowiedź, ale Katharina po prostu nie wiedziała, co ma odrzec. Nie wiedziała nawet, czy mu wierzyć, ale w zasadzie nie miało to żadnego znaczenia. Guy de Pardeville był wielmożą i jego wola była prawem. Jakże mogła mu zaoponować?

- Chciałabym zostać tutaj - powiedziała cicho.

- Tutaj?! - Oczy hrabiego zapłonęły dziką wściekłością, widziała, z jakim trudem przychodziło mu stwarzać pozory opanowania. Jego głos stał się ostrzejszy i nabrał pogardliwego tonu. - Z tymi...poganami? Dziecko, co ty sobie myślisz? Czy wasz proboszcz niczego cię nie nauczył?

Ojciec Cedric rzeczywiście nauczył ją wiele, ale tylko niewielki ułamek z jego nauk jej się spodobał, a jeszcze mniejszy przekonałby ją w tym momencie do zmiany decyzji.

- Zostanę tutaj - trwała przy swoim.

Pardeville ze świstem wciągnął powietrze do ust - Jeśli dobra namowa nie skutkuje, trzeba będzie inaczej - powiedział. - Pójdiesz z nami.

- Słyszeliście dziewczynę, sire - powiedział zimno Erik - woli zostać z nami.

- Nie sądzę, że macie prawo... - zaczął Pardeville, jednak przerwał, a po chwili kontynuował, z trudem panując nad głosem: - Doceniam wasze wysiłki, by chronić to dziecko, Eriku, ale nie mogę na to pozwolić. Ona należy do swojego ludu.

- Który nie jest waszym - odciął się spokojnie jarl. - Nie jesteście jej lennym panem, podobnie jak ja. Nie mogę jej zmuszać do robienia czegoś, czego nie chce.

Pardeville omiół go piorunującym spojrzeniem, w okamgnieniu się odwrócił i spróbował ją pochwycić, lecz Katharina przewidziała ten ruch i szybko cofnęła się o krok, nim zdążył podrzeć jej kolejną suknię. Ansgar drgnął przestraszony, a ręka Erika z ciężkim trzaskiem spadła na rękojeść potężnego miecza o szerokim ostrzu, który nosił przy pasie. Hrabia opuścił rękę.

- Zostaję tutaj - powtórzyła Katharina.

- Naprawdę traktujecie to poważnie, Eriku? - zapytał Pardeville. - Chcecie położyć na szali dobre stosunki między nami, tylko ze względu na kaprys dziecka, które coś sobie uroiło?

- Tak znowu dobrze nigdy między nami nie było - powiedział jarl. - A teraz muszę was prosić, byście odeszli, sire. Zabierzcie waszych ludzi i płońcie do domu.

-Ale...

- Póki jeszcze możecie - ciągnął Erik, odrobinę głośniejszy, tak iż jego słowa zmieniły się w groźbę.

Twarz Pardeville'a skamieniała. Jego ręka również opadła na rękojeść miecza i przez krótką chwilę Katharina obawiała się, że naprawdę wyciągnie broń, by rozstrzygnąć ten spór tu i teraz.

Lecz naraz rozluźnił się, kiwnął rozedrganą głową i wypadł z namiotu. Ansgar powiódł za nim ponurym wzrokiem, lecz kiedy zbierał się do wyjścia, dziadek powstrzymał go nieznacznym gestem.

- Nasi ludzie upewnią się, że odjedzie - dodał. Ansgar odrzekł coś w swoim ojczystym języku, a Erik zrobił nerwowy ruch, po czym chłopiec powtórzył swoje słowa po niemiecku: -Wróć. I to pewnie nie sami.

- Tak, zapewne - odparł dziadek - ale do tego czasu już dawno nas tu nie będzie. Do zamku Pardeville i z powrotem jest z górą dzień drogi. Urd i Skuld będą tutaj w ciągu kilku godzin, a wtedy wyruszamy.

- A to wszystko tylko dlatego, że uważasz... - zaczął Ansgar, na co Erik wszedł mu w słowo, nawet nie głośno, za to z surową stanowczością: - A to wszystko tylko dlatego, że twój jarl ci tak mówi.

Ansgar gniewnie zacisnął usta, ale nie odważył się już sprzeciwić.

Rzucił Katharinie jeszcze jedno kipiące złością spojrzenie, po czym obrócił się na pięcie i z furią wyszedł na zewnątrz. Erik schylił się i podniósł pozostałe dwie suknie.

-Jest... jest mi... naprawdę przykro - wydukała Katharina. -Jaja naprawdę nie chciałam, żeby przeze mnie...

-To nie z twojego powodu, dziewczynko - przerwał jej jarl. Wskazał głową posłanie z futer. - Zrobiło się późno. Spróbuj się trochę przespać. Jutro bardzo wczesnie wyruszamy, to będzie męczący dzień.

Co powiedziawszy, wyszedł bez słowa wyjaśnienia.



Ostatecznie to Freya uratowała jej życie (a przynajmniej zwróciła wolność); nie bogini z wielopostaciowego pandemonium ludu Ansgara, lecz szaroczarny pręgowany kot. Musiała mieć szczególną słabość do Kathariny; a może wysłali ją bogowie lub była po prostu szalona.

Katharina potrzebowała wiele czasu, by zapaść w sen. Miała wrażenie, że dopiero co zamknęła oczy, gdy zbudziło ją głośne mruczenie i szorstki język liżący jej twarz wzdłuż i wszerz.

Sarkając, niechętnie podniosła powieki i spojrzała w parę znajdujących się tuż przy jej twarzy świecących niesamowicie oczu.

- Freya? - wymamrotała zaspana.

Odpowiedziało jej jeszcze głośniejsze mruczenie, a ponadto miauczenie, w dziwny sposób zdające się dochodzić z różnych kierunków naraz. Coś szarpało jej włosy, a małe ostre zęby skubały nagie palce u stóp.

Ciągle jeszcze trochę zamroczone usiadła, rozejrzała się, zamruwała dwa razy, a następnie ponownie spojrzała wokół, ale tak już zostało: to nie był sen. Freya najwyraźniej nie tylko zdecydowała się złożyć jej nocną wizytę, ale też przeprowadzić się z całym dobytkiem; a dokładniej mówiąc z czterema młodymi, które radośnie pełzały po Katharinie, obwąchując ją i wypróbowując swoje zębki i pazurki na swojej żywej zabawce. Nie była jeszcze wystarczająco rozbudzona, by zdecydować, czy uznać je za miluchne, czy po prostu za natrętne.

Naprawdę potrzebowała trochę snu. Ale przynajmniej te małe bestie nie próbowały jej zabić.

Coś upadło z łoskotem. Katharina podniosła głowę w kierunku wyjścia, skąd nadszedł hałas, kiedy jedno z kociąt uszczypnęło ją tak mocno w mały palec u nogi, że musiała odwrócić się z bolesnym sykiem, aby strząsnąć małego natręta.

I to był jedyny powód, dla którego dostrzegła wąskie ostrze noża, które, ukazawszy się w poszyciu namiotu za jej plecami, niemal bezgłośnie je teraz płatało.

Katharina przeznaczyła wiele nieskończenie cennych sekund na przyglądanie się z otwartymi ustami ostrzu i wydłużającemu się rozcięciu. Dopiero, gdy zobaczyła za nim mglisty cień, zaświtało jej, że posiadacz tego noża przyszedł zapewne nie tylko po to, by zdemolować jej namiot.

Szybko pościagała z siebie kociecia, potem z jakimś trudem zdołała się opędzić od deklaracji miłości ocierającej się Frei, wreszcie wstała po cichu, by czmychnąć do wyjścia.

Mało brakowało, a byłby to jej ostatni krok.

W ostatniej chwili Katharinie przyszło do głowy, aby zerknąć przez wąską szczelinę u poły namiotu, nim ją odrzuci, i w następnym momencie pogratulowała sobie roztropności. Mężczyzna stróżujący przed jej namiotem wciąż tam był, ale leżał teraz bez ruchu na ziemi, a druga, ciemno ubrana postać pochylała się nad nim i w tejże chwili wycierała w swój płaszcz zakrwawione ostrze noża.

Coś za nią zaszeleściło i Katharina, zauważywszy kątem oka jakiś przemykający cień, zareagowała instynktownie, rzucając się w bok i uchodząc w ten sposób wyciągniętej po nią ręce mężczyzny, który wyciął sobie drogę do jej namiotu. Delikwent potknął się tuż obok niej i wydawszy zdziwione chrząknięcie, zaczął walczyć o równowagę, dziko wymachując rękami, lecz Katharina nie traciła czasu, żeby sprawdzać, czy tę walkę wygrał czy przegrał, i w dwóch zwawych susach znalazła się przy długim rozcięciu w materiale namiotu i przez nie przeszła; a w każdym razie nieomal przeszła. Jakiś drugi mężczyzna szedł ku niej schylony i najwyraźniej spodziewał się wszystkiego, tylko nie jej wychodzącej mu naprzeciw - w rezultacie mocno zderzyli się głowami.

Katharina zatoczyła się, upadła na plecy i złapałszy pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w rękę, rzuciła w chłopisko.

Na jego nieszczęście była to lampa.

Małe gliniane naczynie rozbiło się, a olej polał się po spodniach i butach mężczyzny i z głuchym huszsz zajął się ogniem. Zanim jeszcze płomienie zdążyły ogarnąć jego tabard, a tym bardziej namiot, Katharina zerwała się na nogi; odepchnąwszy płonąca postać z drogi, wyrwała się w końcu z namiotu.

Tym razem przeszła co najmniej pięć lub sześć kroków, zanim wpadła w rozpostarte ramiona kolejnej postaci w kolczudze i tabardzie, teraz jednak nie zareagowała wystarczająco szybko. Silna dłoń zacisnęła się tak mocno na jej ramieniu, że krzyknęła z bólu i przerażenia.

Ten dźwięk pochłonięty został jednak przez rozdzierający wrzask i trzaskanie płomieni, dolatujące zza jej pleców. W ślad za tym w obozie rozległ się krzyk trwogi, a Katharina została siłą odwrócona i pociągnięta w górę zbocza. Potykała się, ale nie traciła gruntu pod stopami, bo mężczyzna włókł ją za sobą. Dostrzegła pół tuzina cieni, które pojawiły się jakby znikąd wszędzie wokół niej. Za nimi zrobiło się jasno, gdy płomienie do reszty opanowały namiot, a przeraźliwe krzyki płonącego człowieka pomieszały się z nowymi, rozgorączkowanymi głosami i rumorem.

Katharina została brutalnie poderwana i rzucona na coś miękkiego i wielkiego, co zidentyfikowała jako konia dopiero, kiedy jej porywacz w końcu ją puścił i wskoczył na siodło. Teraz go rozpoznała, choć jego twarz pozostawała ukryta za zasłoną dziwnego garnczkowego hełmu. To był Guy de Pardeville. Mężczyźni w jego eskorcie, przynajmniej niektórzy, byli tymi samymi, których widziała tamtej nocy w Ellsbusch.

To rozpoznanie nie przeszkodziło Katharinie z miejsca się obrócić i wziąć nogi za pas. Zdołała zrobić dwa kroki, zanim wbiegłszy wprost na pięść jednego z mężczyzn, skuliła się, dusząc się z bólu i rozpaczliwie chwytając powietrze.

Nie zdążyła paść na kolana, kiedy znowu została rzucona na grzbiet konia za plecami Pardeville'a.

- Trzymaj się mocno! - rozkazał. - Jeśli spróbujesz uciekać, zabiję cię!

I pognął.

Dziewczyna nie miała nawet czasu gdzieś się zaczepić, a już cała grupa zawróciła i popędziła w górę stoku.

Przebyli nie więcej niż tuzin skoków w galopie, kiedy jeździec na przedzie małej kolumny wstrzymał nagle konia i wyciągnął miecz zza pasa, a dwaj mężczyźni za nim odbili na prawo i lewo; już po chwili w całej drużynie zapanował rozgardiasz. Przez krótki czas Katharina usiłowała złapać za cokolwiek, aby w jakiś sposób utrzymać się na grzbiecie konia, a kiedy w końcu wśród jeźdźców przynajmniej z pozoru zapanował porządek, sytuacja zmieniła się nie do poznania. Przed nimi wyłoniły się nagle cienie, wielkie i kudłate, niektóre z nich z rogami, chyba też z chłuszczącymi ogonami, bez wyjątku zbrojni, jak gdyby powtarzała się tamta noc pożogi, kiedy zginął Ellsbusch. Było ich czterech lub pięciu, ale w ciemności za nimi poruszało się więcej cieni: przypominały wychodzący z lasu patrol.

Lord Pardeville wyszarpnął zza pasa miecz, a wisząca wcześniej przy jego siodle duża trójkątna tarcza jakby za sprawą czarów przefrunęła na jego ramię.

- Stratować ich! - ryknął.

Katharina potrzebowała całej swej sprawności i tę odrobinę siły, która jeszcze pozostała w jej udręczonym ciele, by utrzymać się na koniu za Pardeville'em, kiedy cała drużyna w tym samym momencie rzuciła się wykonać rozkaz.

Na ich nieszczęście demony ani myślały dać się tak po prostu stratować. Rycząc, wymachiwali bronią, udając, że rzucają się na galopujących jeźdźców, bo w ostatniej chwili ustąpili im z nadzwyczajną zręcznością. Z góry spadły na nich miecze i włócznie, ale ani jedno ostrze nie trafiło celu. Za to liczba rogatych wojowników zdawała się w cudowny sposób podwoić. Jeden z koni zaskowyczał z bólu, runął na zgięte przednie nogi i przekoziółkował, a wyrzucony z siodła jeździec, zakreśliwszy wielki łuk, wylądował ciężko na plecach kilka metrów dalej. W mgnieniu oka zginął, przesyty mieczami, toporami i włóczniami.

Nie był jedyną ofiarą. Lord Pardeville siekł mieczem jednego z atakujących olbrzymów, którzy - rzecz dziwna - nagle wydawali się być wszędzie. Wprawdzie go nie trafił, ale przynajmniej odrąbał mu jeden z jego ogromnych rogów i w ten sposób odpędził. Wszelako nie wszyscy jego ludzie mieli tyle szczęścia. Jeździec tuż obok został przesyty włócznią w bok i z przenikliwym krzykiem wypadł z siodła, inny zaś został przygnieciony przez własnego zwalającego się z nóg konia. A potem rozpętało się prawdziwe piekło.

Katharina nie była w stanie powiedzieć dokładnie, jak długo to trwało, ani co dokładnie się stało, ale nie miało to nic wspólnego z tym wszystkim, co sobie wyobrażała, przysłuchując się starym ludziom opowiadającym o heroicznym walkach i straszliwych bitwach. To było istne piekło, w którym ludzie, demony i zwierzęta nacierali na siebie, godzili w siebie i się tratowali; wkoło dobiegały krzyki i wycie, i błysk broni; tryskała krew i dawał się słyszeć potworny chrzęst łamanych kości; wszędzie leżały odrąbane członki i martwe ciała unurzane we własnej krwi, i inne jeszcze, makabryczne rzeczy, na których opisanie brakowało jej słów; nad tym wszystkim unosił się paniczny strach, przerażenie i nieznana jej wcześniej groza, przyćmiewająca całą resztę.

Nie minęło wiele czasu, a Pardeville i jego ludzie zostali po prostu rozgromieni przez wojowników Erika. Obcy rycerze spadali z siodła jeden po drugim; kiedy Pardeville, gwałtownie zawróciwszy konia, uchylał się przed ciśniętym oszczepem, Katharina dostrzegła sztylet za jego pasem i zareagowała bez chwili namysłu. Zacisnąwszy dłoń na rękojeści, wyciągnęła broń z pochwy i wbiła ją porywaczowi w bok.

Nie starczyło jej sił, aby naprawdę przebić kolczugę, którą Pardeville nosił pod tabardem, ale poczuła, że przynajmniej czubek sztyletu przez nią przeszedł i ugodził głębiej, w znajdujące się pod spodem miękkie ciało.

Pardeville krzyknął z bólu i zakołysał się w siodle, tracąc równowagę, a Katharina wykorzystała szansę i bokiem, plecami do konia, ześlizgnęła się z jego grzbietu.

Tymczasem koń, przypadkiem lub z zaszczepionej złośliwości, wyczuwając jej ruch, postąpił obiema tylnymi nogami w bok, tak że Katharina w połowie drogi z grzbietu na ziemię zmuszona została desperacko odskoczyć, uchodząc śmiertelnie kopciom dosłownie o włos. Z jej zaplanowanego skoku wyszedł niezdamny upadek, podczas którego jedynie dzięki dużemu szczęściu nie doznała poważniejszego zranienia.

A i tak było z nią dość źle. Wylądowała na czworakach, łagodząc w ten sposób impet upadku, stłukła sobie jednak oba nadgarstki, a jej obite żebro dostroiło się radośnie do koncertu brutalnego bólu, który w tejże chwili eksplodował pod jej czaszką.

Być może uratowało jej to życie, bo, zamiast zerwać się na nogi i uciekać, jak zamierzała, jęcząc z bólu, przetoczyła się na bok, a dokładnie tam, gdzie znalazłaby się, gdyby pozostała w miejscu zeskoku, w ziemię wbiła się włócznia.

Podźwignęła się i zatoczyła, i choć zauważyła połyskujący w trawie sztylet, którym zaatakowała Pardeville'a, nie mogła go podnieść, bo potłuczone dłonie odmówiły jej posłuszeństwa. Teraz nie mogła się już nawet bronić.

Toteż odwróciła się i co tchu pobiegła w stronę wojowników Erika i płonącego obozu. Za jej plecami toczyła się zażarta walka między rycerzami Pardeville'a a nieoczekiwane przybyłym patrolem.

Katharina wątpiła, czy wojownicy byliby w stanie pokonać ciężkozbrojnych jeźdźców na ich potężnych rumakach, ale z obozu ku rzecznej skarpie napływało coraz więcej wiedzionych przez samego Erika i Ansgara wojowników; trzydziestu, czterdziestu, może więcej.

Jeśli udałoby jej się do nich dotrzeć, byłaby uratowana. Wtem, zauważywszy, że Ansgar coś do niej krzyczy i macha rękami, Katharina spojrzała przez ramię i zdała sobie sprawę, że nie zdoła się przedrzeć. Oto Guy de Pardeville zawrócił konia i ostrym galopem gnał w jej kierunku z mieczem wzniesionym do ciosu. W pierwszej chwili nie zrozumiała, co zamierzał. Zapewne dopędzi ją, zanim dotrą tu Erik i jego ludzie, ale żadnym sposobem nie mógł liczyć na to, że ją obezwładni, wciągnie na siodło, a potem jeszcze ucieknie!

Raptem uświadomiła sobie, że on wcale tego nie zamierzał. Galopował ku niej z wzniesionym mieczem, bo chciał ją zabić!

Świsnęła ku niemu strzała. Pardeville osłonił się przed nią tarczą, zwiększył tempo i zmusił zwierzę do skoku po szerokim łuku, w którego szczytowym punkcie miał ją dosięgnąć, a potem - być może - zdążyć jeszcze zbiec.

Kiedy jego miecz spadał na nią ze świstem, jakiś cień, przemknąwszy obok Kathariny, odparował cios i zwarł się z ramieniem Pardeville'a z taką mocą, że ów już po raz drugi w ciągu krótkiego czasu musiał walczyć o równowagę. Jego wierzchowiec się spłoszył, lecz cwałował dalej.

Katharina upadła, odruchowo zwinęła się w kłębek i w geście obrony zasłoniła rękami głowę, by nie zostać teraz przypadkowo zdeptaną na śmierć przez wojowników jarla. Rozpoznała postać, która z tak szaloną odwagą stanęła jeźdźcy na drodze. Z pomocą przyszedł jej Ansgar, choć Katharina uznała to za niemożliwe, ale jakimś cudem znalazł się przy niej i desperacko uczepił ramienia uzbrojonego rycerza, nie zważając na to, że rumak gnał coraz szybciej, wlokąc go bezlitośnie za sobą. Dopiero przejechawszy tuzin kroków, Pardeville zdołał go wreszcie zrzucić. Ansgar upadł ciężko na trawę i przekoziółkowawszy wiele razy, padł w bezruchu.

Pardeville gwałtownie zawrócił konia i odgalopował, wraz z trzema ludźmi, którzy mu jeszcze zostali. Znajdujący się na skraju lasu wojownicy usiłowali ich jeszcze gonić, szybko zmiarkowawszy jednak daremność tej próby, zawrócili, aby zająć się rannymi towarzyszami.

Kiedy Katharina pozbierała się, Erik był już przy wnuku, odwrócił go na plecy i zaczął badać, szybko przebiegając po ciele palcami.

Ansgar nie ruszał się, miał zamknięte oczy. Kiedy Katharina opadła obok niego na kolana, serce podskoczyło jej boleśnie do gardła.

Twarz Ansgara była biała jak kreda.

Erik obmacywał go drżącymi palcami i chciał właśnie podciągnąć mu koszulę, gdy chłopiec się ocknął i ze stęknieniem otworzył oczy.

Wzrok miał mętny.

Dziadek powiedział do niego coś w ojczystym języku. Ansgar patrzył na niego, nic nie rozumiejąc, a Katharina zapytała pośpiesznie: - Jesteś ranny?

- Nie... sędzę - odpowiedział wolno, po czym spróbował usiąść, ale tylko wykrzywił żałośnie twarz i przycisnął rękę do boku. Erik odciągnął mu rękę, obmacał bok i kiwnął głową.

- Myślę, że złamałeś sobie żebro - powiedział. - Jeśli to rzeczywiście wszystko, miałeś wielkie szczęście. Co w ciebie wstąpiło, głupcze? Zapomniałeś o wszystkim, co ci wpoilem? Jeźdźca w pełnej zbroi atakujesz gołymi rękami?

Pokręcił głową ze złością. - Gdybyś nie był ranny, przelożyłbym cię teraz przez kolano i spuściłbym manto jak głupiemu dziecku!

Wstał nagle, wskazał na obóz w dole i wyrzucił z siebie kilka słów w ojczystym języku, na co większość jego ludzi odwróciła się i zbiegła do wioski; reszta rzuciła się wyżej na zbocze, aby pomóc swoim rannym braciom.

- Zostań z nim, dziewczynko! - powiedział, zwracając się do Kathariny. - Uważaj na niego, żeby nie narobił więcej głupstw!

Po czym odszedł, krocząc gniewnie; Katharina spoglądała na niego zmieszana. Za surowymi połajankami nie udało mu się ukryć ulgi z tego, że Ansgar przeżył, choć okazywał to w dziwny sposób.

- Czy., coś ci się stało? - spytał Ansgar za jej plecami.

Katharina obrzuciła go krzywym spojrzeniem. - Nie uważasz, że to ja powinnam zadać ci to pytanie?

- Jestem cały - stwierdził, ponownie spróbował wstać i znowu grymas bólu wykrzywił mu usta. - Może z wyjątkiem złamanego żebra.

Katharina skinęła głową. - Wiem, jak to boli.

Ansgar zrobił zakłopotaną minę, a dziewczyna wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać. Mogła wyczytać na jego twarzy, jak duma walczyła z bólem w boku - i najwyraźniej przegrała. Przyjął jej ofertę i podźwignął się z zaciśniętymi zębami.

- To naprawdę nie było szczególnie rozsądne z twojej strony - powiedziała Katharina. - Rzucanie się z gołymi rękami na kogoś takiego jak Pardele to dość szalony czyn. Choć także dość śmiały. Gdyby nie ty, byłabym już martwa.

- No to chyba jesteśmy teraz kwita, co? - spytał.

Zrazu zabolaly ją te słowa, ale potem przyszło jej na myśl, jak szorstki był przed chwilą Erik. Język i strój to nie wszystko, co tych ludzi od niej odróżniało.

- Tak czy owak zachowałeś się odważnie - powiedziała - bardzo ci dziękuję.

-Hmm...

- Możesz chodzić?

Ansgar puścił ją, zrobił niepewny krok i przystanął. Uprzedził jednak jej szyderczą uwagę, odwracając się i udając, że z zainteresowaniem przygląda się skrajowi lasu.

- Gdyby Erik nie przeczuwał, że temu facetowi nie można ufać, to już by cię mieli - wymamrotał. - Zastanawiam się, dlaczego Pardeville to zrobił.

- Dlaczego mnie porwał?

Ansgar prychnął. - To nie ma sensu. Musiał stracić co najmniej trzech ludzi, a gdybym miał broń, to byłby już martwy. Wszystko to tylko z twojego powodu?

Właściwie powinna się obrazić i trochę rzeczywiście poczuła się dotknięta... Jednocześnie w duchu przyznała mu rację. Była jedynie prostą wiejską dziewczyną, której Pardeville nie znał i która - przynajmniej w jego oczach - niewarta była nawet tyle, co czaprak jego konia. Z pewnością nie spodziewał się, że jego atak skończy się w ten sposób i że straci połowę ludzi, ale i tak sporo ryzykował; o wiele za dużo, biorąc pod uwagę łup, jaki mógł zdobyć.

Ansgar miał rację, cały ten atak nie miał sensu.

Otrząsnęła się z tych myśli i odwróciła w kierunku obozu. Przeraziła się, widząc, że teraz już nie tylko namiot Ansgara stał w płomieniach, ale i dwa sąsiednie, i wciąż błyskawicznie się rozprzestrzeniał. Zdziwiło ją, że nikt nawet nie

próbował gasić pożaru. Za to co najmniej kilkunastu mężczyzn zajętych było zwijaniem przyległych namiotów, a bynajmniej nie robili tego ostrożnie, wyrządzając nie mniej szkód, niż ogień.

- Przykro mi - powiedziała poruszona - nie chciałam tego!

- Ty? - zdziwił się Ansgar. Zaciśnął zęby i zaczął kuśtykać.

- To moja wina - wyjaśniła przygnębiona - rzuciłam lampę na jednego z mężczyzn.

-I co? - zapytał. - Trafiłaś chociaż?

Katharina przytaknęła, a na twarzy wikinga pojawiła się zajądlność. - Zatem tam w dole pali się teraz nie tylko namiot. To niewielka cena za złapanie jednego z tych drani. Cóż innego mogłaś zrobić? Dać się zarznąć, żeby mój namiot nie ucierpiał?

Bez wątplenia miał rację, napastnik nie zawahałby się ani chwili przed zabiciem jej... To jednak nie zmieniało faktu, że czuła się strasznie. Z jej winy zginął człowiek. Była to okropna myśl, bez względu na to, czy miała wybór, czy nie.

Wkrótce trzy namioty doszczętnie się spaliły i Katharina musiała przyznać, że ludzie Erika działali słusznie, nie walcząc z ogniem.

Płomienie rozpełtały się w istną burzę i pochłonęły namioty tak szybko i łapczywie jak wygłodniałe dzikie zwierzę swoją zdobyczą; już po kilku minutach został tylko dymiący spopielały plac, na którym coś nieustannie syczało i trzaskało. Nawet gdy płomienie już zgasły, żar wciąż był tak wielki, że Katharina nie odważyła się podejść bliżej niż na jakieś dziesięć kroków.

Nawet gdyby to jej nie powstrzymywało, z pewnością uczyniłby to widok zwęglonego prawie nie do poznania ciała, leżącego w miejscu, w którym kiedyś stał namiot Ansgara.

Mimo wszystko dawało się jeszcze poznać, że był to jeden z ludzi Pardeville'a. Spod zwęglonej odzieży przeświecał stopiony metal kolczugi, a na głowie tkwił solidny hełm, jeden z tych, jakie nosili rycerze zagranicznego magnata.

Naraz zobaczyła coś, co skłoniło ją do wejścia kilkoma szybkimi krokami w krąg ciepłego popiołu, i zmusiło do przyjrzenia się straszliwie okaleczonym zwłokom.

Pod martwym ciałem leżało jeszcze coś innego, mniejszego. Serce zaczęło jej łomotać.

Zwalczyła obrzydzenie i lęk, odwróciła trupa nogą i w następnej chwili nieomal głośno wykrzyknęła.

- O nie! - wymamrotał obok niej Ansgar. Nawet nie zauważyła, że za nią poszedł. - Czy to... Freya?

Katharina z wysiłkiem zdobyła się na skinienie głową. Wyglądało na to, że mężczyzna umierając, runął na kocicę, grzebiąc ją pod sobą, tak iż raczej się udusiła niż spaliła żywcem; niezbyt ją to pocieszyło.

-Jak się tutaj znalazła?

Katharina wzruszyła ramionami. - Była ze mną dziś w nocy.

Myślę, że chciała mi przynieść swoje młode. - Z bijącym sercem usiadła w kucki i nagle ze wszystkich sił zaczęła walczyć z dławiącymi ją łzami.

- Obudziła mnie. Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj teraz.

- Freya zapłacała za to życiem.

Ansgar chciał coś odpowiedzieć, ale przechylił tylko głowę w bok, nasłuchując pilnie, a po chwili usłyszała to i Katharina - cienkie, żalosne popiskiwanie, dochodzące gdzieś zza pleców Ansgara.

Jednym susem przeskoczyła obok niego i przykucnęła.

Dwa skarżące się futrzane zawiniątka przedzierały się ku niej na chwiejnych łapkach, kwiląc i lamentując rozczulająco, lecz gdy dziewczyna podniosła je i przycisnęła do siebie, niemal natychmiast zaczęły głośno mruczeć. Czuć je było dymem i gorącym popiołem, wyglądały na półżywe, jakimś cudem jednak wydawały się nietknięte.

- Przetrwają - powiedziała. - Przynajmniej one! Rozejrzyj się, może znajdziesz pozostałe dwa!

-Już to zrobiłem - odparł Ansgar.

Katharina odwróciła się pełna nadziei, lecz zamarła na chwilę, napotkawszy jego wzrok. I widząc, jak kręci głową.

- Przykro mi. Żal Ansgara brzmiał szczerze. Jego wzrok jeszcze bardziej posmutniał, gdy wskazał na dwa małe koty,

które Katharina przyciskała do siebie.

- One też nie przetrwają - rzekł z przekonaniem. - Okażesz im większą litość, jeśli je utopisz. - Wyciągnął rękę.

- Nie waż się ich tknąć! - ostrzegła go.

Ansgar westchnął. - Umrą - powiedział - są zbyt małe. Nie mają nawet w pełni otwartych oczu. Chcesz, żeby w cierpieniach zdechły z głodu?

- Dam sobie radę - stwierdziła Katharina. Naturalnie wiedziała, że miał rację. Zabicie obu kociąt szybko i bezboleśnie byłoby dla nich większą łaską. Ale Freya oddała życie, żeby ją ostrzec. Katharina powinna zaopiekować się teraz jej młodymi, była jej to winna.

- Potrzebuję tylko trochę mleka. Macie mleko?

- Tak, ale...

- Więc je wykarmię!

Ansgar westchnął znowu, jeszcze ciężiej. - Mogę to zrobić za ciebie, jeśli nie potrafisz - zaoferował się i ponownie wyciągnął rękę, sięgając po kocięta.

- Musiałbyś przedtem mnie utopić - odrzekła zjadliwie, a Ansgar skapitulował, wydając z siebie kolejne, przeciągłe westchnienie.

\*\*\*

Dwa pozostałe statki, o których mówił Erik, nie przybyły, jednak przed upływem kolejnej półgodziny Ansgar zaprowadził ją na pokład Werdandi i smukła smocza łódź, odbiwszy od pomostu, poczęła szybko płynąć w górę rzeki.

Na pokładzie było zaskakująco mało mężczyzn, akurat tylu, by poruszać wiosłami i nastawiać żagiel, i bardzo niewiele bagażu.

Mężczyźni zabrali tylko najniezbędniejsze rzeczy, a do takich nie należał żaden z licznych namiotów, które jeszcze niedawno tak skrętnie pozwijali, i oprócz kilku sztuk broni i buklaków właściwie niczego więcej nie wzięli. Gdyby Katharina miała powiedzieć, jaki był tego powód, przysięgłaby, że chęć ucieczki. Raz nawet zagadnęła o to Ansgara, ale w odpowiedzi otrzymała tylko pogardliwe spojrzenie i prychnięcie.

Prawdę mówiąc, niewiele z tego wszystkiego do niej docierało.

Działo się z nią coś nowego i przerażającego, co miała zrozumieć znacznie później. Dobiegały ją krzyki i hałas, wzburzone głosy i gorączkowy pośpiech, przeklinali mężczyźni, inni jęczeli z bólu, czuła zapach ognia i tłącego się drewna, i krwi, i śmierci, aż w pewnym momencie dziwnym sposobem wszystko to stało się nierealne, jak gdyby część jej postanowiła zaszyć się w sobie niczym przestraszone zwierzę w jaskini i zamknąć przed całym światem oczy i uszy. Ansgar zaprowadził ją do małego namiotu na rufie statku i ją tam po prostu posadził, a wszystko, co zdarzyło się potem, wydało jej się nie bardziej rzeczywiste niż sen. Przyniósł też miskę mleka, żeby nakarmiła oba kocięta, i rzeczywiście spróbowała to zrobić. Najpierw zanurzając w mleku szmatkę i podając im do possania jej rożek, potem wciąż na nowo podejmując inne, coraz bardziej rozpaczliwe próby; w końcu zamaczając ich pyszczki w misce w nadziei, że wylizując się do czysta, piłyby mleko, w ogóle tego nie zauważając.

Nic z tego nie pomogło i oto siedziała teraz, przyciskając do piersi dwa umierające koty i popłakując w duchu, niemo i bez łez.

Wtem postyszała kroki i dostrzegła pochylony cień, wchodzący do małego namiotu. Uznała, że to Ansgar, i nawet nie spojrzała w górę, ale kiedy usiadł obok niej, poczuła, że to ktoś inny. Poznała po sposobie, w jaki objął ją wzrokiem.

To był Erik. Nie była w stanie powiedzieć, co wyczytała w jego oczach. Patrzył na nią tak ciepło i przyjaźnie, że zbiło ją to z tropu, bo nie przychodził jej do głowy żaden ku temu powód, lecz w jego wzroku było coś jeszcze, co ją odstraszyło. W Eriku było coś... przerażającego, choć czuła, że nie było w nim ani krzty wrogości czy złej woli.

- Eriku? - zapytała w końcu.

-Wiesz, że one umrą - odrzekł, ruchem głowy wskazując na dwa kociątka, które przyciskała do piersi. Usnęły, ale

Katharina wyczuwała, jak cierpiała.

Pokręciła przekornie głową. - Nie dopuszczę do tego! - powiedziała. - Ich matka zginęła, aby mnie ocalić.

-Więc uważasz, że teraz masz wobec nich dług. - Erik westchnął i spojrzął na nią z przyganą w oczach. -Jej matka była zwierzęciem, które prawdopodobnie szukało jedynie ciepłego miejsca na noc.

Dlaczego sądził, że ją to coś obchodzi? Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Ansgar powiedział mi, że robisz sobie wyrzuty - kontynuował jarl - z powodu tego wojownika, który się spalił. Nie powinnaś. To, co go spotkało, jest złe. Nikt nie zasłużył na taką śmierć, nawet wróg, ale to nie jest twoja wina. Co się stało, to się nie odstanie. Taka wola bogów. Człowiekowi nie godzi się w nią wątpić.

Zapewne powiedział to tylko, żeby ją pocieszyć, ale osiągnął tym skutek wręcz odwrotny, ponieważ ni stąd, ni zowąd znowu ujrzała nieruchome ciało człowieka, który stracił życie w jej namiocie. W monotony plusk wioseł, sapanie i postękiwania mężczyzn, ciężkie uderzenia żagla i setkę innych odgłosów statku wmieszał się odległy krzyk, wynurzający się z głębin jej pamięci; przenikliwy krzyk palącego się żywcem człowieka, którego podpaliła.

Dlaczego nie odczuwała skruchy?

Przycisnęła jeszcze mocniej do siebie trzęsące się kocięta, a myśl, że umrą i że nie było absolutnie sposobu, aby temu zaradzić, była wprost nie do zniesienia. Wspomnienie człowieka, który z jej winy zginął w tak okrutny sposób, nic dla niej nie znaczyło.

To nie było w porządku. Jednak nie mogła tego zmienić.

- Dokąd... mnie zabieracie? - spytała.

Erik odczekał chwilę, mierząc ją wzrokiem w zamyśleniu. - Do Bjarnisund - powiedział w końcu - to niedaleko. Jeśli wiatr nadal będzie tak korzystny, dopłyniemy tam jeszcze przed wschodem słońca. - Katharina spojrziała na niego pytająco, a jarl dodał: - To nasz główny obóz. Spodoba ci się. Są tam dzieci, wiesz? Kilkoro jest w twoim wieku.

Katharina nie od razu zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

- Więc... więc mogę z wami zostać? - zapytała niepewnie.

- Na początek - odpowiedział Erik, także teraz po długim milczeniu - później zobaczymy.

- Na początek?

- Na początek - potwierdził i uśmiechnął się uspokajająco.

- Niech minie kilka dni, wówczas pomówimy raz jeszcze w spokoju. - Uniósł lekko głos, kiedy chciała mu przerwać. - To zbyt wiele dla ciebie, żebyś mogła to teraz zrozumieć, moje dziecko. Doświadczyłaś przemocy i lękałaś się o swoje życie. Twoja rodzinna wieś została zniszczona, a wszyscy twoi przyjaciele nie żyją.

- To nie byli moi przyjaciele - zachnęła się.

Erik uśmiechnął się wyrozumiale, jakby powiedziała coś bardzo głupiego. - Ale byli jedynymi ludźmi, których znałaś - powiedział - byli twoją rodziną, czy ci się to podoba, czy nie. Nie wyobrażaj sobie, że łatwo ci będzie zostawić za sobą tamto życie i dołączyć do nas jak gdyby nigdy nic. Nie jestem pewien, czy życie wśród nas ci się spodoba.

Dużo gorsze, od tego, które dotychczas przeżyła, nie mogło być, pomyślała z goryczą. Jarl miał rację, nie miała najmniejszego pojęcia o nim ani o jego ludzie, a tym bardziej o tym, jak życie wśród nich mogłoby wyglądać - ale czy mogło być gorsze niż te lata, o których pamiętała. Wszystkie te lata?

- Nie wiem, co Ansgar opowiedział ci o naszej ojczyźnie, dziećko, ale to surowy kraj, żądający niekiedy wysokie ceny za tę odrobinę życia, którą daje w zamian. Nie chcę, żebyś podejmowała pochopną decyzję, której możesz później żałować.

Czego niby miała żałować? Spania ze świniami, kiepskiego jedzenia, którego dostawała o wiele za mało, za to tym obfitsze cięgi?

Erik znowu spojrzął na nią w ten dziwny sposób, oczekując chyba, aż Katharina coś powie, lecz nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu wyciągnął rękę, wziął jedno z czarnych kociątek i obejrzał je dokładnie, nie zważając na piski protestu i fikanie łapkami. Następnie postąpił w ten sam sposób z drugim zwierzęciem. Nie wiedziała, dlaczego to robił, ale podziwiała delikatność, z jaką jego z pozoru tak niezgrabne palce obchodziły się z małą istotką. Jego pokryte bliznami łapska były ponad dwukrotnie większe od dwutygodniowych kociaków, ale była przekonana, że nie sprawił im

najmniejszego dyskomfortu.

- Dwa małe koty- powiedział, oddając jej drugie zwierzę - dzielnie się trzymają, chłopaki. Ale nie przetrwają. Ansgar ci nie mówił?

- Mówił.

- Ale nie chcesz tego uznać. Jednak czasem rzeczy po prostu się dzieją, czy nam się to podoba, czy nie.

Przerwał, gdy jeden z jego ludzi wsunął głowę do namiotu i rzucił kilka słów w ich języku. Erik odpowiedział burkliwą uwagą i nie mniej niechętnym gestem, po których tamten się spłoszył. Wyglądał na zirytowanego, kiedy na powrót zwrócił się do Kathariny, chociaż czuła, że to nie na nią skierowany był jego gniew.

- Muszę zadać ci kilka pytań, dziewczynko - powiedział - nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Ale jeśli to uczynisz, proszę, mów prawdę.

Katharina nie odpowiedziała. W ogóle nie zareagowała, przycisnęła tylko do siebie oba miauczące kocięta i zaczęła je głaskać, ale jej milczenie wydawało się wystarczać za odpowiedź.

- Ansgar powiedział mi już, że niewiele wiesz o swojej matce - powiedział - ale czy nie ma nic, co byś pamiętała? Ten ksiądz, który cię wychował - nic o niej nie mówił?

Chciała odruchowo potrząsnąć głową - o to wszystko pytał ją już nie tylko Ansgar, ale i on sam, a nie mogła zdradzić mu czegoś, o czym po prostu nie wiedziała - zamiast tego wzruszyła tylko ramionami.

- Tak? - spytał Erik.

- Nie o mojej matce - odrzekła niechętnie - ale parę razy nazwał mnie dzieckiem czarownicy. Tylko kiedy był pijany.

- Pijany? - Erik z widocznym trudem powstrzymywał się od uśmiechu. - Nie miałem pojęcia, że święci mężowie waszego ludu upijają się.

Katharina znowu odpowiedziała jedynie nieznacznym wzruszeniem ramion. Nie była pewna, kim lub czym naprawdę był ojciec Cedric, ale jednym z pewnością nie był: świętym mężem.

Erik zaśmiał się, jakby odgadł jej myśli, ale zabrzmiało to zarazem niewesoło.

- Co on przez to rozumiał: dziecko czarownicy?

- Pewnie nic - odpowiedziała - mówił wiele rzeczy, których nie rozumiałam. Pewnie chciał mi tylko sprawić ból. - Ojciec Cedric chętnie ranił ludzi. Kiedy się nad tym dobrze zastanowiła, to właściwie każdego.

- Czy on także nie żyje?

- Przybili go do krzyża.

Erik westchnął. - Tak, z tego, co mi o nim opowiedziałas, wnoszę, że sobie na to zasłużył. - Miał trochę zawiedziony głos. - Czy to jedyny człowiek, który mówił z tobą o matce?

- Tylko o mnie - poprawiła go Katharina - nie o mojej matce. -A graf Ellsbusch?

- On mnie w ogóle nie znał - odparła.

- A jednak byłaś na zamku, kiedy go zaatakowali? - Erik brzmiał jednoznacznie sceptycznie i nie zadał sobie najmniejszego trudu, by to ukryć. Niespodziewanie wszystko się zmieniło. Nagle poczuła się przesłuchiwana.

- To był przypadek - stwierdziła. - Przywiozłam na zamek ładunek owsa i myślę, że chciał sobie ze mnie zakpić - roześmiała się gorzko. - Nawet nie zauważył, że jestem dziewczyną. - Dlaczego zadawał jej te wszystkie pytania? Opowiedziała już Ansgarowi i jemu, i tamtym trzem o wszystkim, co wydarzyło się tamtej nocy. I to więcej niż raz.

- Nie on jeden - powiedział Erik - nawet mojemu synowi się to przytrafiło.

- W trakcie czy po tym, jak go stłukłam?

Erik zmarszczył karcąco czoło, ale niezupełnie udało mu się powstrzymać zdradzające rozbawienie drganie kącików ust.

- A Guy de Pardeville?

Tym razem Katharina wcale nie odpowiedziała. Wprawdzie siwy jarl zadał to pytanie swobodnym tonem, jakby chciał tylko podtrzymać rozmowę, ale czuła, że kryło się za nim coś więcej.



- Chcę ci więc coś o nim opowiedzieć - powiedział Erik, gdy milczała już wystarczająco długo, by mu uświadomić, że na tym poprzestanie. - Guy de Pardeville pochodzi z obcego kraju. Z Francji. Słyszałaś o tym kiedyś?

Zaprzeczyła.

-Jego rodzina była tam bardzo potężna i bardzo bogata - kontynuował Erik - ale popadli w niełaskę i musieli opuścić swoje ziemie.

Wielu z nich przeniosło się w miejsce, które zwiecie Ziemią Świętą, aby nawracać tam pogan, ale niektórzy przybyli tutaj. Nikt dokładnie nie wie, co zdarzyło się wówczas w ich ojczyźnie, ale mówi się, że miało to związek z nami.

- Z wami?

- Nie z naszą rodziną, ale z naszym ludem - odrzekł Erik. - Niestety, nadal jest wielu, którzy myślą tak jak Wulfgar i jego banda morderców. Cokolwiek to było, Pardeville był jeszcze chłopcem, kiedy on i jego rodzina tutaj przybyli i od tamtego czasu nienawidzi wszystkiego, co w jakikolwiek sposób łączy się z nami.

Przerwano im ponownie, gdy ten sam człowiek, który przed chwilą zajrzał, wrócił i powtórzył swoje słowa, teraz zdecydowanie nagłym tonem. Mina Erika sposepniała jeszcze bardziej, ale tym razem nie skarcił intruza, przeciwnie, wyglądał na zaniepokojonego.

- Będziemy kontynuować naszą rozmowę później - powiedział, kiedy już wstawał - postaraj się trochę przespać.

Wyszedł, zanim Katharina zdołała zadać następne pytanie. Jeżeli swoimi ostatnimi słowami zamierzał ją uspokoić, to osiągnął coś zgoła przeciwnego. Marszcząc czoło, powiodła za nim wzrokiem, po czym ostrożnie ułożyła kociaki na miękkim futrze, którym wysłany był namiot, przykryła je podwiniętym skrajem skóry i również wyszła z namiotu.

Kiedy się wyprostowała, dostała zawrotu głowy, częściowo wskutek tego, że statek pod nią niespokojnie się chygotał. Ale nie tylko.

Ansgar najwyraźniej miał rację, przypuszczając, że Katharina nie nadaje się do żeglugi. Cokolwiek to znaczyło.

Postała chwilę z zamkniętymi oczami, czekając bezskutecznie, aż ciemność pod powiekami przestanie wirować na wyścigi z resztą świata, po czym z zaciśniętymi zębami ruszyła dalej. Czuła jak z każdym krokiem jej kolana stają się coraz chwiejniejsze, a znajomy zapach rzeki przybrał nagle cierpką nutę. Poczowała mdłości wzbierające pod językiem gorzką śliną.

Jeśli skupię się na tym choćby odrobinę dłużej, pomyślała, to pewnie zaraz naprawdę zwymiotuję - jakoś mało ją cieszyła myśl o tym, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po przyjsciu do Erika, będzie chluśnięcie mu pod nogi.

Skoncentrowała się i powstrzymawszy z wysiłkiem nudności, ruszyła w dalszą drogę. Werdandi wyraźnie przyspieszyła, a mężczyźni przy ciężkich wiosłach zdwoili teraz wysiłki. Katharina odczuła unoszące się nad statkiem napięcie. Erika znalazła na rufie, zaledwie kilka kroków dalej; stał z Ansgarem i dwoma innymi mężczyznami.

Jednak dopiero zbliżywszy się do nich, ujrzała zwałisty cień, który pojawił się za Werdandi. Noc była niezwykle ciemna, ledwie mogła rozpoznać ów złowrogi cień, jednak dostrzegła, że jest potężny, o wiele większy niż Werdandi, a tam, gdzie stykał się z nie mniej ciemną wodą, ciągnęła się cienka smuga piany.

- Co to jest? - szepnęła przerażona.

Ansgar odwrócił się do niej gwałtownie, wybałuszył oczy i spojrzał na nią z czystym przerażeniem, również Erik mierzył ją wyraźnie karcącym wzrokiem. - Czy nie prosiłem cię, żebyś została w namiocie?

- Nie - odrzekła zgodnie z prawdą.

Ansgar ciągle wyglądał na przerażonego, ale kiedy zamierzał coś powiedzieć, dziadek szybkim ruchem zmusił go do milczenia.

- To Fenrir - odparł - statek Wulfgara.

- Czego on od nas chce?

Zamiast odpowiedzieć, Erik się odwrócił i wykrzyczał ostry rozkaz w swoim ojczystym języku, a mężczyźni przy wiosłach po raz kolejny zdwoili wysiłki. W pierwszej chwili wydawało się, że nic się nie stało, ale potem przez pianki pod jej stopami przebiegło łagodne drżenie i poczuła, jak łódź przyspieszyła. Po zaledwie kilku dziesiątkach uderzeń zdawali się wręcz pędzić przed wiatrem, bo wielki czerwono-biały żagiel nad ich głowami nagle zwiesił się luźno z rei.

Nie była pewna, czy widziała po prostu to, co chciała zobaczyć... ale wydawało się jej, że ów drugi statek stopniowo

zostawał w tyle.

- Uda się nam? - spytała.

Erik nie odpowiedział, nieustannie przyglądając się monstrualnemu cieniowi za nimi, ale Ansgar potrząsnął po chwili głową. - Nie.

- Ale oni zostają w tyle! - zaprotestowała Katharina.

- Fenrir jest dużo większy- odpowiedział Ansgar - ma dwa razy tyle wioseł co my, a ludzie nie wytrzymają już długo takiego tempa.

- Ale oni zostają w tyle! - upierała się Katharina, jak gdyby musiała tylko powtarzać to wystarczająco często, a zwykle pragnienie stanie się prawdą.

Ansgar tylko niemo pokręcił głową, ale tym razem odpowiedział dziadek: - Bo on się z nami bawi.

Przez chwilę wpatrywał się jeszcze w milczeniu w rozmazany kontur za nimi, po czym obrócił się szybko w miejscu i szczerknął pojedynczy zwięzły rozkaz. Werdandi zadrżała po raz drugi, gdy wioślarze wrócili do zwykłego rytmu, a statek zwolnił.

- Ależ co wy robicie? - wyrwało się Katharinie. Czy Erik oszalał?

- Dogonią nas tak czy owak - wyjaśnił Ansgar - mężczyźni nie staną do walki, jeśli będą śmiertelnie wyczerpani.

- Walczyć? - Katharina powtórzyła wystraszona. Ale dlaczego?

Chyba nie... przez nią?

- Umiesz pływać? - spytał zniecierpliwiony Erik.

- Nie - odparła Katharina. Pływać? Już sama myśl o przebywaniu na statku napęłniała ją panicznym lękiem, gdyby tylko naprawdę ją do siebie dopuściła.

- Zatem musimy walczyć - skonstatował ponuro Ansgar.

- Walczyć? - Ręka jarla zacisnęła się na rękojeści miecza za pasem z taką siłą, że jego stawy trzasnęły jak suche gałązki. Jednak mimo to potrząsnął głową. - To byłoby samobójstwo i nic by nie dało. Jest ich co najmniej dwa razy tyle co nas.

- Ale my nie jesteśmy skarlingami jak oni! - fuknął Ansgar.

Cokolwiek oznaczało to słowo, sprowadziło na usta Erika przelotny uśmiech. Mimo to pokręcił raz jeszcze głową, a potem spojrział na dziób. Katharina popatrzyła w tym samym kierunku, ale nie dostrzegła nic prócz ciemności i bezgłośnie mocujących się ze sobą cieni.

Widocznie mimo wieku Erik miał bystrzejsze oczy niż ona - albo po prostu świetnie się orientował w sytuacji. - Wiosłujcie szybciej! - rozkazał. - I płońcie bliżej brzegu! Nie dogonią nas przed zakolem rzeki. Jeśli będziemy wystarczająco blisko brzegu, to może zdążycie, nim znajdą się w zasięgu wzroku. Pomożesz jej, Ansgar!

Chłopak nie wyglądał na zachwyconego, ale skinął głową w milczeniu, a Katharina zdziwiła się trochę, że Erik wypowiedział te słowa po niemiecku, a nie w swoim języku.

Dopiero, gdy powtórzył je głośniejszą właśnie w tej mowie, na co Werdandi ponownie przyśpieszyła, pojęła, że zrobił to ze względu na nią i zaczęła przeczuwać, co miał na myśli.

Zdjęło ją przerażenie.

- Naprawdę nie umiem pływać - jęknęła żałośnie, gdy Ansgar chwycił ją za ramiona i dość niedelikatnie popchnął z powrotem do namiotu.

- Naprawdę nie umiem... - zaczęła ponownie i urwała dysząc, złęczona, gdy chłopak nie cackając się, obrócił ją i jeszcze niedelikatnie) pchnął w kierunku dziobu.

- No i nie musisz - powiedział - pływam wystarczająco dobrze za dwoje.

No tak, teraz była w panice.

Ansgar szturchnął i targał ją dalej, aż dotarli na dziób Werdandi.

Tymczasem łódź znacząco nabrała prędkości i pruć jak strzała po płynącej w dole czarnej rzece, a spojrzawszy w tył

przez ramię, dostrzegła, że ów drugi statek zaczął teraz wyraźnie zostawać w tyle.

Zarazem jednak niemal wyczuwała, jak wiele dodatkowej siły kosztowało mężczyzn każde pociągnięcie wiosła. Statek zdawał się ciągle jeszcze przyspieszać, ale było jasne, że tego tempa długo już nie utrzymają.

Trzymając się lewą ręką drewnianej głowy smoka i mocno opierając się o pokład obiema stopami, z bijącym sercem wychyliła się i spojrzała w dół na wodę. W nocy sprawiała wrażenie czarnej jak smoła, zdawała się pochłaniać nawet tę odrobinę przenikającego przez chmury blasku gwiazd. Nawet wzburzana wytrwałą pracą wiosła, piana pozostawała czarna.

- Nie obawiaj się - rzekł Ansgar - umiem naprawdę dobrze pływać. Zabiorę cię bezpiecznie do brzegu. Ale musisz mi zaufać. Jeżeli zaczniesz się szamotać albo co gorsza wpadniesz w panikę, oboje możemy się utopić.

Tak, to było wielce pocieszające, pomyślała Katharina. Serce znowu zabiło jej szybciej, teraz zdawało się walić w jej pierś małymi piąstkami.

Spojrzała przed siebie. Zakole rzeki, o którym mówił Erik, ukazywało się stopniowo po prawej stronie, zbiorowisko złowrogich cieni, które równie dobrze mogło być bramą do piekła. Myślała o tym, co ją czekało po tamtej stronie. Usiłowała oszacować, ile jeszcze potrzebowali czasu, by do niego dotrzeć, ale nie zdołała nic ustalić. W każdym razie nawet w przybliżeniu nie dość długo.

- Chodźmy z powrotem - powiedział Ansgar i wykonał gest w kierunku, z którego właśnie przyszli, ku burcie. - Naprawdę nie musisz się o nas martwić.

Najwyraźniej uparł się, żeby mi napędzić strachu, pomyślała Katharina. I udało mu się. Nie ruszyła się z miejsca. - Ale dlaczego?

- wybąkała tylko.

Ansgar milczał przez chwilę zakłopotany, w końcu jednak odpowiedział. - Dziadek chyba uważa, że Wulfgar jest tutaj z twojego powodu.

Katharina nie była nawet zaskoczona. Niemniej zapytała: - Dlaczego?

- Bo już wczoraj wieczorem chciał, żebyśmy cię wydali - odparł.

- Dziadek nie umiał sobie tego wyjaśnić. Pociągnął głośno nosem, aby ukryć zmieszanie. - Myślę, że odmówiłby, nawet gdyby to nie był Wulfgar, i choćby poprosił, zamiast żądać.

Katharina przezornie nic na to nie rzekła.

- Gdyby Erik wiedział wcześniej, że rozpoznałaś Wulfgara...

- Gdybym Wulfgara zobaczyła wcześniej... - odparła Katharina.

- Hm - mruknął Ansgar, po czym powtórzył nagłące skinienie w kierunku rufy. - Chodź.

To było dokładnie to, czego na całym świecie pragnęła najmniej.

Poszła jednak za nim, zauważyła przy tym coś, co jeszcze bardziej pogłębiło jej strach - mężczyźni wiosłowali z tak desperacką energią, jakby chodziło o ich życie - o co zapewne chodziło - mimo wszystko statek ciągle zwalniał. Ich siły były już na wyczerpaniu. Fenrir pozostał w tyle na znaczną odległość, ale zaczął już nadrabiać stratę i Katharina widziała, z jaką łatwością to robił. Erik miał rację, pomyślała przygnębiona, Wulfgar się z nimi bawił.

- Już czas - powiedział Erik - boisz się? - Nie - skłamała Katharina.

- A powinnaś - odrzekł poważnie, chociaż z ledwie widocznym uśmiechem. Zwrócił się do swojego wnuka. - Po dotarciu do brzegu natychmiast biegnijcie na górę w las. Maersk i Haagr pójdą z wami, a jak tylko dotrzemy do Skaergaede, wyślę wam naprzeciw wojowników. Trzymajcie się z dala od ludzi. Nie wiemy, kto tak naprawdę jest po naszej stronie.

Dołączyło do nich dwóch mężczyzn, zdjęli hełmy i zrzucili z siebie płaszcze i ciężkie kolczugi. Broń zatrzymali, a na kolejne skinienie Erika jeden z mężczyzn dał Ansgarowi wąski pas bojowy, na którym wisiało coś, o czym Katharina nie mogła powiedzieć, czy był to jakiś szczególnie mały miecz czy niezwykle duży nóż. Nawet Ansgar wyglądał na zdumionego.

- Nie będziesz zgrywał bohatera - oznajmił dobitnie Erik, podczas gdy Ansgar przypasywał sobie broń - ale jeśli nie będzie innego wyboru, masz jej bronić z narażeniem życia.

A wszystko to tylko z jej powodu?

- Nie chcę... tego - ku własnemu przerażeniu Katharina usłyszała się, jak wypowiada te słowa. Ansgar wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczami, Erik też wyglądał na nieco zmieszanego; choć nie tak bardzo jak sama Katharina, która zastanawiała się, czy naprawdę postradała zmysły.

Niemniej, kontynuowała: - Nie chcę, aby kolejnym ludziom stała się przeze mnie krzywda.

Ansgar chciał coś powiedzieć, lecz Erik go uprzedził. - To szlachetne z twojej strony, moje dziecko... ale już od dawna nie chodzi tu o ciebie.

Szorstkim ruchem ogłosił tę kwestię za zakończoną i zwrócił się ponownie do wnuka i dwóch pozostałych mężczyzn. - Przygotujcie się. Skoczycie, gdy tylko znajdziemy się przy skałach. Przy odrobinie szczęścia dotrzecie do drzew, zanim zdołają was dostrzec z Fenrira.

Łódź zakołysała się lekko, kiedy dopłynęli do zakola rzeki. Groźne cienie, które widziała wcześniej, okazały się zbiorowiskiem piętrzących się na wysokość domu skał, wrzynających się w rzekę niczym kamienny jęzor, na tyle głęboko, by rzeczywiście zapewnić im dostateczną zasłonę. Ale widziała też, z jaką wściekłością spieniona woda rozbijała się u podnóża tej kamiennej bariery i choć o żeglowaniu wiedziała niewiele, Werdandi podpłynęła jak na jej gust zdecydowanie zbyt blisko rafy. Długie wiosła prawie dotykały skały.

- Przygotujcie się - zakomenderował Erik dwa razy i w obu językach.

Ansgar postawił nogę na niskiej burcie i sięgnął po jej rękę, a Katharina zupełnie instynktownie spróbowała zrobić krok do tyłu.

Szybko wpadła na stojącego za nią jednego z jej dwóch towarzyszy; zapewne gotowego bezceremonialnie wrzucić ją do wody, gdyby nie chciała skoczyć dobrowolnie.

- Po prostu wstrzymaj oddech - poradził jej Ansgar.

To nie powinno być trudne, pomyślała. Ze strachu i tak prawie nie mogła oddychać. Zmusiła się, aby raz jeszcze wziąć głęboki wdech, gdy Erik niespodziewanie wykrzyknął: - Stop! - i pociągnął ją tak mocno do tyłu, że się zatoczyła, Ansgar zaś zaczął wywijać ramionami, żeby teraz nie wpaść do wody mimowolnie i na oślep.

Werdandi zadrżała, gdy niektórzy mężczyźni najwyraźniej źle zrozumieli okrzyk i przestali wiosłować.

Katharina instynktownie wyrwała się i odwróciła. Nie zdołała powstrzymać strwożonego stęknienia na widok dwóch monstrualnych cieni, które z wirującymi wiosłami gnały wprost na Werdandi. To była pułapka, zrozumiała z przerażeniem. To że statek Wulfgara został tak daleko w tyle, nie wynikało ze szczęścia, ani z okoliczności, że jego kapitan grał z nimi w okrutną grę. Wulfgar wiedział doskonale, że za zakrętem czekają na nich dwa inne statki.

Ogarnęła ją czysta panika. Gdyby Erik ponownie jej nie chwycił i mocno nie przytrzymał, wyskoczyłaby chyba za burtę i starała się dotrzeć do brzegu, nie zwracając sobie głowy zbytecznym pytaniem, czy właściwie umiała pływać, czy nie.

Rzecz dziwna, choć na pokładzie wybuchło na chwilę ogromne zamieszanie i łódź napelniła się gwarem, Katharina na próżno oczekiwała jakichś oznak strachu czy paniki. Wręcz przeciwnie, teraz również pozostali mężczyźni przestali wiosłować, tak iż statek mknął naprzód gnany już tylko własnym rozpędem, nadal szybko, choć już gwałtownie zwalniając. Jeszcze osobliwsze wydało jej się to, że żaden z mężczyzn nie sięgał po broń, ani nie zdawał się tak naprawdę zaniepokojony - Co... to znaczy? - zapytała po chwili wahania.

Ansgar z widocznym wysiłkiem oderwał wzrok od dwóch zbliżających się smoczycy łodzi, obdarzył ją szerokim uśmiechem, a następnie odwrócił się i spojrzał tam, gdzie zza skały w każdej chwili musiał pojawić się Fenrir. - To są Urd i Skuld - powiedział - dwa inne nasze statki.

Katharina zrobiła wielkie oczy. - Wasze statki?

- I przykra niespodzianka dla Wulfgara - uśmiechnął się drwiąco.

- Szkoda, że nie będę mógł widzieć jego twarzy, kiedy się zaraz pojawi i je zobaczy. - Zrobił gniewną minę. - Teraz mamy nad nim przewagę. Pozostaje mieć nadzieję, że Fenrir nie zostanie zbyt poważnie uszkodzony. To w gruncie rzeczy piękny statek, który nic nie może poradzić, że dostał takiego właściciela.

- Milcz! - zgromił go Erik. Głośniej i w swoim ojczystym języku rzucił kilka słów do załogi, po czym wojownicy po lewej stronie ponownie zanurzyli wiosła. Statek zmienił kurs i początkowo szerokim, potem coraz ostrzejszym łukiem sunął ku środkowi rzeki. Dwa pozostałe statki - z których jeden był znacznie większy od Werdandi - dostosowały kurs i także zwolniły. Zanim jeszcze zakończyły zwroty, zza zakola rzeki wyłonił się Fenrir. Nawet w nocy gigantyczna głowa wilka z groźnie obnażonymi zębami wyglądała na żaglu złowieszczo.

Erik dalej wykrzykiwał rozkazy w swoim języku, a kilku mężczyzn, którzy nie byli zajęci przy wiosłach, dobyli broni i zdejmowali z burt wielkie okrągłe tarcze.

Mimo to Ansgar nie wyglądał na zadowolonego i wygłosił uwagę, z której wywiązała się krótka, acz burzliwa dyskusja z jego dziadkiem, którą Erik zakończył dokładnie tak, jak to miał w zwyczaju, mianowicie rozkazującym słowem i jeszcze bardziej rozkazującym gestem.

- Czy coś jest nie tak? - spytała Katharina, po tym jak Ansgar wycofał się z zaciśniętymi zębami i z oczywistych powodów zrobiła to jednak na tyle cicho, że Erik nie mógł dosłyszeć jej słów.

- Nie chce go zaatakować! - powiedział - okazja jak ta zapewne nigdy więcej już się nie nadarzy, ale nasz jarl jest temu przeciwny!

- Przeciwny czemu? - spytała.

Być może nie mówiła tak cicho, jak myślała, bo to Erik odpowiedział, nie jego wnuk.

- Wszczęciu wojny, moje dziecko - rzekł, wprawdzie uśmiechając się w kierunku Kathariny, lecz zarazem z

ganiącym spojrzeniem na Ansgara.

- Którą to raczej Wulfgar... - obruszył się Ansgar, lecz Erik mu przerwał: - On nic nie zrobił z wyjątkiem płynięcia za nami i jak długo nie zrobi nic innego, z pewnością nie sięgniemy po broń pierwsi.

Ansgar prychnął z oburzeniem, ale na tym stanęło, a Erik i inni udali się na dziób Werdandi, sunącej wolno między dwiema innymi smoczymi łodziami. Tymczasem także Fenrir nie tylko zwolnił, ale obracał się z łatwością, która Katharinie przy statku tej wielkości i rzekomej ociężałości wydawała się istic niewiarygodna.

Potem odkryła coś jeszcze, na widok czego przebiegł jej po plecach lodowaty dreszcz. Pokład Fenrira zdawał się wprost przepelniony ludźmi. Katharina nawet nie próbowała ich policzyć, ale musiały ich być tuziny, a co gorsza, rozpoznała tych wojowników. Ogromne ciężkozbrojne postacie z dziwacznymi hełmami i zmierzwionymi futrzanymi płaszczami, które nawet teraz, kiedy wiedziała, kim byli, ciągle wydawały jej się bardziej demonami niż ludźmi.

Gdy statek znalazł się w zasięgu głosu, Wulfgar podszedł do burty i przyłożył do ust złożone w tubę ręce. - Eriku, stary przyjacielu! - zawołał. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie - odkrzyknął w ten sam sposób Erik - ale dlaczego nas ścigacie?

- Słyszeliśmy o ataku na wasz obóz i martwiliśmy się, że *coś* ci się mogło stać! - odrzekł Wulfgar. - Wszystko u was w porządku?

Mamy was eskortować z powrotem do Skaergaede?

- Dzięki za propozycję, ale jak widzisz, jesteśmy w dobrych rękach - odpowiedział Erik, wskazując gestem na pozostałe dwie smocze łodzie. - Ale dzięki za pomoc!

Nawet z dużego oddalenia widać było po Wulfgarze, że ta odpowiedź napelniła go czymś zgoła innym niż radością. Ale już nic na to nie odrzekł, tylko wzruszył ramionami i odszedł od burty, a po chwili wiosła Fenrira zaczęły obracać się miarowo, a okręt nabierał szybkości.

- Tak, tylko się o nas martwił i ścigał nas po to, żeby się przekonać, że wszyscy mamy się dobrze - natrząsał się Ansgar.

- Na to wygląda - odpowiedział Erik - cóż to za miłe uczucie, mieć tak liczną rodzinę, która się o ciebie troszczy, prawda?

Nie zdążyli dotrzeć do Bjarnisund przed wschodem słońca, jak to jej obiecał Erik, ale krótko po brzasku, co spowodowało, że zobaczenie wsi po raz pierwszy stało się dla Kathariny przeżyciem, którego długo nie mogła zapomnieć - było na poły upiorne i bajeczne.

Nie mogła się co do tego zdecydować; może dlatego, że faktycznie miało w sobie coś z bajki i koszmaru. Wisząca nad rzeką poranna mgła wpelzała półprzezroczystymi kłęбами na nadrzeczną skarpe, a słońce stało jeszcze tak nisko, że jego padające niemal poziomo na rzekę promienie rozświetlały opary niczym widma. Można było rozpoznać w nich zarysy, które mogły być domami, choć równie dobrze powstałymi z jej najmroczniejszych koszmarów mitycznymi stworami, czekającymi na brzegu, by ją pożreć. Kilka drewnianych pomostów, jakie Katharina widziała już w Skraevald, wrzynało się na sporą odległość w rzekę, a przy jednym z nich przycumowana była jeszcze jedna smocza łódź, której ozdobiony rzeźbionym smoczym łbem dziób wyzierał spośród mgieł niczym wyciągnięta szyja ogromnego morskiego węża. Zatem Erik posiadał w sumie cztery statki, może nawet więcej. Musiał być bardzo bogatym człowiekiem; kto wie, czy nie bogatszym od grafa Ellsbuscha.

Katharina próbowała zasnąć choć na chwilę, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Zbyt wiele myśli tłukło jej się po głowie, a wszystkie zdawały się pozbawione jakiegokolwiek sensu. Większą część nocy spędziła na leżeniu w ciasnym namiocie i przyciskaniu do siebie dwóch bezradnych kociąt, aby przynajmniej oddać im trochę ciepła, jeśli nie było już nic innego, co mogła dla nich zrobić. To była mroczna, straszna noc, która nie chciała się skończyć.

W sumie dobrze, że tej nocy nie zaznała snu, bo inaczej mogłaby przegapić ten tak wyjątkowo czarowny moment, w którym po raz pierwszy zobaczyła ów obcy świat, a przecież miała w nim spędzić znaczną część swego przyszłego życia.

Pośród mgły nastąpił jakiś ruch, z początku tak niewyraźny i subtelny, że zdawał się rozpląwać od samego zetknięcia z jej spojrzeniem, ale gdy podpłynęli bliżej, cienie okrzepły w ludzkie sylwetki, a krótko potem usłyszała głosy. Pozostałe dwa statki niepostrzeżenie zostały w tyle, tak że Werdandi pierwsza przybiła do przystani i z delikatnym szarpnięciem ostatecznie znieruchomiła. Jeszcze zanim mężczyźni zdążyli zacumować statek, przemienione w ludzkie postacie cienie zaczęły spływać na pomost, wychodząc im na spotkanie z głośnymi pozdrowieniami i żywą gestykulacją. Natychmiast wokoło zaczęły się podeksycytowane rozmowy i dyskusje, kobiety śpieszyły na pomost lub od razu na pokład, aby

powitać swoich mężów, synowie ojców, a przyjaciele przyjaciół, których widocznie od dawna nie widzieli. Pozostałe dwa statki sunęły jeszcze obok nich, kierując się ku drugiemu pomostowi, a na pokładzie już powstał taki ścisk, że Katharina przeleżała się, że ją zaduszą.

Wreszcie Erik i jeden z jego wojowników wzięli ją między siebie, podczas gdy inny ruszył przodem, torując im swoimi szerokimi barami drogę, ale nawet wtedy nie posuwali się zbyt do przodu.

Zrobiło się lepiej dopiero, gdy zostawili za sobą przystań i zabrali się do krótkiego podejścia skarpą do wioski. Było tak strome, że wzdłuż i wszerz wydrążono w ziemi wąskie stopnie i umocniono je grubymi konarami i belkami, tworząc rodzaj skomplikowanych schodów, na których widok Katharina dostawała zawrotów głowy.

Kiedy zbliżali się do pierwszego z osobliwych budynków, wyszła im naprzeciw szczupła kobieta w nieokreślonym wieku, której blond włosy zaplecione były w takie same grube warkocze jak włosy Ansgara. Jej twarz rozjaśniła się, kiedy zobaczyła Erika, pomachała mu i przyspieszyła kroku. Nastąpiły kolejne wylewne powitania i ożywiona rozmowa. Katharina nie musiała rozumieć słów, by pojąć, że tych dwoje łączyło coś więcej niż tylko przelotna znajomość.

W końcu Erik puścił kobietę i odwrócił się do Kathariny z ożywieniem wymachując rękami. - To jest Arla - powiedział - moja córka i ciotka Ansgara. - Zamachał rękami z jeszcze większym przejęciem. - Katharina. - Po czym wyrzucił z siebie krótki, gorączkowy potok słów w swoim języku.

Arla przechyliła głowę na bok i przyglądała jej się z nieskrywaną, ale życzliwą ciekawością. Potem w jej oczach pojawił się nowy, pytający wyraz. Badawczy wzrok kobiety powędrował wiele razy w dół i w górę po ciele Kathariny, ale ta dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zdumienie jasnowłosej nie brało się z niej samej, lecz z sukni, którą miała na sobie.

- To długa historia - wyjaśnił Erik, raptownie przechodząc ponownie na niemiecki - opowiem ci później, ale mała najpierw musi dojść do siebie i przypuszczam, że po wyczerpującej nocy, którą ma za sobą, nie miałaby nic przeciwko dobremu śniadaniu. Chyba pod moją nieobecność nie zapomniałaś gotowania?

- Przez całe trzy tygodnie? - Arla roześmiała się, ale urwała, przybierając pytający wyraz twarzy, bo w tym momencie dostrzegła oba malutkie kocięta, które Katharina przyciskała do piersi. Zanim zdążyła zadać pytanie, Ansgar wyrzucił z siebie potok słów w ojczystym języku. Arla wysłuchiwała go cierpliwie, poprzestając na jeszcze jednym dyskretnym wzruszeniu ramionami.

- Wejźmy do domu - powiedział dziadek - mamy wiele do omówienia, ale przede wszystkim nasz gość musi coś zjeść. - Zmierzył ją wymownym spojrzeniem. - I się wykapać.

Skierowali się do jednego z niskich, zdumiewająco długich budynków, skupionych wokół półkolistego placu i tworzących w ten sposób całą wioskę. Na jego przeciwległym skraju wznosił się wielce osobliwy budynek. Jako jedyny we wsi miał więcej niż jedną kondygnację, a dodatkowo dziwnie asymetryczną wieżę, pochyloną w jego stronę. Poza tym kryty był nie słomą, lecz cienkimi drewnianymi gontami. Gdyby nie wyglądał tak kuriozalnie - i gdyby nie wiedziała, że ten naród niewątpliwie hołdował ciemnemu bałwochwalstwu - uznałaby go za kościół. Tymczasem jednak jego przeznaczenie pozostawało dla niej zagadką.

Również pozostałe budynki miały obcą konstrukcję, wszelako odpowiadały już bardziej temu, czego się spodziewała po tak surowym i barbarzyńskim ludzie. Nawet najmniejszy ze zwalistych, długich domów był dużo większy niż największy dom w Ellsbusch, a ich murów nie wypełniały słoma i glina; wzniesiono je z połączonych z sobą nader zręcznie, ciężkich pni drzew. Z płaskimi, krytymi strzechą dachami i małymi okienkami wyglądały niemalże groźnie - choć właśnie nie do końca - zarazem jednak ich masywność działała uspokajająco. Katharina była pewna, że nie istniała żadna wyobrażalna siła natury, która zdołałaby je uszkodzić.

Po kilku krokach zwróciła się do Erika z pytającym spojrzeniem.

- Co to jest? - spytała, wskazując rzekomy kościół.

- Nasz kościół - odpowiedział Erik.

- Wasz... kościół? - powtórzyła z niedowierzaniem. Czy ojciec Cedric nie twierdził zawsze, że wszyscy obcy byli heretykami i bałwochwalcami?

- Jesteśmy chrześcijanami - potwierdził jarl i jakby to stwierdząc - nie nie było wystarczająco nedorzeczne, uśmiechnął się nagle szeroko i ruchem głowy wskazał na swoją córkę.

- A Arla jest naszą kapłanką.

Katharina zdziwiła się tak, że zgoła nic już na to nie powiedziała.

Nie była też pewna, czy to prawda. Może tych dwoje pozwoliło sobie z niej w dziwny sposób zażartować.

Spodziewała się, że skierują się do największego budynku, Erik był przecież jarłem tej wsi, a tym samym pewnie kimś w rodzaju burmistrza albo kimś jeszcze ważniejszym - jednak stało się inaczej.

Arla zaprowadziła ją do jednego z mniejszych budynków, wewnątrz którego czekało ją kolejne, całkiem miłe zaskoczenie. Nie wiedziała dokładnie, czego oczekiwała - zapewne niczego - może co najwyżej czegoś takiego jak w Ellsbusch: małych, ciemnych, niskich pomieszczeń, tak ciasnych, że miało się uczucie, iż nie sposób w nich oddychać, wiecznie cuchnących palonym drewnem i mokrą słomą. Zapach popiołu i zwęglonego drewna odczuwalny był również tutaj, ale z pewnością nie tak natłoczony i przyprawiający o mdłości, a dom w pierwszej chwili wydał jej się większy w środku niż na zewnątrz.

Wrażenie, które zapewne pochodziło od wysokiego słomianego dachu, dźwiganego przez istną pajęczynę belek. Poza tym całe wnętrze składało się z jednego tylko pomieszczenia i bardzo niewielu mebli.

- Usiądź, dziecko.

Arla wskazała głową mały stół otoczony czterema prostymi stołkami bez oparc. - Zrobię ci zaraz coś do jedzenia, ale najpierw muszę na nowo rozniecić ogień. Ansgar, weź sobie kilku przyjaciół do pomocy i przynieś wodę z rzeki; tyle, żeby starczyło na kąpiel.

- Ale ja dopiero co... - zaprotestował chłopak, ale gdy Arla rzuciła mu surowe spojrzenie, przezornie nie dokończył zdania. Nadał się wprawdzie, ale szybko wyniósł się truchtem, także Erik, zamieniwszy z córką jeszcze kilka słów, poszedł sobie, choć nie omieszkał jej rzucić jednego z tych dziwnych spojrzeń.

Katharina była rozczarowana. Nagle znowu zawładnęła nią obawa, choć nie miała pojęcia, dlaczego i przed czym. Z pewnością nie przed Arłą. Wprawdzie знаła ją zaledwie od kilku chwil, ale ta kobieta miała przyjazne oczy Erika i - w całkowicie odmienny sposób - także jego siłę.

- Usiądźże, dziecko - powtórzyła Arla i tym razem Katharina posłuchała; choćby dlatego, iż ciągle miała uczucie, że znajduje się na Werdandi, która się pod nią gwałtownie przemieszcza.

Na niewiele się to jednak zdało, bo gdy tylko usiadła, poczuła jak na jej kończyny opadają niewidzialne, ciężkie brzemiona i ni stąd, ni zowąd poczęła zmuszać się całą siłą woli, żeby utrzymać otwarte oczy.

Arla uwijała się tymczasem przy czymś, czego Katharina nie umiała nazwać, a kiedy wróciła do stołu, w lewej dłoni trzymała drewniany kubek, z nad którego unosiła się para. W drugiej niosła pleciony koszyczek, wyłożony miękkim materiałem. Delikatnym, ale zdecydowanym ruchem zabrała Katharinie oba młode koty, które natychmiast zaczęły kwilić, i je do niego włożyła.

- Nie chcą pić - powiedziała ze smutkiem Katharina.

- Ponieważ są na to o wiele za małe - powiedziała Arla. - Jeśli zabrałaś je ich matce tylko dlatego, że są takie słodkie, wyświadczyłaś im niedźwiedzią przysługę.

- Ona nie żyje - powiedziała Katharina.

Arla westchnęła, umieściła koszyczek na stole w ten sposób, że mogła go łatwo dosięgnąć i położyć w nim rękę, a kotki, czując ciepło jej palców, a może też jej zapach, natychmiast przestały piszczeć.

Arla wyglądała na nieco zaskoczoną, ale na jej twarzy ukazał się ciepły uśmiech.

- Wypij herbatę - powiedziała. - Może ci nie smakować, ale z pewnością dobrze ci zrobi.

Katharina upiła łyk i przyznała Arli rację - herbata smakowała rzeczywiście obrzydliwie. Mimo to ostrożnie wmusiła ją w siebie drobnymi haustami, bądź co bądź była wystarczająco gorąca, by wywołać w żołądku uczucie błęgiego ciepła. Nigdy nie mogła być zbyt wybredna. Nawykła do spożywania rzeczy smakujących ohydnie i, jak mniemała, wcale jej niesłużących.

Przez jakiś czas Arla znowu uwijała się gdzieś w wielkim pomieszczeniu, zrobiła coś przy kominku, a potem wróciła. Tym razem przyniosła ze sobą miskę z mlekiem i drugi pleciony koszyczek, który zdawał się zawierać przybory do szycia i skrawki wszelkiego rodzaju tkanin i skór.

Katharina wciąż ostrożnie sączyła napój z kubka, stwierdzając z uczuciem lekkiego zmieszania, że powoli się już przyzwyczajała do tego gorzkiego smaku. Zainteresowana, ale bez wielkiej nadziei, przyglądała się, jak Arla wzięła



skórzaną łatę i zakrzywioną igłę z kości i za pomocą szeregu otworów na krawędzi skóry i cienkiego sznurka przemieniała ją w niewielki worek, w który nie zmieściłaby się nawet pięść niemowlęcia. Katharina przeczuwała, co Arla zamierzała z rym zrobić, i wiedziała, że to całkowicie bezcelowe. Jednak nie powiedziała nic, żeby odwieść ją od tego, uważniej za to zaczęła ją lustrować.

Nawet gdyby Erik nie wyjawiał, że była jego córką, uderzyłoby ją podobieństwo do jarla, nie tylko w rysach twarzy, także w sposobie mówienia, poruszania się i zachowania. Nie umiała określić jej wieku, na pewno miała dość lat, by być jej matką. Przeczyły temu gęste, połyskujące niczym złota przędza włosy i lśniące białe (kompletne!) zęby. Choć jej twarz, a jeszcze bardziej ręce, świadczyły o wielu latach ciężkiej pracy, zachowała młodzieńczy wygląd, który wywoływał w Katharinie dziwne uczucie siedzenia przy stole co najwyżej z siostrą, która tylko przez przypadek wyglądała na tak dojrzałą, że mogła być jej matką.

Arla skończyła swoje rękodzieło, wlała do worka odrobinę mleka i starannie go zamknęła, po czym nakłuła igłą jeszcze jeden, mały otwór, z którego wypłynęła pojedyncza biała kropla.

-Już tego próbowałam - powiedziała markotnie Katharina - to nie działa.

Arla skinęła głową, a następnie całkowicie niewzruszona wzięła do ręki jedno z kociąt i przyłożyła je do woreczka jak do niezgrabnego sutka. Natychmiast zaczęło pić, a Katharina zrobiła wielkie oczy.

- Próbowałaś je karmić zimnym mlekiem - domyślała się Arla.

- Takiego nie piją. No i w moim koszyku z przyborami do szycia śpi nasza kocica, więc skóra nią pachnie.

- Więc mogę je uratować? - zapytała z nadzieją dziewczyna.

Arla przytaknęła, ale zaraz wykonała też przeczący ruch głową.

- Mimo to ciągle mogą umrzeć - powiedziała. - Musiałabyś je karmić co dwie godziny, w dzień i w nocy, a potem masować im brzuchy, żeby się mogły wypróżnić. Tak będzie co najmniej przez tydzień, a jeśli zapomnisz doglądać ich choćby przez jedną noc, albo na zbyt zziębłą, to i tak umrą. Dasz sobie z tym radę?

Katharina kiwnęła głową, a Arla zdawała się przez chwilę intensywnie rozważać tę odpowiedź, po czym podała jej kociaka. - Przejmujesz odpowiedzialność za dwa życia.

Dziewczyna raz jeszcze przytaknęła, ale nic nie powiedziała, tylko nakarmiła kotka do końca i zaczęła masować mu brzuch, dokładnie jak jej to wytłumaczyła Arla. Następnie w ten sam sposób postąpiła z drugim zwierzęciem, lecz kiedy na koniec chciała je znowu przytulić, żeby je ogrzać, córka jarla włożyła je do koszyczka i zaniósła blisko komina, którego płomień już wysoko buzowały.

- Tu jest wystarczająco ciepło - powiedziała. - Teraz kolej na ciebie - i nie martw się, zajmę się tymi urwisami do czasu, aż wrócisz.

- Wróć? - spytała Katharina, znowu trochę zaniepokojona.

- Ansgar i jego przyjaciele mieli dość czasu, aby przynieść wodę - odrzekła Arla - a Erik ma rację, wiesz? Przydałaby ci się kąpiel.

Jak na swój gust, Katharina miała dość wody i to na najbliższe pięć lub dziesięć lat. Ale nie odważyła się oponować, a nawet gdyby chciała, byłaby na to zbyt zmęczona... zresztą w tej chwili było jej obojętne, co się z nią działo.

Wstała posłusznie i wyszła za Arlą na zewnątrz.

Słońce tymczasem nie tylko w pełni weszło, lecz swoimi ciepłymi promieniami roztopiło też ostatnie strzępy mgły, tak iż, choć w pierwszej chwili musiała mrużyć oczy, ogarniała wzrokiem całą wieś.

Wydała jej się większa niż wcześniej i znacznie bardziej ożywiona.

Kiedy tu przybyli, bez mała wszyscy jej mieszkańcy musieli być nad rzeką, gdzie witali wracające statki, teraz z kolei wszyscy zdawali się być tutaj, przed swoimi domami: Bjarnisund liczył co najmniej dwa razy tyle mieszkańców co Ellsbusch. Z pozoru wszędzie panował pogodny nastrój, ale już po kilku krokach Katharina zrewidowała tę ocenę. Ludzie w wiosce sprawiali wrażenie, jakby odczuli wyraźną ulgę, jakby spadł z nich niewidzialny ciężar, jakby nie stało się zło, z którym się liczyli.

Nie zostało jej wiele czasu na myślenie, bo jej przewodniczka, zmierzająca teraz ku największemu domowi, nadała ostre tempo, jakby nagle zaczęła się śpieszyć. Katharina powlokła się za nią posłusznie, rozglądając się ciekawie wokół, w istocie jednak była zbyt zmęczona, by zauważyć jakieś szczegóły. W domu, który wydał jej się wystarczająco wielki,

by pomieścić cały Ellsbusch, coś parowało.

To wszystko, co dostrzegła przez zamraczającą mgłę, osiadającą na jej myślach.

Źródłem pary okazało się coś, o czym słyszała, ale czego nigdy jeszcze nie widziała - drewniana balia do kąpieli z gorącą wodą. Dwa rozpięte duże prześcieradła tworzyły rodzaj zasłony przed spojrznięciem z reszty ogromnego pomieszczenia, a z gorącej wody rozchodziła się nieznaną jej, ale bardzo przyjemną woń.

- Śmiało - rzekła rozbawiona Arla, kiedy już się napatrzyła na jej zdumiony wyraz twarzy. - Wejź do środka, spodoba ci się - uśmiechnęła się przelotnie - ale proponowałabym, żebyś wcześniej zdjęła suknię.

Katharina wprawdzie to zrobiła, zwlekała jednak tak długo z oddaniem sukni, że Arla niemal siłą ją jej wydarła. - Nie obawiaj się - rzuciła z uśmiechem - dostaniesz ją z powrotem.

Starannie poskładała suknię, powtarzając zapraszający ruch głową - może trochę niecierpliwiej - tym razem więc Katharina posłuchała i z ociąganiem weszła do kadzi.

W ciepłej, prawie gorącej wodzie było coś, co nadawało jej nie tylko przyjemny zapach, ale i czyniło ją cudownie miękką, jakby głaskała skórę. Katharina nigdy jeszcze nie kąpała się w ciepłej wodzie - przeżycie nie do opisania. Tak musiała się czuć królowa, pomyślała, o którą troszczyły się służki. A ojciec Cedric i Guy de Pardeville nazywali tych ludzi barbarzyńcami?

Arla pozwoliła jej przez jakiś czas spokojnie odpoczywać w gorącej wodzie i rozkoszować się nieznanym komfortem. W momencie, gdy ciepło zaczęło działać na Katharinę i poważnie grozić jej zaśnięciem, stanęła za nią i nieproszona zaczęła ją szorować kawałkiem mydła i szorstką szczotką, co choć trochę bolało, dostarczało bardzo przyjemnych doznań.

- Niezbyt często myjesz włosy, co? - spytała Arla.

Zamiast odpowiedzieć, Katharina usiłowała odwrócić do niej głowę i rzucić jej pytające spojrzenie, na co jednak kapłanka nie pozwoliła. Zaczęła tylko mocniej szorować jej głowę szorstką szczotką, co zaczynało być naprawdę nieprzyjemne. - Jak to?

- Ponieważ masz wszy, moje dziecko - odpowiedziała drwiąco Arla. - Ale nie martw się, uporamy się z tymi małymi bestiami.

Katharina nie zrozumiała do końca, co córka jarła chciała przez to powiedzieć. Każdy miał wszy, czy to nie było normalne?

- Zbyt wiele kryjówek i tak nie znajdują - kontynuowała Arla lekko rozbawionym tonem. - Co się właściwie stało z twoimi włosami?

- A co się miało stać? - spytała Katharina. Przez nieuwagę najadła się mydła. Smakowało okropnie.

- Nie ma ich - odparła Arla. - Strzyżesz się na łyso? Dlaczego?

- Ze względu na wygodę - odrzekła Katharina. I ponieważ żądał tego od niej ojciec Cedric. Podobnie, jak tego, żeby ubierała się jak chłopak. Wcześniej nigdy o tym nie myślała, ale teraz po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy może był ku temu jakiś inny powód niż ten, że musiała brać to, co jej dawano.

- Tak, być może - westchnęła Arla. - Jednak to wstyd. Jesteś dziewczyną, a myślę, że nawet bardzo ładną dziewczyną pod całym tym brudem i strupami i masz przepiękne włosy. Powinnaś je zapuścić.

Nadal beztrudnie szorowała i nacierała jej głowę, w końcu wzięła się za szyję i ramiona i wtedy na króciutki moment zastygła w połowie ruchu, kiedy jej krążące palce dotarły do miejsca pod lewą łopatką.

- Rzeczywiście - powiedziała.

- Więc dlatego chciałaś, żebym się wykapała - oświadczyła Katharina. - Rozmawiałaś z Erikiem. - Zastanawiała się, kiedy właściwie mieli to zrobić. Erik i Arla zamienili ze sobą zaledwie kilka zdań w swoim języku.

- Odnoszę wrażenie, że jesteś nie tylko ładną dziewczyną, ale tak- że wyjątkowo bystrą - odrzekła rozbawiona Arla, mimo to nie przestawała obrysowywać opuszkami palców konturów węzowego znamienia. Katharina usłyszała, jak ze zdumieniem potrząsała głową.

- On ma rację, to faktycznie wygląda prawie tak samo.

- Tak samo, jak co? - spytała Katharina.

Arla nie odpowiedziała od razu, lecz w końcu zostawiła w spokoju jej plecy i obeszła każdą, aby spojrzeć jej prosto w twarz. - Erik nic ci o tym nie mówił?

Dziewczyna potrząsnęła głową, a Arla sprawiała wrażenie trochę rozczarowanej, ale po chwili powtórzyła jej gest. - Więc to nie należy do mnie - powiedziała. - I może nawet Erik ma w tym rację. Czasami nie jest mądrze za wcześnie mówić o pewnych sprawach.

Nie żeby Katharina rozumiała choć w najmniejszym stopniu, o czym ona w ogóle mówi.

Wyraz jej twarzy musiał być chyba równie bezradny, bo Arla nagle znów się roześmiała. - Pomówię z ojcem - obiecała - a potem sobie porozmawiamy, obiecuję ci to. Na razie wystarczy Potrzebujesz trochę snu, moje dziecko.

Z tym stwierdzeniem Katharinie trudno się było nie zgodzić.

Oprócz tego, że właściwie potrzebowała go więcej niż trochę.

\*\*\*

W ciągu następnego tygodnia zdarzyło się niewiele, zarazem jednak więcej niż podczas wszystkich poprzednich lat, jak daleko sięgała jej pamięć. Całe jej życie zostało wywrócone do góry nogami, postawione na głowie i poskładane na nowo; nawet jeśli w tym czasie jeszcze w ogóle nie była tego świadoma. Potrzebowała rzeczywiście kilku dni, aby dojść do siebie po trudach podróży, co jednak wynikało z tego, że rzadko pozwalano jej na więcej niż dwie godziny snu naraz, ponieważ musiała troszczyć się o swoje czworonożne zaadoptowane dzieci; a była to praca warta wysiłku. Już wkrótce zaczęła po cichu żałować swojej decyzji, marząc o tym, aby popiskujące futrzaki znalazły się gdzie indziej - zwłaszcza gdy Arla kolejny raz ją budziła, z nieskrywaną złośliwą satysfakcją podając jej zaimprovizowany bukłaczek - ale swoje zadanie traktowała poważnie i wypełniała je sumiennie, aż stało się to, czego nikt (szczerze mówiąc, nawet ona sama) nie się spodziewał: kotki nie zdechły, przeżyły i rosły nieomal w oczach. Po kilku dniach opuszczały już swój koszyczek i ganiały po domu tak niestrudzenie, że Katharina miała pełne ręce roboty z oswobodzeniem ich z najbardziej niemożliwych opresji, w które same się w swojej niezdarności pakowały.

W tym czasie właściwie nie wychodziła z domu. Nie była więźniem i mogła poruszać się swobodnie po całym Bjarnisund, jak Arla wielokrotnie ją zapewniała, ale Erik i Ansgar znowu opuścili wieś, jeszcze zanim całkiem wróciła do sił, a wydawało się, że poza Arlą nikt tutaj nie mówił w jej języku. Dlatego wołała zostawać w środku i pomagać gospodyni w pracy, na ile mogła. W tych dniach dowiedziała się wiele o Ansgarze, Eriku, o ich ludzie i jego historii (z czego większość natychmiast zapominała jako zbyt skomplikowane, niejedna historia ją po prostu przerażała), ale nic o tajemnicy swojego znamienia, bo tego tematu Arla uporczywie unikała.

Wreszcie Ansgar i jego dziadek wrócili. W jakiś sposób, który zdaniem Kathariny graniczył z magią, mieszkańcy Bjarnisund przeczuwali przybycie Werdandi. Cała wieś pośpieszyła nad rzekę na ich powitanie, zanim jeszcze czerwono-białe pasiaste żagle smukłego drakkara - Arla wyjaśniła jej, że tak nazywano owe statki, a w języku jej ludu znaczyło tyle co smok - pojawiły się na Renie; także Katharina przy tym była. Nie chciała z nimi pójść, ale Arla uparła się, argumentując, że nie może przecież na resztę życia zaszyć się w domu, poszła więc za nią niechętnie, ale przynajmniej trzymała się z dala od pozostałych.

Zmieniła zdanie, gdy statek się zbliżył i zobaczyła stojące na dziobie dwie różnej wielkości postacie: Ansgara i jego dziadka, obu mimo cieplej pogody ubranych w ciężkie futra i hełmy.

Coś w ich wyglądzie... drażniło dziewczynę, choć nie potrafiła określić co. Wkrótce statek podpłynął na tyle blisko, że Ansgar najwyraźniej ją rozpoznał, bo uniósł rękę i jej pomachał, i sprawa przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Katharina zerwała się z miejsca i zbiegła na nabrzeże, pierwsza wpadła na pomost, by powitać statek.

Ansgar machał teraz do niej dwiema rękami, podczas gdy dziadek opuszczał stanowisko pod rzeźbioną głową smoka i wydawał wioślarzom ostatnie instrukcje.

Gdy statek podpłynął bliżej, powstało zamieszanie. Katharina spodziewała się tego, pamiętając, jak sama przybyła tu przed tygodniem. Wówczas mieszkańcy Bjarnisund ich przyplnięcie zmienili w spontaniczne święto, ale w dzisiejszym rozgardiaszu było coś... nie tak. Wyczuwała jakby z trudem tłumiony przestrah, odeгнаła jednak natychmiast tę myśl i przebiegła ostatni odcinek do końca przystani, nie będąc świadomą, jak dziwnie się zachowywała. Nigdy nie lubiła wody, a od tygodnia wprost jej nienawidziła.

Ansgar sprężystym susem zeskoczył na pomost, jeszcze zanim statek całkowicie przycumował i znalazłszy się przy

niej w dwóch krokach, porwał ją w objęcia z taką siłą, że zabrakło jej powietrza.

Potem odsunął kawałek od siebie i długo sondował ją wzrokiem.

- Widzę, że dotrzymała słowa - powiedział.

- Kto? - dopytywała się skonfundowana Katharina.

- Arla - odrzekł Ansgar - obiecała zrobić z ciebie dziewczynę i jej się udało. No cóż... - dodał z ironicznym uśmiechem -... w każdym razie się starała.

- Hej! - zaprotestowała Katharina. Uśmiech Ansgara stał się jeszcze szerszy, ale nie powiedział nic więcej, tylko chwycił ją za ramię i pociągnął szybko przez pomost na stały ląd, zanim tłum zdążył zgęstnieć na tyle, że nie można się było ruszyć z miejsca.

- Jak ci tu było? - trajkotał. - Jesteś zdrowa? Już się oswoiłaś i rozumiesz się z Arlą? Czy koty mają się dobrze? Jak twoje żebro?

- Tak - odparła krótko.

Ansgar zamrugał, a ona poirytowana, wskazała statek. - Nie uważasz, że powinieneś odpowiedzieć mi na kilka pytań? Po prostu zniknąłeś bez słowa! Gdzie byłeś?

- Musieliśmy... coś sprawdzić - rzekł wymijająco chłopak.

- I przewieźć ze Skraevald resztę rzeczy, ale wiele ich tam już nie było. Wystarczy położyć coś na ziemi, a zaraz ci ukradną. Żyjesz w pięknym kraju, nie ma co.

Katharina zignorowała tę ostatnią uwagę. - I to trwało tydzień?

- Mieliśmy pewne... uhm... nieoczekiwane spotkanie - odpowiedział Ansgar, raptem zażenowany. Przez bardzo krótką chwilę, bo zaraz znowu się uśmiechnął, a oczy mu się rozjaśniły. - Mamy dobre wieści, jak sądzę - ale o tym Erik sam ci powie. - Starał się sprawiać wrażenie, że jest mu przykro, co niezupełnie się udało. - Nie wolno mi nic mówić.

- Dlaczego? - spytała Katharina, znowu trochę zaniepokojona.

- Pewnie dlatego, że sam chce ci powiedzieć.

- Że co chce mi sam powiedzieć?

Ansgar potrząsnął głową, szczerząc się szelmowsko. - To była niezła próba, ale Erik urwałby mi głowę, gdybym coś wyjawiał. Nie bój się - dodał szybko, gdy chciała na niego naskoczyć - to nic złego.

Wręcz przeciwnie.

Katharina zmierzyła go najbardziej złowrogim spojrzeniem, na jakie ją było stać, lecz na tym poprzestała i spojrzała jeszcze raz na Werdandi. Molo tymczasem wypełniło się ludźmi, tak że mężczyznom ledwo udawało się zejść z pokładu. Wcale nie zdziwiłaby się, gdyby za chwilę zaczęli wpadać prosto do wody. Z jakimś wysiłkiem udało jej się spośród tłumu wyłowić wzrokiem jarla... zorientowała się, co ją wcześniej uderzyło w jego wyglądzie. Siwy wiking paradował nie tylko w pełnej zbroi i pod bronią, ale także z bandażem wokół lewego przedramienia, a nie był wyjątkiem. Wielu mężczyzn poruszało się z trudem, jakby sprawiało im to ból, niektórzy nosili mniej lub bardziej rzucające się w oczy opatrunki, a co najmniej jeden nie był nawet w stanie chodzić o własnych siłach.

- Co się stało? - wybąkała przestraszona. - Zostaliście zaatakowani?

- To nic - stwierdził Ansgar chętnie - twój nowy wielbiciel Guy de Pardeville po prostu nie chciał uwierzyć, że cię z nami nie ma. Przekonaliśmy go, że tak jest.

- Zaatakowano was?

- Tak, ale nie tak, jak to sobie pewnie wyobrażasz - rzekł. Klapnął dłonią w miecz, który ciągle jeszcze miał przy pasie. - Nie było tak źle, jak na to wygląda.

- Wygląda dość źle - przyznała Katharina, ale Ansgar ponownie i jeszcze wyniosłej pokręcił głową. - Kilku ludzi jest rannych, ale żaden naprawdę poważnie i nikt nie został zabity... przynajmniej nikt z nas.

Jeżeli miała to być pociecha, to nie odniosła skutku. Katharina znów poczuła się źle, bo w radość z ujrzenia Ansgara wmieszała się gorzka świadomość, że znowu przelano krew, i to być może znowu z jej powodu. Nawet jeśli później uświadomiła sobie, jak naiwne w gruncie rzeczy było to wyobrażenie, to jednak do tej pory wbrew wszelkiej logice

czepiała się myśli, że koszmar minął, teraz, kiedy była w Bjarnisund, a więc w bezpiecznym miejscu. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że dopiero się zaczynał.

Jej reakcja chyba zaskoczyła Ansgara i chyba popsowała mu humor.

Przez chwilę zdawał się oczekiwać, że go pochwalą za bohaterstwo, potem butnie wzruszył ramionami i zaczął się wspinać na górę.

Katharina zawahała się, czy za nim pójść. Podczas tej podróży zdarzyło się coś, co także dla niej było niezmiernie ważne; najchętniej odwróciłaby się na pięcie i pośpieszyła do jarła, by go zarzucić pytaniami. Ale Ansgar właśnie powiedział, że Erik później z nią porozmawia, a na pomoście i przed nim na brzegu zapanował tymczasem taki ścisk, że prawdopodobnie i tak by się do niego nie precisnęła. Ruszyła więc za Ansgarem.

Wspinał się do wsi, lecz nie skierował się do małego domu, w którym mieszkał z dziadkiem (i który Katharina w tej chwili zajmowała praktycznie sama, o ile nie odwiedzała jej Arla), lecz doszedł tylko do najwyższego punktu skarpy i spoglądał przez moment skoncentrowany w kierunku, z którego właśnie przybyła Werdandi.

Katharina uznała, że był poddenerwowany. Czyżby się obawiał pościgu?

Zapytała o to Ansgara, lecz ten odpowiedział jej jedynie potrząśnięciem głowy i pogardliwym prychnięciem.

- Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby próbować czegoś takiego - oświadczył. - Tutaj zebranych jest ponad dwustu wojowników. Nawet wasz cesarz dwa razy by się zastanowił, czy nas zaatakować.

Katharina nic nie wiedziała o swoim cesarzu, oprócz tego, że istniał - niemal mistyczna figura, o której czasem gadali ludzie; nie знаła nawet jego imienia. Zastanawiała się, dlaczego właściwie Ansgar to powiedział. Jej niepokój rósł.

- Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie? - spytała bez ogródek.

- Życie jest zasadniczo niebezpieczne - zadowcipkował Ansgar, ale zaraz spoważniał. - Myślę, że nie. Erik zwoła później wielki ting, choćby po to, żeby nie opowiadać tej historii dwieście razy. Teraz chodź. Chcę zobaczyć, czy koty rzeczywiście mają się dobrze.

Te dwa kotki, pomyślała Katharina, w tej chwili były prawdopodobnie tym, co go na całym świecie interesowało najmniej. Ale tamtej sprawy nie chciał poruszać i nie dał jej nawet możliwości zadania pytania, ruszywszy przodem szybkim krokiem.

Gdy weszli do domu, kocięta wyszły im naprzeciw, niezdarnie stawiając łapy i głośno żebrząc o mleko. To nie był jeszcze ich czas - Arla usilnie ją ostrzegała, żeby ich nie rozpieszczać - kucnęła jednak i zaczęła je głaskać, na co z żalnego płaczu zrobiło się donośne mruczenie.

- Rzeczywiście - stwierdził Ansgar - dopięłaś swego! Wiesz, że mężczyźni na pokładzie postawili zakłady, ile dni przeżyją? - Z wrażenia szczerze pokręcił głową, kucnął obok niej i wyciągnął rękę.

- Ach tak? - Katharina zapytała uszczypliwie. - I na co postawiłaś?

Ansgar uśmiechnął się i wyciągnął dalej rękę, na co jeden z kotków podniósł łebek i obwąchawszy jego palec, tak dziarsko wgryzł się w niego swoimi maleńkimi ząbkami, że chłopiec wrzasnął z bólu, stracił równowagę i przewrócił się z kucek na ziemię.

- Jak widać, źle obstawiłem - nadąsał się, wkładając sobie w usta krwawiący palec.

Zadowolona, Katharina uznała, że kotki zasłużyły sobie na dodatkową porcję mleka, toteż podniosła je i zaniósła do ich koszyczka obok kominka.

- Czy te diablęta mają już imiona? - Ansgar dopytywał się chmur nie, przyglądając się swojemu palcowi, z którego wypływały dwie niewielkie ciemnoczerwone krople krwi. Robił przy tym tak cierpiącą minę, jakby poważnie się obawiał, że straci rękę.

- Hugin i Munin - odrzekła Katharina, która zajmowała się już podgrzewaniem mleka. Bądź co bądź ci dwaj przeszli właśnie chrzest bojowy jako żołnierze jej straży przybocznej i należało ich nagrodzić.

- Hugin i Munin? - Mogłaby przysiąc, że wyraźnie usłyszała, jak Ansgar wytrzeszczył oczy. - A jak ty wpadłaś na te imiona?

- Wcale nie wpadłam - przyznała - to był pomysł Arli. Ponieważ są czarne, jak wytłumaczyła.

- Tak - powiedział chłopak z dziwnym naciskiem - to do niej podobne. Ponieważ są czarne! - I zaniósł się śmiechem.

Katharina odwróciła głowę i zmierzyła go wzrokiem, marszcząc brwi. Ansgar nie kwapił się jednak do wyjaśnienia swej osobliwej uwagi, podźwignął się przesadnie mozolnie, lamentując, raz jeszcze obejrzał poważne obrażenia na swoim palcu wskazującym, po czym wytarł rękę w spodnie. - Z całą pewnością zrobiła to tylko na złość dziadkowi.

-Co?

Ignorując to pytanie, Ansgar podszedł do stołu i usiadł na jednym z niewygodnych stołków. - Najwidoczniej dobrze się rozumiecie z Arłą - powiedział. - Znalazłaś tu też innych przyjaciół?

Katharina była zmieszana i niemal zła. Miał czelność zadawać jej pytania po tym, jak ją tutaj wyrzucił na brzegu, a następnie zniknął bez słowa? Mimo to odpowiedziała mu, kręcąc głową. - Nikt oprócz niej nie mówi tutaj moim językiem.

-I to jest powód, żeby z nikim nie rozmawiać? - spytał Ansgar.

Właściwie tak, pomyślała Katharina, oszczędziła sobie jednak trudu zwracania mu uwagi na tę oczywistość, rzucając: - Może nauczę się waszego języka.

Ansgar patrzył na nią przez moment osłupiały, jakby go poważnie zapytała, czy słońce wschodzi każdego ranka, a potem wybuchnął śmiechem. - Tak, jasne - dławił się, chichocząc - przy okazji jakiegoś wolnego tygodnia, co? Albo i dwóch.

Katharina przełknęła ripostę, którą miała na końcu języka. Rzeczywiście spytała Arię, czy ta mogłaby ją nauczyć języka swojego ludu, a ona zrazu zareagowała podobnie jak Ansgar; choć nie tak urągliwie. Mimo to bez zwlekania zaczęła uczyć ją pierwszych słów; dziewczyna szybko zmiarkowała, skąd u kapłanki takie zachowanie.

Jej mowa brzmiała obco i dla języka Kathariny była prawie nie do wymówienia - okazała się też potwornie skomplikowana. Problem stanowiły nie tyle słowa, których ostatecznie musiała się nauczyć na pamięć, a w zapamiętywaniu nowych rzeczy zawsze była świetna.

Wprost niemożliwe jednak wydawało jej się zrozumienie zasad, według których wyrazy się ze sobą łączyły, a także były wymawiane.

Często zmieniały znaczenia, w zależności od kontekstu, w jakim je wypowiadano, a nawet zależnie od tego, czy głośno czy cicho.

Nic już nie rzekła, usiadła tylko wygodniej, plecami do Ansgara, i karmiła oba kociaki; chłopak również milczał przez długi czas. W końcu odchrząknął sztucznie i usłyszała, jak zaczął nieswojo ślizgać się po stołku tam i z powrotem.

- Przykro mi - bąknął - nie chciałem cię zranić. Tylko że nasz język jest bardzo trudny do nauczenia się. Każdy ci to powie.

- Ty przecież też nim mówisz - odpowiedziała Katharina, obracając się do niego bokiem i uśmiechając się mimowolnie na widok jego speszzonej miny. - To znaczy mówisz naszym językiem.

.—To co innego - utrzymywał Ansgar - dziadek i Arla uczyli mnie od samego początku, a poprawnie nie znam go do dzisiaj.

- Przede wszystkim wydajesz się mieć problemy z jego rozumie niem - powiedział głos od drzwi. - Czy nie wyraziłem się dość jasno, gdy powiedziałem, że w pierwszej kolejności ja z nią porozmawiam?

Erik wszedł do środka, dodatkowo potraktował Ansgara karcącym spojrzeniem, po czym rozejrzał się dookoła powoli i badawczo, jakby spodziewał się, że w ciągu kilku dni, kiedy ich nie było, coś się zmieniło.

- Mówiliśmy tylko o kotach! - zapewnił pośpiesznie Ansgar.

- O niczym więcej!

- O kotach? - Erik dopiero teraz odkrył dwa kocięta na kolanach Kathariny i wyglądał na nieco zaskoczonego, a dziewczyna nie musiała pytać, jak obstawił zakład. Przyłapała się na nadziei, że przegrał możliwie dużo.

- Hugin i Munin - dodał Ansgar. Gdy jarl spojrział teraz na niego zdezorientowany, uśmiechnął się szeroko i dodał: - To pomysł Arli.

- Tak, a kogóż by innego - westchnął Erik. Był zirytowany, jak zauważyła Katharina, lecz nim dał upust tej złości, przyszła jego córka, on zaś poprzestał na niemym, pełnym wyrzutu spojrzeniu na koty.

-Jestem tak samo zaskoczona, jak ty- odparła z uśmiechem Arla.

- Nie sądziłam, że przeżyją choćby jeden dzień. Dokazała cudu, nie sądzisz?

- Hugin i Munin? - zapytał Erik.

- Są czarne i są dwoma naprawdę dzielnymi wisusami - wyjaśniła - jakie imiona lepiej by do nich pasowały?

Tym razem Erik odpowiedział w swoim języku, a Katharina nie musiała rozumieć sensu tej krótkiej wymiany zdań, by się zorientować, że wszczęli może jeszcze nie kłótnię, ale coś bardzo jej bliskiego. W końcu Arla zakończyła tę prawie-kłótnię rozdrażnionym gestem, którym zarazem wskazała na stół.

- Dość tego - powiedziała, ni stąd ni zowąd znowu przechodząc na niemiecki, jak to niemal zawsze czyniła w obecności Kathariny.

- Później będziemy mogli kłócić się do woli. Teraz usiądź, żebym mogła przyjrzeć się twemu ramieniu.

- To nic takiego - stwierdził Erik - zadrapanie. Inni są poważniej ranni i pilniej potrzebują twojej pomocy.

- Ale inni nie są moim ojcem - odparła Arla - ani jarlem. Chcesz dostać gorączki i nie móc jasno myśleć, kiedy zamiast miecza potrzebny będzie twój rozum?

Katharina odniosła wrażenie, że te ostatnie słowa nie zostały wypowiedziane ot tak, lecz miały jakieś głębsze znaczenie. W każdym razie Erik usiadł bez dalszych protestów, jednakże siadając, zwrócił się ponownie ostrzejszym tonem do Ansgara: - Nie masz nic do roboty? Statek musi zostać rozładowany, a jeśli intensywnie pomyślisz, to na pewno znajdziesz sobie jakieś zajęcie.

- Nie wyładowuj swego złego nastroju na innych, ojciec - zbesztła go Arla. Erik obdarzył ją gniewnym spojrzeniem, milczał jednak, Ansgar zaś wstał prędko z krzesła i wyszedł. Gdy Katharina chciała za nim pójść, jarl pokręcił głową.

-Ty zostajesz!

Zaalarmował ją już sam niezwykle ostry ton, jakim wypowiedział te słowa. Złe przecucia na widok nadpływającej Werdandi stały się pewnością. Zdarzyło się coś niedobrego, i miało to związek z nią.

Usiadła i spojrzała na Erika wyczekująco, ale siwowłosy wiking tylko przyglądał się jej w dziwny sposób - trochę smutno, jak jej się zdawało - i czekał, dopóki nie przysiadła się do nich Arla. Nie przysłała z pustymi rękami, złożyła przed sobą na stole drewnianą misę z wodą, a do tego wyplatany koszyk z wszelkiego rodzaju bandażami, licznymi woreczkami i glinianymi tygielkami. Na nieznaczne skinienie córki Erik wyciągnął zranione ramię, a ona zręcznymi ruchami zaczęła odwijać obskurny opatrunek.

- Musimy porozmawiać, dziecko - zaczął Erik. Jego głos brzmiał nieswojo, zauważyła Katharina, jakby trochę się obawiał tego, co chciał powiedzieć, a jego kolejne słowa zdawały się potwierdzać to wrażenie.

- Obawiam się, że sprawy nie idą ku lepszemu. Napaść na zamek Ellsbusch wszędzie wywołała nieopisaną trwogę, ludzie domagają się odwetu.

Minęła chwila, zanim Katharina zrozumiała, co właściwie miał na myśli. - Ale chyba nie na was! - zawołała przerażona. - Przecież was tam nie było!

- To prawda, ale to nie ma znaczenia - odparł Erik i z ostrym sykiem wciągnął przez zęby powietrze, gdy Arla jednym pociągnięciem zerwała bandaż z jego ramienia. Co pod nim się ukazało, trudno opisać - zgoła nie małe zadrapanie, raczej głębokie, sięgające aż do kości rozcięcie, które już się zaogniło. Bił od niego ostry fetor, na jego widok Katharina omal nie dostała mdłości.

- Liczy się tylko to, w co ludzie wierzą - kontynuował - a wierzą zawsze w to, w co chcą uwierzyć albo w co każe im się wierzyć. Mogę to nawet zrozumieć. Zbyt długo cierpieli od ataków naszego ludu, a niektórzy z nas nawet i dziś przywłaszczają sobie przemocą to, czego chcą.

- Wulfgar - zgadywała Katharina.

- Nie tylko on - odparł Erik, zarazem przytakując. Choć może tylko się wzdrygnął, bo w tym momencie Arla zaczęła - niezbyt delikatnie - wilgotną szmatką gmerać w jego ramieniu. Katharina umyślnie tam nie patrzyła, ale na wiele to się nie zdało, bo tym, czego nie widziały oczy, zajęła się wyobraźnia. - Ale on jest z nich wszystkich najgorszy, to prawda, sądzę, że to jego wojownicy spalili zamek Ellsbusch i zabili ludzi w twojej wiosce.

- Widziałam, jak zabił grafa - przypomniała Katharina.

Jednak widziała również, jak Ellsbusch umierając, wraził mu w trzewia miecz! Jak więc mógł jeszcze żyć?

- Wiem - wycedził Erik. Arla robiła przy jego ramieniu coś, co wyraźnie zadawało mu cierpienie, ale jakoś udawało mu się nie wykrzywiać twarzy. - Ale nikt ci nie uwierzy, jeśli twoje słowo stanie przeciwko jego słowu.

- Bo jestem tylko dzieckiem?

- Również - odpowiedział Erik. - A przede wszystkim, dlatego, że jesteś tym, kim jesteś.

- Aha - powiedziała Katharina. A cóż to miało znaczyć?

Arla powiedziała coś w ich języku, a Erik przemyślał o tym przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Tak, obawiam się, że to właściwy moment - powiedział. - Nie zostało nam wiele czasu. Mniej, niż sądziłem, niestety. - Znowu zwrócił się do Kathariny. - Być może będziemy musieli opuścić Bjarnisund, Kara. Jeszcze dziś zwołam wielki ting, aby radzić nad tą kwestią. Ale nim to zrobię, chciałbym dostać od ciebie szczerą odpowiedź.

- Ode mnie? - zdziwiła się Katharina.

- Życzyłbym sobie, żeby to się stało w innych okolicznościach, ale sprawy mają się tak, jak się mają - rzekł Erik rozżalonym tonem.

- Ma to związek z twoim znamieniem.

Nie zaskoczyło to Kathariny. Musiałaby być naraz głucha, ślepa i głupia, żeby nie zorientować się, że znamię, którego sama nigdy nie widziała, nie tylko dla Erika miało szczególne znaczenie. Oczywiście łamała sobie nad tym głowę i wymyślała najbardziej nieprawdopodobne historie.

Ale przecież tylko wymyślone... czyż nie?

- Czy Ansgar mówił ci, że moja żona pochodziła z twego ludu?

- zaczął Erik. Przytaknęła. - Musisz wiedzieć, że byłem niewiele starszy od niego, kiedy przybyłem tu po raz pierwszy i ją poznałem. Mój ojciec był przywódcą dumnej floty statków płynących w górę Renu dla zdobycia łupów.

- Tak jak Wulfgar? - wyrwało się Katharinie. Natychmiast pożałowała tego pytania, ale ku jej zdziwieniu Erik tylko się uśmiechnął.

- W żyłach Wulfgara i moich płynie ta sama krew - odparł - Bogiem a prawdą, nie byłem inny. Obłowiliśmy się w tamtych czasach. Może dlatego dobrze rozumiem Ansgara i czasem puszczam mu płazem więcej, niż dla jego dobra powinienem. Ale wracając do mojej historii - poznałem wówczas dziewczynę. Mój ojciec był temu przeciwny, żebym się z nią zadawał... ale gdy dwa lata później wracaliśmy do domu, zabrałem ją ze sobą i niedługo potem została moją żoną. - Zamilkł na moment, na tyle długo, żeby przemyślała, dlaczego jej to wszystko opowiadał, a następnie kontynuował: - Miała pod lewą łopatką znamię wyglądające jak wąż.

Katharina wpatrywała się w niego jak zakłeta, Arla również przestała na chwilę opatrywać jego ramię i spojrzała na dziewczynę. Jej wzrok Katharina czuła nieomal jak dotyk.

- Często żartowaliśmy z tego - ciągnął Erik, do jego głosu za kradł się dziwnie ciepły ton. - Niektórych to przerażało, inni brali to za zły omen i przezywali ją Jormungand. Z czasem sama przyjęła to imię i nawet ja ją tak nazywałem, albo przynajmniej Jormun...choć właściwie miała na imię Katharina.

-Jormungand?

- Imię Węża Midgardu w starym języku - wyjaśniła Arla. Chyba widziała, że ta odpowiedź wprawiła Katharinę w jeszcze większą konsternację, bo ciągnęła z subtelnym uśmiechem: - To jest postać z naszych starych legend, dziecko. Wąż Midgardu, jeden z trzech arcywrogów ludzi, prowadzących odwieczną walkę przeciw bogom.

Ale nie martw się - zamrugła do niej, jakby były w zмовie - na koniec zostanie oczywiście zatłuczony przez Thora jego młotem.

Katharina nie uśmiechała się i niezupełnie rozumiała, co tak bawiło Arię w tej starej opowieści. Przerazała ją i sądziła, że tak samo powinna czuć się kapłanka. Może to i była tylko stara opowieść - jedna z owych heretyckich historii - ale wymyślonych w celu zgubienia dusz ludzi. Ojciec Cedric wystarczająco często ją przed nimi przestrzegał, a Arla powinna właściwie wiedzieć o tym równie dobrze jak on - jeśli naprawdę była tym, za kogo uchodziła.

- Ludzie wierzyli wtedy w przesady - ciągnęła Arla - niektórych to znamię przerażało, inni dostrzegali w nim znak od bogów. Myślę, że niektórzy uważają tak do dzisiaj. - Zamieniła kilka słów z ojcem w ich języku, a on skinął głową, ale odpowiedział już tak, że również Katharina go zrozumiała. - Tak, masz rację. Może na jakiś czas powinniśmy zatrzymać to dla siebie... chociaż widział to prawie każdy, kto był w namiocie.



- A co... się z nią stało? - spytała Katharina po chwili wahania, gdy Erik zamilkł. - To znaczy z twoją żoną.

Wyraz mglistego smutku pojawił się w jego oczach. - Zmarła, krótko po tym, jak Arla przyszła na świat - odparł. - Nikt nie wie dlaczego. Pewnego dnia zachorowała i zmarła, tak po prostu. Myślę, że nie mogła żyć w naszym kraju. Może sam ją zabiłem, zabierając ją ze sobą i zmuszając do życia w tamtym kraju, zamiast w miejscu, w którym się urodziła.

- Nie opowiadaj głupstw - zachnęła się Arla. Pokręciła głową i wróciła do opatrywania mu ramienia. Erik zignorował jej uwagę.

- Mieliśmy dwie córki - ciągnął - Arla jest młodszą. Ma takie samo znamię na plecach, jakie miała matka. I jakie miała jej starsza siostra; matka Ansgara.

-I... ja - domyśliła się Katharina. Serce jej łomotało, a myśli krążyły coraz szybciej.

Zamiast odpowiedzieć wprost, Erik dał znak córce, ta zaś zostawiła jego rękę i wstała. Zawahała się jeszcze krótko, potem jednak odwróciła się i opuściła w dół suknię, tak iż Katharina mogła zobaczyć jej nagie plecy.

Znamię było dokładnie tam, gdzie czuła dotyk palców Arli na własnych plecach, tuż pod lewą łopatką, a tym samym dokładnie nad sercem. Po raz pierwszy zobaczyła je na własne oczy i mimo wszystko osłupiała. Było czerwone, długości może połowy jej dłoni i rzeczywiście wyglądało jak wąż z wyciągniętą ku górze głową.

Po chwili wahania wstała, uniosła rękę i drżącymi palcami dotknęła czerwonego znamienia. Zdawało się dziwne w dotyku, twarde jak zablizniona skóra, a jednocześnie żywe, jakby pod gładką skórą Arli faktycznie skrywał się malutki wąż, uwięziony tam tajemniczym czarem.

Arla pozwoliła jej się napatrzeć, zanim podciągnąwszy suknię niemym skinieniem, dała jej znać, żeby usiadła.

- A co się stało z moją... to znaczy z siostrą Arli? - spytała.

Erik uśmiechnął się przelotnie, usłyszawszy jej przejęzyczenie, ale zaraz spoważniał. - Proszę cię, żebyś nie zdradziła Ansgarowi tego, co ci teraz powiem - powiedział - przynajmniej przez jakiś czas.

Mam twoje słowo?

Katharina przytaknęła, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Nawałnica pod jej czaszką nie ustawała, przeciwnie, szalała coraz wścieklej.

- Powiedzieliśmy Ansgarowi, że umarła, ale to nieprawda - zaczęła Arla.

- Dlaczego?

- Bo nie chcieliśmy, żeby zachował złe wspomnienia o matce - odpowiedział Erik. -Jego ojciec... nie był dobrym człowiekiem.

Nigdy się nie rozumieliśmy, ale miałem wówczas w pamięci, jak to było, kiedy sam poznałem twoją babcię i w końcu zgodziłem się na to małżeństwo. To był błąd. Moja córka zaszła w ciążę i urodziła bliźnięta, chłopca i dziewczynkę. Ansgara i Karę.

Karę? Serce Kathariny zaczęło walić jak młotem, ledwo mogła oddychać, a cały świat wokół niej zdawał się wirować. Ansgar był jej...?

- Po narodzinach bliźniąt sytuacja tylko się pogorszyła - ciągnął Erik. - Donoszono mi przerażające rzeczy o moim zięciu; rzeczy, w które nie chciałem uwierzyć i których nawet i dziś nie chciałbym powtarzać. Mówiono, że planuje wydać nas wrogom, aby ujarzmić nasz lud i samemu uczynić się jarlem. Nazbyt długo przysmykałem oczy na prawdę, a gdy w końcu wezwałem go, żeby się wytłumaczył, było już za późno. Jak się okazało, zdradził nas. Nasi wrogowie nas zaatakowali i doszło do bitwy. Zwyciężyliśmy, lecz połowa naszych wojowników zginęła i musieliśmy opuścić nasz dom.

- A... matka Ansgara? - zapytała Katharina, zacinając się.

- Uciekła, razem ze swoim mężem i dziewczynką - Arla odpowiedziała za Erika. - Zabrałyby oboje dzieci, ale w czasie bitwy Ansgar został od niej oddzielony, tak iż pozostał z nami.

- Ściśle rzecz biorąc - poprawił ją Erik - Arla ryzykowała życie, żeby sprowadzić dzieci. Chciała uratować oboje, ale jej się nie udało.

- Mój ojciec jak zwykle przesadza - oznajmiła Arla. Zaczęła na nowo bandażować ramię Erika i zaciągnęła węzeł

pociągnięciem wystarczająco mocnym, żeby wymusić bolesny skurcz na jego ustach.

- A teraz myślicie, że ja...

Zacięła się znowu, być może dlatego, że to, co chciała powiedzieć, zdawało się po prostu absurdalne. Takie historie... nie działa się przecież naprawdę!

- Jest całkiem możliwe, że jesteś siostrą Ansgara, tak - Arla odpowiedziała za ojca. Jej ręka chwyciła rękę Kathariny, przez chwilę ją trzymała, w końcu puściła. - Jestem wręcz pewna, że tak jest. Od razu rzuciło mi się w oczy podobieństwo.

- Z twoją siostrą?

- Też. Ale przede wszystkim z Ansgarem. Zapewne zauważyłabym je, nawet gdyby Erik nic mi nie powiedział.

- Jestem podobna do Ansgara? - spytała Katharina. - W ogóle tego nie zauważyłam.

- Co może wynikać z tego, że rzadko na siebie patrzysz - gospodyni uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. - Jednak nie mamy całkowitej pewności i być może nigdy nie dowiemy się prawdy. Mojej siostry i ciebie... i jej dziecka szukaliśmy wtedy wszędzie, ale nie znaleźliśmy. Mówiono, że ich statek zatonął w czasie burzy i wszyscy zginęli. Nie wiadomo, czy to prawda.

- To nie powinno mieć żadnego wpływu na twoją decyzję, moje dziecko - dodał Erik.

- Jaką decyzję? - spytała Katharina z bijącym sercem.

- Czy chcesz z nami pozostać - odpowiedział Erik. - Nieważne, czy naprawdę jesteś tym, za kogo cię uważamy, czy też wszystko to jest tylko osobliwym zbiegiem okoliczności. Jeśli tu zostaniesz, będziemy cię traktować jak jedną z nas, ze wszystkimi prawami i obowiązkami. Tylko nie decyduj pochopnie.

- A niby dokąd miałabym pójść? - wymamrotała.

- Mamy tu przyjaciół - odpowiedział Erik. - Znajdziemy ci rodzinę, dobrych ludzi, u których będziesz mogła zamieszkać, nie martw się. Możesz mieć lepsze życie niż dotychczas. Rozważ to dobrze. Może być tak, że będziemy musieli stąd odejść. Żyłabyś wtedy w kraju, który jest ci całkiem obcy, a mam na myśli nie tylko język.

Wszystko tam jest inne niż tutaj. - Na moment jego wzrok stał się jeszcze smutniejszy, a głos cichszy. - Tamten kraj zabił twoją babcię, twojej matce też nie dał szczęścia.

Czy on sobie wyobrażał, że ten kraj czynił ją szczęśliwą, pomyślała z goryczą?. Cóż takiego dała jej ta kraina poza życiem pełnym lęków, upokorzeń i ciężkiej pracy?

- Kiedy zajdzie słońce, będziemy radzić, czy opuszczamy Bjarnisund czy spróbujemy tu zostać - ciągnął Erik. - Wiem, że termin jest krótki, ale jeżeli tak zdecydujemy, zapewne opuścimy te ziemie bardzo szybko; być może już jutro.

-I do tego czasu muszę zdecydować...

- Czy chcesz nam towarzyszyć, tak - dokończył Erik. - Wiem, że jak na podjęcie tego rodzaju decyzji czasu jest zatrwająco niewiele, ale niestety nie mamy innego wyjścia. - Podniósł rękę, gdy Katharina chciała coś powiedzieć. - Nie decyduj teraz. Ting potrwa do późnej nocy, może nawet do rana. I nie jest pewne, czy już dziś zdecydujemy. W każdym razie masz jeszcze trochę czasu i powinnaś go wykorzystać.

Wchodząc pierwszy raz do tego dziwnego kościoła, nie czyniła tego bynajmniej dlatego, że szukała pociechy w modlitwie czy że obiecywała sobie ochronę lub pomoc w domu Boga. W Ellsbusch chodziła do kościoła każdej niedzieli, nawet każdego wolnego dnia, aby przysłuchiwać się płomiennym, piętnującym grzeszników kazaniom ojca Cedrika i jego niestrudżonym napomnieniom. Ale nie czuła tam nic z Bożej obecności. Zimą było tam jednak trochę cieplej niż w szopie, w której spała w przeciągach.

Teraz przyszła tu dlatego, że pragnęła побыć w samotności. Ten rzekomy kościół przypuszczalnie był jedynym kątem w całym Bjarnisund, w którym było to możliwe. Miała wrażenie, że rozmawiała z Erikiem i jego córką niekończące się godziny, choć w rzeczywistości minęło tylko kilka chwil. Wioska była wypełniona ludźmi, jakby wszyscy jej mieszkańcy wylegli powitać powracający statek - co też rzeczywiście się stało. Gdyby na to bardziej uważała, dostrzegłaby wokoło osobliwy nastrój przygnębienia.

Wzburzenie jej myśli i uczuć nie ustępowało, przeciwnie, wstrząsało nią coraz bardziej. Nie wiedziała już, co myśleć, co się właściwie z nią stało, a już w ogóle nie miała odwagi wyobrazić sobie, co się z nią jeszcze mogło stać.

A może to wszystko wcale się nie wydarzyło? Im dłużej rozważała tę ewentualność, tym bardziej wydawała jej się

prawdopodobna.

Zapewne na całym świecie nie było ani jednej biednej dziewczyny, która nie marzyłaby skrycie, że pewnego dnia zjawi się na białym koniu rycerz w lśniącej zbroi, aby jej objawić, że tak naprawdę jest księżniczką, wykradzioną matce z kołyski lub w jakiś inny sposób zamienioną z dzieckiem żebraków, których marne życie musiała wieść od tamtej pory.

Były to oczywiście tylko naiwne wyobrażenia, zwykłe bajania, które nie mogły się ziścić.

A teraz miało się to przytrafić właśnie jej?

Śmieszne.

Jej rozmyślania przerwało ciche skrzypnięcie; dźwięk skórzanych zawiasów od drzwi, które uchyliły się do środka. Katharina z trudem oderwała się od tych ponurych rozważań i wróciła do rzeczywistości, obróciła się na twardej ławie i rozpoznała Arię. Pewnie przyszła, żeby jej powiedzieć, że to był tylko kiepski żart i że do przystani zawinął właśnie statek, żeby zabrać ją z powrotem do Ellsbusch A tam pewnie zostanie spalona na stosie, jako że była przecież dzieckiem wiedźmy i bękartem.

Zrazu Arla nic nie powiedziała, zbliżyła się tylko wolnym krokiem i usiadła. Wąska ławka zaskrzypiała pod jej ciężarem, a Katharina poczuła, jak twardy i niewygodny był ten prosty mebel; jakby został wykonany specjalnie dla niewygody wiernych. Przynajmniej pod tym względem kościół ojca Cedrika i ten miały ze sobą coś wspólnego.

Jakkolwiek tylko pod tym względem.

Wewnątrz panowały ciemności. Właściwie niewiele mogła zobaczyć, ale tych kilka szczegółów, które dojrzała, upewniło ją, że ojciec Cedric natychmiast wrzasnąłby „piekło i herezja!”, gdyby zajął tutaj choć na chwilę. Stał tu prosty, drewniany ołtarz, na ścianie za nim wisiał duży drewniany krzyż, ale były też inne, wyglądające obco i niepokojąco przedmioty. Zapewne symbole ich pogańskiej religii, której mimo wszystko nadal potajemnie hołdowali.

- Pomyślałam, że cię tu znajdę - zaczęła Arla, po tym, jak posiedziały chwilę jedna przy drugiej w niemal zażyłym milczeniu. - Jesteś bardzo religijna?

Skinęła głową bez słowa - a jaka niby miała być? - ale to Arli zdawało się nie wystarczać za odpowiedź. - To głupie pytanie - przyznała - któż by na nie odpowiedział „nie”, nawet gdyby tak było?

Zadam je raz jeszcze. Wierzysz w to, że tam w górze istnieje ktoś, kto nad nami czuwa i decyduje o naszym losie?

- Masz na myśli Boga?

O dziwo, Arla odpowiedziała jedynie wzruszeniem ramion, wciąż wpatrując się w nią pytająca - Oczywiście! - wybuchła Katharina. - Ojciec Cedric powiedział...

- Nie pytałam cię, w co wierzy ojciec Cedric ani w co ci kazał wierzyć - przerwała jej łagodnie - ale w co ty wierzysz.

W pierwszej chwili Katharina chciała się oburzyć - brzmiało to jak herezja! - ale potem w oczach Arli spostrzegła coś, co kazało jej się nie tylko powstrzymać, ale być może po raz pierwszy w życiu naprawdę nad tym zastanowić.

Czy wierzyła w Boga? Oczywiście, że wierzyła. A kto niby stworzył świat ze wszystkimi jego zwierzętami, roślinami i ludźmi? Kto stworzył góry, morza i gwiazdy na niebie? A koniec końców także ją?

O tym nie wątpiła ani przez chwilę. Wszelako po raz pierwszy w życiu zaczęła dumać nad tym, cóż to właściwie był za Bóg, który wszystko to stworzył i jakoby z taką nieskończoną miłością i wielkodusznością nad tym światem czuwał. Ojciec Cedric niestrudzenie prawił im w kazaniach o jego wszechmocy i miłości, o rajcu czekającym na wszystkich bogobojnych, którzy wiedli skromne, dobre życie i przestrzegali jego przykazań. Ale równie niestrudzenie głosił prawdę o ogniu czyścicowym, wiecznym potępieniu i mękach piekielnych, czekających tych, którzy tego nie czynili. A skoro Bóg był tak wszechpotężny i kochający, to dlaczego dopuszczał, żeby jego dzieci cierpiały i wyrządzały sobie nawzajem niewypowiedziane krzywdy? Raz nawet zadała to pytanie głośno ojcu Cedrikowi, czym naturalnie zasłużyła na straszliwe baty. Mimo to otrzymała odpowiedź: Ponieważ Bóg był wprawdzie wszystkim im ojcem, ale podobnie jak ludzki ojciec nie odpowiadał za całe zło, które wyrządzały jego dzieci.

I ponieważ życie musiało być tak trudne, aby dać im wystarczająco wiele okazji do zniesienia prób i okazania się godnym życia wiecznego w rajcu. Oczywiście dotyczyło to tylko tych, którzy mieli tam znaleźć wstęp w dniu Sądu Ostatecznego.

Arla długo, lecz daremnie czekała na odpowiedź, w końcu wstała i ruchem głowy dała jej znak, by za nią poszła. - Ansgar powiedział mi, jak byłaś zdziwiona, że jestem tutaj kapłanką.

- Nie ma kapłanek - odparła odruchowo Katharina - tylko mężczyźni mają prawo głosić Słowo Boże i przyjmować spowiedź.

- Czy wasz ojciec Cedric tak powiedział?

Katharina kiwnęła głową, a Arla dodała: - Czy wyjaśnił też, dlaczego?

Już samo to pytanie było jawną herezją wiodącą prościuteńko na stos, o ile ojciec Cedric w sprawiedliwym gniewie od razu by jej nie zabił. Mimo to Katharina przynajmniej postarała się na nie odpowiedzieć. - Ponieważ nasz Pan Jezus Chrystus był mężczyzną?

- A jego matka kobietą, która go w bólach nosiła i w jeszcze większych cierpieniach urodziła - odparowała Arla. - Ale ja nie pytałam o Jezusa Chrystusa, Kar... Katharino, ale o Boga. Jak sądzisz, Bóg jest mężczyzną czy kobietą?

Katharinie najzwyczajniej zabrakło powietrza w płucach. - Takiego pytania nie wolno stawiać!

- Znowu przemawia ojciec Cedric, jak sądzę - westchnęła Arla i machnęła ręką, dając jej tym gestem do zrozumienia, żeby dała sobie spokój z odpowiedzią. Podeszła do ołtarza, na którym Katharina ku swojemu zdziwieniu odkryła oprawioną w ciężką skórę Biblię, i wskazała na wiszący na ścianie drewniany krzyż.

-To prawda, jesteśmy chrześcijanami - powiedziała - choć może nie wszyscy w swoich sercach. Ten warunek postawił nam wasz cesarz, zanim dał przyzwolenie na osiedlenie się tutaj. Wielu sprzeciwiało się porzuceniu naszej starej wiary i nagłemu wyparci się bogów, w których wierzyli przez całe życie. Kilko wróciło do ojczyzny, gdzie starali się zacząć nowe życie. Nigdy więcej o nich nie słyszeliśmy. Sądzę, że większość z tych, którzy wówczas przyjęli chrzest, zrobiła to dlatego, że musiała. Ale minęło już trochę czasu, wiele lat, i Słowo Boga wypełnia teraz serca wielu tutaj, jeśli nie większości.

Położyła dłoń płasko na Biblii, jakby przekonując Katharinę dodatkowo do prawdziwości swoich słów. - Wierzę w Boga i wierzę w Pismo Święte. To głęboko mądra księga, jeśli się ją potrafi właściwie odczytać.

- Umiesz czytać? - zdziwiła się Katharina.

Arla uśmiechnęła się. - Czy nie jest to konieczne, aby głosić słowo Pana, moje dziecko?

Tego Katharina nie wiedziała, nigdy nie widziała ojca Cedrika czytającego, bo i z czego? W biednym Ellsbusch nie było nigdy Biblii.

-Jeżeli naprawdę wierzysz w Boga, to czemu trzymasz wszystkie te bożki na ścianie? - spytała, wskazując ręką dziwaczne artefakty wiszące na ścianach po obu stronach wąskiej nawy. Jeden z nich wyglądał jak wielgachny, dziwacznie uformowany młot, inne, zupełnie jej nieznane, wydawały się jeszcze bardziej niepokojące.

- Więc to są według ciebie bożki? - spytała Arla.

- A cóż by innego?

Wydawało się, że Arla musiała się przez moment zastanowić, zanim odpowiedziała. - To są symbole naszej starej wiary - stwierdziła - dają ludziom pociechę.

- Więc to jednak są bożki.

- Może nasi starzy bogowie są tymi samymi, co wasi?

-To herezja!

- Doprawdy?

-Jest tylko jeden Bóg - rzekła z mocą Katharina, a Arla, mimo tego, co właśnie powiedziała, skinęła głową.

- To prawda, ale kto twierdzi, że on wszędzie i we wszystkich czasach nosił to samo imię? -Wykonała nieznaczny, obronny gest, kie dy Katharina chciała odparować. - Może masz rację i istnieje tylko ten jeden prawdziwy Bóg. Ale jeśli tak jest, to istniał od zawsze, a ludzie od zawsze się do niego modlili, tylko różnie go nazywali.

Nic innego nie miałoby sensu, prawda? Dlaczego jedyny i wszechmocny Bóg miałby pozwolić, żeby jego dzieci hołdowały fałszywym bogom?

- To herezja - powtórzyła Katharina z jeszcze większym przekonaniem. - Nie jesteście prawdziwymi chrześcijanami, a ty nie jesteś prawdziwą kapłanką!

- Bynajmniej - odparła ze spokojem Arla. -Jestem nią. Wierzę w łaskawego Boga i wierzę w tę księgę i w to, co w

niej zapisano. Za to nie wierzę w to, co z tego zrobili niektórzy z waszych świątobliwych mężów - i oszczędź sobie mówienia mi po raz trzeci, że to herezja.

Tyle wiem sama. Może to tylko słowo, które wymyślili wasi kapłani, żeby zmusić do milczenia tych wszystkich, których poglądy im nie odpowiadają. - Raz jeszcze położyła na świętej księdze rękę, szeroko rozkładając palce. - Tutaj w każdym razie nie ma o tym ani słowa.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?- spytała Katharina.

- Może dlatego, że to prawda? - Arla pokręciła głową i cicho się zaśmiała. - I naturalnie również z innego powodu. Jesteś teraz zakłopotana, mam rację? Nie rozumiesz do końca tego, co ci właśnie powiedziałam, ale powoduje to zamęt w głowie i napawa cię strachem. Czyż tak nie jest?

Katharina skinęła głową.

- A to jeszcze nic w porównaniu z tym, co cię czeka, jeśli rzeczywiście pójdziesz z nami - ciągnęła Arla. - Życie tam jest tak inne, że nawet nie możesz sobie tego wyobrazić. Erik ma rację, wiesz? To zabiło moją matkę, twojej matce również nie przyniosło szczęścia.

- Nie chcesz, żebym z wami poszła? - spytała Katharina.

Arla mocno potrząsnęła głową. - To nie tak! - zapewniła. - Wręcz przeciwnie. Będę szczęśliwa, jeśli to uczynisz, Erik też. Pokochał cię, i to się nie zmieni, nawet gdyby się okazało, że nie jesteś jego wnuczką, tylko prostą chłopką, przypadkowo noszącą takie samo znamię.

- Więc dlaczego tak mówisz?

- Chciałabym tylko, żebyś to sobie dobrze przemyślała - odpowiedziała Arla. - Wiem, z jakim trudem podejmujesz tę decyzję, i to w tak krótkim czasie. Ja sama nie poradziłabym sobie z czymś takim nawet w miesiąc, a już na pewno nie w jeden dzień. Jeśli tu zostaniesz, znajdziemy rodzinę, która przyjmie cię jak rodzoną córkę i się o ciebie zatroszczy. Nie dorastałabyś jako księżniczka ani nawet wnuczka jarla, ale otoczono by cię opieką i zapewniono bezpieczeństwo. Uśmiechnęła się przelotnie. - Po tym wszystkim, o czym słyszałam, wydałoby ci się to życiem księżniczki. Obiecuj mi tylko, że o tym pomyślisz, nie żądam więcej. Zrobisz to? Katharina skinęła głową.

- Cóż, więcej nie chciałam usłyszeć - odpowiedziała Arla - a te raz chodź ze mną. Ansgar na ciebie czeka. Chce ci pokazać plac, na którym odbędzie się ting... i parę innych rzeczy, które z pewnością ci się spodobają. A może wolisz spędzić swój ostatni dzień tutaj w domu Erika?

Nie byłby to taki zły pomysł, pomyślała Katharina. Po co przyglądać się czemuś (i może nawet znajdować w tym przyjemność?), co i tak zaraz będzie jej odebrane? Jednak niemo przytaknęła.

- Więc chodź - rzekła Arla, zapraszając ją gestem do drzwi, lecz zatrzymała się po pierwszym kroku. - Aha, i jeszcze jedno. Lubisz Ansgara?

- Naturalnie, ale...

- Zauważyłam, jak na ciebie patrzył - ciągnęła kobieta będąca być może jej ciotką - ty na niego też, nie próbuj nawet temu zaprzeczyć.

-I co? - zapytała podejrzliwie Katharina.

- I nic - odrzekła Arla - chcę tylko mieć pewność, że nie zapomnisz, iż Ansgar może być twoim bratem.

Mimo iż była tu już od ponad tygodnia, nigdy jeszcze nie wyszła poza Bjarnisund, szczerze mówiąc, nawet nie przyszło jej to do głowy. Arla nie pozostawiła jej żadnych wątpliwości co do tego, że nie była więźniem; mogła pójść, kiedy i dokąd tylko chciała... mimo to zwlekała, nim zebrała się, by przekroczyć bramę w czterometrowej palisadzie. Nadal zachowywała się jak więzień, tak jak przez całe życie. Ellsbusch nie otaczała palisada, okalające go mury były niewidoczne, ale co najmniej równie wysokie.

Arla surowo zabroniła jej wspominać Ansgarowi o rozmowie z nią i jego dziadkiem, po czym oświadczyła, że chłopak czekał na nią na zewnątrz, ale w pierwszej chwili nie mogła nigdzie znaleźć ani jego, ani placu tingu (cokolwiek to miało być). Bjarnisund z trzech stron otaczała palisada, a po dwóch z nich ciągnęły się wielkie drewniane okólniki, w których wypasały się konie i zaskakująco duża liczba bydła, dalej rozciągały się pola, których widok szczerze ją zaskoczył. Nie poświęciła tej sprawie ani jednej myśli, ale nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że mieszkańcy Bjarnisund mogli być zwykłymi chłopami.

No to czym w takim razie mieliby być? - skarciła się w myślach.

Piratami, rycerzami rozbójnikami?

Pokręciła głową nad własną głupotą, oderwała wzrok od pól prawie dojrzałych do żniw i rozejrzała się za Ansgarem. I tym razem nie dostrzegła go od razu, ale kiedy po chwili jakiś głos zawołał ją po imieniu, spostrzegła go na szczycie niewielkiego wzniesienia ograniczającego wieś od czwartej strony Od zachodu, jak przyjęła, choć nigdy właściwie nie nauczyła się poprawnie określać stron świata. Stał między kilkoma wyniosłymi głazami na pagórku i do niej machał.

- Ależ to długo trwało - powitał ją, szczerząc zęby, kiedy do niego podeszła. - Byłaś w kościele, żeby się wyspowiadać?

- Owszem, byłam w kościele - odrzekła Katharina, której trochę brakło tchu. Podejście było bardziej strome, niż się spodziewała, i o wiele dłuższe. Kiedy się odwróciła, stwierdziła z zaskoczeniem, że Bjarnisund wyglądało u jej stóp na całkiem niewielkie. Cztery statki, ustawione w równym szeregu przy pomostach, wyglądały jak łódki-zabawki.

- Ale się nie spowiadałam - dodała po krótkiej chwili.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział chłopak. - Nie ma tu konfesjonału, a Arla jeszcze nigdy od nikogo nie przyjęła spowiedzi.

Katharina znów odwróciła się ku niemu.

- Bo niby wszyscy jesteście bez skazy i żyjecie w bojaźni Bożej?

- Bo ona uważa, że żaden człowiek nie ma prawa osądzać drugiego człowieka - odparł - ani tym bardziej udzielać mu rozgrzeszenia...

-Wzruszył ramionami, spozierał na nią przez moment z niezwykłą powagą, ale potem nie mógł już powstrzymać szerokiego uśmiechu. - Albo coś w tym rodzaju. Przecież zdążyłaś już poznać Arię, ma te swoje sentencje.

Tak znowu dobrze Arli właściwie jeszcze nie znała... ale o ile ją znała, zgadzała się, że taka odpowiedź rzeczywiście dobrze by do niej pasowała. Wbrew woli zawtórowała Ansgarowi łobuzerskim uśmiechem.

-Więc, cóż tak tajemniczego było do omówienia, że nie wolno mi było słuchać? - spytał bez ogródek. Bądź co bądź szybko przechodził do sedna sprawy.

- Właściwie nic - odparła. Wzrok Ansgara stał się wyraźnie podejrzliwy, a Katharina ciągnęła z udawaną skruchą: - No dobrze.

Ale to ci się nie spodoba.

-Jestem do tego przyzwyczajony- zapewnił ją. - No to słucham.

- Ostrzegali mnie przed tobą - powiedziała Katharina. - Mam ci lepiej schodzić z drogi, przynajmniej jak długo noszę suknię, a nie spodnie. Tobie nie wolno ufać w tych sprawach.

Ansgar był na tyle uprzejmy, że nie dopytywał się, co dokładnie miała na myśli, ale wyglądał na szczerze rozgniewanego, a zarazem zranionego. - Więc naprawdę nie wolno ci powiedzieć, o co chodzi - mruknął. - Musi być fatalnie.

Właściwie Katharina sama nie rozumiała, dlaczego Arla i Erik kazali złożyć jej tę obietnicę. O większości spraw Ansgar i tak już wiedział. Ale dała słowo i go dotrzyma.

- Czy nie chciałeś pokazać mi placu, na którym odbędzie się ting? - spytała.

Ansgar wprawdzie wydał hardo dolną wargę, ale najwyraźniej zrozumiał. - Stoisz na nim - powiedział.

Katharina spojrzała najpierw na niego, potem na okolicę, a następnie znowu na niego, nic nie rozumiejąc, na co Ansgar cofnął się o krok i wykonał ramionami zamaszty gest. - To jest właśnie miejsce tingu - powiedział. - Tylko mnie teraz nie pytaj, jak oni tu przytargali te głazy, bo tego nie wiem. - Najwyraźniej miał na myśli te ogromne kamienie, na które Katharina zwróciła uwagę już na dole.

Najmniejszy z nich był wyższy od niej, a największy prawie dwukrotnie wyższy i musiał ważyć tyle co cały dom albo i dwa. Co z dołu wyglądało jak bezład, widziane stąd okazało się ewidentnie ułożone ręką ludzką, chociaż powątpiewała, czy to naprawdę ludzie uformowali te gigantyczne głazy w doskonały okrąg, a nie, co wydawało jej się bardziej prawdopodobne, olbrzymy albo czarna magia.

Kamienny krąg mierzył co najmniej dwa tuziny kroków, w jego centrum Katharina spodziewała się ujrzeć coś na

kształt barbarzyńskiego ołtarza, czy też kamienia ofiarnego, ale zobaczyła jedynie krąg spalonej ziemi i popiół w miejscu, w którym musiało płonąć potężne ognisko.

- A co dokładnie tutaj robicie? - spytała.

- To wielka tajemnica - odrzekł Ansgar i rozejrział się ukradkiem na prawo i lewo, jakby się bał, że jest podsłuchiwany.

- Arla i dziadek myślą, że nic o tym nie wiem, ale rzecz jasna wiem. Raz w miesiącu, zawsze w czasie nowiu, przyprowadzają tu jednego więźnia, przywiezionego z ich zbójeckich wypraw - najlepiej dziewicę - i składają ją w ofierze naszym starym bogom, paląc żywcem.

-Aha - rzekła cierpko Katharina - a co tak naprawdę tu robicie?

Ansgar roześmiał się. - To tylko miejsce zgromadzeń - powiedział. - Mężczyźni spotykają się tutaj, żeby obradować nad ważnymi sprawami i czasem kłócić się przez całą noc. Byłem raz przy tym, ale szczerze mówiąc, to było po prostu nudne.

-Więc dziś wieczorem znowu się spotykają? - Ansgar przytaknął, a Katharina dodała: - Dlaczego?

- Ponieważ po każdej wyprawie jest coś ważnego do przedyskutowania. I coś, o co trzeba się pospieszać, ma się rozumieć.

- Tylko tyle - upierała się przy swoim Katharina. - Nie było was przez ponad tydzień i w tym czasie nie zdarzyło się zupełnie nic, poza tym, że mieliście starcie z hrabią Pardeville'em?

- Niezupełnie - odparł Ansgar - tylko że ja...

- Nie możesz o tym mówić, bo ci zabronili? - zgadywała Katharina. Ansgar, zamiast dokończyć zdanie, tylko niespokojnie szurał nogami.

- Uhm - wydukał w końcu.

- Może po prostu zaczekamy, aż się skończy ten wasz... ting - zasugerowała Katharina. To słowo dziwacznie brzmiało w jej uszach; choć inaczej, niż się spodziewała. Teraz, kiedy знаła jego znaczenie, nie tylko straciło swój czar, ale i zdawało się wyrażać jakieś zagrożenie.

Na to Ansgar także nic nie odrzekł, speszony poszurał jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i spojrzał błędzącym wzrokiem na kwitnące pola. Niezręczna cisza poczęła wyrastać między nimi jak wysoki niewidzialny mur.

Katharina popatrzyła w tym samym kierunku co on, dziwiąc się, jak rozległe pola rozciągały się za drewnianą palisadą. Sięgały prawie po horyzont, dopiero hen daleko tuż przed jego linią opasywał je zielony cień, prawdopodobnie las. Jeszcze dalej za nim ciemny dym wznosił się pionowo w nieruchome powietrze, Ansgar zareagował na jej cokolwiek wystraszone spojrzenie, zanim zdołała ubrać pytanie w słowa.

- To tylko węglarze - powiedział. - Nie martw się, nic się nie dzieje. Te ognie palą się prawie przez cały rok. Przy innym wietrze można czasem aż tutaj poczuć ich woń.

- Węglarze? - powtórzyła Katharina. Oczywiście wiedziała, kto to był węglarz. W Ellsbusch też był jeden i nawet go raz spotkała; stara, pomarszczona, bezustannie kaszłająca chłopina; jego twarz i ręce tak głęboko szczeniały od wykonywanej całej życie pracy, że wszystkie wody tego świata nie zdołałyby ich już wymyć do czysta. Jednak tam za lasem paliły się aż cztery ognie!

- Tak wiele? - zdziwiła się.

- Santen to duże miasto - odpowiedział Ansgar.

- Santen? - powtórzyła. Cóż to takiego?

Ansgar machnął ręką w niedbałym geście, którego dokładny kierunek chyba miała sobie sama wyszukać. - Leżące tam miasto - uściślił. - Statkiem potrzebujemy pół dnia, aby do niego dotrzeć. Konno nawet mniej, bo Ren zakreśla tutaj wielki łuk. Umiesz jeździć konno?

- Nie - odparła Katharina.

- Dziś już na to za późno - ciągnął Ansgar - ale jeśli chcesz, to cię nauczę. To nie jest wcale trudne, a jak się już nauczysz, zdaje się cudowne. Moglibyśmy się wybrać konno do Santen. Na pewno ci się tam spodoba.

Pomyślawszy o Ellsbusch, jedynym mieście, jakie znała, Katharina uznała, że lepiej będzie zachować cisnącą jej się

na język odpowiedź dla siebie. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby istniało na świecie miasto, które by się jej podobało. Może z wyjątkiem Bjarnisund.

- Handlujemy z ludźmi stamtąd - kontynuował Ansgar, który najwyraźniej źle wytłumaczył sobie jej milczenie - czasami też transportujemy dla nich rzeką towary. W ubiegłym roku wynajęli wszystkie nasze statki, i to niemal na całe lato. Dziadek zastanawiał się już nawet, czyby nie zbudować jeszcze jednej łodzi, albo nawet dwóch.

To lukratywny interes. - Zachichotał. - Nasze drakkary są znacznie szybsze od waszych statków, szczególnie w górę rzeki. Wiosłowanie idzie dużo szybciej niż holowanie z brzegu.

- Cztery statki? - spytała Katharina z rezerwą. I to przez całe lato?

Z trudem w to wierzyła.

- Santen jest dość duże - potwierdził - mieszka tam ponad tysiąc ludzi... jak sędzę. Może nawet trzy tysiące albo cztery tysiące.

- Kłamiesz! - Katharina wykrzyknęła impulsywnie. Nie wiedziała dokładnie, co oznacza tysiąc, a tym bardziej trzy lub cztery tysiące, ale była pewna, że musiała to być ogromna liczba, może i tak wielka jak gwiazd na niebie, albo i większa. Żadne miasto nie mogło być tak wielkie!

- Nie wiesz zbyt wiele o świecie, co? - spytał Ansgar. - Istnieją jeszcze większe miasta. Kolonia, na przykład. Nie mów, że nigdy o niej nie słyszałaś. Leży w odległości niespełna pół dnia drogi od Ellsbusch.

Słyszała już tę nazwę, oczywiście. Ale to była tylko nazwa, jakieś tajemne miejsce, które gdzieś istniało albo i nie.

- Novaesium? - zaproponował Ansgar. - Z Ellsbusch to prawie rzut beretem.

Katharina milczała.

Chłopak zmarkotniał na moment, a na jego twarzy odmalował się wyraz zamętu, którego nie rozumiała.

- Przez całe życie ani razu nie wyszłaś z tej pipidówki, zgadza się? - zapytał wreszcie.

- A właśnie, że nie! - zaprotestowała Katharina. - Byłam często na zamku.

- Aha - powiedział - i gdzie jeszcze?

Katharina miała na końcu języka jeszcze opryskliwszą odpowiedź, nie mogła się jednak na nią zdobyć, więc ostatecznie spiorunowała go tylko wzrokiem, zaciskając wargi. Ansgar odwzajemnił jej spojrzenie właśnie tak drwiąco, jak się tego spodziewała, ale zaraz przestał. Popadł w zakłopotanie, jakby go dręczyło poczucie winy.

- Przykro mi - rzekł - nie chciałem się z ciebie naśmiewać.

- Nie zrobiłeś tego - skłamała Katharina. A po głębszym zastanowieniu stwierdziła, że istotnie tak było. Jego słowa ugodziły ją niczym złośliwa kpina, ale to raczej samo życie z niej szydziło.

- Nie wypuszczali cię nigdy ze wsi? - drążył Ansgar. - Kim tam byłaś, jakąś niewolnicą? - Poprawił się sam, zanim miała czas odpowiedzieć: - Ależ nie, u was przecież nie ma niewolników, nieprawdaż? Wy, zdaje się, nazywacie ich chłopami pańszczyźnianymi.

Katharina milczała. Nie, nie była ani niewolnicą ani pańszczyźnianą chłopką. Niejeden raz życzyła sobie, aby nimi być, bo te przynajmniej przedstawiały dla swoich właścicieli jakąś wartość. Nikt nigdy nie zabronił jej opuszczać wsi, ale po pierwsze, musiała pracować od wschodu do zachodu słońca, odkąd tylko sięgała pamięcią (i to siedem dni w tygodniu, bo zasadę, iż siódmego dnia należy odpocząć, ojciec Cedric przynajmniej w jej przypadku miał za nic), a po wtóre, nawet jeśli byłoby inaczej, nie miałyby pojęcia, dokąd się udać.

- Pokażę ci Santen - podjął Ansgar, kiedy uparcie zbywała go milczeniem - zrobisz wielkie oczy. Miasto jest ogromne, myślę, że całe Bjarnisund zmieściłoby się na samym rynku.

No dobrze, teraz już miała pewność, że kłamał, aby jej zaimponować. Ale doceniła jego dobre intencje i nagle na jej usta zakradł się przelotny uśmiech.

- Tamtejsi mieszkańcy też ci się spodobają. Są bardzo przyjaźni.

- Ale to obcy - Katharina zgłosiła zastrzeżenie.

- Boisz się obcych? - spytał.

Jak miała się nie bać? W końcu ojciec Cedric wystarczająco często mówił jej, co ją spotka, jeśli opuści bezpieczne



Ellsbusch. Obcy za nic mieli osierocone żebrzące dziewczyny, objadające ich z tej odrobiny stawy, którą sami posiadali. A i najpewniej na końcu ich jeszcze okradały.

- No tak - westchnął Ansgar - widzę, że dziadek ma rację. To zajmie trochę czasu.

- Co? - Katharina zapytała podejrzliwie.

- Pokazanie ci, jakie naprawdę jest życie - odparł - i że nie wszyscy obcy nieuchronnie są twoimi wrogami.

- Ale też nie od razu moimi przyjaciółmi.

Ansgar chciał coś odrzec, ale tylko zmarszczył czoło i wbił wzrok w jakiś punkt za jej plecami. Odwróciła się również i natychmiast dostrzegła, co zwróciło jego uwagę.

Z wysokości wzgórza mieli rozległy widok nie tylko na okolicę, ale i na Ren, którego wstęga widziana z pomostu kryła się dokładnie za tym pagórkiem. Płynął ku nim jakiś statek. Z daleka nie rozpoznawała szczegółów, a tym bardziej ludzi na pokładzie, ale już widziała jego kształt, całkiem odmienny od szczupłych smoczyczych łodzi, o wiele większy, wyraźnie ocieężały i pozbawiony wiosła. Nie musiała nawet zerkać na twarz Ansgara, żeby wiedzieć, jak bardzo go przeraził ten widok.

- Co to jest? - spytała.

Zamiast udzielić odpowiedzi, Ansgar łypnął tylko ponuro na statek.

- To się stało szybciej, niż myślałem - mruknął.

-Co?

- Muszę zawiadomić Erika - rzucił. - Chodź! - Zerwał się i po gwał w dół ze wzgórza tak szybko, że Katharina ledwie mogła za nim nadążyć, choć była dobrą biegaczką.

Dogoniła go, ledwie łapiąc oddech. Cisnęło jej się na usta pytanie, lecz machnął tylko rozdrażniony dłonią i pośpieszył dalej, ani trochę nie zwolniwszy, tak iż znowu musiała biec na złamanie karku, żeby go nie zgubić.

Nie na wiele jej to się zdało. Ansgar zamienił ledwie kilka słów z dziadkiem, na co ów zerwał się przejęty i razem pośpieszyli w dół ku rzece. Po drodze dołączyło do nich kilku mężczyzn, a potem jeszcze więcej. Kiedy stali nad wodą, czekając, aż statek wyłoni się zza zakola rzeki, Katharina co najmniej trzy razy usiłowała zagadnąć Ansgara i jego dziadka o statek, ale obaj zachowywali się tak, jakby nieoczekiwanie przestali władać jej językiem. Rada nierada musiała zaczekać, aż statek ukaże się w zasięgu wzroku.

W końcu wychynał zza zakola rzeki; choć nie czekała długo, wydało jej się to całą wiecznością.

Wrażenie ze szczytu wzgórza okazało się słuszne. Statek był znacznie większy od czterech smukłych drakkarów i miał odmienną konstrukcję; niezdatny wehikuł, który zdawał się z widocznym wysiłkiem przedzierać przez fale. Na pokładzie tłoczyły się dziesiątki mężczyzn w kolczugach i hełmach, nad ich głowami powiewały na wietrze kolorowe proporce i błyszczały groty włóczni.

- To... - z przerażenia wyrwało jej się z ust.

- Guy de Pardeville, tak - dokończył ponuro Erik, kiedy zamilkła.

Jego ręka spoczęła na rękojeści miecza wiszącego u jego pasa.

-Wiedzieliśmy, że się zjawi, ale... - Urwał w pół zdania, zmarszczył czoło i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz czegoś więcej, niż tylko zaskoczenia.

Katharina oszczędziła sobie trudu zadawania kolejnych pytań.

Statek zwolnił jeszcze bardziej i w końcu zatrzymał się niedaleko przystani, na tyle blisko, na ile w ogóle to możliwe przy jego głębokim zanurzeniu. Katharina skorygowała raz jeszcze sporo w górę swoje szacunki co do liczby zbrojnych na pokładzie. Nie wiedziała dokładnie, ilu ich było, bo nigdy nie nauczyła się liczyć dalej niż do dwunastu, ale przybyła ich mała armia; nie tak liczna, jak grupa zebranych na brzegu mężczyzn, ale wciąż imponująca.

Zrobiło się niespokojnie i kilku mężczyzn pośpieszyło z powrotem do wioski, prawdopodobnie po to tylko, aby przynieść broń.

Wiszące w powietrzu napięcie dawało się niemal uchwycić rękami.

Wyglądało na to, pomyślała Katharina, że Ansgar i jego dziadek nie opowiedzieli jej o wszystkim, co im się zdarzyło

w drodze.

Wtedy zobaczyła coś, co ją głęboko przeraziło.

Nad zbrojnymi na pokładzie górowała jedna szczególnie wysoka postać. Miała na sobie niebieski tabard, a na piersi widniał wizerunek stojącego dęba konia, ten sam symbol zdobił szczyt hełmu, co czyniło ją jeszcze wyższą. Guy de Pardeville.

Nawet nie zauważyła, jak zaczęły jej trząść się ręce i kolana, aż Erik położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu.

- Nie bój się, dziecko - powiedział - to nie musi nic znaczyć.

- Ale jakoś nie brzmiał zbyt przekonująco, jakby sam nie wierzył w te słowa.

Pardeville odsunął się od burty i zniknął między pozostałymi mężczyznami. I znowu minął jakiś czas, gdy nic się nie działo - poza tym, że z wioski wrócili ci, którzy dopiero co zniknęli; i tak jak się tego obawiała, dźwigali teraz z sobą topory, miecze i tarcze.

Wtem zza kwadratowej rufy większego statku wysunęła się mniejsza łódź, kierując się do brzegu. Oprócz czterech wiosłujących wojowników na pokładzie znajdowali się tylko dwaj inni pasażerowie: Guy de Pardeville i drugi, ciemnowłosa mężczyzna, tak samo wysoki jak on, ale jeszcze wspanialej ubrany. Także u jego boku wisiał ogromny miecz, ale ów rycerz inaczej niż Pardeville zdjął hełm i ścisnął go pod pachą, tak iż można było dostrzec jego długie do ramion czarne włosy i gładko wygoloną twarz.

- Baron zu Guthenfels? - wymamrotał Erik.

Katharina spojrzała na niego, marszcząc brwi, lecz to nie Erik, a jego wnuk odpowiedział na jej niewypowiedziane pytanie.

- Baron zu Guthenfels jest naszym łącznikiem z dworem cesarza - szepnął, jakby się bał, że zostanie usłyszany przez ludzi na pokładzie łodzi, choć nadal byli oddaleni spory kawał. - To przyjaciel.

Myślę, że w znacznej mierze to jemu zawdzięczamy możliwość osiedlenia się tutaj.

Jeśli to prawda, pomyślała Katharina, to dlaczego jarl był tak zdenerwowany?

Łódź wiosłowa podpłynęła bliżej, zatoczyła niepotrzebnie szeroki łuk wokół Werdandi, do której miała najbliżej, i wreszcie wślizgnęła się z głośnym szumnięciem spory kawałek na brzeg, po czym przechyliła się tak znacznie na jedną stronę, że Pardeville miał kłopot z utrzymaniem równowagi. Katharina spodziewała się, że teraz Erik podejdzie do swoich gości, aby im pomóc albo przynajmniej pošle im kilku swoich ludzi, ale nikt się nie ruszył. Pardeville i baron zeszli z pokładu, a dwóch z czterech mężczyzn dołączyło do nich, podczas gdy dwaj pozostali zepchnęli ciężką łódź do wody i powiosłowali z powrotem.

Erik stał w miejscu, patrząc na czterech mężczyzn ze stęszalym obliczem, a im bliżej podchodzili, tym ciszej się robiło wokoło. Jednak ta cisza nie wróżyła nic dobrego.

- Eriku, mój przyjacielu - zaczął baron zu Guthenfels, podchodząc bliżej, lecz zatrzymując się w odległości dwóch kroków - dawno się nie widzieliśmy.

- Trzy lata - odparł Erik.

- Tak, czas tak szybko mija - westchnął zu Guthenfels - ale obiecałem, że was odwiedzę.

- Zawsze się cieszę, kiedy przyjaciele przybywają w gości - odpowiedział Erik z naciskiem, który zdawał się wyrażać coś dokładnie przeciwnego. Guthenfels rzeczywiście wyglądał na trochę urażonego, ale poprzestał na nieznacznym uniesieniu ramion, po czym powiódł wzrokiem po zwartym szeregu uzbrojonych mężczyzn. Spojrzał też na Katharinę, zatrzymując wzrok wyraźnie dłużej, niż jej to było miłe.

- Czy ostatnimi czasy zawsze przyjmujecie swoich gości pod bronią, Eriku? - zapytał wreszcie.

- Tylko kiedy przywożą ze sobą armię - odrzekł chłodno jarl.

Katharina zobaczyła, jak Pardeville chciał zripostować, ale baron szybkim gestem zmusił go do milczenia i potrząsnął jeszcze raz głową, sprawiając wrażenie zasmuconego.

- Zapewniam was, że jest... inaczej, niż może się wydawać, Eriku - powiedział. - Ale też nie chcę być nieuprzejmy i dawać wam do zrozumienia, że uważam was za głupców albo że nasza przyjaźń nic dla mnie nie znaczy. To prawda, nie jestem tu przez przypadek. I obawiam się, że powód mojej wizyty nie jest zbyt przyjemny.

Bezsukutecznie czekał na odpowiedź, westchnął raz jeszcze i odwrócił głowę, popatrując za siebie na statek z żołnierzami. Kiedy się znowu odwrócił do Erika, po jego twarzy błąkał się mało przekonujący uśmiech.

- Podróż była długa i wyczerpująca, Eriku - powiedział - i obawiam się, że to jeszcze nie koniec. Jestem strudzony i nieco spragniony. Czy macie jeszcze ten pyszny miód, którym raczyliście mnie ostatnim razem?

\*\*\*

Z powodu, którego nie bardzo rozumiała, a który jej złe przeczucie przeobraził w coś bliskiego panice, przybywający do Erika baron uparł się, żeby Katharina im towarzyszyła i tak oto po krótkim czasie znowu zasiadała przy stole, tym razem w wielkim podłużnym domu.

Pomijając to, że ściany i sufit tutaj nie zostały wykonane z garbowanej skóry, a wokół mniej było uzbrojonych mężczyzn, czekających tylko, by się na siebie rzucić, zdawało się, że to wierne powtórzenie jej pierwszej nocy w obozie wikingów, tyle że atmosfera teraz wydawała się o wiele bardziej napięta.

Przy tym zarówno Erik, jak i jego gość robili, co mogli, aby rozładować atmosferę. Tylko dwaj z ludzi Erika siedzieli z nimi przy stole - Tjerg i Hroth, dwóch z trzech, którym tamtej nocy opowiedziała swoją historię - Guthenfels również zostawił obu swoich wojowników na zewnątrz, tak iż siedział przy stole tylko z Pardeville'em; prócz nich byli tam jeszcze Ansgar, Arla i rzecz jasna sama Katharina, która z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo.

Wniesiono jedzenie i oczywiście pitny miód, o który prosił Guthenfels, i przez pewien czas wszyscy ochoczo jedli i pili, a jeśli coś mówiono, to w języku Erika, którym przynajmniej Guthenfels wydawał się władać dość płynnie. Katharina zauważyła, że mężczyźni bynajmniej nie wlewali w siebie miodu w takich ilościach, do jakich zdążyła się już przyzwyczaić.

Wnet też Guthenfels przystąpił do sprawy. Pociągnął jeszcze jeden solidny łyk miodu i gestem, który zupełnie nie pasował do jego dystygowanych manier, wytarł wierzchem dłoni wargi, po czym z uśmiechem odwrócił się na krześle tak, że patrzył teraz wprost na Katharinę. Wydał się jej przy tym całkiem szczerzy, ale w jego wzroku było zarazem coś, co ją niepokoiło, mimo iż wyczuwała, że nie było to w istocie nic nieprzyjaznego.

Któż może wiedzieć, co możliwym tego świata chodzi po głowie?

- Więc to ty jesteś Katharina - rzekł, przyjrzawszy się jej przez długi moment w ten szczególny sposób.

Katharina przytaknęła. Co miała na to odpowiedzieć? -Wiele o tobie słyszałem, moje dziecko - kontynuował. -I cieszę się, widząc, iż zdajesz się wracać do sił.

- Nie byłam... ranna, panie - odpowiedziała niepewnie. Czuła, że baron zu Guthenfels przemawiał do niej nie tylko z grzeczności.

- Nie wszystkie rany, które człowiek odnosi, krwawią, moje dziecko - odparł. - Bądź co bądź straciłaś dom, a każdy, kogo znałaś, został okrutnie zamordowany. Widziałem, jak niejeden z mężczyzn załamywał się pod takimi ciosami losu.

Katharina chciała na to odrzec, pochwyciła jednak ostrzegawcze spojrzenie siedzącej na prawo od Erika Arli, toteż ograniczyła się do wzruszenia ramion.

- Czym dotarlibyśmy do właściwego powodu waszej wizyty, nieprawdaż, stary przyjacielu? - zasugerował Erik.

Guthenfels jeszcze przez moment wbijał wzrok w Katharinę, w końcu zdając się być rozczarowany, odwrócił się do Erika.

- Cieszę się, że używacie tego słowa, Eriku - powiedział—bo przybyłem właśnie w tej roli, jako przyjaciel.

- Czy dlatego przywieśliście ze sobą tak wielu żołnierzy? - zapytała Arla.

- Czasy są trudne, droga przyjaciółko - odpowiedział - a nie są to moi żołnierze... choć w tej chwili przebywają pod moją komendą, to prawda.

- A jakie dokładnie wydaliście im rozkazy? - drażyła Arla.

- Na razie, by pozostali na pokładzie Burzyka i baczyli na to, żeby nikt nie zakłócał spokoju - odparł Guthenfels, po czym na powrót zwrócił się do jej ojca. - Pewnie domyślacie się, dlaczego przybyłem, Eriku.

- Ellsbush?

- Tak, widziałem, co z niego zostało - odpowiedział baron - a także z wioski. - Przelotnie musnął wzrokiem Katharinę, jakby spodziewał się jakiejś konkretnej reakcji na te słowa. Kiedy nikt się nie odezwał, mówił dalej: - Straszliwa zbrodnia. Obawiam się jednak, że chodzi o coś więcej. Chcę być z wami całkiem szczery, Eriku, jestem to winny naszej starej przyjaźni. Wielu jest takich, którzy wierzą, że Bjarnisund jest za to odpowiedzialny.

- Niech zgadnę - powiedział Erik, którego ten niesłychany zarzut zdawał się raczej bawić, niż oburzać. - To ci sami ludzie, którym nasza obecność już od dawna jest tu solą w oku.

- Mniej więcej - odparł Guthenfels.

- Ten i ów, tak? A wy? - spytał Erik, patrząc jednak przy tym raczej na Pardeville'a niż na Guthenfelsa. Zagraniczny gość odparował jego spojrzenie tak samo niemo i nienawistnie, jak czynił to, siedząc tam cały ten czas.

- Gdybym uważał, że mieliście z tym coś wspólnego, nie siedzielibyśmy teraz tutaj i nie gawędzilibyśmy sobie tak miło - odpowiedział Guthenfels. Słysząc było, że jest trochę urażony, uznała Katharina. - Nie liczy się to, co ja myślę. Tej nocy, kiedy płonął Ellsbusch, na Renie widziano smoczą łódź. A Guy de Pardeville oświadczył, że widział was i kilku waszych ludzi wychodzących z wioski.

- Byliśmy tam w rzeczy samej - odpowiedział Erik. - Ujrzelśmy łunę pożaru i chcieliśmy przyjść z pomocą, ale zjawiliśmy się za późno. - Spojrzał na Pardeville'a. - Czy nie to samo przytrafiło się wam, hrabio?

Pardeville chciał coś odrzec, ale baron zmusił go do milczenia lodowatym spojrzeniem. - Przyznajecie zatem, że tam byliście?

- Toż właśnie to przed chwilą uczyniłem - odrzekł Erik. - Byliśmy w drodze powrotnej z Novaesium, kiedy ujrzeliśmy łunę ognia, spytajcie w porcie.

- Już to zrobiłem - skinął głową Guthenfels - potwierdzają tam wasze słowa.

- To jeszcze nie dowód, że nie macie nic wspólnego z atakiem na zamek Ellsbusch i wieś! - obstawał przy swoim Pardeville. - Widziano wikingów, a wśród gruzów zamku Ellsbusch znaleziono ich broń i ubrania. I aż nazbyt wiele grotów strzał w ciałach jego obrońców.

Grotów, jakich używają Normanowie.

- Nie jesteśmy jedynymi - zauważył Erik, który wzięwszy pod uwagę to, czego musiał wysłuchiwać, wciąż pozostawał nadzwyczaj spokojny.

- Prawdę rzekłeś - zgodził się Guthenfels. - I to jest powód, dla którego jestem tu ja, Eriku, a nie wojsko, którego żądają ludzie w Novaesium i jego okolicach, domagając się zrównania Bjarnisund z ziemią i wybicia was wszystkich.

Zapanowała cisza. Ani Erik, ani dwaj mężczyźni obok nawet nie mrugnęli okiem, a i Arla patrzyła na ciemnowłosego przybysza, nie ujawniając emocji. Tylko Ansgar wyglądał, jakby miał wyskoczyć ze skóry, ale jeszcze się hamował.

Katharina nie. Ogarnęła ją wściekłość, nie rozumiała, dlaczego Erik nie odpierał tych zarzutów, wszak to było takie proste. - Ależ to nie oni napadli na Ellsbusch! - wypaliła.

Erik zmarszczył czoło - z dezaprobatą, jak jej się zdawało - a Guthenfels znowu zwrócił ku niej twarz. Jego wzrok stał się przenikliwy. - Skąd to wiesz, moje dziecko? - zapytał.

- Bo przy tym byłam! - odparła ostro.

- Tak, doniesiono mi, że jesteś jedyną ocalałą z wioski - powiedział. - Miałaś wielkie szczęście, że cię nie znaleźli.

- Nie z wioski - odparła. - Kiedy zaatakowali, byłam na zamku!

Widziałam ich!

Erik wyglądał teraz na lekko przestraszonego, a Arla chciała chyba jej coś bezgłośnie przekazać, na co jednak Katharina nie zwracała uwagi.

- A co dokładnie widziałaś, moje dziecko? - spytał baron.

- Demony - rzekła Katharina. Guthenfels sprawiał wrażenie jedynie zmieszanego, ale Pardeville wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie, toteż szybko się poprawiła: - To nie były demony, ale w tamtym momencie myślałam, że to złowrogie duchy. Byli ogromni, i... i mieli rogi, i miecze, i zabijali każdego, kogo napotkali na drodze.

- Normanowie - prychnął Pardeville.

- Tak, ale nie nasi ludzie! - zaprotestowała Katharina.

- Nasi ludzie? - powtórzył Pardeville.

Guthenfels uśmiechnął się przelotnie, po czym zapytał łagodnie: - A skąd to wiesz, moje dziecko?

- Bo tam byłam! - upierała się przy swoim Katharina. - I wiem, kto...

- Ona nie była na zamku - przerwał jej Pardeville. - Demony!

Sami dopiero co słyszeliście! Jest szalona albo chce udawać ważną... albo kłamie, żeby chronić jej pogańskich przyjaciół!

Katharina chciała zaoponować, lecz teraz to Erik zmusił ją do milczenia prędkim gestem. Co uczyniwszy, zwrócił się do gościa: - Dlaczego tu jesteście, Guy de Pardeville'u? Aby dowiedzieć się, co naprawdę się zdarzyło, czy aby wysunąć wasze domniemane roszczenia do tej dziewczki?

- Obawiam się, że jedno nie da się oddzielić od drugiego, jarlu - odrzekł Guthenfels, zanim Pardeville zdążył wybuchnąć, a tym samym pogorszyć sytuację. Zwrócił się do Kathariny: - Myślę, że Guy de Pardeville ma słuszość, moje dziecko, choć wyraziłbym to uprzejmie. Nie było cię na zamku.

- Byłam! - zaprotestowała z mocą. - Nie kłamie!

- Ja też tak nie myślę, Katharino - powiedział Guthenfels. - Ale tamtej nocy przeżyłaś straszne rzeczy i na pewno bardzo się bałaś.

Nikt cię o nic nie obwinia, ani tym bardziej nie uważa, że chciałaś nas oszukać. Ale wiem, że nie było cię na zamku. Ciesz się, że tak jest, w przeciwnym razie byłabyś już martwa.

- A skąd macie taką pewność, skoro nikt inny nie ocalał? - spytał Erik. Z jego głosu bił niepokój, a spojrzenie, którym musnął Katharinę, wcale nie przypadło jej do gustu.

Zamiast odpowiedzieć, Guthenfels zwrócił się z niemym ukłonem w stronę Guya de Pardeville'a, ten zaś wstał i pobiegnął do drzwi.

Katharina zwróciła się z błagalnym wzrokiem do Erika. - Ale ja nie skłamałam! - uporczywie zapewniała. - I nie uroiłam sobie tego!

Przecież widziałam, jak...

- Wszystko się wyjaśni - przerwał jej jarl - nie martw się. Prawda wyjdzie na jaw, a tobie nic się nie stanie, tak czy inaczej. - Ale...

- Teraz zamilcz - uciał Erik ostrym tonem.

Po kilku chwilach wrócił Guy de Pardeville. Nie sam. Weszło za nim dwóch mężczyzn w kolczugach i hełmach, szcepili ręce i szli lekko pochyleni do przodu, tworząc coś w rodzaju żywej lektyki, a kiedy Katharina rozpoznała chudą postać, którą nieśli, dosłownie zaparło jej dech w piersiach. Zerwała się tak gwałtownie, że jej krzesło przewróciło się z łoskotem.

- Ojciec Cedric?!

Erik zmarszczył brwi i spojrzał na nią teraz z mieszaniną zdumienia i wcale już nieskrywanej podejrzliwości. Nikt tutaj nie znał ojca Cedrika, ale w końcu nie tylko twierdziła, że nie żyje, ale też przedstawiła w całej rozciągłości okrutne okoliczności jego śmierci.

Tymczasem ojciec Cedric żył. Wyglądał strasznie, schorzały, zmarniały i tak wychudzony, jakby za każdy dzień, odkąd widziała go ostatnim razem, stracił na wadze co najmniej dwa funty. Pod oczami rysowały mu się ciemne, prawie czarne kręgi, a usta miał spękane i pokryte szpetnymi strupami. Nawet z tej odległości Katharina czuła, jak obrzydliwie cuchnął - chorobą i brudem - dłonie i stopy miał obwiązane tak grubo, że wyglądały jak absurdalne niechlujne maczugi na końcach kończyn. Już samo niesienie zdawało się sprawiać mu silny ból, bo stękał i jęczał nieprzerwanie, a gdy mężczyźni posadzili go ostrożnie na krzesło, z jego spierzchniętych ust wydobył się piskliwy lament. Jednak spojrzenie, którym zmierzył Katharinę, było jasne i przepelnione czystą nienawiścią.

- Jesteście... ojcem Cedrikiem? - zapytał Erik. - Powiedziano mi, że nie żyjecie!

- Bóg miał nade mną pieczę - odpowiedział Cedric. Głos miał równie cienki i łamliwy jak twarz błądą. - Mimo iż twoi bracia próbowali wszystkiego, by mnie zabić, poganinie.

- Wybaczcie, proszę, ojcu Cedrikowi - pośpieszył Guthenfels - jestem pewien, że nie chciał was urazić. Ci ludzie poważnie go zranili. To cud, że jeszcze żyje.

- Wiem, co mu uczyniono - odparł Erik - Katharina mi opowiedziała. Mam dla was szczere współczucie, ojczu.

- Obędę się bez niego - zakrzakał Cedric i z trudem odwrócił się do Guthenfelsa. - Do rzeczy, baronie!

Guthenfels obdarzył go teraz wyraźnie poirytowanym spojrzeniem, zwrócił się jednak do Erika. - Hrabia de Pardeville doniósł mi, że doszło do pewnych... nieporozumień w związku z tą panną?

- Nieporozumień? - Erik powtórzył to słowo, jakby musiał się wprawdzie zastanowić nad jego znaczeniem. Potem potrząsnął głową.

- Nie, właściwie nie. Guy de Pardeville spytał ją, czy chce z nim iść, a ona mu na to, że nie. To wszystko. Woli zostać z nami... czyż nie tak, dziecko?

Katharina energicznie kiwnęła głową, na co Guthenfels westchnął, a Pardeville wydobył z siebie jedynie lekceważący świst.

- To głupie dziecko! - fuknął. - Od kiedy was obchodzi, czego ona chce? Dziewczyna należy do nas.

- Może do swojej rodziny, owszem - odpowiedział jarl - ale nikt z nich już nie żyje, a ktoś musi się nią zająć.

- O to my się zatroszczymy, nie bójcie się - warknął Pardeville - niczego jej nie zabraknie, ale odejdzie z nami. I na tym koniec.

- Dokąd? - dociekał Erik, wciąż zaskakująco opanowany. - Cała jej wieś została zgładzona. Nikt z jej rodziny nie żyje.

-Ja wciąż żyję! - wmieszał się ojciec Cedric.

-I chcecie ją ze sobą zabrać, do opustoszałej wsi, w waszym stanie? - spytał Erik.

- Kościół się nią zajmie - odpowiedział Cedric. - Opiekował się nią przez całe jej życie i nadal będzie to robić. Chodzi o jej zbawienie. Może być sierotą, ale ciągle jest jeszcze dzieckiem Boga, należą cym do swego ludu, a nie do was, pogan!

-Jesteśmy chrześcijanami, ojczu -wtrąciła łagodnie Arla. -Większość ludzi tutaj w Bjarnisund jest ochrzczona.

- Chrześcijanie, błaga! - ojciec Cedric wywinął w powietrzu swoimi grubo zabandażowanymi rękami tak, jakby usiłował kogoś uderzyć, i spróbował się nawet podnieść, lecz opadł z dręczącym kaszlem. Jego twarz oblała się czerwienią, by zaraz zblednąć. Minęła długa chwila, nim odzyskał oddech i zaczął dalej mówić.

- Tak, słyszałem o waszym tak zwanym kościele! -wyrzucił z siebie, kaszląc i świszcząc. - To jest kacerstwo! Wznosicie świątynię bałwanów, zatykacie na jej dachu krzyż i twierdzicie, że jest kościołem, a wy szczerymi chrześcijanami! Kościół, w którym Słowo Pana głosi kobieta! To kacerstwo!

- Ojczu Cedriku, uspokójcie się proszę! - Guthenfels dodatkowo wznosił łagodząco rękę, tym samym ruchem przywołując ponownie dwóch ludzi, którzy przenieśli duchownego. - Może było błędem żądać od was wyruszenia w tę wyczerpującą podróż, do tego w waszym stanie. Bądźcie pewni, że znajdziemy rozwiązanie, które będzie zarówno po waszej, jak i po naszej myśli, a przy tym najlepsze dla zbawienia tej biednej dziewczyny.

Dał znak wojownikom. - Zabierzcie ojca Cedrika z powrotem na Burzyka - rozkazał - ale bądźcie ostrożni.

- Kacerstwo! - warknął raz jeszcze Cedric.-I obraza boska!

Guthenfels powstrzymał się od dalszej dyskusji, lecz odczekał w milczeniu, aż mężczyźni wyniosą duchownego, po czym zwrócił się do Pardeville'a: - Dlaczego nie dołączycie do ojca Cedrika, hrabio? Czułbym się lepiej, wiedząc, że na pokładzie Burzyka jest człowiek, któremu mogę zaufać.

Pardeville patrzył na niego przez chwilę z kamienną twarzą, po czym zerwał się i wybiegł z sali. Guthenfels podążył za nim wzrokiem, potrząsając głową, a następnie odwrócił się ze zmartwioną miną do Erika. Jednak, zamiast coś powiedzieć, przez moment tylko sondował go spojrzeniem, po czym znowu zwrócił się do Kathariny.

- Czy naprawdę tego chcesz, moje dziecko? - spytał. - Zostać tutaj, z ludźmi, których nie znasz, by wieść życie, które być może okaże się całkowicie ci obce i przerażające?

Katharina chciała odruchowo skinąć głową, lecz wtedy stało się coś dziwnego. Może dlatego, że Guthenfels użył prawie tych samych słów, co wcześniej Erik, naraz zdała sobie sprawę, że dotychczas jeszcze nigdy tak naprawdę nie

przemyślała tej sprawy. Może istniał jakiś powód, dla którego nie tylko Erik, ale i Arla, a nawet Ansgar przynajmniej pośrednio ją ostrzegali, żeby nie podejmowała pochopnej decyzji. Wiedziała, że życie, które dotychczas wiodła, było złe i że ani mogła, ani chciała do niego wrócić, ale po raz pierwszy poczęła rozważać, czy aby naprawdę tutaj było jej o tyle lepiej.

Zła na siebie, otrząsnęła się z tej myśli i tym gwałtowniej skinęła teraz głową, lecz jej krótkie wahanie nie uszło uwagi barona.

Odwrócił się do Erika, nim zdążyła wypowiedzieć choć słowo.

- Sposób, w jaki wstawiacie się za tym biednym dzieckiem, za służy na szacunek, stary przyjacielu - oświadczył - ale powinniście zadać sobie pytanie, czy ona jest warta ceny, którą będziecie może musieli zapłacić.

- Co to ma znaczyć? - spytał jarl, nagle ostrym tonem.

Guthenfels wykonał uspokajający gest. - Już dawno nie chodzi o tę dziewczynę, Eriku, wiecie o tym. Atak na zamek Ellsbusch wielu posłużył do wzburzenia nastrojów przeciwko wam. Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby dowiedzieć się prawdy, ale sam tylko Bóg wie, co się stanie do tego czasu. Wydanie dziewczki z pewnością zostałyby przez niektórych odebrane jako znak dobrej woli.

- Mamy życiem dziecka zapłacić za nasze bezpieczeństwo?

- odezwała się Arla.

- Oczywiście, że nie — rzekł Guthenfels. - Nic jej się nie stanie, za to ręczę ja.

- Chcecie zabrać ją z powrotem do tego klechy? - spytał Erik z pogardą. - Spytajcie ją, jak ten człowiek ją traktował!

- Ellsbusch już nie istnieje, a ojciec Cedric znajdzie nowe zadanie, jeżeli w ogóle przeżyje - odparł Guthenfels, potrząsając głową.

- Wiem, że nie jest dobrym człowiekiem. Ale nie on się o nią za troszczy, lecz Kościół. Nie byłaby pierwszą sierotą, która znalazła ratunek w jego opiekuńczych objęciach.

- W murach klasztoru, chcecie powiedzieć! - prychnął Erik.

- Gdzie się ją wsadzi w habit i wypędzi z niej całą radość życia?

Baron widać zbierał się do kolejnej, ostrzejszej repliki, ale raptem odwrócił się znów do Kathariny i ją przyglądać się jej długo i w zadumie. Obserwowała na jego czole, jak usilnie myśli. Zachodziła w głowę, dlaczego - skoro człowiek ów miał być jego przyjacielem - Erik po prostu nie powie mu, za kogo ją uważa. Sama może powinna to zrobić.

Guthenfels uprzedził ją jednak, odchrząkując przesadnie głośno i wstając zamasyście. Erik i inni również chcieli powstać, jednak baron pokręcił tylko głową. - Zostańcie na miejscach, proszę! Wszyscy jesteśmy teraz wzburzeni i powinniśmy dać sobie chwilę na ochłonicie. Po prostu przemyślcie, co wam powiedziałem. Burzyk popłynie dalej do Santen, gdzie mam coś do załatwienia. Jutro, najpóźniej pojutrze wrócimy, do tego czasu będę jeszcze zwodzić ojca Cedrika; a także Pardeville'a. Obawiam się wszelako, że wówczas będę musiał zażądać od was decyzji.

Czekał, aż Erik lub ktoś z pozostałych coś na to odpowie. Kiedy nic takiego się nie stało, westchnął raz jeszcze głęboko i odszedł, a jarl odczekał dokładnie tak długo, aż kroki Guthenfelsa i jego towarzyszy zaczęły się oddalać, po czym wyszeptał kilka słów do mężczyzny po swojej lewej stronie, a wojownik szybko powstał i ruszył za baronem.

- Jest mi bardzo przykro z powodu tego... wszystkiego - mozolnie wydobyła z siebie Katharina. - Naprawdę nie chciałam, żebyście ze względu na mnie narobili sobie tyle kłopotów.

- Co ci każe myśleć, że to z twojego powodu? - zapytał Erik. Jego głos zdradzał zdenerwowanie.

- Przecież on powiedział, że...

- Powinnaś się wreszcie odzwyczaić od doszukiwania się w sobie winy za wszystkie nieszczęścia tego świata, dziecko - Arla wpadła jej w słowo z łagodną drwiną w głosie. - Aż tak ważna w końcu nie jesteś.

- Ale ja... - zachnęła się znowu Katharina, lecz tym razem przerwał jej Erik: - Czy nie czas, żebyś się zatroszczyła o swoje kotki? Od dawna muszą być już głodne.

Okres, w którym musiała karmić młode co dwie godziny, a między karmieniami chronić je własnym ciałem przed zmarznięciem, dawno już minął i Erik wiedział o tym lepiej od niej. Ale Katharina zrozumiała, co chciał jej przez to powiedzieć, i już się nie sprzeciwiała. Poprzestała na pełnym wyrzutu spojrzeniu, wstała bez słowa i ruszyła do drzwi.

Fakt, że Erik dał Ansgarowi - bynajmniej nie ukradkiem - znak, żeby za nią poszedł (i na nią uważał), ani trochę nie poprawił jej humoru. Gdy wyszła z domu, celowo szła tak szybko, żeby tym razem to on musiał pędzić z wywieszonym językiem, jeśli chciał ją dogonić.

\*\*\*

Z perspektywy czasu stało się dla Kathariny jasne, jak niesprawiedliwie potraktowała Ansgara, po czasie gorzko żałowała swego dziecinnego zachowania. Ansgar zadawał sobie wiele trudu, aby wszelkiego rodzaju błazeństwami i żartobliwymi uwagami podnieść ją na duchu i rozbawić, lecz nie zwracała na to uwagi, karała go wręcz pogardą i robiła dokładnie to, co jej polecił jego dziadek: opiekowała się Huginem i Muninem, a kiedy nicponie nasyciły się nieoczekiwaną dodatkową porcją mleka i podziękowały jej nawalą pieszczot i mruczenia, oddała się bez reszty swawolnej z nimi zabawie. W końcu Ansgar dał za wygraną i wymamrotawszy jakiś komentarz w swoim ojczystym języku, poszedł sobie obrażony.

Katharina zdążyła już pożałować swojego głupiego zachowania i najchętniej popędziłaby za nim, aby go przeprosić i błagać o przebaczenie - w końcu był Bogu ducha winien - ale dzielnie oparła się tej pokusie i czekała z kamienną twarzą, aż wyszedł z domu i demonstracyjnie zatrzasnął za sobą drzwi.

Gdy tylko to uczynił, delikatnie odłożyła kocięta z powrotem do koszyczka i pośpieszyła do okna. Zdążyła jeszcze dostrzec, jak zniknął w długim domu, ponownie opadły ją wyrzuty sumienia, rzuciła jeszcze okiem na rzekę w dole, na tyle, na ile pozwalało ograniczone pole widzenia wąskiego okna.

Burzyk opuścił już swoje zaimprovizowane kotwicowisko i przesuwiał się z wolna na środek rzeki, ociężałe i mniej więcej równie elegancko jak zniedołężniały wół, który ugrzązłszy w bagnie, próbuje się z niego jakoś wygramolić. Chociaż o statkach i żegludze wiedziała tyle, co wspomniany wół, było dla niej oczywiste, że Burzyka bez umiaru przeciążono. Normalnie musiałby wystawać ponad wodę trzy lub cztery razy wyżej niż smukłe drakkary jej nowych przyjaciół; teraz wystarczyły nawet płaskie fale Renu, aby zalewać pokład i będących na nim ludzi. Ta scena ciągle przejmowała ją lękiem, ale teraz rozumiała jeszcze mniej niż poprzednio. Dlaczego baron zu Guthenfels i Pardeville pojawili się tutaj z tyloma uzbrojonymi ludźmi, żeby zaraz się stąd wynieść? A jeszcze bardziej frapująca była kwestia: dlaczego sprowadzili ojca Cedrika? To, że w ogóle jeszcze żył, graniczyło z cudem. Tak męcząca podróż mogła go z łatwością dobić.

Nie znalazła odpowiedzi ani na jedno, ani na drugie pytanie (a przeczuwała, że tak jest lepiej, bo pewnie by się jej nie spodobały), więc ulegając w końcu żalosnemu kwileniu kocich bliźniąt, zaczęła się z nimi bawić. Być może dla barona wcale nie byłoby źle, gdyby ojciec Cedric umarł po trudach podróży. Odniosła wrażenie, że niezbyt lubił duchownego.

Dzień mijał nieznośnie wolno. Raz przyszła jedna ze starszych kobiet, które знаła już z namiotowego obozu - Nardis, jeśli dobrze pamiętała - i przyniosła jej jedzenie; to znowu obserwowała przez okno, jak Erik wraz z pół tuzinem swoich wojowników maszeruje prościuteńko ku niej, by nagle zawrócić i równie pośpiesznie potrucztać z powrotem. Wszystko to przedstawiało się coraz bardziej tajemniczo i niepokojąco. Na domiar złego, nerwowy niepokój, który wraz z pojawieniem się statku ogarnął cały Bjarnisund, nie ustępował, przeciwnie, zdawał się narastać.

Zaczęło się już zmierzchać, gdy przyszła do niej Arla. Wyglądała na skrajnie wyczerpaną, jakby miała za sobą dzień wypełniony ciężką fizyczną pracą. Nie trzeba było być wielkim znawcą ludzi, aby dostrzec, że za szczerym wprawdzie uśmiechem, z którym weszła, kryła się dotkliwa zgryzota.

- Przykro mi, że zostawiliśmy cię samą na tak długo - zaczęła.

- Pewno mieliście wiele do omówienia - domyśliła się Katharina.

Arla skinęła tylko głową, dziewczyna zostawiła jej dostatecznie dużo czasu na odpowiedź, a potem dodała: - I nie było to nic dobrego, jak sądzę. Arla ponownie przytaknęła. Zmęczony uśmiech przemknął po jej wargach i zgasł. - Czy już ci powiedziałam, że uważasz się za zbyt ważną, moje dziecko? Nie wszystkie problemy tego świata są twoją winą.

- Yhm... - powiedziała Katharina.

- Słońce wkrótce zajdzie - oznajmiła Arla. - Odprawię zaraz mszę, żebyśmy znaleźli siłę w modlitwie. Chcesz wziąć w niej udział?

To, pomyślała Katharina, bardzo dziwne pytanie. Gdyby opuściła choć jedną mszę lub jakikolwiek inny kościelny obrządek w Ellsbusch, ojciec Cedric stłukłby ją na kwaśne jabłka. Była tak zdumiona, że w ogóle nie odpowiedziała.



Arla zaskoczyła ją jeszcze bardziej, zupełnie opacznie tłumacząc sobie jej milczenie.

- Zostań spokojnie tutaj - powiedziała - twoja dusza nie odniesie żadnej szkody, jeśli opuścisz jedną mszę. - Ukucnęła i zaczęła bawić się z kotami. Gdy się odezwała, nie patrzyła na Katharinę. - Później najstarsi zgromadzą się na ting.

- Aby uradzić, co ze mną zrobić?

Arla zaśmiała się, jakby dziewczyna powiedziała coś głupiego.

Katharina czekała teraz, żeby po raz trzeci usłyszeć jej niemądrą sentencję o tym, że brała się nazbyt poważnie, jednak ta wzruszyła tylko ramionami i przez chwilę poważnie przemyśliwała jej pytanie.

- Myślę, że dla Erika nie ma już żadnego powodu, żeby tu pozostać - rzekła w końcu. Chociaż nadal nie patrzyła na Katharinę, ta dostrzegła smutny uśmiech, który przemknął po jej twarzy; twarzy, która naraz wydała się jej dużo bardziej znużona niż nad ranem.

- Erik opowiedział ci, jak tutaj przybyliśmy, i ta historia jest prawdziwa - ciągnęła po przerwie. - Nasza wieś została zniszczona, a blisko połowa naszych ludzi zabita. Nie mieliśmy tam już prawie nic, dlatego warto było zostawać, więc z łatwością przekonał innych do przybycia tutaj i rozpoczęcia nowego życia. Ale dla Erika istniał jeszcze jeden powód. Nigdy nie przestał szukać mojej siostry. I jej dziecka.

- Przecież wcale nie jest pewne, że naprawdę jestem tą, za którą mnie uważa! - zaprotestowała Katharina.

- Gdybyś mogła siebie widzieć, nie mówiłabyś tak - argumentowała Arla. - Zapuść włosy i ubierz się tak jak on, a nawet mnie z trudnością przyszłoby odróżnić cię od Ansgara. - Dla potwierdzenia tych słów potrząsnęła głową. - Do tego jeszcze znamię węża... nie, Erik nie ma cienia wątpliwości. Moja siostra zapewne nie żyje, ale znalazł ciebie. Nie ma już powodu, aby tu dłużej zostawać.

- Ale tu jest wasz dom!

- Nikt tak naprawdę w to nie wierzy, dziecko - westchnęła Arla.

- Próbowaliśmy. Żyjemy tutaj od ponad dziesięciu lat, ale pozostaliśmy obcy. Ludzie w Santen i niewielu innych mogą być do nas przy jaźnie nastawieni, ale większość odnosi się z nieufnością. Potrafię to nawet zrozumieć. W przeszłości zbyt wiele się wydarzyło i wyrządzonych zostało mnóstwo krzywd, aby w ciągu tak niewielu lat puścić je w niepamięć. Nie innego zdania jest też większość naszych ludzi. Ta kraina jest cieplejsza i płodniejsza od naszej ziemi ojczyściej, ale to przecież wciąż nie nasza ojczyzna. Żyjemy w obcym kraju, otoczeni przez obcych ludzi i obcych bogów... nie będzie mu trud no przekonać innych do wyjazdu.

- A ty? - spytała Katharina.

Arla wzruszyła tylko ramionami i dalej głaskała kocięta. Po kolejnej przerwie trwającej wieczność uwolniła się od małych natrętów i wstała. - Muszę iść do kościoła - powiedziała. - Zaraz zacznie się msza, a po niej ting. To może trwać do późna. Kazać ci przynieść coś do jedzenia?

Nagła zmiana tematu trochę zaskoczyła Katharinę, ale szybko zrozumiała, skąd się wzięła. Pokręciła głową w milczeniu, choć rzeczywiście była trochę głodna.

Arla zawahała się po raz ostatni, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale poprzestawszy na pożegnalnym skinieniu głową, wyszła.

Katharina podeszła do okna i ponownie wyjrzała. Jak Arla powiedziała, większość mieszkańców Bjarnisund napływała do dziwnego kościoła w sercu wioski - ale nie wszyscy. Wielu śpieszyło na modlitwę, jednak byli też i tacy, którzy wracali do swoich domów albo po prostu stali w małych grupach tu i tam, rozmawiając, lub wpatrywali się w rzekę. Albo byli zbyt poruszeni, żeby się modlić - albo też nie było aż tak wielu chrześcijan, jak twierdziła Arla.

Rzecz dziwna, pomyślała o tym bez gniewu. Jeszcze przed kilkoma dniami uważałyby inaczej. Ludzie, którzy nie wierzyli w Boga, byli heretykami, a jako takich należało ich stawiać na równi z diabłami. Zresztą może nawet byli i czymś gorszym, bo słudzy szatana ostatecznie nimi się zrodzili i nie mieli żadnego wyboru, ludzie wszakże mieli. Nie odczuwała jednak należnej pogardy. Może dlatego, iż była świadoma, że ciągle jeszcze nie знаła dobrze tutejszych ludzi (a tym bardziej ich sposobu życia).

Stała tak przy oknie doskonale nieruchoma, aż cała wspólnota, jeden po drugim wyszli z kościoła. Niektórzy - z pewnością nie wszyscy i wyłącznie mężczyźni - skierowali się ku bramie i opuścili osadę, zapewne, aby poczekać na rozpoczęcie ting, inni zaś wrócili do swoich domów albo dołączyli do tych, którzy stali naokoło, dyskutując. Nawet gdyby Katharina rozumiała ich język, stała za daleko, żeby słyszeć, o czym rozprawiają... ale nie musiała. Odczuwała

napiętą atmosferę przenikającą całą osadę, mieszaninę nerwowości, z trudem tłumionego lęku i smutku; czuła to samo. Być może spośród wszystkich tutaj ona czuła się najgorzej, bo nie zapomniała ani słów Guthenfelsa, ani nienawiści w oczach ojca Cedrika.

I kiedy tak tam stała, czekając, aż zajdzie słońce, powzięła pewne postanowienie.

\*\*\*

Choć wiedziała, że tam na górze płonęło tylko nieszkodliwe ognisko, widok ten napawał ją trwogą, bo zbyt jej przypominał tamtą straszną noc, w której Ellsbusch uległ zagładzie. Niebo nad wzgórzem za palisadą pałało posępną czerwienią, a wciąż zmieniający kierunek wiatr przynosił czasami do jej ucha rwetes podekscytowanych głosów.

Ting trwał już od dobrej godziny i mimo że nie rozumiała nic z tego, o czym rozprawiano tam na górze, jasne było, że potrwa jeszcze długo w noc.

I bardzo dobrze - musiał tyle trwać, jeśli miała mieć szansę urzeczywistnienia swego zamysłu.

Nie wątpiła, że Erik każe jej szukać, gdy tylko zauważą jej zniknięcie, do tego czasu musiała oddalić się od Bjarnisund możliwie daleko, w miarę możliwości nie zostawiając za sobą śladów.

Już wydostanie się z osady okazało się trudniejsze, niż myślała.

Brama stała otworem i nie była strzeżona, ale panował ciągły ruch, ludzie wchodzili i wychodzili, i nie była pewna, czyby ją puścili.

Toteż została jej tylko jedna droga, którą mogła skrycie opuścić Bjarnisund, ta, której się najbardziej bała - droga przez wodę.

Ścieżkę wiodącą do rzeki otaczał częstokół, tak że drewniane obronne ogrodzenie sięgało nie tylko do samego brzegu w dole, ale jeszcze wchodziło dość daleko w wodę, a gdy Katharina wyczekawszy stosownej chwili, cichaczem się wykradła, zauważyła dwie rzeczy. Brzeg w tym miejscu nie tylko opadał wyjątkowo stromo, ale żeby było śmieszniej, nurt Renu był w tym miejscu również bardzo silny. Już na sam widok rwących mas wody, połyskujących w bladym świetle księżyca niczym mieszanina stopionego srebra i smoły, jej żołądek kurczył się w bolesną grudę i przez krótką chwilę zawahała się, niemal dając za wygraną, i składając los w ręce Boga.

Z drugiej strony, jeśli ojciec Cedric miał rację choćby w części tego, czego dowodził, to wzbudziła w Bogu tak surowy gniew, że nie mogła liczyć na zbyt wielką łaskę z jego strony.

Katharina przezornie nie roztrząsała tej myśli do końca, lecz zwymyślała się za postępowanie godne żalostnego tchórze (którym była), wsparła się lewą ręką na twardym jak skała drewnie palisady i z zaciśniętymi zębami zaczęła iść w głąb rzeki. Cicho syknęła w zetknięciu z zimną wodą, a serce poczęło bić jak szalone. Nie dość, że dno rzeki pod jej bosymi stopami opadało bardzo stromo, to jeszcze pokrywał je śliski muł, na którym nie znajdowała żadnego oparcia.

Poślizgnie się i żałośnie utopi, to pewne.

Nie powstrzymało jej to wszakże od brnięcia coraz głębiej i głębiej w rzekę.

Wkrótce stanęła po biodra w Renie, potem po same piersi. Musiała teraz trzymać się ściany obiema rękami, żeby uniknąć porwania.

Kiedy dotarła do końca ostrokołu, ogarnął ją tak paraliżujący strach, że musiała się zatrzymać. Do tej pory do pewnego stopnia chroniła ją jeszcze drewniana ściana, żeby jednak przedostać się na drugą stronę, musiała opuścić tę osłonę i wystawić się na pełen impet nurtu, który niewątpliwie z łatwością ją ze sobą porwie.

Utopi się, pomyślała raz jeszcze, tym razem z całkowitą pewnością. Woda zawsze napawała ją silnym lękiem, tak że ledwo mogła zrozumieć, jak w ogóle przetrwała rejs na pokładzie Werdandi, z trwogi nie odchodząc od zmysłów. Umrze, jeśli zrobi choćby krok.

Ale jeśli tego nie zrobi, wówczas Ansgar, Erik, Arla i wszyscy inni tutaj popadną w wielkie niebezpieczeństwo, zapewne stracą swoje domy, a nawet życie.

Zamknęła oczy, zwarła szczęki z taką siłą, że aż ją zabolalo i chwytając się drewnianych bali, pobrańnęła dalej wzdłuż ostrokołu.

Kipiel wściekle buzowała, tak jak się tego spodziewała, a jej stopy natychmiast straciły oparcie na niepewnym gruncie. Bezsilną, gwałtownie porwał i obrócił wartki nurt. Instynktownie z całą mocą wczepiła się palcami w twarde drewno. Chciała krzyknąć, lecz jej usta napełniły się wodą, tak iż zaniósła się tylko bolesnym kaszlem, zmuszona łapać powietrze. Nurt natarł kolejny raz, targnął nią niby niewidzialnymi gigantycznymi łapskami, zarzucił po doskonałym półkolu, a zaraz potem cisnął na drugą stronę ściany z taką siłą, że prawie straciła zmysły.

Jakoś udało jej się mimo to przytrzymać, a po chwili ręka za ręką posunąć na tyle daleko z powrotem do brzegu, że jej stopy w końcu znalazły oparcie na dnie.

Dyszząc, kaszłając, krztusząc się i desperacko chwytając oddech, wytoczyła się wreszcie na brzeg, padła na czworaki i pozostała w tej pozycji na długi czas bardziej nieprzytomna niż przytomna. Wszystko wkoło niej wirowało, serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a każdy oddech wydawał się wrzynać w jej gardło jak brzeszczot noża.

A jednak tego dokonała. Mimo wszystko, choć ciągle jeszcze pojękiwała ze strachu i braku powietrza, odczuwała zarazem jakąś absurdalną dumę z tego, że przezwyciężyła swój najgorszy lęk.

Długo trwało, zanim odzyskała oddech przynajmniej na tyle, żeby się wyprostować i rozejrzeć. Uświadomiła sobie naraz, że może i pokonała swój strach przed wodą, ale żadną miarą nie była bezpieczna. Ściśle rzecz biorąc, posunęła się zaledwie o krok do przodu, a mianowicie z jednej strony palisady na drugą..

Otrząsnęła się z tej mało budującej myśli, wyprostowała się i przejechała dłońmi po sukni, żeby wycisnąć z niej wodę, osiągnęła jednak tylko tyle, że tym dotkliwiej odczuła zimno. Szczękała zębami. A noc jeszcze się nawet nie zaczęła. Nabawi się co najmniej potężnego kataru.

Użalanie się nad sobą nie zaprowadzi jej wszakże ani o krok dalej.

Rozejrzała się po raz drugi, a po raz pierwszy zastanowiła (jakże późno), co ma właściwie robić dalej. Za nią stała palisada, przynajmniej w tym momencie chroniąca ją przed przypadkowym odkryciem, po prawej zaś stronie rozciągało się pole, bez żadnej kryjówki.

Jeśli wyjdzie spod osłony miasta, będzie wyraźnie widoczna z wysokości tingowego wzgórza; nawet w ciemności, w której jej sukni z jasnego zamszu nie sposób było przeoczyć. Ale maszerowanie wzdłuż rzeki wydało jej się jeszcze bardziej nonsensowne, bez wątplenia to tam w pierwszej kolejności Erik i jego ludzie będą jej szukać.

Katharina spędziła jeszcze kilka chwil, obrzucając się dużą liczbą wyszukanych epitetów z powodu nieprzemyslenia tego wcześniej, odpędziła w końcu i tę myśl, i pomaszerowała wzdłuż rzeki, jakkolwiek w pełnym respektu oddaleniu od jej rwących nurtów. Że im raz splatała figła, nie znaczyło, że udałoby jej się po raz drugi. Postanowiła iść tak długo wzdłuż brzegu, aż Bjarnisund i tingowe wzgórze znikną za nią w mrokach nocy, a następnie skręcić w głąb łądu; cokolwiek tam na nią czekało.

Miał to być długi marsz. Najdłuższym dystansem, jaki dotychczas przeszła na jeden raz, była droga z Ellsbusch na górę do zamku o tej samej nazwie, tymczasem musiała przejść co najmniej dwukrotnie dłuższy odcinek, nim czerwona luna na nocnym niebie za nią zaczęła lekko słabnąć, a ciemność przed nią ciągnąć dosłownie bez końca. Co gorsza, robiło jej się coraz zimniej. Sukienka powoli wprawdzie schła na jej skórze, lecz ani trochę przez to jej nie grzała, toteż Katharina ustawicznie szczękała zębami, a oddech unosił się przed jej twarzą niczym szary welon. Palce u stóp miała tak zziębnięte, że każdy krok sprawiał jej ból, a palce u rąk stopniowo poczęły jej drętwieć. Jakby tego wszystkiego było mało, zaczęło jej burczeć w brzuchu. Wygodne życie w Bjarnisund z dwoma ciepłymi posiłkami dziennie, chlebem i owocami między nimi w ilości, w jakiej tylko chciała, najwyraźniej szybko ją rozpieściły. Ojciec Cedric miał chyba raczej, pomyślała, Bóg niczego nie dawał za darmo, za wszystko i od każdego żądał zapłaty.

Może już czas, żeby znaleźć sobie innego.

Myśl ta zdała jej się tak niedorzeczna, że zatrzymała się w pół kroku i poczuła dreszcz trwogi. To była czysta herezja, tak monstualna, że przerażona odwróciła się i całkiem serio czekała, aż ujrzy rozwierającą się ciemność i wychodzącego z niej anioła zemsty.

Nic takiego się nie stało. Tylko mrok zdawał się jeszcze bardziej gęstnieć, a ziąb czepiać jej niewidzialnymi lodowatymi dłońmi.

Nie od razu zdała sobie sprawę, że ciemność przed nią rzeczywiście jakby pociemniała. Nie potrafiła określić co, ale coś tam było z przodu. Zdjęła ją groza.

Z gwałtownie bijącym sercem ruszyła dalej, zatrzymując się co parę kroków, aby zwalczyć lęk. Uznała w końcu, że ten groźny mur bryłowatej czerni to nic innego jak las, którego skraj złał się z nocą.

Katharina odetchnęła ze słyszalną ulgą i ruszyła naprzód raźniejszym krokiem. Las da jej przynajmniej schronienie przed przejmującym wiatrem, może nawet znajdzie tam jakąś kryjówkę, w której spędzi resztę nocy. Przelotnie tylko pomyślała o niebezpiecznych zwierzętach - wilkach, dzikach i niedźwiedziach - ze strachu nie przemyślała tego jednak do końca. A co tam, raz kozie śmierć. Już dawno złożyła swój los w ręce Boga i mogła tylko żywić nadzieję, że nie był zbyt pamiętliwy.

Poza tym dzikie zwierzęta na ogół unikały sąsiedztwa ludzi.

Przynajmniej większość.

Katharina dotarła do skraju lasu, zatrzymała się ponownie i spróbowała przeniknąć wzrokiem ciemność. Nieprzenikniona jak mur, pochłaniała całe światło i każdy dźwięk. Im dłużej o tym myślała, tym mniej rozsądne wydawało jej się zagłębianie się w ten nocny las. Nie tylko z powodu drapieżników, które mogły tam się czaić, czy ryzyka rozdarcia wspaniałej nowej sukni. Mrok tam w głębi czerniał jak smoła, a ona nie знаła okolicy i nie miała pojęcia, jak daleko ciągnął się ten las. Nie byłaby pierwszą, która beznadziejnie pobłądziła w lesie, aby nigdy już zeń nie wyjść. Z ostrożności zdecydowała się iść tylko skrajem lasu i zobaczyć, dokąd ją zaprowadzi. Ansgar opowiadał jej coś o mieście, które powinno znajdować się gdzieś w tym kierunku.

Nie uszła jednak nawet tuzina kroków, gdy wtem usłyszała jakiś szelest i stanęła jak wryta. Jej wyobraźnia, która najwyraźniej postanowiła zmienić się w jej najzagorzalszego wroga, skorzystała z okazji, by omamić ją najdziwaczniejszymi okropieństwami - zwłaszcza, że trzask się powtórzył i wyraźnie się zbliżał.

Nie przeszkodziło jej to jednak bezgłośnym susem szmyrgnąć pod osłonę niskiego krzewu, wyrastającego z ciemności jak skała u brzegu lasu - uczyniwszy to, musiała przyznać, że jej fantazja nie była tym razem daleka od prawdy.

Z lasu faktycznie wyszedł potwór, ogromny niczym niedźwiedź i równie kosmaty, z dwoma masywnymi rogami, sterczącymi wysoko ponad głowę, czyniąc ją jeszcze większą.

Nie tylko po tym dziwnym hełmie poznała Wulfgara. Kroczył za daleko, a noc nazbyt była ciemna, aby rozpoznać jego oblicze, ale mimo to wiedziała z pewnością, że to Wulfgar we własnej osobie.

Zaledwie kilka kroków od niej wyłonił się z lasu. Miała szczęście, że jej nie zobaczył. Serce załomotało jej jeszcze szybciej i choć rozpaczliwie próbowała z tym walczyć, jej ręce i kolana drżały coraz mocniej. W tej chwili znajdowała się w (wątpliwie) bezpiecznym miejscu, ale jeśli olbrzymi wiking przejdzie choćby kilka kroków w jej kierunku, będzie musiał ją zobaczyć!

Jak gdyby ta myśl była tylko hasłem, na które czekał wyjątkowo podły los, Wulfgar dokładnie w tym momencie odwrócił się i powolnym krokiem ruszył prosto na nią. Serce Kathariny w istocie zatrzymało się na jedno uderzenie, po czym zakołatało ze zdwojoną prędkością. Była zgubiona. Wulfgar musiał ją dostrzec, a wyczytała kiedyś w jego oczach, że byłby zdolny zabić ją z miejsca i bez cienia litości.

Gdzieś w kącie jej oka poruszył się jakiś cień, a następnie coś gruchnęło spory kawał za rogatym olbrzymem, na co wiking błyskawicznie się odwrócił i pognął w tamtym kierunku. Zanim Katharina naprawdę zrozumiała, co się w ogóle stało, poczuła się złapana za plecy, odciągnięta w tył i rzucona na ziemię. Wąska, lecz zaskakująco silna dłoń spoczęła na jej ustach, tłumiąc przerażony krzyk. Cierniste pędy drapały jej twarz i odkryte przedramiona, ktoś wciągał ją głębiej w las i jego pożerającą wszystko czerń. Przepadła z kretesem, pomyślała raczej oszołomiona niż strwożona. Jak mogła być tak naiwna i uznać, że wiking przybył szukać jej w pojedynkę?

Wszystkie te rozważania nie przeszkodziły jej wszakże bronić się ze wszystkich sił. Wprawdzie była ciągnięta coraz głębiej w ciemny las, ale czuła, gdzie za nią znajdował się jej porywacz i gdy rozpoznała nad sobą jasny zarys twarzy, z impetem pchnęła za siebie łokciem. W coś trafiła.

Usłyszała za sobą bolesny syk, chwilę potem prześladowca rozluźnił bezlitosny chwyt. Rozentuzjasmowana po raz wtóry, z jeszcze większą siłą wbiła łokieć w to samo miejsce, tym razem usłyszała jakby zduszone stęknienie. Uścisk poluzował się nieco, tak że udało jej się wyrwać i stanąć na czworakach.

- Na Odyna, nie ruszaj się albo oboje zginiemy! - dyszał przyciszony głos.

Ten sam, który właśnie wyrzucił z siebie bolesny świst.

Głos Ansgara.

Chyba bardziej zaskoczenie, niż to, co powiedział, kazało Katharinie rzeczywiście zastygnąć w pół ruchu i na chwilę wstrzymać oddech.

- Nie waż się pisać! - ciągnął, teraz już nieledwie rozgorączkowanym szeptem. -I nie ruszaj się! On nadchodzi!

Przynajmniej drugą część wyszeptanego polecenia Katharina zignorowała, odwracając się w pól - choć nadzwyczaj ostrożnie - i spoglądając w kierunku ściany lasu. Ansgar zaciągnął ją ledwie kilka kroków w gąszcz, ale sama dopiero co doświadczyła, jak nieprzenikniona była ta czerń widziana z zewnątrz.

Katharina posłała cichą żarliwą modlitwę do Boga (obojętnie, do którego), żeby Wulfgar nie miał bystrzejszych oczu niż ona i w końcu zamieniła się w słup soli, z bijącym sercem obserwując zbliżający się cień.

Nawet teraz, gdy wiedziała, kogo widzi, sylwetka Wulfgara przypominała jej bardziej rogatego niedźwiedzia niż człowieka. Być może za sprawą jego ruchów. Kroczył z wolna brzegiem lasu tam i z powrotem, zatrzymując się co i rusz, aby nasłuchiwać, raczej człapał niż chodził. Mogłaby przysiąc, że raz usłyszała coś jakby węszenie, jakie wydaje drapieżnik usiłujący podjąć trop swej ofiary.

Jednak w końcu - przeszedłszy przed ich kryjówką co najmniej pół tuzina razy - zawrócił ostatecznie i zniknął. Mimo to Katharina nadal siedziała jak zastygła, starając się oddychać możliwie płytko, Ansgar również odczekał jeszcze długi czas, nim odważył się przełamać ciszę.

- Myślę, że już go nie ma - oznajmił niepotrzebnie. - Ale było blisko. - Głos miał wciąż zduszony, słyszała, jak wiele wysiłku sprawiało mu nie tylko mówienie, ale nawet nabieranie powietrza. Musiała go trafić mocniej, niż sądziła.

Na wszelki wypadek nie skomentowała jego słów, przeczołgała się tylko na czworakach przez krótki odcinek dzielący ją od linii lasu, zatrzymała się jednak, nim ostatecznie opuściła zasłonę poszycia.

Ansgar wyraźnie zwlekał z pójściem za nią, czuła, gdy wreszcie ruszył, że każdy ruch sprawia mu wielką trudność i tak samo wielki ból. Chciała go o to spytać, lecz chłopiec potrząsnął tylko głową, wyprostował się i niemo wskazał na prawo ku rzece. Już na samą myśl o ponownym zbliżeniu się do lodowatych odmętów przeszedł ją dreszcz, ale ten kierunek był przeciwny do tego, w którym zniknął Wulfgar i ta myśl zdecydowała. Ansgar pokuśtykał przodem, dostrzegalnie pochylony do przodu, z jedną ręką przyciśniętą do boku.

Nie przyszedł sam. Przed błyszczącą wstęgą rzeki wyłoniły się sylwetki dwóch koni i kolejnego mężczyzny, który podniósłszy rękę, już miał do nich krzyknąć na powitanie, ale zaniechał tego, kiedy Ansgar zaczął gorączkowo gestykulować obiema rękami. Wciąż mocno pochylony do przodu, przeszedł do szybkiego truchtu i kiedy Katharina do nich dołączyła, był już pogrążony w przyciszonej, ale bardzo ożywionej dyskusji z wikingiem.

Krótki spór (nie chodziło o nic innego) urwał się nagle, gdy Ansgar uczynił w końcu władczy gest, a potem wskazał na południe, na rzekę. Zważywszy, że był jeszcze młodzieńcem, a ten drugi dość wiekowym, by być jego dziadkiem, Katharina oczekiwała zgoła przeciwnego zakończenia, wojownik wszakże podporządkował się; jakkolwiek z poirytowaną miną. Podszedł do jednego z koni, jednak nie zamierzał wskoczyć na siodło. Odwiązał tylko od popręgu wielką okrągłą tarczę, zawiesił ją sobie na plecach, po czym bez słowa oddalił się truchtem w noc. Katharina spojrzała na Ansgara pytająco, z niezrozumieniem w oczach.

- Ktoś musi ostrzec wioskę - odpowiedział na jej niewypowiedziane pytanie. - Mój dziadek liczył się z tym, że Pardeville czy też Guthenfels każą nas obserwować, ale jeśli to sam Wulfgar, sytuacja jest dużo groźniejsza. Erik koniecznie musi się o tym dowiedzieć, najlepiej przed zakończeniem tingu. - Grymas wykrzywił mu twarz.

- W przeciwnym razie wszystko rozpęta się na nowo, rozumiesz?

Zgodnie z prawdą, Katharina potrząsnęła przecząco głową.

- A... my? - zapytała rzucając niepewne spojrzenie na dwa konie.

- Wiem, pewnie ci opowiadano, że jesteśmy ludem dzikusów i okrutników - odparł - ale nie pozwalamy kobietom iść pieszo, gdy mężczyźni jadą konno.

Jej przecucie dotyczące obu koni przybrało jeszcze na sile.

- Miałam na myśli raczej, dokąd idziemy.

-Jedziemy - poprawił ją Ansgar.

- Nie potrafie jeździć konno.

- Ale przecież powiedziałaś, że chcesz się tego nauczyć - przypomniał jej Ansgar.

- No tak - potwierdziła nerwowo Katharina - ale chyba nie...

- ...teraz? - przerwał jej, szczerząc zęby. - A czemu nie teraz?

Moment równie dobry jak każdy inny. - I lewą ręką zapraszająco wskazał na konie, drugą zaś wciąż jeszcze przyciskał do boku.

- Bez obaw. To całkiem łatwe.

Powątpiewała. Podniosła wzrok na jednego z ogromnych wierzchowców (ulegała złudzeniu, czy też faktycznie urosły, odkąd patrzyła na nie po raz ostatni?). Mogłaby przysiąc, że dostrzegła złośliwy błysk w jego oczach.

- Ale teraz naprawdę nie jest... - zaczęła, ale Ansgar natychmiast jej przerwał: - ..właściwy moment, żeby się o to kłócić. Wolisz poczekać, aż Wulfgar wróci? Może jest lepszym nauczycielem jazdy konnej niż ja.

- Stał przy jednym z koni zwrócony doń plecami, splótł ręce przed brzuchem i dał jej znać skinieniem głowy, żeby włożyła w nie stopę i przerzuciła drugą nogę na siodło. Katharina nabrała już pewności, że koń urósł - i to znacznie - a parskanie, którym zareagował na jej podejście, wyraźnie zabrzmiało jak groźba. Wszelako przewyciężyła swój lęk, przyjęła propozycję Ansgara i wskoczyła na siodło z łatwością, która ją samą nieco zaskoczyła.

Na tym skończyły się jednak dobre strony tej próby. Koń parsknął i zarazem niespokojnie wierzgnął, jakby wyczuwając jej strach.

Katharina instynktownie mocniej złapała za cugle, zobaczywszy, jak wysoko nad ziemią nagle się znalazła.

- Widzisz? - spytał Ansgar. - Masz już za sobą najtrudniejszą część. Cała reszta pójdzie sama.

- Ach tak? - wymamrotała speszona.

- Po prostu rób to co ja, a nic ci się nie stanie - poradził jej chłopiec.

W Katharinie budziły się już mordercze instynkty, ale pierzchły, kiedy zobaczyła, ile wysiłku kosztowało Ansgara wskoczenie na siodło drugiego zwierzęcia. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, ale jego usta zadrżały i mimo słabego światła dostrzegła, jak był blady.

W tym momencie dopadły ją wyrzuty sumienia.

- Przykro mi — powiedziała - nie chciałam ci zadać bólu.

- I nie zadałaś - skłamał Ansgar. - Ale trafiłaś w moje złamane żebro. Dwukrotnie.

Ostatnie słowo, zdaniem Kathariny, było zupełnie niepotrzebne, ale tym boleśniej ruszyło ją sumienie. Jej nadłamane żebro prawie już nie bolało, a ponieważ w ostatnich dniach przymusowo się oszczędzała i nie wykonywała żadnej pracy fizycznej, obrażenie prawie się zagoiło, w najgorszym razie trochę kłuło, kiedy zrobiła niewłaściwy ruch. Ansgar jednak jechał z dziadkiem i innymi, i o ile zdążyła go poznać, był zbyt dumny, żeby się oszczędzać.

-Jak na dziewczynę walisz całkiem nieźle - przyznał z niechęcią.

Katharina miała na końcu języka uwagę, że on jak na chłopca był dość płacziwy, ale rzuciła mu tylko zdziwione spojrzenie. Ansgar poprowadził swego konia wąskim łukiem obok niej i wyciągnął rękę, aby chwycić wodze jej wierzchowca. Katharina instynktownie wstrzymała powietrze, lecz czego właściwie się spodziewała? Koń pokłusował posłusznie i wprawdzie trochę kołysał, ale to było właściwie wszystko.

To i fakt, że jechali w złym kierunku.

- Bjarnisund leży tam - powiedziała wskazując głową właściwy kierunek.

Ansgar przytaknął. -Wiem.

- Ale my tam nie jedziemy - podjęła Katharina chwilę później.

Wrócili niemal do miejsca, w którym zobaczyli Wulfgara i niewiele się oddalili od skraju lasu. Żeby nie dać się od razu zobaczyć, jechali jednak z grubsza równoległe do lasu.

-Jeśli chciałaś zostać w Bjarnisund - odparł z uśmiechem Ansgar - to właściwie mogłaś sobie darować drogę tutaj. A przede wszystkim - dorzucił po krótkiej pauzie słyszalnie zmienionym tonem - twoją małą kąpiel w Renie. Dla mnie woda byłaby zbyt zimna, zwłaszcza nocą.

Dopiero po chwili do Kathariny dotarło znaczenie jego słów.

- Zaraz - powiedziała - czy to ma znaczyć, że ty... przez cały ten czas mnie... śledziłeś?

- Ole i ja uważaliśmy na ciebie - poprawił ją Ansgar. - Sądzisz, że pozwolilibyśmy małej dziewczynce zupełnie samej maszerować przez noc? To niebezpieczne! Mogłaś zabłądzić albo wpaść do wody, a tutaj są dzikie zwierzęta. Poza tym

nigdy nie wiadomo, kogo się napotka.

Katharina postanowiła puścić mimo uszu uwagę o małej dziewczynce. -I najspokojniej w świecie przyglądałeś się, jak nieomal utonąłam? - spytała z oburzeniem.

Ansgar rzucił w ciemność badawcze spojrzenie, zanim odpowiedział z przeczącym ruchem głowy: - Wyratowalibyśmy cię, gdyby było trzeba, nie ma obawy. Muszę jednak przyznać, że radziłaś sobie całkiem nieźle jak na kogoś, kto nie umie pływać. Mówię serio.

Katharina uwierzyła mu, ale i jeszcze bardziej się wściekła. - Dlaczego? - syknęła.

- No, machałaś rękoma naprawdę dobrze. Jak na kogoś, kto nie potrafi pływać, to było pioruńsko odważne.

- Obserwowaliście mnie cały ten czas! -wściekała się. - Przyjemnie było naigrawać się ze mnie?

- Co też ci przychodzi do głowy!

- Mogliście mnie powstrzymać w dowolnym momencie, ale wy spokojnie sobie odczekaliście, aż uszłam spory kawał drogi, żeby mnie dopiero wtedy zabrać z powrotem! Przyjmujecie zakłady w wiosce, jak daleko zaszłam?

Gdyby nie widziała lepiej, uwierzyłaby, że Ansgar poczuł się szczerze dotknięty. - Czy to wygląda, jakbym cię zabierał z powrotem?

- odpalił.

Pytanie to wprawiło Katharinę w takie osłupienie, że nie była w stanie wydusić ani słowa, wlepiła tylko w niego wzrok. - A nie?

- wykrztusiła w końcu z mozołem.

Ansgar żywo pokręcił głową. - Nie jesteś naszym więźniem - przypomniał. -Jeżeli chcesz odejść, nie mamy prawa ci tego zabraniać. -Wzruszył nieznacznie ramionami, po czym jego głos ponownie nabrzmiał kpina. - Na twoim miejscu nie odchodziłbym tylko w środku nocy i tak zupełnie bez niczego.

Katharina czuła, że właściwie powinna wściec się na niego jeszcze bardziej, ale jakoś jej to nie szło... co najwyżej na siebie samą.

-Więc... dokąd mnie zabierasz? - zapytała.

- A dokąd byś chciała?

Nie odpowiedziała na to, jednak spojrzenie Ansgara nie pozostawiało wątpliwości, że nie oczekuje odpowiedzi. Chwilę później uniósł rękę i wskazał na mrok przed sobą. - Widzieliście ogień węglarzy. Z jednym z nich jestem dobrze zaprzyjaźniony, z pewnością cię przyjmą - tylko na dzisiejszą noc, nie martw się - dodał pośpiesznie.

-Jeszcze się oziębi, a te lasy są naprawdę niebezpieczne, nawet bez Wulfgara i jego wojowników. Nawet miejscowi nie chodzą nocą po tych kniejach.

Dopiero teraz zauważyła, że przestał już trzymać uzdę jej konia i jechała zupełnie samodzielnie. Zwalczyła ogarniającą ją panikę i po chwili stwierdziła, że jazda konna wcale nie jest taka trudna, jak się obawiała. Przynajmniej, dopóki jechało się prosto, a resztę zostawiało koniowi.

- Czy twój dziadek nie będzie zły, kiedy się dowie, że pozwoliłeś mi tak po prostu odejść?

Ansgar spojrzał na nią w milczeniu akurat na tyle długo, żeby z niejasnego (i dość strasznego) podejrzenia kielkującego w jej umyśle zrobić coś więcej. Kiedy chciał w końcu odpowiedzieć, uprzedziła go: - On wie, prawda?

- Nie! - powiedział Ansgar; nazbyt szybko, jej zdaniem.

- Kazał ci na mnie uważać? - ciągnęła zmienionym tonem. Czy też wręcz - kto wie? - polecił dopilnować, żebym odeszła?

Myśl ta była tak okropna, że nie miała odwagi wypowiedzieć jej na głos, lecz Ansgar zdawał się ją czytać w jej oczach, bo wyraźnie malowało się na jego twarzy poczucie winy.

- Nie - powtórzył z jeszcze mniejszym przekonaniem w głosie.

Kiedy odezwał się znowu, wyglądał, jakby w jednej chwili stracił ochotę patrzeć na nią. - Arla. Ona...

- Arla? - Katharina przerwała mu z niedowierzaniem. - Arla chciała, żebym odeszła? - Nie mogła w to uwierzyć. Nie Arla, ta łagodna, zawsze skora do uśmiechu kobieta! Nie jedyna przyjaciółka, jaką kiedykolwiek miała!

- Nie - powiedział raz jeszcze Ansgar, wzruszył ramionami i ciągnął nieswoim głosem: - W każdym razie nie tak, jak myślisz. I z pewnością nie na długo.

Katharina nic już nie rozumiała. Nie była przy tym pewna, czy w ogóle chciała zrozumieć.

- Słyszałaś Pardeville'a, tego klechę zresztą też - ciągnął. - Pardeville - a zwłaszcza Wulfgar - palą się do wojny przeciwko nam. Bjarnisund dla wielu tutaj jest od dawna solą w oku. Uwolnienie biednej chrześcijańskiej dziewczynki ze szponów pogan byłoby znakomitym pretekstem, jakiego długo szukali.

Katharina miała wrażenie, że usłyszała słowa Arli, nawet jeśli wyszły z ust Ansgara. - Dlatego będzie lepiej, jeśli stąd odejdziesz - skwitowała.

- Będzie lepiej, jeśli wyjdzie na to, że sama stąd odeszłaś - szyb ko poprawił ją Ansgar. - Tylko na jakiś czas, aż nastroje nieco ochłodną. Kiedy wreszcie dowiedziemy, kto naprawdę stał za atakiem na Ellsbusch, nikt już nie będzie się interesował jakąś żyjącą wśród barbarzyńców sierotą, wiesz? Ale na razie będzie lepiej, jeśli cię tu z nami nie będzie.

- Widziałam, kto to był - przypomniała Katharina.

- I mój dziadek i ja, i wszyscy w Bjarnisund wierzą ci - zapewnił ją Ansgar. - Ale samo to nie wystarczy.

- Bo jestem tylko głupią sierotą?

Ansgar wolał nie dosłyszeć tego pytania. - Ting jeszcze się nie skończył - odparł. - Ale właściwie wszyscy wiedzą, jak się zakończy.

Myślę, że wrócimy do naszej starej ojczyzny, gdzie jest nasze miejsce.

- A Arla boi się, że nie pozwolą wam odejść, dopóki jestem z wami - wyraziła przypuszczenie Katharina. Ansgar wzruszył tylko ramionami, ona zaś przez moment bezskutecznie zachodziła w głowę, co ma o tym wszystkim sądzić. Powinna się gniewać - przede wszystkim na Arię, o której dotychczas myślała, że może jej całkowi cie ufać! - ale nie mogła się na to zdobyć.

Może dlatego, że w głębi serca czuła, że Arla miała rację.

- Mamy przyjaciół w Santen - Ansgar odpowiedział wymijająco, nie patrząc na nią. - Oni cię ukryją do czasu, aż podejmiemy ostateczną decyzję.

- Dlaczego Erik sam mi tego nie powiedział? - chciała wiedzieć Katharina.

- Erik! - prychnął Ansgar. - Nie znasz naszego dziadka! Jeśli spróbujesz zmusić go do czegoś, czego nie chce, uprze się jeszcze bardziej... nawet jeśli w gruncie rzeczy jest to to, czego sam chce. - Pokręcił energicznie głową. - Nawet Arla będzie miała twardy orzech do zgryzienia, żeby mu przekazać, co zaszło. Jednak do tej pory zawsze stawiała na swoim. Jest bardzo mądrą kobietą, wiesz?

Jeśli nie ona, to kto? W końcu to Arla za pomocą niewielu słów skłoniła ją do zrobienia właśnie tego, czego od niej chciała - i to bez wspomnienia o tym choćby jednym słowem. Mogła wysilać się, ile tylko chciała, po prostu nie mogła być na nią zła.

Poza tym było coś, co chwyciło ją za duszę, w tak kojąco ciepły sposób, że brakowało jej słów, aby to wyrazić. Nasz dziadek, powiedział Ansgar.

Twierdził, że będą potrzebować godziny, żeby dotrzeć do chaty węglarza, i zapewne się nie mylił; mimo to Katharina miała poczucie, jakby całą wieczność byli w drodze. Pochłodziło, trzęsła się jak liść osiki, a palce u dłoni miała tak skostniałe z zimna, że choćby chciała, nie mogłaby utrzymać cugli. W pewnym momencie -wprawdzie dość późno, ale jednak - Ansgar zrzucił z siebie płaszcz i okrył nim jej ramiona, zimno nie przestało wprawdzie jej doskwierać, ale przynajmniej nie przenikało jej na wskroś.

Niemniej, zaczęła się poważnie zastanawiać, czy aby przeżyje tę noc, na długo, zanim Ansgar w końcu się zatrzymał i gestem dał jej znak, żeby zsiadła. Zesztywniała z zimna i potwornie zmęczona, miała mu trochę za złe, że nie ruszył palcem, żeby jej pomóc przy zsiadaniu, nie pozwoliła sobie jednak na komentarz, zobaczywszy, z jakim trudem przychodził mu każdy ruch. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że może naprawdę ciężko go zraniła. Powstrzymała się i od tego pytania. Nawet gdyby tak było, chłopak nigdy by na głos tego nie przyznał.

Wykaraskała się więc niezgrabnie z siodła i zapytała: - Daleko jeszcze?

- Nie - odrzekł. Jego oddech tworzył szarą parę przed jego twarzą i Katharina z niejakim poczuciem winy pomyślała o wiszącym na jej ramionach płaszczu - wszakże z nie dość silnym, aby mu zaferować go z powrotem. -Już tylko



kawałeczek. Las jest tu zbyt gęsty, żeby jechać konno. Chodź.

Mało co widzieli przez gęstwinę. Katharina trzymała się go najbliżej, jak tylko mogła, unikając trafienia w twarz nieustannie chłuszczającym ogonem jego konia, a mimo to wciąż się bała, że go zgubi. Odetchnęła z ulgą, gdy - po kilkudziesięciu krokach - wyszli na półkolistą polanę.

— Zaczekaj tutaj - rzekł Ansgar, zatrzymując się, a jednocześnie wciskając jej w rękę lejce swojego konia. - Marten i jego rodzina na pewno już śpią, będzie lepiej, jeśli pójde najpierw sam.

I nie zostawiając Katharinie czasu na odpowiedź, podszedł do niskiego domu po drugiej stronie polany, który w słabym świetle gwiazd odznaczał się jako ledwie przysadzisty cień. Mimo to Katharina zdołała dostrzec, jaki był prosty i lichy, nawet jak na niewysokie aspiracje Ellsbusch.

Usłyszała szczekanie psa. Jazgot umilkł, gdy Ansgar przywołał go półgłosem do porządku. Zanim jeszcze doszedł do domu, za wąskim oknem zamigotało światło świecy. Drzwi się otworzyły i chłopiec wdał się w rozmowę ze zgarbioną postacią, która się w nich pojawiła.

Katharina czekała, aż do niej pomacha lub zawoła, ale tylko żywo debatował przez chwilę z węglarzem, potem spojrzął na nią krótko przez ramię i zniknął wraz z nim w domu. Drzwi zostały zamknięte.

Katharina była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie potrafiła nawet orzec, czy czuć się oburzoną czy zmartwioną; czy może na wszelki wypadek i taką, i taką. Czyż Ansgar nie twierdził, że węglarz i jego rodzina byli jego przyjaciółmi?

Nie znalazła jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie (i wcale tego nie chciała), gniewała się przez chwilę na Ansgara, a następnie uważnie rozejrzała się po polanie. Chata węglarza nie stała tu samotnie, lecz pozostałe - w sumie cztery - były tak osobliwe, iż ledwie mogła rozpoznać cokolwiek więcej ponad przysadziste kontury.

Zaintrygowana, podeszła i odkryła, że również z bliska nie dostrzegą właściwie więcej szczegółów; głównie dlatego, że ich nie było.

Domniemane budynki okazały się wysokimi na chłopa usypanymi z ziemi kopcami. Coś jeszcze było w nich niezwykle, choć i całkiem miłe. Kiedy podeszła bliżej, poczuła emanujący z pagórków ciepły powiew i uderzył ją w nos wcale przyjemny zapach spalenizny. Wydawał się jej dziwnie znajomy, domyślała się też przeznaczenia tych rzekomych kopców. Niemniej, szła coraz wolniej, w końcu zatrzymała się na krótką chwilę, nim znów ruszyła i dotknęła ręką jednego ze wzgórków.

Był nie tyle ciepły, co prawdziwie gorący. Poczua jakby jakiś podziemny ruch, coś na kształt potężnej siły, ukrytej głęboko pod powierzchnią kopca. Trochę przejmowało ją to grozą, ale promieniujące z kopca ciepło grzało ją nadzwyczaj miło, podeszła więc jeszcze bliżej.

- Uważaj, żebyś się nie oparzyła.

Katharina wzdrygnęła się, chociaż rozpoznała głos Ansgara, i odwróciła się przestraszona.

- Mielerze bywają naprawdę gorące - ciągnął z kojącym uśmiechem. - Nie chcę, żebyś się sparzyła. - Zamachał ręką. - Poza tym czasem wystarczy jeden niewłaściwy ruch, a cały kram staje w pło mieniach... Marten chyba nie byłby zachwycony, gdyby przez kilka tygodni musiał pracować na darmo.

Ponownie zamachał, a Katharina ulegając jego prośbie, cofnęła się na dwa kroki od kopca, chociaż przyszło jej to z trudem. Ów mielerz był tak rozkosznie ciepły.

Kiedy to robiła, jej wzrok padł znowu na zgrzebną chatę. Drzwi stały na oścież otwarte, a na progu widniała ta sama krępa postać co przed chwilą. Nie ruszała się, po prostu stała tam i na nią patrzyła.

- Nie możemy tutaj zostać - domyśliła się.

Ansgar smutnie pokręcił głową. - Marten boi się - powiedział.

- Wulfgar był tutaj i mu groził. Jeśli pojawi się ktoś z Bjarnisund i... - Rozumiem — rzekła gorzko Katharina.

- On jest dobrym człowiekiem! - zapewniał Ansgar. - I naprawdę dobrym przyjacielem, uwierz mi. Ale ma rodzinę, a Wulfgar potrafi być naprawdę okrutny. - Daremnie czekał na odpowiedź, po czym wzruszył ramionami. - Jeśli będę nalegał, to pewnie przyjmie nas mimo to, przynajmniej na tę noc. Ale...

Zamilkł, nie musiał mówić dalej. Naciskając na węglarza, domagałby się tego, co sprawiło, że postanowiła opuścić Bjarnisund, a jakież miała prawo - akurat ona! - żądać tego od tamtego człowieka?

- A teraz? - zapytała zdawkowo.

- Jest za późno, żeby jeszcze dzisiaj dotrzeć do Santen - odparł Ansgar. - Ale Marten da nam jedzenie, a ja znam miejsce niedaleko stąd, w którym możemy spędzić noc. Jak tylko zrobi się jasno, pojedziemy dalej i najpóźniej do południa będziemy w Santen.

\*\*\*

Następnego południa nie byli jeszcze w Santen, lecz dopiero od pół godziny w drodze. Bezpieczne miejsce, o którym mówił Ansgar, okazało się wilgotną norą pod korzeniami potężnego dębu, w której wprawdzie nie groziło im przypadkowe odkrycie, ale która była tak przewiewna i zimna, że Katharina już na sam jej widok zaczęła szczerkać zębami. Co gorsza, roiło się w niej od szczurów, które ani myślały o dzieleniu swego przytulnego domku z dwójgim nieproszonych gości. Kiedy Ansgarowi udało się wreszcie wyjaśnić stosunki własności jamy na ich korzyść, mogli się przynajmniej rozciągnąć na ziemi bez obawy o pogryzienie w czasie snu. Katharina długo nie mogła zasnąć, potem zaś budziła się co chwilę drżąc, znękana koszmarami, a później także gorączką, bo przymusowa kąpiel i wielogodzinny spacer w mokrej sukni zaczęły dawać jej się we znaki. Dopiero nad ranem zasnęła na dobre, a kiedy znów się obudziła - z dudnieniem w głowie i paskudnym smakiem w ustach - nastąpiło niemal południe. Oczywiście robiła Ansgarowi wyrzuty, że pozwolił jej tak długo spać, lecz on argumentował, że leżała, mając w gorączce, a sen był przecież jedynym lekiem, jaki mogła w tej chwili dostać. To mogłoby się zgadzać, mimo to Katharina podejrzewała, że po prostu zasnęła, tylko nie chciał się do tego przyznać.

Dalsza droga przedstawiała się gorzej, niż się tego spodziewała.

Las był tak gęsty, że o jeździe konno nie było nawet co i myśleć, z trudem tylko wiedli konie za cugle. Raz przekroczyli drogę, po której znać było, że jej regularnie używano, ale Ansgar nie miał zamiaru nią iść, toteż Katharina zaniechała pytań. Jednak swoje pomyślała. Ich bliskie spotkanie z Wulfgarem poprzedniej nocy zdawało się przyprawiać chłopaka o więcej trosk, niż gotów był to przyznać.

Atoli w końcu skończyła się nawet i ta najdłuższa droga i gdy słońce sięgnęło zenitu, wyszli oboje z lasu. Dla Kathariny był to skok w zupełnie nowy świat; świat pełen cudów, których do tej pory nie uważała nawet za możliwe.

Nie dotarli jeszcze do Santen, ale mogli je już zobaczyć. I dobrze się stało, bo gdyby ujrzała miasto - tak jak teraz - zupełnie nieprzygotowana, z przestachu pewnie zamieniłaby się w słup soli.

I to właśnie uczyniła: stanęła jak wryta na niekończącą się chwilę, wpatrując się w niewiarygodny obraz pod sobą i daremnie usiłując zrozumieć to, co widzi.

Ansgar ostrzegł ją wcześniej, że Ellsbusch (jedyne miejsce, jakie znała) nie był bynajmniej największy na świecie i najpóźniej na widok Bjarnisund musiała to uznać, ale to... było wręcz niemożliwe.

Spodziewała się kilkudziesięciu domów, tymczasem przed nią w dole rozciągało się morze dachów krytych słomą, ale też gontami i łupkiem. Musiały ich być setki (w tym momencie myślała, że tysiące), a większość budynków miała dwie lub nawet trzy kondygnacje.

Samych kościołów widziała trzy; najmniejszy z nich był dość duży, żeby dom Boży ojca Cedrika w Ellsbusch swobodnie pomieścić ze sześć razy, a na drugim końcu miasta, daleko za murami, wznosiła się budowla również wyglądająca jak kościół, lecz o wprost absurdalnych rozmiarach. Sama część nawowa była wyższa niż donżon spalonego zamku, a spiczasta wieża zdawała się rysować niebo. Dym z niezliczonych kominów wisiał nad miastem jak dzwon z brudnej mgły, nawet z tej dużej odległości czuła zapach palonego drewna i węgla drzewnego, a do tego zapach jedzenia - i kilka innych, niemiłych rzeczy, o których w tej chwili wołała nie myśleć.

- No i co, obiecałem zbyt wiele? - spytał Ansgar, zostawiwszy jej trochę czasu na patrzeć i podziwianie. W jego głosie pobrzmiwała nuta dumy z posiadania.

Katharina nie odpowiedziała. Nie spojrzała też na niego, lecz dalej przyglądała się temu niewiarygodnemu zbiorowisku dachów i dymiących kominów. Sam ich widok dosłownie zapierał jej dech w piersiach. Najcieplejsza część lata dawno minęła i południa od jakiegoś czasu były już chłodne - ale jak niewyobrażalnie bogaci musieli być mieszkańcy tego miasta, żeby już w południe ogrzewać swoje domy, tylko dlatego, że nie dość ciepło się zrobiło?

- To jeszcze nic - ciągnął Ansgar - przed dwoma laty byłem z dziadkiem w Paryżu. To, co widzisz tutaj, tam jest tylko pojedynczą ulicą; a są ich setki.

Teraz powinna być na Ansgara naprawdę zła, że częstował ją takimi wierutnymi kłamstwami, ale ciągle jeszcze zbyt wstrząsała nią potęga tego obrazu, żeby zdobyć się na sformułowanie choćby jednej klarownej myśli. Skinęła tylko głową.

Ansgar dał jej czas, aby chłonęła ten niewiarygodny widok, zażądał jednak w końcu jej uwagi zabawnie nienaturalnym odchrząknięciem, po czym znowu splótł dłonie w stopień, żeby ją podsadzić na siodło. Katharina ciągle nie czuła się jeszcze dobrze (prawdę mówiąc: czuła się jak zbity pies), ale mimo to ruchem głowy odrzuciła jego ofertę i o własnych siłach wdrapała się na grzbiet srokacza.

Koń parsknął niespokojnie, a Ansgar zmarszczył czoło, ale bez słowa również wskoczył na konia. Katharina zerknęła na niego i stwierdziła, że wciąż jeszcze poruszał się ostrożnie. Zraniła go.

Kiedy przynagliła konia, szybko wyciągnął rękę i okiełznał jej wierzchowca. - Tędy - rzekł, wskazując głową na prawo.

Podążyła wzrokiem, po czym spojrzała na niego pytająco.

Santen rozciągało się tuż pod nimi, u stóp łagodnie opadającego zbocza, porośniętego jedynie sięgającą kolan trawą i nienicznymi krzewami. Nawet jadąc wolno, na dotarcie do miasta potrzebowaliby co najwyżej pół godziny... Tego Ansgar wyraźnie jednak nie chciał.

- Pojedziemy skrajem lasu - powiedział szybko. - Tutaj nie ma żadnej osłony. Oni natychmiast by nas zobaczyli.

- Oni? - powtórzyła Katharina. - Kto?

Ansgar zignorował to pytanie. - Po drugiej stronie las rozciąga się aż do portu - powiedział. - To objazd, ale tak będzie bezpieczniej.

- Myślałam, że ludzie w tym mieście są waszymi przyjaciółmi.

- Większość - odrzekł Ansgar. - Ale proszę, możesz popędzić i dowiedzieć się, czy dobrze mówię.

Jego agresywny ton zaskoczył Katharinę, lecz Ansgar nie dał jej okazji do sprzeciwu, bo chwycił jej konia za cugle i ruszył. Zmieszanie dziewczyny przerodziło się w nagłą złość, która rozviała się równie szybko, jak wezbrała, zostawiając ją w jeszcze większej konsternacji. Teraz nie rozumiała już nic z tego, co się tutaj działo, za to nabrała pewności co do jednego: Ansgar poszedł za nią nie tylko, by na nią uważać. Tutaj działo się o wiele więcej i ona odgrywała w tym jakąś rolę.

Określna droga, którą obrał Ansgar, była znacznie dłuższa, niż oszacowała. Las otaczał Santen z trzech stron niby żywy mur obłączniczy, z respektem utrzymywał jednak pewną odległość od niższego, wzniesionego przez człowieka muru, tu i tam zataczając swobodny łuk, którym wiernie podążali. Potrzebowali bez mała trzech godzin, by okrążyć miasto i dotrzeć do portu.

Jednak Katharinie czas się nie dłużył. Korzystała z każdej chwili, aby przypatrzeć się miastu, wciąż nie mogąc się nasycić jego widokiem; zwłaszcza gdy podjeżdżali na tyle blisko, by móc dostrzec wszystkich tych ludzi w obrębie murów- ogromny, kolorowy tłum, uwijający się z pozoru chaotycznie. Zgiełk dobiegał jej czasem z wiatrem i w dziwny sposób ją poruszał. Zważywszy na to, jak dorastała, pomyślała sobie, tak niewyobrażalnie wielka ciżba ludzka powinna ją przerażać lub przynajmniej wprawiać w zdenerwowanie, tymczasem działo się coś zgoła przeciwnego. Niczego w tym momencie nie pragnęła bardziej, niż pójść tam i zanurzyć się w tej kipiącej masie ludzkiej, a potem wszystkie te cuda oglądać z bliska i dotykać, i przekonać się, czy aby były rzeczywiste, czy przypadkiem nie leżała jeszcze w gorączce, fantazjując.

Kiedy w połowie okrążyli miasto, lepiej widoczny stał się ogromny kościół, którego widok już wcześniej wprawił ją w tak wielkie zadziwienie.

Widziany z bliska sprawiał wrażenie jeszcze niesamowitszego. Kościół w rzeczywistości był większy, niż myślała, otoczony wyższym od człowieka murem, który zamieniał masywną nawę i grupę nie mniej potężnych przyległych budynków w rodzaj samodzielnej twierdzy. Budowla wydała się jej dziesięciokrotnie silniej ufortyfikowana niż zamek Ellsbusch kiedykolwiek.

W końcu spytała o to Ansgara, który odpowiedział dopiero po wahaniu, a i wtedy wymijająco.

- To niebezpieczne czasy - powiedział. - W opresji lub nawet w czasie burzy ludzie szukają schronienia w kościele... rzekomo blisko Boga, ale jeśli mnie pytasz, to raczej dlatego, że ma po prostu najgrubsze mury. Czy nie było tak i u was?

Pomijając to, że cały Ellsbusch zmieściłby się w tym gigantycznym budynku pięciokrotnie... albo nawet

dziesięciokrotnie, Katharina wprawdzie pokiwała głową, ale nadal z trudem wierzyła, że ten kościół, wielki jak góra, naprawdę miał być zbudowany przez ludzi. I jeśli nie brać pod uwagę tego, że słowa Ansgara trąciły herezją, miał zupełną rację. Również w Ellsbusch ojciec Cedric zwoływał swoje owieczki do kościoła, kiedy na zewnątrz szalała burza, ten zaś budynek robił na niej wrażenie wystarczająco solidnego, aby oprzeć się nie tylko najgorszej możliwej burzy, lecz samemu dniowi Sądu Ostatecznego.

Kto wie, czy nie taki właśnie plan przyświecał budowniczym tego potężnego kościoła, poważnie rozważała Katharina. Jednak pojęła natychmiast, że już samo to pytanie zdawało się heretyckie, więc wołała nie szukać na nie odpowiedzi.

Najwyraźniej nie panowała nad sobą tak dobrze, jak sądziła, bo Ansgar kontynuował nieproszone, prawie usprawiedliwiającym tonem: -Wiesz, ten kościół jest już bardzo stary. Stał tu, kiedy przybyliśmy dawno temu...

Przed dziesięcioma laty, pomyślała Katharina. I to nazywał starością?

- ...i zapewne już znacznie wcześniej. Jeśli mnie pytasz o zdanie, to sądzę, że ludzie tutaj nie zawsze byli pokojowo nastawieni... ale dziś to przytułek.

- Aha - rzekła Katharina - a co to jest przytułek?

Ansgar spojrział na nią jakby w pouczający sposób, co znowu ją poirytowało. - Świątobliwi mężowie troszczą się tutaj o chorych i starych - odparł z namaszczeniem. - A musisz wiedzieć, że są w tym dobrzy. Ludzie przyjeżdżają z daleka, żeby opatrzone im rany lub wyleczono z chorób.

Katharina spojrzała na niego z powątpiewaniem. Ta opowieść brzmiała przekonująco, ale to nie byłby pierwszy raz, kiedy Ansgar próbował ją nabrać lub zgrywać ważniaka. Świątobliwi mężowie - czyli tacy jak ojciec Cedric! - troszczący się o rannych i niedołączonych? Kiedy w Ellsbusch ktoś zachorował, ojciec Cedric modlił się za niego i ewentualnie wspominał go na niedzielnej mszy, a tamten zdrowiał albo umierał. Takie już było życie i to wydawało się jej sensowne i właściwe. Gdyby Bóg chciał, żeby jego święci mężowie leczyli z chorób, po co w ogóle zsyłałby ludziom te choroby? Żeby mężowie w rodzaju ojca Cedrika pomnażali swoje wpływy i władzę?

Doprawdy, ta myśl zawierała o wiele więcej niż tylko szczyptę herezji, więc choć Katharina z przerażeniem ją od siebie odsunęła, całkiem na serio czekała przez krótką chwilę, że zostanie rażona piorunem gniewu Bożego... bezskutecznie, rzecz jasna, kara Boska nie zmiotła jej na miejscu, stało się natomiast coś innego. Poczula w głowie raptem, jak pewna myśl wskakuje na właściwe miejsce, niespodziewanie wyjaśniając coś, co do tej pory wyglądało na pozbawione sensu.

- Dlatego przywieźli tutaj ojca Cedrika - powiedziała.

Ansgar spojrział na nią z otwartymi ustami w sposób, który świadczył o tym, że ta myśl w ogóle nie powstała mu w głowie.

- Arla ma rację - orzekł wreszcie. -Jesteś mądra, musisz być moją siostrą.

- Bo jestem bystrzejsza od ciebie? - spytała Katharina. - Też mi sztuka - dodała, wprawdzie niezbyt głośno, ale wyglądało na to, że i tak ją dosłyszał, bo nagle wydał się dotknięty i niemal przez całą drogę zachowywał urażone milczenie.

Kolegiata została w tyle. Okrążywszy w końcu rozległe miasto, zbliżali się ponownie do rzeki, co dało im niezmacony widok na niewielki port Santen - który z wielką biedą zasługiwał na to miano, w sumie była to zaledwie lepsza przystań, tyle że większa niż ta w Bjarnisund. Sam Burzyk, który właśnie cumował przy jednym z trzech pomostów, zdawał się go prawie całkowicie wypełniać. Dlatego też drugi, znacznie mniejszy statek za nim zobaczyli dopiero, gdy już nieledwie dotarli do portu.

Osadzili konie w tym samym momencie, oboje w równej mierze przerażeni.

Statek był znacznie krótszy niż niekształna koga, a także znacznie niższy, wyglądał jednak w trudno dający się ująć sposób... bardziej złowrogo, nie potrzebowałby do budzenia trwogi nawet rzeźbionej głowy smoka na wzniesionym dziobie.

- To Fenrir - wymamrotał Ansgar.

- Tak - zgodziła się Katharina - ale powinniśmy raczej zadać sobie pytanie: co on tutaj robi?

Ansgar znowu spojrział na nią w sposób wyrażający zarazem zdumienie i uznanie. Nie uszło jej uwagi, że tym razem uświadomienie sobie, o co jej chodziło, zabrało mu więcej czasu. Obecność drakkara - i to akurat statku Wulfgara! - tutaj

w Santen sama przez się była już niepokojąca, ale za dalece bardziej alarmujący uznała sposób, w jaki cumował obok Burzyka. Mało, że dwa nierówne statki stanęły burta w burtę, to jeszcze z pokładu Burzyka spuszczone dwie wąskie deski na mniejszą łódź, tak że ich załogi mogły swobodnie przechodzić z jednego statku na drugi.

- Dowiemy się tego niebawem - powiedział ponuro Ansgar.

Chciał jechać dalej, ale teraz to Katharina go powstrzymała.

- Uważasz, że to rozsądne?

-Co?

- Wjeżdżać teraz do miasta - odrzekła, wskazując głową na Burzyka. Ani na jego pokładzie, ani na Fenrirze nie było widać żywego ducha, ale to czyniło ów widok tym bardziej niepokojącym. - To statek Pardeville'a, co oznacza, że jego ludzie są w mieście, najpewniej już od wczoraj, a sam powiedziałeś, że w tej chwili nastroje nie są zbyt dobre.

Ansgar wprawdzie skinął głową, ale mimo to nie zgodził się.

- Wulfgar i jego ludzie też tu są... a przynajmniej ci ostatni. Poza tym, tutejsi mieszkańcy nawykli do widoku Normanów. Dziś jest dzień targowy. Dlatego w mieście jest tak wielu ludzi. Nikt nas nie zauważy, uwierz mi.

Nie zważając na własne słowa, nie pojechał jednak dalej, lecz zawrócił konia i poczekał, aż Katharina zrobi to samo - mniej elegancko. Jej spojrzenia stały się tak przenikliwe, że aż go zabołały, lecz nie tylko umyślnie je ignorował, ale jeszcze przejechał krótki odcinek dzielący ich do skraju lasu w takim tempie, że została w tyle.

Uśmiech, jakim ją przywitał, gdy się w końcu z nim zrównała, trącił bezczelnością.

- Tylko mi nie mów, że zmieniłeś zdanie i jedziemy z powrotem cały ten szmat drogi - powiedziała.

- To byłoby chyba najrozsądniejsze - powiedział Ansgar, wyciągając rękę, by jej pomóc przy zsiadaniu. - Ale kimże jestem, żeby oponować tak mądrej dziewczynie?

Katharina zignorowała jego wyciągniętą rękę i zeszła z siodła o własnych siłach, o mały włos nie lądując na nosie, kiedy koń w najgorszym możliwym momencie niespokojnie się poruszył.

Ansgar rozsądnie powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza, ale jego uśmiech był teraz jawnie impertynencki.

- Co dalej? - zapytała.

Chłopak z upodobaniem odgrywał tajemniczego, odwracając się bez słowa, otwierając juki przy siodle swego konia i wyjmując zrolowany tłumoczek. Dopiero, gdy go podał Katharinie, poznała parę sznurowanych po bokach skórzanych spodni.

- Co mam z nimi zrobić? - zapytała nieufnie.

- Założyć - odrzekł Ansgar, szczerząc zęby. - Są moje, ale powinny na ciebie pasować.

- A po co?

Ansgar wywrócił oczami. - Nawet ja się na to nabrałem i wziąłem cię za chłopca - wyjaśnił. - No już. Nie patrzę.

Nie było też nic do oglądania. Katharina zatrzymała mianowicie swoją suknię na sobie, włożyła spodnie (które rzeczywiście pasowały na nią jak ulał) i bezceremonialnie wepchnęła suknię do środka, tak iż jej górna część stała się bogato haftowaną bluzą. Zupełnie jakby był na coś takiego przygotowany, Ansgar wyczarował z przepastnych czeluści swojego juka jeszcze skórzany pasek i parę sznurowanych sandałów, które wprawdzie już nie najlepiej pasowały do tych temperatur, ale mniej rzucały się w oczy niż jej bosa stopy.

- Od razu lepiej - rzekł z uznaniem.

- Doprawdy? - droczyła się Katharina. Wyglądała teraz bez dwóch zdań jak chłopak, ale choć praktycznie całe życie chodziła tak ubrana, nagle jej to przeszkadzało.

- Dobre przebranie - pochwaliła. - Do tej pory poszukiwali pewnie chłopca i dziewczyny. A teraz jesteśmy chłopcem... - położyła dłoń na piersi - i dziewczyną. - I z tymi słowy złapała Ansgara za jeden z jego grubych warkoczy i szarpnęła. Może trochę mocniej, niż to było konieczne.

Naburmuszył się zrazu, ale zaczął jednak rozplatać najpierw jeden, potem drugi warkocz, wreszcie związał włosy na karku w gruby kucyk - fryzurę, jaką nosiła połowa mężczyzn w Ellsbusch.

- Zadowolona?

- Gdybyś jeszcze szybko zapuścił brodę i sprawił sobie niższy głos...

Nic jej na to nie odrzekł, odpiął tylko juk od siodła, zarzucił go sobie przez ramię i dłonią na płask klepnął konia po zadzie, na co zwierzę pogalopowało z przerażonym rzeniem. Drugi wierzchowiec z miejsca do niego dołączył.

- Nie martw się - rzucił Ansgar wesoło - zawsze tak robimy. Same znajdą drogę do domu.

- Cóż za ulga - odkrzyknęła - a my?

- Ja też znam drogę. A teraz chodź, powoli robię się głodny, a wiem, gdzie dostaniemy coś dobrego. - Pomaszerował, tym razem Katharina dogoniła go już po kilku krokach.

Oprócz wielu innych istniała jedna istotna różnica między chodzeniem pieszo a jazdą konno: jadąc na koniu, człowiek posuwał się znacznie szybciej, nawet jeśli jechał tak spokojnym klusem, jak oni wcześniej. Zamiast kilku chwil, na ponowne dotarcie do portu potrzebowali prawie pół godziny, a przejście po raz drugi, tym razem niemiłosiernie wolno, obok zacumowanych jeden przy drugim statków, bynajmniej nie złagodziło dręczącego Katharinę uczucia.

Nadal cieszyła się na widok tego fascynującego, ogromnego miasta, ale im bardziej się do niego zbliżała, tym wyraźniej zdawało się tracić swój blask. Niewątpliwie domy tutaj były większe i wspanialsze niż ubogie chatki w Ellsbusch, w których na przemian dorastała, ale i one miały swoje najlepsze czasy dawno już za sobą. Niektóre mogły być niegdyś pokryte czystym tynkiem, teraz jednak wszędzie panował brud i rozkład, a najgorszy był zapach. Początkowo sądziła, że ten przykry fetor wiatr przynosił znad rzeki, do której ludzie wrzucali odpadki ze statków, ale stawał się on tym intensywniejszy, im bardziej oddalali się od wody; mieszanina odoru spalenizny, potu, gnijących warzyw i ciżby ludzkiej tłoczącej się na zbyt małej przestrzeni, fetoru chlewa i gnojówki, zawartości nocników i innych tego rodzaju utensyliów, które tutaj najwyraźniej opróżniano wprost na ulice... zresztą swoją drogą nie zasługiwały na to miano, w istocie bowiem nie były niczym więcej niż ścieżkami z oślizgłego błocka, w którym jej stopy co krok grzęzły aż po kostki. Poza tym były ciemne i wąskie, a tak zatłoczone, że praktycznie bez przerwy z kimś się zderzała.

Idący za nią w odległości dwóch-trzech kroków Ansgar dawał jej wprawdzie dostatecznie dużo czasu na zatrzymywanie się i podziwianie z otwartymi ustami coraz to nowych cudów, które zaskakiwały ją na każdym kroku, kierował ją jednak pewną ręką przez labirynt pełnych zakrętów (i odrażających woni) ulic i alejek aż do placu w środku miasta, większego niż cały Ellsbusch, w tej chwili wprost pękającego w szwach od ludzi i kolorowych straganów. Hałas panował tam nie do opisania; zrazu obezwładnił ją ten bezmiar ruchu i kolorów, które ujrzała. Gdyby ktoś jej powiedział, że na tym placu zgromadzono wszystkich żyjących na świecie ludzi, pewnie z łatwością by w to uwierzyła.

- Mówiłem ci przecież, że dziś jest dzień targowy - odezwał się tymczasem Ansgar. - Zawsze tak tu jest tego dnia. Czasami nawet gorzej.

Katharina spojrzała na niego spode łba. - Paryż?

- Co takiego?

Nie zrozumiał jej pytania.

- Stu krotnie większy?

Potrzebował paru chwil, żeby pomiarkować, co miała na myśli, ale potem tym energiczniej przytaknął. - Co najmniej!

- Tak, akurat - obruszyła się.

Ansgar widocznie palił się do riposty, opamiętał się wszakże i poprzestał na niezauważalnym prawie wzruszeniu ramion. W końcu, zamiast przyznać, że tą próbą nabrania jej chyba nieco przesadził, zatrzepotał tylko dłonią, wskazując wszędzie, a zarazem nigdzie, a drugą ręką sięgnął pod swój kaftan. Coś brzęknęło.

-Widzisz tam, ten dom, obok ratusza? - zapytał.

Zapewne widziałyby go - gdyby wiedziała, co to był ratusz albo jak wyglądał. Milczała, ale wyraz bezradności na jej twarzy najwyraźniej wystarczył za odpowiedź. Ansgar westchnął.

- Ten duży dom z arkadami.

- Aha - powiedziała Katharina. Duże były tutaj wszystkie domy - A co to są arkady?

Ansgar znowu westchnął. Głębiej.

- Muszę... coś sprawdzić - powiedział. - Wolałbym, żebyś tutaj na mnie zaczekała. Ale w razie, gdybyśmy stracili się z oczu, spotka my się tam, zgoda?

Wskazał na wyjątkowo duży budynek po drugiej stronie placu, z trzema piętrami i licznymi kolumnkami po każdej stronie. Wyciągnął drugą rękę i położył jej na dłoń trzy miedziane monety.

- Kup sobie coś ładnego - powiedział. -Ale uważaj, żeby cię nie oszukali.

Katharina tak się zdumiała, że nic na to nie odrzekła, tylko wpatrywała się skonsternowana w trzy miedziane monety. Jeszcze nigdy nie dostała niczego w prezencie, nie licząc paru zniszczonych ubrań, których nikt już nie chciał- a tym bardziej pieniędzy! - nie wiedziała też, ile te monety były warte, ale w tym momencie nie miało to znaczenia. To ta naturalność, z jaką Ansgar sięgnął po prostu do swojej sakwy, aby podzielić się z nią tym, co posiadał, poruszyła w niej jakąś strunę, że aż niespodzianie napłynęły jej do oczu łzy.

- To niewiele - bąknął Ansgar, który widocznie błędnie wytłumaczył sobie jej milczenie. -Ale na parę słodczy wystarczy. -Wskazał na jeden z niezliczonych kolorowych straganów, wyczekując znowu na jakąś odpowiedź, a w końcu zniknął w tłumie, wzruszając ramionami.

Przez krótki moment groził jej atak paniki. Liczba ludzi wokół zdawała się raz jeszcze podwoić, wszystko stało się głośniejsze i bardziej kolorowe, barwy i dźwięki naskakiwały na nią i przewalały się niczym fala. Mimo rozległości ogromnego placu poczuła raptownie, że nie może złapać powietrza. Otaczały ją setki ludzi, a jednak wydała się sobie samej samotna i opuszczona.

Lecz ten moment minął równie prędko, jak się pojawił, a miejsce lęku po raz kolejny zajęły ciekawość i zdumienie. Serce nadal jej łomotało, lecz teraz dla odmiany z podniecenia. Wciąż jeszcze miała Ansgarowi trochę za złe, że ją tak po prostu zostawił samą, ale skoro uważał, że jest tutaj bezpieczna, pewnie tak było.

Brała w rachubę pozostanie na miejscu i czekanie na jego powrót, lecz szybko uprzytomniła sobie, jakże by to było śmieszne; a przy tym całkiem głupie. To pewnie jedyna okazja oglądać miasto tej wielkości i nie chciała przegapić żadnego z tych fantastycznych obrazów, które się ukazywały jej oczom. Nawet jeśli wszystko to zdało się jedynie snem, nie miało dla niej znaczenia, ponieważ był przecudny.

Zaciskając mocno w dłoni trzy podarowane monety, jakby chodziło o najkosztowniejszy skarb na świecie (jakim w tej chwili dla niej były) poczęła ostrożnie rozglądać się po rynku i już po chwili o Ansgarze, Eriku i Arli, a nawet o Wulfgarze i Guy de Pardeville'u najzwyczajniej zapomniała. Zbyt wiele cudów wokół było do podziwiania, zbyt wiele niesamowitości do oglądania. Na wielu wozach w większości kolorowo przystrojonych oferowano na sprzedaż żywność: chleb, rozmaite warzywa, buraki, mięso, sałatę i świeże owoce - wszystkie je bez wyjątku знаła, a jednak dech jej w piersiach zapało na widok ogromnych ich ilości - ale były też rzeczy, których nigdy w życiu jeszcze nie widziała; i co do których nie była pewna, czy chciałaby je zjeść.

Prócz tego stały tam wozy z przepięknymi szatami i materiałami, które pyszniły się nigdy przez nią niewidzianymi kolorami, sprawiając wrażenie tak kosztownych, że bała się je ubrudzić samym na nie patrzaniem. Inni przekupnie sprzedawali garnki i noże, narzędzia i inne osobliwe różności, ich przeznaczenie wszelako pozostawało dla niej tajemnicą. W jednym kramie sprzedawano broń: miecze, sztylety i łuki w takich ilościach, że można by nimi uzbroić całą armię, ale na ten widok przyszły jej do głowy nieprzyjemne wspomnienia, toteż tylko przelotnie rzuciła na nie okiem i złęczniona przeszła do następnego straganu.

Wyglądał na najniezwykleszy ze wszystkich do tej pory.

Z początku nie mogła nawet dokładnie stwierdzić, co tam oferowano, bo widziała tylko bezładną zbieraninę jakichś... rzeczy. Była tam i misternie wpleciona z cienkich gałęzi klatka, w której siedziały dwa ptaszki, piętroszyły się stopy chust i garnki, i rondle pełne liści, kolorowo barwione kamyczki, a także miło pachnące przyprawy, wyrzeźbione z rogu grzebienie i misternie wykute fibule, zdobne srebrnymi cekinami pasy i bransolety z brązu, i inna, z wyglądu kosztowna biżuteria, a do tego bez liku innych rzeczy, a wszystkie miały jedną wspólną cechę: wydawało się, że do niczego się nie nadają.

- Podoba ci się coś z tego, mój chłopcze?

Katharina tak gwałtownie została oderwana od swoich myśli, że o włos wypuściłaby swoje monety, prędko więc tym mocniej zacisnęła na nich dłoń, a potem zdziwiona wybałuszyła oczy. Przed nią stała szczupła kobieta w kolorowej sukni z głęboko odsłoniętymi ramionami, głębiej niż nakazywała przyzwoitość. Musiała być mniej więcej w wieku Arli, ale miała kruczoczarne, sięgające ramion kręcone włosy i oczy tego samego, nienaturalnie głębokiego koloru. Jej głos brzmiał dziwnie, bez akcentu, tak jakby język, którym mówiła, nie był naprawdę tym, z którym wyrosła.

Wszystko to Katharina z miejsca jednak zapomniała, gdy zobaczyła siedzące na ramieniu czarnowłosej dziwaczne stworzenie.

Nie potrafiła określić, co to było - zwierzę, nadzwyczaj niewyrośnięty człowiek, czy jakieś heretyckie połączenie obu.

Stworzenie nie było większe od kota, ale stało wyprostowane na dwóch nogach i miało... ręce z prawdziwymi, choć małutkimi dłońmi. Również jego twarz przypominała twarz człowieka (może z wyjątkiem dziwnego nosa), a oczy, w które zjrzała Katharina, wyraźnie nie były oczami głupiego zwierzęcia. Od czubka głowy aż do pięt miało włosy - brunatnego koloru, tylko twarz porośnięta była białym futrem - i odziane było w zabawną kolorową spódniczkę i zdobioną wielobarwnymi kamyczkami obrozę, od której sznurek prowadził do ręki czarnowłosej.

- Co... to jest? - wymamrotała zmieszana Katharina.

Czarnowłosa kobieta roześmiała się. - Małpka. Założę się, że czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałeś, mam rację?

Katharina w odpowiedzi potrząsnęła głową, a czarnowłosa zaśmiała się ponownie i mówiła dalej: - Zdziwiłoby mnie, gdyby było inaczej. Pochodzi z tak dalekiego kraju, że całe życie mógłbyś przewędrować, nigdy do niego nie docierając.

Katharina wpatrywała się tylko bez słowa w swoje czarnowłose *vis-à-vis*. Zaczynała nabierać podejrzeń, że w tym mieście mieli w zwyczaju robić z obcych durnia. Pozostawiła to jednak bez komentarza, znowu skupiając uwagę na stworzeniu, które obca nazwała małpką (coż za dziwaczne słowo!), a włochaty zwierz odwzajemnił jej spojrzenie swoimi rozumnymi oczkami, przechylił głowę na bok i ni stąd, ni zowąd zaczął coś do niej przeraźliwie trąkotać.

- To coś umie... mówić? - spytała zdumiona.

- Kto wie? - odrzekła czarnowłosa. - Bierzymy to za bezsensowną paplaninę, ale może tylko nie rozumiemy jego języka. Chciałbyś go potrzymać?

I nie czekając na odpowiedź Kathariny, posadziła jej małpkę na ramieniu, dziewczyna zaś zamarła z przerażenia, zwłaszcza że stworzenie w mgnieniu oka zaczęło swoimi drobnymi palcami skubać jej włosy.

- Nie bój się - rzuciła z uśmiechem czarnowłosa - nic ci nie zrobi. Możesz ją pogłaskać, jeśli chcesz.

Katharina nie była przekonana, czy rzeczywiście tego chciała; małpka potarłszy i powyrywawszy jej włosy, zabrała się do gmerania paluszkami przy jej twarzy, po czym z niespodziewaną zręcznością rozwiązała sznurki jej rzekomej bluzki, tak iż niemal zsunęła się jej z ramion.

- Hej! - zaprotestowała.

Małpka poniechała swoich wścibskich poczynań, śmignęła zwinnie w dół po jej ręce i jednym susem znalazła się z powrotem na ramieniu swojej pani, skąd obrzuciła ją potokiem małpich wyrzutów.

Czarnowłosa zaśmiała się cicho i wymierzyła zwierzęciu filuternego klapsa po palcach, ale Katharinie zdawało się, że dostrzegła w jej oczach przebłysk zaskoczenia. Jednak ów wyraz zniknął z jej twarzy, zanim Katharina zdołała się upewnić.

- Bywają trochę wścibskie - wyjaśniła kobieta, uśmiechając się.

- Ale myślę, że to właśnie jest powód, dla którego je tak lubimy.

- Skróciła nieco smycz małpki, a drugą ręką zapraszająco wskazała wystawione na sprzedaż towary.

- Rozejrzyj się spokojnie. Na pewno znajdziesz coś, co ci się spodoba.

Katharina przyjęła wprawdzie tę propozycję, ale nie bardzo mogła stwierdzić, które z rozłożonych towarów jej się podobały, a które nie... choćby z tego powodu, że w przypadku większości z nich nie miała najmniejszego pojęcia, czym były. Wreszcie podeszła bliżej do klatki z ptakami i wskazała na jej dwóch upierzonych więźniów.

- Dlaczego są zamknięte? - zapytała.

Zdawało się, że to pytanie zmieszało stojącą naprzeciw kobiecie.

- Bo w przeciwnym razie odleciałyby? - zasugerowała. Małpa zeskoczyła z jej ramienia na wózek, wyciągnęła ręce i zaczęła drobnymi paluszkami szarpać Katharinę za pięść, w której ta trzymała monety.

- Wiem - odrzekła, trochę zaskoczona siłą tych filigranowych paluszków. - Ale dlaczego nie miałyby odlecieć?

Czarnowłosa spojrzała na nią, jakby właśnie zadała najgłupsze pytanie, jakie tylko można wymyślić, mimo to odpowiedziała: - Ponieważ ludzie rozkoszują się ich śpiewem i wyglądem... podobnie zresztą, jak większością rzeczy tutaj.

To Katharina musiała najpierw przetrwać. Ludzie tutaj mogli sobie pozwolić na zakup rzeczy, tylko żeby cieszyć się



ich widokiem?

Jakże więc niewyobrażalnie bogate było Santen?

- Nigdy jeszcze nie byłeś w mieście, prawda? - ciągnęła czarno włos. - Zatem wszystko tutaj musi ci się niezwykle podobać... albo też wcale.

Małpa silniej szarpnęła rękę kobiety, a jej właścicielka przyciągnęła ją ostrym szarpnięciem smyczy, co uczyniło ją celem istnego potoku utyskiwań i wymówek.

- Mam też słodycze. Może coś sobie wyszukasz? - Wskazała na mały gliniany dzban, z którego wystawały liczne, grube na palec żółto-brązowe laski. - Miodowe paluszki są naprawdę dobre. Wiem coś o tym. Sama je robię.

-Ja... nie mam pieniędzy - rzekła wymijająco.

Czarnowłosa spojrzała na jej zamkniętą pięść wystarczająco długo, aby dać Katharinie do zrozumienia, że przejrzała to małe kłamstwo, ale po chwili wzruszyła ramionami i znowu się uśmiechnęła.

- Ach, co mi tam - powiedziała. - Weź sobie jedną, daruję ci ją.

Katharina spojrzała na nią z niedowierzaniem, ale została tylko obdarzona kolejnym uśmiechem. - Śmiało, poczęstuj się. Interes dobrze mi dziś idzie, więc mogę sobie pozwolić na hojność. Jeśli chcesz, możesz w zamian opowiedzieć coś o sobie. Musisz wiedzieć, że jestem strasznie ciekawska.

Katharina zawahała się ponownie, ale wyciągnęła rękę i wzięła jedną z miodowych lasek, aby ostrożnie ją powąchać. Pachniała pysznie, a kiedy jeszcze ostrożniej ją polizała, smakowała nieskończenie pyszniej. I coś takiego miała dostać za nic?

-Jak masz na imię, chłopcze? - zapytała czarnowłosa. -Ja jestem Vera. A ty?

- Katha... - zaczęła Katharina, ale opamiętała się w ostatniej chwili, zważając na przebranie, w które się wślizgnęła, i się poprawiła: - Kara.

- Kara - powtórzyła Vera - to niezwykle imię. Czy jesteś jednym z Normanów mieszkających w górze rzeki?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - wyrwało się przestraszonej Katharinie.

- To nie takie trudne do odgadnięcia, kiedy się widzi, co masz na sobie - odpowiedziała - takie bluzy robią tylko Normanowie. Do tego twoje jasne włosy i błękitne oczy... gdzie są twoi rodzice, dziecko?

-Już szukają mego brata - odezwał się głos za nią. -I im dłużej nie przyprowadzam go z powrotem, tym bardziej rośnie ich gniew.

- Ansgar pewnym krokiem wszedł między Katharinę a czarnowłosa i demonstracyjnie położył rękę na przedramieniu swego rzekomego brata. - Nie chcesz chyba rozniewać naszego ojca, co? Na koniec to znowu ja oberwę, tylko dlatego, że jestem o rok starszy, ojciec zaś uważa, że muszę stale na ciebie uważać.

- Bycie starszym bratem to czasami ciężki los - wtrąciła Vera.

- Wiem to. Miałam trzy młodsze siostry.

Ansgar co prawda zareagował półuśmiechem, lecz przy tym jeszcze mocniej chwycił Katharinę za ramię i bezceremonialnie pociągnął ją za sobą. Uznała to za dość niegrzeczne, jednak chłopak nie dał jej okazji do powiedzenia czegokolwiek, bo ciągnął ją za sobą tak grubiańsko, że zaczęła się potykać. Dopiero, gdy już niemal w połowie przeszli rynek, zatrzymał się i ją ofuknął: - Czyś ty oszalała, żeby rozmawiać o nas z nieznaną? I to jesz cze z taką?

Co miał na myśli, mówiąc z taką?

- Ale sam przecież powiedziałeś...

- Żebyś się rozejrzała i kupiła sobie coś ładnego! - Ansgar wpadł jej w słowo. Był naprawdę rozzłoszczony. - A nie, żebyś opowiadała każdemu, kim jesteś i skąd pochodzisz!

- Ale co w tym złego? - broniła się Katharina. - Ona jest miła, zobacz, co mi dała!

I wyciągnęła w górę miodowy paluszek, a Ansgar oglądał przysmak z taką wściekłością, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby wybił go jej z rąk. Jednak po chwili opanował się, a nawet wymusił- fałszywy - uśmiech na ustach.

- Przepraszam - powiedział - nie chciałem na ciebie krzyczyć.

To moja wina. Nie powinienem zostawiać cię samej. Ale nie możesz nikomu tutaj ufać, wiesz. A już szczególnie nie

komuś takiemu.

- Co masz na myśli? - Katharina obejrzała się przez ramię. Vera nadal tam stała i patrzyła w ich kierunku, marszcząc brwi.

- Wagabundzi - odparł. - Kuglarze i rybacy. Nie możesz im ufać.

Zapewne wytresowała to dziwne zwierzę, żeby nas okraść. Co jej opowiedziałaś?

- Tylko to, co słyszałeś - zgodnie z prawdą odpowiedziała Katharina. Miała ochotę zaprzeczyć temu, ale nagle przypomniała sobie, jak małpka bezbłędnie wytropiła monety w jej zaciśniętej pięści i jak zdumiewająco zręczne były jej drobne paluszki.

Bez słowa zwróciła Ansgarowi monety, a następnie przełamała na środku miodowego paluszka i podała mu połowę, której jeszcze nie nadgryzła. Ansgar spoglądał na przemian to na monety, to na podzielony smakołyk i naraz zmienił się w uosobienie wyrzutów sumienia. Polizał miodową laskę tak ostrożnie, jakby się bał, że była zatruta - albo jakby go w następnym momencie miała ugryźć w język - i jego mina rozjaśniła się.

- Hm - mruknął - niczego sobie. Może twoja nowa przyjaciółka nie jest jednak taka zła.

- Mimo, iż to ktoś taki? - zapytała uszczypliwie Katharina.

Ansgar nic na to nie powiedział, tylko chwycił ją na nowo za ramię (ale tym razem delikatniej) i ruszył dalej. Kiedy dziewczyna następnym razem spojrzała za siebie przez ramię, Vera i jej dziwne zwierzę zniknęli już w tłumie.

\*\*\*

Oczekiwała, że Ansgar zabierze ją do ratusza (ciągle jeszcze nie wiedziała dokładnie, co to takiego, poza tym, że wydawał się być w jakiś sposób ważny), ale on udał się do sąsiedniego budynku, który choć znacznie mniejszy, sam w sobie wciąż odznaczał się imponującymi rozmiarami.

Kiedy weszli do cienistego wnętrza, uderzył ich intensywny zapach świeżego chleba i mąki. Jakiś mały piesek wybiegł im na spotkanie, ujadając - ale i machając ogonem. Dopiero chwilę później zobaczyła siwowłosą parę, stojącą w tylnej części obszernego, bardzo niskiego pokoju, spoglądając na nią i Ansgara.

- To Hendrik i Elsa - powiedział Ansgar - dobrzy przyjaciele.

Możemy się u nich na razie zatrzymać. Przynajmniej dzisiaj.

- Nie powinniście tu w ogóle przychodzić - rzekł mężczyzna. - W każdym razie nie dzisiaj i to w świetle dnia. Można by pomyśleć, że chcesz, żeby cię rozpoznano.

W jego głosie nie było jednak gniewu, raczej łagodna przygana.

Ansgar uśmiechnął się tylko i pochylił, by pogłaskać pieska, który przestał wreszcie ujadać. W końcu odrzekł: - Bynajmniej. W tej chwili sam bym się chyba nie poznał.

- Bo po raz pierwszy wyglądasz jak chłopiec? - dopytywała się Katharina.

Ansgar skrzywił się, ale Hendrik zaśmiał się cicho, a jego żona podeszła bliżej, mówiąc: -Więc jesteś zaginioną siostrą Ansgara. Po cóż ja się zresztą pytam?

- Skąd... to wiecie? - spytała ze zdziwieniem Katharina.

- Nie jestem ślepa, moje dziecko - odpowiedziała Elsa, mierząc ją przy tym oczami dobrotliwie od stóp do głów z nieskrywaną ciekawością. Katharina ze swej strony spoglądała na kobietę z równym zaciekawieniem i bez krzty mieszanina. Elsa miała siwe włosy i zarówno jej ręce, jak i pochylone plecy świadczyły o długim życiu wypełnionym ciężką pracą, jednak twarz, a zwłaszcza oczy wydały się Katharinie wciąż zaskakująco młode.

- Nie to mam na myśli - zaprotestowała Katharina. - Skąd w ogóle o mnie wiecie?

- Musisz być jego siostrą - podkreśliła z uśmiechem Elsa. - Jesteś co najmniej równie bystra jak on. A co się tyczy twojego pytania, wieści szybko się rozchodzą. Mieszkańcy Bjarnisund są naszymi przyjaciółmi, a ty już od dłuższego czasu jesteś z nimi.

- Już dobrze, kobieto - odezwał się Hendrik równie dobrotliwym tonem. - Zrób tym dwojgu coś do jedzenia.

Wyglądają, jakby potrzebowali solidnego posiłku. I mam kilka rzeczy do omówienia z Ansgarem.

Elsa spojrzała na męża z udawanym niezadowoleniem, jednak odwróciła się, skinąwszy na Katharinę, aby za nią poszła. Dziewczyna ruszyła za nią, przechodząc obok niskiego drewnianego kontuaru i regału, na którym leżały w stosach świeżo upieczone bochny chleba i inne wypieki. Przeszły przez drzwi do drugiego, znacznie większego pomieszczenia, w którym nie tylko było o wiele jaśniej, lecz również nieomal nieprzyjemnie ciepło. Większość dostępnego miejsca zajmował potężny piec, za którego na w pół uchylonymi drzwiami migotał ciemnoczerwony żar, pozostałą wolną przestrzeń zajmowały niemal w całości worki z mąką, kosze, tace i worki z najróżniejszymi składnikami, stosy drewna na opał, łuczywa i węgla drzewnego, tak iż z trudnością dało się znaleźć wśród nich przejście. Już sam zapach, tutaj o wiele intensywniejszy niż we frontowej izbie, sprawiał, że do ust ciekła jej ślinka, a na domiar złego skłaniał jej żołądek do głośniego burczenia. Te odgłosy krępowały ją trochę, ale Elsa zareagowała dobrotliwym uśmiechem i wskazała jej, by szła dalej na górę wąskimi schodami na końcu piekarni.

-Jesteście piekarzami? - spytała zupełnie niepotrzebnie.

- I to najlepszymi w całym Santen - przyznała Elsa, z entuzjazmem kiwając głową. - Mogę tak twierdzić z pełnym przekonaniem, nie rumieniąc się, bowiem jesteśmy jedynymi prawdziwymi piekarzami w mieście.

Kiedy weszły do kolejnej z osobliwie niskich izb, żywo gestykułując, Elsa wskazała niski stół, wokół którego stało z pół tuzina masywnych krzesel. - Przede wszystkim usiądź sobie teraz, dziecko, a ja zrobię ci coś dobrego do jedzenia. Słyszałaś już, jak jesteś głodna.

Katharina posłusznie zajęła miejsce, a Elsa zdawała się czekać przez moment, aż dziewczyna w jakiś sposób zareaguje na jej uwagę, potem jednak odwróciła się, wzruszając ramionami i zniknęła, zostawiając ją samą.

Z ciekawością i większą uwagą Katharina przyjrzała się teraz otoczeniu, nie dochodząc wszakże do innego wniosku, niż ten, który i tak już знаła: Santen zamieszkiwali bogacze. Wyposażenie izby było oszczędne, a mimo to cenne. Sama szafa z bogato rzeźbionymi drzwiami zdawała się wspanialsza, niż wszystko, co kiedykolwiek widziała na zamku Ellsbusch.

Może graf Ellsbusch był jednak wyjątkowo ubogim panem.

Jeśli tacy istnieli.

Elsa wróciła, przynosząc jej buchający kłębamii pary kubek. - Gorące mleko. Dobrze ci zrobi, ale uważaj, jest jeszcze bardzo gorące. Zupa musi się jeszcze moment pogotować, do tego czasu przynajmniej będziesz mieć coś ciepłego w żołądku.

Katharina ponownie doznała uczucia, że żona piekarza nie powiedziała tego ot tak, bo chciała być przyjazna, lecz miała ku temu szczególny powód albo przynajmniej czekała na określoną reakcję.

Jednak dziewczyna *tylko patrzyła na* nią w ciszy, kosztując ostrożnie mleko, które rzeczywiście było tak gorące, iż nieomal sparzyła sobie usta, za to smakowało nad wyraz pysznie. Jakby same przez się, jej myśli powędrowały do kotków. Jakże się teraz miały? Czy ktoś je raczył równie smacznym mlekiem, czy zgoła przeciwnie, wychudzone i skołtunionie Hugin i Munin błąkały się po lesie - węsząc za zdobyczą, a przecież zarazem w trwodze, że same staną się ofiarą?

Elsa po raz drugi w ten dziwny sposób wzruszyła ramionami, i tym razem odchodząc bez słowa. Dzieje się tu coś... dziwnego, pomyślała Katharina.

Coś dziwnego i niepokojącego, co zlało się z troską o Hugina i Munina w dojmujące poczucie straty i niepewności...

Jeszcze przez jakiś czas jej myśli zaprzętało kosztowanie mleka (którego smak zdradzał dodatek pokaźnej miarki miodu, jak mimochodem zauważyła), aż w końcu wstała i z głębokim westchnieniem podeszła do jednego z dwóch wąskich okien, wychodzących na rynek.

Oglądana z tej wysokości, gorączkowa krzątania w dole wydawała się jeszcze barwniejsza i bardziej fascynująca i Katharina po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak mylnie szacowała liczbę ludzi na placu. Wszędzie panował harmider, ludzie oceniali towary i się targowali, pakowali i dobijali targu, a i to nie wszystko. Po drugiej stronie placu spostrzegła obwieszony w połowie kolorowymi chustami podest, na którym ubrani w barwne stroje kuglarze i histrioni przedstawiali swoje sztuczki i wygłupy. Wcale nie miała grupa tłoczących się przed sceną widzów biła brawo, śmiała się i zagrzewała trupę sztukmistrzów okrzykami do dalszych psot. Gdzie spojrzeć śmigały w tłumie bawiące się dzieci i przez chwilę obserwowała, jak pośród rechotu zadowolonej z cudzego nieszczęścia gawiedzi jakiś gruby chłopak gonił - bez szansy na dogonienie - malca, który pewnie mu coś zwędził albo go w inny sposób rozdrażnił.

Ta scena wyczarowała na jej ustach uśmiech, którego nie była nawet świadoma, ale napełniała ją także uczuciem niejasnego smutku, bo po raz pierwszy poznawała życie, jakiego dotąd zupełnie nie znała. Może to miasto i jego mieszkańcy nie byli wcale tak niezmiernie bogaci, jak sądziła. Może to ona do tej pory była niezmiernie biedna, a rozumiała przez to nie tylko parszywe ubrania, podłe jedzenie i nędzne warunki, w jakich wyrastała. To, co działo się tam w dole, było częścią życia, na którym los dotychczas ją okpiwał; na myśl o tym ogarniała ją zarazem gorycz i wściekłość.

Pod wpływem intensywnego wrażenia, że jest obserwowana, z przestachem odwróciła głowę, ale pokój za nią był pusty. Jednak uczucie pozostało. Ponownie spojrzała na rynek w dole i przez niezmiernie krótki moment wydawało jej się, że widzi czarnowłosą postać w wyzywającej sukni, na której barkach siedzi stworzenie wyglądające jak owłosiony człowieczek.

Rozejrzała się uważnie. Nikogo tam nie było. Dlaczego niby Vera miałaby ją szpiegować?

Zbesztawszy się od zajęczych serc i głuptasów (co jednak nie powstrzymało jej od ponownego rozglądnięcia się), odegnęła w końcu tę myśl i skoncentrowała się na powrót na najbardziej interesującej części wielobarwnego rozgardiaszu, a mianowicie na scenie, na której kuglarze i aktorzy nadal przedstawiali swoje sztuczki. Nie minęło wiele czasu, a zobaczyła Verę stojącą właśnie tam ze swoją małpką i akurat rozprawiającą o czymś z ciemnowłosym, nadzwyczaj roslym mężczyzną. A zatem jednak się myliła i niesłusznie posądzała kuglarzkę.

- Nie stój, proszę, przy oknie. Ktoś mógłby cię zobaczyć.

-Jeden z setek tych ktosiów, którzy mnie już widzieli? - zapytała sarkastycznie Katharina, jednak mimo to nie tylko odwróciła się do Ansgara, ale też posłusznie wróciła do stołu i usiadła.

- To co innego - nie ustępował Ansgar. Naprawdę wyglądał na cokolwiek zaniepokojonego.

Sięgając ponownie po swoje mleko, odkryła że jest już prawie zimne. Musiała widać dłużej stać przy oknie, niż sądziła. Wypiła teraz z rozkoszą tęgi łyk.

- Elsa przyjdzie zaraz z jedzeniem - powiedział, podchodząc bliżej i również siadając. - Będiesz zaskoczona, jest najlepszą kucharką w całym Santen.

- Myślałam, że jest najlepszą piekarką?

- Nią także - potwierdził chłopak. Uśmiechnął się, choć niezbyt przekonująco. - To nie znaczy, że nie może być także najlepszą kucharką w mieście. Zobaczysz, już z tego powodu droga tutaj warta była zachodu.

Katharina skinęła głową i spojrzała na niego zachęcająco, lecz Ansgar więcej nic nie rzekł, toteż siedzieli tak razem jakiś czas w coraz nieprzyjemniejszej ciszy, wobec której nawet miodowym mlekiem nie mogła do końca się pocieszyć.

Przynajmniej w jednym punkcie Ansgar wyjawiał jej prawdę: Elsa rzeczywiście okazała się najlepszą kucharką w mieście. Chociaż trwało jeszcze dłuższą chwilę, zanim ona i jej mąż przyszli z posiłkiem, czekanie opłacało się. Jeśli już sądziła, że w Bjarnisund dostała najlepsze jedzenie na świecie, to na to, co postawiła przed nią siwa żona piekarza, wprost zabrakło jej słów. Jadła, aż się nasyciła, jadła dalej, póki nie poczuła, że pęknie, i nawet wtedy dalej jadła, aż w końcu już więcej nie mogła. Ansgar przyglądał się jej w milczeniu, lecz z wymowną dezaprobatą, podczas gdy Elsa okazywała zadowolenie, jakie tylko może być udziałem docenionej kucharki. Hendrik został z nimi tylko na krótko, po czym oddalił się wyjaśniając, że w dniu targowym nie może trzymać interesu zamkniętego dłużej, niż to absolutnie konieczne.

- Chyba muszę kiedyś poważnie porozmawiać z Arlą - powiedziała Elsa, gdy Katharina wreszcie skończyła, z westchnieniem najgłębszej satysfakcji odsuwając talerz. Nie pamiętała dokładnie, czy dokładała sobie na niego dwa czy trzy razy. - Właściwie to do niej niepodobne, żeby głodzić gości.

- Nie robi też tego! - pośpieszyła z odpowiedzią Katharina. - Ale to jedzenie było tak znakomite, że nie mogłam przestać.

- Jesteś pochlebczynią - stwierdziła Elsa. - Masz to zresztą po swoim bracie, jak sądzę. - Przechyliła głowę na bok i patrzyła na nią przez chwilę, jakby widziała ją po raz pierwszy. - Powinnaś zapuścić włosy, moje dziecko. Inaczej to wstyd. Ponadto byłabyś pierwszą kobietą waszego ludu z chłopięcą fryzurą.

- Oni nie są moim... - zaczęła Katharina, ale ugryzła się w dolną wargę i z niejasnym poczuciem winy rzuciła Ansgarowi przelotne spojrzenie.

- Przeciwnie, są - upierała się z uśmiechem Elsa. - Spójrz w lustro, jeśli mi nie wierzysz, moje dziecko.

- Kara nie ochłonęła jeszcze z zaskoczenia po zobaczeniu Santen - wtrącił się Ansgar; jakoś pośpiesznie, jak

zauważyła Katharina.

Roześmiał się. - Myślę, że jeszcze nigdy nie widziała miasta, które ma więcej niż dwunastu mieszkańców.

- Hej! - zaprotestowała Katharina.

-W takim razie masz jej wiele do opowiedzenia - zauważyła Elsa.

Wstała i zaczęła zbierać opróżnione talerze, potrząsnęła jednak prędko głową, kiedy Katharina chciała jej pomóc - co ją poniekąd zaskoczyło. Oprócz tych kilku dni w Bjarnisund, wcześniej to zawsze ona musiała sprzątać stół, wyrzucać świniom resztki i szorować do czysta talerze. Jeżeli w ogóle pozwolono jej jeść przy stole razem z innymi.

- Wolałabym, żeby mi je pokazał.

- Nie uważam tego za dobry pomysł.

-Jak to?

Elsa zebrała talerze i chciała je już wynieść, ale znowu usiadła.

Zanim odpowiedziała, wymieniła szybkie spojrzenie z Ansgarem.

- Ansgar i jego rodzina są dobrymi przyjaciółmi, zawsze mile u nas widziani, ale czas jest... dość niesprzyjający.

- Bo są wikingami?

- Sami siebie nazywają się Normanami i myślę, że to słowo jest im miłsze - powiedziała z naciskiem. - Czy wiesz, co oznacza słowo wiking?

Katharina potrząsnęła głową. Jeszcze dwa tygodnie temu nawet nie wiedziała, że takowe istniało.

- Znaczy tyle, co wojownik - powiedziała Elsa. - A dla niektórych znaczy również bandyta lub morderca. I z pewnością nie dotyczy Erika i jego ludzi, wszyscy tutaj o tym wiedzą. Ale wiesz, co stało się w Ellsbusch, prawda? - Pokręciła głową i zaraz uśmiechnęła się z zakłopotaniem, nim Katharina zdążyła odpowiedzieć. -Jakże głupio z mojej strony. Jeśli nie ty, to kto?

Katharina uniosła tylko lewą brew, ale słowa Elsy zaintrygowały ją. Widocznie żona piekarza wiedziała dokładnie, co się stało, a także - jaką rolę odegrała w tym Katharina. Z wolna zaczynała przypuszczać, że była tutaj jedyną, której nie o wszystkim mówiono.

- Ludzie boją się, Kara - ciągnęła Elsa, całkiem świadomie używając imienia, które jej musiał podać Ansgar. - Każdy tu wie, że Erik i jego ludzie są pokojowo nastawionymi kupcami i najemnymi żeglarzami, ale atak na Ellsbusch rozbudził zbyt wiele złych wspomnień.

Wspomnień strasznych rzeczy, które napawają ludzi trwogą. A ci, którzy się boją, czasem reagują nerwowo. W tej chwili będzie bezpieczniej, jeśli nie będziecie się pokazywać na ulicach.

- Fenrir cumuje w porcie - odparła Katharina. - Kiedy ostatnio go widziałam, miał na pokładzie wielu Normanów.

- W tym przypadku raczej wikingów - westchnęła Elsa. - Ale to czyni sprawę jeszcze gorszą. Każdy zna reputację Wulfgara. Właśnie z tego powodu Fenrir dobrowolnie uległ de Pardeville'owi i ludzie Wulfgara bez sprzeciwu podążyli tutaj za grafem i za baronem Guthenfelsem, żeby udowodnić swą niewinność.

- Widziałam go - powiedziała Katharina.

- O tym również słyszałam - odrzekła Elsa - a ponieważ Ansgar i jego dziadek ci wierzą, ja także wierzę... ale to w niczym nie pomaga, a jedynie pogarsza sytuację.

-Jak to?

Elsa głęboko odetchnęła.

- Wulfgar i większość jego ludzi są w mieście - powiedziała.

- A jeśli istotnie mówisz prawdę, mogą nie być zainteresowani rozprowadaniem o tym na prawo i lewo. Znalazłabys się w niebezpieczeństwie, gdybyś dała się zobaczyć w mieście.

-Jak długo mam się chować?

- Na razie tylko dzisiaj - rzuciła pośpiesznie Elsa. - My także mamy przyjaciół w mieście - musisz wiedzieć, że kiedy się piecze najlepszy chleb w okolicy, nie pozostaje to bez echa - a gdy tylko emocje nieco opadną... -Wtem zrobiła minę,

jakby zaczęła zdanie, nie wiedząc dokładnie, w jaki sposób je skończyć, i poratowała się naprędce niepewnym uśmiechem.

- Tak czy owak będzie lepiej, jeśli ty i Ansgar pozostaniecie w domu - skwitowała - ale chętnie odpowiem na wszelkie pytania.

Nieważne jak wiele ich będzie... choć pewnie pożałuję tej obietnicy.

I miała rację.

Katharina stawiała tak nieskończenie wiele pytań na temat miasta, jego mieszkańców, a zwłaszcza życia w Santen, że kiedy dzień zbliżał się ku końcowi i wyczerpana Elsa dała w końcu za wygraną, połowę tego, co usłyszała, naturalnie zapomniała. Rzeczywiście od- powiedziała na - prawie - wszystkie pytania, jakie dziewczyna jej zadała, przez cały dzień wykazując anielską cierpliwość. To, czego Katharina wcześniej się tylko obawiała, wnet stało się gorzką pewnością, a mianowicie, że poza nędznym życiem, jakie dotąd wiodła, istniał wielki świat pełen cudów i rzeczy niewyobrażalnych; świat, na którego odkrycie i zbadanie nie starczyłoby całego ludzkiego życia. I znowu ogarnął ją ten stan, co poprzednio, kiedy stała w oknie, obserwując rynek. W całą tę radość i podniecenie z powodu na nowo odkrytego życia wmieszały się gorycz i gniew, że właśnie pod tym względem była dotąd oszukiwana.

Gdy słońce zaszło, Hendrik zamknął sklep i do nich dołączył, a jego żona podała kolację, która Katharinie wydała się jeszcze smaczniejsza i sutsza od obiadu, jednak później Elsa się uparła, że tyle na jeden dzień wystarczy i że powinna iść do łóżka.

Dziewczyna wprawdzie protestowała, ale tylko dlatego, że tak niejako wypadło. Była bardzo zmęczona. Długa droga, jaką miała za sobą, i niemal równie długa rozmowa (stwierdziła zaskoczona, że mówienie może być tak samo wyczerpujące, jak praca fizyczna) zaczęły dawać jej się we znaki. Elsa nie musiała nalegać po raz trzeci, żeby poszła do małego pokoju na poddaszu położyć się spać.

- Nie dziw się, kiedy dzisiaj w nocy będzie trochę głośno - zakończyła jej siwowłosa dobrodziejka, zanim zamknęła za sobą drzwi.

- Po dniu targowym takim jak dzisiaj Hendrik zawsze czyści piec, a to może potrwać do późnej nocy. Powiem mu, żeby starał się cicho sprzątać, ale nie mogę ci obiecać, że tak będzie.

Katharina wymamrotała tylko coś w odpowiedzi, czego sama dobrze nie zrozumiała, zawięła się w koc i zasnęła, zanim kroki Elsy wybrzmiały na schodach za drzwiami. Jednak wcale nie był to kojący sen. Wciąż się budziła z bijącym sercem i niejasnym wspomnieniem jakichś wielce zagmatwanych koszmarów, raz nawet z mokrą twarzą i piekącymi oczyma, jakby płakała przez sen.

Wreszcie - musiała być co najmniej północ - poddała się, usiadła i spróbowała zaprowadzić porządek w swoich myślach... rzecz jasna bez powodzenia. Serce ciągle jej się tłukło, jakby biegła godzinami, choć zarazem trwała jeszcze w sennym oszołomieniu. Czowała, że nie zazna już spokoju; i jakże by inaczej miała sądzić, skoro w jeden dzień spadło na nią całe stulecie skradzionego życia?

W domu rozlegały się hałasy, stłumione, a mimo to wyraźnie słyszalne dochodziły do niej z parteru jakieś głosy, ustawiczne dudnienie i łoskot, które w nocnej ciszy słyhać było pewnie ze trzy domy dalej. Elsa ostrzegęła, że jej mąż do późnej nocy będzie zajęty usuwaniem śladów burzliwego dnia targowego i czyszczeniem pieca.

Przypuszczała, że także Ansgar brał w tym udział, a ponieważ czuła, że i tak nie zaśnie, mogła równie dobrze zejść na dół i na coś się przydać. W końcu korzystała z gościnności tych dobrych ludzi i jadła z ich stołu, więc wypadło, żeby choć w części im za to odpłaciła.

Wstała, rozważała przez chwilę, czyby nie wskoczyć w spodnie i sandały, ale pozostała w sukni, w której zresztą spała. Stuki i głosy stawały się głośniejsze, kiedy bosymi stopami schodziła cichaczem po schodach przy wskazującym jej drogę niepewnym świetle migoczących świec.

Głosy wydały się jej wzburzone - bardziej wzburzone, niż powinny, chodziło przecież tylko o coś tak prozaicznego jak sprzątanie pieca! - a nie tylko głos Hendrika słyszała. Tam w dole dyskutowali nerwowo jeden przez drugiego trzej albo czterech mężczyźni, słyszała, jak z trudem powściągali głosy i mogłaby przysiąc, że raz czy dwa dobiegło ją coś na kształt jęczenia.

Zatrzymała się w połowie wysokości schodów, serce zabiło jej ze strachu. Cóż się tam w dole działo? To nie brzmiało jak sprzątanie, ale jak utarczka, jak zajadły spór.

Odtąd zakradała się już całkiem na palcach, zatrzymując się jeszcze kilka razy, żeby nasłuchiwać, aż w końcu

zatrzymała się na schodach w takim miejscu, skąd mogła widzieć przynajmniej część piekarni, nie narażając się na natychmiastowe nakrycie.

Na pierwszy rzut oka wszakże ten środek ostrożności wydał się jej zbyt czuły. Piekarnia była pusta i bynajmniej nie wyglądała na posprzątaną, raczej na bardziej zabałaganioną i przepelnioną niż za dnia. W pobliżu nie było żywej duszy. Zwykła duchota ustąpiła miejsca, jako że wielki piec rzeczywiście wygaszono: żelazne drzwi piekarnika były otwarte, a za nimi nie było już widać żaru, tylko warstwę białego popiołu, ledwo odróżniającą się od pokrywającego wszystko wokół nalotu z drobno zmielonej mąki. Prócz tego wyglądało na to, że Hendrik zamiast na porządkowaniu, skupił się na porzuceniu i zdemolowaniu wszystkiego, co mu wpadło w ręce.

To naprawdę wyglądało jak po jakiejś potyczce, pomyślała z niepokojem. Również z gromkich głosów, które teraz raziły jej ucho, wyraźnie dało się wyodrębnić podniecenie i złość.

Sprawców tej dziwnej wrzawy wciąż nie mogła dostrzec. A o dziwo nawet nie wiedziała, skąd dokładnie dochodziły głosy.

Spod... ziemi?

Chociaż ta myśl wydała jej się zrazu niedorzeczna, tak właśnie było.

Tylko niewielka część podłogi, ta, na której stał ciężki piec, miała formę klepiska, resztę zrobiono z grubych bali, których szpary były jednak tak pozatykane brudem i mącznym pyłem, że trzeba się było uważnie im przyglądać, żeby to odkryć.

Katharina wpatrywała się w nie z jeszcze większym napięciem, odkrywając w końcu wąską kłapę w podłodze, pod którą najwyraźniej znajdowała się piwnica. Gdyby nie świeże ślady stóp na warstwie mąki i kurzu, pewnie by jej nawet nie spostrzegła. Przez moment wyteęzała czujnie słuch, a przekonawszy się, że naprawdę jest sama, podeszła do niej i pociągnęła za żelazny pierścień pośrodku, stwierdzając z zaskoczeniem, że kłapa otwarła się nie tylko nieoczekiwanie łatwo, ale i niemal bezgłośnie. Najwyraźniej zawiasy były dobrze naoliwione.

Właściwie dlaczego? Wszystko świadczyło o tym, że para piekarzy szczególnie dbała o czystość i porządek...

Katharina odrzuciła tę myśl i zajrzała ostrożnie w otchłań, nie dojrzała jednak nic prócz prowadzącej pionowo w dół wąskiej drabiny, nieopisanie zapaskudzonej i z pewnością niebudzącej zaufania.

Głosy nasilały się. Dojrzała teraz migotliwy czerwony blask, już nie świec, lecz pochodni.

W nadziei, że chybotała drabina utrzyma przynajmniej jej ciężar, opuściła się do środka, pozwalając, aby kłapa bezdźwięcznie się za nią zamknęła, i zeszła po trzeszczących szczeblach, by na koniec znaleźć się w niewielkiej, obmurowanej komórce, będącej najwyraźniej częścią większej sklepionej piwnicy, która musiała się rozciągać pod całym domem albo i dalej. Głosy i światło dobywały się z sąsiedniego pomieszczenia, do którego prowadziły wykonane z ciężkich bali półokrągłe drzwi. Były wszakże tylko uchylone, co prawdopodobnie aż do tej pory chroniło ją przed odkryciem.

Katharina zganiwszy się w duchu za swoją lekkomyślność, poruszała się teraz ostrożnie, a przy ostatnich krokach wstrzymała nawet oddech.

Kiedy doszła do celu, powinszowała sobie zapobiegliwości.

Choć w drzwiach istotnie była tylko wąska szpara, to co przez nią zobaczyła, o mały włos nie wyrwało jej z piersi okrzyku zaskoczenia.

Pomieszczenie po drugiej stronie znacznie różniło się wielkością od małej izby, w której stała. Oświetlało je pół tuzina pochodni, których płomienie tańczyły w przeciągu, rzucając światło i niezliczone gorączkowo przeskakujące cienie, tak iż z początku niełatwo było się rozeznąć, kto tam jest. Tak jak się spodziewała, po drugiej stronie ujrzała nie tylko Hendrika, lecz i Ansgara, a nawet Elbę.

Czego się nie spodziewała, to ujrzeć Erika i dwóch innych mężczyzn, których znała z Bjarnisund (Ole i Tjerg, jak pamiętała, choć całkiem pewna nie była... wciąż jeszcze nie udawało jej się rozróżnić tych bez wyjątku brodatych, noszących warkocze, barczystych mężczyzn). Poza wąziutką przestrzeń, którą ogarniała wzrokiem, zdawało się przebywać jeszcze więcej osób. Jednak to nie to sprawiło, że Katharinie z przerażenia raptownie zbieleła twarz.

Erik opadł na kolano i pochylił się ze sztyletem w prawicy nad wychudzoną postacią z grubo obwiązanymi rękami i poszarzałą twarzą, która jęcząc ze strachu, wiała się na podłodze.

- ...twoja ostatnia szansa, klecho - rzucił mu w twarz jarl. - Powiesz mi teraz prawdę albo na własnej skórze poznasz

piekielne męki, którymi tak ochoczo grozisz swoim owieczkom!

Katharina nie pojmowała tego, co widziała. Ojciec Cedric tutaj?

Ansgar powiedział jej przecież, że zabrali go do klasztoru, w którym bracia zajęli się jego ranami!

Zapewne w celu nadania swojej groźbie należytej dobitności, Erik zaczął wywijać sztyletem przed twarzą ojca Cedrika, a świątobliwy mąż z bojaźliwym jękiem uniósł obwiązane ręce dla obrony przed domniemanym atakiem. A jednak mimo zwierzęcego strachu w oczach, kiedy odpowiedział, jego głos zabrzmiał wyzywająco.

- Przecież i tak mnie zabijesz, poganinie! - powiedział. - Zrób to!

No już, ugodź mnie nożem w serce, żebym mógł stanąć przed moim Panem i cię przed Nim oskarżyć!

- Umrzesz - stwierdził ponuro Erik - ale tylko od ciebie zależy, kiedy i w jakich męczarniach. - Po tych słowach pochylił się jeszcze niżej i ku zgrozie Kathariny przeciągnął czubek sztyletu po policzku ojca Cedrika, zostawiając długie krwawe nacięcie. Cedric wrzasnął z bólu i spróbował się bronić, lecz Erik brutalnie odrzucił jego ręce na bok i zadał mu kolejne, jeszcze głębsze cięcie na drugim policzku.

- To wyłącznie twój wybór, starcze - rzekł chłodno. - Dręczenie cię nie sprawia mi żadnej przyjemności, ale też nie robi mi żadnej różnicy. Odpowiedz mi na kilka pytań, a pozostawię cię przy życiu.

Ojciec Cedric wył z bólu i strachu, usiłując przy tym opluć Erika, ale wy dobył z siebie ledwie odrobinę spienionej śliny, która spłynęła mu po podbródku i mieszała się z jego własną krwią. Erik westchnął i ponownie opuścił sztylet, na co Cedric zakwiczał jak zarzynana świnia, zanim jeszcze dotknęła go krawędź ostrza.

- Nie! - skamlał. - Już nie! Co... chcesz wiedzieć?

- Dziewczyna - odpowiedział Erik. - Katharina. Skąd pochodzi i kim jest?

- Tego nie wiem! - utrzymywał Cedric. - Tylko biedną sierotą, której nikt nie chciał wziąć i...

Erik ukłuł go końcówką noża w obandażowaną rękę i nowa, jasnoczerwona plama rozkwitła na poplamionej zaschniętą krwią szmacie. Cedric wrzasnął.

- Zadałem ci pytanie, starcze - powiedział zimno Erik - a ponieważ chcę ci oszczędzić dalszego bólu, powiem ci, co wiem. Dziesięć lat temu ktoś przyniósł do ciebie dziewczynkę. Kobieta, jak słyszałem. Miała ci dać pokazną sumę pieniędzy, żebyś przyjął dziecko.

Czy to prawda?

Ojciec Cedric spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami, które teraz poczerniały ze strachu. Milczał, jednak kiedy Erik ponownie zagroził mu sztyletem, skwapliwie przytaknął, choć praktycznie nie przerywając ruchu, potrząsnął zaraz przecząco głową. - Ellsbusch! - wykrztusił z siebie. - To do Ellsbuscha przyniosła dziecko! I to on dostał pieniądze! Nie wiem, ile, mnie dał tylko trochę! Nie dość nawet na jedzenie dla niej!

- Graf Ellsbusch? - upewnił się Erik. W jego głosie pobrzmiwało zaskoczenie i zupełny brak przekonania, ale przynajmniej zrezygnował z dalszego rzeźbienia ojca Cedrika.

Na razie.

Cedric przytaknął pośpiesznie. - Przyniósł dziecko do mnie, jeszcze tej samej nocy! - zapewnił. - Nigdy nie widziałem tej kobiety, ale podobno była bardzo piękna.

Odwrócił drżącą głowę i serce Kathariny zamarło z przerażenia, kiedy przez moment patrzył dokładnie w jej kierunku. Lecz to twarzy Ansgara szukały jego oczy. - Wyglądała jak ty, mój chłopcze.

- Jak ja? - powtórzył zmieszany Ansgar, wciągając ze świstem powietrze. - Moja matka? Co się z nią stało? Gdzie ona jest?

- I wiesz, że wyglądała jak Ansgar, chociaż jej nigdy nie widziałeś? - dołączył się Erik, po czym westchnął głęboko i ugodził klechę nożem w drugą dłoń. Przemówił dopiero, kiedy Cedric przestał krzyczeć; co trwało długą chwilę.

- Okłam nas jeszcze raz, a obetnę ci palec - spokojnie zagroził.

- Ja... widziałem ją, tak - pisnął Cedric. - Ale tylko raz, tamtej nocy, gdy przekazała mi dziecko, miała już wtedy wysoką gorączkę i była umierająca.

- Umierająca? - wydyszał Ansgar. - Moja matka nie żyje?!



Erik szorstkim gestem przywiódł go do milczenia, nakazując zarazem Cedrikowi, by mówił dalej.

- Ellsbusch i ona przyszli do mnie tamtej nocy - powiedział. - Graf polecił mi, abym zatroszczył się o dziecko.

- Co też zrobiłeś! - warknął Ansgar. - Traktowaliście ją jak zwierzę! Gorzej niż niewolnicę!

- Takie było polecenie Ellsbuscha! - bronił się płaczącym głosem starzec. Jego wzrok jak zakłęty utkwiał na końcu szyty Erika, mokrym i czerwonym od jego własnej posoki. - On... on powiedział, że nikt nie może się o niej dowiedzieć, ani kim jest to dziecko, ani skąd pochodzi, w przeciwnym razie będzie to dziewczynkę kosztować życie. Przede wszystkim nie mieli o niej wiedzieć jego sojusznicy, wikingowie!

Ansgar parsknął tylko z pogardą, ale Erik nagle cofnął nieco nóż i się zamyślił. - Wulfgar? - zapytał.

- Tak - zapewnił ojciec Cedric - powiedział, że gdyby Wulfgar i jego ludzie dowiedzieli się o istnieniu dziewczynki, z miejsca by je zabili, a nas wszystkich wyróżnili. Zawsze ukrywałem dziecko, kiedy on lub któryś z jego wojowników byli w pobliżu.

- Ale w tym przecież nie ma sensu! - wybuchnął Ansgar, lecz dziadek władczy gestem zmusił go do milczenia. Jarl nie spuszczał wzroku z pojękującego duchownego.

-1 co było dalej?

- Nic - zaklinał się Cedric. - Słyszałem, że kobieta zmarła kilka dni później, graf Ellsbusch nigdy więcej o niej nie wspominał, a ja go nie pytałem. Czasami dowiadywał się o dziewczynę, to wszystko, co mogę powiedzieć! Więcej nie wiem, klnę się na zbawienie mej duszy!

- Powinieneś raczej kląć się na gojenie twoich członków - powiedział złowróźnie Ansgar. Tym razem dziadek go zignorował.

-Jej imię - podjął Erik - Katharina. Ty je jej nadałeś?

-Jej matka - odpowiedział Cedric. - Mówiła ciągle Kara, ale to nie jest dobre imię dla chrześcijańskiej dziewczynki. Dlatego nazwałem ją Katharina, żeby już nikt nie słyszał tego pogańskiego imienia i nie nabrał podejrzeń!

Erik na mgnienie oka zacisnął usta w niemal bezkrwawą linię, w taką furję zdawała się wprawić go ta odpowiedź, po czym zamierzał już coś powiedzieć - kiedy z nagłym szarpnięciem podniósł głowę i spojrzał prosto w oczy przyczajonej w swej wątpliwej kryjówce Katharinie!

Nawet gdyby istniało jeszcze jakieś miejsce, w którym mogłyby się schować, byłoby już na to za późno. Była święcie przekonana, że nie zdradziła się żadnym szmerem, ani najmniejszym nawet poruszeniem, a jednak Erik mimo to jakoś ją odkrył; nie trzeba było nawet jego rozkazu, żeby obaj wojownicy zareagowali. Katharina nie zdążyła jeszcze ochłonąć, a mężczyźni już do niej przypadli, szarpnąwszy za drzwi. Poczuli, że jest obracana i pociągana w górę w brutalnym, duszącym uścisku. Zabłysnął nóż szukający jej gardła jak węzowy język, lecz odsunął się w ostatniej chwili, a dopiero wtedy Erik zdjęty trwogą ryknął: - Nie!

Jego ostrzeżenie przyszłooby zbyt późno, gdyby wojownik, sam jej wpieryw nie rozpoznał. Nie cackając się wiele, postawił ją z powrotem na nogi. W następnej chwili musiał ją znowu złapać, tym razem, żeby ją przytrzymać, groziła jej utrata równowagi.

Erik patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. - Katharina? - mruknął. - Ale co... - Wtem obrócił głowę ruchem przywodzącym na myśl węża i zdumienie w jego wzroku zmieniło się w gniew.

- Ansgar! Co ona tutaj robi? Czy nie kazałem ci zabrać jej w bezpieczne miejsce?

Kazałem? - pomyślała Katharina. Interesujące. Czy to możliwe, że Ansgar przedstawił jej rzeczy nieco inaczej, niż się miały naprawdę?

Będzie musiała przeprowadzić bardzo poważną rozmowę ze swoim bratem, rozmowę, która z pewnością mu się nie spodoba... ale nie teraz.

- Czy... czy to prawda? - wymamrotała, zwracając się do ojca Cedrika. - Znaliście moją matkę?

Klecha obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem, które wymownie świadczyło o jego przemożnej niechęci do rozmowy z nią; nie mówiąc już o odpowiadaniu na jakieś konkretne pytanie. Chyba tylko widok noża w ręce Erika skłonił go jednak do tego.

- Nie wiem, czy była twoją matką - powiedział - widziałem ją tylko jeden jedyny raz, tamtej nocy! Ale od razu wiedziałem, że przynosi nam tylko nieszczęście. Tak samo jak ty!

- Co masz na myśli? - spytał Erik.

- Wiedziałem! - odrzekł Cedric. - Od samego początku byłem pewien, że to diabelskie nasienie sprowadzi na nas zgubę i miałem rację! Wszyscy martwi! Ellsbusch, wszyscy jego ludzie i każda dusza we wsi! Wiedziałem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem to węzowe znamię na jej plecach! Powiedziałem Ellsbuschowi, że powinien ją zabić dla ratowania pozostałych, ale on nie chciał mnie słuchać, a teraz...

Erik uciszył go rozkazującym gestem. W pierwszej chwili Katharina pomyślała, że zrobił to, bo niezmiernie rozdrażniły go słowa Cedrika, potem jednak zobaczyła, że Erik napiął mięśnie i ze skupionym wyrazem twarzy wpatrywał się w coś na prawo. Dopiero teraz zauważyła, że znajdowały się tam drzwi prowadzące do innego pomieszczenia. Może ta piwnica miała więcej niż jedno wejście? Nie mogła sobie wyobrazić, żeby ciężko rannego duchownego po prostu zaciągnęli tutaj przez frontowe drzwi i do tego jeszcze w dół po tej stromej drabinie.

- On by mnie... - zaczął raz jeszcze ojciec Cedric, lecz Erik za groził mu nożem.

-Jeszcze raz się odezwiesz, a rozplątam ci gardło! - syknął. - Tjerg!

Ostatnie słowo skierowane było do jednego z dwóch wojowników, który błyskawicznie dobył miecza i przyczajony przemknął się ku drzwiom, a zanim jeszcze do nich dotarł, jarl wskazał kolejno na Hendrika, swojego wnuka i wreszcie na nią.

- Zabierzcie ją stąd! - powiedział. - Co żywo! Spotkamy się w porcie!

Piekarz zniknął jak za dotknięciem różdżki, a Ansgar pochwycił dziewczynę obiema rękami za ramiona i nie patyczkując się, odwrócił i niemal przemocą wypchnął przez drzwi, którymi dopiero co wpadła do środka.

- Ale...! - zaprotestowała i urwała z zadyszką, kiedy Ansgar dał jej drugiego, jeszcze solidniejszego kuksańca, po którym straciła równowagę i potykając się przez niewielką izbę, wpadła wprost na drabinę. Kłapa nad nią znowu była podniesiona, a ze stropu gęsto sypały się kurz i mąka w takt pośpiesznie oddalających się kroków Hendrika.

Wyciągała właśnie rękę ku pierwszemu szczeblowi, gdy zza drzwi za nimi rozległ się grzmiący łoskot, a po nim trzaski rozszczepianego drewna i wzburzone głosy. Katharina chciała się obrócić, lecz Ansgar wymierzył jej trzeciego kuksańca, usiłując teraz wepchnąć na drabinę, więc zaczęła się wspinać.

Zanim jeszcze wdrapała się do połowy jej wysokości, krzyki za nimi spotężniały, a po chwili doszły ich typowe odgłosy walki. Metal szczekał o metal, słyszała wrzaski, głuche ciosy, ziajanie i prychanie z wysiłku; chyba też odgłosy bólu.

- Szybciej! - sapał Ansgar, który szedł tak blisko za nią, że na co drugim szczeblu nadeptywała mu na palce. - Na Odyna, szybciej!

Dostaną nas!

Katharina wspinała się już tak szybko, jak tylko mogła - z takim jednak skutkiem, że przedostatni szczebel w rozklekotanej drabinie złamał się pod uchwytem jej palców i mało brakowało, a oboje by spadli. Dosłownie w ostatniej chwili znalazła oparcie na krawędzi kłapy, Ansgar zaś zdołał ją jakoś ominąć i wyskoczyć. Szarpał ją przy tym tak niedelikatnie za stopy, że nie mogła już powstrzymać zduszonego krzyku z bólu.

-Wyłaź! - rozkazał, odwracając się i po prostu ciągnąc ją za sobą.

- Uciekaj! Spotkamy się w porcie!

Katharina nie miała nawet okazji nabrać porządnie powietrza, nie mówiąc o wyrażaniu sprzeciwu, Ansgar ciągnął ją za sobą przez piekarnię. Krzyki i odgłosy walki znowu się wzmożyły i chociaż wiedziała, że nie było absolutnie nic, co mogłaby zrobić dla Erika i jego dwóch towarzyszy, wydała się sobie bardzo podła, że tak tchórzliwie zostawia ich w potrzebie.

Kiedy przeszli przez piekarnię, chłopak wbiegł do małego pomieszczenia handlowego, ale zaraz wypadł z niego z takim impetem, że o mało nie runęli na podłogę, rzucił jakieś przekleństwo w swoim języku, po czym pośpiesznie pociągnął ją z powrotem. Wtem coś zadudniło donośnie także w drzwi przed nimi, Ansgar potknął się i zatoczył kilka kroków w tył, a kiedy się zatrzymał, jął wodzić wokół wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Przez otwarty właz doleciał ich przejmujący krzyk, mający w sobie coś dziwnie ostatecznego, w tym samym czasie drzwi po drugiej stronie piekarni zatrzęsły się pod uderzeniem, któremu towarzyszył dźwięk rozłupywanego drewna.

Ansgar rozejrzał się jeszcze raz desperacko - po czym zrobił coś kompletnie, absolutnie szalonego. Chwyciwszy Katharinę za ramiona, odwrócił ją i pchnął głową naprzód w rozwarte drzwi pieca!

Wylądowała z twarzą w białym popiele (wcale a wcale nie tak zimnym, jak pozwalał przypuszczać jego kolor), więc szamocząc się przez moment rozpaczliwie, żeby się nie udusić, kątem oka zauważyła, że Ansgar zatrzaskał za nią żelazną kłapę.

Jakoś udało jej się nie udusić i nie narobić dość hałasu, budząc przy tym pół miasta.

Nawet tu w środku wciąż dobiegały ją ryki, szczęk broni i pośpieszne kroki, a kiedy wreszcie dokonała tej sztuki i mrugając, pozbyła się popiołu z oczu, odkryła, że wcale nie było tak ciemno, jak mogłoby się zdawać. Piec miał drzwi wykonane z ciężkiego żeliwa z licznymi grubymi na palec otworami na powietrze, przez które mogła wyglądać na zewnątrz.

Wolałaby jednak nigdy tego nie zrobić.

Zobaczyła Ansgara, ale nie tylko jego. Trzymali go dwaj bardzo wysocy mężczyźni w prostych kolczugach, którzy choć razem wzięci musieli być od niego co najmniej dziesięć razy silniejsi, zdawali się mieć nie lada kłopot z poskromieniem go. Dopiero, gdy podszedł do niego trzeci mężczyzna w kolczudze i niebieskim tabardzie i wymierzył mu wierzchem dłoni siarczysty policzek, Ansgar zaprzestał desperackiej obrony i opadł bezwładnie w ich uścisku.

Teraz Katharina rozpoznała trzeciego mężczyznę. To był Guy de Pardeville. Miał na sobie hełm i pancerne rękawice, ale wizjer jego przyłbicy był otwarty, a lewa ręka wisiała na temblaku, zupełnie jak ręka Erika, kiedy wrócił dwa dni temu i zapewne była to właśnie pamiątka z tamtego spotkania z jarlem.

- Cóż za niespodzianka - szydził, wkładając opancerzone palce swojej zdrowej ręki we włosy Ansgara i brutalnie odchylając jego głowę na kark. - Pomyślałbyś, że tak szybko znów się spotkamy, mój chłopcze?

Ansgar nie odpowiedział - prawdopodobnie nawet nie mógł, bo cios Pardeville'a prawie pozbawił go przytomności - ale to wydawało się nie przeszkadzać temu ostatniemu, bo zamierzał zadać kolejny cios okrytą żelazem ręką.

- Zostaw go w spokoju! - odezwał się jakiś chropawy głos.

Pardeville zastygł w pół ruchu, spoglądał z góry z nienawiścią na Ansgara, po czym odwrócił się raptownie do nieznanego.

Katharina usiłowała przesunąć się w malutkiej przestrzeni na inną pozycję, żeby móc rozpoznać przybysza i o włos nie wrzasnęła z bólu, kiedy poczuła, że pod gorącym popiołem znajdował się jeszcze gorętszy kamień.

Co w tym dziwnego, złażała się w myślach. Czy naprawdę wierzyła, że po tak piekielnym ogniu, jaki szalał tu jeszcze po południu, piec już po kilku godzinach całkowicie ochłódł?

- Czy właśnie odkryliście, że macie serce do dzieci, mój przyjacielu? - Pardeville odwrócił się wymuszenie powolnym ruchem, a Katharinie o włos nie wyrwał się z piersi okrzyk przerażenia, kiedy rozpoznała siwowłosego olbrzyma, który wszedł za rycerzem.

- Możliwe, że będę jeszcze potrzebował tego chłopca - odrzekł Wulfgar. - A nawet jeśli nie, sire - u nas nie bije się dzieci. Nawet dzieci naszych wrogów.

Pardeville już miał dać mu jakąś gniewną odpowiedź, lecz Wulfgar odepchnął go po prostu na bok i kucnął przed Ansgarem, chwytając jego podbródek ręką niemal większą niż twarz młodego wikinga.

- Gdzie jest twoja siostra, chłopcze? - zapytał.

Ansgar wybąkał pod nosem jakąś odpowiedź, która zapewne nie miała żadnego sensu, bo w dalszym ciągu bardziej omdlewał niż odzyskiwał przytomność. Katharina musiała coraz mocniej zaciskać zęby, żeby nie stękać z bólu, tym samym zdradzając swoją kryjówkę.

Płyta, na której klęczała, była gorąca i z każdą chwilą wydawała się stawać jeszcze gorętsza.

- Ona tu jest, dobrze to wiem! - rozległ się jakiś głos od strony drzwi. - Widziałam, jak wchodziła do tego domu i aż do teraz z nie go nie wyszła!

Pardeville odwrócił się na pięcie, a kiedy zobaczył czarnowłosą kobietę, na jego twarzy pojawił się wyraz pogardy. Nic nie rzekł, ale to raczej ze względu na dwóch wysokich i barczystych wikingów, którzy weszli za kuglarką.

-A teraz chcę moją zapłatę! - ciągnęła Vera. - Powiedziałam wam, gdzie jest dziewczyna, a wy daliście mi...

- Milcz, kobieto! - ofuknął ją Wulfgar. - Dostaniesz, co ci się należy, ale będziesz mówić tylko wtedy, gdy ci się na to pozwoli!

Vera prychnęła coś opryskliwie, zmierzyła barczystego wikinga nie mniej lekceważącym spojrzeniem, a następnie zwróciła się do Pardeville'a.

- Kim jest ten poganin? - zapytała. - Jesteście wszak rycerzem!

Jakże to, pozwalacie, żeby tak rozmawiał z kobietą?

Pardeville ściągnął tylko z pogardą usta, a Wulfgar odwrócił się teraz cały w jej stronę i odezwał się niemal łagodnie: - Dziewczyny tu nie ma.

- No to przeszukajcie dom! - prychnęła Vera. Siedząca na jej ramieniu małpka zaczęła głośno trąkotać, jakby przyznając jej rację, ta zaś ciągnęła: - Powiadomiłam was od razu, kiedy razem tutaj przyszli! Jeśli wasi ludzie nie widzieli, jak ona...

Wulfgar spoliczkował ją momentalnie i tak siarczyście, że kobieta dysząc z zaskoczenia, zachwiała się w tył, uderzyła plecami o framugę drzwi i z jękiem zsunęła się na ziemię. Małpka z wrzaskiem przerażenia zeskoczyła z jej ramienia i zniknęła z pola widzenia Kathariny, Wulfgar zaś powtórzył całkiem spokojnie: - Już ty dostaniesz, co ci się należy, a teraz milcz. Jeżeli odezwiesz się niepytana choćby słowem, poderżnę ci gardło.

Nie czekając na odpowiedź Very, wykonał rozkazujący gest do dwóch wojowników, którzy z nim przyszli.

- Przeszukajcie dom. Dziewczynie nic nie może się stać, ale wszystkich innych zabijcie.

Kiedy mężczyźni znikali bez słowa, Katharina nie umiała już stłumić cichego jęku. Kolana, dłonie i palce u nóg piekły ją, jakby stały w płomieniach. Próbowowała zagarnąć trochę gorącego popiołu, żeby użyć go jak wyściółkę między jej skórą a gorętszym od niego kamieniem, ale w ten sposób pogorszyła tylko sytuację. Na domiar złego brakowało jej powietrza. I cóż to za swąd się unosił? Czy to z jej własnego palącego się ciała?

Oczy dziewczyny napełniły się łzami, zaczęła rozważać, czy może nóż Wulfgara nie byłby miłosierdniejszym sposobem zakończenia tego horroru.

Jakoś udało jej się stłumić ból i skupić na tym, co działo się poza tym prywatnym ogniem czyścicowym. Pardeville powiedział do Wulfgara coś, czego nie zrozumiała dokładnie, co jednak zdawało się nie interesować wikinga, bo zareagował tylko surowym śmiechem.

Wtem z góry dobiegł ją na wpół zduszony krzyk i prawie w tym samym momencie ciężki gruchot.

Po drugiej stronie piekarni też zrobiło się głośno. Katharina usłyszała stęknienia i ciężkie sapanie i do przepelnionego pomieszczenia wpadli kolejni dwaj mężczyźni w kolczugach i hełmach, ciągnąc między sobą na wpół przytomnego Erika. Obcesowo rzucili go na kolana wprost przed ich pana i cofnęli się, ale zostali za nim z dobytymi mieczami, w każdej chwili gotowi uderzyć, gdyby jarl zaatakował.

- Mój stary dobry przyjacielu Eriku - rzekł Guy de Pardeville.

- Wiedziałem, że znów się spotkamy, ale jeśli mam być szczery, nie ośmieliłbym się żywić nadziei, że tak rychło.

Jego ręka z głośnym plaśnięciem wylądowała na rękojeści miecza, lecz Wulfgar błyskawicznie złapał go za nadgarstek i ściskając, zepchnął rycerza na stronę. Erik z jękiem uniósł głowę i mrużąc oczy, usiłował coś zobaczyć przez krew; widać, że ostatkiem sił zachowywał przytomność.

- Gdzie ona jest? - zapytał Wulfgar.

Katharina byłaby zaskoczona, gdyby jarl odpowiedział, i też tego nie uczynił. Zły wiking wcale zresztą chyba na to nie liczył, bo westchnął tylko, odstał od niego i prawie niezauważalnie skinął na jednego z wojowników Pardeville'a, na co ów chwycił Ansgara, wykręcił mu rękę na plecy, a drugą dłonią zasłonił usta, brutalnie stawiając na nogi. Erik ocknął się nagle z pozornego zamroczenia i usiłował się poderwać, lecz Wulfgar pchnął go z łatwością na ziemię, a drugi wojownik Pardeville'a wyciągnął miecz i przycisnął mu go do gardła.

- Nie czyni niczego pochopnie, bracie - rzekł Wulfgar - nie chcę ci zrobić krzywdy. Nie zmuszaj mnie więc do tego.

Katharina nie była już w stanie dłużej wytrzymać, wewnątrz pieca cuchnęło spaloną skórą - jej własną, przypiekaną - a łzy spływały strumieniami po policzkach. Chyba tylko dlatego nie krzyczała z bólu, że po prostu nie miała na to siły - Chcę moje pieniądze! - ponownie zabrała głos Vera. - Obieca liście! Zawarliśmy układ i ja zrobiłam to, co do mnie należało!

Zupełnie już przysła do siebie, a i małpka siedziała jej znowu na ramieniu i terkocząc, zasypywała Wulfgara gradem obelg. Wikiński książę odwrócił się do niej, kręcąc głową, przyjrzał się w zamyśleniu pyskującej małpce, a potem - oczy Very rozszerzyły się z niedowierzaniem - bez ostrzeżenia wbił kobiecie sztylet w brzuch.

Przez niekończącą się chwilę stała jak skamieniała i patrzyła tylko na wojownika szeroko otwartymi oczyma, po czym osunęła się na ziemię bezgłośnie jak rażona piorunem. Małpka wydierała się tymczasem wniebogłosy, jak gdyby sama została trafiona sztyletem i usiłowała rzucić się na mordercę swojej pani. Wulfgar odrzucił ją jednym kopnięciem i ze stękiem pochylił się, aby wytrzeć ostrze noża o suknię Very.

- Mówiłem ci przecież, że dostaniesz, na co zasługujesz, kobieto - powiedział.

Prostując się, wydał się Katharinie sztywny i powolny, jakby ten ruch sprawiał mu ból, którego nie chciał dać po sobie poznać.

Ale nie była tego całkiem pewna. Czowała, że lada moment straci świadomość, a potem spali się tu w środku żywcem i

do szczętu. Być może byłaby to sprawiedliwa kara, zesłana jej przez Boga po tym wszystkim, co dotychczas uczyniła.

Chyba istotnie straciła na moment świadomość, bo kiedy odzyskała jasność umysłu, Erik wyprostował się na klęczkach. Miecz nadal uciskał mu szyję z boku, jednak jarł zdawał się tego nie czuć.

- To ci nie ujdzie na sucho, Wulfgarze - powiedział. - Każdy w Santen wie, że mieszkańcy tego domu są naszymi przyjaciółmi.

Pardeville odpowiedział za wikinga. - Tak, i połowa miasta za to nimi gardzi, poganinie. A teraz znajdują ich zwłoki, a do tego dwóch twoich martwych wojowników... i nieszczęsnego ojca Cedrika, którego uprowadziliście z klasztoru i tchórzliwie torturowaliście, zamęczając go na śmierć. - Roześmiał się złowrogo. - Szczerze żałuję, że nie znajdują tutaj i twojego ciała.

Zwrócił się do Wulfgara z niemal błagalnym spojrzeniem, ale ten tylko pokręcił głową. - Nikt go nie tknie - powiedział. - Mimo wszystko jest moim bratem, a nie przelewam krwi rodziny, jeżeli nie jest to konieczne.

Jeden z jego rycerzy wrócił z wyższego piętra. W dłoni dzierżył obnażony miecz, na którego długim na ramię ostrzu lśniła świeża krew. Powiedział coś w swoim ojcystym języku, a Wulfgar ściągnął wargi, lekko unosząc ramiona, jak gdyby z rozczarowaniem, ale i bez nadziei na inne zakończenie. Odwrócił się do Erika, jednak zmienił zdanie i dał znak mężczyźnie, który trzymał Ansgara, żeby odjął rękę od jego ust.

- Gdzie twoja siostra, chłopcze? - zapytał.

Dyszący ciężko Ansgar musiał najpierw złapać powietrze, zanim w ogóle zdołał odpowiedzieć. - Nie wiem, o czym... mówisz - wysapał. - Nie mam żadnej... siostry.

Kiedy Wulfgar podniósł rękę, jakby go chciał uderzyć, Erik wtrącił pośpiesznie: - Zostaw go, on nic nie wie.

- A ty mi nie odpowiesz, jak przypuszczam - ciągnął Wulfgar w zamyśleniu. - Dlaczego miałbyś to zrobić? Na twoim miejscu też bym tego nie uczynił... ale wiem, co bym zrobił, gdybym był tobą.

Wykonał nieznaczny ruch ręką, a wojownik na powrót zamknąwszy Ansgarowi usta, podniósł wierzgającego nogami chłopca i wyniósł go z izby.

- Nie martw się, bracie - rzekł wikiński książę do Erika. - Przy prowadź mi wnuczkę, a dostaniesz z powrotem wnuka. Daję ci czas do następnej pełni księżyca. Jeśli nie będę jej miał, już nigdy nie zobaczysz swego wnuka.

\*\*\*

Nie przypominała sobie, ani jak wyszła z pieca, ani co się stało potem. Ktoś ją podniósł i wyciągnął, a potem były już tylko mgliste, pozbawione sensu obrazy, pamięć o bólu, gorączce i o długim czasie, jaki minął. Może jechali konno albo płynęli statkiem, może była niesiona albo przybyła tutaj - gdziekolwiek było owo tutaj - w jakiś magiczny sposób, w każdym razie, ilekroć wracała do przytomności dręczona gorączką i bólem, święcie wierzyła, że umarła w tym piecu i od dawna jest już w czyszcju.

Raz lub dwa razy, kiedy ból i pragnienie były szczególnie dokuczliwe, nawet sobie tego życzyła.

Potem, trzeciego dnia rano (o dziwo, tego jednego była pewna ponad wszelką wątpliwość), obudziła się w jakiś inny sposób, bardziej ostateczny, może po raz pierwszy naprawdę.

Ciągle jeszcze nie wiedziała, gdzie była i jak się dokładnie tutaj znalazła; nie wspominając o tym, jakim sposobem jeszcze żyła. Nadal doskwierały jej bóle, chociaż nawet w przybliżeniu nie tak ostre jak w ostatnich dniach. W ustach miała odrażający smak i czuła się słaba, nawet myślenie sprawiało jej trudność.

Ale żyła.

Bądź co bądź.

Ku jej zmartwieniu, drugą naprawdę klarowną myślą było pytanie, czy powinna się z tego cieszyć.

Gdzie była? Czy uratowali ją ludzie Erika, czy to Pardeville wyciągnął ją z czegoś, co w istocie było samobójczą kryjówką, tym samym ratując ją wprawdzie, ale prawdopodobnie jedynie po to, żeby poddać przesłuchaniu w katuszach, a na koniec wydać okrutnym wikingom?

Katharina łamała sobie głowę nad tym pytaniem. Nic nie pamiętała. Musiała stracić przytomność. Być może to

Hendrik znalazł ją dopiero następnego ranka, kiedy wrócił do piekarni, aby przygotować piec na kolejny dzień.

Potem przypomniała sobie, że nie żył, podobnie jak jego żona, która była dla niej taka dobra. Owładnęło ją uczucie bezbrzeżnego smutku. Długi czas leżała bez ruchu, czując, jak łzy spływają jej po twarzy, zbyt słaba, żeby choć podnieść rękę. Nawet gdyby dała radę to uczynić, nie chciała. Cóż innego mogła jeszcze zrobić dla Elsy i jej męża poza oplakaniem ich choć kilkoma łzami?

W końcu jednak łzy przestały płynąć, a jej żaloba zmieniła się w coś innego, gorszego. Żyła, tak, ale bez względu na to, co życie miało dla niej jeszcze w zanadrzu, nie istniał żaden powód, żeby się tym cieszyć. Była przeklęta. Ojciec Cedric miał rację w tym, co o niej mówił. Była diabelskim pomiotem, przynoszącym tylko nieszczęście wszystkim, którzy stanęli na jej drodze. Hendrik i jego żona nie byli pierwszymi, którzy zginęli z jej powodu, i nie będą ostatnimi. Tylko dlaczego klecha nie zrobił wtedy jedynej słusznej rzeczy i jej po prostu nie utopił w rzece?

Katharina usiłowała pozbyć się tej myśli, zdając sobie sprawę, jak niedorzecznie musiałaby zabrznieć, gdyby wypowiedziała ją na głos.

Bez rezultatu. Skoncentrowała się więc na swoim nowym otoczeniu, chcąc uciec w ten sposób przed potwornością męczących ją myśli.

Zbyt wiele jednak nie widziała, tak bardzo była osłabiona. Spozregła tylko, że nie znajdowała się w celi więziennej (jak to sobie wyobrażała), nie leżała na zgniłym barłogu. Jej głowa spoczywała na miękkiej poduszce, a nad nią wznosiła się zbita z ciężkich belek konstrukcja dachowa pokryta słomą. Coś trzasnęło, a chwilę później poczuła na twarzy przyjemne ciepło ognia z kominka.

Coś tak miękkiego i puszystego jak dmuchawiec załaskotało ją w policzek. Wiedziała, choć nie mogła zobaczyć, że jej ręce były obandażowane przynajmniej tak grubo jak ręce ojca Cedrika. Jeśli była więźniem, to takim, którego dobrze traktowano. Możliwe, że nie znajdowała się w Bjarnisund, lecz w obozie Wulfgara. On i jego ludzie byli wikingami jak Erik, mieszkali więc zapewne w dość podobnych domach.

Łaskotanie na policzku nasiliło się. Usłyszała ciche mruczenie, które wydało jej się w dziwny sposób znajome, a następnie ukazała jej się czarna kocia twarzyczka i zaraz wgapiły się w nią najpierw jedna, a potem druga para jarzących się niesamowicie bursztynowożółtych oczu.

Mruczenie przybrało na sile, gdy Hugin i Munin jeden obok drugiego wspieły się na jej pierś, po czym zaczęły lizać ją wzdłuż i wszerz po twarzy swoimi szorstkimi języczkami. Łaskotało ją to, a zarazem przynosiło jakąś dziwną ulgę. Była w Bjarnisund, już nie w Santen i nie w obozie Wulfgara, i miała nadzieję, że był to znak, iż także Erik był tutaj, ciągle żywy.

Drzwi otworzyły się i na chwilę pojaśniało, a do jej uszu dobiegły znane odgłosy życia w otoczonej palisadą wsi. Posłyszała zbliżające się kroki, po czym ujrzała nad sobą bardzo zmartwioną twarz Arli.

Choć może to, co w pierwszej chwili wzięła za troskę, w rzeczywistości było jedynie złością, bo pierwsze słowa kuglarki w żaden sposób nie wyrażały ani obawy, ani ulgi, że widzi ją przytomną. Wcale a wcale.

- Powinnaś się naprawdę wstydzić, moje dziecko - rzekła Arla.

Katharina w najmniejszym stopniu nie rozumiała, o czym tamta mówiła, ale też w tej chwili o niczym nie chciała wiedzieć. Była w domu, tylko to się liczyło.

Arla zbliżyła się, usiadła ostrożnie na skraju jej łóżka i uważnie obejrzała twarz, jakby chcąc się przekonać, czy dwa czarne koty aby dokładnie wylizały ją do czysta, teraz wszakże nie umiała już ukryć ulgi. Niemniej kontynuowała: - Ratując tym dwóm kotom urwisom życie, przejąłeś za nie odpowiedzialność. A potem niecnie je porzuciłeś, a przecież zdane są na twoją pomoc, żeby przetrwać. To nie w porządku.

Po wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich dniach, jej słowa zakrawały na śmieszność, mimo to Katharina poczuła ostre ukłucie wyrzutów sumienia i spróbowała podnieść rękę, żeby pogłaskać kociaki.

- Nic z tego - napomniała ją Arla, ściągając w dół jej ramię i dodatkowo potrząsając głową. - Potrzebujesz spokoju. Nie martw się, nie jesteś poważnie ranna. Ale dałam ci coś, co cię uspi, żebyś nie odczuwała tak silnego bólu. - Potrząsnęła karcąco głową, ale jednocześnie podniosła rękę, żeby oba kocięta na przemian drapać za uszami, co sprawiło, że Hugin i Munin podwoiły intensywność swoich karesów i ich szorstkie języki zaczęły się stawać nieprzyjemne. Może to nie dowody miłości, pomyślała Katharina, lecz ich sposób zemścić się na niej za tak haniebne pozostawienie w potrzebie.

- A właściwie co za diabeł cię podkusił, żeby ukryć się akurat w gorącym piekarniku? - dopytywała Arla.

Ansgar, chciała odpowiedzieć dziewczyna, ale ciągle nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Córka Erika kontynuowała: - Z drugiej strony, być może dobrze się stało, bo to było chyba jedyne miejsce, do którego nie zajrzeli. - Wykrzywiła na moment twarz w grymasie. - No bo komu przyszłoby do głowy, że masz się za bochenek chleba albo węgiel drzewny?

Tym razem jednak udało się Katharinie rozciągnąć usta w nieznacznym uśmiechu. Arla również się uśmiechnęła, widocznie zadowolona z tej reakcji, a Hugin (lub Munin, nigdy ich nie rozróżniała) skorzystał z okazji, żeby nie tylko potraktować jej twarz szorstkim językiem, ale jeszcze wysunąć z przednich łap ostre jak igły pazury i przeorać nimi jej policzki. Oczywiście w mgnieniu oka jego brat podjął sugestię i z zapalem do niego dołączył.

Coś zakołatało i Katharinie zdawało się, że słyszy jakby kroki, zawrotnie szybkie kroki absurdalnie małych stóp. Arla obróciła przelotnie głowę, a jej twarz z miejsca nabrała wyrazu lekkiej irytacji i rezygnacji.

- Dwegr - westchnęła.

Widocznie mówiła prawdę, twierdząc, że Katharina wkrótce dojdzie do siebie, bo teraz udało się jej mimo wszystko wychrypieć na wpół zrozumiale: - Kto?

- Dwegr - powtórzyła Arla. - Myślę, że ci dwaj wybaczą ci twoją niewierność. Bądź co bądź przywiozłaś im nowego towarzysza zabaw... nawet jeśli czasami bywa prawdziwym utrapieniem.

Ostatnie słowa wypowiedziała ostrzejszym tonem i w inną stronę, a dziewczyna zebrała siły i spojrzała w tym samym kierunku. Ujrzała tam niewielką przypominającą człowieka postać, śmiesznie małą i z osobiście jasną twarzą. Potem z niedowierzaniem wybałuszyła oczy.

To była...

- Małpka? - wymamrotała zdeorientowana.

- Ochrciłam ją Dwegr - potwierdziła Arla. - Biedny łobuziak nie miał nawet imienia. Każdy powinien mieć jakieś imię, jak sądzę, a Dwegr pasuje.

Ponieważ nie wiedziała, czy to imię miało jakieś znaczenie - a jeśli tak, to jakie - Katharina nie mogła go ocenić, ale nie zastanawiała się nad tym dłużej, albowiem coś innego zdumiało ją o wiele bardziej. - Zabraliście ją ze sobą? - spytała zaskoczona.

- Nie mogliśmy w końcu zostawić nieszczęsnego faceta całkiem samego w mieście - odpowiedziała kapłanka. - Poza tym Vera nigdy by nam tego nie darowała. Jest kompletnie zadurzona w tym komicznym drobiazgu. Tym bardziej dziwi, że nigdy nie nadała mu imienia.

- To Vera... żyje? - wykrzyknęła Katharina.

- Jest ranna, choć niezbyt ciężko - potwierdziła Arla. - Kilka dni odpoczynku i całkiem się wyliże. Myślę, że już teraz w tajemnicy rozgląda się za czymś, co mogłaby ukraść. U kogoś takiego jak ona to dobry znak, jak przypuszczam. Jednak bez wątplenia wykrwawiłaby się na śmierć, gdybym znalazła ją choć kwadrans później.

Wstała, znikając z pola widzenia Kathariny, ale nie wyszła z domu, bo uwijała się przy czymś głośno przez dłuższą chwilę. Wróciła, niosąc w rękach miskę z płynem o gorzkim zapachu i jeszcze gorszym smaku, i przyłożyła ją do ust Kathariny. Dziewczyna instynktownie chciała odwrócić głowę, jednak Arla stosując delikatny przymus, nalegała, żeby opróżniła miskę.

-Wiem, że smakuje ohydnie - przyznała - ale dobrze ci to zrobi i przywróci siły.

Jedynie, co spowodował jej rzekomy magiczny eliksir, to pogorszenie i tak już wstrętnego posmaku w ustach, a ponadto uczynienie jej śpiącą. Ledwie odłożyła miskę, a już powieki zaczęły jej się kleić.

Wkrótce potem rzeczywiście musiała zasnąć, bo kiedy po jakimś czasie zamrugała, dwa kociaki zniknęły z jej piersi, a Arla siedziała po drugiej stronie łóżka i manipulowała przy jej ręce. To, co robiła, było dość bolesne, ale dziewczyna znosiła jej zabiegi dzielnie, z zaciśniętymi zębami, bo wiedziała, że Arla chciała dla niej tylko jak najlepiej.

- Znowu się obudziłaś - rzekła kapłanka, nie odrywając wzroku od jej ręki. A więc rzeczywiście spała - albo Arla zwodziła ją dla żartu, czego Katharina się po niej spodziewała. Na wszelki wypadek nie skomentowała tego, lecz usiadła i dopiero po chwili zdziwiła się, że w ogóle była zdolna do takiego wysiłku. Widocznie córka Erika wlała w nią naprawdę jakiś magiczny płyn.

Pochyliła się z zaciekawieniem i wreszcie pojęła, dlaczego tak nieźnośnie bolały ją ręce. Arla była zajęta



rozmazywaniem na jej dłoni czegoś, co nie tylko wyglądało, ale i cuchnęło tak, jakby wyszło z niewłaściwego końca krowy, a ta odrobina skóry, którą mogła jeszcze zobaczyć, wyglądała naprawdę źle, ciężko poparzona i gęsto pokryta rozległymi, ropiejącymi ranami.

- Bez obaw, nie zostaną żadne blizny - uspokajała Arla - ale mi nie jeszcze sporo czasu, zanim rany całkowicie się zagoją i obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas będą cię dość bardzo bolały. Takie są skutki ukrywania się w nieodpowiednim miejscu.

Także tę uwagę Katharina puściła mimo uszu i odczekawszy, aż gospodyni skończy pokrywać maścią jej dłoń i obwiąże ją ciasno, niemal tamując krew, rzekła: - Powiedziałas my.

- Dość często tak mówię - potwierdziła Arla, wstając i obchodząc łóżko, zapewne by w ten sam sposób maltretować jej drugą rękę.

- Byłaś w Santen.

Kapłanka westchnęła. - Naprawdę muszę bardziej uważać na słowa. Czasami mam krzyż pański z dwójką tak bystrych dzieciaków.

Nie, żebym się buntowała.

Katharina zachowała powagę. - Byłaś z nami w Santen - powtórzyła.

-I inni też - potwierdziła Arla. - Ciesz się, że tak było. Nie wiem, czy Erik sam dałby radę przyprowadzić z powrotem ciebie i Verę. A gdybym zaraz nie zajęła się twoimi ranami, zostałyby ci teraz kilka szkaradnych blizn.

- Wiedzieliście również, że chciałam uciec - ciągnęła wytrwale dziewczyna.

- Ansgar i Ole mieli na ciebie uważać - odpowiedziała nieswojo Arla, nie patrząc na nią. - Ten głupi chłopak miał jednak za zadanie doprowadzić cię do węglarzy i tam ukryć na kilka dni. Z pewnością nie zabierać do Santen. Zwłaszcza do Santen!

- To nie jego wina - odparła Katharina. - Byliśmy u węglarza, ale nas odesłał. Bał się Wulfgara.

Arla na chwilę puściła dłoń dziewczyny i spojrzała jej badawczo w oczy; może uważała, że powiedziała to, żeby bronić Ansgara. - Wulfgara? - spytała w końcu.

- Widzieliśmy go w lesie - potwierdziła Katharina. - Nie tak daleko stąd. Nie widział nas, ale Ansgar odesłał swego towarzysza, żeby ostrzegł Erika.

- Ole wiedział, że pojechaliśmy do Santen - odpowiedziała Arla - ale nigdy tam nie dotarł. Mówisz prawdę? Teraz nie chodzi już o usprawiedliwianie twojego brata, Katharina To ważne.

- Mówię prawdę - zapewniła dziewczyna.

- Ole nigdy nie dotarł do nas, do Santen, także tutaj nikt go odtąd nie widział - powiedziała kapłanka. - Myśleliśmy, że wpadł w ręce ludzi Pardeville'a, ale... -Wstała. - Erik musi się o tym dowiedzieć.

- Tak czy owak, chciał z tobą porozmawiać. Zaraz wracam.

Wyszła, zanim Katharina zdążyła jej zadać kolejne pytanie, ale już po chwili wróciła w towarzystwie ojca, zupełnie jakby czekał na nią przed domem. Nie tracił czasu na uprzejmości, ani nawet żeby spytać, jak się czuła, od razu przeszedł do rzeczy. Dziewczyna musiała mu dwukrotnie i ze szczegółami opowiedzieć o ich niesamowitym spotkaniu na skraju lasu. Erik nie musiał mówić, jak mało mu się to wszystko podobało, bo jego twarz pochmurniała z każdym jej słowem.

- Zatem był w pobliżu, pewnie cały ten czas - powiedziała Arla z nie mniej posepną miną. - Thor raczy wiedzieć, co on zamierza.

- Chyba wiem, niestety - dodał Erik. - Byli też u węglarzy... jeśli tamci mówili prawdę.

- Co ty pleciesz? - zbesztła go córka. - Są naszymi przyjaciółmi.

Jeśli odmawiają nam pomocy, to mają ku temu powody. Znasz swojego brata. Jeśli chce kogoś zastraszyć, to zastraszy.

Erik zmilczał to, ale sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Co tu się właściwie dzieje? - spytała bez ogródek Katharina. - Coś się musiało wydarzyć! Powiedźcie mi, co!

- Zginęło dwoje dobrych ludzi - odparł Erik - troje, jeżeli zabili także Olego. Wulfgar uprowadził twojego brata, a w

Santen zapewne wystawiają teraz armię, a przynajmniej ściągną jakąś, wierząc, że to my zamordowaliśmy księdza i piekarzy. Oto co się dzieje, Katharino. To chyba wystarczający powód do zmartwień?

- Tak - odparła dziewczyna. - Ale to nie wszystko, mam rację?

Jarl milczał. Długo. Potem skinął głową. - Odchodzimy.

- Odchodzimy? - powtórzyła bezmyślnie.

- Opuścamy Bjarnisund - Arla wyręczyła Erika w odpowiedzi.

-Wszyscy i na zawsze. Jutro z samego rana, najpóźniej o zachodzie słońca.

- Opuścacie Bjarnisund? Co to ma znaczyć? - zapytała oburzona Katharina. - Przecież nie możecie! Tutaj jest wasz dom!

- Nie, dziecko - odrzekł Erik. Nie jest i nigdy nie był. Od dawna nie chciałem tego przyznać, ale tak właśnie jest. Nie ma sensu dalej przymykać oczu na prawdę. Robiłem to już zbyt długo. - Zmęczonym gestem uniósł rękę, gdy Katharina chciała zaprzeczyć. - Pardeville i mój brat osiągnęli cel, ot co. Tutejsi ludzie się nas boją. Zawsze tak było, ze względu na to, co się wydarzyło w przeszłości, a teraz mają powód, żeby się nas pozbyć. To nie wszystko. Ten kraj jest znacznie cieplejszy i bogatszy niż ten, z którego pochodzimy, lecz nie jest naszą ojczyzną i nigdy nią nie będzie. Nie powinniśmy tutaj przybywać, odejdziemy, póki jeszcze możemy.

Ależ... nie możecie tego zrobić! - pomyślała strwożona Katharina.

Tutaj był również jej dom, jej ojczyzna, którą dopiero co odnalazła!

- A Ansgar? - zapytała. - Chcecie go pozostawić na pastwę losu?

- Oczywiście, że nie. - Jarl zdawał się być urażony. - Jak tylko statki odpłyną, pójdę do brata i poproszę go o uwolnienie wnuka. On go tak naprawdę nie chce, wiem to. Ansgar nie ma dla niego żadnej wartości. A gdy nie będzie już niczego, o co mógłby mnie nim szantażować, pewnie puści go wolno.

- Coś jednak jest - odparła Katharina. -Ja.

- Nie wydam cię, nie martw się - rzekł Erik, który najwyraźniej zrozumiał ją najopaczniej, jak mógł. -Jeśli zechcesz, możesz zabrać się z Arłą i innymi - bardzo bym się ucieszył, gdybyś się na to zdecydowała - albo też znajdziemy ci jakieś inne miejsce do życia. Miejsce, w którym będziesz bezpieczna.

- Źle mnie rozumiesz - sprostowała dziewczyna. -Jestem gotowa... gotowa pójść do Wulfgara, jeśli jest to jedyny sposób na uwolnienie Ansgara.

Z jakiegoś powodu Erik uśmiechnął się, kiedy to powiedziała, choć jednocześnie potrząsnął głową. - Twoja oferta jest bardzo szlachetna, moje dziecko, ale nigdy nie będę wymieniał życia jednego wnuka na życie drugiego.

- Nawet mnie nie znasz - sprzeciwiła się Katharina. - Ansgar jest...

- Synem mojej córki - Erik wpadł jej w słowo - tak jak ty jesteś córką mojej córki. Nie ma żadnego znaczenia, czy znam cię przez całe życie, czy od kilku dni. Nie będę kupczyć w ten sposób.

Wulfgar nic Ansgarowi nie robi, nie obawiaj się. To w końcu także jego krew. Człowiek, o którym ci opowiadałem, ten, który uciekł z moją córką i sprowadził na nasz lud nieszczęście, był synem Wulfgara. Wulfgar jest tak samo dziadkiem Ansgara jak ja.

Katharina już wcześniej to sobie dośpiewała - ale dopiero teraz zaświtało jej coś równie oczywistego. Z jakiegoś powodu ta myśl nie przyszła jej dotychczas do głowy. Może po prostu nie dopuszczała jej do siebie.

- Zatem jest też moim dziadkiem - wymamrotała i ciarki jej przeszły po plecach. To nie miało sensu! Jeśli Wulfgarowi chodziło tylko o to, żeby mieć przy sobie wnuka, dlaczego miałby akurat chcieć wymienić Ansgara na nią, nie tylko ściągnając tym na siebie wielkie niebezpieczeństwo, ale i ryzykując okrutną wojnę z klanem swego brata?

- Dlaczego ja? - spytała roztrzęsiona. - Czego on ode mnie chce?

Chodzi tylko o to, że widziałam, jak zabił grafa?

- Wyobrażasz sobie, że chce cię zabić, żebyś nikomu tego nie zdradziła? - Ten pomysł wydawał się bawić Erika. - A któż by ci uwierzył? A nawet jeśli, Wulfgar raczej odrąbałby sobie rękę, niż dopuścił, by ci spadł choć włos z głowy.

- Więc dlaczego mnie chce? - zapytała.

- Nie wiem - odpowiedział jarl, a Katharina nauczyła się czegoś nowego o swoim nowo odkrytym dziadku. Mianowicie, że był kiepskim kłamcą.

- Bzdura! - zaproponowała. - Wulfgar chce wnuka? Ma Ansgara, wnuka, który zna obyczaje jego ludu i mówi jego językiem. Ja jestem tylko żebraczką, nieznającą nawet swego prawdziwego imienia! Kto ma w to uwierzyć?

Zmiarkowała, że w tym tonie posunęła się za daleko, bo Erik już miał ją utemperować, ale Arla szybko go uprzedziła.

- Powiedz jej - powiedziała.

Erik milczał, a Katharina patrzyła przez moment zdezorientowana to na jedno, to na drugie, wreszcie zapytała: - Co?

- Powiedz jej! - zażądała ponownie Arla. - I tak już prawie wszystko wie. Niech pozna resztę historii.

- Niechybnie - wymamrotał. Odwrócił się do Kathariny i nagle wyglądał na dziesięć lat starszego niż jeszcze chwilę temu; może po raz pierwszy na tak starego, jakim był naprawdę. - Chodzi o ciebie, Katharino. Wulfgar nie chce po prostu swojego wnuka ani spadkobiercy... Gdyby chciał właśnie tego, już dawno zabrałby Ansgara, bo ma więcej wojowników niż my i jest o wiele bardziej bezwzględny.

Ansgar jest jego wnukiem, ale on nigdy się nim nie interesował. Gdy jego syn poślubił wtedy moją córkę i przeszedł do nas, wypędził go od siebie. Zawsze chciał tylko ciebie, Katharino. Mój brat i wszyscy jego wojownicy przybyli tutaj z tego samego powodu co ja. Aby szukać ciebie.

- Ale dlaczego? - szepnęła dziewczyna. - On... on mnie przecież w ogóle nie zna!

- Wśród naszego ludu istnieje pewne proroctwo, moje dziecko - rzekła Arla. - Pradawna przepowiednia, która od wieków przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Wulfgar jest na swój sposób bardzo przesądnym człowiekiem.

- Proroctwo o mnie?

- O twoim znamię - powiedział Erik. - Mówi ono, że kobieta, która nosi znamię węża, pewnego dnia poprowadzi naszych ludzi w odległą krainę, gdzie będziemy żyć w pokoju i dobrobycie.

- Dotknął przelotnie jej ramienia, tam, gdzie pod suknią znajdowało się czerwone znamię, którego sama nigdy jeszcze nie widziała.

- Twoja babcia miała to znamię, miała je twoja matka, a teraz nosisz je ty. Mój brat wie o tym i zrobi wszystko, by cię dostać i w ten sposób uzyskać władzę nad proroctwem.

- On... wierzy w tę przepowiednię?

- Kto wie? - odparł jarl. - W każdym razie, pomogłoby mu to uzyskać w naszym kraju wielki prestiż i wpływy. A któż może stwierdzić, czy przepowiednia w końcu nie okaże się prawdziwa?

- I ja mam cały wasz lud poprowadzić do obcego kraju? - spytała Katharina. Chciała się roześmiać, ale żałośnie to wypadło. Cóż za...niedorzeczny pomysł! Jeszcze przed niespełną miesiącem nie wiedziała nawet, że za lasami, które otaczały Ellsbusch i zamek o tej samej nazwie, w ogóle istniał jakiś świat!

- Ty, a może twoja córka albo córka twojej córki, albo też jej córka - odpowiedział Erik. - Bogowie planują w innej skali niż my, ludzie. Nie powinno cię to kłopotać. Nie pozwolę, żebyś wpadła w ręce Wulfgara, nie obawiaj się.

- Nie boję się! - odrzekła Katharina, co było gładkim kłamstwem.

Bała się, była przerażona. A mimo to rzekła: - Musimy uwolnić Ansgara! Udaj się do twego brata. Może mnie mieć, jeśli w zamian uwolni chłopaka!

Erik popatrzył na nią ze smutnym uśmiechem. Jednak nie odezwał się już ani słowem, pokręcił tylko głową i wyszedł bez słowa.

\*\*\*

Mimo magicznego eliksiru Arli, minęło sporo czasu, zanim Katharina poczuła się na tyle silna, żeby wstać i wyjść z domu. Zrobiło się późne popołudnie i słońce chyliło się już ku zachodowi. Niemal natychmiast przeszły ją dreszcze, kiedy stanęła za drzwiami w swojej cienkiej zamszowej sukience. Zaledwie uszła kilka pierwszych kroków, poczuła ów dziwny nastrój, jaki ogarnął cały Bjarnisund.

Widziała tylko kilka osób, a ci, których spostrzegła, poruszali się szybko, ale cicho, jakby ukradkiem. Po raz pierwszy, odkąd tu przybyła, zobaczyła wojowników na wąskich gankach na szczycie palisady, w dole nad rzeką również stali na pomoście dwaj mężczyźni i wpatrywali się w brudnobrązowe fale w dali. Nie musiała nawet patrzeć, aby wiedzieć, że także na szczycie tingowego wzgórza pełnił teraz wartę strażnik obserwujący okolice. Choć jak okiem sięgnąć wokół osady nie było ani żywego ducha, odnosiła wrażenie, że Bjarnisund znajdował się w stanie cichego obleżenia, szturmowany nie przez ludzkich wrogów, lecz przez naturę i samą tę krainę.

Już nie trzy, ale cztery statki cumowały w dole przy pomoście, trzy smukłe smocze łodzie i jeden znacznie większy, pękaty statek, wylądowany niemal po brzegi i także głęboko zanurzony w wodzie.

Być może dopiero ten widok sprawił, że Katharina naprawdę zrozumiała, co jej przed chwilą rzekli Arla i Erik; a mianowicie, że to ostatni dzień tego miasta. Prawie wszystko, co posiadali tutejsi mieszkańcy, zostało już załadowane na ten statek i nim słońce zajdzie kolejny raz, ludzie mieli wejść na pokłady trzech pozostałych łodzi i odpłynąć stąd na zawsze. Na nic się zdały podsuwane jej naraz przez rozum rozmaite argumenty za tym, że nie jest temu winna. Gdyby nie ona, do niczego by nie doszło.

Przygnębiona, udała się nad rzekę i pokonawszy instynktowny wstręt do wody, weszła na pomost. Odniosła niedorzeczne wrażenie, że znacznie się zmężył od czasu, gdy szła po nim ostatnim razem; towarzyszyło temu jeszcze niedorzeczniejsze uczucie, że ten masywny pomost się pod nią chwia.

Jeśli naprawdę była córką wikińskiego księcia, dlaczego odczuwała taki lęk przed wodą?

Nie znalazłszy odpowiedzi, dotarła do końca pomostu. Po co ona tu w ogóle przyszła? Woda niezmiennie napawała ją trwogą, a widok prawie już załadowanego statku dźwigającego dorobek tak wielu istnień ludzkich nastrojał ją jeszcze smutniej.

No i był jeszcze Ansgar.

Znowu dopadły ją wyrzuty sumienia, teraz tym gwałtowniejsze, że do tej pory prawie nie myślała o swym bracie. A przecież jego los był wyłącznie jej winą; ostatkiem sił zdołała zdławić cisnące jej się do oczu łzy.

Ponieważ nie chciała, żeby ją ktoś zobaczył w tym stanie, zawróciła do domu cicho tam pocierpieć, lecz wtem dostrzegła jakieś poruszenie na drugiej stronie rzeki. Wyteżyła wzrok.

Jak prawie wszędzie wzdłuż brzegu, również tamtędy biegła ścieżka do holowania, którą mężczyźni przy pomocy mułów i koni (a nawet siłą własnych rąk) ciągnęli statki i barki w górę rzeki, pod prąd, gdy wiatr był niepomyślny lub gdy nie miały żagli. Tym razem liczna grupa mężczyzn i wołów zajęta była ciągnięciem w górę Renu barki wysoko wylądowanej okorowanymi pniami drzew i to ten ruch przyciągnął jej uwagę - lecz zatrzymała się na czymś innym, czego gdyby nie statek i pół tuzina mozolnie idących wołów prawdopodobnie nigdy by nie zauważyła.

Na skraju lasu, nieco ponad ścieżką holowniczą między cieniami gęstego poszycia błysnął metal. Dużo więcej nie spostrzegła, bo Ren był w tym miejscu szczególnie szeroki, a gąszcz w ciemnych odcieniach zieleni i brązu zacięwał wszelkie kształty, a jednak od czasu do czasu zbłąkany promień światła padał na metal; może na sztylet, ogniwo kolczugi albo hełm.

- Kryją się tam od dwóch dni - rozległ się za nią jakiś głos.

Katharina odwróciła głowę i spojrzała w brodatą twarz jednego z dwóch wojowników, którzy tu na brzegu trzymali straż. Musiał być znacznie od niej wyższy, a ważył pewnie cztery razy tyle; a jednak zbliżył się do niej całkiem bezgłośnie.

- Jest ich jakiś tuzin, może nawet więcej. - Zaśmiał się ponuro. - Myślą chyba, że są ostrożni, chociaż zachowują się niezdarniej niż dzieci.

Katharina nie bardzo wiedziała, co na to odrzec, uniosła więc jedynie z uśmiechem ramiona; chciała jak najszybciej opuścić pomost i stanąć na bezpiecznym gruncie. Mężczyzna zdawał się być rozczarowany, jakby oczekiwał od niej jakiejś konkretnej reakcji, ale Katharina nie wiedziała jakiej, toteż tylko przyśpieszyła kroku, aby dotrzeć do zbocza i wioski na górze, a potem jak najszybciej znaleźć się z powrotem w domu, który nagle wydał jej się jedynym na świecie miejscem, w którym czuła się jeszcze bezpieczna.

Od strony kościółka wiatr przywiewał do jej uszu odgłosy znanych jej wprawdzie pieśni i modlitw, wyśpiewywanych jednak w niezrozumiałym języku wikingów, i naraz stało się coś dziwnego. W jednej chwili pojęła słowa ojca Cedrika, które tak ją niegdyś wzburzyły: ten mroczny, twardy język istotnie zdawał się przemieniać znajome psalmy i pieśni w coś, co do głębi przerażało. Kusiło ją, aby pójść do kościoła i szukać ukojenia w modlitwie, zamiast

tego tylko przyspieszyła kroku. Doszedłszy do domu, zamknęła za sobą drzwi i odetchnęła z ulgą, jakby właśnie uszła wielkiemu niebezpieczeństwu.

Tymczasem wewnątrz nie było spokojnie. Zanim jeszcze jej walący puls jako tako się uspokoił, usłyszała gruchnięcie, syczenie i plucie, a w następnym momencie odkryła przyczynę tego zamieszania - małąkę Very. Stała na tylnych nogach, w podnieceniu kłapiąc zębami, a Hugin i Munin, choć jeszcze malutkie kocięta, z nastroszoną sierścią, wygiętymi grzbietami, plując i śliniąc się przy tym obficie, zaszły go z prawej i lewej strony jak dwa dorosłe drapieżne koty, zapędzające zdobycę w matnię... zdobycę ponad trzykrotnie większą od nich samych, co prawda, ale to im zaświtało chyba dopiero, gdy Dwegr nie cackając się, złapał je za ogony i uniósł, wprowadzając tylko na krótki moment, po czym delikatnie odstawił z powrotem na ziemię. Plując i fukając, kocie bliźnięta wycofały się na znaczną odległość, a Dwegr podążał za nimi z zaciśniętymi w piastki rękami, wydzierając się na całe gardło i szczerząc zęby. Wszelako jakoś to nie wyglądało na awanturę, jak zauważyła Katharina. Raczej na harce, choć dość grubiańskie.

- Mam nadzieję, że twoi dwaj mali przyjaciele nie są zbyt pamiętliwi. W przeciwnym razie najpóźniej za kilka miesięcy ten małpizson gorzko pożałuje, że tak szorstko się z nimi obszedł.

Zaprzątnięta własnymi myślami, nawet nie zauważyła gościa, który zjawił się w czasie jej nieobecności.

Nie był to wszakże jedyny powód, dla którego wlepiała się w Verę wybałuszonymi ze zdumienia oczami.

- Ty? - wymamrotała osłupiała.

Czarnowłosa kuglarka skrzywiła się. - Przykro mi, jeśli cię rozczarowałam, ale jak widzisz, jeszcze żyję.

To nie dlatego Katharina wpatrywała się w nią tak skonsternowana; jakkolwiek słowa Very ponownie wzbudziły w niej wyrzuty sumienia. Za bardziej zadziwiającą uznała okoliczność, że kuglarka w ogóle tutaj była, nieważne, zdrowa czy bliska śmierci. Dalej wbijała w nią wzrok, a kobieta znowu opacznie odebrała jej spojrzenie. Choć może Katharina rzeczywiście tego chciała.

- Zaraz sobie pójde - powiedziała Vera. - Nie martw się, chciałam tylko zabrać moją małąkę. Towarzystwo twojego ludu nie wy chodzi jej na dobre. Z każdym dniem spędzonym tutaj coraz mniej mnie słucha.

Pstryknęła palcami i niby dla zadania z miejsca kłamu jej słowom, Dwegr jednym susem wskoczył jej na plecy, czepiając się jedną ręką za jej włosy, podczas gdy ona obróciwszy się na pięcie, już kierowała się ku wyjściu. Katharina posłusznie usunęła się na stronę, żeby ją przepuścić, szybko jednak podniosła rękę.

- Zaczekaj - rzekła.

Vera uniosła lewą brew, ale zatrzymała się i spojrzała na nią pytająco; dziewczyna odniosła wrażenie, że kuglarka się przyczaiła.

- Jeśli chcesz mi robić jakieś wymówki, bo cię zdradziłam, to oszczędź sobie - powiedziała. - Twoja czarująca rodzina już o to zadbała.

- Przed czy po tym, jak ci uratowali życie? - chciała wiedzieć Katharina.

Vera na wszelki wypadek nic na to nie odrzekła, ale Dwegr wydał z siebie potok zuchwałych dźwięków, które chyba nie tylko w uszach Kathariny zabrzmiały podejrzenie - jak szyderyczy śmiech, bo i Vera rzuciła mu ostre spojrzenie, które małąka wzięła za pretekst do zeskoczenia z jej ramienia na podłogę. Dwa koty rzuciły się na zwierzę, plując i parszcząc, i w okamgnieniu ponownie rozgorzała radosna szamotanina.

- Teraz na pewno go złapię - westchnęła kobieta. - Bardzo ci dziękuję.

- Przykro mi.

- Że ten mały drań już mnie nie słucha, odkąd tu jestem? - dopytywała się Vera. Szybkim krokiem podążyła za Dwegrem i być może nie był to naprawdę dobry pomysł, bo równie gwałtownie zatrzymała się, przycisnęła sobie rękę do boku i wciągnęła powietrze do ust.

- Nie - odpowiedziała dziewczyna, starając się na próżno zachowywać, jakby nic się nie stało. - Że masz przeze mnie wszystkie te problemy.

- Problemy? - Kuglarka ostentacyjnie zmarszczyła czoło. - Jeśli masz na myśli dwucalowe ostre żelazo, które mi twój wuj czy szwagier, czy kimkolwiek on tam jest, wraził między żebra, to tak, można to rzeczywiście nazwać problemem, mała.

- Mój dziadek - Katharina odpowiedziała automatycznie, notując w pamięci, z jakim trudem jej to słowo przeszło

przez usta. Na samą myśl, że mogłaby być spokrewniona z Wulfgarem, zimny dreszcz przebiegał jej po plecach.

Pewnie dała to po sobie poznać, bo Vera odchyliła głowę na bok i przyglądała się jej przez chwilę w zamyśleniu, ale potem wzruszyła tylko ramionami. - Nieważne - powiedziała. - Dzięki Bogu szczególnie dobrze wycelował, w przeciwnym razie nie raczyłabyś mnie już teraz pełnymi wyrzutu spojrzeciami... chociaż twoja babka czy ciotka, czy ktokolwiek to tam jest, uważa, że mnie trafił dokładnie tam, gdzie chciał, żebym możliwie długo cierpiała.

To całkiem dobrze pasowało do obrazu Wulfgara (celowo unikała nazywania go w myślach dziadkiem), jaki Katharina już dawno sobie stworzyła, ale patrzyła tylko na kuglarzkę bez słowa. Ta odwzajemniła jej spojrzenie tak samo milcząco i zaczął się między nimi rozsnuwać szczególnie nieprzyjemny rodzaj ciszy; dziwne milczenie. Wtem dziewczyna uzmysłowiła sobie, że w zasadzie niczego nie pragnęła bardziej, niż wybaczyć tej kobiecie.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytała bez ogródek.

- Pozwoliłam się zasztyletować?

- Dlaczego nas zdradziłaś?

Poznała po wyrazie twarzy Very, że to słowo bardziej ją zraniło, niż chciała przyznać. - Jeśli chodzi o twojego dziadka - nie tego z nożem, tego drugiego - to po prostu dlatego, że dostałam za to pieniądze - odrzekła hardo.

- A tak naprawdę?

- Bo dostałam za to pieniądze? - podsunęła Vera, ściągnęła wyzywająco wargi i dodała: - O tak, i ponieważ połowa kraju szuka barbarzyńców, którzy zgładzili grafa von Ellsbuscha i całą jedną wieś.

Katharina musiała to chwilę przemyśleć. To dziwne, ale uwierzyła jej.

- Kto ci to powiedział? - zapytała.

- Wszyscy.

- I uwierzyłaś?

- Trzy dni temu? - Vera zachowała się tak, jakby przez chwilę rzeczywiście musiała zastanowić się nad tym pytaniem, po czym energiczniej skinęła głową. - Tak. Ty też byś tak zrobiła na moim miejscu.

- A teraz?

- Teraz mnie to nie obchodzi - burknęła kuglarzka. - Twoi ludzie i tak mnie mają za złodziejkę i oszustkę. Włóczęgę, któremu lepiej nie ufać. Jest mi obojętne, co o mnie myślą. Jutro, tak czy owak, znikają.

- A ty?

- Ja też. - Kobieta zatrzepotała ręką. - Jeśli twój dziadek - mam na myśli tego drugiego, nie tego z nożem - jednak nie postawi na swoim i mi nie poderżnie gardła, ma się rozumieć.

- Przynajmniej nie kazał cię zakuć w łańcuchy - zauważyła Katharina, ale Vera pokręciła tylko głową i odparła: - Owszem, zrobił to. - Prychnęła. - Cała ta wioska jest jednym wielkim więzieniem. Czy próbowałaś się kiedyś stąd wydostać, tak żeby nikt tego nie zauważył?

- Tak - odpowiedziała zgodnie z prawdą dziewczyna... - no, prawie.

Vera zamrugała, ale natychmiast się pozbierała. - Nieważne - powiedziała. - Twoja ciotka czy matka, czy kimkolwiek ona jest, poparła mnie dobrym słowem i mam nadzieję, że twój dziadek okaże wyrozumiałość i każe mnie tylko wychłostać albo odda swoim wojownikom, żeby się ze mną zabawili, i może potem pozwoli mi odejść.

Katharina nie pojmowała, dlaczego Vera znajdowała upodobanie w opowiadaniu takich rzeczy — zwłaszcza że, jak jej się wydawało, myślała inaczej - lecz nie indagowała jej dalej, a tylko powtórzyła swoje pytanie: - A ty? To znaczy, nadal wierzysz, że spaliliśmy Ellsbusch i zabiliśmy grafa?

- Nie wiem, w co mam wierzyć - odparła Vera. - I jest mi to też obojętne, naprawdę. Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego, rozumiesz? Niechby się nawet wzajemnie pozabijali.

- Więc, dlaczego zdradziłaś Ansgara i mnie? - spytała Katharina.

- Ponieważ byliście lekkomyślni, a zresztą i tak połowa miasta was szukała - odrzekła kobieta. - Gdybym nie ja, zrobiłby to ktoś inny i sprzątnął mi sprzed nosa zapłatę. Dużo pieniędzy - Trzydzieści srebrników, jak przypuszczam?

Kuglarzka w odpowiedzi skrzywiła tylko lekceważąco usta, mimo to uwagi Kathariny nie uszedł krótki przebłysk

rozbawienia ukryty głęboko w jej czarnych jak noc oczach. Przyłapała się na uczuciu przyjaźni dla niej i chciała je odepchnąć. Pod jej świadomie wyzywającym zachowaniem kryło się coś zgoła innego... Katharina bezskutecznie się głowiła, dlaczego Vera udawała kogoś, kim nie była.

- Popłyniesz z nami? - zapytała.

-Ja? - Kobieta wyglądała na szczerze zaskoczoną. - Skąd ci przyszła do głowy taka myśl?

Przez chwilę dziewczyna zadawała sobie to samo pytanie... może dlatego, że w głębi duszy tego chciała? Ale przecież w ogóle nie znała Very... co jednak ściśle biorąc stosowało się właściwie do każdego, kogo w ostatnich tygodniach spotkała.

Zarzuciła tę głupią myśl.

- Twoja ciotka rozmawiała z tobą, prawda? - zapytała nagle Vera.

-Ta... Arla.

- Nie - odparła Katharina. - O czym?

Kuglarka zamierzała odpowiedzieć, ale pokręciła tylko głową i powiedziała: - Jeśli ona tego nie zrobiła, to i mnie nie uchodzi z tobą o tym mówić.

- O czym? - powtórzyła dziewczyna.

Vera jedynie potrząsnęła głową. - Zapytaj ciotkę, mała. Ani mi się śni mieszać się raz jeszcze w wasze rodzinne sprawy. Nie w takiej rodzinie.

I na tym stanęło.

\*\*\*

Tak pozostało przez resztę dnia, następującą po nim noc i znaczną część kolejnego przedpołudnia. Naturalnie Katharina wybiegła na zewnątrz i długo się kręciła przed kościołem, aż Arla (jako ostatnia) wyszła z tego osobliwego domu Bożego. Dziewczyna natychmiast zarzuciła ją pytaniami. Arla jednak unikała odpowiedzi na każde z jej pytań; zrazu zręcznie i z uśmiechem, potem coraz bardziej szorstko, a na końcu opryskliwie, jakby straciła zdolność mówienia w języku Kathariny.

Z Erikiem poszło jej niewiele lepiej i wreszcie, rozgniewana i rozczarowana, zagrzebała się w łóżku, starając się złapać trochę snu, a może i zapomnienia. Zaśnięcie jednak najpierw utrudniały jej rozbiegane myśli, a później, w jeszcze większym stopniu, dwa małe koty, które kilka godzin po zachodzie uznały chyba, że muszą nadrobić godziny zabawy stracone w ostatnim czasie.

W końcu zasnęła (żałowała tego następnego ranka, budząc się z koszmarów) i ocknęła się dokładnie o wschodzie słońca, jakkolwiek nie sama z siebie, lecz za sprawą znanego jej już bolesnego szarpania i ciągnięcia za rękę.

W pierwszej chwili w sennym oszołomieniu niewiele rozumiała, ale gdy jej myśli w końcu się wyklarowały, Arla zareagowała tak samo opryskliwie jak poprzedniego dnia. W kilku szorstkich słowach kazała jej leżeć spokojnie, po czym od razu zabrała się do dzieła, ale już nie tak delikatnie. Katharina z trudem wytrzymywała ból; westchnęła z ulgą, kiedy kapłanka skończywszy zabiegi, w końcu wstała i (bez słowa) wyszła z domu.

Na szczęście tym razem nie obwiązała jej dłoni w nieforemne piąstki, które nie na wiele się zdały, lecz obandażowała je ciasno, ale tak, że Katharina mogła poruszać palcami, nie cierpiąc przy tym.

Kiedy po chwili - ostrożnie - wstała, jej kolana nie chwiały się jak dotychczas, a nawet po raz pierwszy od wielu dni poczuła się naprawdę dobrze.

Przynajmniej jeśli chodziło o jej stan fizyczny.

W domu dobiegał ją zgiełk podnieconych głosów, bieraniny, gorączkowego uwijania się; gdy wyszła na zewnątrz, spostrzegła jeszcze większy harmider. Całe Bjarnisund zdawało się być na nogach i krzątać wokół czegoś, choć nie mogłaby określić, czym właściwie to było. Stała więc bezradna, a kiedy rozejrzała się wokoło, wzdrygnęła się z przerażenia i omal nie krzyknęła.

W dole przy brzegu cumował nowy statek. Nie tak może duży jak Burzyk, ale o takiej samej pękatej konstrukcji,

który w obliczu zgrabnych drakkarów w jego sąsiedztwie sprawiał wrażenie jeszcze o cięższego. Za jego niskimi burtami nie stali wikingowie, lecz dzierżący ogromne trójkątne tarcze wojownicy w długich do kostek kolczugach i nieforemnych garnczkowych hełmach.

Rozbudziła się momentalnie i całkowicie.

Serce jej biło jak szalone, najchętniej odwróciłaby się na pięcie i uciekła, teraz, gdy byli tu jej wrogowie, zanim skrzywdzą kolejnych niewinnych ludzi.

Jednak w ostatniej chwili odezwał się w niej zdrowy rozsądek. To nie atak. Ten statek wyglądał na mały, a wojownicy na pokładzie mogli imponować, ale ostatecznie przybyli w niewielkiej liczbie, niezdolni się oprzeć ponad setce osób, którym musieliby tu stawić czoła.

Choć wciąż się bała, zwalczyła dzielnie to uczucie i nie uciekła, lecz ruszyła ku rzece.

Ludzie zajęci byli załadowywaniem dobytku Bjarnisund na duży statek towarowy oraz trzy drakkary. Nieco z dala od głównego nurtu dostrzegła Erika, Arię i kilku mężczyzn pogrążonych w ożywionej rozmowie z jakimś ciemnowłosym wojownikiem w kolczudze i tabardzie. Stała zbyt daleko, żeby cokolwiek zrozumieć z ich przemowy, ale sama ich postawa i gesty dały jej do myślenia, że nie gawędzili sobie ot tak, dla przyjemności.

Dopiero, gdy się zbliżyła, rozpoznała nieznanego. Był to baron zu Guthenfels, wyglądający chyba na jeszcze bardziej strapionego i postarzałego niż ostatnim razem.

Musiał ją rozpoznać w tym samym momencie co ona jego, bo przerwał na moment rozmowę i zmusiwszy się do słabego uśmiechu, pomachał do niej. Erik również zdobył się na nieznaczne skinienie głową, lecz Arię jej widok zdawał się w dziwny sposób boleśnie dotknąć.

- Katharino - powiedział Guthenfels - masz się już lepiej, jak widzę. Cieszę się.

Brzmiało to szczerze, mimo to nie wiedziała dobrze, co ma sądzić o tym pozdrowieniu. Nie zapomniała, co baron powiedział ostatnio.

- Nie jest aż tak źle - odparła wymijająco.

- Tak, to właśnie powiedział mi twój dziadek.

- Co takiego?

- Że jesteś wyjątkowo dzielną dziewczyną - odpowiedział Guthenfels, po czym ponownie odwrócił się do jarla. Uśmiech zniknął z jego twarzy jak odczarowany.

- Naprawdę nie mogę nic zrobić, żeby was odwieść od tej decyzji, Eriku? - zapytał.

- Tak będzie najlepiej, uwierz mi - odrzekł. - Nie tylko ze względu na to, co się wydarzyło. Nigdy nie powinniśmy byli tutaj przybywać, baronie. Wiecie o tym równie dobrze jak ja. Czas nie dojrzał jeszcze do pokojowego współistnienia naszych ludów.

- Chyba macie rację - westchnął zu Guthenfels. - Może niektóre rany potrzebują więcej niż jednego ludzkiego życia, aby się zagoić.

Mimo to jest mi przykro... dlatego, że niejeden weźmie wasze odejście za przyznanie się do winy.

Erik nic na to nie rzekł, a baron przez długą chwilę spoglądał tylko wyczekująco, aż wreszcie wydał z siebie głębokie, rozczarowane westchnienie.

- Może macie rację - powiedział - ale obiecuję wam, że dojdę do sedna tej sprawy. Wysłałem już posłańca na dwór cesarza. Ten incydent zostanie niezwykle skrupulatnie zbadany, macie na to moje słowo.

- Po co? - zapytał jarl. - Dość już wyrządzono krzywd. Tego wszystkiego się nie cofnie, bez względu na to, co uczynicie, przyjacielu.

Guthenfels znowu chciał zaprzeczyć, jednak się rozmyślił i westchnął raz jeszcze, przejmująco. - Jak sobie chcecie. Czy jest coś, co mógłbym jeszcze dla was zrobić?

- Nie - odparł Erik. - Uczyniliście już więcej, niż mógłbym wymagać.

- Jednak pozostałaby jeszcze jedna rzecz - wmieszała się Arla. - Przemyśleliście moją prośbę, baronie?

Guthenfels nie od razu odrzekł, odwrócił głowę i spojrzał krótko na Katharinę w taki sposób, że przeszły ją ciarki,



kapłanka nadal unikała jej spojrzenia, także Erik odwrócił nagle wzrok. Co się tutaj działo?

- Oczywiście — odparł w końcu.

- Oczywiście, co? - wtrąciła ostro Katharina.

- Zatem wszystko przygotuję - powiedziała Arla, zwracając się do Guthenfelsa, jak gdyby dziewczyna w ogóle się nie odezwała. Nie, poprawiła się w myślach Katharina. Zupełnie jakby jej tam nie było.

Uzmysłowienie sobie tego wprawiło ją w furję.

- Co tu się dzieje? - zapytała. - Chcę natychmiast...

- Ty - przerwał jej raptownie Erik, bynajmniej nie głośno, ale tonem surowym i ostrym jak ostrze miecza - będziesz teraz milczeć, dziecko. Idź do domu i tam czekaj.

Przez moment - nie dłuższy niż uderzenie serca - Katharina patrzyła na niego wyzywająco i omal nie uległa pokusie krnąbrnego przeciwstawienia się dziadkowi. Potem wyczytała w jego oczach coś, co ją od tego odwiódło. Przeciągała strunę.

- Jak każesz, jarlu! - i odrzuciwszy hardo głowę do tyłu, wróciła do domu, zanim Erik zdążył cośkolwiek powiedzieć.

Pewnie tak było lepiej.

Po powrocie do domu bardziej niż kiedykolwiek poczuła się jak więzień, a to, że dziadek na oczach wszystkich potraktował ją jak dziecko, wywołało u niej jeszcze większą złość.

Poza tym bała się.

Nie musiała długo czekać. Wkrótce otworzyły się drzwi i weszła ciotka. Miała nadzieję, że przyszedł także Erik, ale nie. Zamknęła za sobą drzwi, założyła sobie ręce na piersiach i patrzyła na dziewczynę długo w milczeniu, z wyrzutem.

- Co? - burknęła w końcu Katharina.

- Nigdy więcej nie mów tak z moim ojcem - powiedziała Arla. - Ani kiedy jesteśmy sami, ani zwłaszcza w obecności obcych, rozumiałaś?

- Bo co?

- Nikt nie śmie tak się zwracać do naszego jarla - ciągnęła kapłanka. - Także jego wnuczka. Dziękuj twojemu bogu, że jesteś jeszcze dzieckiem i że Erik ma w tej chwili inne rzeczy na głowie, w przeciwnym razie ta bezczelność nie uszłaby ci płazem.

- A niby cóż to za inne rzeczy? - złościła się Katharina. Cichy, natarczywy głos wewnętrzny ostrzegał ją, że pozwala sobie na zbyt wiele, ale rozum przesłaniało jej wzburzenie.

- Na przykład zrobił coś, co napębia go głęboką odrazą, bo powołał się na stary dług Guthenfelsa, żeby cię chronić.

- Mnie? - wymamrotała dziewczyna. Nic już teraz nie rozumiała.

- Ale co ja mam...

- Baron zu Guthenfels zaopiekuje się tobą - przerwała jej ciotka.

- Mną? - Katharina wytrzeszczyła na nią oczy.

- Zatrąszy się o ciebie - ciągnęła Arla. - Jego statek odpłynie za godzinę, pojedziesz z nim.

- Ja...?! - Dziewczyna dyszała zdjęta nagle przerażeniem.

- Zaopiekuje się tobą, jakbyś była jego dzieckiem - kontynuowała niewzruszenie Arla. - Będziesz miała dobre życie i będziesz bezpieczna.

- Przecież obiecaliście, że z wami zostanę! - zaprotestowała Katharina. Miała... stąd odejść? Nowe życie, dopiero co podarowane jej przez los, nowa rodzina, którą właśnie odnalazła, miały teraz znowu zostać jej zabrane? Nigdy! Tak nie mogło być!

- Wiem - odrzekła Arla. Jej głos złagodniał, ale nieznacznie. - Mnie również jest przykro, wierz mi. Niechętnie łamię dane ci słowo.

Ale okoliczności się zmieniły. Byłoby głupotą zabierać cię z nami.

Jeszcze przed kilkoma dniami ludzie tutaj byli naszymi przyjaciółmi, ale to, co zrobili Wulfgar i Pardeville, zmieniło postać rzeczy.

Wyruszamy za kilka godzin, droga nie będzie łatwa. Możemy zostać zaatakowani. Pewnie będziemy musieli walczyć. Erik mówi, że płyniemy do domu, ale będzie to raczej ucieczka. Nawet jeśli bez szwanku dotrzemy do naszej starej ojczyzny, nikt nie wie, co nas tam czeka, Katharino. Nie wiemy nawet, czy będziemy tam mile widziani.

-I przyszło wam to do głowy akurat teraz? - wybuchła drżącym głosem dziewczyna. Jej przestraszony zdążył zmienić się w trwogę i poczucie bezradności, które niemal sprawiały jej ból.

Arla zignorowała ten zarzut. - Nawet gdyby wszystko dobrze się skończyło, Katharino - powiedziała, a to, że celowo nie nazwała jej Karą, jak to zwykł czynić Ansgar, tym bardziej ją zraniło - pewnie byś tego żałowała. Życie tam jest... inne. Tak krańcowo inne, że nie potrafisz sobie tego nawet wyobrazić. Nie jestem pewna, czy byś to zniosła. Twoja babcia tego nie przeżyła, twoja matka też nie.

Katharina chciała zaprotestować głośniejszym, z jeszcze większym oburzeniem, ale wtem coś ścisnęło ją za gardło i nie wydała żadnego dźwięku. Łzy nabiegły jej do oczu. Nie potrafiła powiedzieć, czy były to łzy bólu, ślepego gniewu czy czegoś jeszcze innego, obcego i trudnego do określenia.

- Baron zu Guthenfels zabierze cię do swoich włości - ciągnęła Arla nieco łagodniejszym, choć nadal nieprzejednanym tonem.

- Tam będziesz bezpieczna, nie musisz się obawiać. Nawet Wulfgar nie odważyłby się tam za tobą ruszyć. Jak tylko osiadziemy w naszym nowym domu i upewnimy się, że nic nam nie zagraża, pošle my po ciebie i będziesz mogła do nas dołączyć... jeśli zechcesz.

Jej słowa brzmiały tak niepewnie, że dziewczyna zastanawiała się, czy aby Arla sama w nie wierzyła. Czy myślała, że zdoła ją w ten sposób pocieszyć?

- Wszędzie jest lepiej niż tu - odparła tonem, który miał być wyzywający, ale nawet w jej własnych uszach zabrzmiał płacząco.

- Nie możesz tego przecież wiedzieć, dziecko - odpowiedziała trochę delikatniej ciotka. - Baron się o ciebie zatroszczy, będzie ci znacznie lepiej, niż tam, gdzie mieszkałaś dotychczas, uwierz mi.

Pozostaniesz u niego rok albo dwa i jeśli nadal będziesz uważać, że życie tutaj nic nie znaczy, wtedy zobaczymy.

Rok albo dwa?! Co ona wygaduje? Rok to był... niewyobrażalnie długi czas! Miała zostać sama przez rok albo dwa? Nigdy!

- Obiecaliście... - rzekła drżącym głosem.

- Wiem - odpowiedziała Arla. - Ale również dzięki temu człowiek dorósł, moje dziecko.

- Dzięki niedotrzymywaniu słowa? - odgryzła się z goryczą Katharina.

- Dzięki zrozumieniu, że czasem go nie można dotrzymać - odparła ciotka. - Niekiedy trzeba wyrzucić małą krzywdę, żeby zapobiec większej.

- A... a Ansgar? - wyjąkała, rozpaczliwie usiłując dorzucić coś, co skłoniłoby Arię do zmiany decyzji. - Chcecie tak po prostu zostawić go w nieszczęściu?

- Jest tak, jak powiedział twój dziadek - odrzekła kapłanka.

- Wulfgar może i jest okrutnym człowiekiem, ale nie głupcem, jeśli zda sobie sprawę, że nie będzie mógł cię dostać, twój brat przestanie mieć dla niego jakąkolwiek wartość, co najwyżej będzie stanowił za groźbę. Uwolni go.

Zmieniła temat, wskazując na dwa kocięta, które wtulone w siebie, leżały przed kominkiem i spały. - Chciałabyś je wziąć ze sobą?

Mogłabym się o nie zatroszczyć, ale nie sądzę, żeby przeżyły tę podróż.

Katharina zbyła ją milczeniem, co Arla najwidoczniej uznała za zgodę. - W takim razie poszukam jakiegoś koszyczka, w którym będziesz mogła je przewieźć - powiedziała. - I kilka koców, żeby miały ciepło. A dla ciebie poszukam jeszcze parę sukni.

Po tych słowach wyszła. Tym razem dziewczyna już nie starała się jej zatrzymać. Gdy została sama, ostatecznie przegrała walkę ze łzami.

Trwało dłużej niż godzinę, zanim łódź odbiła od brzegu i Katharina na zawsze opuściła Bjarnisund. Ale najgorsze rozczarowanie miało dopiero nadejść.

Arla wracała jeszcze dwukrotnie, raz przynosząc pleciony koszyczek z miękkim kocem dla kociąt i woreczek z karmą, drugi raz, żeby jej dać wodoodporny worek wypchany ubraniami, butami i innymi rzeczami, tak ciężki, że dziewczyna zapewne nie uniosłaby go sama.

Nawet nie zajrzała do środka. Jeszcze przed kilkoma dniami wszystkie te skarby, które, ot tak, dostała w prezencie, wprost zaparłyby jej dech w piersiach, ale teraz jej nie zainteresowały. Największy skarb na świecie - własną rodzinę i ludzi, którzy, jak wierzyła, odczuwali wobec niej coś więcej niż pogardę - dostała w darze na kilka dni i zaraz go jej odebrano, akurat kiedy zaczęła żywić nadzieję, że może to coś więcej niż sen. Cóż ją obchodziły jakieś suknie?

Wtedy Arla wróciła po raz trzeci, tym razem w towarzystwie dwóch milczących mężczyzn, z których jeden wziął koszyczek z kociętami, drugi jej worek z ubraniami, istotnie bardzo ciężki.

Erika z nimi nie było, ale Katharina pocieszyła się, że pewnie będzie czekał na nią na dole przed pomostem, żeby się z nią pożegnać. Może jednak uda jej się jakoś sprawić, żeby jeszcze zmienił zdanie. Ale i tam go nie było: nie czekał ani na pomoście, ani na pokładzie pękatego rzeczno statku. Poruszenie na brzegu osłabło.

Kiedy usłuchawszy niemego gestu Arli, wchodziła na pokład niezgrabnego żaglowca, odkryła, że również trzy smocze łodzie zostały teraz niemal w pełni załadowane, tak iż mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jak właściwie ci wszyscy ludzie w Bjarnisund chcieli jeszcze zmieścić się między stosami skrzyń, bali, worków, beczek, narzędzi, broni, odzieży i tysiący innych rzeczy.

Po wejściu na pokład wyszukała sobie suchy skrawek miejsca za nadburciem, położyła tam koszyczek z kociętami, po czym ignorując piski protestu, zamknęła pokrywę, żeby się nie wygramoliły i nie zostały zdeptane na śmierć, ani nie wypadły za burtę i nie utonęły, wścibskie jak to one. Dopiero wtedy wróciła na drugą stronę statku, wypatrując Erika. Nigdzie go nie było, ale przynajmniej Arla pozostała na pomoście. Zauważyła wszakże jeszcze coś innego; subtelną zmianę całej scenerii, która już rano zwróciła jej uwagę, chociaż nie potrafiła ująć tego w słowa. Wciąż jeszcze panowała na brzegu wzmożona krzątanina i bynajmniej nie spokój, a jednak czuła, jak przybita i zgnębiona jest większość ludzi. Ten i ów próbował wprawdzie tuszować to zapalem albo nazbyt głośnym śmiechem czy żartem, lecz te wysiłki raziły sztucznością i wcale jej nie przekonywały. Najwyraźniej opuszczenie niekochanej nowej ojczyzny większości mieszkańców wcale nie przychodziło tak lekko, jak twierdziła Arla.

Wreszcie jakaś mała grupa zdecydowanym krokiem skierowała się na pomost, a kiedy podeszli bliżej, odkryła z rozczarowaniem, że i tym razem nie było z nimi Erika. Zamiast niego ujrzała barona zu Guthenfelsa, jego dwóch zbrojnych towarzyszy i czarnowłosą postać w bardzo niecotliwym stroju, na której ramieniu siedziała skrzecząca małpka.

- Vera? - wypaliła zaskoczona.

- Nie możemy jej ze sobą wziąć, a jeśli zostałyby tutaj lub nie daj Boże wróciła do Santen, Wulfgar kazałby ją zabić. - Pytanie nie było wcale skierowane do Arli, jednak mimo to ona na nie odpowiedziała.

- Baron obiecał, że się nią zajmie. Poza tym jest jedyną, która wie, co się tak naprawdę stało.

Machnęła gniewnie ręką, każąc Katharinie zejść na bok. Dziewczyna bezwiednie usłuchała, przepuszczając na pokład Guthenfelsa i jego towarzyszy, po czym spytała: -A Erik?

- Twój dziadek - odparła z naciskiem Arla - jest w tej chwili zbyt zajęty, czego powinnaś się domyślać. Nie przyjdzie.

Zbyt zajęty, żeby pożegnać się z wnuczką? - pomyślała dziewczyna. Tą samą, której szukał przez ostatnie dziesięć lat i dla której porzucił nawet swą ojczyznę?

Ponownie spojrzała na ciotkę, usiłując uchwycić jej spojrzenie... i wtedy wreszcie zrozumiała.

- Ty... - bąknęła oszołomiona, jakby znienacka zadano jej cios w twarz.

Arla wpatrywała się w nią przenikliwie. Milczała.

- To był... twój pomysł, mam rację? - wyszeptła Katharina. Wie działa, że tak było, bo w oczach ciotki wyczytała

odpowiedź na swoje nie do końca wypowiedziane pytanie. Lecz sama myśl o tym była tak... potworna, że musiała zebrać wszystkie siły, żeby ją wydusić.

Jakoś się w końcu przemogła.

- To ty chcesz, żebym odeszła - szepnęła. - To twój pomysł, prawda? I to ty kazałaś Ansgarowi zabrać mnie do węglarzy... albo dokądś indziej. Byleby daleko.

- To nie twoja wina, moje dziecko - powiedziała Arla. Nikt nie robi ci wyrzutów. Ani Erik, a ja już najmniej. Tak będzie lepiej, uwierz mi. Dla ciebie i dla nas. Sprowadziłaś na nasz lud już dość nieszczęść.

- A... Erik? - zapytała przez ściśnięte gardło Katharina. - On też tak uważa?

- Nie ma znaczenia, co on myśli - odparła kapłanka. - Mój ojciec zawsze robi to, co najlepsze dla nas wszystkich. Dlatego jest naszym jarlem.

- Nie przyjdzie nawet, żeby... - wymamrotała Katharina.

- Jeśli zaraz nie odbijemy, nie będzie musiał się z tobą żegnać, bo już nigdy stąd nie odpłyniemy - przerwał jej Guthenfels. - Znajdź sobie gdzieś miejsce i trzymaj się mocno, dziecko. Podróż może być trochę niespokojna, przynajmniej na pierwszym odcinku. - Zwrócił się do Arli. - Składam wam raz jeszcze stokrotne dzięki za wszystko, przekazcie waszemu ojcu moje najlepsze życzenia. Chciałbym móc zrobić dla was więcej.

- Już zrobiliście dla naszego ludu więcej niż ktokolwiek inny, baronie - odrzekła Arla. - Mój ojciec ma rację: tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

- Dowiodę prawdy- obiecał baron. - Bądź co bądź jest ktoś, kto może zaświadczyć, że wasz ojciec nie jest mordercą kapłana. Ani piekarzy. Wyślę do was posłańca, kiedy to wszystko się wyjaśni.

- A my was zawiadomimy, jak tylko dotrzemy na miejsce.

I to było wszystko. Żadnych więcej słów pożegnania, żadnego bywaj zdrowa, ani nawet objęcia. Arla jedynie raz jeszcze skinęła nieznacznie głową i odeszła, nie racząc rzucić Katharinie choćby spojrzenia, a dwaj członkowie załogi Guthenfelsa sięgnęli po długie tyczki, żeby odepchnąć statek od pomostu.

- Widzę, że całkiem gładko wyrzucono cię za burtę.

Dziewczyna nie odwróciła się do Very, nie zareagowała też na jej słowa nawet skinieniem. Z całej siły powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ciotka ni stąd, ni zowąd tak się zachowała; a jeszcze mniej, dlaczego Erik nie przyszedł się z nią pożegnać.

- A ja gotowa byłam się założyć, że twoja ciotka cię lubi - ciągnęła niemal plotkarskim tonem kuglarka. - Dobrze, że tego nie zrobiłam.

Przegrałabym przecież.

Katharina w końcu oderwała wzrok od brzegu i stopniowo zostającego w tyle miasta i obróciła się do Very, zamierzając jej gniewnie odpowiedzieć, ale w tej chwili stało się dokładnie to, przed czym ostrzegął ją Guthenfels: łódź ze skrzypnięciem okręciła się w nurcie i tak zaczęła się kołysać, że Katharina o mały włos straciłaby równowagę; nie upadła tylko dlatego, że kuglarka prędko się ku niej rzuciła i z zaskakującą siłą przytrzymała. Samej Verze gwałtowne kołysanie statku wydawało się nie przeszkadzać.

- Lepiej usiądź - poradziła. - Jeżeli nie jest się do tego przyzwyczajonym, można dostać okropnych nudności.

Katharina zastanawiała się, czy Vera przypadkiem nie przeprowadziła z Arłą dłuższej rozmowy, czy też dało się to z niej wyczytać - ale faktycznie jak zwykle żołądek podszedł jej do gardła. Tak szybko ko, jak tylko mogła na coraz gwałtowniej kołyszących się deskach pokładu, wróciła i usiadła obok wiklinowego koszyczka z podciągniętymi kolanami. Kiedy przycisnęła plecy do niskiego nadburcia, zrobiło jej się jakby trochę lepiej; ale nieznacznie.

Vera przyszła za nią i nieproszona zajęła miejsce po drugiej stronie koszyczka, a Dwegr zeskokczył z jej ramienia i zniknął w skomplikowanym olinowaniu jedyne masztu.

- Jak to możliwe, że nie nadajesz się do żeglugi? - zagadnęła. Po chwili roześmiała się. - A do tego naszej podróży nie można tak naprawdę nazwać morską. Ren jest niezwykle łagodnie usposobioną rzeką. Zawsze zastanawiałam się, skąd twoi ludzie biorą odwagę, żeby w tych niewielkich łódeczkach wypływać na morze. Więc jak to jest, że robi ci się od razu niedobrze?

- Nie jest mi niedobrze - zaprzeczyła dziewczyna.

- Zatem twoja twarz zawsze przybiera ten ładny zielony odcień?

- dopytywała się kobieta.

- Zaraz zrobi ci się lepiej - wtrącił się Guthenfels. - Jak tylko obrócimy statek do prądu.

W pierwszej chwili Katharina pomyślała, że baron je podsłuchał, ale potem zdała sobie sprawę, że wcale nie musiał. Statek był tak mały, że i bez tego wszędzie słyhać było każde słowo.

- Co ty zrobisz, kiedy rzeczywiście znajdziesz się na pełnym morzu? - drażyła Vera.

- Nigdy przecież nie byłam - niechętnie odrzekła dziewczyna. - I z całą pewnością nigdy nie będę.

- Dziewczyna wikingów, która nigdy jeszcze nie była na pokładzie statku? - zdziwiła się kuglarka. - A ja myślałam, że przychodzi ci na świat z błonami pławnymi i skrzelami.

Gdyby nie zmusiła się ostatnim wysiłkiem woli, musiałaby się serdecznie roześmiać na te słowa. A tak potrząsnęła tylko głową i demonstracyjnie wpatrzyła się w pustkę, nie zwracając na Verę uwagi.

- Nie jesteś zbyt rozmowna, co?

- Ty za to gadasz jak najęta.

Katharina umyślnie odrzekła **nieprzyjaznym tonem**, lecz najwyraźniej nie zrobiło to na Verze wrażenia.

- Cóż można zarzucić odrobinie rozrywki? - zapytała. - Mamy przed sobą długą podróż. Chcesz ją przepędzić na wywiercaniu spojrzeń dziur w piankach? To nie najlepszy pomysł. Nie mam najmniejszej ochoty płynąć w pływ z powrotem do brzegu, a może ty masz?

- Nie umiem pływać.

- Nie umiesz... - Kobieta zrobiła wielkie oczy. - Wikińska dziewczyna, która ma chorobę morską i nie umie pływać? To coraz bardziej zwariowane!

- Nie jestem wikinką - odrzekła Katharina. - W każdym razie...nie taką z prawdziwego zdarzenia.

- Jednak Erik jest twoim dziadkiem? - spytała kuglarka, która zaczęła sprawiać wrażenie coraz bardziej zdezorientowanej - a Arla jest twoją ciotką?

- Uhm - bąknęła Katharina.

- Uhm nie jest satysfakcjonującą odpowiedzią - odparła Vera.

Chociaż muszę przyznać, że od czasu do czasu sama się do niej uciekam.

-To... skomplikowane.

- Mamy czas. Cóż, ja w każdym razie nie mam nic w planach na resztę dnia. A ty masz?

- Na resztę dnia...? Jak długo... to znaczy, dokąd my właściwie płyniemy?

- Najpierw do warowni Zons - odpowiedział zamiast Very Guthenfels. Teraz znowu słyszał każde słowo i nawet podszedł bliżej, choć dziewczyna tego nie zauważyła. - Stamtąd pojedziemy dalej konno, kolejny dzień, może dwa.

- Zons? - stęknęła kuglarka. - Ależ to potrwa dwa dni, tą łupiną!

- Jeśli wiatr zelżeje, to może nawet dłużej - ze spokojem przyznał baron. - Ale przecież sama właśnie powiedziałaś: w tej chwili nie mamy nic lepszego do roboty. - Opadł przed nimi w kucki, podparł się przedramionami na kolanach i pozwolił dłoniom się kołysać, po czym przyjrzał się najpierw Verze, a potem, dłużej i w głębszym zamyśleniu, Katharinie.

- Tak czy inaczej, mamy dużo czasu - powiedział. - A ja jestem tak samo ciekawski, jak twoja przyjaciółka. Twój dziadek opowiedział mi o tobie to i owo, ale z pewnością nie wszystko. Czemu byś nie miała opowiedzieć nam reszty historii?

Katharina nie była pewna, czy tego chciała. Baron zu Guthenfels był przyjacielem jej dziadka i jako takiemu ufała mu, oczywiście...nie wiedziała, jak dalece może ufać dziadkowi.

- No cóż, nie musisz, jeśli nie chcesz - kontynuował, kiedy przez dłuższy czas tylko patrzyła na niego w milczeniu. - Większość i tak już znam, a resztę możesz mi wyjaśnić innym razem, gdy będziesz mieć na to ochotę... albo i nie.

Wstał i odszedł z powrotem na dziób statku, gdzie zaczął cicho rozmawiać z jednym z żeglarzy. Vera spojrzała na

niego z dezaprobatą, a gdy się odezwała, zrobiła to przyciszonym i trochę zaniepokojonym głosem. - Nie powinnaś tak z nim rozmawiać.

- Wydaje mi się, że wcale z nim nie rozmawiałam - odrzekła Katharina, jednak kobieta pokręciła tylko głową z wyrazem rosnącego niepokoju.

-Wiesz, o co mi chodzi, mała - powiedziała - on tu jest panem.

Takim nie można ufać, ale należy im odpowiadać, kiedy zadają pytanie.

- O nic mnie nie pytał - odparła dziewczyna.

Vera przewróciła oczami. - A jesteś pewna, że w rzeczywistości sama nie jesteś wysoko urodzona? W każdym razie tak samo puszysz się i pleciesz farmazony. Ale słuchaj, co ci powiem: panom nie można ufać. Kiedy ostatnio to zrobiłam, omal nie przypląciłam tego życiem.

- Wiem - powiedziała Katharina - byłam przy tym. - Mimo to pokręciła głową. - Ale to co innego. Pardeville'owi nie można ufać.

- Za to przyjacielowi twojego dziadka można? - spytała drwiąco Vera. -Wyjaśnij mi coś: tego samego dziadka, który właśnie cię odesłał?

Dziewczyna spiorunowała ją wzrokiem i chciała coś stosownie odpowiedzieć, jednak wciągnęła tylko krambrnie dolną wargę między zęby, zmilczając jej docinki. A nuż kuglarka miała rację? To że jej dziadek i Arla jawnie ufali baronowi, nie znaczyło jeszcze, że także ona mogła. Do tej pory poznała tylko dwóch innych rycerzy i nie potrafiłaby powiedzieć, który z nich był gorszy, Ellsbusch czy Guy de Pardeville, ale być może kuglarka miała jednak rację i oni wszyscy tacy byli.

Dlaczegoż by nie? Ostatecznie Bóg z pewnością miał coś na myśli, kiedy dzielił świat na biednych i bogatych.

Ktoś zaczął głośno przeklinać. Vera podniosła głowę i na jej twarzy zagościł wyraz pomieszanej z osłupieniem złości. Również Katharina oderwała się ze swoich ponurych rozważań i spojrzała w górę.

Małpka wspięła się na sam szczyt pochyłej rei i obsypywała załogę zuchwałymi obelgami, strojąc pociesznie grymasy, nie poprzestała jednak na tym, lecz zaczęła z właściwą jej zręcznością majstrować coś przy takielunku, a cokolwiek wyczyniała, najwyraźniej nie podobało się jednemu z mężczyzn. Rad nierad wspiął się za nią na maszt, ale był przy tym co najmniej tak samo niezdarny jak Dwegr zwinny, wywołując w grupie towarzyszy drwiące śmiechy i co najmniej równie tyle szyderstw. Mężczyzna wspinał się dalej z rosnącym zacierzowaniem, lecz kiedy w końcu prawie dotarł do małpki, ta wycięła kawał i zeskoczyła na pokład, kpiarsko paplając. Jednym susem znalazła się na ramieniu Very, a nieszczęśnik w górze na maszcie mógł być teraz pewien, że usłyszy złośliwy śmiech swoich kolegów.

- Tak - zauważyła Katharina - bez wątpienia wiesz, jak zjednywać sobie przyjaciół.

- Tego nabywa się tylko przez przebywanie w niewłaściwym towarzystwie - powiedziała Vera. - Odkąd jesteśmy z wami, po prostu już mnie nie słucha.

- A ponoć to wagabundzi mają zszarganą reputację - odparowała dziewczyna.

- Nie gorszą niż wy wikingowie - odwzajemniła się Vera. - Kiedy się nad tym zastanowić, to nawet lepszą. My tylko okradamy ludzi, ale nie palimy im domów i nie podrzynamy gardeł.

- To właśnie robicie? - spytała Katharina. - Kradniecie i oszukujecie?

Z wyjątkiem Very nie spotkała jeszcze żadnego wagabundy, ale naturalnie słyszała, jak ludzie w Ellsbusch (zwłaszcza ojciec Cedric) o nich mówili.

- Ja nie kradnę! - odparła urażona kuglarka. - Czasami zabieram może, co mi się należy, nigdy nic ponadto. Życie jest twarde, moje dziecko. Musisz brać to, co ci przysługuje. Jeżeli czekasz, że ktoś odda ci to dobrowolnie, lub co gorsza wierzysz, że zostaniesz uczciwie potraktowana, to przeżyjesz gorzkie rozczarowanie.

Co do tego miała pewnie rację, pomyślała Katharina, ale w tym momencie w ogóle nie była w nastroju na tego rodzaju rozmowy. Nie odpowiedziała, za to z pozornym zainteresowaniem przyglądała się żeglarzowi, który schodząc po maszcie równie nieelegancko, jak po nim wchodził, sprowadził na siebie kaskadę złośliwych rechotów rozbawionych towarzyszy. Piorunując małpkę wzrokiem, który płonące polano w okamgnieniu przemieniłby w bryłę lodu, przeszedł obok kobiet na rufę żaglowca. Dziewczyna odprowadziła go spojrzeniem, potrząsając głową, lecz uśmiech rozbawienia zamarł jej na ustach.

Niezauważenie statek wypłynął tymczasem na środek rzeki i za sprawą trójkątnego żagla zaczął nabierać zadziwiająco dużej prędkości pod wiatr i pod prąd. Oddalili się już na znaczną odległość od zakola rzeki, za którym leżał Bjarnisund, więc oczekiwała, że zobaczy za sobą całkiem już opustoszałą rzekę; co byłoby aż nadto nieprzyjemne.

Dużo gorszy był wszelako widok trzech smukłych smoczych łodzi, płynących w rytmie uderzeń wiosel z wydętymi żaglami. Zbliżały się powoli ku środkowi rzeki i obracały na północ, podążając za czwartym, bardziej ociążalym statkiem, który wypłynął przed nimi i jako najwolniejszy w tym małym konwoju nadawał tempo.

Wtem zza zakola rzeki wzbił się w powietrze zrazu szary, potem czarny dym, niczym ciężkie, złowieszcze chmury, niechętnie się wznoszące, przez moment przeciwstawiające się wiatrowi. Wreszcie zdawało się, że porzuciły tę beznadziejną walkę i wyleciały nad rzekę, żeby podążyć za wiosłującymi łodziami. Było ich coraz więcej i więcej.

- Co... tam się... dzieje? - wyjąkała.

- To Bjarnisund - powiedział Guthenfels. - Płonie.

- Płonie?! — powtórzyła przerażona. - Ale co...?

Baron podniósł uspokajająco rękę. - Twój dziadek ci nie powiedział?

- Czego?

- Że podpałą za sobą miasto.

- Podpałą? - powtórzyła bezmyślnie. - Co to ma znaczyć? Cóż za nonsens! Dlaczego mieliby puszczać Bjarnisund z dymem? To ich dom!

- Bo nie rzucają słów na wiatr? - podsunęła Vera.

-Ale to przecież... -zaoponowała Katharina, a Guthenfels przerwał jej po raz drugi równie zniecierpliwionym co władcym gestem; ruchem ręki, który wyraźnie wskazywał, że nie był przyzwyczajony do powtarzania swoich rozkazów.

- Twoja przyjaciółka ma rację - powiedział. - Podpalili Bjarnisund, bo nie ma już dla nich odwrotu. Może to uspokoi tego lub owego, kto w przeciwnym razie nalegałby, żeby ich ścigać... ale sędzę, że przede wszystkim twój dziadek chciał chyba pokazać waszym ludziom, jak poważnie traktuje swą decyzję.

Dziewczyna prawie nie słuchała. Wpatrywała się w czarny dym, obserwowała odpływające niespiesznie w dal łodzie i czuła, jak ciężało jej serce w piersi i twardniało na kamień. Guthenfels miał chyba rację, z punktu widzenia Erika dosłowne spalenie za sobą wszystkich mostów miało rzeczywiście sens. Może to nawet skłoni Wulfgara do wypuszczenia Ansgara, pokazując mu, że jego brat za nic nie zamierzał ulec jego groźbie.

Mimo to poczuła gorące łzy ciekące jej po policzkach, tym razem nie próbowała ich nawet powstrzymać. Widziała tylko dym, nie szalejące za zakolem rzeki płomienie, mimo to czuła jak z bólem wżerały się w jej duszę, gdyż to, co trawiły tam za zakrętem rzeki, nie było jedynie miastem za drewnianą palisadą. Tam w tyle jej życie i jej przyszłość rozpadały się w szary popiół, porywany przez wiatr, wywiewany nad rzekę.

\*\*\*

Dokładnie jak przepowiedział baron zu Guthenfels, podróż ciągnęła się bez końca. Już rejs w dół Renu na Werdandi jej się dłużył, ale przeprawa w odwrotnym kierunku na znacznie ociążalszym i wolniejszym żaglowcu zdawała się jej literalnie niekończącą.

Vera w pewnym momencie dała sobie spokój z narzucaniem się z rozmową i poszła między mężczyzn. Raz dwa wdała się z nimi w pogawędkę i już wkrótce pokład rozbrzmiał jej głośnym śmiechem i sprośnymi uwagami osobników płci przeciwnej. Katharina przez chwilę zastanawiała się, czyby nie wstać, nie podejść do niej i jej nie przeprosić, ale i tym razem górę wzięła krnąbrność, więc dla odmiany zlitowała się w końcu nad kotami i otworzyła koszyczek, żeby uwolnić je z więzienia.

Niewiele miała z nich pociechy. Hugin i Munin poskarżyły się głośnym piszczeniem, że tak długo trzymano je w zamknięciu w mrocznym koszu, za karę wzgardziły jej towarzystwem i w oka- mgnieniu ulotniły się, żeby zbadać otoczenie. I tak Katharina wypełniła z grubsza resztę tego niekończącego się dnia czekaniem, aż ów dzień przeminie.

Noc nie była wcale lepsza. Płynęli jeszcze długo po zachodzie słońca i jej nadzieja, że będzie mogła się przynajmniej

wyspać na podściółce w miejscu, które nie będzie stale kołysać się na boki, nie ziszcła się. Kiedy zrobiło się już zbyt ciemno na kontynuowanie żeglugi, statek przybił do brzegu na płyciźnie, ale nikt się nie poruszył, żeby zejść na ląd.

Gdy dziewczyna obudziła się następnego ranka, niewyspana i z obolałymi od niewygodnej pozycji plecami, byli już w drodze.

Ten dzień zdawał się jej jeszcze bardziej dłużyć, a statek jeszcze wolniej posuwać do przodu, chociaż wiatr zmienił się około południa, tak iż nie musząc już żmudnie halsować, wyczuwalnie nabierali prędkości. Odnosiła wrażenie, jakby za sprawą tajemniczego czaru brzeg przesuwiał się wraz z nimi, w miarę jak orali brudne fale.

Dopiero późnym popołudniem otoczenie zaczęło wyglądać swojsko.

Nigdy nie widziała swoich okolic z rzeki, bo przez całe życie unikała postawienia choćby stopy na łodzi, ale mimo nieznanej perspektywy rozpoznawała *to* i owo: wielkie drzewo, pod którego korzeniami w ubiegłym roku znalazła garść pysznych trufli, płytkie miejsce, w którym starsi chłopcy czasami brodzili aż po biodra, by zarzucać sznurki z przynętą, a wreszcie skalny występ, gdzie po raz pierwszy spotkała Ansgara.

Ten widok zbił ją z tropu, ponieważ rzeczy stąd oglądane przedstawiały się zupełnie inaczej, niż je zachowała w pamięci, miały jednak w sobie coś niepokojąco swojskiego, a przy tym nieprzyjemnego.

Z tym miejscem - zwłaszcza w ostatnich godzinach, które tutaj spędziła - wiązało się zbyt wiele złych wspomnień, żeby naprawdę się cieszyła, że je widzi. Po chwili jednak wstała i podeszła do niskiej burty po drugiej stronie statku, żeby mieć lepszy widok na brzeg.

Potem zobaczyła także Ellsbusch - a raczej to, co z niego zostało.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała na skarpie w oddali, był kościółek ojca Cedrika. Kamienne ściany stały jeszcze, ale dach wraz z ciężkim belkowaniem po prostu zniknął, a ostałe szczątki murów szerniały od sadzy. Nad brzegiem wisały rzadkie opary, z pewnością nic innego jak mgła, może kurz, wzniecony wiatrem lub przejściem zwierząt, lecz jej wyobraźnia i wspomnienia zrobiły z nich dym trawiącego ognia, a z cichego huczenia żagla nad głową i szmeru męskich głosów wokół - łoskot walących się ścian i krzyki umierających. Serce zaczęło jej bić szybciej.

Czuła, że ktoś do niej podszedł, ale nie spojrzała w tę stronę, nie mogąc oderwać wzroku od strasznej wizji. Z tej odległości mogłaby dostrzec co najwyżej szczyty dachów, jeden czy drugi komin, tymczasem nie było tam zupełnie nic. Jedyne mgliste drżenie pyłu, co do którego wyobraźnia podsuwała jej, że to dym.

- Nic nie pozostało - odezwał się stojący obok niej baron zu Guthenfels. Nie spojrzała na niego, ale rozpoznała jego głos i usłyszała cichy brzęk, z jakim ocierały się o siebie pierścienie jego kolczugi, kiedy się poruszał. - To twoja rodzinna wieś, nieprawdaż?

Katharina skinęła głową w milczeniu. Miała ściśnięte gardło.

Znowu musiała walczyć ze łzami, czego sama nawet nie rozumiała.

Nie tylko wybujała wyobraźnia czyniła jej wstręty, z rosnącym entuzjazmem wskrzeszając z pamięci obrazy grozy. Guthenfels miał rację, tutaj był jej dom; pomijając minione właśnie tak drogie jej dni, było to jedyne życie, jakie знаła, nawet jeśli wiązało się z nim niewiele pięknych wspomnień; miejsce jej dzieciństwa, jej ojczyzna. Zobaczyć je leżące w gruzach - dokładnie rzecz biorąc, nie widząc go wcale, co było jeszcze gorsze - bolało.

- Co... co też tu się stało? - wyrzuciła z siebie z trudem.

Kolczuga Guthenfelsa zachrząściła głośniejsze, kiedy zaskoczony odwrócił głowę, żeby spojrzeć na nią z góry. - Myślałem, że wiesz.

Nie byłeś przy tym?

Dziewczyna odpowiedziała ruchem głowy, który mieścił się gdzieś pomiędzy pokręceniem a skinieniem oraz nieznacznym uniesieniem ramion. - Oni... wszyscy byli martwi - szepnęła. - Zabili ich wszystkich.

- A potem spalili wieś - dodał baron.

Z narastającym niepokojem i rozpaczą Katharina przeczesywała wzrokiem położony wyżej brzeg, szukając jakiegoś śladu wsi, ale nie było tam nic. Pokręciła głową. - Nie, kiedy tu byłam - szepnęła.

- Jesteś tego całkowicie pewna? - zapytał Guthenfels.

Teraz jednak oderwała wzrok od straszliwie pustego brzegu i spojrzała w górę na barona, ten zaś zdawał się pojmować, że zadał głupie pytanie, bo po twarzy przemknął mu uśmiech zakłopotania i zaraz zniknął. Tak, była pewna,



że wieś nie stała w jasnych płomieniach, kiedy przeszukiwała domy jeden po drugim, znajdując tam śmierć i grozę. Oszczędziła sobie odpowiedzi na głos.

Podczas tej krótkiej rozmowy podeszła do nich Vera. Patrzyła teraz z równą uwagą (i o dziwo, z równie strapioną miną) w kierunku, w którym kiedyś była wioska. - Ależ to nie ma żadnego sensu - wymamrotała.

Guthenfels przytaknął głową. - Zwłaszcza iż jest dość świadków, którzy widzieli, jak Normanowie spalili zamek, wrócili na swój statek i odpłynęli - dodał.

Dziewczyna patrzyła zmieszana to na jedno, to na drugie. Daremnie usiłowała dociec sensu ich słów. Miałyby go tylko wtedy, jeśli...

I wtedy zrozumiała. - To nie byli wojownicy Wulfgara - mruknęła.

Ani kuglarka, ani baron nic na to nie odpowiedzieli, ale ten ostatni skinął głową, a jego oczy nabrały jeszcze bardziej zmartwionego wyrazu. Przez dość długi czas spoglądali w milczeniu tam, gdzie kiedyś leżała jej rodzinna wieś, aż wreszcie czarna sylwetka spalonego kościoła zniknęła w mglistej dali. Dopiero wtedy bardzo powolnym ruchem baron odwrócił się całym ciałem do Kathariny i spojrzał jej przenikliwie i z powagą w oczy.

- To teraz ważne, moje dziecko - zaczął. - Twój dziadek już mi wszystko opowiedział, tak jak to usłyszał od ciebie, ale chcę, żebyś spróbowała sobie jeszcze raz dokładnie przypomnieć. Czy kiedy wróciłaś do wsi, wszyscy byli martwi?

- Poza ojcem Cedrikiem - potwierdziła Katharina. Złe przeczucie, które męczyło ją cały ten czas, zmieniło się w zgoła coś innego.

- I nigdzie się nie paliło? - ciągnął baron. Szybko podniósł rękę, gdy chciała od razu odpowiedzieć. - Pomyśl dobrze. Najmniejsza nawet belka? Najdrobniejszy ogień, który mógł się później rozprzestrzenić?

Katharina chciała impulsywnie potrząsnąć głową, ale zauważywszy powagę we wzroku Guthenfelsa, spróbowała ponownie przywołać przed oczy tamte straszliwe chwile, kiedy błądziła po wyzutej z życia wsi. Na koniec pokręciła jednak milcząco głową.

Guthenfels westchnął głęboko. - I w drodze powrotnej spotkałaś Guy de Pardeville'a - upewniał się.

- Tak. Ale...

- Więc to oni spalili wioskę? - spytała kuglarka, marszcząc czoło.

- Ale po co, skoro wszyscy już nie żyli?

- Nie wiem - odparł Guthenfels. - Być może, żeby jeszcze bardziej zepsuć opinię Erikowi i jego rodzinie albo żeby zatrzeć jakieś ślady. Dowiemy się tego. - Odwrócił się do czarnowłosej kobiety. - Tym istotniejsze jest, żebyś nam towarzyszyła w drodze na dwór i tam opowiedziała, co się wydarzyło w Santen. I ty też - dodał, zwracając się do Kathariny.

- Na dwór?

- A ty myślałaś, że dokąd płyniemy? - zapytał Guthenfels z uśmiechem. - Obiecałem twojemu dziadkowi, że wyjaśnię tę sprawę, a jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Nie ma znaczenia, czy odeszli, czy nie. Naszym zadaniem jest zapewnienie w tym kraju spokoju i porządku. Jeżeli za tym spiskiem rzeczywiście kryje się Guy de Pardeville, zadbam o to, żeby poniósł karę.

- Czy kiedykolwiek ktoś taki jak hrabia zostanie za coś ukarany? - parsknęła Vera. Guthenfels wprawdzie rzucił jej gniewne spojrzenie, ku zaskoczeniu Kathariny na tym jednak poprzestał, a kobieta dodała: - On już wygrał.

- Tak, na to wygląda - zgodził się posępnie baron. - Może nawet dobrze, jeśli sam w to wierzy. Ale ta sprawa jeszcze się nie zakończyła. Młyny Boże miały wolno, a żarna sprawiedliwości jeszcze wolniej, ale miały, zdaj się na to.

Najwyraźniej kuglarka tego nie zrobiła, bo raz jeszcze ściągnęła pogardliwie usta, jednak z rozsądku na tym poprzestała, nie chcąc nadużywać cierpliwości Guthenfelsa. Baron też zamilkł, odwrócił się tylko i uważnie powiódł wzrokiem po brzegu, jako że roślinność znowu podchodziła bliżej wody. Coś w tym widoku zdawało się go niepokoić i Katharina nagle przypomniała sobie o poranku, kiedy w zaroślach na drugim brzegu spostrzegła błysk metalu. Nie chciała o nic pytać, lecz zastanawiała się z niepokojem, czy istniał powód, dla którego statek uporczywie trzymał się środka rzeki; tym samym oddalony od obu brzegów najdalej jak to możliwe.

Przez jakiś czas - na tyle długo, żeby z jej niejasnego niepokoju uczynić dręczącą obawę - stali w milczeniu jedno obok drugiego, obserwując z wolna przesuający się brzeg, aż w końcu Guthenfels odwrócił się z prawie niesłyszalnym

westchnieniem i przeszedł na dziób, żeby wydać ludziom jakieś polecenia.

Katharina oczekiwała, że i Vera sobie pójdzie - jak poprzednio schodząc jej z drogi, na tyle, na ile mogła na tym małym stateczku - lecz ona nadal stała obok, patrząc na nią z zachętą w oczach. Nie wiedziała, co powiedzieć, czego właściwie ona od niej chce. Wszakże zmusiła się do wątlęgo uśmiechu, a to zdawało się kobiecie w zupełności wystarczać.

- Przeszłaś tak wiele, dziecko - powiedziała.

-Jakoś to było - odrzekła monosylabami dziewczyna.-I przestań wreszcie mnie nazywać dzieckiem. Albo małą - dodała, kiedy Vera zbierała się do odpowiedzi. - Mam imię.

- Myślę, że nawet kilka - odparła niezrażona kuglarka. - Które więc raczysz wybrać?

Impulsywnie chciała rzucić Kara, to, które jej nadał Ansgar, ale zawahała się. Choćby to było jej prawdziwe imię, nierozdzielnie wiązało się z życiem, którego już nigdy nie zazna. Nawet jeśli Arla dotrzyma słowa, minie co najmniej rok, nim znów zobaczy ją, Erika i wszystkich innych. Rok to niewiarygodnie długi czas, kiedy jest się tak młodą jak ona.

- Katharina - rzekła w końcu.

- Wiem - uśmiechnęła się Vera. - Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie. Chcę przez to powiedzieć, że to i owo posłyszałam, ale co innego zobaczyć to na własne oczy. Co się stało?

Było to w zasadzie to samo pytanie, które zadał jej już Guthenfels, a Katharina mu nie odpowiedziała - dlaczego więc Vera sądziła, że otrzyma odpowiedź?

Dziewczyna nie wiedziała tego, podobnie jak nie potrafiła sobie wyjaśnić, dlaczego po krótkim wahaniu usiadła i poczekawszy, aż Vera zajmie miejsce obok niej, opowiedziała jej całą historię; może z jednym czy dwoma małymi opuszczeniami, bo było przecież parę rzeczy, które kuglarkę nic nie obchodziły. Większość jednak przedstawiła szczerze i otwarcie, a Vera słuchała z rosnącym zdumieniem.

- Tak - rzekła ponownie, gdy Katharina doszła do końca swojej opowieści, a krąg się zamknął wraz z ich pierwszym spotkaniem na rynku. - Można powiedzieć, że naprawdę sporo przeszłaś, mał...

Katharino.

-A to jeszcze nie koniec - westchnęła dziewczyna. - Wulfgar nie odpuści. Nie wiem, dlaczego za wszelką cenę chce mnie dostać ani co sobie po tym obiecuje.

- Być może chce wyeliminować jedyne świadka, który widział, kto naprawdę zabił grafa Ellsbuscha? - wpadła jej w słowo Vera.

Katharina zaśmiała się, cicho i niewesoło. - Któż by mi uwierzył?

- Baron zu Guthenfels na przykład? - spytała kobieta, wykonując gest w kierunku szlachcica. - Myślę, że nie byłoby cię tutaj, gdyby ci nie wierzył.

- Cóż z tego... - westchnęła Katharina.

- Nie powinnaś lekceważyć swojego nowego dobroczyńcy- przestrzegła z powagą kuglarka. - Słyszałam o nim to i owo. Nie ma wprawdzie pod rozkazami wielkiej armii ani nie panuje nad wyjątkowo bogatymi ziemiami, ale ma wielu wpływowych przyjaciół i mówią, że jego głos wiele znaczy na dworze cesarza.

- Aha - bąknęła dziewczyna. - To mnie uspokaja... a co to dokładnie znaczy?

- To się nazywa polityka, mała - wyjaśniła z uśmiechem Vera. - Ale nie łam sobie tym głowy. Myślę, że zajmie się tym za ciebie nasz szlachetny anioł stróż.

Polityka? Tak, słyszała już to słowo, nie zastanawiała się jednak nigdy, co znaczy. I przeczuwała, że wcale nie chciała wiedzieć.

- Głowa do góry- kontynuowała Vera, chyba po raz kolejny błędnie tłumacząc sobie jej milczenie. - Najpóźniej jutro będziemy w Zons, a wtedy będziesz bezpieczna.

- Hm - mruknęła Katharina. - A ty?

- Ja? - skrzywiła się kobieta, jakby to było absurdałne pytanie. - Potrafię o siebie zadbać, bez obaw. Potrzeba czegoś więcej niż zbiegłego barbarzyńcy z północy, żeby mi napędzić strachu.

- Dwa cale zaostzonego żelaza? - podsunęła dziewczyna.
- Co najmniej trzy - stwierdziła Vera. - Dwa nie wystarczą. Tego już próbował.

\*\*\*

Jeśli było coś dobrego w tej szarpiącej nerwy powolności, z jaką posuwali się naprzód, to to, że Katharina znalazła dość czasu na odzyskanie sił. Podczas gdy dzień zdawał się ciągnąć jak smoła, robiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić: ucinać drzemki. Cuchnąca maść Arli także dobrze jej robiła. Pewnego razu późnym popołudniem, nie wytrzymując już swędzenia, a przede wszystkim zapachu, zaczęła odwijać lepiałe się od brudu bandaże, po czym wychyliła się za burtę, żeby umyć ręce w rzece. Kiedy je wyciągnęła, były czyste i szczypały od zimna, ale brzydkie pęcherze prawie poznikały, kiedy zaś poruszała palcami, prawie nie czuła bólu.

- To nadzwyczajne - powiedziała Vera. Obserwowała ją, a teraz podeszła bliżej i - znowu bez pytania - z nieskrywanym zaciekawieniem przyglądała się jej dłoniom.

- Nie było z nimi aż tak źle - oświadczyła dziewczyna, zebrała jednak tylko spojrzenie z ukosa i jeszcze żywsze kręcenie głową.

- Nie wygaduj głupstw, mała. Widziałam, jak szkaradnie się poparzyłaś. Twoja ciotka zna się na starej sztuce uzdrawiania, co?

- Trochę - odrzekła Katharina, a kuglarka sapnęła lekceważąco.

- To nie była błahostka - upierała się. - Tak samo jak to, co twój dziadek zrobił ze mną. O szerokość palca głębiej i wypatroszyłby mnie jak rybę. Myślałam, że już po mnie, ale wtedy wkroczyła twoja ciotka i teraz już nie czuję tej rany. - Demonstracyjnie (i niezbyt mocno) uderzyła się otwartą dłonią w bok (nie ten, w który trafiło ją ostrze noża, lecz drugi, jak nie omieszkała zauważyć Katharina), boleśnie wykrzywiła wargi i poprawiła się: - No tak, prawie.

- Wyglądasz jak okaz zdrowia - zadrwiła dziewczyna.

- Dokładnie tak jak ty - odwzajemniła się uszczypliwością Vera, ale potem spoważniała, a jej głos przycichł. - Może nie powinniśmy mówić o tym zbyt głośno. Niektórzy ludzie mogliby to opacznie zrozumieć.

- Co masz na myśli?

- Sama znam się trochę na uzdrawiającej mocy natury, wiesz? - odpowiedziała. - Choć nie tak dobrze jak Arla. Ale wiem, jak szybko ludzie sięgają po słowo „czary”. Lepiej zostań przy tym, że nie było z tobą aż tak źle. Tak jak ja.

- Hm - mruknęła po raz kolejny Katharina. W pierwszym momencie słowa kuglarki wydały jej się przesadzone, ale potem spróbowała sobie wyobrazić, co by na to powiedział ojciec Cedric, i musiała jej przyznać w duszy rację. Lepiej, jeśli nie będą poruszały tego tematu przy zbyt wielu nastawionych uszach.

Rozmawiały jeszcze przez jakiś czas o tym i owym, a kiedy słońce zbliżyło się do wierzchołków drzew na zachodzie i w końcu je dotknęło niczym płomienna kula czystego światła, po prawej stronie z zapadającego zmierzchu wyłoniła się sylwetka potężnej budowli.

Katharinę znowu ogarnęło niedobre przeczucie, chociaż nie potrafiła określić jego przyczyny. Vera spoglądała przez moment w za- dumie na już w połowie rozmyty cień, wreszcie wstała, żeby mieć lepszy widok. - Co to... jest?

Skąd mam to wiedzieć, pomyślała Katharina. Potem jednak zastanowiła się chwilę, próbując oszacować czas, w jakim statek sunął po Renie, od kiedy zostawili za sobą ruiny Ellsbusch.

- To musi być zamek Pardeville - powiedziała.

Vera przytaknęła, ale już po chwili pokręciła głową, mówiąc zamyślnym tonem: - To nie jest zamek Pardeville. Ja... znam ten zamek. Już raz tam byłam.

- Ale to musi być on - powiedziała z naciskiem dziewczyna.

- Nie ma żadnego innego zamku pomiędzy Ellsbusch a Novaesium.

- To zamek... - kuglarka zastanawiała się przez chwilę - Hiilchrath?

- Obie macie rację - wtrącił się baron zu Guthenfels. - Musiało upłynąć wiele czasu, od momentu, kiedy tam byłaś.

- Z pewnością dziesięć lat - odrzekła kobieta. - Może więcej. Ale zapamiętałam tę dziwną nazwę.

- Guy de Pardeville otrzymał ten zamek w lenno, po tym jak jego poprzedni właściciel popadł w niełaskę. Pierwsza rzecz, jaką zrobił, to zmienił nazwę, próżny fircyk. To nie przysporzyło mu wielu przyjaciół w sąsiedztwie... Żeby tylko to... - Zrobił odtrącający gest.

- Ucieszę się, kiedy przepłyniemy przez to miejsce. Do północy będziemy w Novaesium, może wcześniej, stamtąd do Zons już niedaleko.

- Dlaczego tam nie przenocujemy? - spytała Vera.

- W Novaesium? - Szlachcic pokręcił głową. - To miasto jest małe, a to oznacza, że Pardeville ma tam przyjaciół. W Zons stacjonuje garnizon, na którym mogę polegać. Gdybym wiedział, jak poważna jest sytuacja, od razu bym ich ze sobą przywiódł, a tak... - westchnął głęboko. - Ten szalony Frank musiał zupełnie postradać zmysły! Ale bez obaw - dodał z trochę nazbyt optymistycznym uśmiechem - jeszcze godzina, najwyżej dwie i będziemy bezpieczni.

Co znaczyło tyle, pomyślała Katharina z gęsią skórką na plecach, że teraz nie byli. Na wszelki wypadek zachowała tę myśl tylko dla siebie.

- Przyspieszcie no tam tempa! - rzucił Guthenfels podniesionym głosem, nie zwracając się już do niej ani do Very, lecz do całej załogi, - Trzy halerze dla każdego człowieka za każdą godzinę, o którą przybędziemy do Zons przed wschodem słońca.

Na pokładzie natychmiast wzniesił się tumult. Dziewczyna nie umiała określić, co dokładnie robili mężczyźni, a gdyby potrafiła, nic by jej to nie mówiło. O statkach wiedziała najwyżej tyle, że najczęściej były małe i niewygodne i że pływały na wodzie, żywiole, który napawał ją głęboką odrazą. Tymczasem łódź zdawała się rzeczywiście nabierać szybkości.

Słońce szybko teraz zachodziło. Zmierzch zmienił się w szary półmrok, a potem w ciemność i jakby tego było mało, podniosła się mgła, która rozsnuwszy się zaraz po rzece na kształt zakurzonej pajęczyny, bezgłośnie wpełzała na brzeg. Poza tym zrobiło się zimniej.

Z mgłą przyszła wilgoć i przemoczyła nie tylko żagiel, ale każdy skrawek materiału na pokładzie, nawet suknię Kathariny czyniąc ciężką i moką. Hugin i Munin wróciły i zaczęły się do niej garnać, skarżąc się głośno i piskliwie na nadejście chłodu i wtulając się ze swą moką sierścią w zgięcie jej szyi z prawej i lewej strony, jakby było jej już nie dość zimno. Mimo to zaczęła głaskać oba kociaki.

Żalosalne popiskiwanie przeszło w pomruk zadowolenia, a dziewczyna roześmiała się cicho i podniosła wzrok w sam czas, aby dostrzec, jak z mgły przed nimi wynurza się smok.

Rzecz jasna wiedziała, że nie był prawdziwy smok, a jedynie kunsztownie rzeźbiony dziób wikińskiej łodzi, ale w pierwszej chwili ta wiedza nie zdała jej się na nic, podobnie jak żadnemu z mężczyzn na pokładzie. Widziała smoka, który z szeroko otwartą paszczą i groźnie wyszczerzonymi zębami pojawił się znikąd, żeby rzucić się na nią i rozerwać na strzępy. Serce Kathariny zdawało się przemienić w kłującą kulę lodu, która jak szalona miotła się w jej piersi w górę i w dół. Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu.

I raptem czar prysł, wkoło podniósł się chór przejmujących krzyków przerażenia, a świat pograżył się w czystym chaosie.

Zdawało się, że to Fenrir dopadł ich jednym potężnym uderzeniem, po którym nastąpiła eksplozja kłębiących się świetlików, którymi światło gwiazd rozbłysło na niezliczonych hełmach, mieczach i napierśnikach z brązu. Rozległ się huk i syk przypominający poszum stada ptaków lub grającego w koronach drzew wiatru i coś wbiło się z głuchym łoskotem w pianki pokładu zaledwie o piędź od jej stopy.

Przez połowę uderzenia naraz nieskończenie ciężkiego serca wpatrywała się bezmyślnie w upierzonego posłańca śmierci, nie rozumiejąc tego, co widziała, następnie ów dźwięk się powtórzył, głośniejszy, szybszy, bardziej dudniący, jak syjący wokół niej po pokładzie grad i rozbrzmiało jakieś przestraszone raczej niż podszyte bólem stęknienie. Jeden z ludzi Guthenfelsa zatoczył się, wymachując dziko ramionami, przeszedł tyłem obok niej i padł ciężko na pokład; strzała przebiła jego udo tuż pod krótką kolczugą.

I wtedy rozpełtało się prawdziwe piekło. Statek zatrzęsł się niby trafiony pięścią niewidzialnego olbrzyma. Wrzaski, całe ich dziesiątki, jak jej się zdawało, wypełniły powietrze, mieszając się z potwornym chrupaniem rozszczepianego drewna i nieprzerwanym sykiem i dudnieniem śmiertcionośnego pierzastego gradu. Koty zniknęły z jej ramienia z przerażonym fukaniem, ktoś krzyknął jej imię, lecz nie była w stanie ustalić kierunku, z którego dochodził głos, ani też go

nie rozpoznała. Statek zatrzęsł się po raz drugi, jak pod pięścią niewidocznego giganta, i tym razem poczuła jak głęboko pod stopami coś pękło w kadłubie łodzi.

Wstrząs był wystarczająco silny, żeby cisnąć nią o pokład; upadła na twarz i ręce. Zabolęła ją, tak ostro, że wrzasnąwszy, prawie straciła przytomność. Przez kilka chwil trwała chyba w oszołomieniu, bo wszystko wokół niej stało się nagle nierealne i spokojne; nawet ból w jej dłoniach choć nie zniknął, stracił na sile. Wtedy przez niską burzę przeleżała się lodowata fala -w rozedrganej wyobraźni Kathariny wyższa od masztu i rycząca jak mityczny stwór wynurzający się z głębin rzeki, żeby ją ostatecznie doprowadzić do zguby - wylądowała z ciężkim plaśnięciem na pokładzie i przemoczyła ją do suchej nitki.

Dziewczyna nałykała się wody, rozkaszała i wpadła w paniczną trwogę. Jednocześnie zimno uderzyło ją jak obuchem i przywróciło do rzeczywistości.

Choć może była to Vera, która jak anioł stróż w tej chwili zjawiała się obok niej i poderwała ją na równe nogi.

Anioł zesłany przez Boga albo przypadek - tak czy owak uratowała jej życie, bo dokładnie tam, gdzie leżała jeszcze pół oddechu wcześniej, sterczały nagle z pokładu drzące drzewca dwóch złowieszczo upierzonych strzał.

Kuglarz krzyknęła coś, co jednak zginęło w powszechnym zgiełku. Katharina widziała tylko jak poruszały się jej usta. Kolejny mężczyzna zatoczył się obok, krzyżąc i zasłaniając obiema rękami twarz.

Spomiędzy jego palców wystawała złamana strzała, a wytryskająca krew mieszała się z lodowatą pianą, która nagle zdawała się wszędzie wypełniać powietrze.

Statek przechylił się na bok, stęknął jak ogromna, żywa istota, bezskutecznie usiłująca oprzeć się zbyt potężnemu napastnikowi, i odchylił się z powrotem do poziomu z gwałtownością, która zdołała zwalić je obie z nóg. Coś syknęło ze złowrogim przydźwiękiem w powietrzu nieledwie pięćdziesiąt nad plecami Kathariny i wbiło się z głuchym kłaśnięciem w maszt, usłyszała szcęk metalu uderzającego o metal i twarde drewno, krzyki stały się jeszcze głośniejsze, ale brzmiały już jakoś inaczej.

-Wstawaj! - Vera krzyknęła rozpaczliwie. - Musimy uciekać!

Niby dokąd, pomyślała zdjęta trwogą dziewczyna. Dookoła nich świat tonął w chaosie - dosłownie! - i nie było miejsca, dokąd mogłyby uciec. Znajdowały się na statku, na środku rzeki, zbyt daleko od brzegu, by do niego dotrzeć... nawet gdyby umiała pływać. A nie umiała.

Mimo to drżąc, stanęła jakoś na nogi, pomogła kuglarce wstać i o mało co w następnej chwili znowu nie upadła, kiedy statek zatrzęsł się pod potężnym uderzeniem i w tejże chwili zaczął ociężale obracać się w miejscu. Na lewo od nich baron zgromadził wokół siebie niewielką grupkę ludzi, którym jakoś udało się ująć przed gradem strzał, po czym chwycić za broń i tarcze. Bronili się zajadle i bez widoków na zwycięstwo przed istną nawałnicą ogromnych rogatych postaci, które usiłowały przejść z Fenrira na wyżej położony pokład ich statku. Najpierw jeden, potem drugi Norman trafieni zatoczyli się do tyłu, porywając ze sobą wielu swoich towarzyszy. Niejeden wpadł do wody lub uderzył o wiosła masywnego drakkara i na krótką chwilę Katharina nabrała nadziei, że baronowi i jego dzielnej grupce uda się odeprzeć potężniejszego przeciwnika. Lecz wtedy ponownie zaświstały cięciwy łuków i trzech wojowniczy Guthenfelsa padli na pokład. Inni zgromadziwszy się wokół swego pana z wzniesionymi obronnie tarczami, na ile mogli, odparowywali wystrzeliwane ze śmiertelną celnością strzały, ale Katharina wiedziała, że jest już tylko kwestią czasu abordaż statku i wycięcie wszystkich w pień.

Wtedy stał się cud.

Może Bóg zdecydował się dać jej jednak ostatnią szansę, może nie sprzykrzyła mu się jeszcze ta okrutna gra i uznał, że jeszcze może dłużej pocierpieć, a może to po prostu zbieg okoliczności - bez względu na przyczynę, ich statek z wyczuwalnym drżeniem oderwał się od większego drakkara, sam z siebie obrócił się w nurcie i obrał kurs na leżący naprzeciw zamku Pardeville brzeg.

- Odwrót! - krzyknął Guthenfels. - Na brzeg! Szybko!

Zanim jeszcze mężczyźni zdołali dopaść wiosła albo takielunku, statek wykonał dalszy zwrot z prądem rzeki, oddalając się znacząco od Fenrira, jak gdyby usłyszał słowa barona i próbował ratować ludzi, którzy zawierzili mu swój los i życie. Przez to nagle szarpnięcie Katharina o włos znowu straciłaby równowagę, chaotycznie wymachując ramionami, próbowała utrzymać się na nogach, aż przyszło jej do głowy, aby za przykładem Very paść na kolana. W ten sposób przedstawiała mniejszy cel dla spadającego wszędzie wokół deszczu strzał.

- Schowajcie się! - zawołał niepotrzebnie baron, przebiegając obok nich. - Gdy zaatakują abordażem, skaczcie za

burtę! Spróbujemy ich zatrzymać!

- Za burtę?! - stęknęła dziewczyna. Dlaczego od razu nie wyciągnął do niej swego miecza, żeby się na niego rzuciła? To szybciej załatwiłoby sprawę.

W każdym razie Vera zdawała się wziąć to za świetny pomysł, bo nie cackając się zbyt, podciągnęła ją w górę i pchnęła przez kołyszący się pokład prosto na przeciwległą burtę, i gdyby Katharina desperackim wysiłkiem się nie oswobodziła, to pewnie z rozpędu wypchnęłyby ją od razu do wody.

- Nie! - wrzasnęła rozpaczliwie.

- Wiem, że się boisz! - natarła na nią kuglarka. - Ale uda nam się!

Do brzegu nie jest tak daleko!

Nie tak daleko do brzegu!? - pomyślała z trwogą. Stąd nie mogła go nawet dostrzec! Musiał być oddalony o milę... ach co tam, o sto!

Nie czekając na odpowiedź, Vera zdążyła już chwycić za jej ramię i bezceremonialnie pociągnąć ją ku burcie; zrozpaczona Katharina ostatkiem sił wyrwała się i wrzasnęła piskliwym dyszkantem: - Nie...!

Nie umiem pływać!

Pomogło. Kobieta puściła ją, jakby jej ramiona nagle ją sparzyły, odskoczyła pół kroku w tył i wybałuszyła na nią oczy.

- Nie umiesz pływać? - przypomniała sobie z jękiem. - No, cudownie! Tego tylko brakowało!

Vera na wszelki wypadek zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu i teraz o włos sama by wpadła do wody, gdy jej łydki uderzyły zniecała w niską burtę, więc, zamiast wypchnąć dziewczynę za burtę, musiała teraz, przeciwnie, szybko ją złapać i przytrzymać. - Do diabła! - wymamrotała pod nosem.

To bluźniercze przekleństwo zbawieniu ich dusz z pewnością nie wyjdzie na dobre, pomyślała Katharina (uznała wszakże, że w przypadku Very nie robiło to różnicy), ale kiedy obróciła się i spojrzała w kierunku smoczey łodzi, przyznała jej w duchu rację.

Fenrir faktycznie został sporo w tyle, a ciemność i gęstniejąca mgła zaczęły już zacierać jego kształty, ale nie oszukiwała samej siebie: widziała, jak szybkie i zwrotne były drakkary Normanów - nawet ogromny Fenrir - a do brzegu taki kawał drogi. Nie myliła się co do statku: nie trzymał się już równo na wodzie i zdawało się, że słyszy, jak gdzieś pod stopami do rozprutego kadłuba wlewała się z chlupotem woda. Statek tonął, a jeśli nie, to wdzierająca się woda czyniła go z każdą chwilą cięższym i wolniejszym.

- Nie damy rady! - krzyknął baron zu Guthenfels, dysząc ciężko obok i wciąż trzymając w prawicy miecz, a na drugim ramieniu wielką trójkątną tarczę, z której wystawało z pół tuzina złamanych strzał. - Musicie płynąć wplaw. W tych ciemnościach może was nie zobaczą!

- Dziewczyna nie umie pływać - odpowiedziała Vera, ruchem głowy wskazując Katharinę - a ja nie dam rady dociągnąć jej do brzegu.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - mruknął Guthenfels.

-Trzymajcie się mocno. Będzie nieprzyjemnie.

Nie przesadził, co Katharina odczuła chwilę później. Przedziurawiony statek istotnie ponownie nabrał tempa, gdy połowa mężczyzn odłożywszy broń, zajęła się wiosłami i żaglem, podczas gdy ich towarzysze z podniesionymi tarczami zajęli pozycje wokół, zapewniając im ochronę przed pojedynczymi strzałami, które ciągle wystrzeliwano z pokładu Fenrira. Ich celność wszakże malała w stopniu, w jakim rosła odległość między nierównymi sobie łodziami i już wkrótce większość z nich spadała do wody z dala od nich, nie wyrządzając szkód. Wkrótce ostrzał ustał całkowicie.

- Nie bój się, mała - wymamrotała Vera głosem, który nader wyraźnie zdradzał jej strach - uda się. Guthenfels jest dobrym kapitanem.

- Naprawdę? - bąknęła lękliwie dziewczyna. - Skąd możesz to wiedzieć? Przecież go wcale nie znasz.

- Musi być - odpowiedziała lapidarnie kuglarka - w przeciwnym razie będziemy martwe... no cóż, w każdym razie ja.

Katharina zastanawiała się, skąd Vera w takiej chwili jak ta brała siły na strojenie sobie żartów. Jakby czytając w jej myślach, kobieta dodała niewesoło, wykrzywając wargi: - Cóż bym polepszyła lamentami?

Może i racja, pomyślała Katharina. Bezczyność także nie polepszała ich położenia... chociaż to jedyna rzecz, jaka im została na następne dłużeń się minuty.

Najgorsze ze wszystkiego było stać tak po prostu i nie móc nic zrobić, a przy tym miotać się bezustannie między rozpaczliwą nadzieją a czystą grozą.

Bądź co bądź wydawało jej się, że przejrzała desperacki plan Guthenfelsa. Statek oddalił się na znaczną odległość od potężnego drakkara, jednak ku jej przerażeniu obierał teraz kurs prawie równoległe do Fenrira, wyglądało więc na to, że zamierzał staranować potężną smoczą łódź w samobójczym ataku. Potem wszakże nad ich głowami załopotał żagiel, na którego furkoczący dźwięk wzdrygnęła się z lękiem, a olinowanie zadźwięczało jak napięte cięciwy łuków.

Śmiertelnie ranny stateczek raz jeszcze przyspieszył, mknąc teraz ku brzegowi. Może jednak mieli jeszcze jakąś szansę.

Wszelako jej nie mieli. Przez bardzo krótką chwilę, wystarczająco długo, aby wykrzesać w niej iskrę rozpaczliwej nadziei, odległość między łodziami ponownie się zwiększyła... a potem jej żołądek skurczył się do grudki czystej trwogi, bo ujrzała, że Fenrir przejrzał ich manewr i również się obrócił.

Trzy razy dłuższy od ich własnego statku, drakkar także promień skreću miał odpowiednio dłuższy, ale i większy pasiasty czerwono-biały żagiel, dający wiatrowi większe pole do popisu. W końcu mężczyźni skoczyli do wiosł po obu stronach łodzi.

Odległość od brzegu skrócili niemal o połowę, nim rzeźbiona głowa smoka na dziobie Fenrira ponownie zwróciła się w ich kierunku, ale uporawszy się ze skrećem, zdawała się lecieć wprost na nich jak strzała, tak że ich dopiero co zdobyta przewaga topniała w oczach.

- Trzymaj się mnie mocno, jeśli wpadniemy do wody - powie- działa Vera. - Nie pływam zbyt dobrze, ale może dam radę odholować cię mały kawałek.

Samo wyobrażenie sobie tego wywołało w Katharinie atak paniki i trwogi. Pośpiesznie cofnęła się przed kuglarką, na ile to na tym małym statku w ogóle było możliwe.

Miała skoczyć w wodę i żywić nadzieję, że Vera ją być może żywą wyciągnie na brzeg? Prędzej chwyci za miecz i zginie w walce przeciw wojownikom Wulfgara i...

Momentalnie uświadomiła sobie swój błąd.

Jednym susem znalazła się obok Guthenfelsa i pociągnęła go za ramię. - Jest jeszcze jedna możliwość! - wydyszała. - Wiem, co możemy zrobić!

Ten omiół ją gniewnym spojrzeniem, oswobodził rękę i ponownie spojrział na nadpływającego drakkara. Jeszcze dwa lub trzy potężne uderzenia ich wiosł, pomyślała przerażona, i znowu znajdą się w zasięgu ich strzał.

- Co takiego? - spytał szlachcic.

- Wydajcie mnie! - zawołała Katharina. - Wulfgar chce mnie! Nie obawiajcie się, nic mi nie uczyni!

Mogłaby przysiąc, że widziała, jak w czaszce barona zakotłowało się; ale tylko przez krótki moment, bo zaraz potrząsnął głową. - To bezcelowe.

- Ale on chce tylko mnie, czyż nie rozumiecie! - odrzekła w desperacji. - Jeśli pójdę do niego dobrowolnie, nie będzie miał już powodu...

- ...żeby zostawić przy życiu świadków, którzy wrócą z całą armią?

- przerwała jej Vera. Obcesowo odciągnęła ją od Guthenfelsa. - Nie obawiajcie się, zabiorę ją w bezpieczne miejsce, panie. Zatrzymajcie ich, jak długo będziecie mogli!

- A wy zadbajcie, żeby ludzie dowiedzieli się, co się tutaj stało - rzekł ponuro Guthenfels - i żeby usłyszano, **kto tak naprawdę** stoi za tymi wszystkimi tchórzliwymi atakami!

Katharina chciała zaprotestować, ale Vera chwyciła ją za rękę i wykręciła na plecy z taką siłą, że wyszło z tego jedynie zduszone westchnienie. Nie zważając na opór, powlokła ją przez pokład. Jednak i tym razem nie rzuciła jej ot tak za burłę, lecz zawahała się w ostatniej chwili. Na jej twarzy malowała się wewnętrzna walka, gdy patrzyła na brzeg oddalony jeszcze o dwa lub trzy rzuty kamieniem.

Równie dobrze mógł leżeć na księżycu, bo w tym momencie Fenrir ponownie się zbliżył i tym razem napastnicy nie dawali swoim ofiarom najmniejszych szans.

Dziewczyna dopiero po fakcie zdała sobie sprawę, że deszcz śmiertelnych strzał nie powtórzył się. Guthenfels i jego ludzie zebrali się w mały oddział najeżony obnażonymi mieczami i tarczami, lecz Normanowie wyciągnęli naukę ze swego błędu. Zamiast rzucać się na swoich wyraźnie zahartowanych w boju przeciwników i zapłacić może jeszcze licznymi ofiarami, wielu z nich wyciągnęło nagle z wody ciężkie wiosła i zaczęło nimi uderzać obrońców.

Katharina obserwowała z przerażeniem jak jeden, a zaraz potem drugi mężczyzna zostali trafieni potężnym piórem wiosła i wyrzuceni za burtę; w zbrojach i ciężkich kolczugach z miejsca zatonęli.

Pół oddechu później przydarzyło jej się dokładnie to samo, kiedy Vera objąwszy ją obiema rękami, skoczyła wraz z nią do wody.

Zimno dosięgło ją ciosem w nadbrzusze. Instynktownie wrzasnęła, ale nie osiągnęła tym nic ponadto, że z jej płuc uszła ostatnia beczenna drobina powietrza, unosząc się przed jej twarzą kurtyną maleńkich srebrnych bąbelków. Panika i obezwładniający lęk przed śmiercią uniemożliwiały jej myślenie. Odchodząc do zmysłów, uderzyła w coś i połknęła wodę, co tylko wzmogło jej śmiertelną trwożę.

Czyjeś silne ramiona oploty ją do tyłu wokół piersi, pociągnęły ku górze i nad powierzchnię wody, a potem przytrzymały z nieodpartą siłą, uniemożliwiając ponowne zanurzenie i utonięcie. Sapiąc i dławiąc się, z trudem łapała oddech, wypluła dwa pełne płuca gorzko smakującej wody i spróbowała odepchnąć ciemność pochłaniającą jej myśli.

- Uspokój... się, do... jasnej... cholery! - ziała za nią Vera.

- Chcesz... nas obie... zabić?

Zdaniem Kathariny kobieta doskonale załatwiła to już sama.

Wciąż rozpaczliwie chwytając powietrze, wierzgała i tłukła wokół siebie rękami, ale osiągnęła tym tylko tyle, że znów się zadławiła, dając Verze pretekst do jeszcze mocniejszego wykręcenia jej ręki na plecach.

Miała wrażenie, jakby jej ramię miało zaraz wyskoczyć ze stawu.

- Uspokój się wreszcie - dyszała za nią kuglarka. - Nic ci się nie stanie, nie bój się! Obróć... się po prostu na... plecy i... się nie ruszaj!

Fakt, że jej głos drżał przy tym od ledwie tłumionej paniki, nie przydawał jej słowom wiarygodności, lecz przy tym jednocześnie okręciła się, gwałtem podciągnęła sobie Katharinę na piersi i leżąc tak na plecach, zaczęła płynąć do brzegu. W uszach dziewczęcia rozbrzmiewały echem krzyki, szczęk metalu i odgłosy zaciętej walki, ale jej bijące głośno serce zdawało się zagłuszać te hałasy. Nieprzerwanie narastało w niej poczucie grozy, a niebo, ziemia i pochłaniająca wszystko rzeka wokół niej puściły się w coraz bardziej obłąkany taniec.

Potem - w końcu - straciła przytomność.

\*\*\*

Co prawda jedynie na kilka chwil. Ocknęła się na brzegu, na przemian dławiąc się, wypluwając wodę i rozpaczliwie chwytając powietrze. Leżała na brzuchu z nogami jeszcze do połowy w wodzie, a coś, co zdawało się ciężkie jak góra, przysiadło jej na plecach i uderzało raz za razem między łopatkami, tak iż wykrzyknęła z bólu, nabierając przy tym niechęć powietrza.

- Na miłość boską, dziecko, bądź cicho! - dyszała Vera. - Chcesz, żeby nas usłyszeli? - Co jej nie przeszkodziło w tym samym momencie uderzyć Katharinę raz jeszcze solidnie między łopatki, tak że jej krzyk zamienił się w na wpół zduszone charkotanie, samo zaś plaśnięcie musiało być słyszane aż na drugim brzegu.

- Już... dobrze - wydusiła jakoś między dławieniem się a łapaniem oddechu. - Nie musisz mnie... tłuc na śmierć!

Rzeczywiście, kuglarka przerwała próby wytluczenia z niej ostatniej drobiny życia, niedelikatnym szarpnięciem odwróciła ją na plecy i spojrzała na nią tyleż z uwagą co z troską. - W porządku?

Pomijając to, że właśnie nieomal się utopiła, że zaledwie o rzut kamieniem stąd szalała banda żądnych mordy barbarzyńców, którzy tylko czekali, żeby skrócić jej kark, że nadal nie mogła oddychać i każda pojedyncza kość w jej ciele sprawiała jej ból, no to tak. Jeśli nie brać pod uwagę tych kilku drobnostek, rzeczywiście wszystko było w porządku.



Ta odrobina powietrza, którą udało jej się złapać, była nazbyt cenna, żeby ją tracić na odpowiadanie. Spiorunowała więc kuglarzkę spojrzeniem.

- Biorę to za „tak” - oznajmiła kobieta, gdy Katharina wściekle obrzucała ją wzrokiem. - Ale nie mamy czasu na leżenie. Możesz chodzić?

Nie czekając na odpowiedź, wstała i pociągnęła dziewczynę dość grubiańsko w górę. - Musimy stąd zniknąć. Szybko. Ludzie Guthenfelsa długo już nie wytrzymają!

Co do tego miała rację. Mimo to Katharina pokręciła tylko głową, wyswobodziła się w końcu i zrobiła prędko jeden niepewny krok do tyłu, aby się rozejrzeć. Ciemność wokół nich tylko częściowo była czernią nocy, a po części, i to większej, brała się z gęstych kęp zarośli, które w tym miejscu porastały teren po sam brzeg. Potrzebowała chwili, żeby w ogóle dostrzec Fenrira i znacznie mniejszy statek barona. Ogarnęło ją zdumienie. Prąd zniósł je dość daleko w dół rzeki, nim wyrzucił na brzeg, toteż w pierwszej chwili dojrzała tylko dwa ciemne kształty z pozoru w połowie ze sobą złane. Nie była w stanie stwierdzić, czy nadal tam walczone, czy nie, w każdym razie wiatr nie niósł już szczęku broni.

A z tymi niesamowitymi cieniami... działo się coś dziwnego.

Wkrótce odkryła, co to naprawdę było.

Walka wyraźnie dobiegła końca, mniejszy statek leżał w wodzie pod zupełnie niemożliwym kątem i już dawno powinien był zatonać.

Prawdopodobnie osiadł na mieliźnie. Jednak Fenrir dokładnie w tym momencie zaczął się odrywać od swej dopiero co z takim trudem upolowanej zdobyczy. Zdezorientowane i skonsternowane, przyglądały się z Verą, jak smukła smocza łódź pod ostrym kątem przeslizgiwała się ku środkowi rzeki, stale przy tym przyśpieszając. W końcu rozpostarła ogromny żagiel w czerwone i białe paski, a wiosła odnalazły swój miarowy, szybki takt. Zaledwie kilka chwil później drakkar na powrót zniknął we mgle, równie bezgłośnie i chyżo jak wcześniej wynurzył się z szarego obłoku.

- Niesamowite - wymamrotała Katharina.

- Rzeczywiście... - zgodziła się z nią kuglarka, potrząsnęła jednak głową. - I zupełnie bez sensu. Dlaczego nas nie szukają?

W pierwszej chwili dziewczyna jedynie wlepiła w nią zafrapowane oczy. Dlaczego Vera to powiedziała? Powinna się przecież cieszyć, że Normanowie nie wyroili się na brzegu, żeby je szukać! Ale zaraz przyznała jej w duchu rację. Jaki właściwie sens miał atak Wulfgara, skoro teraz tak po prostu się wycofał?

- Może... jednak widzieli, jak wypadliśmy za burtę i myślą, że utonęliśmy - odrzekła z wahaniem.

Vera spojrzała na nią z ukosa i zamyśliła się przez chwilę. Po czym z tym większym przekonaniem potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała - wtedy przeszukaliby brzeg w poszukiwaniu naszych ciał. Coś się tutaj nie zgadza. Nie ruszaj się stąd!

Po tych słowach pobrnęła w zakrywającą łydki wodę, śpiesząc z powrotem do osiadłego na mieliźnie stateczku.

Katharina patrzyła za nią z bijącym sercem, zastanawiając się, czy ostatecznie straciła rozum. Nie tylko sam Bóg, ale i wszyscy jego aniołowie musieli trzymać nad nimi pieczę, skoro dopiero co nie utonęła, a teraz miałyby wchodzić z powrotem do wody? A jednak weszła, bo jeszcze okropniejsza niż lęk przed wodą, była obawa przed pozostaniem samą.

Bicie jej serca przyśpieszało z każdym krokiem w lodowatej wodzie, a skrzecząca wyobraźnia upierała się, że zaraz wpadnie w jakąś dziurę i nędznie utonie. Byłaby to jedynie słuszna kara za wyzywanie w tak bezczelny sposób losu.

Nic z tego się nie stało. Woda podniosła się jej do łydek i ani nie rozwarła się ziemia, ani nie wyskoczył z rzeki żaden morski stwór, żeby zaciągnąć ją w głębinę. Ani nawet z mgły nie wyłoniła się najmniejsza potwora, żeby ją dopaść.

Z drugiej strony rzeczywistość była dostatecznie zła.

Po kilkudziesięciu krokach dogoniła Verę i na ostatnim odcinku znowu zwolniła, a jej naturalny lęk przed wodą przeobraził się w niepokój innego rodzaju, na swój sposób równie okropny.

Zatrzymawszy się na wprost osiadłego na mieliźnie statku, kuglarka pochyliła się teraz nad pozbawioną życia postacią unoszącą się w wodzie twarzą w dół. Jeden z ludzi Guthenfelsa. Katharina dziękowała w duchu Verze, że go nie odwróciła, aby się przekonać, czy był rzeczywiście martwy. Trzy opatrzone czarnymi piórami strzały wystające mu z pleców aż nadto wyraźnie tego dowodziły.

Nowy, gorzki smak rozlał się jej po języku. Może to właśnie widok tego martwego ciała uzmysłowił jej, jak niewiele brakowało, aby i Verę spotkał ten sam los.

Kuglarka wyprostowała się z głębokim westchnieniem, nakazawszy jej gestem (którego i tym razem nie miała zamiaru słuchać), żeby trzymała się z daleka, i ruszyła do rozbitego statku. Katharina zobaczywszy, że woda sięga jej tylko do bioder, po chwili zebrała całą swą odwagę i poszła za nią. Kobieta pozornie łatwym ruchem podciągnęła się na pochyłoną łódź, obróciła na kolanach i wyciągnęła rękę, żeby pomóc wejść na pokład Katharinie.

Trup przy brzegu nie był jedynym. Na statku leżało z pół tuzina nieruchomych ciał, a dziewczyna nie zapomniała też widoku ludzi wypadających za burtę i topiących się w kipieli. Pokład był śliski od wody i krwi, która płynęła strumieniami, a odór śmierci i konania ścisnął ją za gardło nie tylko w przenośnym sensie. Stała struchlała, obserwując, jak Vera chodziła pochyłona od jednego ciała do drugiego i kolejno je badała. Nie umiała sobie wyobrazić, żeby znalazły choć jednego ocalałego.

Tym bardziej się zdumiała, gdy kuglarka nagle wciągnęła ostro powietrze do ust i poczęła energicznie gestykulować.

- Ten jeszcze żyje! Szybko! Pomóż mi!

Katharina krótkim doskokiem znalazła się obok niej i na kolanach, ale dopiero gdy jej pomagała obracać na plecy okryte moką kolczugą ciało, rozpoznała kto to był.

- Baron zu Guthenfels!

- Tak, i to żywy! - zawtórowała Vera. - Pomóż mi!

Fakt, że nie powiedziała dokładnie w czym, nie miał znaczenia, bo już o własnych siłach obróciła barona na bok, a teraz uderzała go wielokrotnie płaską dłonią w plecy, i to tak mocno, jakby chciała wypróbować, ile znieśie jego kolczuga. Zadziałało. Po trzech lub czterech uderzeniach Guthenfels zaczął nagle kasłać, zwinął się w konwulsjach i chlusnął potokiem wody. Instynktownie opędzając się przed rękami Very, skulił się jeszcze bardziej i przez chwilę rozpaczliwie chwycił powietrze, na koniec się opanował. Dygocząc, wsparł się na kolanach, raz jeszcze na krótko ukrył twarz w dłoniach, a następnie zaczął coś bełkotać pod nosem i przypatrywać się czubkom swoich palców, na których kleiła się świeża krew.

- Pokonali mnie - mruknął.

- Ale przynajmniej żyjecie - powiedziała kobieta. Guthenfels, wciąż na poły oszołomiony, spojrzał na nią w taki sposób, jak gdyby właśnie tego nie mógł zrozumieć, potem jednak skinął głową i raz jeszcze obmacał swoją twarz. Sącząca się spod nasady jego włosów krew mieszała się z wodą na twarzy w różową maskę.

- Co z tobą? - zapytał, zwracając się do Kathariny.

- Nic mi się nie stało - odparła.

- Dobrze - powiedział baron.

- Mnie także nic - wtrąciła Vera.

Zignorowawszy ją, Guthenfels podniósł się chwiejnie i niezwykle powoli, po czym zrobił to samo, co uczyniła przed chwilą kuglarka, przechodząc od jednego człowieka do drugiego i po kolei ich badając, prędko ale z uwagą. Wszakże z takim samym rezultatem co ona. Wreszcie wyprostował się, balansując niepewnie, przeszedł na dziób małego statku i stał tam przez chwilę wyprostowany, jakby zamieniony w posąg i patrzył na mgłę, w której zniknął Fenrir.

- Szesnastu dobrych wojowników - wyszeptał. - Zapłaci mi za to.

- Może powinniśmy stąd zniknąć, zanim wrócą w większej liczbie - powiedziała Vera.

Baron zmierzył ją pełnym wyrzutu spojrzeniem, po czym znowu zapatrzył się we mgłę, równie długo jak przed chwilą, na koniec skinął głową i raptownie się odwrócił.

- Tak, może masz rację. Chodźmy na brzeg poszukać gdzieś pomocy. Potrzebuję bezpiecznego miejsca, gdzie będę mógł zostawić dziewczynkę i ciebie. Ja muszę iść dalej, do Zons.

Vera wyglądała tak, jakby chciała zaoponować, ale Guthenfels kilkoma energicznymi krokami dopadł burty i ani na chwilę nie zatrzymując się, zeskoczył do rzeki, po czym tak samo szybko i bez wahania w sięgającej po pas wodzie zatonął.

Vera wywróciła oczami, westchnęła coś, co brzmiało jak „mężczyźni!”, i skoczyła za nim. Również się pogrążyła, przez moment woda kipiała i syczała, jakby w głębinie walczyły przeciwko sobie całe ławice olbrzymich drapieżnych

ryb. Następnie wynurzyła się, prychając i gwałtownie łapiąc powietrze, trzymając za nadgarstek przerzuconą przez ramię prawą rękę Guthenfelsa. Jej druga ręka obejmowała jego biodra. Co najwyżej w połowie tak ciężkiej jak szlachcic kuglarce, groziło ciągle, że tonący pociągnie ją za sobą, ale jakoś nie tylko udało jej się go utrzymać, lecz również, mozolnymi potknięciami, zbliżyć do brzegu.

- Byłoby miło, gdybyś mi trochę pomogła! - poskarżyła się kobieta.

Katharina rzeczywiście myślała o tym przez chwilę, ale doszła do wniosku, że kuglarka całkiem dobrze sobie radzi. Zerknęła więc wprawdzie z uwagą, jak jej towarzyszka brnęła do brzegu, ciągnąc za sobą półprzytomnego barona, gotowa w razie potrzeby do niej doskoczyć, ale teraz cofnęła się o krok i przewyciężając wstręt, zmusiła się, aby jeszcze raz, dokładniej, przyjrzeć się zdewastowanemu pokładowi.

Po krótkich poszukiwaniach znalazła to, czego szukała. Wiklinowy koszyczek stał wciąż w tym samym miejscu, w którym go zostawiła, nawet zamknięty pokrywą, ale przygnieciony ciałem zabitego wojownika. Katharina zebrawszy siły, przetoczyła na bok zwłoki, potem zaś zabrała się za oderwanie pokrywy.

Straszny widok został jej oszczędzony - ale obraz całkowicie pustego kosza także nie nastrajał zbyt optymistycznie.

Następne niekończące się minuty spędziła na przeszukiwaniu statku od dziobu aż po rufę, nawoływała przy tym ustawicznie oba kotki po imieniu. Jednak nie znalazła ani Hugina, ani Munina, a nie miała odwagi przesuwając zabitych i pod nich zaglądać. Nie zniosłaby, gdyby je znalazła zatłuczone albo przeszyte strzałą.

Wreszcie zrezygnowała przygnębiona, ostrożnie weszła do wody i pobrnęła do brzegu.

Zaledwie kilka chwil później odnalazła Verę i Guthenfelsa, i jeśli nie robiła tego wcześniej, to teraz całkiem serio zastanawiała się, czy kuglarka aby faktycznie nie dysponowała sekretnymi mocami czarownic, bo między nimi płonęło teraz trzaskające ognisko. Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku, wytrzeszczając oczy na niewielkie jeszcze płomyczki, po czym zwróciła się do Very.

-Jak... to... zrobiłaś? -wyjąkała.

- Bardzo ci dziękuję za pomoc - burknęła kobieta, nie odpowiadając na jej pytanie. - Przytarganie tutaj tego faceta nie stanowiło żadnego problemu. Waży przecież niecałe trzy razy tyle co ja. Poszłaś jeszcze trochę popływać czy tylko cieszyłaś się piękną nocą?

- Hugin i Munin - wymamrotała Katharina. - Nie mogę ich znaleźć.

- Twoje dwa kociaki? Przytaknęła, a wzrok Very złagodniał.

- Przykro mi - powiedziała. - Mojej małpki też nie mogę znaleźć.

Dała znak Katharinie, żeby usiadła obok niej i przez chwilę siedziały tak po prostu w zażyłym milczeniu jedna obok drugiej, czekając, aż płomienie przybiorą na sile i wytworzą coś więcej, niż dym i złudzenie ciepła. W końcu to Guthenfels przerwał milczenie, unosząc strudzoną głowę.

- Musimy zgasić ten ogień.

-Jest wam za gorąco, panie? - spytała Vera.

- Ktoś mógłby zobaczyć płomienie - odrzekł niemrawo barons.

Właściwie wymamrotał to pod nosem. Siedział z obwisłymi ramionami i wychylony w przód, jakby utrzymanie się choć w połowie prosto było ponad jego siły. Może jednak był poważniej ranny, niż to okazywał.

-Jeśli ktoś zobaczy światło, jesteśmy zgubieni - powtórzył jeszcze bełkotliwiej. - Znajdą nas.

- Bredzi? - wyszeptwała dziewczyna.

Kuglarka wzruszyła tylko nieznacznie ramionami, a Guthenfels powiedział po raz trzeci: - Musimy zgasić ten ogień - i opadł w tył, osuwając się potylicą po pniu drzewa. Zamknął oczy, a po chwili już spał. Albo stracił przytomność.

Vera wstała i obejrzała go krótko, a kiedy wróciła, wyglądała na zmartwioną. Na pytające spojrzenie Kathariny zareagowała jedynie potrząśnięciem głowy. -Tylko zemdlał-wyjaśniła. - Nie martw się. Ci arystokraci mają twarde czaszki.

Roztrzęsiona dziewczyna niezbyt się martwiła o barona, jednak rzuciła Verze nieśmiały uśmiech i przysunęła się trochę bliżej ognia, kiedy kuglarka znowu usiadła obok niej. Ogień rozgorzał i dawał spore ciepło. Katharina zastanawiała się z niepokojem, czy aby Guthenfels nie miał racji. W tak ciemną noc łuna ogniska musiała być widoczna

na wiele mil stąd. Co, jeśli Wulfgar i jego ludzie ją zauważą i wrócą, żeby dokończyć to, co zaczęli na rzece?

- Poczekamy tutaj, aż wszędzie słońce - powiedziała Vera, jakby czytała w jej myślach. - Z pewnością znajdziemy kogoś, kto nam pomoże, ale przedzierać się przez las nocą jest zbyt niebezpiecznie.

Katharina nic na to nie rzekła - nie miała co, kobieta miała rację - i zapadły na nowo w głębokie i dziwnie ponure milczenie, które tym razem zdawało się trwać w nieskończoność.

Wysłuchiwała się w samą siebie, bojąc się, co tam odkryje. Nie znalazła wszakże nic. Powinna czuć strach, przerażenie lub przynajmniej smutek z powodu tych wszystkich ludzi, którzy zginęli tak okrutną i bezsensowną śmiercią, ale zdawało się, że ma w sobie pustkę. Jakby otepiała tak, że ten ostatni horror zwyczajnie przyjęła do wiadomości. Jeżeli odczuwała coś takiego jak smutek, to po tych dwóch kotkach, być może najbardziej niewinnych, a którym mimo to odebrano życie.

Coś trzasnęło.

Dziewczyna usłyszała hałas z pewnym opóźnieniem, ale Vera wyprostowała się jak świeca, po czym znalazłszy się jednym płynnym ruchem przy Guthenfelsie, wyciągnęła mu zza pasa sztylet. Baron nawet się nie obudził, wydał z siebie tylko, przez sen, jakieś niezrozumiałe chrząknięcie, a Vera dała Katharinie znak, żeby została tam, gdzie była, po czym zniknęła bezgłośnie w krzakach. Mimo zakazu Katharina pobiegła za nią, a gdy znalazły się na brzegu, kuglarka ostrzegawczym ruchem kazała jej zamilknąć.

Nasłuchiwały. Trzaśnięcie nie powtórzyło się, ale słyszały teraz plusk, który nie pasował do miarowego szumu rzeki i zobaczyły zmierzający w ich kierunku trójkątny wzór z fal; jakby do brzegu zbliżał się zanurzony pod wodą pływak.

Tak też było, z tym że pływak nie był dużo większy od idącego na dwóch łapach kota, miał ciemną sierść i dziwnie bladą twarz, nieludzką, ale i nie do końca zwierzęcą. Wychynął z wody z pełnym wyrzutem trajkotaniem i pyskowaniem, które dawało się z pewnością słyszeć aż na drugim brzegu.

- Małpka! - Vera nie bacząc na nic, wypuściła z ręki sztylet, przyskoczyła z drugim, jeszcze głośniejszym okrzykiem do zwierzątka i porwała je w górę. Przycisnęła małego do piersi, tuląc jak matka, która odnalazła uznane za stracone dziecko. Po chwili także Katharina wybałuszyła z niedowierzaniem oczy i przypadła do niej z okrzykiem zaskoczenia.

Dwegr nie przyszedł sam. W każdej ręce trzymał za ogony małe czarne jak smoła, przemokłe na wskroś kotki, piszczące głośno i plujące nie tylko z powodu zimna i wyczerpania, ale przede wszystkim z racji złego traktowania.

\*\*\*

Kiedy się obudziła, światło słońca łaskotało ją po twarzy, a dwa małe szorstkie kocie języki lizały ją na przemian po policzkach i podbródku. Jeszcze zanim otworzyła oczy, do jej nosa wdarł się kuszący zapach, który dopiero z pewnym opóźnieniem zidentyfikowała jako zapach smażonej ryby; a prócz tego głos, który cicho z kimś rozmawiał. Nie z nią. Śmiejąc się cicho, ponieważ ją łaskotały, ściągnęła z siebie oba koty, usiadła i dopiero wtedy otworzyła oczy.

Jasne światło słońca sączyło się zielonkawo przefiltrowane przez rozpościerający się nad nią baldachim liści, z całkiem bliska dochodził jedwabisty szum rzeki zmieszany ze śpiewem ptaków głośno witających nowy dzień. Vera siedziała zaledwie kawałek dalej przy ognisku i odwrócona do niej plecami trzymała nad ogniskiem kij, na którym piekły się dwie nadziane ryby. Przyciszonym głosem rozmawiała z małpką, która rzeczywiście zdawała się jej uważnie przysłuchiwać, od czasu do czasu przechylając głowę z boku na bok, jak gdyby pieczołowicie ważąc jej słowa. Ten widok był tak... sielski, że wszystko, co wydarzyło się wczoraj, wydało jej się teraz złym snem.

- Musisz jeszcze chwilę poczekać - powiedziała głośnie kuglarka, nie odwracając się do niej. - Ryba zaraz będzie gotowa. Może zejdziesz nad rzekę i przyniesiesz nam trochę wody?

Niewygodnie balansując na samych czubkach palców, na wpół odwróciła się jednak do Kathariny i ruchem głowy wskazała stojący obok niej w trawie gliniany dzbanek ze złamanym uchem. Dziewczyna nie spytała jej nawet, skąd go miała, tylko mruganiem rozproszyła resztę zmęczenia, przeciągnęła się szeroko i bez skrępowania ziewnęła, po czym wstała i zrobiła, co jej Vera kazała.

Iluzja, jakoby wszystkie tragiczne wydarzenia minionej nocy tylko sobie wyobraziła, przysła ostatecznie jak bańka mydlana, kiedy stanęła nad rzeką i zobaczyła leżący przy brzegu na wpół zatopiony statek. Przechylił się jeszcze bardziej na bok i wyglądał całkiem tak, jakby przy następnym silniejszym podmuchu wiatru miał rozlecieć się na kawałki. Po

zabitych, którzy leżeli na jego pokładzie, nie było ani śladu. Być może wypadli za burtę i zabrał ich prąd.

Katharina napełniła dzban i zastanowiła się znowu, skąd on się właściwie wziął; zadała to pytanie także na głos, kiedy wróciwszy do ogniska, na trawie obok Very odkryła dwa kubki, całą gamę noży, zwiniętą linę oraz liczne inne przydatne rzeczy.

- Wyczarowałam - odpowiedziała z kamienną twarzą kobieta.

- Wiesz przecież, że my wagabundzi znamy tajemne sztuki czarodziejskie.

Dziewczyna istotnie trochę się złękła (choć wiedziała, że kuglarka tylko się przekomarzała) i najwyraźniej Vera dostrzegła w niej ten strach, bo nagle się zaśmiała. - Byłam raz jeszcze na statku - powiedziała. - Kolejny silny podmuch wiatru rozerwie go zapewne na kawałki. Nie ma powodu, żeby pozwolić wszystkim tym przydatnym rzeczom pójść na dno.

- A... żołnierze? - spytała z ociąganiem Katharina.

- Pomogłam Guthenfelsovi przyciągnąć ich na brzeg - odpowiedziała. - Przyśle kogoś, żeby zabrali zabitych i dali im przyzwoity chrześcijański pochówek.

- Aha - bąknęła dziewczyna. Usiadła, rozejrzała się ostentacyjnie na prawo i lewo, a potem zapytała: - Gdzie on w ogóle jest?

- Poszedł sobie. - Vera wzruszyła ramionami. - Spróbuje skądś wytrzasnąć konia, żeby sprowadzić pomoc.

- A my?

- Zjemy teraz śniadanie.

Kuglarka wyciągnęła ku niej kij, a Katharina czubkami palców ściągnęła nadzianą na niego rybę i zaczęła ją delikatnie gryźć. Była tak gorąca, że sparzyła sobie usta, palce i język, ale smakowała wybornie. Hugin i Munin natychmiast zaczęły głośno żebrać o należną im część przysmaków, jednak Katharina je zignorowała.

- A potem? - zapytała z pełnymi ustami.

Vera rozejrzała się demonstracyjnie we wszystkich kierunkach i udała, że musi się nad tym pytaniem poważnie zastanowić. Katharina była wszakże całkiem pewna, że kuglarka dawno już o tym myślała.

- Wygląda na to, że gdzieś za tymi karczowiskami jest gospodarstwo albo może nawet mała wieś. Jeśli udamy się w tym kierunku, z pewnością znajdziemy kogoś, kto nam pomoże.

- Nie to mam na myśli - odparła dziewczyna. Zjadła rybę i rzuciła za siebie głowę i ości, a Hugin i Munin natychmiast zaczęły o nie walczyć. Zanim mogła mówić dalej, musiała przełknąć kilka razy, bo ślinka ciekła jej do ust. Tych kilka kęsów zjadła ze smakiem, i dopiero teraz poczuła prawdziwy głód.

- Wiem. - Vera uśmiechnęła się niemal w matczyzny sposób, wyciągnęła rękę i wyjęła z ognia drugi kij z nabitą rybą. Nie jedyną.

Wyglądało na to, że kiedy Katharina spała, opróżniła z ryb pół Renu.

- Potrzebujemy kryjówki na następne dni - kontynuowała, podczas gdy Katharina wbijała już zęby w następną rybę. Wydała jej się jeszcze gorętsza niż pierwsza. I jeszcze smaczniejsza. - Baron obiecał przysłać ludzi, którzy cię zabiorą i bezpiecznie przywiozą do jego dóbr.

To że powiedziała ciębie, a nie nas, bynajmniej nie uszło uwagi dziewczyny, lecz zachowała to na później, bo teraz pochłaniała posiłek, równie łapczywie jak pierwszą.

- Nieco się rozejrzałam, kiedy spałaś - ciągnęła Vera. - Okolica wydaje się być spokojna. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby gdzieś tu w pobliżu działała przeprawa promowa.

Przeprawa? Katharina zmilczała także i to, przeżuwać teraz wolniej, żeby zyskać na czasie; ale swoje myślała. Nawet całkowicie zignorowawszy to, iż promy z definicji pływały po wodzie, a więc były dla niej już z natury okropne, przeparıłyby się na przeciwległy brzeg - i co właściwie kobieta spodziewała się tam znaleźć?

- Nie chcę iść do Guthenfelsa - powiedziała nagle. - A już na pewno nie na dwór.

- Ależ spodobałoby ci się - argumentowała kuglarka, a jej spojrzenie mówiło, że nikt nie będzie jej pytać o zdanie.

- Nie mogę tak po prostu uciekać - upierała się Katharina.

- Gdybyśmy właśnie tego nie zrobiły wczoraj w nocy, zapewne nie mogłabyś teraz tak zarozumiale się nadymać - odparowała Vera.

- Nie to mam na myśli - obstawała przy swoim Katharina. - Nie mogę wiecznie uciekać i udawać, że nic się nie stało!

- Możesz dać się zabić - zgodziła się z nią Vera. - Ale poczekaj z tym, aż nie będzie mnie w pobliżu.

Dziewczyna chciała i na to - jeszcze butniej - odpowiedzieć, jednak poprzestała na przekornym wzruszeniu ramionami i wróciła do pałaszowania w milczeniu swojej ryby. Kuglarka doskonale rozumiała, co jej towarzysza miała na myśli. Problemem było raczej to, że miała rację. Co też miała robić, gdy Erik i wszyscy jego ludzie wyjechali, i zapewne byli już w połowie drogi do ojczyzny?

Tak pięknie zaczął się ten ranek, a w tak przygnębiającym nastroju się kończył. Vera jeszcze dwa lub trzy razy próbowała rozwinąć rozmowę albo przynajmniej podnieść Katharinę na duchu jakimś żartem, ale w pewnym momencie dała sobie spokój i już bez słowa spożyła swoją część śniadania. W milczeniu zgasła ogień i zebrawszy swoje liche zdobyczne drobiazgi, upchała wszystko do lnianego worka. Przyniosła ze statku także wiklinowy koszyczek, który za pomocą sznurków i zręcznej improwizacji dodatkowo tak przerobiła, że dziewczyna mogła nosić go na plecach i transportować w nim oba koty. Niedługo potem ruszyły w drogę, kierując się tam, gdzie Vera miała nadzieję zobaczyć wieś.

Większą część drogi przebyły w nieprzyjemnej ciszy. Kuglarka nadała ostre tempo, które Katharina zносиła z początku z łatwością, a później już tylko z rosnącym wysiłkiem. Kiedy w końcu wieś pojawiła się w zasięgu wzroku - nieledwie błotnisty przysiółek złożony z garści stłoczonych koliście ubogich chat, niewyglądających okazalej niż kiedyś Ellsbusch - była już tak wyczerpana, że zatrzymała się i opadła na jakiś kamień. Vera pomaszerowała uparcie jeszcze kilka kroków dalej, zatrzymała się jednak i niechętnie do niej zawróciła.

- Czy już ci mówiłam, że jesteś w bardzo kiepskiej formie jak na kogoś w twoim wieku? - spytała.

- Wiele też przeszłam, jak na kogoś w moim wieku - gderła Katharina. Ruchem głowy wskazała wieś. Z żadnego z kominów nie wznosił się dym, a między budynkami nie było widać żywej duszy, co zważywszy na porę dnia, wydawało się niezwykle. Choć z pewnością dawno już zauważono obie obce kobiety podejrzliwie je obserwowano. - Może wtargnięcie tam, jak by nas sam diabeł gonił, nie jest zbyt dobrym pomysłem.

Choć Vera wywróciła oczami, jakby Katharina powiedziała właśnie coś wyjątkowo głupiego, usiadła mimo wszystko obok niej i spytała: - A czyż tak właśnie nie jest?

- Przesadzasz.

- Czyżby? - spytała kąśliwie kobieta i patrzyła przez moment skoncentrowana w kierunku, z którego właśnie przyszły, jakby nie była całkiem pewna, czy dziewczyna naprawdę tylko żartowała, po czym jeszcze baczniej zaczęła przyglądać się wsi.

- Może masz rację - powiedziała.

- Co do Pardeville'a czy mojego dziadka?

- Co do wsi - odrzekła nieporuszona Vera. - Może to zły pomysł.

Nie wiem doprawdy, czy nam pomogą.

- Znasz tę wieś?

- Nie. - Vera jednak absurdalnie skinęła głową. - Ale znam wioski takie jak ta. Żyją tam biedacy, a biedni ludzie to podejrzliwi ludzie.

Takie jak ja nie są tam miłe widziane.

- Czy to oznacza, że mam iść sama?

- Może powinniśmy po prostu wrócić i poczekać na ludzi Guthenfelsa - zastanawiała się Vera. - Nazbyt długo to z pewnością nie potrwa. Może kilka dni; będziemy sobie łowić ryby, pozwolimy Bogu być dobrym człowiekiem i po prostu poczekamy, aż przyjdzie kilkunastu dobrze zbudowanych mężczyzn i zabierze nas w bezpieczne miejsce.

- Ludzi Wulfgara, którym jednak się przypomniał, że czegoś za pomnieli?

Vera skrzywiła się, jakby ugryzła soczyste jabłko, i za późno zdała sobie sprawę, że w rzeczywistości to pomalowana na czerwono cebula. Jednak kiedy się znowu odezwała, nie nawiązała ani słowem do uwagi Kathariny, a z jej oczu zniknęła wszelka kpina.

- Czy ty mówiłaś o tym poważnie? Że chcesz się ofiarować za tego chłopca.

- On jest moim bratem.

- O którego istnieniu jeszcze kilka tygodni temu nawet nie wiedziałaś.

- Mimo to pozostaje moim bratem! — zareagowała żywo Katharina.

Vera pokręciła głową ze smutkiem. - Jesteś naprawdę odważna, mała - westchnęła - ale sama odwaga czasem nie wystarcza.

Katharina widziała po niej, że bynajmniej to nie wszystko, co miała do powiedzenia na ten temat, ale tamta przemilczała resztę, podźwignęła się tylko z cichym stęknieniem i wyciągnęła rękę, żeby pomóc dziewczynie, po czym ruszyły w dalszą drogę.

Widok zdawał się tak samo zadziwiać jak wcześniej, a im bliżej podchodziły, tym bardziej niesamowity się stawał. W wiosce panowała martwa cisza. Nikt nie wyszedł, żeby je powitać lub zapytać, czego chciały, nie było żadnych bawiących się dzieci, nawet nie wybiegł im naprzeciw żaden pies, żeby obszczać niezapowiedzianych gości.

Katharinę zaczęło ogarniać poczucie upiornego déjà vu. Tak właśnie było w Ellsbusch ostatniego dnia. Nikt już nie żył, tutaj też wyczuwała śmierć.

W końcu stanęła. Jej obawa przed tym, co może ujrzeć, jeśli wejdzie do tych chat, okazała się zbyt silna.

Vera również się zatrzymała, spojrzała na nią dziwnym wzrokiem, ale nic nie rzekła, tylko zrzuciła bagaż, wzięła do ręki zdobyczny nóż i ruszyła dalej sama. Serce Kathariny załomotało, gdy kuglarka weszła do pierwszego budynku, a zdawało się, że minęła wieczność, zanim wyszła. Wciąż trzymała w dłoni nóż, jej twarz skamieniała.

Unikała wzroku dziewczyny, szybkim krokiem przechodząc obok niej do następnego domu. Pośpiesznie - a zarazem dręcząco powoli, jak się wydawało Katharinie - przeszukała cały przysiółek.

Kiedy wróciła do dziewczyny, sprawiała wrażenie śmiertelnie wystraszonej. -Wszędzie to samo - powiedziała.

- Czy oni... - Katharina z trudem wypowiedziała tych parę słów - ...wszyscy są martwi?

- Martwi? - Vera zamrugnęła, jakby ta myśl w ogóle nie przyszła jej do głowy. Potem potrzęsnęła energicznie głową.

- Nie. Tam nikogo nie ma.

- Nikogo nie ma? - powtórzyła dziewczyna, nic nie rozumiejąc.

-Wioska została opuszczona - potwierdziła kuglarka.-I wszystko wskazuje na to, że w wielkim pośpiechu. Przed czymś uciekli. Ach tak, jest coś jeszcze: ktoś gruntownie ją splądrował. - Uśmiechnęła się smutno. — Nie, żeby tu było cośkolwiek wartego zagrabienia, a jednak ktoś tutaj zabrał nawet i te nędzne drobiazgi. A czego nie zdołali zabrać, rozbili w drobny mak. Tutejsi ludzie nie będą mieli wiele pożytku ze swoich domostw, kiedy wrócą.

Katharina zdziwiła się, jednak mimo wszystko odczuła ulgę. Nie zniosłaby po raz kolejny widoku wioski pełnej trupów.

Dopiero teraz zauważyła, że Vera nie trzymała już w ręce noża.

Jej palce kurczowo zaciskały się na odłamanej strzale z czarnymi piórami.

- Tym ustrzelili psa, który prawdopodobnie popełnił ten błąd i chciał bronić swego domu - powiedziała, spostrzegłszy pytający wzrok Kathariny. - Ale to nie wszystko.

Podążyła dziewczynie strzałę i dodatkowo zachęciła ją ruchem głowy do wzięcia jej w dłoń.

Strzała okazała się niezwykle ciężka, a w jej ręce zdawała się... jakby nie na miejscu; może dlatego, że jeszcze nazbyt dobrze pamiętała ostatnią noc i to, co ten nieszkodliwie wyglądający kawałek drewna mógł wyrządzić.

-Jest tego więcej - rzekła z naciskiem Vera. -Jeden z napastników zasztyletował bochenek chleba i zostawił tkwiący w nim nóż, a drugi zachował się na tyle nieostrożnie, że zapomniał hełmu.

Dziewczyna spojrzała na nią wyczekująco. Kobieta, której głos stał się nagle tak dziwny jak jej dobór słów, odwzajemniła jej spojrzenie w taki sposób, jakby spodziewała się określonej reakcji. Kiedy ta nie nastąpiła, odebrała jej strzałę i ze wzruszeniem ramion wrzuciła do worka.

- Zobaczmy, czy nie znajdziemy jeszcze czegoś do zjedzenia - powiedziała. - Albo jakichś innych użytecznych rzeczy.

- Chcesz okraść tych ludzi?

- Cóż za wielkie słowo. - Kuglarka przewróciła oczami. - Jest trochę mleka i zasztyletowany chleb. Możemy je przecież zostawić, żeby się zepsuły. - Nie czekając na odpowiedź Kathariny, odwróciła się na pięcie i zniknęła z powrotem w domu, z którego dopiero co wyszła. Dziewczyna poszła za nią, jakkolwiek z uczuciem lęku.

Wnętrze chatki kryło to, co zapowiadał jej wygląd zewnętrzny.

Było ciemne, duszne i chyba nawet w Ellsbusch uchodziłoby za biedne. Całe jej umeblowanie składało się z prostego drewnianego łóżka, topornego stołu i krzesel, wreszcie skrzyni z grubo ciosanych desek - chociaż należałoby raczej powiedzieć, że kiedyś się z tego składało, bo teraz było rozbite, jakby zniszczone w bezsensownym ataku szału. Nawet skrzynia wyglądała jak rozplątana uderzeniami ogromnego topora, a te nieliczne ubiory i nędzne skorupy, które przechowywali w niej mieszkańcy domu, zostały bez wyjątku pocięte lub inaczej zniszczone.

Podczas gdy Vera podniósłszy dwa z przewróconych krzesel, upewniała się ostrożnie, że będą mogły unieść ich ciężar, Katharina chodziła i oglądała to, co zostało z całego dobytku. Nic nie miało szczególnej wartości ani nie było nawet ładne przed tym bezmyślnym zniszczeniem... lecz to wszystko, co ci ludzie posiadali, a myśl o tym, że ktoś zupełnie bez powodu do szczętu to zniszczył, napełniała ją mieszaniną żalu i gniewu. Dlaczego ludzie robili coś takiego? Mogła zrozumieć, jeśli coś kradli, bo sami potrzebowali albo po prostu chcieli to mieć, ale po co to bezsensowne dewastowanie?

Jej wzrok przyciągnął błysk metalu. Po chwili wahania usiadła w kucki, sięgnęła to ręką i zdezorientowana ujrzała zerwany rzemyk, na którym wisiał brązowy wisiołek w formie zniekształconego młotka.

- To młot Thora - powiedziała ze zdumieniem.

- Musiał więc to zgubić jeden z ludzi twojego dziadka - powiedziała Vera. - Takie kłamoty leżą tu wszędzie. - Westchnęła. - Naprawdę, Wulfgar powinien poważnie porozmawiać ze swoimi wojownikami. Są bardzo niechlujni. Można by pomyśleć, że chcą, aby każdy się dowiedział, kto to tutaj zrobił.

Katharina zacisnęła w dłoni brązowy młot Thora i podeszła do Very. - Co masz na myśli?

- Nic nie mam na myśli. - Kobieta zamachała ręką w kierunku stołu, na którym zebrała wszystko, co uszło bezsensownej pasji niszczenia najeźdźców: pół bochenka chleba, z którego rzeczywiście wy stawał ciężki wikiński sztylet, na wpół rozbity gliniany garnek ze smalcem i drugi, w którym jeszcze chlupotała reszta (nie całkiem czystego) mleka. Wyrzuty sumienia uciszyła argumentem, że Vera ma rację i ta cenna żywność z pewnością by się zmarnowała, gdyby ją zostawiły. Ponadto znowu burczało jej w żołądku.

Jadły w milczeniu. Katharina nasyciła się, zanim jeszcze zjadły połowę chleba, ale kobieta nalegała, żeby spożyły wszystko; w końcu nie mogły wiedzieć, kiedy następnym razem znowu się posilą.

- A teraz musimy zdecydować, co dalej - powiedziała kuglarka, kiedy skończyły jeść, a dziewczyna miała uczucie, że ledwo może się poruszać; nie mówiąc już o maszerowaniu dokądkolwiek. -W obecnej sytuacji nie powinnyśmy nikomu ufać, a tym bardziej nie może my tutaj zostać. Oznacza to, że będziemy potrzebować co najmniej dwóch dni, żeby dotrzeć do Zons. Jeśli nie trzech.

Czekała na jakąś odpowiedź, a nie otrzymawszy żadnej, dodała: -Jeśli chcesz, ma się rozumieć.

- Czy wcześniej nie byłaś zdania, że...

Vera przerwała jej odrobinę ostrzejszym tonem: - Wiem, co powiedziałam, mała, wiem także, co ty odpowiedziałas. Jesteś wprawdzie dzieckiem i masz robić, co ci się powie, ale nie jesteś moim dzieckiem. Nie mnie decydować o twoim życiu. Obiecałam jednak twojej ciotce, że będę się o ciebie troszczyć.

- A ty jesteś oczywiście kimś, kto dotrzymuje słowa - odgryzła się Katharina. Zbyt późno zdała sobie sprawę, jak głęboko te słowa musiały zranić kuglarkę, ta wszakże nie dała tego po sobie poznać.

- A... ty? - zapytała z wahaniem Katharina.

- Zaszyję się na jakiś czas - ciągnęła Vera. - Gdy nastroje nieco ochłodną, wrócę może do Santen lub podążę tam gdzie będą akurat inni. - Zrobiła zamyśloną minę. - W planie miałam Novaesium, ale nie wiem, czy rzeczywiście tam ruszyli, po tym, co wydarzyło się w Santen.

- W planie? - powtórzyła, nie rozumiejąc Katharina.

- Wędrujemy z jednego miasta do drugiego - odrzekła Vera.



- Nie wiedziałaś tego? - Kiedy dziewczyna potrząsnęła głową, wydawało się, że ją to zasmuciło. - O biedne dziecko - powiedziała.

- Ty zupełnie nic nie wiesz o świecie i życiu tutaj na zewnątrz, mam rację? Co też oni ci zrobili?

Katharina nie chciała o tym rozmawiać, choćby dlatego, że przeczuwała, iż ten temat jeszcze bardziej by ją zasmucił.

- A jeśli ich nie znajdziesz? - zapytała.

- Mojego klanu? - Kuglarka potrząsnęła głową tak gwałtownie, że jej czarne włosy wzleciały jak welon. - Bez obaw. Jeśli ich nie znajdę, oni znajdą mnie. Jesteśmy jak wielka rodzina, wiesz? Dbamy o siebie. Jestem pewna, że już teraz mnie szukają.

- To musi być piękne - rzekła ze smutkiem Katharina.

-Co?

- Mieć rodzinę.

- Ona jest jedyną rzeczą, która się liczy - odpowiedziała cicho Vera.

- A gdybym ci potowarzyszyła? - spytała dziewczyna.

-Ty?

Ta propozycja zdawała się szczerze zaskoczyć Verę.

- Mogłabym być użyteczna - odrzekła Katharina. - Wiem, że może po mnie tego nie widać, ale potrafię ciężko pracować i nie jem dużo.

Wzrok kobiety wymownie powędrował na opróżniony co do ostatniego okrucha drewniany talerz i choć powstrzymała się od jakiegokolwiek komentarza, pokręciła jednak głowę. - To nie byłoby życie dla ciebie - oznajmiła z przekonaniem. - Stwarzasz sobie fałszywy obraz. Nie zawsze jest tak, jak tamtego dnia, którego mnie poznałaś, wiesz? Moje życie to w znacznej mierze walka, wciąż o to samo. Wszyscy wiwatują i się cieszą, kiedy przychodzimy do miasta, bo na kilka dni wnosimy odmianę w ich ponure życie, ale są tak samo szczęśliwi, kiedy odchodzimy; a często nas wypędzają. - Westchnęła przesadnie. - Jesteśmy narodem bez ojczyzny.

- Tak jak ja.

- Zadbają o ciebie - podkreśliła Vera, nie przyjmując do wiadomości jej ostatniej uwagi. - Baron jest człowiekiem honoru i... - Urwała w połowie zdania, szarpnęła głowę i spojrzała w stronę drzwi.

- Co ci jest? - spytała przestraszona Katharina. Vera nie odpowiedziała od razu, ale także jej małpka, która do tej pory posłusznie siedziała na jej ramieniu, jedząc swoją część suchego chleba, podniosła nagle głowę, popatrzyła przez chwilę uważnie na drzwi, po czym czmychnęła, trąkając z ekscytacji.

- Ktoś idzie - rzekła ostrzegawczo kuglarka. - Szybko. Musimy stąd uciekać!

Obie gwałtownie zerwały się w tym samym momencie, tak że ich krzesła przewracały się z rumorem, ale było już za późno. Katharina nie zdążyła jeszcze postąpić kroku w kierunku drzwi, gdy zjawiała się w nich masywna postać w kolczudze i niebieskim tabardzie.

- Cóż za miła niespodzianka - powiedział wesoło Guy de Pardeville.

Bądź co bądź nie tylko zostawili jej koty, ale jeszcze przynosili Huginowi i Muninowi tak samo regularnie równie dobre jedzenie, co jej... co wszakże było jedyną pozytywną rzeczą, jaką można było powiedzieć o następnych dwóch dniach.

Oczywiście próbowały uciec i przynajmniej broniąca się ze wszystkich sił Vera zostawiła jedną czy dwie krwawe szramy na czyjeś twarzy, zanim w końcu ludziom Pardeville'a udało się złamać jej opór. Katharina także robiła, co mogła. Nic to nie dało. Zaledwie chwilę później obie ze związanymi rękami i stopami (a po tym, jak Vera obrzuciła hrabiego niekończącą się powodzią zdumiewająco wymyślnych obelg, w dodatku zakneblowane) znalazły się ponownie w jakiejś przeciekającej łodzi, która zabrała je na drugi brzeg Renu.

Na szczęście położyli je na plecach, tak iż podczas całej podróży Katharina musiała patrzeć tylko na (huśtające się tam i z powrotem) niebo, a nie na rzekę.

Następnie jechały dłuższy czas konno (ciągle zakneblowane i ze związanymi na plecach rękami). Dziewczyna w końcu zobaczyła po raz pierwszy z bliska zamek Pardeville, który przedstawiał dość onieśmielający, przede wszystkim

jednak imponujący widok. Wliczając wzgórze zamkowe i zewnętrzną palisadę, spalony Ellsbusch mógł być nawet większy. Lecz nawet po wizycie w Santen to, co zobaczyła tutaj, po prostu zaparło jej dech w piersiach.

Zamek nie był wprawdzie szczególnie duży, ale tak zwały i nieprzystępny jak usypana ludzką ręką góra. Aż dwie wieże - jedna niska i przysadzista, ale wciąż jeszcze wyższa niż drewniany donżon Ellsbusch, druga smuklejsza i niemal dwukrotnie wyższa - łączyły się z masywną bramą i labiryntem wznoszących się jedne nad drugimi, zwieńczonych blankami murów i wyniosłych obwarowań w prawdziwe monstrum, którego już sam widok sprawiał, że poczuła się mała i bezradna. Położony za okalającą go na trzech czwartych okręgu fosą i dodatkowym murem zewnętrznym twierdza wydała się jej wystarczająco silnie ufortyfikowana, aby stawić czoła wszelkim możliwym atakom.

Zamek widziany od wewnątrz sprawiał wrażenie jeszcze masywniejszego, ale więzienia miały zapewne to do siebie.

Przy rym nie było to nawet prawdziwe więzienie. Pomieszczenie, do którego zabrał ją jeden z ludzi Pardeville'a, znajdowało się na wyższym piętrze wysokiej wieży, miało wysokie, nawet niezakratowane okno i urządzone - przynajmniej według standardów Kathariny - niemal z rozrzutnością, lecz drzwi z litych dębowych desek i przymocowany od zewnątrz rygiel czyniły go mimo to więzieniem. Przez resztę tamtego i całego następnego dnia nie widziała już nikogo.

Dopiero po spędzeniu drugiej nocy w królewskiej celi została zabrana przez tego samego małowównego mężczyznę, który ją tutaj wtrącił, i zaprowadzona do pana tego pośepnego zamku.

Guy de Pardeville oczekiwał ją w ogromnej sali - przypuszczalnie sali tronowej zamku, chociaż nigdy jeszcze w takiej nie była - urządzonej ciężkimi, bogato zdobionymi meblami i cennymi arrasami. Aż dwa duże kominki musiały nawet najsrozsza zimą ogrzewać to wnętrze do przyjemnych temperatur, a sam ogromny stół, za którym przyjmował ją hrabia, zapewniał miejsce z górą trzem lub czterem tuzinom gości. U jego szczytu stało rzeczywiście coś w rodzaju tronu, którego ozdobione misternymi snycerskimi detalami oparcie znacznie przewyższało Katharinę.

Guy de Pardeville przyjął ją jednak przy drugim końcu ogromnego blatu, gdzie na kosztownej cynowej zastawie podano obfite śniadanie dla dwóch osób, jakby obawiał się, że ją zastraszy ponad miarę, jeśliby siedział na swoim marsowym tronie. Widok frankijskiego pana zaskoczył ją zrazu. Bez zbroi i ciężkiego hełmu wyglądał na znacznie mniejszego, prawie wątłego i sprawiającego wrażenie starszego niż wcześniej.

Poza tym, jeszcze nigdy nie widziała go tak uprzejmym. Kiedy ją wprowadzono, zerwał się nagle i z promiennym uśmiechem, jakby ujrzał drogiego gościa, na którego tęsknie czekał już od wielu go- dzin, pośpieszył jej naprzeciw, przepędzając strażnika zirytowanym gestem.

- Katharino! Jakże miło cię ujrzeć całą i zdrową. Widać, że odpoczynek naprawdę dobrze ci zrobił.

Rzeczywiście, Katharina poprzedni dzień - z samej choćby nudy - w większej części spędziła na spaniu i tak się zrelaksowała, że prawie jej to było nieprzyjemne; jakby ukradła coś, co jej się nie należało. Nie odpowiedziała.

- Chyba byłaś dobrze traktowana? - upewnił się hrabia. - Musiałem niestety wyjechać na dwa dni i nie mogłem się sam o ciebie zatroszczyć, ale wydałem najsurowsze polecenia, żeby cię traktowano jak honorowego gościa i spełniano wszystkie twoje zachcianki.

- W takim razie powinniście kazać wychłostać swoich ludzi - odpowiedziała dziewczyna. - Prosiłam, żeby mi pozwolono odejść, ale tego nie zrobili.

- Tak, powiedziano mi, że masz duże poczucie humoru - odpowiedział de Pardeville z nie całkiem przekonującym uśmiechem.

Ruchem ręki zaprosił ją do stołu. - Pójdź. Zjedzmy razem, musisz być głodna; myślę, że jestem ci też winien kilka wyjaśnień.

- Gdzie jest Vera? - spytała Katharina. Nie poruszyła ani jednym mięśniem, by pójść za zaproszeniem hrabiego.

- Ma się dobrze, nie martw się - odrzekł. - Jeśli chcesz, każe cię później do niej zaprowadzić, żebyś mogła z nią pomówić. Ale teraz mamy wiele rzeczy do omówienia. - Powtórzył zapraszający gest, a tym razem było w nim coś rozkazującego, co sprawiło, że nie mogła go już zlekceważyć. Niechętnie usiadła i dopiero teraz stwierdziła, że nakrycia były jeszcze puste.

De Pardeville klasnął w ręce, obszedł stół i zajął miejsce naprzeciwko niej. Jeszcze zanim tam doszedł, otworzyły się drzwi i jakaś zgarbiona staruszka przyczłapała do środka i położyła na stole tacę ze świeżymi owocami, warzywami i chlebem w takiej ilości, jakby oczekiwali jeszcze tuzina gości. Katharina rzuciła ukradkowe spojrzenie na wąskie oblicze, otoczone przedwcześnie posiwiałymi włosami, które na karku związane były w mocny węzeł. Strapiona twarz o wąskich

ustach, wyglądających tak, jakby ostatni raz uśmiechały się przed pokoleniem, ale z zaskakująco czujnymi oczami, które wydawały się o wiele młodsze niż reszta tej fizjonomii. Na jedną przelotną chwilę ich spojrzenia spotkały się i coś... mignęło w jej oczach, co kazało dziewczynie spojrzeć w nie jeszcze raz, uważniej.

Lecz to było niemożliwe.

-Już dobrze, Edith - powiedział Pardeville. - Zawołam cię, jeśli będziemy jeszcze czegoś potrzebować.

Stara kobieta odeszła szybko i bezgłośnie, a hrabia odprowadził ją chmurnym spojrzeniem.

- Była już stara i niedołączna, kiedy ją przyjąłem, a od tego czasu minęło ponad dziesięć lat, w czasie których stała się niezdarniejsza i wolniejsza. Myślę, że przez cały ten okres nie było ani dnia, żebym się nie zastanawiał, dlaczego ją jeszcze trzymam.

- To musi być wasze wielkie serce, panie - powiedziała Katharina. Patrzyła na starą kobietę, dopóki ta nie wyszła z pokoju. Ogarnęła ją niezmierna konsternacja. Czy to możliwe że... Nie! Na pewno nie.

- Nie przesadzaj, moje dziecko - powiedział Pardeville. Uśmiechał się, lecz jego oczy pozostawały zimne.

- Co? - spytała dziewczyna.

Teraz oczy hrabiego rozblęły białą gorączką, a jego usta zwięzły się do cienkiej bezkrwawej kreski, zdającej się dzielić jego twarz jak blizna. Jednak ogień w jego oczach zaraz zgasł i gospodarz zmusił się do - prawie - przekonującego uśmiechu.

-Wybacz, moje dziecko - powiedział. Nie powinienem tak z tobą rozmawiać. Masz prawo mi nie wierzyć. Po tym wszystkim, co ci uczyniono, pewnie nikomu już nie ufasz, mam rację?

Katharina patrzyła na niego bez słowa, co hrabiemu zdawało się wystarczać za odpowiedź, bo skinął głową i wykonał zapraszający - a może rozkazujący - gest, wskazując wszystkie zaserwowane smakołyki. Dziewczyna dla zasady stawiała jeszcze przez kilka długich chwil krnąbrny opór, ale potem zaczęła jeść z wielkim apetytem.

- Gdybyś tylko od razu powiedziała, kim jesteś, dziecko, oszczędziłoby to nam wszystkim silnego rozdrażnienia. I wiele nieszczęść może w ogóle by się nie zdarzyło.

Katharina przestała na chwilę walczyć z dwuzębnym widelcem, którego używania nauczyła się dopiero w Bjarnisund, i spojrzała przenikliwie na pana zamku. Czy to zarzut?

- Z drugiej strony, nie ma w tym twojej winy - ciągnął Pardeville, jakby odgadł jej myśli. - Po wszystkim, co przeżyłaś, musiałaś być nieufna wobec obcych, jak sądzę. Nie chcę ci robić wyrzutów. Tak byłoby jedynie prościej. - Zawahał się na moment. - Także dla ciebie.

-Jak to? - spytała nieufnie Katharina.

Hrabia miał odpowiedzieć, ale potrząsnął tylko głową i zamyślił się na chwilę. - Może muszę się cofnąć dalej - zaczął zmienionym tonem. - Dowiedziałas się już, kim jesteś, prawda? Wtedy tego nie wiedziałas... ale ja wiedziałem.

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona, a Pardeville skinął potakująco głową, kilka razy pod rząd. - Przybyliśmy zbyt późno, czego szczerze żałuję, ale byliśmy tam nie tylko po to, żeby ratować ludzi w twojej wiosce. Przede wszystkim szukałem ciebie.

- To... - zaczęła niepewnie Katharina.

- Nie do uwierzenia, wiem - przerwał jej - ale to prawda. Co wiesz o Wulfgarze i jego rodzinie?

- Niewiele - przyznała - tylko tyle, że jest bratem Erika.

-I że od dziesięciu lat cię poszukuje - dopowiedział Pardeville. - Obaj mieli powody, żeby przybyć do naszego kraju: Erik szukał nowej ojczyzny dla swojego ludu - rzekomo - a jego brat chciał się obłowić. To jest to, co mówią swoim ludziom... i nam. Ale po prawdzie obaj są tutaj, żeby szukać swoich dzieci. Wiedziałaś, że syn Wulfgara jest twoim ojcem?

Katharina skinęła głową. Na tym już niemal wyczerpywała się jej wiedza o rodzicach, zastanawiała się jednak, skąd on o tym wiedział.

Wprawdzie widziała Pardeville'a razem z Wulfgarem i przypuszczała, że znał księcia wikingów znacznie lepiej, niż dawał to po sobie poznać, ale jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby Wulfgar tak dalece mu zaufał.

- Widzę już, że Erik nie opowiedział ci całej historii - kontynuował hrabia. - Dlaczego miałby to uczynić? Musisz

wiedzieć, że jego własna rola nie jest w niej aż tak bezinteresowna i świetlana, jak ją chętnie przedstawia. Twój ojciec stracił wówczas życie podczas ataku na waszą wieś, ale twojej matce udało się razem z tobą zbiec. Musiała tułać się przez rok, biedna kobieta, całkiem sama, ranna, chora i z niemowlęciem, o które musiała się troszczyć. Kiedyś pod koniec jej desperackiej ucieczki przybyła tutaj, nad Ren, i chyba poczuła, że jej czas się kończy. Więc szukała jakiegoś miejsca, o którym wiedziałyby, że jej dziecko będzie w nim bezpieczne.

- U ojca Cedrika? - Katharinę zdumiało gorzkie brzmienie własnego pytania, a Pardeville potrząsnął głową.

- Graf Ellsbusch - odparł. - Nie będę cię okłamywać, dziecko.

Ellsbusch i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Był surowym człowiekiem, a do tego nieuczciwym. Braliśmy mu wówczas za złe, że zadawał się z Wulfgarem i jego bandą zbójców, ale większość niechętnie to zaakceptowała, ponieważ wydawał się zarazem mieć ich pod kontrolą i powstrzymywać od najgorszego. - Wzruszył nieznacznie ramionami. - Być może to był powód, dla którego twoja matka zwróciła się o pomoc do niego... bo przywodził jej na myśl jej ludzi i wszystko, co straciła.

- Przyprowdziła mnie zatem do człowieka, który był w przymierzu akurat z Wulfgarem? - spytała Katharina.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - Pardeville uśmiechnął się.

- Sam nie mogłem tego sobie wyobrazić, gdy ta historia doszła do mych uszu, ale jeśli pomyśleć o tym wnikliwiej, to jest w tym głęboki sens. Twoja matka była niewątpliwie kobietą nadzwyczaj dzielną, ale również niezwykle inteligentną. Gdzie się znajdowało jedyne za pewne miejsce, w którym Wulfgar by cię nie szukał? Tuż pod jego nosem. Znasz to przysłowie, że często nie widzi się lasu zza drzew?

Dziewczyna jeszcze nigdy nie słyszała tego porzekadła, ale hrabia roześmiał się, jak gdyby wyszedł mu jakiś szczególnie dobry żart.

- Zawierzyła Ellsbuschowi i przyjęła od niego obietnicę, że się tobą zaopiekuje i będzie strzegł twojej tajemnicy... jak znam dobrego grafa, kazał sobie za tę obietnicę dobrze zapłacić. Ale trzeba mu przyznać, że strzegł jej przez z górą dziesięć lat.

- Ale ja nie wyrosłam na dworze - zauważyła Katharina.

- A niby jak, na zamku, w którym Wulfgar i jego ludzie wchodzili i wychodzili, kiedy chcieli? - powiedział Pardeville, kręcąc głową. - Ellsbusch znał Wulfgara wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nigdy nie przyjdzie do twojej wioski. Nie było tam nic, co mógłby zabrać, a jej mieszkańcami gardził za ich biedę i głupotę. Tam rzeczywiście była bezpieczna.

- O tak - rzekła gorzko Katharina.

- Nie wydawaj pochopnych wyroków - powiedział. - Jestem na prawdę ostatnim, który broniłby grafa Ellsbuscha, ale to jedyna rzecz, jaką mógł zrobić, żeby cię ukryć tuż pod nosem Wulfgara.

- Tak, ojciec Cedric był dla mnie jak matka - zauważyła złośliwie Katharina.

- Ojciec Cedric - odparł poważnie Pardeville - był złym człowiekiem. Nauczył cię wierzyć w Boga, moje dziecko, czy nauczył cię też lęku przed jego gniewem?

Może i jedno, i drugie, pomyślała dziewczyna, ale nie mogła powiedzieć, co przeważało.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co ty musiałaś wycierpieć, moje dziecko - kontynuował hrabia - ale tamten czas należy do przeszłości; zarówno graf, jak i ojciec Cedric zapłacili za to.

Jeśli sądził, że ją pocieszył, to się mylił. O tak, graf Ellsbusch, a zwłaszcza ojciec Cedric wyrządzili jej krzywdę, większą, niż Pardeville kiedykolwiek zdołałby ogarnąć, ukradli jej przecież nie mniej niż dziesięć lat życia; ale nie pragnęła zemsty. To iż obu spotkał tak straszny koniec, frankijskiemu panu mogło wydać się aktem boskiej sprawiedliwości, ale dla niej samej nic nie znaczyło.

Kiedy wsłuchiwała się w siebie, na próżno szukała tam zadośćuczynienia lub ulgi. Śmierć tych dwóch nie zmieniła nic a nic, i nic nie polepszyła.

Zapytała więc dla odmiany: - Skąd to wszystko wiecie?

- Mam zaufanego człowieka w obozie Wulfgara - wyznał bez ogródek Pardeville. - On dał mi znać, kiedy Wulfgar dowiedział się prawdy. Ponoć pieniał się ze wściekłości, jak możesz sobie wyobrazić - a jak zareagował na tę zdradę, widziałaś na własne oczy. - Uniósł ramiona, pochylił się i sięgnął z afektacją po jedno jedyne ciemnoczerwone

winogrono. - Moi ludzie i ja od razu wyruszyliśmy, aby zapobiec najgorszemu, ale jak sama widziałaś, przybyliśmy za późno.

Rozgryzł grono między zębami i pojedyncza kropla czerwonego winnego soku popłynęła mu po brodzie, dopóki nie stał jej dłonią.

Ten obraz przypomniawszy Katharinie krew, którą widziała na twarzy Guthenfelsa.

- Gdybym wówczas na tej drodze wiedział, kim jesteś, zabralibyśmy cię tutaj i wiele zostałooby ci oszczędzone, moje dziecko. Ale my szukaliśmy dziewczynki, nie chłopca. To było nadzwyczaj roztropne ze strony ojca Cedrika, żeby cię ubrać w męskie przebranie.

Katharina znów rzuciła mu milczące spojrzenie. Pardeville czegoś od niej oczekiwał, jakiejś konkretnej reakcji, ale nie wiedziała jakiej. Była po prostu zmieszana. Naturalnie w ten sposób hrabia dążył do określonego (i z pewnością podłego) celu, nawet jego uśmiech zdawał się być na pokaz. A jednak tkwiło w niej coś - jakaś mała, zawzięta cząstka - co chciało wierzyć jego słowom.

- Nie wierzysz mi - rzekł. - To mnie boli, moje dziecko, ale mogę to zrozumieć. Widziałaś mnie razem z Wulfgarem w Santen, a co ci ta cyganka o mnie naopowiadała, wolałbym nie wiedzieć.

O włos Katharina dodałaby, że widziała go również - a przede wszystkim słyszała! - w domu piekarzy, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że on o tym nic nie wiedział, więc ugryzła się w język.

- Vera jest bardzo miła, nieprawdaż? - ciągnął Pardeville.

- Uratowała mi życie - potwierdziła Katharina. Hrabia uniósł pytająco brwi, a ona dodała: - Wpadłam do wody, kiedy Wulfgar i jego wojownicy zaatakowali nas na rzece. Utonęłabym, gdyby nie ona.

Pardeville skinął głową. - Dlatego jej ufasz. Rozumiem to. Z drugiej strony... mogłabyś... powiedzmy... zaufać także Cedrikowi, gdyby ocalił cię przed utonięciem; zaufać bez zastrzeżeń i na resztę życia?

- Dlaczego... opowiadacie mi to wszystko, panie? - spytała po chwili wahania Katharina.

- Żebyś zrozumiała, o co tu naprawdę chodzi, moje dziecko - odparł. - Nie oczekuję, że mi uwierzysz, czy wręcz zaufasz, ale obie te rzeczy byłyby wskazane. - Wziął ze stołu drugie, najdojrzałe winogrono, ale nie zjadł go, lecz zaczął bawić się nim, jakby pograżony w myślach. Wreszcie wstał.

- Podejdź tu, moje dziecko.

Katharina - na powrót nieufna - posłuchała i obszedłszy niespiesznie krokiem stół, przeszła na jego stronę. Pardeville podszedł do jednego z dwóch wielkich okien na północnej ścianie sali i dał jej zachęcający znak, żeby poszła za nim. Katharina także teraz usłuchała go dopiero po jakimś wahaniu, o czym wszakże hrabia nie wspomniawszy ani słowem. Raczej cierpliwie odczekał, aż do niego dotarła, następnie lewą ręką odsunął na bok ciężką zasłonę, a drugą wskazał na zewnątrz. Wzrok Kathariny podążył za tym gestem i choć ujrzała dokładnie to, czego się spodziewała, ten widok odjął jej mowę.

Musieli znajdować się bezpośrednio pod dachem wysokiej wieży, bo wzrok sięgał stąd bez przeszkód nie tylko Renu - bądź co bądź oddalonego o dobrą godzinę jazdy konno! - lecz rozległych terenów hen na jego przeciwległym brzegu. Tak daleko za rzeką, że nawet nie była w stanie ocenić odległości, dostrzegła jakby cień na tle nieba, a pod nim dachy i wieże jakiegoś miasta - niewiele więcej niż sylwetkę jakiejś odległej, dziwnie kanciastej góry. Jakiś statek płynął po Renie.

Musiał być bardzo duży, bo miał aż dwa maszty, których sprężyste napięte żagle pozwalały prędko ślizgać się po wodzie. Jednak z tej dużej odległości wydał się jej zabawką, robiącą niewiele większe wrażenie niż łódeczki, jakie dzieci z Ellsbusch majstrowały czasem z kory drzew.

- Czy wszystko to należy... do was? - spytała, zacinając się.

- Nie. - Pardeville zaśmiał się cicho, nie brzmiał już szyderczo ani groźnie, tylko dobrodusznie. - Ale spora część tego... chociaż „należy” nie jest może właściwym słowem. Powierzono mi to w lenno.

- Czy to nie znaczy to samo?

- Niektórzy mogą to tak widzieć - odparł. - I w pewnym sensie tak chyba jest. Przynajmniej w tym, że korzystam z tych dóbr, a wszyscy wieśniacy, rybacy, rzemieślnicy i hodowcy bydła muszą mi płacić podatki i daniny. Tak, to prawda. Jednakże to nie znaczy, że dostaję to w prezencie. Z władzą nad tym krajem i jego mieszkańcami przyjąłem

odpowiedzialność, w zamian jesteście wam winni obronę i wszystkim ludziom na tych ziemiach gwarantujemy bezpieczeństwo, zarówno ich życia, jak i dusz.

Co dokładnie chciał przez to powiedzieć? Katharina z niejakim wysiłkiem oderwała się od fascynującego obrazu miniaturowego świata pod sobą i podniosła na niego pytający wzrok.

- Twój dziadek naopowiadał ci, że jestem wrogiem jego ludu, prawda?

Dziewczyna zmilczała to; także tym razem dla hrabiego milczenie było wystarczającą odpowiedzią. Nieznacznie skinął głową, wyglądał na niemal zasmuconego.

- A po wszystkim, co przeżyłaś, zapewne mu wierzysz - ciągnął - ale nie jest to prawda. Nie mam nic przeciw waszemu ludowi, moje dziecko. Wręcz przeciwnie. Cenię go, ponieważ wydał wielu wielkich ludzi, a wasz kunszt rękodzielniczy i odwaga waszych żeglarzy słusznie słyną w świecie. Jednak myślę, że nie tutaj jest miejsce tego ludu.

Sporo tutejszych miast, a jeszcze więcej na północy, prowadzi handel z twoim ludem - z tymi, którzy zostali w swojej ojczyźnie. To nie jest wasz świat, uważam, że nie powinno was tutaj być, tak samo jak naszego ludu w waszym kraju.

Katharina wyczuwała, że te słowa powinny ją oburzyć i trochę też tak na nią podziały... ale właśnie tylko trochę, jak gdyby poczuła to tylko dlatego, że coś w niej uznało, że tak wypadało. Czyż nie były to niemal te same słowa, których użył Erik i Arla?

- Baron zu Guthenfels - zaczęła, lecz Pardeville wpadł jej w słowo gestem prawie delikatnym, choć stanowczym: - Baron jest mądrym człowiekiem, ale czasami może trochę zbyt dobrodusznym. Znam jego argumenty, kłóciliśmy się o to często i długo. Jego intencje są szlachetne i z pewnością w wielu kwestiach ma rację. Jest dobrym przyjacielem twojego dziadka, a ludzie z Bjarnisund nigdy nikogo nie skrzywdzili, o ile wiem.

Pokręcił głową. - Ale nie wszyscy są tacy, Katharino. Są też ludzie tacy jak Wulfgar i jego czereda. Doświadczyłaś, do czego są zdolni.

Być może pewnego dnia nastanie czas, kiedy nasze ludy będą mogły współżyć ze sobą pokojowo, ale jeszcze na to nie pora. Widziałaś, co uczynili, najpierw w Ellsbusch, a później na Renie. Posłałem do Wulfgara człowieka z żądaniem, żeby się na ten temat wypowiedział, ale minęły już dwa dni, a ów dotąd nie wrócił. - Cień przemknął po jego twarzy. - Obawiam się, że już nie wróci.

- A co to... ma wspólnego ze mną? - spytała niepewnie Katharina.

- Jeśli wszyscy będziemy mieć szczęście, nic - odpowiedział Pardeville. Zabrzmiało to jak głębokie westchnienie. - Modlę się, żebyśmy znaleźli pokojowe rozwiązanie, jednak boję się, że Bóg nie wysłucha moich modlitw.

- Będzie wojna - wymamrotała Katharina. - Z mojego powodu.

- Z twojego powodu? - Pardeville zdawał się być szczerze zaskoczony. - Skąd też ci to przychodzi do głowy, moje dziecko? - Odpowiedzi na to pytanie udzielił sobie sam, energicznie potrząsając głową, zanim Katharina wydobyła z siebie słowo. - Prędzej czy później i tak by do tego doszło, zwłaszcza teraz, gdy Bjarnisund został porzucony, a Erika już tutaj nie ma. Ellsbusch i on byli jedynymi, którzy jeszcze trzymali Wulfgara w szachu. Już zwołałem moich ludzi, a minionej nocy dotarł do mnie posłaniec z Zons. Baron dotarł tam bez uszczerbku - za co dziękuję Bogu - i jest już w drodze z armią.

- A czego oczekujecie teraz ode mnie, panie? - spytała dziewczyna.

- Tylko, żebyś powiedziała prawdę, moje dziecko - odrzekł Pardeville. - Nie mniej, ale i nie więcej. Jesteś jedyną, która widziała na własne oczy, co wydarzyło się tamtej nocy. Czyż nie jest prawdą, że byłaś przy tym, jak Wulfgar zabił grafa swoim toporem?

Katharina doznała olśnienia, że od jej odpowiedzi na to pytanie zależy bardzo wiele; być może i życie. Pomyślała, że nawet jeśli miała właśnie wydać na siebie wyrok śmierci, jej los i bez tego już dawno był rozstrzygnięty. - Ale sądziłam, że wy i Wulfgar...

- Jesteśmy sojusznikami? - hrabia dokończył za nią zdanie, gdy głos uwiązał jej w gardle. Uśmiechnął się boleśnie. - Tylko dlatego, że rozmawiałem z nim w Santen? Nie, zaprawdę, nie. Próbowałem do niego przemówić, aby zapobiec najgorszemu, to prawda. I niemal mu uwierzyłem, także to jest prawdą. Może nawet bym to zrobił, gdyby nie zaatakował statku, usiłując zabić ciebie i Guthenfelsa. - Zamachał ręką, jakby chciał fizycznie zetrzeć ten temat. - Powinnaś jednak wiedzieć, dlaczego tu jesteś. Będą ci zadawać pytania, dziecko. Ludzie będą chcieli wiedzieć, co się stało. Może dojść do

walk i zgina ludzi. Z pewnością cesarz przyśle kogoś, aby się przekonać, czy wszystko tutaj było prawe. Nie wiem, co twój dziadek ci o mnie naopowiadał, ale nawet ja nie stoję ponad prawem.

Wielu jest takich, którzy uważają, że mam tutaj równie mało do szukania, co Wulfgar i jego ludzie. Nie mogę tak po prostu rozpętać wojny, tylko dlatego, że mam na to ochotę.

- Któż mi uwierzy- powiedziała Katharina. - Jestem tylko dzieckiem. A do tego jedną od nich.

- Bzdura - sprzeciwił się Pardeville. - To prawda, twój ojciec był synem Wulfgara, a tym samym Normanem, ale twoja babcia pochodziła stąd, nieprawdaż? Myślę, że nawet z tych okolic. Co ważniejsze, dorastałaś tutaj i byłaś wychowywana przez człowieka Kościola, być może nie w sposób, w jaki należało, ale przecież w najlepszej wierze chrześcijańskiej. - Zawahał się, na krótki moment, a jednak zauważalnie. - Niezależnie od tego, nikt nie musi się dowiedzieć, że jesteś spokrewniona z tymi przez tak wielu znienawidzonymi Normanami.

- A co potem ze mną się stanie?

- To się okaże - bez zastanowienia odpowiedział hrabia. - Guthenfels obiecał się o ciebie zatroszczyć, a to człowiek, który dotrzymuje słowa. Znajdzie dla ciebie dobre miejsce. Możesz również zostać tutaj, jeśli zechcesz.

- U was? - spytała zaskoczona.

- Zamek Pardeville jest wielki - odrzekł. - Dla zdrowej dziewczyny jak ty, która nauczyła się pracować i nie boi się pobrudzić, znajdzie się jakiś kącik. Miałabyś zawsze pod dostatkiem jedzenia, zimą ciepłe miejsce przy kominku i nawet dostawałabyś za to zapłatę...jakkolwiek niezbyt wysoką, obawiam się. - Podniósł rękę, gdy chciała odpowiedzieć. - Nie decyduj teraz. Nie wcześniej niż jutro przybędzie tutaj baron ze swoimi oddziałami, powinnaś wykorzystać ten czas i przemyśleć to wszystko. Możesz obejrzeć zamek, jeśli sobie życzysz.

Spodoba ci się, jestem tego pewien. Mamy tutaj wiele zwierząt, psy, konie, osły i koty... lubisz koty, tak mi powiedziano?

-Ja... mogę się tutaj...?

- Swobodnie poruszać? - uprzedził ją Pardeville. - Ale oczywiście, moje dziecko. Nie jesteś tu więźniem.

- Do tej pory nim byłam.

- Godne pożałowania nieporozumienie - uznał hrabia. - Poleciłem moim ludziom, żeby nad tobą czuwali, nie żeby cię więzili.

Odpowiedzialnych surowo ukażę, jeśli tego zażadasz.

Katharina patrzyła na niego w osłupieniu. Przez chwilę kusiło ją, żeby powiedzieć tak, tylko po to, żeby zobaczyć, jak by na to zareagował. Jednak dobrze wiedziała, jak głupie byłoby to posunięcie.

-A...Vera?

-Jeśli tego pragniesz, możesz z nią porozmawiać.

Katharina pokręciła głową. - Nie to mam na myśli. Co się z nią stanie?

Guy de Pardeville zawahał się, tylko na mgnienie oka, a jednak wystarczająco długo, żeby na nowo wzbudzić w niej nieufność.

- Z nią rzeczy mają się... nieco inaczej - odpowiedział w końcu.

- Proszono mnie, aby zabrać ją do Santen. Mają tam kilka pytań, które chcieliby zadać twojej przyjaciółce w związku ze śmiercią piekarzy; i losem ojca Cedrika, o czym nie należy zapominać.

Sama znacznie lepiej mogłaby na nie odpowiedzieć, pomyślała Katharina. Ale wystrzegła się, żeby nie powiedzieć tego głośno, ani nie dać poznać po sobie swoich prawdziwych uczuć. - Ona nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała.

Pardeville uśmiechnął się. - To piękne mieć kogoś takiego jak ty za swoją przyjaciółkę - powiedział. - Nie martw się, dziecko. Zrobię dla niej, co w mojej mocy. Wszystko się wyjaśni, zaufaj mi.

O tak, pomyślała ponuro Katharina, wyjaśni się. Z całą pewnością.

- A ty oczywiście uwierzyłaś w każde jego słowo. - Głos Very wprost ociekał szyderstwem, a jeszcze gorsze było spojrzenie, jakim zmierzyła Katharinę; był to dokładnie ten rodzaj spojrzenia, jakim dorosły może obdarzyć dziecko, które właśnie zrobiło coś bardzo głupiego i uparcie odmawiało uznania tego.

- Oczywiście, że nie - pośpieszyła z odpowiedzią dziewczyna.

- Ale bądź co bądź dotrzymał słowa. Obiecał, że będzie mi wolno cię zobaczyć i jestem tutaj, no nie?

- Jakże niezmierna wspaniałość! - prychnęła kobieta.

- To znaczy, że po tym, jak nas tutaj zawłóknął przemocą i rzucił mnie w tę norę, mogę przyjąć gościa.

Co do nory, pomyślała nieswojo Katharina, nie można było nie przyznać jej racji.

Kiedy Guy de Pardeville kazał jednemu ze swoich ludzi zabrać ją do Very, oczekiwała czegoś podobnego do jej własnego więzienia, choć może nie tak wspaniałego.

Tymczasem mężczyzna poprowadził ją nieskończenie długimi i karkołomnie stromymi kamiennymi schodami w dół, do tego oto pomieszczenia, które musiało leżeć głęboko pod parterem zamku, może nawet poniżej piwnicy. Nie było żadnego okna, tylko pod niskim sklepieniem wąska szpara dla powietrza, od której przeraźliwie ciągnęło chłodem, który to przeciąg nie był jednak w stanie rozwiać jeszcze przeraźliwszego, dławiącego ją w gardle fetoru. Jedyne światło dochodziło z kopcącej pochodni, która wyraźnie dawała więcej dymu niż światła, a i wyposażenie kwatery kuglarki nie mogło się równać z tym u Kathariny. Ściśle rzecz biorąc składało się z warstwy na wpół przegniłej słomy na ziemi i drewnianego wiadra z pokrywą, będącego źródłem duszącego smrodu.

- Dają ci przynajmniej dość jedzenia? - spytała niespokojnie Katharina.

- Więcej niż mogę przełknąć - zapewniła Vera. Kiwnęła głową z taką przesadą, że zadźwięczał łańcuch, którym przykuto ją za nogę do żelaznego pierścienia w podłodze. Dziewczyna tylko spojrzała na nią pytająco, a kuglarka ciągnęła: - Powinnaś spróbować tego smakowitego posiłku, jakim twój nowy przyjaciel raczy swoich gości tutaj na dole. Po jednej łyżce byłabyś tak syta, że nie mogłabyś już nic przełknąć, masz na to moje słowo.

Katharina skrzywiła usta w niewesołym uśmiechu, zrobiła krok w kierunku kobiety i zatrzymała się, kiedy za jej plecami rozległ się szurgot. Mężczyzna, który ją tutaj przyprowadził, nie wszedł wprawdzie za nią do niewielkiej celi, ale ustawił się w takim miejscu, żeby mieć je obie na oku.

- Pomówię z Guy de Pardeville'em - oznajmiła Katharina. - To z pewnością jakaś... pomyłka.

- Że jeszcze żyję? - złościła się Vera. - Przypuszczalnie tak.

Katharina przełknęła wszystko, co usłyszała. Vera była niesprawiedliwa, ale po prawie dwóch dniach w tym okropnym lochu chyba każdy by był. Zamiast do kuglarki, zwróciła się w ostrym tonie do strażnika o wąskim obliczu. - Chciałabym z nią porozmawiać sam na sam.

- Na to... nie mogę pozwolić - odrzekł nieprzyjemnie strażnik.

- Nie wolno ci jej także dotykać.

- Czy twój pan boi się, że mogłabym przegryźć jej łańcuch?

- spytała kąśliwie Katharina.

Mężczyzna przez moment omiatał ją tak wściekłym spojrzeniem, że obawiała się, iż przebrała miarę, lecz zaraz odczytała z jego twarzy, że wdawanie się w ten spór uznał za zbyt głupie. Zamiast odpowiedzieć, wywinął tylko hardo dolną wargę, odwrócił się gwałtownie i poczłapał do końca wąskiego korytarza, tak iż mógł wprawdzie nadal mieć je na oku, ale nie mógł ich już podsłuchiwać.

- Nie przesadzaj — powiedziała Vera. - Fakt, iż nie zakuł cię w łańcuchy, wcale nie oznacza, że nie jesteś uwięziona.

Katharina na wszelki wypadek nic na to nie rzekła, lecz podeszła teraz do kobiety całkiem blisko, a serce jej zamarło, gdy zobaczyła, w jak opłakanym jest stanie. Jej ubranie, skóra i włosy lepiły się od brudu, jak gdyby była tutaj już od tygodni, a nie zaledwie od półtora dnia, zaś skóra, którą mogła dostrzec pod spodem, była blada jak u trupa. Policzki miała zapadłe, a pod oczami ciemne kręgi. Jej usta były spuchnięte i pokryte grubymi strupami, wszędzie na jej sukni widoczna była ciemnobrązowa zaschnięta krew.

- O Boże! - wykrzyknęła dziewczyna. - Co oni z tobą uczynili?

- Nawet w połowie nie tyle, ile by chcieli, uwierz mi - odrzekła Vera. Podniosła ręce, broniąc się, gdy Katharina chciała się ku niej pochylić. - Już dobrze. Przeżyłam gorsze rzeczy.

- Ale... ale dlaczego to zrobili? - wyjąkała Katharina. Kuglarka wzruszyła ramionami. Jej łańcuch cicho zabrzęczał.

- On - poprawiła ją. - Jego ludzie tylko mnie trzymali, choć bez wątplenia sprawiało im to frajdę. A Guy de Pardeville



chciał mi tylko jasno wyłożyć swoje stanowisko.

-Jakie stanowisko?

- Twój nowy przyjaciel oczekuje wizyty- parsknęła Vera. -Jakiegoś posłańca z dworu cesarza.

- Wiem - powiedziała Katharina. - Opowiadał mi o tym. Ktoś chce z nim mówić na temat tego, co się stało w Santen.

- A widzisz? - odparła Vera. - Więc ów wszystkich nas wybawca i dobroczyńca wyjaśnił mi dość dobitnie, co mam odpowiedzieć.

Katharina była tak wstrząśnięta, że nie mogła nic powiedzieć. Na sam widok przyjaciółki czuła ucisk w gardle, a przekonanie, że wszystko to była jej wina, jeszcze ją dobijało.

- Wybacz - rzuciła zniecierpliwiona kobieta. - To niesprawiedliwe z mojej strony. Wiem, że nic na to nie możesz poradzić. Ale nie wolno ci mu ufać, słyszysz?

A kto powiedział, że to robiła? W odpowiedzi skinęła tylko głową, lecz Vera kontynuowała tym natarczywiej, jakby Katharina zrobiła coś przeciwnego.

- Znam ludzi pokroju Pardeville'a, uwierz mi. Jeśli tego chce, z pewnością potrafi być czarujący i nad wyraz przekonujący, ale kiedy ci życzy miłego poranka, powinnaś podejść do okna i sprawdzić, czy na niebie w ogóle widać słońce.

- Ale dlaczego on to robi? - wymruczała Katharina. Z trudem nadążała za słowami Very. Widok kuglarki nie tracił nic ze swej okropności, z każdym momentem przerażał ją jeszcze bardziej.

- Czyżbym o rym jeszcze nie wspomniała? - zapytała drwiąco Vera. - Żyjemy w cywilizowanych czasach, mała. Nie można tak po prostu pójść i poderżnąć gardel jakimś biednym piekarzom, a już w żadnym razie człowiekowi Kościoła; nawet tak zadufanemu w sobie staremu klesze, jak twojemu ojcu Cedrikowi. Ludzie w Santen będą stawiać pytania, a cóż dopiero cesarski posłaniec. Pardeville'a widziano z Wulfgarem. Więc może mu to jedynie być na rękę, jeśli ktoś widział, kto naprawdę odpowiada za ten haniebny czyn.

- Ale ty przecież wcale tego nie widziałaś! - wykrzyknęła dziewczyna.

Vera wzdrygnęła się przerażona i spojrzała ukradkiem na stojącego na drugim końcu korytarza wartownika.

- Powiedziałaś mi to? - szepnęła. Katharina zaprzeczyła, a Vera zniżyła głos do gorączkowego szeptu. - I nie wolno ci tego zrobić, słyszysz? W żadnym wypadku! Jeśli tylko Pardeville nabierze choćby najmniejszych podejrzeń, że wszystko widziałaś, to dotrzymasz mi tu na dole towarzystwa, pod warunkiem, że od razu cię nie zabije, rozumiałaś?

Katharina wprawdzie skinęła głową, ale to zdawało się Verze nie wystarczać. Jej głos, a jeszcze bardziej wzrok stały się natarczywsze.

- On pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć, słyszysz?

I musisz uciekać przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy.

-Jakże bym mogła zostawić cię na łasce losu!

Vera prychnęła. - Jakże byś mogła cokolwiek dla mnie zrobić, głupia dziecińco! Czyżbyś nadal tego nie pojmowała? Nade mną już klamka zapadła, ale ty wciąż masz szansę! Graj w jego grę, a kiedy nadarzy się okazja, uciekaj co sił w nogach. Baron zu Guthenfels uwierzy ci, a jeśli go nie znajdziesz, to idź choćby i do Wulfgara, wszystko jedno! Tam wciąż będziesz bezpieczniejsza niż tutaj.

- Ale... dlaczego? - spytała dziewczyna głosem roztrzęsionym i sądząc z wyrazu twarzy Very, zdecydowanie zbyt głośnym. - To znaczy... przecież ty... ty musisz tylko zrobić to, czego od ciebie wymaga!

Nie ma znaczenia, jeśli skłamiesz! Potem pozwoli ci odejść!

- Tak, a dwa dni później znajdą mnie w jakiejś uliczce z poderżniętym gardłem! - prychnęła Vera. Przewróciła oczami. - Jak możesz być aż tak naiwna, dziecińco? Nasz wspólny dobroczyńca chce ni mniej, ni więcej, tylko rozpętać wojnę na wielką skalę! Czy myślisz, że będzie się liczył z jednym czy drugim życiem?

- Niby jaką wojnę?

-Jego. Prywatną - odrzekła z pogardą kuglarka. - Znana jest jego nienawiść do Normanów. I, na Boga, nie jest w tym osamotniony, ale nikt inny nie jest tak fanatyczny jak on. Czy nie wyrecytował ci swojej sentencji o ludzkiej naturze, który tutaj nie przynależy i o dobrych stosunkach, jakie wszyscy mogliby ze sobą utrzymywać, gdyby tylko zostali tam, gdzie ich

miejsce?

- Podsluchiwałaś? - Katharina bezskutecznie siliła się na żartobliwy ton.

- Nie musiałam - rzekła Vera. - Jeśli chodzi o ten pogląd, rozgłasza go głośno w całym kraju.

Usłyszała odgłos zbliżających się kroków. A chwilę potem słowa strażnika: - Nadszedł czas.

- Jeszcze momencik - powiedziała dziewczyna. Kiedy wartownik zawahał się z odpowiedzią, dodała: - Proszę.

Być może czekał właśnie na to magiczne słowo. W każdym razie nie zaproponował już, tylko w ten sam zabawny sposób wywinął na zewnątrz dolną wargę i poszedł sobie.

- Lepiej już idź - doradziła Vera. - Nie przejmuj się mną. Daję sobie radę.

- Tak, widzę właśnie - rzekła Katharina, spojrzawszy znacząco na jej łańcuch. Dopiero teraz zauważyła, jak paskudnie obtarł jej drobne kostki zardzewiały żelazny pierścień.

- Pardeville jeszcze mnie potrzebuje - stwierdziła kuglarka. - Jak długo nie zeznam na jego niekorzyść, nic mi nie zrobi, nie martw się.

- Machnęła gniewnie obiema rękami. - A teraz znikaj! Jeżeli nabierze podejrzeń, obie jesteśmy martwe!

Katharina najchętniej skwitowałaaby to śmiechem, choćby po to, żeby odebrać jej słowom dosadności i groźby. Jednak widok pobitej przyjaciółki sprawił, że nie była do tego zdolna, przeciwnie, tym ostrzej chwycił ją za gardło. Oczy zaczęły ją palić i czuła, że zaraz przegra walkę ze łzami. Przez bardzo krótką chwilę całkiem serio rozważała szalony pomysł, żeby po prostu rzucić się od tyłu na strażnika i zabrać mu klucze do kajdan Very, a potem razem z nią uciec, ale natychmiast zarzuciła tę myśl.

- Pomówię z nim... raz jeszcze - wyszeptwała bezradnie. - Na pewno cię stąd wypuści, jeśli go o to poproszę. Może... to znaczy... może on wcale nie wie, co oni tu z tobą zrobili.

Vera zrezygnowała z przypominania jej swoich dopiero co wypowiedzianych słów, ale jej wzrok mówił więcej niż całe tomy. - Przynajmniej ciebie wydaje się dobrze traktować.

Katharina przyłapała się na tym, jak przez chwilę dopatrywała się w tych słowach ukrytego wyrzutu, zawstydzila się swoich odczuć i przytaknęła. - Tak. Nawet zostawił mi koty. - Rozejrzała się ostentacyjnie. - A... Dwegr? Chodzi mi o to, gdzie...?

- Uciekł - odparła Vera. - Co tylko potwierdza to, o czym zawsze mówiłam, a mianowicie, że zwierzęta są szczywańsze od ludzi. A przede wszystkim - dodała rzucając jej znaczące spojrzenie - nie tak łatwowierne, jak pewni ludzie, których znam.

- Powiedział, że nie jestem więźniem. - Katharina doznała nagle absurdalnej potrzeby bronienia hrabiego. Spróbowała się zaśmiać, wyszedł z tego raczej skrzek. - Powiedział nawet, że mogę odejść, jeśli chcę.

Vera spojrzała z ukosa w kierunku strażnika. - Próbowiałaś?

Oczywiście, że nie próbowała, jednak dopiero usłyszawszy to pytanie, uzmysłowiła sobie, dlaczego tego nie zrobiła: Dokąd miałyby pójść? Teraz, kiedy Erik i Ansgar odpłynęli, nie było już nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc.

- Idź już - powtórzyła Vera. - Jeśli rzeczywiście ci na to pozwoli, rozejrzyj się po zamku. Być może znajdziesz jakąś drogę ucieczki.

Katharina odpowiedziała skinieniem, choć obie wiedziały, jak beznadziejnie to brzmiało. Zamek Pardeville'a był w co najmniej równym stopniu więzieniem, co twierdzą i wyjść stąd chyba jest nawet trudniej niż wejść.

Wartownik w tyle odchrząknął po raz drugi, tym razem wyraźnie zniecierpliwiony, i Vera nie musiała po raz trzeci prosić Katharinę, żeby odeszła.

\*\*\*

Jak Katharina miała się przekonać, obie miały rację. Tak szybko, że wyglądało to niemal na ucieczkę, pobiegła nie tylko po stromych schodach z powrotem na górę, ale jeszcze na wprost przez pierwsze drzwi na zewnątrz, żeby zaczerpnąć kilka głębszych, niosących ulgę oddechów. Dopiero tutaj na górze w pełni uzmysłowiła sobie, jak straszliwy

smród panował tam na dole i jak mroczny i przytłaczająco ciasny był loch, w którym więziono Verę. Gniew na Pardeville'a i bezgraniczne współczucie dla przyjaciółki, mieszające się z coraz silniejszym przekonaniem, że również temu zawiniła, na długie minuty uniemożliwiły jej sformułowanie jakiegokolwiek klarownej myśli.

W końcu jednak świeże powietrze i jasne światło słońca (także wyjście z zamknięcia) zrobiły swoje, a jej przyspieszony puls uspokoił się tak, jak opadł chaos w jej głowie. O tym, że nie mogła zaufać panu tego zamku, że kłamał i że bez wahania uczyniłby jej to samo co Verze - jeśli nie coś gorszego - wiedziała w końcu wcześniej. Dlaczego była taka przerażona?

W głębi duszy знаła odpowiedź na to pytanie, zanim je sobie w ogóle zadała, ale przepędziła tę myśl, wzięła jeszcze jeden, głęboki oddech, radując się przez chwilę wybornym smakiem powietrza (odrobinę tylko tchnęło końskim, kurzym i świńskim łajnem), po czym rozejrzała się po raz pierwszy naprawdę uważnie. Pozornie niebotyczne mury zdawały się ją otaczać, gdziekolwiek potoczyła wzrokiem. Zamek Pardeville, choć mógł być istotnie największym budynkiem, jaki widziała, w tej chwili wydał się jej znikomym, jakby sam był więzienną celą, niewiele większą od lochu, z którego dopiero co wyszła, choć otwartą na niebo. Mały, asymetryczny dziedziniec mierzył może dwadzieścia kroków w jednym i czterdzieści lub pięćdziesiąt w drugim kierunku, ale tak ciasno zabudowano go otwartymi stajniami, wozowniami, zbitymi prowizorycznie z desek szopami i zadaszeniami, że odnosiło się wrażenie, iż należy się wśród nich poruszać jedynie z największą ostrożnością, żeby stale i wszędzie na coś nie wpadać. Nie licząc jej strażnika, który nie odezwał się już ani słowem i wydawał się też nie mieć nic przeciwko temu, żeby się uważnie rozejrzała, choć mimo to nieufnie nie spuszczał z niej wzroku, jak okiem sięgnąć nie było ani żywej duszy. Stadko kur pogdakiwało, szukając w brudzie na ziemi czegoś do jedzenia, w jednej zaś z szop rozlegało się gniewne kwiczenie zamkniętej świni. W powietrzu unosił się łagodny swąd palącego się węgla drzewnego, a z budynku za plecami dobiegały głosy, choć nie mogła rozróżnić słów. Dwa z czterech boków dziedzińca zamykały wyniosłe zabudowania i pochyła ściana wieży, pozostałe zaś tworzyły gładkie mury, nie niebotyczne, jak jej się zrazu wydawało, ale i tak co najmniej pięć lub sześć razy tak wysokie jak człowiek i od dołu do jednej trzeciej wysokości pieczołowicie otynkowane, tak iż wspanięcie się było niemożliwe.

Najwyraźniej Vera miała rację, pomyślała ze smutkiem, uwięziono ją tutaj tak samo jak kuglarkę, z tą tylko różnicą, że jej łańcuchy były niewidzialne.

Po drugiej stronie dziedzińca ziała szeroko otwarta brama, z pozoru niestrzeżona. Po chwili wahania Katharina ruszyła w jej kierunku, oczekując, że zostanie natychmiast wezwana z powrotem przez swego zrzędliwego towarzysza, lecz ten nic nie rzekł, powłókł się tylko za nią, trzymając się kilka kroków w tyle. Nie zareagował nawet, gdy dotarliśmy do murowanego łuku bramy, nie zatrzymała się, lecz przeszła przez nią, przyspieszając kroku.

Dopiero kiedy doszła do wąskiego kamiennego mostu, łączącego brzegi fosy po drugiej stronie, zatrzymała się i rozejrzała na prawo i lewo. Zobaczyła drugi, niższy i na znacznej długości utworzony przez mniejsze murowane budynki, zewnętrzny mur. Bramę w nim tak samo zapraszająco otwarto jak tę, przez którą akurat przeszła, i także tutaj zdawało się być pusto: nigdzie żadnego wartownika ani też kogokolwiek, kto by się nią interesował. Spory kawałek dalej, po drugiej stronie częściowo obsadzonego drzewami terenu dwie kobiety zajęte były rozwieszaniem prania na sznurze. Katharina słyszała ich ciche rozmowy i śmiech i choć przez krótką chwilę patrzyły nawet w jej kierunku, przerywając zarówno rozmowę jak i zajęcie, niemal natychmiast straciły nią zainteresowanie i wróciły do swej pracy i pogaduszek.

Ta scena wprawiła ją w konsternację. Po tym wszystkim, co zrobił, żeby ją pochwycić, teraz Pardeville'owi zdawało się być zupełnie obojętne, co robiła i czy w ogóle tutaj była. To nie miało sensu.

Z wahaniem zrobiła kilka kolejnych kroków, znowu czekając - na próżno - aż zostanie przywołana z powrotem przez strażnika i zatrzymała się po raz wtóry, na drugim końcu mostu. Dobrze stąd widziała szeroko otwartą bramę zewnętrzną i już po chwili zaczęła rozumieć, dlaczego francuski magnat pozornie tak beztrudnie obchodził się ze swoim cennym więźniem. Jak okiem sięgnąć wkoło była pustka, więc nie miałyby dokąd pójść, ot co. Położony tak daleko, że dostrzegała jedynie drżącą jak dym, ciemnozieloną smugę, wznosił się las, ale przed nim rozciągało się wyłącznie płaskie, porośnięte trawą i nielicznymi suchymi krzakami pustkowie, a obraz ten pasował doskonale do innego, który sobie teraz przypominała: do widoku z wysokiego okna sali tronowej Pardeville'a. Mogłaby biec przez godzinę i nigdzie nie znaleźć kryjówki, a człowiek na koniu (lub szybki biegacz) nie miałby żadnego kłopotu z wytropieniem jej i dogonieniem w ciągu kilku chwil. Oczywiście Vera miała rację, pomyślała przygnębiona i wściekła zarazem. Hrabiemu łatwo przychodziło okazywanie wspaniałomyślności, kiedy w rzeczywistości nie miał nic, co mógłby darowywać.

Intensywne uczucie, że ktoś się w nią wpatruje, wyrwało ją z zamyślenia. Z lekkim przestraszeniem odwróciła się za siebie i spojrzała na swojego milczącego towarzysza, lecz ten nie patrzył w jej kierunku, lecz wygodnie oparty o łuk bramy drzemał z na wpół przymkniętymi oczami w świetle słońca.

Jednak uczucie pozostało. Katharina spojrzała na prawo i lewo - nigdzie ani żywego ducha - a następnie gwałtownie odchyliła głowę do tyłu, w sam czas, żeby spostrzec, jak w jednym z wąskich okien na wysokości dwóch ludzi ponad nią, zniknął jakiś cień. Ktoś ją obserwował.

Nic w tym nadzwyczajnego, pomyślała, a jednak to odkrycie wzbudziło w niej uczucie niepokoju.

Katharina po raz kolejny nazwała się w myślach głuptasem i spróbowała otrząsnąć z ponurych uczuć, lecz osiągnęła w ten sposób dokładnie przeciwny efekt. Głęboko wstrząśnięta zawróciła, demonstracyjnie przemaszzerowała z wyzywająco odrzuconą w tył głową obok strażnika i skierowała się do drzwi, przez które wcześniej wyszła.

W porównaniu z zalaną słonecznym blaskiem przestrzenią na zewnątrz nawet przestronna hala wejściowa zamku wydała jej się ciemnym lochem i w pierwszej chwili doznała wrażenia, że ledwie może oddychać.

Rozchodzące się echo szybkich kroków zapowiedziało nadejście Pardeville'a, zanim jeszcze stanął na szczycie szerokich schodów.

Inaczej niż przed chwilą, miał na sobie pełną zbroję, a przy pasie broń, zaś pod lewym ramieniem ścisnął niezgrabny hełm. Widok ten rozbudził w Katharinie nieprzyjemne wspomnienia.

Co prawda hrabia uśmiechał się, kiedy szybko schodził po schodach, i to tak szczerze, iż można by mniemać, że od tygodni brakowało mu Kathariny i teraz się cieszy, widząc ją ponownie.

Dziewczyna prawie mu uwierzyła.

-Już się trochę rozejrzałaś, jak widzę? - zaczął. - To dobrze. Mam nadzieję, że mój skromny dom przypadł ci do gustu? - Odpowiedział na własne pytanie skinieniem głowy, robiąc zarazem przesadnie zboląłą minę. -Jest dość okazały, ale to nic wobec zamku moich przodków, w którym dorastałem. Powinnaś zobaczyć Chateau de Pardeville, moje dziecko!

- Widziałam Verę - odpowiedziała Katharina.

Niemal melancholijny wyraz twarzy Pardeville'a zniknął jak kamfora.

-I? - zapytał.

- Dlaczego wtrąciliście ją do więzienia? - spytała. - A do tego jeszcze zakuliście w łańcuchy? Ona nic nie zrobiła!

Tym razem posunęła się za daleko, czuła to. Na twarzy hrabiego nie poruszył się żaden mięsień, ale oczy zapłonęły mu furiackim gniewem, a jego prawica zacisnęła się tak mocno na rękojeści tkwiącego za pasem miecza, że cienka kolcza plecionka jego rękawicy zachrząściła. Ale, zamiast skarcić ją za bezczelny ton, zwrócił się do jej towarzysza z twarzą ciągle sprawiającą wrażenie skamieniałej.

- Czy to prawda? - spytał lodowatym głosem.

- Ależ panie! Przecież sami...

- Nakazałem, żeby jej pilnować i dołożyć starań, żeby nie uciekła - przerwał mu de Pardeville. - Nie, żeby wrzucać ją do lochu, a już na pewno nie, żeby ją zakuwać w łańcuchy i źle traktować!

- Ale ja przecież tylko...

- Idź! - syknął hrabia. - Zabierz więźnia do jednej z komnat na wieży i postaw u drzwi strażnika, który zadba o to, żeby się jej nic nie stało! Odpowiadasz osobiście za jej bezpieczeństwo, zrozumiałeś?

- Tak, panie - odrzekł pośpiesznie mężczyzna, zwiesił pokornie głowę i szybko się oddalił, idąc ryłem. Pardeville patrzył na niego, kręcąc głową, z posępnym obliczem.

- Zapamiętaj sobie jedną z prostych, ale ważnych prawd życiowych, moje dziecko - westchnął. - Jeśli chcesz być naprawdę pewna, że coś stanie się wedle twojej myśli, to załatw to sama.

Spojrzął na Katharinę, wyraźnie domagając się poklasku, jakby właśnie objawił jej sens życia lub coś podobnie istotnego, i zrobił rozczarowaną minę, kiedy okazała się nie być pod należnym wrażeniem. W końcu zmienił temat.

- Dlaczego nie pójdziesz na górę do kuchni i nie pomożesz Edith przygotować wieczerzy? Spodziewamy się gości, a jest jeszcze wiele do zrobienia. Trochę brakuje nam służby. Połowa już uciekła ze strachu przed Wulfgarem i jego wojownikami i obawiam się, że jeśli wkrótce czegoś z tym nie zrobimy, to i reszta chyba zbiegnie. - Puścił oko do dziewczyny, jakby byli w zмовie. - Nie obawiaj się, tutaj w zamku jesteśmy bezpieczni. A byłaby to dla ciebie okazja do za wiązania kilku nowych przyjaciół. Jestem pewien, że się dobrze zrozumiesz z Edith. Poznałaś ją wcześniej,

przypominasz sobie?

Skinęła głową, a Pardeville kontynuował: - Potraktuj to jako sposobność do rozejrzenia się. Kto wie, może spodoba ci się praca w kuchni.

Najwyraźniej naprawdę wierzył, że dała się nabrać na jego prostackie kłamstwo z rana. Katharina w odpowiedzi uniosła tylko ramiona, przesywając go zapamiętałe wzrokiem, czym jednak Pardeville nie wydawał się w najmniejszym stopniu poruszony.

- Idź po prostu schodami w górę, a potem za zapachem - wyjaśnił wesoło. - Edith już wie. - Z tymi słowami począł na zewnątrz, szcękając i brzęcząc, a dziewczyna szybkim krokiem ruszyła na górę.

Było rzeczywiście tak, jak mówił: śmiechy, stukanie garnków i głośne podzwanianie wskazywały jej już z dala drogę; no i zapach.

Ku jej uldze, rozpoznała coś innego od fetoru lochu, mianowicie pyszną woń pieczonych mięs i świeżo duszonych warzyw.

Kuchnia zaskoczyła ją: okazała się co najmniej dwa razy większa, niż się spodziewała. Stały tam nie tylko dwa wielkie murowane piece, w których mimo wczesnej godziny buzował już potężny ogień, ale również jeszcze większy od nich kominek z rożnem, na którym obracało się pół wołu. Wszędzie jaśniały blaskiem miedziane naczynia. Słowem, wrzało tu jak w ulu. Jeśli Pardeville'owi naprawdę uciekła połowa służby, pomyślała Katharina, to wcześniej panowała tu ciasnota. Nawet teraz ujrzała jeszcze tuzin kucharek i dziewczek służebnych, które zaaferowane biegały tam i z powrotem, niosąc garnki, patelnie i kosze pełne jedzenia, zajęte jeszcze setką innych rzeczy.

Wprawdzie Pardeville dopiero co sam powiedział, że spodziewa się gości na wieczerzę, mimo to Katharina się zdumiała. Wnioskując z czynionych tu wysiłków, zaprosił chyba małą armię.

Minęło trochę czasu, zanim w całym tym zamieszaniu odnalazła siwowłosą służącą, a dokładnie rzecz biorąc, ona ją znalazła. Tak jak przed chwilą na dole na moście, doznała niemal namacalnego wrażenia, że ktoś jej się przygląda i nie zdziwiła się, kiedy obejrzawszy się z niepokojem, napotkała wzrok Edith. Stała na drugim końcu wielkiego pomieszczenia, zajęta skrobaniem jakichś warzyw, których Katharina nigdy wcześniej nie widziała. Jej ręce pracowały nieprzerwanie jak dwie małe samodzielne istoty, wcale niepotrzebujące uwagi ich posiadaczki, ona sama zaś wpatrywała się w dziewczynę z uwagą. Mimo dużej odległości znowu dostrzegła w oczach tamtej coś, co sprawiło, że po plecach przeszedł jej lodowaty dreszcz.

Z pewnym wysiłkiem udało jej się przezwyciężyć to niesamowite odczucie i ruszyć z miejsca. Mimo wszystko nie poszła prosto do Edith, lecz nadłożyła drogi, przechodząc obok okna, z którego zobaczyła dokładnie to, czego się spodziewała. W dole leżała fosa i most, na którym dopiero co stała.

- Co ty tu robisz, dziecko?

Nie odwracając się w pełni, Katharina spojrzała przez ramię i dostrzegła twarz służącej. Przerwawszy swoją pracę, kobieta stanęła za nią, a w jej oczach jarzył się ten dziwny płomień, którego nie można było nazwać. Inne służące też przerwały pracę i patrzyły w ich kierunku.

Zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, Katharina wskazała most.

- Obserwowałeś mnie.

- Pytałam cię, czego tu szukasz, dziewczynko - powtórzyła Edith.

- Tutaj jest kuchnia. Goście nie mają tu czego szukać. Mamy dużo pracy.

Dziwne, Katharina nabrała pewności, że Edith wcale nie to chciała powiedzieć. Z coraz większą trudnością przychodziło jej wytrzymać wzrok starszej kobiety.

- Dlatego... że pan mnie tu przysłał - wybąkała. - Mam... wam pomóc.

- Nie wiem, co mogłabyś tu robić - oświadczyła Edith, jak wydało się Katharinie, celowo nieprzyjaźnie szorstkim tonem. - Praca tutaj jest ciężka, zbyt wyczerpująca dla ciebie.

- Ale Guy de Pardeville nakazał mi to - nalegała Katharina.

- Dlaczego mnie obserwowałeś?

Służąca zignorowała to drugie zdanie. - Masz tutaj pomóc? Co to znowu za bzdura? To nie jest praca dla dziecka! - Jednak, gdy dziewczyna chciała odpowiedzieć, ostrym gestem ucięła jej w pół słowa.

- Ale skoro takie jest życzenie naszego pana, muszą je wykonać.

Chodź. Spróbujemy znaleźć ci jakieś zajęcie.

Co rzecz jasna nie przedstawiała dla niej żadnego problemu. Jednak Katharina już po chwili postanowiła, że przy nadarzającej się okazji porozmawia sobie z Edith o dokładnym znaczeniu słowa „przydać się”. Prawie nie miała okazji, żeby odsapnąć między jedną a drugą robotą, wypić łyk wody, nie mówiąc już o porozmawianiu w spokoju z tajemniczymi służącymi, jak to sobie solennie zamierzyła.

Edith kazała jej nosić wodę, szorować garnki i rondle piaskiem, czyścić warzywa, obracać rożen i dorzucać drewno do ognia, a wszystko to najlepiej w tym samym czasie (razem z około dwoma tuzinami innych prac) i bez względu na to, jak wiele wkładała w to wysiłku i jak bardzo się śpieszyła, nic nie okazywało się dość dobre, a przede wszystkim nie dość szybkie. Już wkrótce na Katharinę wystąpiły siódme poty. Nie minęła i godzina, a gorzko pożałowała, że przyjęła ofertę hrabiego. Wprawdzie nie bała się ciężkiej pracy, zawsze pracowała, odkąd sięgała pamięcią, ale Edith, a potem także inne kobiety poganiały ją tak bezlitośnie, jakby się założyły, ile potrwa, zanim w końcu się załamie.

Akurat, gdy uznała, że ma już tego dość, Edith położyła jej rękę na ramieniu i dała znak, żeby zrobiła sobie przerwę. Kompletnie wyczerpana, nie zdołała się zmusić choćby do uśmiechu wdzięczności. Nieznacznie tylko skinęła głową, po czym z obwisłymi ramionami powlokła się do okna i oparła z na wpół przymkniętymi powiekami na niskim parapecie, żeby głęboko pooddychać. Zmęczenie sprawiło, że jej członki stały się ciężkie jak ołów i przez moment musiała użyć całej siły woli, żeby nie zasnąć na stojąco. Starszej pani z pewnością by się to nie spodobało i prawdopodobnie wzięłaby to za okazję do przydzielenia jej nowej, jeszcze cięższej pracy.

Po chwili jednak przyszła do siebie. Świeże powietrze zrobiło swoje, ręce i kolana przestały drżeć. Właśnie miała się odwrócić od okna, kiedy w dole na dziedzińcu spostrzegła jakiś ruch. Jacyś jeźdźcy wjeżdżali przez zewnętrzną bramę; trzy, cztery, w końcu pół tuzina kolorowo ubranych postaci jedna za drugą zbliżały się do mostu i w końcu się przed nią zatrzymały, tworząc prostą jak sznur linię. Byli krzykliwie ubrani i bez wyjątku uzbrojeni, z ich wyglądu emanowało wyczuwalne zagrożenie. Zarazem wokół nich unosiło się coś dziwnie znanego, choć mogłaby przysiąc, że żadnej z sześciu postaci nigdy wcześniej nie widziała.

Wtem zauważyła *coś*, co bardzo dobrze знаła. Na ramieniu jednego z mężczyzn siedziała mała postać, wyglądająca jak absurdalnie mały człowieczek o ciemnej sierści i jasnej twarzy. Wyczerpanie i frustracja z miejsca odeszły w zapomnienie.

Katharina odwróciła się i pośpieszyła do wyjścia. Ktoś zawołał jej imię i kątem oka spostrzegła, jak Edith również się zerwała, żeby odciąć jej drogę, przyspieszyła więc kroku, tak że dotarła do drzwi przed służącą. Na korytarzu zaczęła biec.

Kiedy zaatakowała schody, z dołu dobiegły ją kroki i podniecone głosy, a gdy zbiegła na dół, spotkała swego porannego milczącego towarzysza, który i tym razem słowa nie powiedział, tylko lustrował ją z niechęcią; z pewnością nie przez przypadek pędził przodem na złamanie karku, żeby nie mogła go minąć.

Dziedziniec zapełnił się wojownikami, a kolejni, zbrojni w długie łuki i kołczany pełne strzał, wspinali się w pośpiechu schodami na ganki za blankami. Biegnąc ku bramie, Katharina wyczuwała ogólne napięcie. Można by pomyśleć, że w ciągu kilku chwil, odkąd opuściła kuchnię, na zewnątrz wmaszerowała cała armia.

Przed mostem stało jednak nadal tylko sześciu pstrokato odzianych jeźdźców, a szybkie spojrzenie w kierunku bramy upewniło ją, że nie nadciągnęły żadne kolejne zastępy gotowe zburzyć zamek Pardeville. Teraz po obu stronach bramy stało po dwóch mężczyzn z tarczami i włóczniami.

Rozległ się przeraźliwy wrzask i jakiś cień zeskoczył z barku jednego z przybyłych, i śmignął z - dosłownie - małą zręcznością przez most w kierunku Kathariny. Małomówny przewodnik śmiertelnie przeląkł się na widok tego nieznanego stworzenia, jakby stanął w obliczu samego szatana, a dziewczyna korzystając z okazji, przemknęła wreszcie obok niego i wybiegła na spotkanie małpki. Nie zrobiła nawet dwóch kroków, gdy Dwegr z piskiem wskoczył jej na ramię i trąkając z podniecenia, zaczął ciągnąć ją za włosy i twarz tak raptownie, że potknęła się i musiała poszukać oparcia na poręcz.

Drugą ręką usiłowała pochwycić małpkę i ją uspokoić, lecz osiągnęła coś zgoła przeciwnego. Dwegr zachowywał się coraz dziczniej, trąkotał i wrzeszczał jak szalony.

- Cóż to za obrzydliwa kreatura? - pomstował jakiś szorstki głos za jej plecami. Zwierzę zareagowało jeszcze bardziej niepoohamowanym paplaniem i skrzekiem, a Katharina zdążyła zdusić w sobie zaskoczone pytanie, rozpoznawszy Guy de Pardeville'a. Znał przecież Dwegra, wiedział też, do kogo należał.

Nie mógł jednak wiedzieć, że ona wiedziała...

Pardeville zdawał się wszakże nie oczekiwać żadnej odpowiedzi, bo szybkim krokiem przeszedł obok niej i zatrzymawszy się przed obcymi jeźdźcami, wyprężył się w wyzywającej postawie. Jego prawa ręka demonstracyjnie spoczęła na mieczu, a Katharina usłyszała za sobą kroki, szelesty i szurgot metalu, kiedy następnymi uzbrowieni mężczyźni wychodzili z bramy.

- Czego tu chcecie? - Hrabia zaczął głośno i w nieprzyjaznym tonie. - Czyż wam nie powiedziano, że tacy jak wy nie są tu pożądanymi?

Człowiek, do którego się zwrócił - barczysty olbrzym z długimi do ramion czarnymi włosami; ten sam, na którego ramieniu siedziała małpka - odpowiedział na jego spojrzenie w opanowany sposób, a wyzywający ton Pardeville'a zdawał się zrobić na nim niewielkie wrażenie. - Wy jesteście panem tego zamku? - spytał chłodno.

- Jestem Guy de Pardeville, pan na zamku Pardeville - odpowiedział. - Zgadza się, lecz powtarzam moje pytanie. Nikt wam nie powiedział, że zamek Pardeville nie jest miejscem, w którym wagabundzi są mile widziani?

Czarnowłosa wzruszył tylko nieznacznie ramionami, zmierzył Pardeville'a jeszcze zimniejszym spojrzeniem, po czym popatrzył nieco dłużej na Katharinę. Między jego brwiami pojawiła się wąska fałdka, kiedy dostrzegł małpkę na jej ramieniu, ale nic nie powiedział, tylko niewzwany zeskoczył z siodła i podszedł do hrabiego. Kiedy stanęli naprzeciwko siebie, górował nad magnatem nieomal o głowę.

- Nie przyjechaliśmy tutaj, aby dać przedstawienie - odparł czarnowłosa. - Muszę z wami pomówić, grafie Pardeville'u.

- Nie wiem, co miałbym mieć do omówienia z kimś takim jak ty - odrzekł niegrzecznie Pardeville. - Ale dobrze, skoro już tu jesteś, przedłoż swoją sprawę, a potem wynoś się z moich ziem.

- Na imię mi Arden - ciągnął niewzruszenie czarnowłosa. - Szukam mojej siostry.

Jego siostry? Katharina wybałuszyła oczy. Nic dziwnego, że ów przybysz wydał się jej dziwnie znajomy. Teraz, kiedy już wiedziała, na co zwracać uwagę, podobieństwo do Very uderzało. Czarnowłosa był jej bratem, wyższym i co najmniej pięć lat starszym, ale poza tym podobnym do niej jak brat bliźniak.

- Nie mam także nic do czynienia z siostrami kuglarzy i złodziejską hołotą - prychnął pogardliwie Pardeville.

- Nazywa się Vera - odrzekł spokojnie Arden. Wskazał na Katharinę i na małpkę na jej ramieniu. - To zwierzę należy do niej i powiedziano mi, że po raz ostatni widziano ją z jakimś dzieckiem, którego opis pasuje do tej dziewczynki.

- O, masz na myśli tę kobietę - hrabia wydał lekceważący świst. - Dlaczego nie powiedziałeś od razu? Rzeczywiście jest moim gościem. Ją i tę dziewczynkę przygarnęliśmy po drugiej stronie rzeki.

Uciekały przed bandą wikingów, którzy zgładzili całą wioskę. Powinieneś lepiej uważać na swoją siostrę, Arden. Czasy są niebezpieczne. Kobiety nie powinny podróżować bez opieki.

- To prawda - odparł chłodno przybysz. - Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi, prawda? W każdym razie dziękuję wam, że otoczyliście moją siostrę opieką, ale teraz możecie ją oddać nam.

- Obawiam się, że nie będzie to takie proste - odrzekł Pardeville.

Ruchem głowy wskazał za siebie na Katharinę. - Ta dziewczyna i twoja siostra są ważnymi świadkami.

- Świadkami? Czego? - W oczach Ardena rozbłysła podejrliwość, twarz jego jednak nic nie wyrażała.

- Nie słyszałeś, że Normanowie znowu zaczęli zabijać ludzi i plądrować całe wioski?

- Tak mówią - odparł Arden. - Cóż z tego?

- Twoja siostra i ta dziewczyna miały szczęście ująć z tego pogromu z życiem - odpowiedział Pardeville. - Wszystko widziały. Obawiam się, że będzie musiała zostać tu jeszcze przez jakiś czas, aż złoży zeznania. Nie martw się: jest bezpieczna.

- Zatem chciałbym ją zobaczyć - zażądał przybysz, ale Pardeville potrząsnął tylko gwałtownie głową.

- Nic z tego - powiedział. - Daję ci moje słowo, że jest bezpieczna i traktowana jak gość. A teraz odejdz.

- Muszę nalegać na... - zaczął Arden, lecz magnat przerwał mu władcym gestem.

- Nie masz na co nalegać! Wsiadaj na konia i odjeżdżaj, póki jeszcze możesz! Twoja siostra zostanie zwolniona, jak przestanie być potrzebna.

Tym razem Ardenowi nie udało się całkowicie zataić gniewu, ale w obliczu przewagi Pardeville'a, nie miał wyboru, musiał ulec. Jeszcze przez moment piorunował hrabiego przepelnionym nienawiścią wzrokiem, ale potem bez słowa wrócił do swego wierzchowca i go dosiadł.

-I nie zapomnij zabrać ze sobą tej skarady - powiedział Pardeville.

Arden wyciągnął ramię i pstryknął palcami, a Dwegr wyprostował się na ramieniu Kathariny. Trajkotał jeszcze bardziej podekscytowany niż dotychczas, ale wcale nie zamierzał usłuchać rozkazu.

- Może on woli zostać tutaj - rzuciła skwapliwie dziewczyna.

- Mogłabym go zabierać do Very.. jeśli pozwolicie, panie.

Pardeville spojrzał na nią nieco gniewnie, ale w końcu skinął głową.

- Bądź co bądź to jej ulubieniec - powiedział. - Może tutaj zostać, o ile nie wyrządzi szkód. - Zwrócił się ponownie do Ardena.

-Widzisz, że dla twojej siostry zrobimy wszystko. A teraz bywaj. Przy jedź za kilka dni do Santen, tam będziesz mógł paść swojej siostrze w ramiona.

Chyba nie tylko Katharina widziała po Ardenie, jak ciężko mu przyszło się opanować, jednak poprzestał na kolejnym wściekłym spojrzeniu, zmusił konia niepotrzebnie silnym ściśnięciem kolan do zawrócenia i odjechał wraz ze swoimi towarzyszami.

Pardeville ciągle jeszcze stał bez ruchu, przyglądając się, jak znikali za bramą zewnętrzną, ale potem odwrócił się gwałtownie na pięcie i przemówił do dziewczyny jadowicie ostrym tonem: - Nigdy więcej się nie mieszaj, kiedy z kimś rozmawiam, rozumiałaś? I zabierz mi z oczu to cuchnące bydło!

Ku zaskoczeniu Kathariny Pardeville dotrzymał słowa. Strażnik nie poprowadził jej w dół do lochu, lecz w przeciwnym kierunku, na wieżę, w której sama spędziła dwa dni. Zaczęła już podejrzewać, że hrabia znowu ją oszukał i wydał mężczyźnie jedynie rozkaz zabrania jej bez wzbudzania zamieszania z powrotem do jej prywatnej luksusowej celi, tymczasem jednak zeszli ze schodów piętro niżej, a jej milczący towarzysz niecierpliwym gestem wskazał jakiś korytarz na prawo. Na jego końcu znajdowały się niskie drzwi, z wyglądu niemal równie masywne jak wielka brama na dziedzińcu, jednak lekko uchylone. Uwagi dziewczyny nie uszły wszakże ani ciężka zasuwa, ani masywna żelazna kłódka, przymocowana na niej od zewnątrz.

Wciąż bez słowa, dał jej znak, żeby poszła dalej do komnaty, sam jednak nie ruszył się z miejsca. Katharina posłuchała, ale nie zadała sobie już trudu, by powstrzymać się od lekceważącego wykrzywienia warg. Mężczyzna w końcu ruszył za nią po schodach w większej odległości niż poprzednio i choć czynił, co w jego mocy, żeby ukryć strach, nic to nie dawało. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od pyskującej małpki na jej ramieniu i bardzo zbłądził - rozumiało się samo przez się, że Dwegr wyczuwając jego strach, nie tylko pyszczył i jazgotał, ale jeszcze stroił w jego stronę najgroźniejsze miny.

Potem weszła do komnaty i zapomniała o przesadnym wartowniku, i o wszystkim innym.

Pomieszczenie okazało się nie tak duże jak jej komnata, ani też nieurządzone z takim królewskim przepychem, lecz miało okna, a nawet kominek, Vera zaś zamiast na gnijącej słomie, leżała na łóżku z prawdziwego zdarzenia.

Nie była sama. Obok niej na krawędzi łóżka siedziała Edith, zajęta opatrywaniem paskudnej rany na kostce, w miejscu, w którym żelazny pierścień rozerwał kuglarce skórę. Wszystko wskazywało na to, że staruszka nie próżnowała.



Twarz i ręce leżącej kobiety były teraz czyste, miała na sobie prostą, ale czystą białą nocną koszulę.

Ciągle wyglądała, że pozał się Boże - ale nawet w przybliżeniu nie tak źle jak przed kilkoma godzinami.

- Katharina! - Vera uniosła się, widząc jak dziewczyna wchodzi, co spotkało się z pełnym wyrzutem spojrzeniem siwowłosej kucharki, w stronę nie tylko jej samej, lecz także Kathariny. Zbierała się właśnie, żeby powiedzieć coś więcej, jednak Dwegr ubiegł ją, zeskakując jednym susem z ramienia Kathariny i wskakując na łóżko, gdzie z głośnym trajkotem i piskami napadł na kuglarzkę. Vera znosiła przez jakiś czas cierpliwie i ze śmiechem jego gruboskórną radość ze spotkania; w końcu podciągnęła się wyżej na posłaniu i łagodnie przymuszając, odsunęła od siebie małpkę, a przynajmniej spróbowała ją odsunąć.

- Czego to brudne zwierzę tutaj szuka? - poskarżyła się Edith. - Nie mogę cię opatryć, póki tutaj jest. Precz stąd ty mała maszkaro!

Z tymi słowy spróbowała odpędzić Dwegra, wymachując ręką, co okazało się nie najlepszym pomysłem. Prawdopodobnie tylko dlatego nie utraciła jednego albo kilku palców, że **wycofała rękę** równie szybko, jak małpka kłapnęła za nią zębami.

- Już dobrze - rzekła szybko Vera. - Nic mi nie zrobi. Jest moim najlepszym przyjacielem. - Przyciągnęła Dwegra obiema rękami do siebie i wtuliła na moment twarz w jego miękkie futro. Jej oczy zdawały się być tak samo zmęczone i pełne bólu jak rano, mimo to na chwilę się rozpromieniły.

- Bardzo ci dziękuję, że go przyprowadziłaś - rzekła wreszcie.

- Skąd on się tu wziął?

Katharina w odpowiedzi potrząsnęła głową, a potem opowiedziała jej, co się właśnie rozegrało na dziedzińcu. Dwegr komentował każde jej słowo, paplając z ekscytacją i jeszcze większym podnieceniem wywijając swoimi małutkimi rączkami, Vera zaś nie przerwała jej ani jednym słowem, kilka razy tylko popatrzyła na małpkę w zadumie, jakby każąc jej potwierdzić, że słowa dziewczyny odpowiadały prawdzie.

- A więc jest tutaj mój brat - powiedziała w końcu - i inni też. To dobrze. Zatoszczą się o mnie. I o ciebie też - dodała pośpiesznie.

Katharina chciała odpowiedzieć, ale służąca ją uprzedziła.

- Co też on może zdziałać, głupia kobieto? - parsknęła. - Pardeville przepędził go na cztery wiatry, a przy tym może mówić o szczęściu, że nie wtrącił go do więzienia lub od razu nie zabił. Hrabia nienawidzi wagabundów!

- Zaczynam nabierać przekonania, że Guy de Pardeville nienawidzi każdego, kto nie nazywa się Guy de Pardeville - westchnęła Vera. Dwegr zatrajkotał z aprobatą, lecz Edith miała posepniejszy pogląd na tę kwestię.

- Na Boga, to niewłaściwy moment na żarty, kobieto - rzekła ponuro. - Nasz pan jest wielkim okrutnikiem. Życie dla niego nic nie znaczy.

- Moja rodzina zadba o mnie - upierała się Vera.

Ale Edith tylko prychnęła pogardliwie: — Ach tak? A co takiego zrobi, twoim zdaniem? Przypuści szturm na zamek, żeby uwolnić ciebie i twoje diablę?

- Do Santen droga jest daleka - odpowiedziała tajemniczo kuglarzka. - Wiele może się tam zdarzyć.

Służąca zrobiła minę, której dokładnego znaczenia Katharina nie chciała znać. Nawet Dwegr wydał z siebie dźwięk, który wyrażał powątpiewanie.

- Nie powinnaś niepotrzebnie wystawiać na próbę swego szczęścia, kobieto - przestrzegła ją staruszka. - Lepiej dziękuj swoim bogom za to, że jeszcze żyjesz. I nie drażnij pana, jeśli chcesz ująć stąd z życiem.

Skończyła opatrywać kostki Very i raz jeszcze obejrzawszy swoje dzieło krytycznym wzrokiem, wstała.

- To samo dotyczy ciebie - dodała, zwracając się do Kathariny, gdy odwróciwszy się, dreptała już do drzwi. - Nie ufaj mu. Zwłaszcza, jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swego brata.

- Skąd... wiesz o Ansgarze? - spytała zaskoczona dziewczyna.

- Bo jej o tym powiedziałam - wtrąciła Vera.

- Ufasz jej?

- Dlaczego nie? - kobieta zaśmiała się cicho. - Nie wydaje się szczególnie lubić swego pana... Który sługa lubi?

- Ale ufasz jej? - Katharina nie ustępowała.

- Bez niej pewnie byłabym już martwa - odrzekła poważnie kuglarka. - Gdyby nie przynosiła mi wody i jedzenia, umarłabym w lochu Pardeville'a. Myślę, że możemy jej zaufać.

- Hm - mruknęła Katharina.

- Ach tak, opowiedziała mi, że przez całe przedpołudnie zaganiała cię do roboty - wyznała z rozbawieniem Vera. - **Nie** bierz jej tego za złe, zrobiłabym to samo.

- Kazałabyś mi pracować, aż dłonie spłynęłyby mi krwią? - zawołała z oburzeniem dziewczyna.

- Pierwszego dnia? - Vera skinęła głową. - Pewnie, że tak. Właśnie pierwszego dnia. Trzeba przecież zobaczyć, ile możesz znieść.

- Hm - Katharina mruknęła raz jeszcze, patrząc na zamknięte za służącą drzwi. - Słyszałaś, co powiedziała?

- Że nie powinniśmy ufać hrabiemu?

- Że powinniśmy dziękować bogom, że nadal żyjemy - rzekła Katharina. - To z pewnością nie przypadek. Myślisz, że wie, kim jestem?

- To możliwe - odparła kuglarka w bardziej zamyślnym tonie z pasującą do niego miną. - Zwłaszcza, że jej o tobie opowiedziałam.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona.

- Większość z tego i tak już wiedziała - odpowiedziała Vera - a resztę sobie dośpiewała. Nie jest głupia i nie tylko gotuje hrabiemu, ale także służy mu we wszystkim. Pierwsza dowiaduje się o rzeczach dziejących się w zamku. Prawdopodobnie wie więcej niż jej pan.

- Hm - mruknęła po raz trzeci Katharina. Nie to miała na myśli.

Było jeszcze coś; uczucie, które nią owładnęło, gdy zobaczyła Edith po raz pierwszy. Nie mogła (lub nie chciała) ubrać tego w słowa, jednak ono uparcie nie chciało odejść.

- Pardeville opowiadał, że jest tutaj od dziesięciu lat - rzekła w zamyśleniu.

- Dokładnie tak długo, jak ty, wiem - przyznała Vera. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Wiem, co myślisz, ale powinnaś wystrzegać się snucia takich teorii. Nie ma nic gorszego, niż fałszywa nadzieja, wiesz? Ona nie jest twoją matką. W najmniejszym stopniu cię nie przypomina... a ponadto jest zbyt stara. - Podkreśliła ostatnie zdanie, potrząsając głową; może nawet zbyt energicznie. - Mogłaby być twoją babcią.

Naturalnie miała rację, nie wspominając już o tym, że Katharina czułaby, gdyby ta staruszka była kimś więcej niż tylko staruszką.

Niemniej, przez chwilę z trudem udawało jej się nadrabiać miną rozczarowanie.

- A dlaczego zawsze tak dziwnie na mnie patrzy?

- Bo każdy tutaj tak patrzy...? - zasugerowała kuglarka. Dwęgr rozpaplał się z aprobatą i wyciął taką minę, że prawie przywiódł ją do śmiechu. - Jesteś sławna, mała, czy ci się to podoba, czy nie.

-Ja?

- No, na pewno nie ja - pokpiwała Vera. - Nie wiem jeszcze dokładnie, dlaczego jesteś tak ważna dla Pardeville'a, ale jesteś. Przez jakiś czas myślałam, że chce cię po prostu przy sobie zatrzymać i odczekać kilka lat, ale w tym musi być coś więcej.

- Co masz na myśli? Na co odczekać?

- Tak naiwna chyba nie jesteś, co? - spytała Vera, marszcząc brwi i mierząc ją długim spojrzeniem, po czym westchnęła. - A jednak jesteś. Ujmę *to* tak: ładna z ciebie dziewczyna, a za rok lub dwa staniesz się bardzo piękną młodą kobietą. Urosną ci włosy, a to i owo... - zlustrowała ją jeszcze dziwniej i jeszcze dłużej - ...rozwinie się w całej pełni.

Katharina wlepiała w nią pusty wzrok.

- Ale tym się nie martw - ciągnęła Vera. - Pardeville nie jest cierpliwym mężczyzną. Z pewnością nie będzie czekał dwa lata na coś, co mógłby mieć od razu. Musi chodzić o coś innego. Edith nie wie dokładnie dlaczego, ale uważa, że

przedstawiasz dla niego wielką wartość. Sądzi, że ma to coś wspólnego z twoim pochodzeniem. Ale więcej też nic nie wie. Jeszcze nie.

-Ja? - bąknęła ponownie Katharina.

- Dowiemy się tego, nie martw się - obiecała Vera. Teraz dziewczyna nic już nie powiedziała. Nawet uwierzyła Verze, że odkryją tajemnicę Pardeville'a (a tym samym i jej tajemnicę).

Lecz chyba właśnie tego się bała najbardziej.

Prawie całą resztę dnia spędziła u kuglarki, rozprawiając o tym i o owym, o Bogu i o świecie, i o innych rzeczach, nawet nie zbliżając się do żadnej z tych spraw. Katharina dowiedziała się wiele nie tylko o Verze i jej bracie, lecz także o ich życiu, a przede wszystkim o ich klanie, w którym od dawna już nie wszyscy byli ze sobą spokrewnieni - właściwie tylko nieliczni - ale w którym ludzie mimo to trzymali się razem jak troszczący się o siebie członkowie rodziny, a Vera przyznała, że czasem także ostro się ze sobą spierali. Wiele z tego, co usłyszała o życiu wagabundów, zdumiało ją, a przy jednej czy drugiej przygodzie lub cudzie, o których opowiadała Vera, naszło ją przypuszczenie, że były co najmniej przesadzone, jeśli nie całkiem zmyślane, bo kuglarka chciała wyrzucić na niej wrażenie.

Właściwie jednak nie miało to znaczenia. Katharina słuchała jej z zapartym tchem i chłonęła każde słowo, chroniąc je jak cenny skarb, bo kobieta opowiadała o życiu i świecie, których dotychczas kompletnie nie znała.

Ona sama tylko w niewielkim stopniu przyczyniała się do rozmowy, po trosze dlatego, że nie chciała kraść Verze czasu, gdy ta opowiadała o swoich przygodach w obcych krajach, a częściowo dlatego, że nie za bardzo miała o czym opowiadać. Życie w Ellsbusch nie było zbyt urozmaicone; większość wspomnień, które miała, były raczej nieprzyjemnej natury, tak iż odczuwałyby niewiele przyjemności, mówiąc o nich.

Im dłużej przysłuchiwała się Verze, tym silniejsze rosło w niej pragnienie, aby po prostu zapomnieć, co się dotąd działo, i tym oczywistsze stawało się dla niej, że jej życie - jej prawdziwe życie! - zaczęło się w zasadzie dopiero kilka tygodni temu, a mianowicie w dniu, w którym spotkała Ansgara i innych. Musiała pomyśleć raz jeszcze o ostatniej rozmowie z Arlą i stało się dla niej teraz jasne, jak bardzo tamta się myliła. Jeśli istniało na świecie miejsce, do którego należała, było ono przy niej i jej rodzinie, bez względu na to, jak zimny i niegościny miał być ów kraj, do którego zmierzali, i jakie ich tam oczekiwały niebezpieczeństwa. Powinna była się sprzeciwić i uprzeć się, żeby im towarzyszyć.

Postanowiła, że naprawi ten błąd. Jakoś.

\*\*\*

Goście, o których mówili Pardeville i Edith, przybyli z zapadnięciem zmroku. Ściśle biorąc, okazali się małą armią, która rozbiła obóz między zewnętrznym murem a fosą, gdzie płonęło teraz ponad tuzin wielkich ognisk i stało co najmniej trzy razy tyle namiotów lub po prostu rozpiętych płócien, zapewniających ochronę przed wiatrem.

Katharina spoglądała przez okno, kiedy przybyli pierwsi mężczyźni. Wprost niekończący się łańcuch uzbrojonych jeźdźców, zawsze dwóch obok siebie, z których wielu trzymało w rękach płonące pochodnie, na przekór zapadającemu zmierzchowi. Mieli na sobie zbroje, kolczugi i hełmy, ciężkie napierśniki ze skóry, nareczaki i nagolenniki, niektórzy jedynie proste skórzane peleryny i podbijane kaftany. Nad ich głowami łopotały na wietrze liczne, przedstawiające przeróżne motywy proporce, mimo tej różnorodności sztandarów Katharina uzmysłowiła sobie, że widzi nie jednolite wojsko, a raczej kolorową, skrzykniętą w wielkim pośpiechu czeredę.

- Czy to oddziały z Zons, które chciał sprowadzić Guthenfels?

- odezwała się Vera. Katharina nawet nie zauważyła, że tamta wstała i podeszła do okna. Kuglarka sama odpowiedziała sobie zaraz na pytanie, potrząsając głową i ciągnąc w refleksyjnym tonie: - Nie. To mi nie wygląda na wojsko.

Dość dokładnie odpowiadało to temu, co dziewczyna właśnie pomyślała. Niemniej zapytała: - Więc co to ma być?

- Już raczej oddział najemników - ciągnęła kuglarka, bardziej do siebie samej, niż do Kathariny. - Przed takimi trzeba się mieć na baczności. Żołnierze są już dostatecznie źli, ale najemnicy dziesięć razy gorsi.

- Dlaczego?

- Bo walczą za pieniądze.

- Ale czy żołnierze też tego nie robią?

- Owszem, i to najczęściej za mniej - potwierdziła Vera, wykrzywiła jednak twarz w grymasie obrzydzenia. - Ale najemnicy w nic nie wierzą, rozumiesz? Co innego walczyć dla kraju i króla lub bronić tych, których się kocha. Ci tam w dole walczą tylko dla siebie i dla swoich sakiewek. Nawykli do brania tego, czego pragną, a niektórzy z nich walczą tylko dla czystej przyjemności zabijania.

Katharina zamierzała zadać kolejne pytanie, ale wtedy uderzył ją wyraz oczu Very, i dała spokój. Kuglarka nie płała po to, żeby pleść, powtarzając jedynie zasłyszane wieści. Najwyraźniej sama doświadczyła nieprzyjemnych rzeczy.

Odczekała długą chwilę, podczas której w milczeniu przyglądały się, jak mężczyźni w dole rozbijali obóz, w końcu rzekła: - Sam mi powiedział, że baron jest już w drodze z wojskiem.

- To możliwe - odparła ponuro Vera - ale ci tutaj w żadnym razie nim nie są.

Przez długi czas stały jeszcze obok siebie w ciszy, patrząc na rosnącą armię. Katharina nie najlepiej rachowała, ale mogłaby przysiąc, że jakichś stu ludzi szybko i z nabytą przez lata rutyną rozbijało tam w dole obóz. Do tego dochodziła niewiele mniejsza liczba kobiet i dzieci oraz markietani z ponad tuzinem wozów z ubraniami, bronią i żywnością, a nawet z drewnem na ogień; większa część tego pochodu zatrzymała się przed bramą zewnętrzną. Armia przywiodła ze sobą nawet kilka sztuk bydła rzeźnego.

Jedyną, czego dziewczyna nie dostrzegła, to siwowłosa postać, której wypatrywała. Mężczyźni krzatali się podekscytowani, majstrowali przy obozowisku, debatowali nad czymś, ucinali sobie pogawędki lub rozkładali się wygodnie przy ogniskach. Guthenfelsa wśród nich nie było.

Drzwi się otworzyły i wszedł małomówny strażnik. Jeszcze oszczędniejszym gestem niż zazwyczaj wskazał Verze i jej, by za nim poszły; także tym razem utrzymywał przesadnie duży odstęp od Very (a dokładniej, od małpki na jej ramieniu), gdy przechodziły obok niego, wychodząc na korytarz. Katharina zapytywała go wiele razy, dokąd (i dlaczego) były zabierane, ale w końcu poniechała tego, widząc, że najbardziej wyczerpująca odpowiedź polegała na nieartykułowanym chrząknięciu.

Zmierzały do dużego pomieszczenia pod dachem, które ochrzciła mianem sali tronowej Pardeville'a. Inaczej niż rano, teraz była pełna.

Już z daleka słyszała harmider głosów i dźwięków, a przed drzwiami stało aż dwóch strażników. Tylko jeden z nich miał na sobie błękit Pardeville'a ozdobiony stojącym dęba koniem, drugi był olbrzymim, dobrze zbudowanym chłopiskiem. Ten ostatni zmierzył nadchodzące - Katharinę, a zwłaszcza Verę - niemiłymi spojrzeniami, po czym zerwał się pośpiesznie z czujnego odrętwienia i skwapliwie otworzył im drzwi.

Hrabiego otaczali goście. Wokół wielkiego stołu, który zdawał się wprost uginać pod ciężarem jada i napitków, siedział ponad tuzin mężczyzn, a sam graf zajął tym razem miejsce na swoim marsowym tronie, włożył też inne szaty. Zarówno leżący przed nim na stole hełm, jak i jego naramienniki i nagolenniki lśniły złotem, a zamiast niebieskiego tabardu wdział złoconą zbroję kolczą z wygrawerowanym zwierzęciem herbowym. Siedzący po jego lewej stronie ciemnowłosa mężczyzna o przenikliwych oczach okryty był pokancerowaną czarną skórą, na plecach zaś nosił obosieczny topór.

Kiedy Vera i Katharina weszły na salę, obaj wstali i wyszli im naprzeciw, a rozmowy i śmiech przy wielkim stole umilkły na chwilę, po czym rozległy się na nowo. Jeden z mężczyzn ostro zagwizdał, a inny zrobił sprośną uwagę pod adresem Very, która skwitowała ją mało uprzejmym wykrzywieniem warg.

- Katharina! Vera! - Pardeville pozdrowił je z tak serdecznym uśmiechem, jakby po długim niewidzeniu ujrzał dwie stare dobre przyjaciółki. Podał nawet Katharinie rękę, a następnie zwrócił się do Very z doskonale odegranym, lekko zakłopotanym wyrazem twarzy.

- Zmuszony jestem panią przeprosić, moja droga. Katharina opowiedziała mi, co ją spotkało. Nie mogę znaleźć słów na wyrażenie tego, jak mi przykro z powodu tego nieporozumienia! Obawiam się, że moi ludzie wykazali się nadgorliwością. Ale jak widzę, przetrwała to pani bez większych urazów, chwała Bogu!

Vera zrobiła wielkie oczy, a Pardeville machnięciem ręki ogłaszając temat za zamknięty, odwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

- To Mandred, stary przyjaciel i sojusznik. Gotów jest wesprzeć nas swoimi ludźmi w walce przeciwko Wulfgarowi i jego bandzie morderców.

Mandred zmierzył Katharinę jedynie pobieżnym i niemal znudzonym spojrzeniem, za to tym uważniej zlustrował

Verę i zapewne wpatrywałyby się w nią jeszcze dłużej, gdyby Pardeville nie przerwał tego przesadzonym odchrząknięciem i nie wykonał równie zapraszającego co rozkazującego gestu w kierunku stołu.

- Mandred wyraził chęć porozmawiania z wami - powiedział.

- Zwłaszcza z tobą, Katharino. Zasiądźmy do uczy. Tak rozmawia się lepiej, a dobry posiłek - dodał nadal odwrócony do Very - jest chyba najmniejszą z powinności, jakie się wam ode mnie należą.

Vera tylko się na niego gapiła, ale Dwegr zareagował lawiną rozemocjonowanych dźwięków i jednym susem zeskoczył z jej ramienia na stół, żeby natychmiast rzucić się na misę z owocami.

Pardeville zdęgotowany wykrzywił twarz, ale gdy niektórzy z mężczyzn przy stole zaczęli się śmiać, poprzestał na wskazaniu na dwa wolne krzesła. Vera i Mandred zakończyli niemy pojedynek na spojrzenia, nie wyłoniwszy wyraźnego zwycięzcy ani przegranego, i usiedli. Katharina również zajęła miejsce, gdy hrabia raz jeszcze omiotł ją gniewnie spojrzeniem.

Przez jakiś czas rozmawiali o tym i owym, przy czym Pardeville, a przede wszystkim Mandred, zadawali wiele pytań, na które Vera odpowiadała tym lakoniczniej, im docieklwsze się stawały, więc po jakimś czasie ten ostatni zawiesił swoje zaimprovizowane przesłuchanie i zaczął się przechwalać opowieściami o przygodach, które on i jego ludzie przeżyli, i bohaterskich czynach, których dokonali.

Służący tymczasem wnosili coraz więcej jadła, wina i piwa.

Katharina dorwała się do stołu - choć się bała i nie czuła zbyt swobodnie, o dziwo, zachowała dawny apetyt - przy napojach ograniczyła się wszakże do wody, podczas gdy Vera raczyła się winem co najmniej tak chętnie jak większość mężczyzn przy stole, wszelako nie dając po sobie poznać upojenia. Spojrzenia, które rzucała Mandredowi, też się nagle dziwnie ociepliły.

-Więc to ty jesteś tą dziewczynką, której ten wikiński książę tak bezwzględnie pragnie - zauważył w końcu Mandred, tym samym prawie zdawkowym tonem, w jakim właśnie opowiedział o jakimś zabawnym epizodzie. - Ale dlaczego?

- Nie wiem... - zaczęła niespokojnie Katharina, a Pardeville od razu wpadł jej w słowo: - Bo myśli, że jest jego zaginioną wnuczką, głupiec.

Mandred pociągnął spory łyk wina, wykorzystując tę okazję, żeby ją znad krawędzi pucharu zlustrować w nowy, nieprzyjemny sposób.

- Może nią jest.

Pardeville roześmiał się. - Bzdura, Mandredzie! - Gwałtownie zamachał w kierunku dziewczyny. - Spójrzcie na nią tylko! Czy wygląda jak wikinka?

- Nie jestem nawet pewien, czy wygląda jak dziewczyna - odrzekł sucho, z niezmienionym wyrazem twarzy Mandred, po czym kontynuował, zwracając się znów do Kathariny: - Jesteś wikinką, dziecko?

- Nie wiem - powiedziała. -Ale on... dopuścił się strasznych rzeczy, żeby mnie dostać!

- Doszło to do mych uszu - powiedział Mandred. - Zastanawiam się tylko, czcigodny Guy de Pardeville'u, czy powinniśmy się mieszać w sprawy Normanów.

- Oni czynią swoje sprawy naszymi - powiedział hrabia. - Przelano wiele niewinnej krwi, a popłynię jej jeszcze więcej, jeśli nie położymy kresu temu haniebnemu procederowi.

Mandred zareagował zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Przez kilka chwil patrzył tylko bez wyrazu na Pardeville'a, po czym wybuchnął śmiechem.

- Wydaje się, że prawdą jest to, co o was mówią.

- A cóż to takiego?

- Że nienawidzicie Normanów i nie przebieracie w środkach, kiedy chodzi o przedsięwzięcie czegoś przeciwko nim.

- No i? — parsknął Pardeville. - Może teraz niejedyn z tych, co to kręcili na mnie nosem, przyzna mi rację! Czy nie powtarzałem zawsze, że nie wolno ufać tym barbarzyńcom?

- Tym samym barbarzyńcom, którzy spalili zamek waszych rodziców w Paryżu? - wtrącił Mandred.

- Uczynili znacznie więcej - wybuchnął hrabia. - Mają na rękach krew wielu niewinnych ofiar! Byłoby jej mniej, gdyby wcześniej mnie słuchano!

- A teraz oczekujecie, że przeleję krew moich ludzi. Dlaczego miałbym to robić?

Katharina nadstawiła uszu, także Vera zaczęła nagle sprawiać wrażenie bardziej skupionej, nic jednak nie powiedziała, tylko ukryła się prędko za swoim kubkiem.

- Bo wam za to płacę?

Sądząc z krótkiego błysku w oczach Mandreda, nie była to właściwa odpowiedź. Ale opanował się i tylko pokręcił głową.

- Być może - odpowiedział - a kwota, którą obiecaliście mi, jest nad wyraz szczodra. A jednak... - Znowu pokręcił głową, tym razem żywiej. - Walczyć za pieniądze to jedno, ale przecież nie zaszkodzi stać przy tym po właściwej stronie.

- Ci barbarzyńcy spalili zamek Ellsbusch - odrzekł pogardliwie Pardeville - zatopili statek barona, a dobrzy ludzie z Hostenansis tylko dlatego ledwo uszli z życiem, że byli na tyle rozumni, by uciec zawczasu. Czy ta strona nie jest wystarczająco właściwa, przyjacielu?

Mandred milczał, ale Katharina miała wrażenie, że to, co usłyszał, nieszczerólnie przypadło mu do gustu.

- Czy nie powiedzieliście jednak, że baron zmierza tutaj? - zapytała Vera.

- Mam nadzieję, że pojawi się jeszcze tego wieczoru - potwierdził Pardeville - najpóźniej nocą. Wyruszamy jutro skoro świt. Lecz wojska z samego Zons zapewne na nic się zdadzą.

- Bo Wulfgar je pokona? - zapytała drwiąco Vera.

- Uważam Wulfgara za niebezpiecznego, ale to nie znaczy, że mam go za głupca, wcale go nie lekceważę - odpowiedział Pardeville. - Wulfgar jest przede wszystkim wojownikiem. Zorientuje się, że ktoś podejmuje coś przeciwko niemu, a jeśli nie on, to jeden z jego ludzi. To że nie nienawidzę wikingów, nie znaczy, że chcę widzieć, jak przelewa się jeszcze więcej niewinnej krwi.

- Dlatego też zwerbowaliście oddział najemników - szydziła dalej Vera - i to na własny koszt, jak sądzę? Jakże to szlachetne z waszej strony.

- Nie robię tego wszystkiego, aby się wzbogacić - odparł gorzko Pardeville. - Chodzi mi...

- O zemstę? - Mandred wpadł mu w słowo i natychmiast przeczącym ruchem głowy i uspokajającym gestem zdławił wściekły sprzeciw, do którego się gotował Pardeville. - Zemsta to dobry motyw, hrabio. Silny motyw. Wiem, co Normanowie wyrządzili wam i waszej rodzinie, i dobrze was rozumiem. Na waszym miejscu zareagowałbym tak samo.

Znów zmierzył Verę dziwnym, przeciągłym spojrzeniem, po czym upił łyk wina i przetarł wierzchem dłoni usta, a Katharina odgadła z jego twarzy, że z trudem przemógł się do zmiany tematu.

Oderwał wzrok od kuglarki i zwrócił się do Kathariny. - Opowiedz mi o sobie, dziewczynko. Kim jesteś i skąd temu barbarzyńcy przyszło do głowy, że mogłabyś być z nim spokrewniona?

Katharina milczała przez chwilę w zakłopotaniu i nie tylko zastanawiała się, na ile mogła zaufać przywódcy najemników, ale też, jak wiele wiedział właściwie Guy de Pardeville, a zwłaszcza, co zdradził Mandredowi.

- Czemu nie zostawisz jej w spokoju? - pośpieszyła z pomocą Vera. - Czyż nie widzisz, jaką trwogą napawają ją twoje pytania?

- Ależ ja się tylko chciałem dowiedzieć, czy...

- Obawiam się, że ona ma rację - wmieszał się Pardeville. - Biedna dziewczyna jest całkowicie zdezorientowana, a to przecież nic dziwnego, po tym wszystkim, co musiała znieść, biedne dziecko. Nie powinniśmy jej już zdręczać.

- Mogłaby nam może zdradzić coś ważnego o Wulfgarze - poddał pod rozważę Mandred. - Ten wiking jest niebezpiecznym człowiekiem, jak wieść niesie. Każdy drobiazg może mieć znaczenie.

- To i prawda - zgodził się z nim Pardeville, kręcąc w tym samym czasie głową. - Wierzcie mi, ze wszystkich w tej sali to biedne dziecko wie o nim najmniej. - Z uśmiechem odwrócił się do Kathariny. - Zrobiło się późno. Pora chyba na spoczynek? Bądź co bądź masz za sobą męczący dzień. Twoja przyjaciółka również.

Katharina chciała zaprzeczyć, lecz Vera ubiegła ją, z nagłą i bez słowa wstając od stołu, dając jej przy tym odpowiedni znak.

- Macie rację, hrabio - powiedziała. - To był ciężki dzień, a jutro musimy wstąpić. Jestem pewna, że baron z Guthenfels zechce pomówić z Katharina, zanim wyruszy z wami w pole.

Uczta przedłużała się i po krótkim czasie muzyka, hałasy i swawolne głosy biesiadników dawały się już słyszeć także w pokoju Kathariny, jakby uroczystość odbywała się w sąsiednim pokoju, a nie całe piętro nad nią.

Nie minęło kolejne pół godziny, kiedy ktoś zapukał do jej drzwi i je otworzył, zanim zdążyła się podnieść z łóżka.

W progu stała Edith. Katharina poznała ją po zgarbionej postawie i powłóczystym kroku, wstała więc pośpiesznie, ale nie zdążyła nic powiedzieć.

- Pośpiesz się! - zaczęła rozgorączkowanym głosem służąca, jesz cze bardziej nerwowo gestykulując obiema rękami, jakby odpędzając niewidzialnego przeciwnika. - Wstawaj, dziecko! Ubierz się!

Katharina już stała, a rozebrać się jeszcze nie zdążyła. Edith nie dała jej żadnych szans na reakcję, bo bez ceregieli ujęła ją za ramię i pociągnęła za sobą z taką siłą, że dziewczyna z trudem utrzymywała się na nogach. - Musimy iść! Szybko! Nic teraz nie mów! Zabierzemy twoją przyjaciółkę, a ja wszystko wam wyjaśnię w drodze na zewnątrz!

Dziewczyna nie zamierzała o nic pytać - była na to zbyt oszołomiona - a i bez tego by jej się to nie udało, bo służąca w niezmiennym tempie ciągnęła ją za sobą i zatargałaby ją pewnie aż do końca korytarza i na schody, gdyby Katharina nie usłyszawszy w tej chwili równie zaspanego co żalosego popiskiwanie, nie wyswobodziła się.

- Dziecko! Czyś ty...? - zaczęła Edith, a w jej głosie zabrzmiało niemal przerażenie, ale Katharina już jej nie słuchała, bo wielkimi krokami pędziła z powrotem do pokoju. Zaspane Hugin i Munin wyszły jej naprzeciw, niezdarnie stawiając łapki i piszcząc z zaskoczenia, gdy je brała na ręce. Zamilkły zdetonowane, kiedy nie certując się, wrzuciła je w fałd spódnicy.

Edith zmierzyła ją ganiącym spojrzeniem, ale potem, gdy dostrzegła wyglądające ku niej z fałdy dwie futrzane kocie twarze, w jej oczach mignęło coś dziwnie dobrodusznego. Westchnęła głęboko i potrząsnęła karcąco głową, nie wspomniawszy jednak ani słowem na ten temat, tylko dalej szła, gwałtownymi gestami kierując przed sobą Katharinę wąskimi schodami w górę. Dopiero gdy już prawie dotarli do celu, dziewczynie udało się uwolnić.

- Ale... co też... się stało? - wyrzuciła z siebie bez tchu. Edith zaczęła znowu gorączkowo wymachiwać rękami, jakby darła się wniebogłosy, choć tylko szeptała, łapiąc oddech. - Nie tak głośno! - zaklinała ją. - Jeszcze nic się nie stało, ale jeśli się nie pośpieszymy, to zdarzy się coś złego. Zwłaszcza twojej przyjaciółce, głupia dziecino!

- Głupia dziecino? Ale co takiego zrobiła?

Edith pociągnęła ją i popchnęła dalej, nim zdołała ująć to pytanie w słowa. Potykając się, wpadły na korytarz, na którego końcu mieściła się cela Vera. Drzwi stały otwarte, a strażnika ani śladu.

- Gdzie jest wartownik? - zapytała Katharina.

- Odesłałam go - odpowiedziała służąca. - Ale nie wiem, jak długo to podziała. Poczekaj tutaj!

Dwa kroki przed drzwiami puściła po raz drugi rękę Kathariny, popędziła naprzód i chwilę później wróciła z Verą. Dwęgr przybiegł za nimi, szwargocząc z ekscytacji, na co Edith ostentacyjnie wywróciła oczami, ale nic nie rzekła, zamknęła tylko drzwi i założyła żelazną kłódkę z powrotem na miejsce. Ku niemałemu zaskoczeniu dziewczyny zakluczyła ją wyciągniętym zza pazuchy dużym kluczem ze skomplikowaną podwójną bródką, po czym wrzuciła go na powrót do fartucha.

- Teraz szybko - zawołała - i na miłość boską cicho!

Katharina rzuciła Verze pytające spojrzenie, spotkała się jednak tylko z bezradnym wzruszeniem ramion. Dwęgr skoczył jej na ramię i jeszcze głośniejsz zatrajkotał i zawrzęszczał, co ściągnęło nań gniewne spojrzenie Edith. Kuglarka wyglądała na zmieszaną, ale poprzestała na niemym uniesieniu ramion.

- Dokąd nas zabierasz? - spytała Katharina, kiedy znalazły się na schodach. Edith przewróciła oczami, ale tym razem bądź co bądź dostały jakąś odpowiedź.

- Daleko, moje dziecko. Musicie opuścić zamek!

- Ale dlaczego? - spytała Vera.

- Ponieważ jesteście w niebezpieczeństwie - odpowiedziała poirytowana kucharka. - Obie. Ty, głupia kobieto, ale bardziej Katharina. A wszystko to z twojej winy!

Vera zatrzymała się i popatrzyła na nią spod gniewnie zmarszczonych brwi. - Mojej? Cóż to ma znaczyć?

- Baron zu Guthenfels na pewno zechce porozmawiać z Katharina - przesadnie zmienionym głosem zacytowała Edith. - Co ty sobie przy tym myślałaś, głupia kobieto? Dlaczego od razu nie wcisnęłaś mu do ręki noża, żeby jej

poderżnął gardło? Czy ty naprawdę wierzysz, że hrabia Pardeville pozwoli, żeby baron z nią mówił?

-Och.

Na twarzy Very pojawił się wyraz konsternacji, a Edith powtórzyła jej „och” zjadliwie zmienionym, pełnym wyrzutu głosem i znowu dała znać gestem, żeby się pośpieszyły.

Kiedy zeszyły na dziedziniec, przynoszone wiatrem z wielkiej sali muzyka i zgiełk stały się głośniejsze. Służąca skrzywiła się i pokazawszy im w milczeniu, żeby zostały na miejscu, zniknęła w jakiejś szopie, lecz zaraz stamtąd wyszła. Miała teraz na sobie ciemny płaszcz, a gdy jej i Verze podała dwie podobne opończe, Katharina bezwiednie wyciągnęła ręce i narzuciła jedną z nich na siebie. Koty miauczały w proteście, gdy bezceremonialnie upychała je po kieszeniach płaszcza.

- Żadnych więcej hałasów - zażądała niepotrzebnie Edith, po czym wskazała na bramę i niemal zakrzyknęła: - Wyprowadzę was, ale na miłość boską bądźcie cicho, jeśli wam życie miłe!

Katharina wymieniła z Verą pytające spojrzenia, narzuciła jednak posłusznie na głowę kaptur płaszcza i ruszyła za gosposią. Muzyka i gromkie śmiechy zdawały się przybierać na sile, ale ani na dziedzińcu, ani przy bramie nikogo nie było. Dziewczyna dziwiła się trochę, że Pardeville z pozoru stał się taki lekkomyślny i nie wystawił nawet wartownika, lecz myśl ta pierzchła, gdy przekraczały strażnicę, kierując się na początek mostu. Edith mało że się zatrzymała, to jeszcze wystraszona odchyliła się do tyłu, tak że omal nie wpadła na kobiety.

- Co ci jest? - spytała zaniepokojona Vera.

Edith wciąż gestykulowała w przerażeniu, dając znaki, że mają być cicho, mimo to wyszeptwała: - Tam. -Jednocześnie wskazała ponad mostem i wielkim wewnętrznym dziedzińcem ku bramie zewnętrznej.

Cały zewnętrzny dziedziniec przekształcił się w jeden wielki obóz wojskowy. Katharinę zdjęło przerażenie, gdy pojęła, jak wielka była w istocie armia najemników Mandreda - paliły się niezliczone ogniska, świętowano, pito i śmiano się, a wszędzie tętniło życie, tak że w pierwszej chwili nie mogła nic dostrzec. Potem jednak jej wzrok padł na bramę. Stali tam czterej uzbrojeni mężczyźni w barwach Pardeville'a i wprawdzie obserwowali zazdrośnie wesoły gwar, mimo to najdokładniej sprawdzali każdego, kto chciał wejść na zamek lub z niego wyjść.

- Są czujni - oznajmiła z rozczarowaniem w głosie służąca. - Nie przejdziemy tędy.

-Jest jakaś inna droga? - spytała Vera.

Starsza pani potrząsnęła głową i wskazała na wysoki mur, otaczający cały teren. W regularnych odstępach paliły się pochodnie, a tu i tam patrolował mur jakiś strażnik, który marznąc, owijał się w swój płaszcz.

- To nie ma sensu - szepnęła Edith. - Przez obóz przejdziemy, ale ludzie przy bramie i na murach znają mnie. I was także. - Westchnęła głęboko. - Pardeville jest bardziej nieufny niż myślałam.

- Czy naprawdę nie ma żadnej innej drogi? - spytała ponownie Vera. W jej głosie pobrzmiwała desperacja.

- Nie - Edith pokręciła głową. Potem skinęła. -Ach tak. Jest jeszcze tunel. Tajna droga ucieczki, znana tylko hrabiemu.

-I tobie - powiedziała Vera.

-I mnie - zgodziła się Edith, ale zaraz zaprzeczyła ruchem głowy.

- To na nic. Drogi tej strzegą tajne drzwi, stale zamknięte. Jeden jedyny klucz do nich nosi przy sobie Pardeville.

- Zamknięte? - Vera uśmiechnęła się, jakby właśnie usłyszała coś nad wyraz miłego. - Zabierz nas tam. Zamka, którego nie otworzę, jeszcze nie wynaleziono.

Przynajmniej jeden taki jednak istniał, jak odkryły kilka minut później, gdy Edith ciemnym przejściem zaprowadziła je głęboko w podziemia zamku. Drzwi wiodące do tunelu okazały się tak niskie, że nawet Katharina mogłaby przez nie przejść chyba tylko pochylona, a zamek, którym je zabezpieczono, przypominał skomplikowane (i solidne) dzieło sztuki. Mimo to Vera dłużyła przy nim skoncentrowana przez kilka chwil, łamiąc sobie co najmniej dwa paznokcie, wreszcie poddała się, wściekle kopiąc w drzwi, po czym odsunęła się.

- Może mogłybyśmy je jakoś wyważyć - zaproponowała bezradnie dziewczyna.

Edith w ogóle nie odpowiedziała, a Vera spiorunowała drzwi tak wrogim spojrzeniem, jakby w twardym drewnie całkiem serio starała się wypatrzeć otwór.-I jest tylko jeden klucz, mówisz?



Służąca skinęła głową, a kuglarka na moment zapadła w głęboką zadumę, po czym odwróciła się, by wpatrywać się w kobietę jeszcze dłużej i w głębszym zamyśleniu. - Pardeville ma go zawsze przy sobie? Gdzie dokładnie?

- Nosi go przy pasie - odparła starsza pani. - Ale chyba nie myślisz teraz o tym, o czym myślę, że myślisz?

- Myślę, że tak - powiedziała Vera.

- Co? - wyszeptwała Katharina.

Ni stąd, ni zowąd Verę ogarnęła wesołość, ściągnęła małąkę z ramienia i kucnęła, żeby cichym głosem i w zupełnie niezrozumiałym języku przemówić do zwierzęcia. Dwęgr słuchał z udawaną koncentracją, kilkakrotnie pochylając głowę na zmianę to na prawą, to na lewą stronę, i wydał potwierdzające gładknięcie. Wreszcie wyrzucił z siebie przeraźliwy trajkot i piorunem zniknął.

- Nie, żebym tego nie zgadywała - odezwała się nieswojo Edith - ale zdradzisz mi, co zamierzasz?

- On zdobędzie nam ten klucz - odpowiedziała Vera - nie martw się. Własności, która byłaby od niego bezpieczna, jeszcze nie wynaleziono.

- Podobnie jak zamka, którego byś nie otworzyła? - zakpiła Edith.

Vera wolała nie dosłyszeć tego pytania. - Dokąd prowadzi ten tunel? - zapytała dla odmiany.

- Do ukrytego wyjścia, ledwie kawałek za murami. Jest dobrze zakamuflowane, bez obaw. Nikt was nie zobaczy. - Zawahała się na bardzo krótki moment. - Stamtąd już same musicie znaleźć drogę.

Miałam nadzieję, że na zewnątrz przy taborze będziecie mogli ukraść parę koni, ale teraz musicie sobie bez nich poradzić. Przy odrobinie szczęścia Pardeville wkrótce będzie zbyt pijany, żeby zauważyć, że zniknęłyście. A jutro rano wasza przewaga będzie może wystarczająca. Nie pozostanie mu wiele czasu na poszukiwania. - Spojrzała nerwowo w kierunku, w którym zniknęła małąka. - Może nawet wcale nie będzie mieć na to czasu, jeśli Guthenfels przybędzie wcześniej. Wtedy to baron każe was szukać, a jak długo on tu będzie, hrabia nie ośmieli się podnieść na ciebie ręki. - Odwróciła się do Very - Ani na ciebie... chociaż właściwie należałoby ci się, ty głupia kobieto.

- Co ja mam wspólnego z Pardeville'em? - oburzyła się Vera.

- Może nie z nim, ale z całą pewnością z jego przyjacielem, tym najemnikiem - odrzekła Edith. - Czy nie widziałaś, jak się w ciebie wpatrywał?

- Jestem do tego przyzwyczajona - odpowiedziała lekceważąco kuglarka. - Co drugi mężczyzna tak się na mnie gapi.

- Ale nie każdy co drugi mężczyzna każe Pardeville'owi obiecać sobie, że cię dostanie jako premię po kampanii - odparła Edith.

Vera zamrugwała. - Och.

- Tak, och - powiedziała Edith - a kiedy mu się sprzykrzysz, to cię odda swoim ludziom.

Tym razem Vera w ogóle nie zareagowała, tylko wpatrywała się w służącą z kamienną miną i choć Katharina nie rozumiała dokładnie, co tamta miała na myśli, mówiąc „odda”, zrozumiała, że między tymi dwiema zaszło coś, co wykraczało poza zwykłą wymianę spojrzeń.

Wreszcie Vera odwróciła się jak oparzona i na nowo podjęła swoje bezowocne próby wypatrzenia otworu w drzwiach.

Cała wieczność zdawała się mijać, kiedy tak stały w niezręcznej ciszy. Katharina nie potrafiła orzec, jak długo to trwało, ale pochodnia, którą Edith przyniosła ze sobą, wypaliła się w widocznej części, kiedy małąka wróciła. Z przeraźliwym jazgotem wskoczyła Verze na ramię i triumfująco terkocząc i strojąc grymasy, zaprezentowała jej długi na prawie dłoń klucz z wielką, skomplikowaną brodą.

Kuglarka odebrała go ze śmiechem, pogłaskała Dwęgra z uznaniem po głowie i plecach, a potem usiadła w kucki, żeby pogrzebać kluczem w zamku.

W obliczu tak wielkiego klucza i jeszcze potężniejszego zamka Katharina oczekiwała ciężkiego kłapnięcia lub czegoś bardziej dramatycznego, tymczasem zamek odskoczył niemal bezszelestnie, a drzwi poruszyły się tak cicho, jakby ich prastare zawiasy były starannie naoliwione.

Za nimi ukazał się niski tunel o półkolistym przekroju, wykuty w litej skale, na której wznosił się zamek. Wionęła ku nim delikatna fala powietrza o niezwykle suchym i starym zapachu. Edith weszła pierwsza i niecierpliwym gestem

nakazała im iść za sobą. Płomień pochodni przesuwiał się z sykiem wzdłuż sklepienia, pozostawiając czarną smugę sadzy i paląc pokryte kurzem pajęczyny. Stawiając kroki, wzniewały małe szare chmurki, łaskoczące w nosie i gardle.

Ku uldze dziewczyny tunel nie był szczególnie długi. Już po kilkudziesięciu krokach doszły do wąskich schodów, które ciasnymi serpentynami biegły w górę i dalej do równie ciemnej, ale przestronniejszej sztolni z murowanymi ścianami, w której przynajmniej znowu mogły rozprostować plecy. Suche powietrze z każdym oddechem skłaniało do kaszlu.

Tym razem upłynęło znacznie więcej czasu, zanim Edith znów się zatrzymała, podała Verze pochodnię i przez chwilę głośno przy czymś manipulowała w ciemności.

Coś zaszeleściło i po chwili przeniknęły ku nim do środka bladobiałe światło księżyca, a potem fala lodowatego, wybornie świeżego powietrza. Służąca odebrała pochodnię i pośpieszyła przodem, machając niecierpliwie pochodnią, żeby za nią pójść.

- Teraz szybko - powiedziała. - Nie macie dużo czasu. Jak tylko zauważy, że nie ma klucza, domyśli się, gdzie jesteście!

Katharina prędko ją minęła, zrobiła jeszcze dwa kroki i zatrzymała się, żeby się rozejrzeć. Jak je uprzedziła Edith, znajdowały się teraz po drugiej stronie zewnętrznego muru, jakkolwiek zaledwie tuż za nim - musiałaby tylko wyciągnąć rękę, żeby dotknąć cegieł. Dobiegały jeszcze tutaj śmiechy i muzyka, a niebo nad zamkiem jarzyło się na czerwono w odblasku niezliczonych ognisk płonących po drugiej stronie muru.

Służąca odrzuciła pochodnię w murowany tunel za sobą, gdzie upadła na ziemię, nie gasnąc, i wskazała na oddalone o pół tuzina kroków niskie zarośla. Pośpieszyły tam, a gdy Vera zamierzała coś powiedzieć, Edith młynkując z przerażeniem rękoma, zmusiła ją do milczenia, po czym zagnała je pod osłonę kolczastego żywopłotu.

Ledwie to zrobiła, na blankach murów pojawiła się samotna postać w hełmie i z włócznią, zmierzając dokładnie w ich kierunku.

Z biciem serca i zapartym tchem wyczekiwały, aż strażnik na swoim samotnym obchodzie przejdzie obok nich i się oddali, lecz nawet potem Edith odczekała jeszcze dłuższą chwilę, aż wreszcie wyprostowała się ostrożnie i zaraz znowu zaczęła je ponaglać nerwowymi gestami.

- Nie ma czasu do stracenia! Najlepiej idźcie na południe, na bagna. Tam nie wytropią waszych śladów, a konno, tak czy owak, nie ośmielą się zapaść. Ich ciężkie bojowe rumaki potopiłyby się.

Katharinie wydało się to dobrym pomysłem, ale Vera pokręciła głową. - Mój klan obozuje w dole nad rzeką - powiedziała. - Tam będziemy bezpieczni. Ukryją Katharinę i mnie.

- Tak, jasne - parsknęła Edith. - A jak myślisz, gdzie będą was najpierw szukać? - Obruszyła się żywo. - Chcesz sprowadzić nie- szczęście na cały wasz klan, ty głupia kobieto? Pardeville każe ich wszystkich zabić, jeśli was przy nich znajdą. Albo tylko ciebie!

Vera spojrzała na nią wrogo, ale miała dość rozsądku, żeby zachować dla siebie odpowiedź, a Edith ciągnęła, dla większego efektu kiwając głową: - Bagna są najbezpieczniejszą kryjówką. Nie musicie zostawać tam długo, może do jutra rana, najdłużej do południa.

- A potem? - spytała nieufnie Vera.

- Jak tylko baron zu Guthenfels zjawi się tutaj ze swoimi żołnierzami i wyruszy z Pardeville'em, nie będziecie już stanowić zagrożenia i uniesiecie głowę. Przynajmniej na razie. Wystarczająco długo, aby ujść w bezpieczne miejsce. - Uczyniła szorstki gest, gdy Vera chciała się sprzeciwić. - Ale tylko jeśli teraz wreszcie zbierzecie się do drogi, zamiast wystawać tu i gadać po próżnicy.

Kuglarka spojrzała na nią ze złością, jakby wszystko to było wyłącznie winą służącej, ale już nie oponowała, tylko opadła w kucki i postawiła małąkę na ziemi. Podekscytowany Dwegr zaczął znowu pleść i pokrzykiwać, a Vera odpowiadała mu po cichu w tym samym języku, którego użyła wcześniej w piwnicy.

- A ty? - wtrąciła pośpiesznie Katharina. - Ciągłe mówisz tylko o nas. Co z tobą? Będziesz nam przecież towarzyszyć, prawda?

- Jakże mogłabym, moje dziecko? - odrzekła łagodnie Edith. - Tu jestem w domu. Nie mogę z wami pójść.

- Guy de Pardeville zabije cię, kiedy się dowie, co zrobiłaś - powiedziała Vera. - To pewne jak słońce, czyż nie? - Wstała, a małąka jak cień zniknęła w ciemności.

Służąca spojrzała na nią z dezaprobatą i raz jeszcze pokręciła głową, jednak ten ruch wydał się dziewczynie już nie tak energiczny, jak dotychczas. - Nie zamierzam mu o tym opowiadać - odparła.

- Nie martwcie się o mnie. Odniosę mu klucz i nigdy się nie dowie, co wydarzyło się dzisiejszej nocy.

- Mówisz o odesłaniu wartownika spod moich drzwi? - zapytała Vera. - Katharina ma rację. Guy de Pardeville może być złym człowiekiem, ale nie jest głupi! Już on doda sobie dwa i dwa, a wtedy zginiesz. Jeśli będziesz mieć szczęście.

Edith zawahała się. - Tylko bym was opóźniała - rzekła wreszcie.

- Jestem starą kobietą i...

- Proszę, Edith - przerwała jej dziewczyna. - Potrzebujemy cię!

Musisz wskazać nam drogę. Bez ciebie na bagnach będziemy zgubione!

Starsza pani milczała. W ciemnościach Katharina nie widziała jej twarzy, ale wyczuwała niemą walkę, jaką tamta toczyła sama ze sobą.

- Nie, tutaj jest mój dom - powiedziała w końcu. - Nie mam dokąd pójść. I nigdy nie mogłabym wrócić.

- Jak ja to widzę, i tak nie możesz tego zrobić - zauważyła Vera, wzruszając ramionami - a Katharina ma rację. Nie mam wielkiej ochoty uciekać z jednej ciemnej nory, żeby potem utopić się w drugiej. Potrzebujemy cię. Katharina cię potrzebuje.

Edith zamilkła ponownie, na długo. - Więc dobrze - rzekła z ciężkim sercem. - Ale chodźcie już! Straciliśmy zbyt wiele czasu.

Na pierwszym odcinku szybko parły do przodu. Teren był prawie płaski, bez przeszkód, które musiałyby omijać albo które czyhały w ukryciu. Wkrótce od zamku i ewentualnych prześladowców dzieliła je już spora odległość. Zamek Pardeville utonął w ciemnościach za nimi już po kilku krokach, a niedługo potem uchichły także muzyka, hałas i śmiechy. Kiedy Katharina obejrzała się za siebie, spostrzegła, że zniknęła także czerwona poświata na niebie; wydawało się, że zostały na świecie całkiem same. Jednak cisza ta zwodziła, nie niosąc poczucia bezpieczeństwa, za którym dziewczyna tak tęskniła.

Wszelako nie trwała długo. Już wkrótce teren stał się nierówny, lecz to nie Edith, a Vera zaczęła zwalniać i mylić krok w marszu, i choć ze wszystkich sił starała się nie dać tego po sobie poznać, coraz trudniej przychodziło jej dotrzymać kroku. Katharina nie wspomniała o rym ani słowem, ale słabość przyjaciółki głęboko nią wstrząsnęła.

Dotychczas kuglarka zdawała się promieniować siłą i energią, sprawiając wrażenie kobiety nie do zdarcia. Być może w ciągu półtora dnia spędzonego w lochu ucierpiała jednak silniej, niż przyznawała przed Katharina.

Przynajmniej pogoda była po ich stronie. Mimo iż lato jeszcze długo nie miało się skończyć, wkrótce się ochłodziło, a potem zrobiło się przenikliwie zimno, w głębi ducha były więc wdzięczne Edith za ciepłe płaszcze na drogę. Wraz z postępującą nocą niebo zaciągało się chmurami i robiło się coraz ciemniej.

Posuwanie się naprzód stawało się coraz trudniejsze, a nie była to tylko kwestia braku światła - wyprzedzające ją o długość ramienia służąca i kuglarka zdawały się być tylko czarnymi cieniami bez głębi i konturów. Ziemia nabierała teraz prawdziwie błotnistej konsystencji i Katharina musiała coraz baczniej przypatrywać się, gdzie stawiała stopy, żeby nie wdepnąć w bajoro ani nie potknąć się o korzeń. Te ostatnie straszyły coraz liczniej tu i ówdzie, poskręcane, podobne futrzanym węzom, wylaniając się spomiędzy traw na dywanie z mchów i porostów. Co najmniej dwukrotnie Edith nieoczekiwanie się zatrzymywała, wpatrywała się uważnie w ciemność, a następnie kręcąc głową, wskazywała na prawo lub lewo i zaczynała szukać innej drogi. W powietrzu wisiał zatechły, bynajmniej nie nieprzyjemny zapach, zewsząd dobiegały jakieś dźwięki: nieprzerwane szemranie i bulgotanie, czasem także szelesty nasuwające obrazy uciekających w ciemności małych zwierzątek z zębami i szponami.

Krzewy i sękaty gałęzie wyrastały teraz w coraz większej liczbie i gęstości, a płaszcz Kathariny zahaczał się co chwila w plątaninie gałęzi.

Za każdym razem wyswobodzenie się z ich szponów kosztowało ją odrobinę więcej wysiłku.

W pewnym momencie Vera zatrzymała się i pochyliła, żeby wesprzeć się dłońmi na udach, po czym potrząsnęła głową na znak, że nie daje już rady. - Dokąd nas prowadzisz? - wyrzuciła bez tchu.

Edith, która zdążyła przejść kilka kroków dalej, w ogóle nie zauważając, że kuglarka przystanęła, wróciła z miną, w której mieszały się niepokój i gniew.

-Już niedaleko - powiedziała. - Może godzina, może mniej. Nie możemy tutaj zostać.

- Czym to miejsce różni się od innego? - wymamrotała Vera. Starła się zaśmiać (bez powodzenia) i podnieść z ziemi, co też się jej nie udało.

Edith, zanim odpowiedziała, wymieniła z Kathariną szybkie, acz wymowne spojrzenie. - Na przykład tym, że tutaj zostawiamy ślady, którymi mogą podążyć. Dalej, głębiej na bagnach ziemia nie uniesie już konia, nie zachowa też żadnego śladu. Ponadto wydobywają się tam z ziemi złe opary, więc nawet psy stracą trop.

- Psy? - wyrwało się przestraszonej dziewczynie. Hugin i Munin, które przez cały czas siedziały w kieszeniach jej płaszcza cicho jak mysz pod miotłą, zamiauczały przerażone, jakby zroszwały, w czym rzecz.

Edith zrobiła uspokajający gest, ale tak szybko, że osiągnęła tym raczej odwrotny skutek. - Na wszelki wypadek - oznajmiła. - Nie wiem, czy zabiorą ze sobą psy. Nie wiem nawet, czy w ogóle będą nas ścigać.

Katharina uznała, że siwowłosa służąca kiepsko kłamała, ale Edith nie dała jej okazji do reakcji, bo kręcąc głową i zmuszając się do przekonującego niemal uśmiechu, ciągnęła: - Poza tym jest coś, co chciałabym wam pokazać.

- Naprawdę? - wymamrotała zmęczonym głosem Vera. - Niby co?

- Prościej będzie to pokazać - nalegała służąca. - Tam będziecie bezpieczne.

To samo mówiła o tym bagnie, pomyślała Katharina, ale nic nie rzekła głośno. Przybliżyła się do Very, kiedy ruszyły w dalszą drogę, żeby w razie potrzeby doskoczyć i ją złapać, gdyby ostatecznie opadła z sił.

Na szczęście tak się nie stało, ale kuglarka jeszcze bardziej zwolniła i wkrótce już nie tylko za sprawą podmokłego, grząskiego podłoża z jego kałużami i podstępными pułapkami, bardziej potykały się jedna obok drugiej, niż naprawdę szły. Ich tempo zmalało, na dotarcie do celu potrzebowały znacznie więcej niż godzinę.

Wkrótce zrobiło się ciemno jak w grobie, jak powiadają ludzie, a otoczenie z każdym krokiem zdawało się stawać niesamowitsze i groźniejsze. Wkrótce znowu maszerowały przez las, ale ten w niczym nie przypominał lasów, jakie znała dziewczyna. Drzewa były niskie i bez wyjątku poskręcane. Mało że między nimi a poszyciem (coraz gęstszym i ciernistszym) ledwo można było przejść, to jeszcze ziemia stawała się coraz zdradliwsza. Czasami miała uczucie, że szła po wypełnionej puchem poduszce, która przy każdym kroku sprężynowała pod jej ciężarem, a kiedy indziej wdeptywała w płytką kałużę, tylko aby stwierdzić, że zatoneła w niej po uda. Edith zatrzymywała się teraz bez przerwy i rozglądała niepewnie, dając im znaki, żeby zawracać i szukać innej drogi.

W końcu natrafiwszy na wąski strumień, szły wzdłuż niego przez krótki czas, aż wpłynął do szerokiej rzeki, pewnie dopływu Renu.

Katharina jeszcze nigdy nie słyszała o czymś takim w okolicy, nie wspominając już o bagnie, powiedziała sobie jednak, że nic to nie znaczy. W końcu dopiero kilka tygodni temu po raz pierwszy w życiu odeszła dalej niż pół godziny drogi od rodzinnej wioski.

Vera potykała się coraz częściej, tak iż Katharina musiała bardziej koncentrować się na niej, a odpowiednio mniej zważać na własne kroki. W końcu sama wkrótce zahaczyła o coś na stromo opadającym odcinku brzegu i wywijając rękoma, straciła grunt pod nogami. Tylko dlatego nie wpadła głową w dół do wody, że Edith zareagowała błyskawicznie i ją podtrzymała.

- Dzięki - rzekła odruchowo.

Służąca odpowiedziała jedynie niemym skinieniem głowy, ale rzuciła Katharinie tym bardziej zatroskane spojrzenie, pomagając jej się wdrapać z powrotem po skarpie. Musiała dobrze widzieć, co się wydarzyło.

-To już niedaleko - rzekła. - Jeszcze kilka kroków i będziemy na miejscu.

- Na miejscu? - powtórzyła bez tchu Vera. - Gdzie na miejscu?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Edith wskazała w dół na rzekę.

Wzrok dziewczyny powędrował za jej ręką. W pierwszej chwili nie dostrzegła nic prócz cieni, może jakiś rozmyty zarys, jakby poszycie i zarośla w tamtym miejscu rozrosły się kawałek dalej w rzekę. Jakiś szczegół wydał jej się co najwyżej nazbyt regularny.

- Nic nie widzę - upierała się Vera.

- To jest też efekt, do którego dąży ktoś, kto usiłuje coś ukryć, czyż nie? — odpowiedziała Edith, z wąskim uśmiechem na ustach. - I wygląda na to, że dobrze wykonał swą robotę. Chodźcie za mną. Ale uważajcie. Jest trochę

stroma Z takim pośpiechem, jakby chciała swoim słowom zadać kłam, wyprzedziła je i ruszyła ku rzekomym krzakom, a Katharina posłusznie za nią. Pomna swojej niezdarności sprzed chwili, stawiała teraz ostrożnie kroki.

Mimo to prawie się przewróciła na ostatnim odcinku, bo skarpa tutaj okazała się bardziej stroma, na domiar złego pokryta mchem i oślizgłymi pnączami, na których jej stopy ledwie mogły znaleźć oparcie. Bardziej przewieszając się od gałęzi do gałęzi niż idąc, udało się jej mimo wszystko nie pozostać w tyle i nie stracić z oczu Edith.

Odetchnęła z ulgą, kiedy po ostatnim wielkim kroku wymacała wreszcie pod stopami twardy grunt (choć bynajmniej nie stabilny!).

W końcu, dając odpocząć swemu rozkołatanemu sercu, tym pośpieszniej odwróciła się, żeby pomóc Verze.

Kuglarka szła tuż za nią, a choć bledsza, niż przed chwilą, obrzuciła jej pomocnie wyciągniętą dłoń przekornym spojrzaniem i zeszła ku niej o własnych siłach.

- Łódź - wycedziła przez zęby. - Jakże oryginalnie!

- Dobrze ukryta - dodała Edith. - Tutaj nikt was nie znajdzie. Nikt nie wie o jej istnieniu.

Vera rozejrzała się chmurnie i skinęła głową. - Z wyjątkiem tych, którzy ją tutaj ukryli.

Służąca wprawdzie zgodziła się z nią nieznacznym skinieniem głowy, zaraz jednak zaprzeczyła. - Masz w tym wprawdzie rację - powiedziała - ale właściciele tego statku są teraz zajęci czymś innym, uwierz mi.

Vera sprawiała wrażenie jeszcze bardziej poirytowanej, stosowny komentarz zachowała jednak dla siebie i tylko głęboko westchnęła.

Zamiast dalej wsadzać Edith szpile, małymi niepewnymi krokami przeszła na drugą stronę wąskiej łodzi i osunęła się na dno, podciągając kolana, po czym oparła się o niską burtę. Katharina poszła jej śladem, po krótkim wahaniu usiadła i uwolniła wreszcie kociaki z kieszeni płaszcza. Hugin i Munin natychmiast dały głośny upust niezadowoleniu, że je tak potraktowano, i bezzwłocznie zabrały się do odkrywania swego nowego otoczenia. Gdy Katharina spojrzała ukradkowo na wyczerpaną twarz Very, przekonała się, że nie usłyszy od niej nic nowego. Niewiele myśląc, uczyniła to samo co koty.

Oglądana z brzegu smukła łódź praktycznie ginęła w szuwarach, Katharina przypuszczała, że nawet w ciągu dnia - chociaż taki wysiłek wydał się jej przesadzony. Nie umiała sobie wyobrazić, żeby istniało zbyt wielu błędzących po tej niegościnniej okolicy. A jeśli nawet... ostatecznie to przecież tylko łódź, widok na rzece nie jest tak wyjątkowy, żeby go ukrywać przed wzrokiem ciekawskich.

- Tak... - Vera mruknęła nagle, cicho i nie zadając sobie trudu, żeby otworzyć przy tym oczy - A więc sądziłaś, że same znalazłybyśmy to miejsce, gdybyś tylko dokładnie wyjaśniła nam drogę?

Dziewczyna dopiero teraz zrozumiała, że te słowa skierowane były nie do niej, lecz do Edith, i być może uszło to również siwowłosej służącej, bo minęła długa chwila, zanim Vera otrzymała odpowiedź.

- Nie - stwierdziła lakonicznie starszka.

- Aha - burknęła Vera. Jednak tym razem otworzyła oczy, zmęczonym ruchem odwróciła głowę i spojrzała na postać w czarnym płaszczu z kapturem. Edith oddaliła się od nich dość daleko na łodzi, nie patrzyła też w ich kierunku, a jednak, co dziwne, Katharina wyczuwała, jak nieswojo nagle poczuła się ich towarzyszką i ile wysiłku kosztowało ją odpowiadanie.

- Prawdopodobnie nigdy byście go nie znalazły.

- Bo też nie miałyśmy, jak sądzę - powiedziała Vera. Było w jej głosie coś, co zaniepokoiło Katharinę, choć nie wiedziała, dlaczego.

Edith wzruszyła ramionami. Dziewczyna nie widziała naprawdę tego ruchu, ale usłyszała szelest jej płaszcza. - Być może tylko wszystko pogorszyłam - wymamrotała.

- Może - odparła Vera, a jej głos brzmiał teraz ostrzej, z wyrzutem - może byłby już czas, żeby powiedzieć nam wszystko bez ogródek, nie sądzisz?

Bez ogródek? Katharina wyprostowała się. - Co masz na myśli...?

Kuglarka przerwała jej władcym gestem, nie odrywając wzroku od czarnej sylwetki na rufie łodzi. - Mnie nie jesteś nic winna, Edith.

Ale z pewnością temu dziecku, nie uważasz?

Służąca nie odpowiedziała od razu, ale Katharina zobaczyła, że pod słowami kuglarzki wiła się jak od razów. Nagle zrobiło jej się żal staruszki i rozgniewała się na Verę. Bądź co bądź służąca Pardeville'a ryzykowała życie, żeby ratować ją i kuglarzkę.

- Zostaw ją w spokoju! - krzyknęła. - Czy nie widzisz, jaka jesteś niesprawiedliwa?

- Niesprawiedliwa? - Vera przestała w końcu wpatrywać się w Edith i odwróciła powoli głowę, żeby teraz, marszcząc czoło, spojrzeć z góry na Katharinę. - Ja? - upewniła się. Po czym roześmiała się cicho, krótko i gorzko. - Czy naprawdę niczego jeszcze nie pojęłaś, głuptasie?

- Czego? - spytała roztrzęsiona Katharina.

Kuglarzka wskazała głową na Edith. - Zapytaj ją, czyja to wina, że w ogóle tutaj jesteśmy - Co proszę? - wymamrotała zmieszana dziewczyna. Czy Vera postradała zmysły?

- A przy okazji zapytaj ją od razu, czyja to wina, że Wulfgar zburzył zamek Ellsbusch i porwał twojego brata.

Katharina nic już nie rozumiała. Wlepiała wzrok w kuglarzkę, a jej myśli kołowały coraz szybciej, w daremnej próbie nadania jej słowom jakiegokolwiek znaczenia. Może wyczerpujący marsz i to, co wycierpiała w lochu Pardeville'a, pomieszały jej zmysły i mówiła od rzeczy?

Naraz uświadomiła sobie, że jedyną osobą gadającą głupstwa była ona sama. Słowa Very w istocie wcale jej nie zaskoczyły. W głębi duszy przeczuwała taki obrót spraw.

- Ty... ty jesteś... moją matką? - wyszeptała cienkim, łamiącym się głosem.

Edith milczała na tyle długo, żeby jej myślom dać czas na najbardziej szalone spekulacje, a jej sercu niedorzeczną, rozpaczliwą nadzieję, jednak potem zaprzeczyła ruchem głowy, odrzuciła obiema rękami w tył kaptur płaszcza i powoli do niej podeszła.

- Nie - powiedziała. - Przykro mi, moje dziecko, jeśli miałas taką nadzieję. Nie jestem twoją matką.

Katharina nie była w stanie nic wyczytać z jej twarzy, chociaż stały teraz wystarczająco blisko. Siwa kobieta uśmiechnęła się i jeśli dziewczyna kiedykolwiek widziała uśmiech matki, to był nim właśnie ten, który ujrzała teraz u staruszki. Jednak oczy Edith były także zamroczone bólem, a kiedy znowu przemówiła, Katharina usłyszała w jej głosie dotkliwą zgryzotę, której nie zdołałyby złagodzić żadna moc i cały czas tego świata.

- A mimo to twoja przyjaciółka ma rację, moje dziecko. Wszystko to moja wina. Tak mi nieskończenie przykro, uwierz mi. Oddałabym życie, aby móc to cofnąć, ale nie mogę.

- Co? - spytała Katharina z bijącym sercem.

Edith podeszła jeszcze krok bliżej i zmierzyła siedzącą obok kuglarzkę niemal błagalnym spojrzeniem. - Nie powiedziałaś jej?

- Co powiedziałaś? - chciała wiedzieć Katharina. Serce zaczęło jej nagle walić jak oszalałe, a głos, jakim wypowiedziała te słowa, nawet w jej uszach zabrzmiał ostro.

Vera potrząsnęła głową. - Nie - odpowiedziała, nie zwracając uwagi na pytanie Kathariny. - Uważałam, że to twoja powinność.

- Tak, zapewne masz rację - rzekła smutno Edith. Pochyliwszy głowę, spojrzała ponownie na dziewczynę, a strapienie rozlało się jeszcze szerzej po jej twarzy usianej niezliczonymi maleńkimi zmarszczkami. Zamilkła, po czym zajęła miejsce na mokrym po kładzie naprzeciwko Kathariny, daremnie usiłując wytrzymać jej spojrzenie. Rozpaczliwie szukała odpowiednich słów.

Wreszcie Vera przerwała coraz bardziej nieznośne milczenie, podnosząc się niezgrabnie, z postękiwaniem na nogi. - Zostawiam was na chwilę same - powiedziała.

- To nie jest... - zaczęła przestraszona Katharina, lecz urwała w połowie zdania, zarejestrowawszy krótkie, wdzięczne spojrzenie, które służąca rzuciła kuglarce. Vera odwróciła się i z obwisłymi ramionami drobnym, mozolnym krokiem podreptała na dziób, a Edith poczekała, aż zostały same, na ile to na tej małej łodzi, w niemal całkowitej ciszy nocy w ogóle było możliwe. Nawet gdyby szeptały, Vera zrozumiałaby każde słowo, Katharina pojęła wszakże, dlaczego kuglarzka starała się przynajmniej zachować pozory i po czuła do niej wdzięczność.

Edith wyciągnęła rękę spod płaszcza, chwyciła palce Kathariny i ścisnęła je tak mocno, jakby zrobiła to dobrotliwa

babcia, chcąc pocieszyć dziecko, które się zraniło lub poniosło stratę. Dziewczyna nigdy jeszcze nie przeżyła takiej sytuacji, ale gdyby próbowała ją sobie wyobrazić, to mniej więcej tak by wyglądała. Zamiast wycofać rękę w pierwszym odruchu, jako że przez całe życie unikała wszelkiego dotyku, uniosła drugą rękę i objęła dłoń służącej.

- Nie jestem twoją matką, Kara - zaczęła Edith. Jeśli to prawda, dlaczego użyła jej właściwego imienia, nie zaś tego, które nadali jej ludzie w tym kraju? - Ale ją znałam, to prawda. Ciebie również znałam, kiedy byłaś jeszcze małym dzieckiem.

Katharina poczuła, jak rozszerzają się jej oczy.

- Ty? - szepnęła. - Ale jak...?

- Twoja matka i ja byliśmy przyjaciółkami - ciągnęła Edith. - Kiedy twoja matka mieszkała jeszcze w Trelleborgu w waszej ojczyźnie, byłam jej służką, ale była dobrą panią i wierzyła, że żaden człowiek nie powinien rościć sobie prawa do posiadania innych, ani narzucania im swojej woli. Tak więc zostałyśmy przyjaciółkami, mimo iż wciąż pozostawała moją panią.

- Więc... więc ją znałaś? - wymamrotała Katharina, zupełnie niedorzecznie i w zasadzie tylko, by wyrazić swoje zaskoczenie. - I Erika, i Arię, i wszystkich innych, i...

Służąca przerwała jej ruchem głowy i słabym łagodnym uśmiechem. Wyraz zgrzyoty pozostał w jej oczach, lecz teraz dołączyło do niego coś innego, co choć nie uśmierzyło jej bólu, wydawało się dodawać siłę, żeby go znosić.

- Oczywiście, że ich wszystkich znałam - rzekła. - Także twojego drugiego dziadka, Wulfgara, brata Erika.

- Także... mojego ojca? - zapytała, zacinając się Katharina.

- Wulfgara, syna Wulfgara. - Coś niby cię przemknęło po twarzy Edith i zgasło, zanim Katharina zdążyła nabrać pewności. - On nie był dobrym człowiekiem, moje dziecko, cóż z tego, że był twoim ojcem. Porywczy i brutalny. Erik był przeciwny temu małżeństwu, jak niemal wszyscy, ale twoja matka kochała Wulfgara, a gdzie rządzi serce, głos rozsądku traci rację bytu. Może to i słuszne. - Uśmiechnęła się przelotnie, lecz zaraz spoważniała, wzdychając.

- W końcu Erik zgodził się na ten związek, ponieważ kochał swoją córkę, być może i dlatego, że chciał, aby to małżeństwo naprawiło stosunki między zwaśnionymi rodzinami. Przez chwilę wszystko na to wskazywało, zwłaszcza gdy przyszłście na świat ty i twój brat.

- Ale to się nie sprawdziło - powiedziała Katharina.

- Nie - Edith potrząsnęła głową. - Zbyt wiele je dzieliło. Wulfgar wyruszał na brutalne wyprawy zbójcze, Erik stawiał na pokojowy handel. Doszło do sporu, potem do otwartej wojny. Kiedy matka od *tego wszystkiego* uciekła, towarzyszyłam jej.

Jak na razie Katharina знаła tę historię, a słowa Edith pokrywały się z tym, co usłyszała od Arli i Erika. Słuchała służącej jak urzeczona, choć jeszcze nie dowiedziała się niczego nowego.

- Byliśmy w drodze ponad rok - podjęła wreszcie Edith - wciąż uciekając przez ludźmi Wulfgara i Erika. W końcu zdarzyło się nieszczęście. - Jej głos przycichł i się urwał, a Katharina widziała ból, jaki sprawiało jej to wspomnienie. Dała jej sporo czasu, zanim cichym odchrząknięciem przypomniała, że czeka na ciąg dalszy - Zdarzyło się nieszczęście. Po raz kolejny salwowaliśmy się ucieczką... Nawet nie wiem, przed którą z dwóch rodzin. Nadciągnęła burza. Pamiętam jeszcze, że twoja matka bała się wejść na pokład, ale twój ojciec ostatecznie ją przekonał, bo miał nadzieję, że burza przeszkodzi także naszym prześladowcom w pościgu za nami, a on był świetnym żeglarzem, być może najlepszym w świecie.

Puściła palce Kathariny, żeby obiema rękami wykonać znaczący gest. - To właśnie był jego statek, Heimdall. Wspaniała łódź. Najszybsza, jaką kiedykolwiek zbudowano.

- Ta tutaj? - Katharina rozejrzała się wokoło. Od razu rzuciło jej się w oczy, że różniła się od Burzyka i bezimiennego stateczku, którym Guthenfels zabrał ją z Bjarnisund, ale dopiero teraz zauważyła, że w rzeczywistości chodziło o drakkar; jedną ze smukłych smoczycy łodzi wikingów. Wciągnięte do środka wiosła, brak wielkich okrągłych tarczy na burtach, a przede wszystkim misterny kamuflaż i prawie całkowita ciemność sprzysięgły się, aby zrobić zeń bezkształtny cień, ale teraz, gdy mu się z uwagą przyglądała, rozpoznała wysoko podniesiony dziób z rzeźbioną głową smoka i smukłą konstrukcję.

- To jest... - wymruczała skonsternowana.

- Heimdall, tak - Edith dokończyła zdanie, potakując. - Tutaj osiedliśmy na mieliźnie, w tej odnodze. Załoga nie żyła,

a twój ojciec... - Przerwała na moment i znowu po jej twarzy prześlizgnął się niewidoczny cień, a wspomnienie tych strasznych chwil sprzed dziesięciu lat zdawało się ją paraliżować. Katharina poczekała, aż Edith sama zacznie mówić dalej. - Twoja matka również została ranna, a ty o włos nie utonęłaś. Nie przypominasz sobie?

Dziewczyna wprawdzie bezwiednie pokręciła głową, ale jeszcze zanim dokończyła ten ruch, nie była już tego taka pewna. Na słowa staruszki nie odżyły w niej żadne wspomnienia ani obrazy, ale zaczęła przeczuwać, dlaczego zawsze tak bardzo bała się wody. Nawet teraz, gdy statek bezpiecznie cumował o pół kroku od brzegu, nie czuła się szczególnie dobrze.

-Twoja matka i ty jako jedyne ocalałyście - ciągnęła Edith - choć ona była bardziej martwa niż żywa.

- Ale dlaczego tutaj? - wmieszała się Vera. - Czy przypadkiem nie chcieliście prosić o pomoc Guy de Pardeville'a, największego w kraju wroga waszego ludu?

Służąca ze smutkiem pokręciła głową. - Burza wyrzuciła nas tutaj na brzeg. Może to była wola bogów lub przypadek... kto to może wiedzieć? Potrzebowaliśmy dwóch dni na odzyskanie sił i dwóch kolejnych na rozeznanie się w okolicy i zadecydowanie, dokąd iść.

Spojrzała wyczekująco na Katharinę, jakby była pewna, że tym samym powiedziała wszystko, co należało, ale Vera znowu się zbliżyła, a następnie - bardzo cicho - powiedziała: -Wulfgar.

- Tak - przytaknęła ze smutkiem Edith. - Twoja matka bardzo się go bała, bo był tak różny od swego brata Erika. Lecz nie tylko dlatego. Mówi się, że Wulfgarowi wpadła w oko twoja babcia i z tego powodu Erik i Wulfgar za młodych lat popadli w konflikt. W ten sposób doszło do ostatecznego rozłamu między tymi dwoma niepodobnymi do siebie braćmi.

Wulfgar nadszkwiał jej babci? Myśl ta była tak niesłychana, że Katharina prawie zaniosła się śmiechem. Ale tylko prawie. - Czy to znaczy, że Wulfgar miał szansę u mojej babci? - zapytała z bijącym sercem.

Edith potrząsnęła głową. - Chyba żadnych. Mimo to Erik musiał się pnieć z wściekłości, kiedy się o tym dowiedział. Wulfgar próbował się wykpić, twierdząc, że twoja babcia nie pochodziła przecież z waszego ludu, a zatem niewiele więcej znaczyła niż niewolnica.

Możesz sobie wyobrazić, że w ten sposób dolał oliwy do ognia - oburzenie Erika sięgało zenitu.

Rzecz jasna dziewczyna umiała to sobie wyobrazić - w końcu zdążyła już poznać Erika i wiedziała, że choć był rozsądniejszym z braci, mógł zareagować z zjadłością.

- Naturalnie także twoją matkę i Arię Wulfgar darzył później tylko pogardą - ciągnęła Edith. -Jako córka Erika i jednej z miejscowych, nie zaakceptował ich jako pełnoprawnych wikinek.

- A jak to przyjęła moja mama?

-Jej to już nie interesowało. Dużo gorsze było dla niej to, że Erik odrzucił jej męża. - Spojrzenie Edith stało się nagle surowe. - Lecz dość już o tym. Wiesz teraz, dlaczego Wulfgar nie był bliski sercu twojej matki.

- Tak - przyznała jej rację Vera, która przysłuchiwała się rozmowie z ponurą miną. - Myślę, że to rozumie każdy. Ale nie to, co zrobiłyście tutaj po katastrofie.

- A co takiego zrobiłyście? - zapytała szybko Katharina.

Edith skrzywiła się, jakby ugryzła jakiś kwaśny owoc. - To, co należało zrobić, aby uratować twoje życie, moje dziecko. Nie mogłyśmy pozostać, to oczywiste. Pardeville zabiłby was obie albo zrobił coś jeszcze gorszego, sądzą też, że twoja matka czuła, iż jej koniec jest bliski. Niezależnie od tego, co można myśleć i mówić o Wulfgarze, i bez względu na to, czy uważał was za pełnowartościowych wikingów, czy nie, chroniłby cię ciałem i życiem, i zabiłby każdego, kto zechciałby cię choć trącić palcem.

Tak, Katharina mogła to sobie wyobrazić. W przeciwieństwie do Erika jemu miecz był zawsze bliższy niż rozsądek.

- Ale co się działo z Erikiem? - Vera wypowiedziała myśli Kathariny. - Co za diabeł was podkusił, żeby zdecydować się akurat na Wulfgara - a nie na Erika?

- Nie było o czym decydować - odparła gorzko Edith. - Musiałyśmy się zwrócić do tego, kto był dla nas osiągalny - i mieć nadzieję, że później wszystko jakoś się ułoży.

-Jeśli już tak musiało być - zauważyła złośliwie Vera - dlaczego nie zwróciłyście się bezpośrednio do Wulfgara? Dlaczego poszłyście akurat do Ellsbusch?



Katharina napomniała ją spojrzeniem. Dlaczego czyniła Edith wyrzuty? Czy nie czuła, jak staruszka cierpiała od tych wspomnień?

Służąca uśmiechnęła się smutno. - Stał do obozu Wulfgara jest dzień drogi. Nigdy by nam się nie udało. Za to Ellsbusch był w naszym zasięgu.

- Ale skąd miałyście pewność, że akurat ten graf wam pomoże?

- dopytywała się Vera.

- Ponieważ był starym sojusznikiem Wulfgara - odpowiedziała Edith. -Wiedzieliśmy to od ojca Kary. Dlatego chcieliśmy najpierw tam poszukać schronienia.

Vera westchnęła. Czaiła się w tym rezygnacja. -Wierzyłyście, że gdy przyjdziecie do Ellsbuscha, ten pomoże wam zmiękczyć serce Wulfgara, apelując do ich przyjaźni? - roześmiała się złowieszczo.

- Nie bierz mi tego za złe, ale to naiwne. Miałyście mało doświadczenia z lokalnymi panami, co?

- Oszukał nas - powiedziała gorzko Edith. -Jednak, kiedy zdałyśmy sobie sprawę, że realizuje własne plany, było już za późno. - Gdy odwróciła się do Kathariny, jej wilgotne oczy lśniły, a głos wibrował od napięcia. -Twoja matka zmarła jeszcze tej samej nocy, moje dziec ko. Myślę, że serce jej pękło, gdy uświadomiła sobie, co zrobiła. Cu dem udało mi się uciec, ale i ja byłam ranna i chora. Dlatego też nie dotarło do mnie, co się z tobą stało. Wierz mi, oddałabym życie, żeby cię ratować, ale nie dało się.

Głos ostatecznie odmówił jej posłuszeństwa. Wygrała walkę ze łzami, ale nie miała już sił, by mówić dalej, Katharina sięgnęła więc po jej rękę, aby ją potrzymać i w ten sposób pocieszyć. Choć właściwie powinno być odwrotnie.

- A Guy de Pardeville czekał dziesięć lat, żeby zbić na tym kapitał? - dziwiła się Vera.

- O niczym nie wiedział - odrzekła Edith. - Dobrzy ludzie pielęgowali mnie, aż wyzdrowiałam, a potem znalazłam pracę na zamku Pardeville. Nie wiedział, kim jestem, a ponieważ dobrze znałam wasz język, nigdy przez te lata nie nabrał podejrzeń. Pomyślałam, że będę mogła na ciebie uważać, kiedy będziesz starsza... ale wszystko jeszcze pogorszyłam. Gdybym to ja zmarła tamtej nocy zamiast twojej matki!

- To nonsens! - zaprotestowała z oburzeniem Katharina. - Cóż złego uczyniłaś?

- To moja wina, że Pardeville dowiedział się o wszystkim - wyznała ze smutkiem Edith. - Głupia starucha, w chwili słabości wszystko wypaplałam. Nie chciałam tego, ale słowa tak szybko wychodzą z ust i nie sposób ich cofnąć.

- Opowiedziałas to Pardeville'owi? - stęknęła Vera.

- Nie jemu - odpowiedziała służąca, cicho, nie podnosząc wzroku - ale komuś, kogo darzyłam zaufaniem. Mojej jedynej, najlepszej przyjaciółce.

- Nikomu nie wolno ufać! - prychnęła kuglarka. - A tym, których uważa się za godnych zaufania już najmniej.

\*\*\*

Noc zdawała się wlec bez końca. Godziny ciągnęły się jedna za drugą, choć księżyc i gwiazdy z pozoru nie przesuwały się po niebie, zaś cisza z każdą minutą stawała się coraz intensywniejsza i bardziej przytłaczająca, niczym niewidzialna mgła, która osiadłszy na świecie, pochłaniała wszelkie dźwięki i utrudniała oddychanie. Nie spełniły się nadzieje Kathariny na to, że dowie się od starej służącej czegoś więcej o swej matce i jej losie. Edith wkrótce oddała się ponurym rozmyśleniom, najwyraźniej przytłoczona wspomnieniami i bólem, które ze sobą niosły, również Vera zamilkła, aż wreszcie zwinęła się w kłębek przy burcie, przymykając oczy. Dziewczyna została sama ze swoim strapieniem i ciszą. Dopiero, gdy pierwsza szarość świtu zmieszała się z szarą mgłą, która niczym las wrzcionowatych pal- ców czarownic podniosła się znad rzeki, Vera zbudziła się ze snu, lecz nie odezwała się ani słowem, tylko pokuśtykawszy na tył Heimdalla, pochyliła się ku wodzie, żeby się odświeżyć.

Katharina rozważała, czy nie zrobić tego samego, zaraz jednak pomyślała, jak zimna musiała być woda i poniechała ablucji.

Powstała i ograniczywszy toaletę do szerokiego ziewnięcia i jeszcze bardziej zamaszystego przeciągnięcia się, pobawiła się przez chwilę z kotami, po czym korzystając ze światła, po raz pierwszy obejrzała dokładniej łódź.

Zbyt wiele co prawda nie miała do oglądania. Heimdall był typową smoczą łodzią, podobną do statków Erika czy Fenrira, tylko krótszą i smuklejszą. Dziewczyna nie miała najmniejszego pojęcia o statkach, ale widziała, do czego były zdolne te szybkie bojowe łodzie i mogła sobie wyobrazić, jak szybki i zwrotny mógł być Heimdall.

Dokładniej rzecz biorąc, nawet nie musiała sobie tego wyobrażać.

Nie dalej jak kilka dni temu widziała go przecież na własne oczy.

Nagłość tego odkrycia sprawiła, że wyprostowała się, dysząc z przestachu i szybko obróciła za siebie. Znała ten statek! Przekonała się na własnej skórze, jakie to przerażające uczucie zobaczyć nadpływającą niczym łeb mściwego potwora morskiego, wyrzeźbioną na jego dziobie głowę smoka...

-Już myślałam, że w ogóle tego nie zauważysz.

Głos Very doszedł ją z przywiązanej do rufy Heimdalla łódki, słabo, ale nieustannie szarpiącej się na uwięzi. Katharina spoglądała na nią równie zdezorientowana co przestraszona, po czym zrobiła krok w jej kierunku i natychmiast przystanąła, żeby rozejrzeć się ponownie z przerażeniem. Jej oczy nie kłamały, podobnie jak pamięć, a jednak to było nie-mo-żli-we!

Była pewna, że nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku, a już na pewno nie zrobiła żadnego zdradliwego ruchu, ale kiedy się odwróciła do Edith, stara służąca spoglądała na nią zatrwożona.

- Co z tobą, moje dziecko? - zapytała.

Katharina nie odpowiedziała, lecz Vera zrobiła to za nią, zręcznie wyskakując z łódki.

- Ach, to nic - zakpiła. - Przypuszczam, że radość z ponownego spotkania odjęła jej mowę. To przecież miło spotykać starych przyjaciół.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Ach nie? - Vera wykrzywiła usta w niemiłym uśmiechu i gestem wskazała dookoła. - A więc to jest łódź, która osiadła tutaj na mieliźnie dziesięć lat temu? Myślę, że jak na taką, której cała załoga zginęła, jest w bardzo dobrym stanie... szczególnie po tak długim czasie.

- Ktoś ją znalazł i doniósł Pardeville'owi - wyjaśniła Edith.

- Kazał go odnowić, statek jest cennym dobrem.

- Szczególnie taki - zgodziła się Vera. Służąca zmarszczyła jeszcze głębiej czoło, a kuglarka celowo odczekała jeszcze moment, zanim dramatycznie gestykulując, podjęła wątek: - To właśnie ten statek zaatakował nas w drodze powrotnej z Bjarnisund.

- Heimdall? - Edith potrząsnęła impulsywnie głową. - Bzdura!

Dlaczego Wulfgar miałby...

- Kto mówi o Wulfgarze? - przerwała jej Vera. - To byli ludzie w ubraniach i z bronią wikingów, więcej nie dało się zobaczyć, bo jeszcze ostrzelali nas z łuków, do czego Normanowie zwykle ich nie używają.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zupełnie nic. - Vera teatralnym ruchem rozejrzała się dookoła.

- Sugerowanie, iż to nie robota wikingów, byłoby takim samym non- sensem, jak gdybym twierdziła, że ktoś zadał sobie trud, żeby w Hostenansis pozostawić ślady wskazujące na Wulfgara i jego ludzi.

To byłaby niedorzeczność, nieprawdaż? No bo niby dlaczego ktoś miałby coś takiego robić?

- Aby podsycić nienawiść do wikingów - podsunęła chmurnie Edith. - Tak, to by pasowało do Pardeville'a - stwierdziła, mimo to potrząsając głową. - Ale dlaczego w takim razie zostawili przy życiu was i barona?

-A na cóż się zda najpiękniejsze przedstawienie, jeśli nie zostanie nikt, kto by o nim opowiadał? - odparła kpiąco kuglarka. -Wierz mi, w sztuczkach i intrygach nikt nam nie dorówna. Baron zu Guthenfels pojawi się tutaj dziś z całą swoją armią, a najpóźniej jutro o świcie zaatakują obóz Wulfgara. Nie sądzę, żeby okazał wiele miłosierdzia, doświadczywszy na własnej skórze, do czego zdolni są ci krwiożerczy barbarzyńcy z północy. - Raz jeszcze gorzko się zaśmiała. - A jeśli nadal masz wątpliwości, stara przyjaciółko, to zadaj sobie pytanie, dlaczego nie zabrali Kathariny.

- Co? - mruknęła oszołomiona dziewczyna. - Myślisz, że Guy de Pardeville to wszystko... zainscenizował?

- Nie - odpowiedziała spokojnie Vera - nie sądę. Ja to wiem. I ty właściwie też powinnaś to wiedzieć, dziecko.

Katharina chciała odpowiedzieć - nie wiedziała jednak, co - lecz w tym momencie rozległ się trzask i szelest na brzegu ponad nimi i z krzaków wynurzył się roślak mężczyzna w jaskrawym ubraniu i z długimi do ramion czarnymi lokami.

- Porywająca mowa - powiedział kpiąco, klaskając. - Koniecznie ją zapamiętaj, siostra Moglibyśmy wpleść ją w nasze następne przed stawienie.

Szelest stał się głośniejszy i włochaty ciemny cień z jasną twarzą, śmignął w poszyciu, z przeraźliwym wrzaskiem skoczył na pokład i z jeszcze dzikszym piskiem i trajkotem jednym susem wpakował się na ramię kuglarki.

- Arden! - krzyknęła Vera, z niewielką zadyszka, gdyż usiłowała opędzić się od żywiołowych dowodów małpiej miłości. - Gdzie byłeś tak długo, do diabła? Już się bałam, że nigdy nie przyjdiesz! Znowu zabłądziłeś?

- Poskarż się u twojego małego szubrawca - odpowiedział Arden.

Równie zdecydowanie jak wcześniej Dwegr, jakkolwiek wolniej i mniej elegancko zaczął torować sobie drogę przez maskujące ich krzewy, wreszcie jednym skokiem, którym rozkołysał całą łódź, przedostał się na Heimdall.

- Twój mały przyjaciel miał niejakie trudności ze znalezieniem twojego tropu. Być może powinnaś rozważyć zamienienie go na psa.

Vera ściągnęła tylko szyderczo usta, ale Dwegr obnażył swoje małe, imponujące zęby i syknął na niego tak wściekle, jakby zrozumiał te słowa.

- Nie było łatwo - kontynuował Arden, płynnie przechodząc do powagi. - Okolica roi się od ludzi Pardeville'a, obracających każdy kamień i zagląających pod każdy krzak. Zdaje się, że wasza ucieczka trochę rozżłościła twego nowego adoratora, siostrzyczko. - Westchnął. - Krótko przed północą pojawili się w naszym obozie i przeszukali go tak gruntownie, jak wtedy gdy się potrzebuje pretekstu, żeby rozbić wszystko w drobny mak. Ale w końcu odeszli... nawet nikogo nie zabijając.

- Nikt za tobą nie szedł? - spytała Vera.

Mężczyzna wypuścił powietrze przez nos. - Czy słońce świeci w nocy?

- A reszta?

- Podążają wzdłuż Renu w naszym kierunku - odparł. - Razem z tym, co pozostało z naszego obozu. Skinął głową na prawo, w dół błotnistej rzeki. - Powinniśmy natrafić na nich przy ujściu, jeżeli zaraz wyruszymy. - Demonstracyjnie popatrzył dookoła. - Albo wziąć tę wspaniałą łódź. Podoba mi się. Skąd ją masz?

- Hojny dar od mojego nowego wielbiciela, hrabiego - odrzekła Vera. - Byłoby to właściwe zadośćuczynienie za wszystko, co zrobił...ale obawiam się, że w tej chwili nie możemy dać się zobaczyć na tym statku.

- Tak, myślę, że masz rację - westchnął Arden. - Choć naprawdę go szkoda. Zawsze chciałem mieć taki statek.

- Dzieciak z ciebie - bąknęła Vera, kręcąc głową, po czym uwolniwszy się z pewną trudnością od małpki, która nadal podekscytowana kłapała zębami, ciągnąc ją za włosy i twarz, zwróciła się do Kathariny. - Przykro mi, jeśli mój brat cię przestraszył. Wiem, powinnam cię ostrzec. Już wcześniej spodziewałam się jego nadejścia, ale nie chciałam ryzykować.

-Nie ufasz nam?

Jeszcze nie wypowiedziała tych słów do końca, a już sprawiły jej przykrość, ale jeśli uraziły Verę, to w każdym razie nic nie dała po sobie poznać.

- Gdyby znaleźli nas siepacze Pardeville'a, pewnie zdradziłybyście mojego brata i pozostałych, a wtedy byłoby już po nich wszystkich - odpowiedziała spokojnie.

Arden powiedział coś w języku niezrozumiałym dla Kathariny i roześmiał się, a Vera odpowiedziała w tym samym dialekcie, ale ostro, gniewnie marszcząc brwi, na co jej brat zamilkł i wołał kontynuować inspekcję statku.

Kuglarka patrzyła na niego z dezaprobatą, a potem podeszła bliżej Edith i Kathariny, żeby usiąść obok nich ze skrzyżowanymi nogami.

Siwowłosa służąca nie powiedziała jak dotąd ani słowa, lustrowała tylko na przemian Verę i jej brata. Przy tym zdawała się nie być zaskoczona. Widocznie Katharina rzeczywiście była jedyną, która o niczym nie wiedziała.

Odkrywszy koty na drugim końcu łodzi, Dwegr zerwał się z ramienia Very i zaczął na nie polować, trajkocząc w

podnieceniu.

- Najwyraźniej Bóg w końcu wejrzał na nas łaskawym okiem - zaczęła Vera, uznawszy chyba, że żadna z pozostałych nic nie po wie. - Albo Thor lub Wotan czy w kogokolwiek tam wierzyć.

- Bóg - ku własnemu zaskoczeniu dziewczyna usłyszała swoją zacietrzewioną odpowiedź. - Jesteśmy chrześcijanami. Wierzymy w tego samego Boga, co wy.

Vera zamruwała, być może bardziej zaskoczona gwałtownością jej reakcji niż słowami, ale po chwili wzruszyła ramionami i ciągnęła: - Nieważne. W każdym razie teraz nie musisz się już bać.

- Bo wszystko się ułoży? - zapytała szyderczo Katharina.

- Przynajmniej nie pogorszy - odrzekła kuglarka. - Arden i ja zaraz pójdziemy i ściągniemy pozostałych. Wydaje mi się, że tutaj jest dobre miejsce na przeczekanie, aż Pardeville i jego najemnicy znikną. Podczas gdy oni będą szli do boju przeciwko twojemu dziadkowi, my się spokojnie ulotnimy.

Wydawała się czekać na jakąś reakcję dziewczyny lub służącej.

Kiedy ta nie nadeszła, przechyliła głowę na bok i naraz stała się nieco podejrzliwa. - Nie masz z tym problemu, co? To znaczy chyba nagle nie odkryłaś w sobie uczuć rodzinnych wobec Wulfgara?

Na tę niedorzeczną myśl Katharina najchętniej by się roześmiała.

Zamiast tego patrzyła tylko na Verę z rosnącym pomieszeniem.

Rzeczywiście, słowa kuglarki wywołały w niej coś, co ją... wytrąciło z równowagi.

- A może jednak? - dociekała Vera wyraźnie zaniepokojona.

- Wojna nigdy nie jest dobra - odpowiedziała za nią Edith.

- Zginie wielu niewinnych ludzi.

- Masz na myśli niewinnego Guy de Pardeville'a? - prychnęła Vera. - Albo jego kupionych morderców? Albo niewinną zbójczą bandę Wulfgara?

- Ona ma rację - wstawiła się za nią Katharina. - Baron zu Guthenfels był dla nas dobry. Uratował nas - ciebie także. O mało co nie przypłacił tego życiem.

- Niewinni ludzie zawsze i wszędzie płacą życiem za błędy możnych - odpowiedziała lekceważąco Vera. - Nie daj się zwieść pozornej łaskawości Guthenfelsa, mała. On jest arystokratą, a ci są wszyscy tacy sami.

- Tak jak ja? - spytała Katharina. Vera zamruwała, a dziewczyna ciągnęła myśl: - Mówiąc ściśle, też jestem jakby królewską córką.

Kuglarka postanowiła puścić mimo uszu tę uwagę. - Jak myślisz, skąd mają władzę i bogactwa? Wszystkie ich ziemie i złoto zostały opłacone potem i krwią zwykłych ludzi! Jak często zasypiałaś, marznąc i z burczącym żołądkiem, dziecińo? Ilu z twoich przyjaciół umarło z głodu, podczas gdy panowie dogadzali sobie w swoich przytulnie ogrzanych zamkach?

- To był graf Ellsbusch! - obruszyła się Katharina. To było...

- ...co innego - Vera wpadła jej w słowo. Roześmiała się. - Raczej nie. Oni wszyscy są do siebie podobni, wierz mi! Być może Guthenfels nie jest tak zły jak inni, ale to jeszcze nie czyni go dobrym człowiekiem! - Pokręciła żywo głową. - Wiem o czym mówię, moje dziecko. Zawędrowałam już Bóg wie jak daleko na tym świecie i poznałam ich wszystkich, więc uwierz mi: oni są wszędzie tacy sami! Powinni się nawzajem pozabijać. Paru ludzi mniej, których musimy się bać!

Teraz to Katharinę zaskoczyła gwałtowność tego wybuchu. Już miała odpowiedzieć, kiedy Edith położyła jej szybko rękę na przedramieniu i pokręciła głową.

- Nikt nie wymaga, żebyś się w to mieszała, Vero - powiedziała.

- Ty i twój klan dość wycierpieliście za coś, za co nie ponosicie żadnej winy. Ale Kara ma rację, rozumiesz? Musimy wysłać baronowi ostrzeżenie, nie tylko, żeby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

Czy nie pragniesz ukrocić wreszcie wybryków Guy de Pardeville'a?

Jeśli miała nadzieję na przekonanie tym Very, to się myliła.

Kuglarka jedynie zapamiętała pokręciła głową, a jej oczy rozblęły wściekłością.

- A niechże się wzajemnie pozabijają - syknęła. -Wszystko mi jedno! Spodziewałabym się, że też tak pomyślisz, po dziesięciu latach spędzonych na dworze hrabiego. A może mówisz to tylko po to, żeby uspokoić swe sumienie, stara kobieto?

Edith wzdrygnęła się po tych słowach jak od ciosu i zacisnęła usta, żeby zdusić odpowiedź, jaka należałaby się kuglarce za tę bezczelność. Vera zerwała się na równe nogi, raz jeszcze spiorunowała wzrokiem Katharine i Edith, po czym z hardo odrzuconą w tył głową podeszła do brata.

- Bardzo mi... przykro - wymamrotała dotknięta Katharina.

- To podłe z jej strony. Nie powinna była tak mówić.

Edith nie odpowiedziała od razu. Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz; czy to smutku, czy czegoś innego, czego dziewczyna nie potrafiła dokładnie określić. - Może ona ma jednak rację - odezwała się w końcu staruszka.

- Brednie! - zaprotestowała Katharina.

- To, co mówi o możnych, nie jest pozbawione sensu - upierała się Edith - Jest jeszcze druga rzecz... Nie mogłybyśmy nic zrobić, żeby ostrzec barona. Pardeville zabiłby nas, zanim jeszcze byśmy się do niego zbliżyły.

- A Ansgar? - zapytała Katharina. - Wulfgar ma go w swoich rękach! A co, jeśli w czasie ataku coś mu się stanie lub zostanie zabity?

To mój brat!

- Dla którego nic nie możesz uczynić, moje dziecko - powiedziała smutno Edith. Uniosła nieznacznie głos, zanim Katharina zdołała odpowiedzieć. - Nawet, gdybyś chciała. Obóz Wulfgara znajduje się blisko dzień drogi stąd w dół rzeki. Przybyłabyś o wiele za późno, pomijając to, że nigdy nie dostałabyś się tam niezauważona, bo jest dobrze strzeżony.

Dziewczyna zastanawiała się, skąd właściwie staruszka wiedziała to tak dokładnie, skoro przecież -wedle jej własnych słów- nigdy tam nie była, ale nie dostała szansy na ubranie tego w słowa, bo w tejże chwili wróciła Vera i nienaturalnym odchrząknięciem poprosiła o uwagę. Katharina uniosła ku niej skrzące się wyzywająco oczy, przygotowana na potok nowych zarzutów i głupstw, zdeterminowana tym razem odpowiednio na nie odrzec.

Jednak wyraz twarzy Very uległ zmianie. Wyglądała teraz na niemal zażenowaną, a przemówiła dopiero po kolejnym odchrząknięciu.

- Chciałam... przeprosić - powiedziała. - Przykro mi. Byłam niesprawiedliwa.

-Jak to w życiu bywa - odpowiedziała z łagodną drwiną służąca.

Vera przyjęła tę małą naganę bez reakcji. - Mimo to musimy zdecydować, co robimy - ciągnęła, zwracając się do Katharine. - Arden i ja wyruszamy, żeby sprowadzić pozostałych. Zostaniemy tutaj, póki nie minie najgorsze. Dzień lub dwa, aż postanowimy, dokąd się udamy. Możesz z nami zostać, Katharino, jeśli chcesz. Ty- dodała, zwracając się do Edith - naturalnie też.

-Ja? - Stara kobieta ze smutnym uśmiechem pokręciła głową. - Co ja bym robiła z wagabundami?

Vera spojrzała na nią poważnie i nie odpowiedziała, ale Katharina widziała po jej minie, że prawdopodobnie myślała tak samo; tylko dokąd w takim razie Edith chciała pójść? Była staruszką, która nic nie posiadała i nikogo nie знаła, i nie było już niczego, do czego mogłaby wrócić. Vera oszczędziła sobie jednak wypowiedzania tego na głos i zwróciła się do dziewczyny: - Nie musisz decydować natychmiast. Będziemy potrzebować pewnie ze dwóch godzin, żeby znaleźć innych, a jeszcze więcej cza su zajmie powrót. Będziecie miały czas, żeby w spokoju naradzić się we dwie. Przemyślcie to. Życie z nami nie jest najgorsze. Wędrujemy przez świat, a w każdym mieście jest coś do odkrycia i nowi ludzie do poznania.

Katharina przypomniała sobie, jak nie tak dawno temu opowiadała jej o zupełnie innej stronie ich wolnego życia, ale przemilczała, Vera zaś mówiła dalej: - Pewnie kiedyś ruszymy także na północ.

Może to potrwać rok albo dłużej, ale zawsze chcieliśmy zwiedzić wielkie miasta na wybrzeżu. Stamtąd do waszej ojczyzny nie jest już daleko. - Wzruszyła ramionami. - Radźcie w spokoju, dopóki nie wrócimy. A wtedy - dodała jeszcze ze sztucznym uśmiechem - przede wszystkim będzie coś do jedzenia. Umieram z głodu, pewnie czujecie się tak samo.

Znowu czekała na jakąś odpowiedź, a nie uzyskawszy żadnej, odwróciła się i oboje z bratem bez słowa opuścili łódź.

Edith poczekała, aż Heimdall przestanie się trząść jak koń, który w końcu zrzucił nielubianego jeźdźca. - Tych dwoje to dziwna para - westchnęła. - Ale Vera w głębi serca jest dobrą kobietą. Powinnaś rozważyć jej propozycję. Jest nie najgorsza.

Mam po prostu uciec od przeznaczenia? - pomyślała Katharina.

Dlaczego Edith to powiedziała? Czyż jej własny los nie był wystarczającym dowodem na to, że jest to niemożliwe?

- A ty? - zapytała.

Służąca spojrzała na nią, jakby nie zrozumiała pytania.

- Poszłabyś ze mną?

- Nie - odparła z uśmiechem Edith. - Nie dla mnie życie wagabundów, moje dziecko. Nie mogłabym tak żyć. Byłabym dla nich tylko ciężarem.

- Ale dokąd w takim razie chcesz pójść? - spytała Katharina.

- Nie martw się o mnie - nalegała służąca. - Dałam radę dotrzeć tutaj z drugiego końca świata i przeżyć dziesięć lat na dworze najgorszego człowieka, jakiego możesz sobie wyobrazić. To kolejny sztorm, przez który muszę pożeglować.

Katharina nic na to nie rzekła, ale czuła, że Edith kłamie. To, co powiedziała, nie było tym, co myślała. Droga staruszka dobiegła tutaj końca, może nie w tej godzinie i nie w tym bagnie, ale już wkrótce.

Na zamku Pardeville czekała ją pewna śmierć, a gdzie indziej przepędzono by ją albo uczyniono jeszcze gorsze rzeczy, była przecież stara i słaba, nikomu niepotrzebna. Być może, pomyślała ze smutkiem, Vera z jej niesprawiedliwym oskarżeniem bardziej zbliżyła się do prawdy, niż to przeczuwała. Edith musiała wiedzieć, co robi, już kiedy uwalniała kuglarke i ją, i nie była na tyle głupia, żeby nie uświadamiać sobie konsekwencji swoich czynów. Z pewnością nie były to wyrzuty sumienia, jak jej to zarzuciła Vera.

Być może był to sposób Edith na odpokutowanie.

Katharina nic z tego wszystkiego nie wypowiedziała, ale ogarnęło ją uczucie głębokiego żalu, bo zdała sobie nagle sprawę, że również ta poczciwa stara kobieta zapłaci za to, że ona, Katharina, po prostu istniała. Ile cierpienia, ile nieszczęścia zostałoby oszczędzone tak wielu ludziom, gdyby nigdy się nie narodziła?

Przemogła się i zmusiła do lekko zboląlego uśmiechu i odpowiedniego tonu w głosie. - Być może wcale nie będziemy musiały podejmować tych wszystkich decyzji - powiedziała. - Do tego czasu prawdopodobnie umrę z głodu.

Edith popatrzyła na nią podejrzliwie, a potem wykonała żalosny gest. - Gdybym miała jakiś sznurek, mogłabym spróbować złapać jakąś rybę.

Katharina ostentacyjnie pociągnęła nosem. - Nie sędzę, żebym chciała jeść rybę, która żyje w tej wodzie.

Nieufność ponownie zagościła w oczach służącej, tym razem na dłużej. - Mogłabym... spróbować znaleźć kilka jagód - dodała z wahaniem. - Istnieje też mech, który można jeść. Niezbyt przyjemnie smakuje, ale wypełnia żołądek.

- Myślę, że w tej chwili zjadłabym nawet drzewo - odpowiedziała Katharina.

Z tą uwagą chyba przesadziła, bo wzrok Edith stał się wprost świdrujący., jednak po chwili staruszka skinęła głową i wstała z cichym stęknieniem. Jej stare stawy trzasnęły jak suche gałęzie.

- Zobaczę, czy coś znajdę - powiedziała. - Ale nic nie mogę ci obiecać. Tutaj jest bagno, a nie las... chyba że lubisz ropuchy i węże.

- Lepsze one niż surowe drzewa - zapewniła dziewczyna.

Edith nie roześmiała się, tylko obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem, ale już bez słowa odwróciła się i niezdarnie zeszła z pokładu.

Utorowanie sobie drogi przez gęste krzaki, w których ukryta była łódź, wymagało od niej znacznego wysiłku, a kiedy dotarła na szczyt skarpy, zatrzymała się raz jeszcze i popatrzyła na Katharinę. W końcu jednak odwróciła się i zniknęła z szelestem w zaroślach.

Katharina przez kilka minut siedziała bez ruchu i nasłuchiwała.

Tak jak w nocy, las nie wydawał się spokojny. Wszędzie coś szeleściło, trzeszczało i bulgotało, przez chwilę jeszcze słyszała kroki odchodzącej Edith, aż w końcu i one ucichły. W końcu wstała, podeszła do niskiej burty po przeciwnej

stronie, zwalczyła instynktowny wstręt do wody i przyjrzała się bliżej rzece.

Nie była wcale tak szeroka, jak się zdawała nocą; może na dwa tuziny kroków, a niewiele dalej w dół rzeki jeszcze się zwężała. Jej zaskakująco spokojna powierzchnia lśniła jak jezioro z głęboko czarnej smoły tam, gdzie padało na nią poranne światło słońca, ale nawet tutaj czuła wznoszące się od wody lodowate tchnienie.

Wzdrygnąwszy się i odwróciwszy, Katharina rozglądała się przez chwilę, czegoś szukając, po czym poszła na dziób, żeby zabrać Hugina i Munina. Oba koty, mrucząc, rzuciły się natychmiast ze swoimi szorstkimi językami do jej dłoni, zaraz jednak zaczęły popiskiwać z zaskoczenia, a wreszcie w proteście, kiedy je włożyła do koszyka. Od razu podjęły próby wydostania się, lecz Katharina delikatnie, acz stanowczo wsunęła je z powrotem do środka i drapiąc po główkach, jedną ręką je przytrzymała, a drugą sięgnęła po plecioną pokrywę.

- Przykro mi, maluchy - powiedziała. - Niechętnie was porzucam, ale tutaj będziecie w dobrych rękach, wiercie mi. Vera zatroszczy się o was, wasz przyjaciel Dwegr też tutaj przecież jest.

Hugin - a może Munin, ciągle jeszcze ich nie rozróżniała - miauczał z takim wyrzutem, jakby zrozumiał te słowa, a Katharina poczuła nagłe pieczenie w oczach, więc pośpiesznie położyła na koszyczku pokrywę i przywiązała ją na supeł, a wtedy ostatecznie uległa łzom.

Szybko zrzuciła z siebie płaszcz, stanęła jedną nogą na niskiej burcie i wprowadziła w czyn swoje postanowienie (zanim zdążyła je ująć w myśl i zrozumieć, jak było szalone) i potężnym skokiem na szczupaka zanurkowała w wodzie.

Pomyliła się od razu pod dwoma względami. Woda była stokroć chłodniejsza, niż się obawiała, i zimno wprawdzie nie odebrało jej tchu, lecz zmroziwszy krew w żyłach, natychmiast zaczęło wysysać z jej kończyn resztki sił.

Na swoje szczęście myliła się także pod innym jeszcze względem: rzeka była dalece węższa, niż sądziła. Już, kiedy wynurzyła się po swoim odważnym skoku, pokonała ją w ponad połowie, a prąd nie tylko zabierał ją ze sobą w dół rzeki, lecz niemal równie szybko znosił na drugi brzeg. Katharina starała się zaczerpnąć powietrza, a zarazem niezgrabnie naśladować ruchy pływania, jakie obserwowała u innych, ale to ostatnie okazało się wcale nie tak proste, jak jej się zdawało; to pierwsze zaś zakończyło się napadem bolesnego kaszlu, gdyż połknęła cuchnącą stęchlizną wodę. Natychmiast wypadła z rytmu, ostatecznie spanikowała i dała się ponieść nurtowi, który wciągał ją pod wodę. Coś drasnęło ją boleśnie wzdłuż biodra, a następnie wzdłuż kolan, a coś innego uderzyło w brzuch z impetem pięści, aż krzyknęła z bólu i zaskoczenia... a przynajmniej spróbowała. Z tym jednym wszakże rezultatem, że uszła z niej ostatnia drobina drogiego powietrza i połknęła jeszcze więcej wody.

Katharinę przeniknął paniczny strach, uderzała wokół siebie i wierzała, jakby odchodząc od zmysłów, na domiar złego straciła teraz orientację, tak iż nawet nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Tylko dzięki łutowi szczęścia przez rozpaczliwe wierzganie wydostała się na powierzchnię wody, zamiast jeszcze głębiej zanurkować.

Wreszcie udało się jej przebić nad powierzchnię, prychając i ciężko dysząc. Zdołała nie tylko zaczerpnąć pojedynczy, nieskończenie cenny haust powietrza, ale też zobaczyć kątem oka, że jest blisko brzegu. Wiosłując jak pies i kopiąc w wodę, posuwała się dalej, aż nagle pod dłońmi i kolanami poczuła muł naszpikowany kamieniami o ostrych krawędziach i ostatkiem sił powlokła się do brzegu, gdzie upadła z sapnięciem, a potem przez długie minuty wdychała i wydychała powietrze, zmagając się z omdleniem pozerającym jej myśli.

Powoli *wróciła* jej świadomość, a pierwszą prawdziwie klarowną myślą była ta, że popełniła nie tylko bez wątpienia największe, ale i o włos także ostatnie głupstwo w życiu. A wyglądało na takie łatwe: odważny skok do rzeki, żeby dać się ponieść jej nurtowi na przeciwległy brzeg. To, że panicznie bała się wody, w zasadzie tylko pogorszyło sprawę; kiedyś jakaś szalona jej cząstka najzupełniej poważnie wmówiła sobie, że wystarczy jedynie przezwyciężyć strach, aby pokonać także wodę. W istocie miała więcej szczęścia niż rozumu.

Może jednak opłacało się stanąć po stronie Very, a nie Boga.

Katharina zrobiła kwaśną minę, gdy zdała sobie sprawę, jak niemądra to była myśl, po czym z wysiłkiem uniosła się na łokciach i dopiero wtedy zauważyła, że jej stopy leżały jeszcze w lodowatej wodzie. Prędko podciągnęła kolana i usiadła.

- Jak na kogoś, kto śmiertelnie boi się wody, to było nader śmiałe.

Wydając zduszony krzyk, dziewczyna podskoczyła na równe nogi i odwróciła się, a Edith kontynuowała, marszcząc czoło z potępieniem: - Ale też całkiem głupie.

Katharina wybałuszała na nią oczy. - Edith? - Ale skąd... jak...?

- wyjąkała.

- Powinnaś wziąć kilka lekcji u swojej przyjaciółki, Kara - odpowiedziała Edith. - Jesteś złą aktorką. Czy naprawdę myślałaś, że będę szukać grzybów, podczas gdy ty pomaszczujesz uratować świat?

- Ale jak... tu przeszłaś? - spytała Katharina. Po czym ni stąd, ni zowąd rozzłościła się. - Przez cały czas wiedziałas, co zamierzałam?

- Że nie będziesz po prostu siedzieć z założonymi rękami?

- służąca skinęła głową. - Znałam twoją matkę, zapomniasz? Jesteście bardzo do siebie podobne. Była tak samo odważna jak ty, ale nie zawsze rozsądna. Co zamierzałaś? Ostrzec Guthenfelsa czy w pojedynkę wziąć szturmem obóz Wulfgara i przemocą uwolnić brata?

Dziewczyna zlekceważyła to pytanie. - Wiedziałaś o tym i całkiem spokojnie przyglądałaś się, jak tonęłam?

- Obiecałaś na mnie czekać - odparła Edith beznamietnym to nem. - Poza tym, nikt nie topi się w wodzie po pas... chyba że się uprze, żeby w niej pływać, choć wcale tego nie potrafi.

Katharina spojrzała na nią i chciała już coś odrzec, gdy spostrzegła, że suknia i płaszcz Edith przemokły aż do bioder.

- Och - bąknęła. - Ta woda jest...?

- Nie głębsza niż na cztery stopy - dokończyła staruszka. - Kawałek w górę rzeki nawet płytsza. Nie martw się, nie utonęłabyś. Miałam cię cały czas na oku. Ale uznałam, że zasłużyłaś na lekkie ostudzenie zapałów.

-Jak to? -Jeśli to było lekkie ostudzenie zapału, to wolałaby nie ściągać na siebie prawdziwej wrogości Edith.

- Dlaczego mi nie ufasz, dziecko? - odparła służąca. - Czy naprawdę sądziłaś, że zostawiłabym ciebie i twojego brata na lodzie?

W Katharinie odezwały się wyrzuty sumienia, więc zamiast ostrej odpowiedzi, którą miała na końcu języka, wydusiła z siebie nieśmiały uśmiech zakłopotania. Poza tym było jej tak piekielnie zimno, że musiała wyęczać wszystkie siły, żeby nie szczekać zębami.

- Chcesz pomóc swojemu bratu - ciągnęła Edith - ale to niemożliwe. Obóz Wulfgara jest zbyt daleko. Nigdy nie dotarłybyśmy tam na czas. Ale możemy zrobić coś innego.

- Co takiego? - zapytała Katharina.

Dlaczego miała wrażenie, że wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi?

- Możemy spróbować ostrzec barona - odpowiedziała staruszka.

- Ale jak?

- Posiłkując się tym - odpowiedziała Edith, wskazując ponad rzeką na Heimdalla.

Katharina jęknęła.

- Nie... mówisz tego poważnie! - wykrzyknęła.

Edith zrobiła obrażoną minę. - Czy ja wyglądam, jakbym żartowała?

Naturalnie nie zabrały smoczkiej łodzi, tylko małą łódkę z wiosłami, przycumowaną do jej burty, ale staruszka przez długi czas nie kryła rozbawienia ze zbaraniałej miny Kathariny. Nie powstrzymała się także od przejścia na jej oczach w bród przez rzekę, w której dziewczyna przed chwilą prawie utonęła. Pokazała jej, jak się obchodzić z jednym z dwóch wioseł, nie skapiąc jej przy tej okazji, ma się rozumieć, drwiących uwag, i wypływały.

Kiedyś jednak nawet najostrzejsze ostrze się tępi, więc i Edith, gdy już trzykrotnie postawiła każdy zarzut, każdą ironiczną uwagę powtórzyła pięciokrotnie i udzieliła tej samej nagany co najmniej sześciokrotnie, dała w końcu spokój, ograniczając się do jej lustrowania drwiącym wzrokiem. Katharina przez cały czas ani razu nie wyraziła sprzeciwu (niby po co? tylko by się ośmieszyła), ale dużą część podróży spędziła na układaniu w myślach długiej listy obelg, którymi się przy sposobności odwzajemni.

Ponadto spożytkowała ten czas na dokładne rozpatrzenie się i zapamiętanie każdego szczegółu otoczenia - tak na wszelki wypadek.

Za dnia bagno przedstawiało nie mniej niesamowity widok niż nocą.

Niskie, sękatte drzewa wyglądały jak skarłowaciałe olbrzymy, które zebrałszy się nad wodą, żeby się napić, skamieniały w ruchu. Cienie między nimi robiły na dziewczynie wrażenie głębszych, niż być powinny, a cała roślinność



zdawała się jakaś... lepka, jakby od dawna już gniła, nie trawiąc się jednak przy tym. Nawet te nieliczne drobne zwierzęta, które nie uciekały wystarczająco szybko, by uniknąć ich spojrzeń, sprawiały wrażenie nierealnych i niesamowitych.

- Dziwne miejsce, prawda? - spytała Edith, której uwadze nie uszły spojrzenia Kathariny - Nic dziwnego, że ludzie opowiadają sobie o nim niestworzone historie.

Zanim odpowiedziała, Katharina zanurzyła wiosło w wodzie i przeciągnęła je mocnym ruchem, jak pokazała jej Edith. Już rozbolały ją ramiona i kark, chociaż dopiero od niedawna były w drodze. - Może są ku temu jakieś powody - powiedziała zadyszana.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby tu były potwory.

- Potwory? - Służąca powtórzyła to słowo, jakby Katharina powiedziała coś śmiesznego. Potem potrząsnęła głową. - Jestem starą kobietą, moje dziecko, i wiele już widziałam na tym świecie. Tak przedziwne rzeczy, że nie dałabym mi wiary. Ale jedyne potwory, jakie napotkałam, miały dwie nogi i nosiły broje i broń.

- Teraz zabrzmiał jak Vera - stwierdziła dziewczyna.

- Może dlatego, że ona ma swoje racje - odparła Edith. Katharina obserwowała z delikatnym ukłuciem zazdrości, jak staruszka bez najmniejszego wysiłku zanurza wiosło w wodzie i je przeciąga.

- Twoja przyjaciółka jest zgorzkniała, ale nie bez powodu. Kto wie, co jej w życiu wyrządzono?

- Ale przecież człowiek nie może być zły tylko dlatego, że się szlachetnie urodził!

Edith roześmiała się. - Czy już ci mówiłam, że jesteś bardzo podobna do matki, dziecko?

- Wielokrotnie - nastroszyła się Katharina.

- Ona też zawsze starała się widzieć w ludziach tylko dobro - odparła Edith. - Zapłaciła za tę naiwność wysoką cenę. Sądzę, że powiedziałałaby to samo co ty. Nikt nie jest zły tylko dlatego, że urodził się możnym. Jednak władza sprowadza ludzi na manowce, wiesz?

Kiedy ma się wpływy, rodzi się pokusa, żeby brać, co się chce, bez względu na to, czy to do ciebie należy, czy nie.

- Nie wszyscy są tacy - obstawała przy swoim wikinka.

Edith chciała zaprzeczyć, lecz tylko westchnęła cicho i spojrzała na nią w nowy, trudny do określenia sposób. -Jeśli przeżyjemy, moje dziecko - powiedziała po chwili - i wrócisz do swojej rodziny, to pewnego dnia też się będziesz zaliczać do możnych.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała podejrzliwie Katharina.

- Być może otrzymasz szansę, żeby postąpić lepiej i udowodnić, że się mylę - odpowiedziała Edith. - A poza tym...

Urwała w pół słowa, przestała na moment wiosłować i przechyliła na bok głowę, nasłuchując. Naraz ze zdwojoną siłą zanurzyła wiosło, tak iż łódka zauważalnie zadrżała.

- Szybko! - syknęła. - Wiosłuj, ile możesz!

Dziewczyna nie wiedziała wprawdzie dlaczego, ale posłusznie chwyciła mocniej za wiosło i spróbowała dotrzymać Edith tempa, co wszakże nie bardzo jej się udawało. W rezultacie łódź wcale nie przyspieszyła, za to obrała chybotliwie wężowaty kurs, który kilkakrotnie przywiódł je niebezpiecznie blisko brzegu, tak że staruszka musiała interweniować. Poza tym jednak Katharina nie zobaczyła ani nie usłyszała nic, co mogłoby być przyczyną wzmożonej nagle czujności Edith. Zaczęła już tracić wiarę w zmysły starej służącej, gdy raptem rzeka stała się szersza, a zarazem tak płytką, że teraz wiosła dotykały czasem błotnistego dna.

Jakże była rada w następnej sekundzie, że usłuchała Edith.

Przed nimi przepływał Ren, szeroki jak morze i z nurtem, przynajmniej w jej wyobraźni, tak rwącym, że musiał każdy, nawet solidnie zbudowany statek, roztrzaskiwać na drzazgi, o małej łódce, w jakiej siedziały, w ogóle nie wspominając. W miejscu jednak, w którym dopływ wpadał do rzeki, było najwyraźniej bardzo płytko, gdyż ujrzała, jak całe pół tuzina kolorowo ozdobionych wozów, ciągniętych przez woły albo chude konie, przetaczało się w tym właśnie momencie przez bród.

Potem wszystko potoczyło się zbyt szybko, żeby mogła sformułować choć jedną myśl - jak się okazało, po prostu dopisało jej szczęście. Katharina nie znalazła nawet czasu, żeby się porządnie przestraszyć, kiedy łódka popędziła ku

jednemu z wozów, grożąc zderzeniem, i - dosłownie - o mały włos rozplątałyby burtę o jego tylną część, gdyby Edith nie zanurzyła wiosła i w ostatniej chwili nie wprowadziła rozstrzygającej poprawki kursu. Katharina wykrzyknęła ze strachu i omal nie upuściła wiosła, ale szczęściem go minęły i pędziły teraz jak strzała na środek rzeki. Dziewczyna rzuciła przelotne spojrzenie na jakieś twarze, wpatrujące się w nie w osłupieniu, i wydawało się jej, że usłyszała, jak ktoś wykrzykiwał jej imię, ale już w następnej chwili odpłynęły zbyt daleko. Porywał je prąd wielkiej rzeki, jeszcze przyspieszając łódź.

- Było blisko - westchnęła Edith. - Nie sądziłam, że dotarli tu tak szybko.

Katharina na wszelki wypadek wciągnęła wiosło łodzi i przycisnęła je do siebie, zanim zdołało jej się wymknąć na dobre i bezpowrotnie zniknąć w rzece. Dopiero wtedy - bardzo ostrożnie - odwróciła się i popatrzyła na małą karawanę w tyle. Przestraszyła się trochę, widząc, jak daleko się posunęły w ciągu tych kilku chwil, a chociaż jeszcze nigdy nie widziała tych wozów, nie potrzebowałyby wyjaśnień służącej, żeby je rozpoznać. Były tak barwne i cudaczne, jak ich właściciele; nabrała teraz pewności, że wcześniej usłyszała głos Very, wołającej ją po imieniu.

- Dlatego tak się śpieszyłaś? - zapytała Katharina.

- Nie byliby zachwyceni, gdyby się dowiedzieli, co zamierzasz.

- Zamierzamy - poprawiła ją wikinka. - Ale dlaczego?

- Igrasz nie tylko ze swoim życiem, moje dziecko - odpowiedziała Edith. - Jeśli uda nam się ostrzec Guthenfelsa, Guy de Pardeville może zacząć kopać sobie grób - jeżeli zostanie mu na to dość czasu.

Zabije każdego, kto może mu zagrażać. - Potrząsnęła głową, jakby Katharina chciała jej zaprzeczyć, czego wcale nie zamierzała. - Nie możesz oczekiwać, że Vera i cała jej rodzina będą ryzykować życie, by prowadzić twoją wojnę, moje dziecko.

- Ale ja wcale tego nie... - zaczęła z oburzeniem dziewczyna i zaraz urwała w pół zdania, napotkawszy wzrok Edith. Oczywiście spodziewała się tego. Nigdy nie wypowiedziałyby tego głośno, ale w głębi serca po prostu to założyła.

- Rozumiesz teraz, co miałam na myśli? - spytała służąca.

- Nie - odparła szczerze Katharina.

- Gdyby było to w twojej mocy, zmusiłabyś ją, żeby ci pomogła?

- Oczywiście że nie!

- Ale nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby Guthenfels natarł na obóz Wulfgara i przemocą uwolnił twojego brata?

- Jeśli nie ma innego sposobu... - odpowiedziała nieswojo Katharina. Dlaczego miała poczucie, że Edith wciąga ją w pułapkę?

Chwilę później, odpowiedziała sobie na to pytanie: ponieważ staruszka właśnie to robiła.

- Wierzysz, że wszyscy ci mężczyźni dobrowolnie i z uśmiechem na ustach ruszyliby do walki na śmierć i życie, żeby uwolnić jakiegoś chłopca, którego nawet nie znają, a który ściśle biorąc należy do plemienia ich wrogów? - zapytała Edith. - Mężczyźni, którzy mają w domu żony i dzieci? Co powiedziałybyś ich żonom, kiedy by się dowiedziały, że ich mężowie już nie wrócą, albo dzieciom, gdyby cię zapytały, za co zginęli ich ojcowie? Powiedziałybyś, że zginęli za coś ważnego dla ciebie?

Katharina nie знаła na to odpowiedzi, ale starsza pani zdawała się nie oczekiwać żadnej, bo zanurzyła wiosło z powrotem do wody i ruchem głowy kazała dziewczynie zrobić to samo - jakby to było konieczne! Łódź nadal mknęła przed siebie jak wypuszczona z cięci- wy strzała i jak na Kathariny gust nie było naprawdę potrzeby, żeby jeszcze przyspieszały.

Znowu doszło do jej świadomości, jak daleko w stronę środka rzeki zniósł je nurt i jakie przerażające masy wody je teraz otaczały.

Jej strach (o którym po prostu zapomniwała) znowu się odezwał i z trudem udawało jej się utrzymać go w ryzach. Lub przynajmniej wmawiać sobie, że to robi.

- Nie musisz się bać - odezwała się nieoczekiwanie Edith. - Ta łódź jest bezpieczna. Obejrzałam ją dokładnie, kiedy spałaś. Cieśle Pardeville'a wykonali dobrą robotę.

Czy tak wyraźnie było po niej widać jej uczucia? Służąca skinęła. - Kawałek dalej przed nami nurt słabnie - powiedziała - i tam też zejdziemy na brzeg.

- Tak znowu przestraszona nie jestem - oświadczyła Katharina, lecz Edith przerwała jej ruchem głowy i przelotnym matczynym uśmiechem.

- Po pierwsze, to nieprawda - powiedziała - a po drugie, nie robimy tego z twojego powodu. - Wskazała głową w kierunku, w którym ciągle jeszcze z impetem ciskała je rzeka. - Obóz Wulfgara znajduje się już tylko kilka godzin stąd, przynajmniej przy prędkości, z jaką teraz płyniemy. Ale w połowie drogi jest zdradliwa mielizna.

- Więc boisz się, że możemy na niej osiąść?

Edith zaśmiała się dobroduszenie.

- Nie - powiedziała. - Ale każdy statek, który tamtędy przepływa, musi nie tylko spowolnić podróż, ale również zbliżyć się do brzo gu. Poczekamy tam na Guthenfelsa i jego ludzi. Kiedy cię rozpozna, to się zatrzyma i zabierze nas na pokład, a ty będziesz mogła opowiedzieć mu całą historię.

Dokładnie tak jak przewidziała Edith, rzeka po chwili zwężyła się, ale, o dziwo, również uspokoiła, jakby część wody wsiąkała tutaj gdzieś pod łódką. Nurt stracił rwącą moc i już wkrótce niósł je tak niespiesznie, iż teraz musiały używać wiosł nie tylko do kierowania łodzią, by nie dać się znieść na środek rzeki, ale także, żeby się posuwać. Po krótkim czasie minęły po raz wtóry ruiny spalonego Ellsbusch, a wtedy rozpostarła się między nimi nieprzyjemna cisza, jakby ten widok nie tylko w Katharinie rozbudził złe wspomnienia.

Dobłą godzinę po tym, jak zniknęły za nimi zwęglone dachy wyrżniętej wsi, dziewczyna zauważyła nieopodal dziwne zmarszczki na powierzchni wody, na pozór pośrodku niczego. Na jej pytające spojrzenie Edith dała znak, żeby powiosłować bliżej brzegu i trochę zwolnić. Choć Katharina powątpiewała, żeby płycizna naprawdę mogła zagrozić tak małej łodzi, minęły piaszczystą łacę w pełnej respektu odległości i z wielką ostrożnością, po czym odetchnęła z ulgą, kiedy wzięły wreszcie kurs na brzeg i poczuła twarde gruntu pod nogami.

Pomogła służącej zacumować łódź pod zwisającym krzewem i tak ją zamaskować, żeby przynajmniej przy przelotnym spojrzeniu w jej stronę nie została od razu odkryta. Następnie wycofały się na tyle głęboko w las, żeby wciąż obejmować wzrokiem znaczną część rzeki, pozostając przy tym niewidoczne, po czym Edith wskazała jej znużonym gestem, aby usiadła.

Katharina posłuchała nad wyraz chętnie, bo i tak już czuła, że ledwie trzyma się na nogach. Każdy mięsień powyżej bioder bolał ją nieznośnie, a całe ciało zdawało się przemieniać w ołów. Ogarnęło ją zmęczenie, jakby nie spała od tygodnia; zdawało się jej, że od chwili, kiedy jadła ostatnim razem, upłynęło co najmniej dwa razy tyle czasu. Nawet nie domyślała się, jak wyczerpujące mogło być coś tak prostego jak wiosłowanie.

Niemniej, poruszyło się w niej sumienie, gdy spojrzała na twarz Edith, bo uświadomiła sobie, że staruszka była co najmniej tak samo wyczerpana jak ona, za to przynajmniej pięć razy starsza.

- Co teraz? - wymamrotała.

- Teraz - odpowiedziała Edith - pójdę do lasu i poszukam czegoś do jedzenia. Tutaj jest na pewno coś więcej niż trujące ropuchy i zgniłe grzyby.

- Nie jestem głodna.

- Kłamczucha. Ale jeśli nie chcesz, nie musisz jeść. Poszukam czegoś dla siebie w takim razie. Miej baczne oko na rzekę, póki nie wrócę, na wszelki wypadek.

Katharina nie miała nawet czasu, żeby zapytać, o jakim wypadku mówiła, bo służąca zniknęła w zaroślach. Następną rzeczą, którą pamiętała, była ręka staruszki potrząsająca ją za ramię i jej karcące spojrzenie.

- To tyle, jeśli chodzi o twoją obietnicę trzymania oczu szeroko otwartych - powiedziała.

Katharina nie mogła sobie przypomnieć, żeby składała taką obietnicę, ale była zbyt zmęczona, żeby zwrócić Edith na to uwagę.

-W każdym razie mi się udało. - Starsza pani wskazała na to, co przyniosła z lasu: kilka garści jagód, trochę grzybów i korzeni wyglądających jak skostniałe robaki, o których dziewczyna wiedziała, że są jadalne. Ku jej zaskoczeniu staruszka upolowała jakieś małe zwierzę, choć nie wiadomo jakie, bo już je oprawiła. - Ach, ty przecież nie jesteś głodna. Będę musiała sama to wszystko zjeść... całkiem tego sporo. Ale nienawidzę marnować dobrego jedzenia. To sprzeczne z naturą.

- Już dobrze - sennie wybąkała Katharina. Podniosła się z mozołem, starła z oczu senność i wykrzywiła twarz, gdyż nawet ten niewielki ruch wywołał kłujący ból w mięśniach ramion. Edith uśmiechnęła się, nie kryjąc złośliwej radości, po

czym usiadła obok i zjadła kilka jagód.

- Wcale niezłe - powiedziała. - W każdym razie smakują lepiej niż duma.

Katharina bez rezultatu usiłowała spiorunować ją wzrokiem, znowu ziewnęła, po czym rozstrzygnęła konflikt między dumą a wulgarnym głodem na korzyść tego ostatniego. Jagody i grzyby smakowały pysznie (głód, jak wiadomo, jest najlepszym kucharzem), korzenie tylko trochę nadgryzła, a surowe mięso, które Edith podała jej w formie nóżki z trzaskiem wykręconej ze stawu, odrzuciła pośpiesznym ruchem głowy.

- Ależ to jest smaczne - nalegała staruszka. - Dobre mięso, zupełnie świeże.

- Surowe - zaprotestowała Katharina.

- Ale da ci siłę - upierała się Edith. - Jeśli tobie już to wydaje się osobliwe, to lepiej żebyś nie widziała co poniektórych rzeczy, które jadaliśmy w naszej starej ojczyźnie.

Dziewczyna opuszkami palców pobierała z trawy ostatnie jagody i postanowiła przezornie zmienić temat. Szkoda byłoby nie zjeść tej odrobiny jedzenia, którą dopiero co dostała.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że zasnęłam.

- I powinno ci być. Nic w tym złego, że usnęłaś ze zmęczenia, wiesz? Złe się tylko stało, że tego nie przyznałaś. Fałszywa duma zaprowadziła chyba więcej ludzi do grobu niż miecze i strzały.

To był już drugi temat w ciągu kilku chwil, o którym nie chciała dyskutować.

- A co, jeśli oni... już przepłynęli? - spytała po chwili wahania.

- Masz na myśli barona Guthenfelsa? - Edith potrząsnęła głową, nachyliła kilka gałęzi, żeby spojrzeć na niebo i określić położenie słońca, po czym potrząsnęła raz jeszcze głową. - Mamy czas.

- A skąd masz taką pewność?

- Stąd, że byłam służącą Pardeville'a, a służące wiedzą zawsze więcej niż ich panowie - odrzekła Edith. - Ponadto Guthenfelsa wczoraj wieczorem jeszcze nie było w zamku, a nikt nie płynie nocą statkiem wielkości Burzyka po takich mieliznach... no cóż, przynajmniej żaden z tutejszych skarlingów, nieumiejących odróżnić statku od maselnicy. Nie martw się. Mamy jeszcze czas.

I miała rację. Minęła godzina, druga i nawet trzecia, aż wspinające się powoli na nieboskłon słońce osiągnęło zenit. Zdawało się, że przystało tam na jakiś czas nieruchomo, zanim podjęło drugą część swojej wędrówki. Wiele statków i jedna niewiarygodnie długa tratwa przypląwały w tym czasie w obu kierunkach przed ich kryjówką, ale żadne z nich nie przypominało Burzyka, ani na jednym nie było mężczyzn z bronią. Wkrótce ogarnęły ją wątpliwości, czy aby statek, na który czekały, kiedykolwiek nadpłynie. Nie omieszkała dać im wyraz na głos, lecz Edith obstawała przy tym, że są w odpowiednim miejscu i po prostu muszą jeszcze chwilę poczekać. Katharina zawierzyła losowi - cóż innego jej pozostało? - i na zmianę z Edith wciąż ostrożnie wychodziły z lasu i przeszukiwały wzrokiem rzekę.

Wtem - nareszcie - służąca wróciła do niej podekscytowana i gorączkowo gestykulując, kazała jej wstać. - Burzyk! - krzyknęła. - Nadpływa! Chodź!

Katharina błyskawicą stanęła na nogi i kilkoma susami dopadła skraj lasu; gdyby Edith mocno jej nie złapała, z rozpędu wpadłaby głową do wody. Nawet tego nie zauważyła. Nad rzeką pojawił się duży, prostokątny żagiel, pod którym dawało się rozpoznać niezgrabną sylwetkę statku przypominającego na pierwszy rzut oka drewniany zamek, którym ktoś z niewielkim poczuciem estetyki usiłował pływać. Jaskrawe światło popołudniowego słońca połyskiwało na wypolerowanych hełmach i ostrzach włócznie, a tuziny kolorowych proporców hulały na wietrze.

- Płyną! - zakipiała z podniecenia Katharina. - To są...

Urwała w pół słowa i osłupiała z wrażenia, kiedy za Burzykiem spostrzegła drugi i prawie w tym samym momencie trzeci, nie mniejszy statek. Również na nich w ciasnych szeregach tłoczyli się uzbrojeni mężczyźni. - To... cała armia - mruknęła.

Edith niemym skinieniem głowy przyznała jej rację, ale ni stąd, ni zowąd na jej twarzy pojawił się wyraz zmartwienia zamiast ulgi.

- Nie jestem tylko pewna, która - mruknęła, bardziej do siebie niż do Kathariny. Dziewczyna spojrzała na nią pytająco, ale staruszka nie dała jej czasu na wysłowienie zdumienia, lecz szybkim krokiem wycofała się pod osłonę lasu, pociągając ją za sobą.

- Co się dzieje? - spytała zaalarmowana Katharina. Edith gestem przerażenia kazała jej się uciszyć - jakby się bała, że ich głosy mogłyby zostać usłyszane na tamtych statkach, oddalonych o dobrą milę.

- Ukryj się - powiedziała - lepiej poczekajmy - Na co? - spytała zdezorientowana Katharina.

Teraz także nie od razu otrzymała odpowiedź. Edith jedynie wciągnęła ją głębiej w las, siadła w kucki i ostrożnie rozchyliła poszycie, aby ponownie przypatrzeć się zbliżającym się statkom. - Jest ich zbyt wiele - mruknęła. - Wiem, że Guthenfels ma setkę ludzi pod bronią. Ale tutaj jest ich trzy razy tyle, jeśli nie więcej.

- To by znaczyło, że przywiódł ze sobą sojuszników - domyśliła się Katharina, a Edith spojrzawszy na nią krótko zza ramienia, przytaknęła zmartwiona, po czym odezwała się jeszcze bardziej zatroskanym głosem: - Pytanie tylko, w jakich barwach.

Nawet tego Katharina nie zrozumiała od razu, a pojawiwszy, przestraszyła się nie na żarty Edith najwyraźniej miała rację, zarzucając jej, że przy całym zapale często zapominała myśleć. A co, jeśli ci dodatkowi ludzie mieli na sobie błękitne tabardy, a na piersiach stojącego dęba konia?

Przeprosiła w myślach za wszystko, co pomyślała o staruszce, usiadła obok niej w kucki i tak jak ona wpatrzyła się w milczeniu i z bijącym sercem w nadpływające statki. Po chwili rzeczywiście rozpoznała Burzyka i - nie będąc całkiem pewną... - chyba także siwowłosą postać na dziobowym kasztelu. Kilku innych mężczyzn istotnie miało na sobie jaskrawy błękit, przypominający barwę Pardeville'a, ale to nie musiało nic znaczyć.

Nie musiało także wróżyć nic dobrego.

Takie myśli tłukły się jeszcze długo po głowie Kathariny, wszakże bez rezultatu (przynajmniej takiego, który by się jej podobał); Edith już się nie odzywała. Trzy statki zbliżały się niespiesznie, znacznie wolniej, niż tego wymagała bliskość niebezpiecznej mielizny, i dziewczyna spostrzegła, że rzeczywiście przepłyną tak blisko ich kryjówki, jak jej to obiecała Edith.

Tylko że na nic się to nie zda, bo najwidoczniej płynęły na tyle wolno, żeby mogła im dotrzymać kroku niekończąca się kolumna jeźdźców, podążająca równoległe wąską nadbrzeżną ścieżką.

- To najemnicy Mandreda - rzekła przestraszona.

- Tak, a prowadzi ich sam Guy de Pardeville - dodała ponuro Edith.

Znieruchomiały w milczeniu w swojej kryjówce, podczas gdy mała flota boleśnie powoli zbliżała się, a następnie jeszcze wolniej przesuwawała przed nimi; statki płynęły tak blisko i przy tym tak wolno, że wystarczyłoby, żeby wychylny choć trochę ze swej kryjówki, a zostałyby natychmiast odkryte.

Mężczyzna na kasztelu dziobowym Burzyka to był istotnie Guthenfels. Zbliżył się do nich na tak niewielką odległość, że nieomal rozpoznawały zatroskanie na jego twarzy. Był tak blisko!

Katharina poczuła, jak łzy napływają jej do oczu, kiedy człowiek, w którym pokładała całą swą nadzieję, przepływał tak blisko nich, że dosłownie wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć... będąc zarazem tak niedostępnym, jak gdyby był na drugiej stronie świata.

Złość i rozczarowanie wiodły coraz zacieklejszy bój w jej czaszce; nawet nie zauważyła, jak zacisnęła ręce w pięści. Dlaczego los był tak dla niej okrutny? Dlaczego Bóg zmusił ją, aby wzięła na siebie wszystkie te niebezpieczeństwa, trudy i bóle, a w ostatniej chwili roześmiał się jej w twarz?

- Nie zrób teraz nic nieprzemyślanego - wyszeptała Edith.

Katharina zabroniła sobie choćby skinąć głową w odpowiedzi.

Teraz, gdy statki przepływały przed nimi dosłownie w zasięgu ręki, zauważyła, że Burzyk był najmniejszym z nich; także najemnicy mijali je tak blisko, że potem, z perspektywy czasu dziewczynie wydało się cudem, że nie zostały odkryte. Serce podskakiwało jej do gardła, w panice przez chwilę rozważała nawet, czyby nie postawić wszystkiego na jedną kartę i nie wybiec z lasu, krzycząc i wymachując rękami, aż Guthenfels albo któryś z jego ludzi zwróci na nią uwagę. Na pewno Pardeville nie odważyłby się niczego jej uczynić na jego oczach.

Dzięki Bogu jej rozum (i strach) zdążyły wziąć górę, zanim wcieliła w życie tę samobójczą myśl.

- A gdybyśmy...? - zaczęła, ale staruszka przerażonym gestem zmusiła ją do milczenia.

Chwilę później poznała powód tej przesadnej ostrożności.

- Coś się musiało stać... ale co?

- Czemu tak sądzisz?

W głosie Edith zabrzmiał wzmożony niepokój, ani na moment nie spuszczała wzroku z wlokącego się wojska. - Wulfgar nie ma więcej niż dwustu wojowników, i to jedynie wtedy, gdy każdemu chłopcu i bezzębemu starcowi wciśnie do ręki miecz - powiedziała. - Tu jest co najmniej pięciuset ludzi.

- No więc? - spytała Katharina. - Czy nie jest rozsądnie atakować z przewagą?

- Nie aż z taką - stwierdziła służąca. - Prowadzenie wojny jest drogie, moje dziecko. Nawet armia, która jedynie przenosi się z miejsca na miejsce, ponosi straty, a mieszkańcy każdego przysiółka, którym przechodzi, będą latami później przeklinać ten dzień. - Edith powtórnie potrząsnęła głową i zwróciła wzrok na dziewczynę. - Czy sięgnęłabyś po młot kowalski, żeby zmiażdżyć karalucha?

Katharina uśmiechnęła się mimowolnie, próbując wyobrazić sobie, jak też Wulfgar zareagowałby na to porównanie, a zrozumiałszy, do czego zmierzała Edith, pokręciła głową. Mimo to kobieta ciągnęła w zamyśleniu: - Wiem, że twój dziadek od dziesięciu lat sieje strach i przerażenie i niemało ludzi uważa go za wcielonego diabła - ale w zasadzie jest tylko rzeźmieszkiem. Nikt nie wysyła wojska, żeby zlikwidować złodziejskie gniazdo. Chyba że...

- Chyba że? - spytała wikinka, gdy starszuszka zamilkła.

- Chyba że liczy na coś innego - odparła Edith. Najwyraźniej znowu odgrywała tajemniczą. W każdym razie Katharina nie zrozumiała ani słowa.

- A co by to miało być? - zapytała.

Byłaby zaskoczona, gdyby usłyszała odpowiedź - nic takiego się nie stało. Służąca patrzyła w milczeniu na odchodzące z wolna wojsko, później zaś wpatrywała się długi czas w nicość, gdy ostatni jeźdźcy minęli ich kryjówkę, a statki wypływały z powrotem na środek rzeki.

- Jest źle - odezwała się w końcu - bardzo źle. Obawiam się, że to może oznaczać tylko jedno.

- Co takiego? - spytała Katharina.

- Że twój dziadek jest większym głupcem, niż sądziłam - odrzekła ponuro Edith.

- A co dokładnie masz na myśli?

- Musimy go ostrzec! - Służąca w najmniejszym nawet stopniu nie zwróciła uwagi na jej pytanie. - Gdy ta armia tam dotrze, a oni nie będą wiedzieć, co ich czeka, dojdzie do katastrofy! - Wstała tak raptownie, że dziewczyna się wzdrgnęła. - Muszę się dostać do Wulfgara!

- Aha - powiedziała Katharina. - A jak? I dlaczego ty?

Edith zignorowała drugą część pytania. - Popłynę za nimi - powiedziała, wskazując krzaki, w których ukryły łódkę. - W tak powolnym tempie Guthenfels i Pardeville nie dotrą tam przed zachodem słońca. A nie sądzę, żeby zaatakowali w ciemnościach. Będą czekać do rana.

- Więc nie powinniśmy tracić czasu - oświadczyła Katharina, i to tak zdecydowanym tonem, że Edith nawet nie próbowała jej od tego odwieść, poprzestając na zrezygnowanym westchnieniu.

\*\*\*

Wszystko potoczyło się tak, jak przewidziała Edith. W rzeczywistości jednak dużo gorzej.

Musiały odczekać jeszcze prawie godzinę, nim wyruszyły, bo za małą flotą i armią najemników podążał tabor, juczne konie oraz zwykli maruderzy, Edith zaś uparła się, żeby przeczekać, aż przejdą ostatnie guzdrały i znikną z pola widzenia.

Kolejna przykra wiadomość (która Kathariny wcale nie zaskoczyła) była taka, że coś się stało z łodzią, gdy wyczekiwały w kryjówce: nabrała wody. I stojąc teraz głęboko na palec w jej kadłubie, wpędziła Katharinę w panikę. Edith musiała użyć całej swojej sztuki przekonywania, żeby dziewczyna w ogóle weszła do łodzi, a i tak podczas rejsu nieufnie zerkała na nieprzyjemnie pachnącą kałużę pod jej stopami. Woda nie przybierała wprawdzie więcej, mimo to dziewczyna, panikując, odniosła takie wrażenie.

Wiosłowały przez całe popołudnie. Kilka razy Edith wyciągnęła wiosło z wody, niósł je wówczas tylko nurt, a raz

pośpiesznie skierowała łódź na brzeg pod osłonę zwieszającego się krzewu, gdzie przyczały się na dość długo, choć nic się nie zdarzyło. Po czym popłynęły w dalszą drogę bez słowa wyjaśnienia ze strony Edith.

Dopiero gdy słońce już niemal stykało się z horyzontem, staruszka pokierowała łódź z powrotem na brzeg i nakazała Katharinie wysiąść. Usłuchała wprawdzie (wreszcie miała pod nogami twardy grunt zamiast grubego na pół palca zmurszałego drewna, z czającą się pod nim otchłanią wody), choć wcale by się nie zdziwiła, gdyby służąca skorzystała z okazji i ją tutaj zostawiła.

Tymczasem stara kobieta zrobiła coś innego, co jednak zaskoczyło dziewczynę i ją przeraziło. Zeszła z pokładu, chwyciła obiema rękami wiosło i uderzyła mocno, wiele razy z rzędu w kadłub łodzi, aż zmurszałe pianki ustąpiły i z dziwnie miękkim dźwiękiem rozłupały.

Następnie wymierzyła przedziurawionej łodzi kopniaka, którym wypchnęła ją z powrotem na rzekę i w nurt. Znacznie szybciej, niż się Katharina spodziewała, łódź napełniła się wodą, zanurzyła głębiej i w mgnieniu oka zatoneła.

- Przypuszczam, że nie chcesz mi zdradzić, dlaczego to zrobiłaś? - zapytała.

Edith potrząsnęła głową, mimo to odpowiedziała. - Mogłaby się zerwać i przy dużym pechu Pardeville by ją znalazł i wyciągnął wnioski.

Bzdura, pomyślała Katharina. Popatrzyła na staruszkę z powątpiewaniem, co bynajmniej nie wywarło na niej wrażenia. - Nie mamy teraz czym wrócić - oznajmiła.

- Wcześniej też nie miałyśmy - odpowiedziała ze spokojem służąca. - Przecież przeciekała. Dziwię się, że dotarliśmy aż tutaj. Szczerze mówiąc, wiele godzin temu liczyłam się z tym, że zatoniemy.

Dziewczyna z przerażeniem wytrzeszczyła oczy. - I teraz mi to mówisz? - jęknęła.

- Człabyś się lepiej, gdybym ci to powiedziała przed dwiema godzinami? - spytała Edith. Daremnie czekała na odpowiedź, w końcu wzruszyła ramionami, jakby ją nie obchodziła, po czym ruszyła w drogę, nie sprawdzając, czy Katharina za nią szła. Być może miała nadzieję, że dziewczyna tu zostanie.

Ani myślała zrobić coś tak głupiego. Na pewno nie.

Nieważne, czy przemawiał za tym rozsądek.

- Daleko jeszcze? - spytała, kiedy szły przez chwilę w milczeniu obok siebie.

-Już niedaleko. Za następnym zakrętem.

Edith wskazała w stosownym kierunku, gdzie Katharina ledwo co widziała. Słońce w większej części zniknęło już za horyzontem i rozpoznawała już tylko cienie, przełamane odpryskami oślepiająco jaskrawej czerwieni.

- Ale nie idziemy tam.

- Dlaczego?

- Zobaczysz, kiedy dotrzemy na miejsce.

- Gdzie na miejsce?

- No, właśnie tam.

Katharina zrozumiała. Nie zadawała więcej pytań.

Słońce zachodziło. Wkrótce zrobiło się całkiem ciemno i niemal natychmiast chłodno, a potem zimno. Edith maszerowała zawzięcie, nadając takie tempo, że dziewczyna z trudem dotrzymywała jej kroku.

W pewnym momencie zwolniła, wreszcie zatrzymała się, jakby nasłuchując, po czym wskazała - Katharina mogłaby przysiąc, że zupełnie przypadkowo - na lewo, w głąb lasu. Choć dziewczyna, skinawszy nieśmiało, wyraziła zgodę, miała złe przeczucie. Skraj lasu rozciągał się tuż obok, zaledwie na długość ramienia, ale nawet z tej niewielkiej odległości wydał jej się pożerającym wszystko, masywnym murem. Jeśli tam w głębi straci staruszkę z oczu, już jej nie odnajdzie.

Może to właśnie planowała?

Jak się okazało, nie był to największy kłopot.

Tego największego Katharina nie widziała nawet, gdy się z nim zmagala. W lesie panowała ciemność jak w grobie, tak iż nie widziała niczego, za to czuła tym wyraźniej, jak stromo nagle zaczął wznosić się grunt i jak trudny się okazał do przebycia. Potykała się nieustannie nie tylko o korzenie i splecione zarośla, ale i kamienie i ostre skały, które w

niewidoczny sposób wyrastały z równie niewidocznego podłoża. Ostatni odcinek drogi - nie więcej niż tuzin kroków, choć zdawało się, że mil - przebyła, raczej potykając się na czworakach, niż idąc. Gdyby nie to, że dostrzegła czasem błady przeblysłk światła gdzieś przed i nad sobą, to pewnie całkiem opuściłaby ją odwaga lub po prostu by zblądziła.

Zaledwie dziesięć minut później, kompletnie wyczerpana, wypadła z lasu spory kawał od Edith na wąską skalistą grań. Widok po drugiej stronie kazał jej natychmiast zapomnieć o okropnościach minionej godziny.

Zakole rzeki zostało w dole, a obraz po tej stronie wzniesienia dramatycznie różnił się od tego za nimi. Noc rozproszyła się, zgaszona setkami czerwonych świetlistych punktów, które ciągnęły się wzdłuż brzegu, ale również tańczyły na rzece. Mimo iż oglądały je teraz z dużo większej odległości, dwa potężne okręty wojenne wydały się Katharinie znacznie większe i niebezpieczniejsze niż poprzednio, a obozujące nad rzeką wojsko co najmniej dwukrotnie liczniejsze niż po południu, kiedy jeźdźcy ciągnęli przed ich kryjówką w nieskończonym dwuszeregu. Edith miała rację, pomyślała ze strachem. To nie był mały oddziałek, zebrany naprędce dla ukarania pirata zawadiaki, który posunął się za daleko. To było wojsko idące na wojnę. Niemniej, w tym obrazie uderzało coś, co... do niego nie pasowało.

- Imponujący widok, prawda? - zagadnęła cicho służąca. - Można niemal zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi fascynuje się wojną i żołnierskim życiem. Szkoda tylko, że połowa z nich jutro o tej porze będzie martwa lub kaleka. Podobnie jak połowa twojej rodziny - dodała po króciutkiej pauzie - jeśli nie więcej.

Katharina zmilczała to. Co niby miała powiedzieć?

- A obóz Wulfgara? - spytała dla odmiany.

Edith wskazała głową w noc. - Leży za drugim zakolem rzeki - powiedziała. - Pół godziny, dla statków Guthenfelsa, dla żołnierzy może dwie.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć. Raptem stało się dla niej jasne, co na tym obrazie zdawało się nie w porządku.

- Są tylko dwa statki - powiedziała. - Gdzie jest Burzyk?

- Popłynął przodem, jest za następnym zakrętem rzeki - odpowiedziała Edith. - Wraz z małą częścią armii, jak sędzę.

- Tam ich wypatrzą zwiadowcy Wulfgara! - zauważyła z powątpiewaniem Katharina.

- I właśnie to mają zrobić - odrzekła ponuro Edith. Wskazała na wojskowy obóz w dole. - Trzy lub cztery godziny przed wschodem słońca wymaszerują, a następnie skręcą w głąb łądu, żeby zbliżyć się do twierdzy Wulfgara od tamtej strony i odciąć im drogę ucieczki, statki zaś wypłyną odpowiednio później, aby dołączyć do Burzyka z nastaniem świtu. Doskonała zasadzka. Twój dziadek spodziewa się jednego statku i garstki żołnierzy, i dokładnie to Guthenfels pokazuje jego czatom.

- A w rzeczywistości u jego bram stanie cała armia - wybąkała Katharina.

- A druga za jego plecami - dodała staruszka. - Nie mają żadnych szans.

Chyba ma rację, pomyślała z trwogą dziewczyna. Nie umiała sobie wyobrazić, co mogłoby się oprzeć potężnej armii obozującej tam w dole.

- Dobrze się znasz na tych sprawach, co? - spytała ochryplym głosem.

- Jak się pół życia jest służką i najlepszą przyjaciółką wojowniczej księżniczki, to się liźnie tego i owego.

Musiał minąć moment, zanim Katharina naprawdę zrozumiała, co powiedziała staruszka. - Wojownicza księżniczka... - powtórzyła z powątpiewaniem.

- A co ty myślałaś? - spytała Edith. - Jesteśmy wojowniczym ludem, Kara. Zawsze byliśmy i głęboko w sercach zawsze nim będziemy. - Potrząsnęła głową, gdy Katharina chciała zaprzeczyć.

- Wiem, poznałaś Erika, byłeś w Bjarnisund i zobaczyłaś wieś pełną pokojowo nastawionych kupców i rolników. Ale my nimi nie jesteśmy. Czy nie rzuciło ci się w oczy, że każdy z nich nosi u boku miecz, nawet jeśli tylko idzie do pracy w polu?

Wikinka nigdy nie widziała żadnego z ludzi Erika przy pracy w polu, ale teraz, kiedy o tym pomyślała, musiała przyznać Edith rację. Rzeczywiście, wszyscy mężczyźni, których spotkała w Bjarnisund, stale i wszędzie nosili broń, a większość z nich nie tylko miecz czy topór, lecz także tarczę i hełm. Nie przywiązywała do tej obserwacji żadnej wagi, a jeśli już, to uważała to za coś w rodzaju kuriozalnego przyzwyczajenia.

- Twój dziadek Erik był niegdyś potężnym hersztem - ciągnęła staruszka. - Jego wojowników bano się tak samo jak ludzi Wulfgara.



Może nawet bardziej. To, że postanowił skończyć z tym życiem i przy być tutaj, nie wymazuje jego przeszłości, dziecko.

I chyba ta przeszłość była też powodem, dla którego koniec końców zdecydował się stąd odejść, pomyślała smutnie Katharina. Kto wie, czy Edith nie ma racji, że próbował narzucić sobie i swojemu klanowi życie sprzeczne z ich prawdziwą naturą.

Uderzyło ją niewymowne okrucieństwo tej myśli i najchętniej nazwałaby się idiotką za samo dopuszczenie do tak nonsensownej myśli... ale nie mogła tego zrobić. Mało że przypomniała sobie, jak Wulfgar od niechcienia próbował zabić Verę, to jeszcze nagle stanął jej przed oczami obraz Erika okrutnie torturującego ojca Cedrika.

Może ci dwaj jarlowie byli do siebie bardziej podobni, niż chcieli to przyznać.

- Od tego miejsca powinnam iść sama, Kara - oświadczyła z powagą Edith. - Jeśli się pośpieszę, może będę u Wulfgara na tyle wcześniej, żeby z nim porozmawiać. Zna mnie. Wie, że z pewnością nie jestem przyjaciółką Guy de Pardeville'a, ani nawet barona. Może mnie wysłucha i zdołamy zapobiec straszemu rozlewowi krwi.

- Po raz kolejny sprzeciwiła się gestem, gdy dziewczyna chciała się odezwać. - Ale tylko może. Dlatego wolałabym, żebyś została tutaj.

Nie będę ci tego nakazywać, bo wiem, jak bezsensowne byłoby zmuszanie cię do czegokolwiek, ale proszę cię o to. Jeśli twój dziadek mnie nie posłucha i dojdzie do walki, obie możemy zginąć.

- Wiem - odpowiedziała Katharina, a Edith zmierzyła ją tylko jeszcze surowszym wzrokiem.

- Nie, nie wiesz. Jesteś o wiele za młoda, żeby naprawdę wiedzieć, o czym mówisz. Przecież twoje życie nawet się jeszcze nie zaczęło.

Dziewczyna milczała, a staruszka po kilku chwilach zdawała się zrozumieć, że była to jedyna odpowiedź, jaką dostanie. - Ale nie będę miała dla ciebie żadnych względów, mała - ostrzegła ją tylko. - Jeśli nie będziesz mogła nadążyć, to będzie twój problem.

Katharina ugryzła się w język i nie wypowiedziała sarkastycznej uwagi i dobrze, bo by się nią skompromitowała, z czego zdała sobie natychmiast sprawę. Starsza pani bez słowa ruszyła w drogę, a Katharinie już na pierwszym odcinku ledwie udawało się nie stracić jej z oczu.

Droga na dół po drugiej stronie szczytu okazała się jeszcze bardziej stroma i niebezpieczna niż ta pod górę, a spory kawałek musiały nawet pełznąć na czworakach, co w całkowitej ciemności stało się przedsięwzięciem, od którego włos się jeżył na głowie. Później teren stał się wprawdzie bardziej płaski, ale ani trochę łatwiejszy. Trzeba było przedzierać się przez gęste zarośla, to znów przez mokradła, na których co krok grzęzły po kostki, w końcu przemierzać wyschniętą murawę i las, którego drzewa rosły tak gęsto, że zdawały się zagradzać wszelkie przejście. Gdyby Katharina dawno temu nie przestała rozeznawać się w swoim położeniu, najpóźniej teraz straciłaby orientację.

Ren wkrótce został gdzieś w tyle, a noc stawała się nie tylko ciemniejsza, ale i zimniejsza. Z każdym krokiem coraz trudniej przychodziło jej nie zgubić Edith, która, tak jak zapowiedziała, nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Skąd ta niedołączna staruszka czerpała tyle energii, żeby maszerować godzina za godziną i bez wysiłku pokonywać góry i lasy, pozostawało dla niej tajemnicą. Kiedyś zwyczajnie musi ją zdradzić.

Oczywiście tylko wtedy, jeśli uda jej się przetrwać tę noc bez ataku serca.

Krótko, zanim go doznała (i może na godzinę przed wschodem słońca) Edith w końcu się zatrzymała i odwróciła za siebie, czekając, aż Katharina ją dogoni. Dziewczyna wyobrażała sobie, co mniej więcej staruszka chciała jej powiedzieć i nie myliła się.

- Wulfiborg leży za tym lasem - powiedziała. - Powinnaś zostać tutaj. Naprawdę.

Dziewczyna spojrzała krótko na cień, o którym Edith twierdziła, że to las. Nie dostrzegła tam nic poza ciemnością. Uparcie pokręciła głową.

- Jak chcesz.

Jakimś sposobem służąca dokonała nie lada wyczynu, bo nie odwracając się ani nie ruszając się z miejsca, po prostu stopiła się z cieniami za sobą, jednak Katharina doszła zbyt daleko, żeby dać się teraz odstraszyć prostą sztuczką. Pomaszerowała po prostu w tym samym kierunku, orientując się po hałasach, które Edith czyniła, idąc gdzieś w ciemnościach przed nią. Chcąc nie chcąc godziła się z tym, że niejednokrotnie zderzała się z jakimś cieniem, który choć niewidoczny, twardy był tak, jak tylko mogło być drzewo.

Na szczęście nie trwało to długo.

Las okazał się wąskim, choć niezwykle gęstym pasem nadbrzeżnych zarośli, za którym znajdowała się rozległa połać wody. W pierwszej chwili Katharina uznała, że stanęła na brzegu jakiegoś jeziora, ale rzut oka wokół wyprowadził ją z błędu. Ren rozszerzał się w tym miejscu, by ustąpić gęsto zalesionej wyspie, tak iż powstawało wrażenie wydłużonego jeziora w kształcie półksiężyca. Na jego drugim brzegu i dokładnie w tej samej odległości od jego (domniemanych) dopływu i odpływu wznosił się dziwnie kanciasty zarys. Musiał to być obóz Wulfgara, bo Katharina dostrzegła mnóstwo drobnych czerwonych światełek, pozornie unoszących się w nicości i czasem do niej mrugających, niczym maleńkie, rozżarzone oczy demonów.

- Obóz Wulfgara? - zapytała.

- Wulfiborg, tak - odrzekła Edith i od razu odpowiedziała na jej kolejne pytanie, zanim Katharina zdążyła je wypowiedzieć. - Nazwał go tak po swoim synu, twoim ojcu. Nie jest to właściwie twierdza, ale wystarczająco do niej zbliżona, żeby zgładzić w czasie szturmów wielu żołnierzy Guthenfelsa.

- A jak się tam dostaniemy?

Staruszka wskazała na lewo, wzdłuż brzegu. - Tam z tyłu zaczyna się droga. Tamtędy będzie nam łatwiej posuwać się do przodu.

- A podobno jeszcze nigdy tu nie byłeś - zakpiła dziewczyna.

Edith pominęła tę uwagę. - Wiesz, co się stanie, kiedy przyjdiesz do Wulfgara? - zapytała. - Nigdy cię już nie wypuści. Cały nasz wysiłek pójdzie na marne.

- Wulfgar? - powtórzyła bezmyślnie Katharina. - Ja... nie zamierzam iść do Wulfgara.

- Ale pójdiesz, jeśli mi będziesz towarzyszyć - powiedziała spokojnie służąca. - Bo ja idę do niego. Jakże inaczej mam go ostrzec?

- Ale... ale ja myślałam, że... zakradniemy się do jego obozu... i...

- I zostawimy mu wypisane krwią ostrzeżenie na ścianie jego sali tronowej? Że też sama nie wpadłam na ten pomysł! Najwyraźniej się starzeję. A skoro już tam będziemy, to poszukamy od razu twojego brata i go uwolnimy.

Katharina pomyślała, że chyba zasłużyła na te drwiny. Jej pomysł był rzeczywiście naiwny... ale jedyne dwa możliwe rozwiązania, mianowicie pozostanie tutaj albo dołączenie do Edith i dobrowolne oddanie się w ręce Wulfgara, wydały jej się tak samo straszne.

- Ale... musi być przecież jakiś inny sposób! - wykrzyknęła z rozpaczą.

Edith zaprzeczyła ruchem głowy, lecz gdy otworzyła usta, by coś rzec, wzdrygnęła się z przerażeniem i tak pośpiesznie cofnęła, że mało brakowało, a straciłaby równowagę i wpadła tyłem do wody.

Jednocześnie Katharina usłyszała za sobą ostry trzask, odwróciła się przestraszona, a wtedy dobrze znany jej głos powiedział: - Istotnie, istnieje taki sposób, moje dziecko. Obawiam się, że nie masz już innego wyjścia, jak się go mocno chwycić.

Dziewczyna od razu rozpoznała ten głos, podobnie jak ów przysadzisty zarys, który wyłonił się w ślad za nim z lasu. Mimo to wybałuszyła oczy, wydając na wpół zduszony krzyk przerażenia, kiedy postąpiwszy o dwa kroki, podeszła wystarczająco blisko, żeby rozpoznać twarz.

- Miałem szczerą nadzieję, że jesteś mądrzejsza, Kara - powie dział z żalem Erik. - Nigdy nie powinnaś była tu przychodzić.

- Kiedy zwrócił się do Edith, na jego obliczu zagościła dziwna mieszanina smutku i radości z ponownego spotkania. - Witaj, Jorun - powiedział - dawno się nie widzieliśmy.

Pomieszczenie, które Edith - albo Jorun, jak naprawdę miała na imię - wcześniej drwiąco nazwała salą tronową Wulfgara, w zaskakujący sposób przypominało ów ogromny długi dom w Bjarnisund.

Tylko wszystko było większe, surowsze i na trudny do opisania sposób bardziej ponure. Również tutaj stał potężny, obstawiony krzesłami stół z barbarzyńskim stolcem tronowym u jego końca; był też ogromny kominek, którego wysoko trzaskające płomienie zalewały pokój nieprzyjemnym niemal ciepłem oraz niesamowitym czerwonym światłem z przemykającymi tu i tam cieniami.

Dobrą wiadomością dla Kathariny była ta, że jej dotychczas ani nie spętano, ani nie pobito; ani nie odcięto żadnej

części ciała.

Na tym kończyły się miłe niespodzianki. Głęboka ulga, jaka spłynęła na nią na krótki moment, szybko minęła - trwała dokładnie tyle czasu, ile czterej olbrzymi wojownicy Erika potrzebowali, żeby wyjść za nim z lasu, pochwycić Edith-Jorun i Katharinę, i ze zdecydowanie większą siłą, niż wymagało tego poskromienie dziecka i staruszki, mocno je przytrzymać.

Katharina nadal nie rozumiała, co się wokół działo. Rozdarta między strachem a ulgą, że przynajmniej nie stanęła twarzą w twarz z żadnym z wojowników Wulfgara, rozumiała mimo wszystko jedno, a mianowicie, że niesprawiedliwie oceniła Erika, że nie uciekł tchórzliwie, lecz wrócił, żeby ratować Ansgara.

Skoro tak, to dlaczego byli tutaj, w drewnianej twierdzy Wulfgara, zamiast na jednym z okrętów Erika?

Zadała to pytanie również jarlowi, lecz ten na nie nie odpowiedział, podobnie jak na żadne z historycznych pytań, którymi zarzuciła go, gdy wiedli je do Wulfiborga. Właściwie Erik nie odezwał się ani słowem, spoglądał tylko to na nią, to na byłą służkę swojej córki w sposób, o którym nie umiałaby powiedzieć, czy wyrażał wyrzuty, smutek czy rozczarowanie; czy wszystko naraz. Kiedy mężczyźni przyprowadzili je do tej ponurej sali, na monstrualnym tronie siedział już Wulfgar.

Sama nie wiedziała, czego się spodziewała - niby skąd? - jednak działo się coś zdecydowanie... niezwykłego. Kiedy Wulfgar przez długi czas wpatrywał się w nią z kamienną twarzą, stało się coś dziwnego; choć Katharina odczuwała przed nim strach jak nigdy dotąd, dławiący w gardle lęk, i choć ten siwowłosy olbrzym wydał się jej bardziej bezlitosny i surowszy niż kiedykolwiek przedtem, jakoś nie mogła dostrzec w nim potwora, którym stale dla niej był.

Może przyczyna tkwiła w tym, że właśnie po raz pierwszy zobaczyła obok siebie Wulfgara i Erika, kiedy tak siedzieli jeden przy drugim, rozmawiając ze sobą cichymi głosami, ze zmartwieniem na obliczach. Gdyby nie wiedziała, że ci dwaj wikingowie są braćmi, na ten widok poznałyby to natychmiast. Erik był z pewnością starszy i mądrzejszy, Wulfgar młodszy i dziwszy, mimo to ci dwaj mężczyźni byli tak do siebie podobni, jak tylko mogli być dwaj bracia.

Wreszcie, po nieznośnie długim czasie, Wulfgar przerwał tę przygnębiającą ciszę, opierając się na swoim rzeźbionym tronie ruchem sprawiającym wrażenie dziwnie mozolnego i wpatrzył się w Katharinę, a potem - dłużej i przenikliwiej - w Jorun.

- Jorun - zaczął. - Ile to czasu minęło? Dziesięć lat?

- Prawie jedenaście - odpowiedziała.

- Nie powinnaś była tu przychodzić - powiedział Wulfgar. - Wiesz, że cię zabiję. Jedynym powodem, dla którego jeszcze tego nie zrobiłem, jest fakt, że przyprowadziłaś z powrotem moją wnuczkę. I że mój brat wstawił się za tobą. Co nie znaczy, że istotnie cię oszczędzę. Nie jestem zbyt łaskawy, jak może pamiętasz.

- Co ona takiego zrobiła? - zbuntowała się Katharina.

- Nie sądzę, by to miało coś wspólnego z tobą, Karo - rzekł Wulfgar. - Dzieci mają milczeć, gdy rozmawiają dorośli. Nie nauczono cię tego, przy twoim chrześcijańskim wychowywaniu?

- Ojciec Cedric nauczył mnie przede wszystkim zawsze mówić prawdę - ostro odpowiedziała dziewczyna. - Edith ryzykowała życie, by ostrzec ciebie i twoich ludzi! Czy to się nie liczy?

-Jorun - rzekł z naciskiem Wulfgar - przede wszystkim ryzykowała twoje życie, przyprowadzając cię tutaj. Życie mojej wnuczki.

Zapewne powiedziałaby więcej, ale Erik przerwał mu, szybko podnosząc rękę. - Kara ma rację. Ona zaryzykowała swoje życie, żeby nas ostrzec, nie powinniśmy o tym zapominać. Nie musiała tutaj przychodzić. A co się tyczy Kary... - Uśmiechnął się przelotnie. - Myślę, że poznałem ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że pozostawienie jej jest niemożliwością. - Westchnął. - Przypuszczam, że nawet tobie by się to nie powiodło.

- Nie czas na żarty - rzekł Wulfgar.

- Bo też nie przyszłyśmy żartować - wtrąciła się Jorun, ignorując zaklinającego ją ostrzegawczymi spojrzeniami Erika. - Jesteście w niebezpieczeństwie, zrozumcie wreszcie! Musicie...

- Milcz, kobieto! - przerwał jej Wulfgar. Nawet nie podniósł głosu, a mimo to udało mu się niemal ryknąć. Władczym gestem nakazał jej usiąść. Gdy nie od razu zareagowała, dał znak jednemu ze stojących za nią mężczyzn, a ten pchnął ją brutalnie na krzesło, aż mebel zaskrzypiał.

Wulfgar zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie otwary się z hukiem drzwi i wpadł jeden z jego ludzi, prawie biegnąc. Rzucił się do tronu Wulfgara, pochylił ku jarłowi, szepnął mu kilka słów i równie szybko się oddalił.

- Są tutaj twoi przyjaciele- podjął Wulfgar, ponownie zwracając się do Jorun z kamienną twarzą.

- Guthenfels? -Jorun z przerażeniem spojrzała na okno, wykonując ruch, jakby chciała wstać, lecz opadła z powrotem, gdy stojący za jej krzesłem mężczyzna wydał z siebie ostrzegawcze chrząknięcie.

- Nie. - Wiking zaśmiał się ochryple, kręcąc głową. - Ta najemna hołota. Szykują się do ataku w lesie za twierdzą. - Ta wizja zdawała się go bawić. Przez kilka chwil czekał, aż staruszka odpowie, potem prychnął pogardliwie i odwrócił się do siedzącego obok Erika.

- Nadszedł czas.

Czas? - zaniepokoiła się w myślach Katharina - na co?

Erik wstał i zrobiwszy pół kroku w tył, wyciągnął rękę do brata, żeby mu pomóc przy wstawaniu i ku zaskoczeniu nie tylko dziewczyny, Wulfgar przyjął pomoc. Również Jorun zmarszczyła czoło z zaskoczenia, widząc, z jaką trudnością się podnosił. Czyżby jeszcze nie wylizał się z ciężkich ran zadanych przez Ellsbuscha?

-Wiesz, co robić -Wulfgar zwrócił się do Erika. - Spotkamy się na statku. Mam twoje słowo. Słowo jarła.

- Nie - odpowiedział z powagą Erik. - Słowo twojego brata, Wulfgarze.

Wiking wykrzywił usta, ale Katharina nie mogła stwierdzić, czy w pogardliwym uśmiechu, czy po prostu z bólu. Dopiero teraz zwróciła uwagę na bladość na twarzy siwowłosego olbrzyma. A pajęczyna perlących się na jego czole kropel potu była skutkiem chyba nie tylko buzującego ognia w kominie. Przez krótką chwilę patrzył jeszcze z góry na swego brata, którego istotnie przewyższał o dobre pół głowy, po czym gwałtownie się odwrócił i wyszedł, a za nim większość jego wojowników. Zostali tylko Erik i dwóch ludzi, którzy je tu przywiedli.

- Musisz mnie wysłuchać, Eriku! - zaczęła Jorun, kiedy zostali sami. - Wszyscy jesteście w wielkim niebezpieczeństwie! Musimy...

Jarl uciszył ją gestem równie gniewnym jak brat. Jednak w jego głosie słychać było zmęczenie.

-Wiem, co się dzieje - rzekł. -Jeśli przysłaś tu tylko, żeby nas ostrzec przed Guthenfelsem, to na próżno odrzuciłaś swoje dotychczasowe życie, kobieto. I niepotrzebnie ryzykowałam życie mojej wnuczki.

- To nie jej wina - wtrąciła się Katharina. - Nie chciała mnie zabrać.

Erik ją zignorował. Patrzył na Jorun, a Katharina nie potrafiła nazwać tego, co wyczytała w jego oczach. Nie było to nic dobrego.

- Ponad dziesięć lat, Jorun - rzekł wreszcie. - Przez cały ten czas byłaś nie dalej niż dwa dni drogi od Bjarnisund! Jak mogłaś mi to zrobić? - Wskazał na Katharinę. -Jak mogłaś jej to zrobić?

- Ona nie wiedziała! - wmieszała się dziewczyna, zanim służąca zdążyła odpowiedzieć.

Dziadek nadal ją lekcewał.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś, kobieto? - kontynuował. - Przez wszystkie te lata, ani słowa?

- Ponieważ twoja córka tego nie chciała - odpowiedziała Jorun, cicho, ale głosem stanowczym, nie uginając się pod spojrzeniem Erika. - Zmarła na moich rękach, a wydając ostatnie tchnienie, wymogła na mnie obietnicę, że nie pójdę ani do ciebie, ani do twojego brata. Miałam złamać słowo?

Erik zareagował na to jedynie smutnym spojrzeniem, po czym nieoczekiwanie westchnął i wyraźnie napiął mięśnie ramion. - W takim razie teraz żądam od ciebie słowa, że zrobisz to, co ci powiem.

-Wskazał na stojącego za nią człowieka. - Mógłbym kazać cię związać, ale tego nie chcę. Obiecujesz mi, że będziesz rozsądna i nie będziesz próbować uciec, póki to wszystko się nie skończy?

Jorun zawahała się chwilę, po czym jednak kiwnęła głową, Erik zaś przyjął tę decyzję z ulgą. - Więc powinniśmy iść - powiedział.

- A Ansgar? - zapytała Katharina. - Gdzie jest Ansgar?

- Czeka na nas na dole, na Fenrirze - odrzekł jarl. Sprawiał wrażenie nieco zirytowanego. - Czy naprawdę uwierzyłaś,

że zostawię go na pastwę losu i tchórzliwie zbiegnę, głuptasie? Krew z krwi, kość z kości?

Słowa te boleśnie ubodły Katharinę, ale czała się w niej też cicha, dręcząca wątpliwość, uczucie, którego prawie się wstydziła, a które jednak nie chciało odejść.

- Może nie była pewna, czy nie wymieniłbyś jej na Ansgara - odpowiedziała za nią Jorun. Erik wpatrywał się w nią przez krótką chwilę niemal nienawistnie, także Katharinę ów potworny zarzut przeraził. Wciąż słyszała w głowie ten natarczywie szepczący głos: czy może Jorun nie miała racji? Była wnuczką Erika, ciałem z jego ciała i krwią z krwi, i widziała, czego zdolny był dokonać dla jej ocalenia... ale Ansgar był jego wnukiem i żył u jego boku jak syn przez wszystkie te lata, w ciągu których Erik nawet nie wiedział o jej istnieniu! Czy miałyby prawo robić mu zarzut z jego wyboru, gdyby został zmuszony do tak okrutnej decyzji?

Przez otwarte okno doleciał ich głuchy trzask, a po nim nastąpił trwożliwy krzyk, który jednak natychmiast się urwał, Erik błyskawicznie uniósł głowę, a na jego twarzy odmalowała się konsternacja.

-Już czas - powiedział. - Szybko.

Opuścili wielką salę, za nimi zaś ruszyli dwaj wojownicy, którzy w przeciwieństwie do jarla zdawali się nie ufać słowu Jorun. Na zewnątrz oczekiwało ich kolejnych dwóch ludzi, którzy podawszy Edkowi tarczę i hełm, pośpieszyli przodem z obnażonymi mieczami, gdy cała grupa poszła dalej. Nie tylko ta broń i ponury wyraz ich twarzy zaniepokoiły Katharinę.

Hałas i krzyki nie ustały, przeciwnie, wzrastały się. Wulfiborg rozbrzmiewał echem podnieconych głosów i pośpiesznych kroków, rumorem, krzykami, dudnieniem i szcękaniem metalu. W powietrzu zawisł dziwnie gryzący zapach, który, choć Katharina nie potrafiła go określić, wzbudził w niej niejasne poczucie zagrożenia, zaś przewodnicy raz jeszcze przyśpieszyli kroku, a biegnący za nimi, opuściwszy budynek, wypadli na otoczony z trzech stron palisadą dziedziniec.

Już nie sposób było ignorować krzyków. Niebo nad kasztelem pałało czerwienią w odbłasku palących się po drugiej stronie ogrodzenia pochodni, Katharina słyszała szepty, uwijanie się ludzi i odgłos czegoś ogromnego, powolnego, naddciągającego tam z zewnątrz - armii najemników Mandreda, gotującej się do szturm na Wulfiborg.

Erik szcęknął pojedynczym słowem we własnym języku, a Jorun zaczęła biec, chwyciwszy dziewczynę za przegub ręki, tak iż Katharinie ledwie udało się utrzymać na nogach. Zewsząd nadbiegali ciężkozbrojni wojownicy, którzy wyłaniając się na pozór z nicości, kierowali się ku bramie i drabinom prowadzącym do ganków na szczytach palisady. Szepty i odgłosy naddciągającej armii najemników zmieniły się zniemacka w chór przeraźliwych wrzasków bitewnych, wyrzeczanych z ponad stu gardeł i zanim jeszcze wikinka z innymi dotarła do przeciwległego końca podwórca, brama zadrżała pod potężnym uderzeniem, jak gdyby od zewnątrz kopnął w nią jakiś olbrzym, a ponad palisadą przeleciały pierwsze strzały, nie czyniąc jednak szkód.

Po drugiej stronie dziedzińca również stała palisada, ta wszakże nie była wyższa od człowieka i sprawiała wrażenie tak nowej i zaimprovizowanej, jakby dopiero co wzniesiono ją w wielkim pośpiechu.

Za nią powiewał żagiel Fenrira, na którym wyhaftowana wilcza czaszka zdawała się rzucać brzaskowi dnia przekorne wyzwanie. Zamiast bramy w palisadzie wyrżnięto tylko szerokie na trzy lub cztery kroki przejście, ku któremu długimi krokami zmierzali ich dwaj strażnicy.

Po jego drugiej stronie poruszały się cienie, które, choć Katharina nie umiała ich rozpoznać, dodatkowo podsycaly jej strach.

Akurat, gdy z Jorun dobiegały już do przejścia, rozległo się za nimi potężne gruchnięcie i łoskot, po którym dziewczyna w biegu rzuciła pośpieszne spojrzenie przez ramię.

Widok, jaki przedstawił się jej oczom, zmroził jej krew w żyłach.

Wielka brama w palisadzie była teraz w połowie wyrwana z zawiasów, a przez powstałą szczelinę przeciskały się tuziny zbrojnych.

Zdawało się, że dziedziniec zatrzęsł się od krzyków i szcęku broni, gdy wojownicy Wulfgara rzucili się na wdzierających się najemników, nie mogąc wszelako ani ich zatrzymać, ani nawet w stopniu godnym wzmianki spowolnić zalewającej ich fali ciał i żelaza. Przez wyłamaną bramę napływało coraz więcej żołnierzy, ich liczba przekroczyła już wielokrotnie liczbę obrońców, mimo że dołączyli do nich teraz również wojownicy z ostrokołu. Walki prowadzonej z takim okrucieństwem i furją Katharina nigdy jeszcze nie widziała.

A jednak coś w jej obrazie było... nie w porządku.

Nie było dane dokończyć jej tej myśli, gdyż Jorun, która najwyraźniej była zdania, że dość już zobaczyła, pociągnęła ją nagle z taką siłą, że dziewczyna miała do wyboru: albo za nią pójść, albo zostać przez nią zawleczoną.

Potykając się, wpadły na drewniany pomost, przy którym czekał na nie Fenrir. Katharina po raz pierwszy ujrzała potężnego drakkarą z tak bliska i ponownie uderzył ją ogrom i groźny wygląd tej smoczej łodzi w porównaniu z Werdandi Erika; o szybkim jak strzała Heimdallu nie wspominając. Na otoczonym okrągłymi tarczami pokładzie tłoczyły się dziesiątki postaci. Katharina usiłowała wypatrzeć gdzieś w tym zamieszaniu Ansgara, lecz Jorun nie dała jej czasu, bo przesadziwszy odważnym skokiem ścianę tarcz, żeby dostać się na leżący niżej pokład, pociągnęła ją bez ceregieli za sobą.

Katharina nie skoczyła za nią z równym wdziękiem. Zahaczywszy stopą o krawędź jednej z tarcz, szarpnęła się niezgrabnie, tracąc równowagę, a Jorun tylko pogorszyła sprawę, bo zamiast puścić jej rękę, próbowała ją przytrzymać - w rezultacie czego dziewczyna upadła ciężko na twardej pokład i huknęła głową w deski.

Kiedy Katharinie wrócił oddech, patrzyła w wąską, obramowaną dwoma grubymi blond warkoczami twarz.

- Cześć siostrzyczko! - uśmiechnął się drwiąco Ansgar. - Nawet nie wiedziałem, że tak za mną tęskniłaś.

Katharina nie była pewna, czy właściwie zrozumiała, co miał na myśli.

- Ansgar? - wybąkała oszołomiona.

Chłopak, szczerząc się, ujął ją pod ramiona i niedelikatnie postawił na nogi. - Skoro pamiętasz moje imię - powiedział - nie rąbnęłaś chyba aż tak strasznie.

- Nie - odparła. - I pamiętam wszystko świetnie. Wepchnąłeś mnie do piekarnika.

- Nie podkładając bądź co bądź do ognia - odparł Ansgar niewzruszenie, szczerząc się przy tym jeszcze szerzej. - I też się cieszę, że cię widzę. Ale odłóżmy świętowanie naszego spotkania na później, zgoda? Mamy teraz coś ważniejszego do zrobienia.

- Niby co?

- Utrzymać się przy życiu? - Ansgar ucieszył się bezwstydnie ze strapienia na jej twarzy, po czym zamasyżuje odciągnął ją na bok, gdy koło nich dwóch kolejnych wojowników zeskoczyło na pokład Fenrira z takim impetem, że cały statek zadrżał.

Błyskawicznie wrócili do rzeczywistości. Powietrze drżało od chóru świdrujących wrzasków, skrzekliwej wrzawy bitewnej, szczerku uderzających w siebie mieczy i jęków trafionych. Kolejni wojownicy zeskakiwali z pomostu, toteż Katharina przeszła szybko na drugą stronę statku, żeby jej nie potracono. Wypatrywała Erika lub Wulfgara. Tego ostatniego nigdzie nie widziała, jednak jarl stał nadal razem ze swoimi czterema wojownikami obok przejścia w palisadzie ze wzniesionymi mieczami i tarczami. Początkowo założyła, że będzie na tyle szalony, by zawrócić i rzucić się do beznadziejnej walki, potem jednak zdała sobie sprawę, że jest odwrotnie. On i jego towarzysze kryli tylko drogę odwrotu obrońców, którzy idąc tyłem, jeden po drugim wpadali na pomost i wskakiwali na Fenrira. W końcu zrozumiała również, co ją tak irytowało w tej walce. Widziała już wcześniej, do czego zdolni byli ci potężni wikińscy wojownicy, kiedy wpadli w szal bitewny. Najemnicy Mandreda mogli być liczniejsi, mimo to nie musieli wcale zdobyć szturmem Wulfiborga; a jeśli już, to przynajmniej nie tak prędko. Jednak ludzie Wulfgara nawet nie próbowali stawiać oporu, lecz wycofywali się krok za krokiem, prawie w szyku, żeby dotrzeć do zbawczego Fenrira. Sam Erik ostatni skoczył przez mur z tarcz.

Za nim na pomost wdarli się żołnierze. Jeden z nich cisnął sztyletem, który Erik odrzucił wzniesionym mieczem, inny napiął łuk i wycelował w jarla, lecz rozmyślił się, kiedy nadleciał topór i wyrwał mu z ręki broń (razem z dwoma lub trzema palcami). Jeden z najemników okazał się wystarczająco odważny - czy głupi - i brawurowym skokiem wdarł się na Fenrira; Katharina powątpiewała, czy zostało mu dość czasu na pożałowanie tego czynu.

Drakkar zatrząśnięty, kiedy połowa mężczyzn chwyciła za wielkie wiosła, żeby odbić od pomostu, a wielki żagiel z donośnym łopotem naprężył się nad ich głowami. W pierwszej chwili jeszcze ociężałe, lecz zaraz siłą wiosła i żagla raptownie przyspieszany, Fenrir zakołysał się i obróciwszy się niemal w miejscu, zwrócił swój groźny smoczy łeb w kierunku rzeki. Za ich plecami na pomost napływało coraz więcej najemników, ciskając przekleństwa i obelgi, a wielu zaczęło strzelać do nich z łuków, na szczęście niecelnie. Większość strzał wpadła do wody, nie wyrządzając szkód, a tych kilka, które trafiły w Fenrira, wylądowały na burcie lub odbiły się od wzniesionych tarcz wojowników. Po kilku silnych uderzeniach wiosła znaleźli się poza ich zasięgiem, a dziewczyna odwróciła się z westchnieniem ulgi... i wprost zamarła z przerażenia.

Panie Boże, makabryczny żart, pomyślała. Ratunek w ostatniej chwili trwał niewiele dłużej niż sekundę.

Tam, gdzie oczekiwali ocalenia, czyli wyjścia na Ren, z szarości świtu wyłaniał się Burzyk, bezgłówny jak zjawą. Kiedy Katharina próbowała uporać się z tym strasznym widokiem, z mgły wychynęły za nim drugi i trzeci statek.

Dostrzegłszy nowych przeciwników, mężczyźni przestali wiosłować i drakkar się zatrząsł. Na chwilę zapadła niesamowita cisza, bo wojownicy zrozumieli, w jak perfekcyjną wpadli pułapkę.

I to, że ich los był przypieczętowany.

Katharina nie miała wątpliwości, że Fenrir z jego zahartowaną w bojach załogą mógł pokonać taki statek jak Burzyk, niezależnie od tego, jak wielu żołnierzy tamten miał na pokładzie, ale na utrzymanie się wobec trzykrotnej przewagi wroga nie mieli szans.

Na żadnej twarzy nie widziała strachu. Ansgar pociągnął ją za sobą na dziób, gdzie stał ich dziadek, i teraz zobaczyła także Wulfgara. Ogromny wiking z jednej strony wsparł się na wygiętej ku górze stewie dziobowej, drugą zaś ręką oparł się o krawędź tarczy w na pozór niedbałej postawie, która z nieco większej odległości wyrażała pewność siebie i niezachwianą wiarę we własną siłę. Lecz Katharina widziała, że było zgoła inaczej. Wulfgar drżał. Ledwie starczało mu sił, żeby stać na nogach.

- Co mu jest? - zapytała.

Ansgar przestraszonym spojrzeniem dał jej znać, żeby umilkła, mimo to odrzekł ściszym głosem: - Rana cięta po mieczu Ellsbuscha. Otworzyła się i jest w gorszym stanie niż kiedykolwiek.

Myślę, że on umiera.

Czy w głosie Ansgara brzmiał prawdziwy smutek? Żal za Wulfgarem, człowiekiem, który go porwał i o mały włos nie doprowadził do zagłady całej rodziny?

- Mimo wszystko jest jego dziadkiem, dziecko - powiedziała Jo-run, która podeszła do nich bezgłownie. - I twoim zresztą też.

Stropiona spojrzała na górującego nad nią Wulfgara, ale on, najwyraźniej niczego nie usłyszawszy, z kamienną twarzą przyglądał się nadciągającym okrętom.

Burzyk zwolnił, podczas gdy dwa pozostałe statki skręcały teraz na prawo i na lewo, żeby im odciąć wszelką drogę ucieczki; może również, żeby zakleszczyć Fenrira. Jeśli jednak Wulfgar pojmował znaczenie tego manewru, nie dał tego po sobie poznać, podobnie jak Erik, który, o dziwo, choć poważny, wcale nie wyglądał na zmartwionego.

On także przez moment z zastygłą miną przyglądał się wrogiej flocie, po czym westchnął głęboko i wymieniwszy z bratem długie spojrzenia, odwrócił się z jeszcze głębszym westchnieniem, żeby spojrzeć na Wulfiborg.

Na pomoście stała już tylko garstka obserwujących ich z uwagą ludzi, czekających na ostatni akt tego okrutnego przedstawienia.

Większość zniknęła jednak na powrót za palisadą, a wiatr niósł ich podniecone głosy i pokrzykiwania, czasem także dudnienie albo dźwięczny szcęk.

- Co... oni robią? - spytała zaniepokojona Katharina.

- To, co zawsze po skończonej walce robią najemnicy - odrzekła z pogardą Jo-run. - Plądrują.

Katharina rzuciła Wulfgarowi spojrzenie pełne strachu. Ów mniej kochany z jej nowych dziadków odwrócił się i spojrzał w kierunku drewnianej twierdzy, która przez ostatnich dziesięć lat była jego domem. Dziewczynie nie mieściło się w głowie, żeby nie obeszło go to, co działo się z kasztelem - nawet jej zakreśliły się w oczach łzy, gdy ujrzała zwęglone ruiny Ellsbusch, w którym nie zaznała ciepła domowego ogniska - a jeśli coś poczuł, to nie dał tego po sobie poznać.

- A... a jeśli pomówię z baronem? - wydusiła z siebie. - Mogę mu powiedzieć, co się wydarzyło! Nie musi dojść do rozlewu krwi! Jeszcze nie jest za późno!

Wulfgar pochylił głowę i spojrzał na nią w milczeniu, coś zmieniło się w jego wzroku, lecz nie umiała powiedzieć, co.

- I zostanę z tobą! - dodała z rozpaczą. - Obiecuję ci to! Na resztę mojego życia zostanę z tobą i twoim klanem. Przysięgam, na Boga i... i na Odyna i na Węża Midgardu!

-Milcz, dziecko - rzekł Wulfgar. Powiedział to jednak cicho, niemal delikatnie, a po jego twarzy przebiegł cień uśmiechu. Potem z wyraźnym wysiłkiem naprężył ramiona, uniósł rękę i tubalnym głosem zawołał: - Teraz!

Na pokładzie zatliły się nagle czerwone iskierki, a te w mgnieniu oka zmieniły się w płonące groty strzał, które mężczyźni założyli na cięciwy łuków. Nie czekając na rozkaz Wulfgara, wystrzelili je w kierunku twierdzy Dwie lub trzy strzały, chybiając celu, wpadły do wody, lecz większość z nich spadła ognistym deszczem na Wulfiborg, znikając za niską palisadą lub wbijając się w drewniane ściany budowli.

W ciągu jednego, uparcie długiego uderzenia serca nic się nie działo.

Wtem Wulfiborg eksplodował.

Wszystko trwało niewiarygodnie krótko, krócej niż mrugnięcie oka. Krócej niż czas, jakiego Katharina potrzebowała, żeby zrozumieć, skąd niósł się ten ostry zapach wokół. W niespełna dziesiątku miejsc rozkwitły nagle maleńkie, aż nieznośnie jaskrawe pióropusze ognia i cały ogromny budynek z rozrywającym hukiem stanął w pożodze. Z okien i drzwi bryznął szkarłatny ogień, zapalone drzazgi wylatywały w powietrze niczym śmiertcionośne pociski, grzmiąły coraz to nowe, donośniejsze eksplozje, w górę strzelały płomienie i dym, mnożyły się rozbłyski pożarów, które zdawały się pożerać drewniany zamek szybciej, niż nadażał wzrok. Gdziekolwiek spojrzeć, zataczały się z krzykiem gorejące postacie, wypadały zewsząd, rozpaczliwie wymachując rękami, rzucały się do wody, żeby ugasić trawiące je żywcem płomienie.

Lecz najgorsze miało dopiero nadejść. Katharina stała jeszcze jak sparaliżowana, usiłując zrozumieć, co się dzieje, gdy raptem coś śmignęło, jakby z nieba spadła ognista gwiazda. Potężny wybuch rozerwał na kawałki niemal połowę głównego budynku i rycząca chmura krwistoczerwonych płomieni potoczyła się ku niebu, jak gdyby chcąc podpalić firmament.

Nawet czas na moment wstrzymał oddech. Wodę, statek, wszystko i każdego na pokładzie oblało migotliwe purpurowe światło, niby cienką powłoką jaśniejącej krwi i mimo wzmagającego się zgiełku ginącej twierdzy zdawała się nawracać upiorna cisza, jakby pogłos rozpetanego ludzką ręką spustoszenia nie tylko zagłuszył wszystkie inne dźwięki, ale je po prostu zmasał.

Wtedy z pozostałych statków doleciał ku nim przez wodę jazgot głosów równie strwożonych co rozwścieczonych. Katharina oderwała się nieprzytomnie od widoku gorejącego na brzegu Wulfgarowego inferna, aby spojrzeć na Burzyka i jego dwa siostrzane statki. Ruszyły z miejsc i dziewczyna zobaczyła przebiegającą po szeregach zbrojnych mężczyzn na pokładach statków falę poruszenia, jakby mocniej ujęli swój oręż, gotując się do pomszczenia losu swoich towarzyszy na lądzie.

Nie dostali na to jednak szansy. Bo oto na całym brzegu zatliły się iskry, które zaraz zmieniły się w pochodnie i założone na cięciwy łuków płonące strzały, również za Burzykiem i dwoma pozostałymi statkami powstał znieścacka ruch tam, gdzie nie powinno być żadnego. Coś wielkiego, ciemnego i groźnego oderwało się od brzegu zalesionej wyspy i obróciwszy się, skierowało swój rozwarty smoczy pysk na Burzyka i jego towarzyszy. Odleciały na bok niepotrzebne już do kamuflażu krzewy i gałęzie i trzy tuziny wiosł z mocarnym płaszczykiem opadły do wody, podczas gdy za niskim murem z tarcz przy burtach rozgorzały iskry i płomienie, gdy zapalano pochodnie i zakładano na łuki strzały zapalające. Nim ów pierwszy statek w pełni się obrócił i obrał kurs, dwa inne wykonały ten sam manewr, stawiając Burzyka i dwa towarzyszące mu statki wobec przytłaczającej przewagi.

Katharina raz jeszcze przeprosiła w myślach Erika za to, że uwierzyła, iż zostawiłby w potrzebie Ansgara - lub też ją. Nie tylko wrócił, aby pertraktować z bratem, ale i przywiódł ze sobą wszystkich swoich wojowników. Zbliżające się z szybkimi uderzeniami wiosł trzy statki to były Urd, Skuld i Werdandi, łodzie Erika, obsadzone jego ludźmi.

- Przykro mi, że musisz na to patrzeć, Karo - rzekł cicho Wulfgar. - Nie dają nam wyboru. - Znowu podniósł rękę, tym razem nie musiał nawet wypowiadać rozkazu.

Jeden ze stojących za nim ludzi wystrzelił w powietrze płonąca strzałę, a nim dotarła do najwyższego punktu drogi, od brzegu i pokładów trzech statków i Fenrira oderwały się tuziny zapalonych strzał.

Oba siostrzane statki Burzyka uszły pierwszej salwie; przynajmniej w większej części. Prawie wszystkie strzały poleciały zbyt krótko i nieszkodliwie zgasły w wodzie. Tylko jedna wwierciła się w rufę jednego ze statków, gdzie jednak nie wyrządziła żadnej szkody, druga zaś trafiła wojownika w przedramię, natychmiast podpalając odzienie, ale jego towarzysze od razu ugasiли ogień.

Statek Guthenfelsa miał mniej szczęścia, bo już wcześniej znalazł się w polu rażenia Fenrira. Zaledwie niespełna tuzin mężczyzn wzniosło łuki i wystrzeliło ogniste strzały, te jednak bez wyjątku trafiły celu. Trzej, czterej zbrojni wojownicy



złamali się w pół i płonąc jasnym płomieniem, wypadli za burtę, pozostałe zaś strzały wbiwszy się w kadłub lub prostokątny żagiel, w mgnieniu oka je podpaliły.

- Wycofać się! - rozkazał Wulfgar. Znowu zaświszczały ciężki łuków, żeby cisnąć ognistą śmierć na pokład Burzyka, ale większość wojowników chwyciła za wiosła i pojedynczym ruchem wstrzymała rejs Fenrira; po drugim, jeszcze silniejszym szarpnięciu drakkar rzeczywiście zaczął płynąć wstecz, tym razem jednak większość strzał chybiła celu, bo też strzelcy, zamiast koncentrować się na celowaniu, starali się zachować równowagę.

Lecz ten manewr prawdopodobnie ich ocalił, bo w swej desperacji Burzyk spróbował teraz ruszyć z miejsca, żeby staranować mniejszą odeń smoczą łódź, uderzając w środek jej kadłuba. Na Fenrira spadał deszcz strzał i włóczni, wszystkie źle wycelowane, prawie nie powodując szkód, ale Burzyk zdawał się ich teraz dopadać z dziesięciokrotnie większą prędkością, ogromniejąc przy tym w oczach. W tym momencie ostatni mężczyźni odrzucili swoje łuki i wspomogli swą siłą wiosłujących, wywołując tak ostre szarpnięcie statku, że Katharina zaczęła rozpaczliwie wymachiwać ramionami, żeby utrzymać równowagę. Pewnie by upadła, gdyby nie Ansgar, który złapał ją obiema rękami i podtrzymał.

Wobec trzeciego, jeszcze sroższego wstrząsu, jaki w następnej chwili trafił Fenrira z impetem uderzenia boskim młotem, Ansgar nie mógł już nic zrobić. Wstrząs zwałił z nóg nie tylko ich oboje, ale prawie wszystkich na pokładzie, a kiedy Katharina upadała, zobaczyła, jak ogromny Burzyk przemknął tak blisko drakkara, że odrąbał mu jak ciosem topora stewę zwieńczoną smoczą głową.

Bezradnie upadła na plecy, lądując tak twardo na Ansgarze, że usłyszała, jak trzaskają mu żebra, i pewnie tylko dlatego ciężko się nie raniąc, po czym wygramoliła się na czas, aby ujrzeć, jak pół tuzina ludzi Guthenfelsa zeskoczyło z wysokiego pokładu ich statku na Fenrira.

Nie wszystkim się udało. Dwóch mężczyzn źle wymierzyło skok i wpadło do wody, gdzie w mgnieniu oka zatonieli, wciągnięci przez swoje ciężkie kolczugi i zbroje. Trzeci wylądował tak nieszczęśliwie, że złamał nogę, co dziewczyna wyraźnie usłyszała. Zaledwie chwilę później stanęli nad nim wojownicy Wulfgara.

Także ci, którym udało się lepiej skoczyć, zapłacili za swą śmiałość życiem. Gdyby w ich ślady poszli kolejni żołnierze, być może mieliby nawet szansę na pokonanie załogi Fenrira przez zaskoczenie, jednakże posiłki, na które liczyli, oddalały się na pokładzie Burzyka z każdą chwilą coraz bardziej, więc w sekundzie padli ofiarą mieczy i włóczni Normanów. Sam Wulfgar jednym ciosem topora zabił ostatniego człowieka i zepchnąwszy zwłoki za burtę, wyzywająco zamachał odpływającemu Burzykowi toporzyskiem.

Coś też wykrzyczał, ale były to słowa w jego ojczystym języku, których Katharina nie zrozumiała... a nawet gdyby, toby nie słuchała.

Wszystko wokół wirowało. Serce biło jej tak szybko, że ledwo mogła złapać oddech i chyba ugryzła się w język, bo poczuła w ustach smak krwi. Cały świat stał w płomieniach, a wszystko, co słyszała, to krzyki umierających i rannych, szcęk mieczy i nieustanne świszczenie ciężki. Tymczasem w ogniu stanęły także pozostałe dwa statki, wzięte w krzyżowy ogień przez łuczników na brzegu i tych na pokładzie innych smoczyc łodzi. Coraz więcej ludzi odrzucało broń i uwalniało się od swoich kolczug i zbroi, aby skacząc do wody, wynieść stamtąd cało głowę, ale chyba niewielu się to udało.

Kiedy Katharina odwróciła się rozedrgana, natychmiast stanęła twarzą w twarz z kolejnym okropieństwem, bo także los Burzyka wydawał się przypieczętowany. Jego desperacka próba staranowania w samobójczym ataku zwinniejszego drakkara doprowadziła go do zguby. Statek nazbyt się rozpędził, by się zatrzymać przed brzegiem, a podjęte przez załogę rozpaczliwe usiłowania zmiany kursu zwiększyły tylko rozmiar katastrofy. Niedaleko płonącego Wulfiborga Burzyk pod ostrym kątem uderzył w brzeg i wślizgnąwszy się na niego spory kawał, ociążale przechylił się na bok. Przez moment wyglądało na to, że ten potężny statek wywróci się na brzeg jak rzucona przez dziecko na ziemię łódka-zabawka, potem wyprostował się, powolnie jak ranny byk, rozrzucając na boki strzaskane szczątki i płonące ożagłowanie. Nawet z tej dużej odległości słychać było pęknięcie drewna, kiedy kadłub pod własnym ciężarem po prostu rozpadł się w kawałki.

- Naprzód! - rozkazał Wulfgar. - Mamy ich! Teraz zadamy im śmiertelny cios!

- Nie! - krzyknęła Katharina. - Już nie! Przecież wygraliśmy!

Czego jeszcze chcecie? - W desperacji próbowała rzucić się Wulfgarowi do ramienia, lecz wiking zbeształ ją, odepchnąwszy ruchem tak szorstkim, że nieomal upadła: - Milcz, dziecko! To nie twoja sprawa! I nie waż się nigdy więcej mówić do mnie takim tonem, zrozumiałaś?

Zamilkła, mimo to zamierzała wściekle się odciąć i uczyniłaby to, gdyby Erik nie położył jej ręki na ramieniu i

spiesznie nie pokręcił głową.

- Zostaw to, Karo - powiedział. - On ma rację. To nie ma nic wspólnego z tobą. A i tak jest już za późno. Stanie się, co ma się stać.

Katharina gniewnie strząsnęła jego dłoń i spiorunowała go wzrokiem, lecz Erik raz jeszcze pokręcił głową, spojrzaniem dał znak Ansgarowi, żeby na nią uważał, i stanął u boku swego brata.

-Ależ to... to nie może się stać! - wyjąkała Katharina. - Nie może tak być! Muszą przestać!

- To już się przecież dzieje - odrzekł smutno Ansgar, lecz kiedy chciała mu się wyrwać, przytrzymał ją ze zdumiewającą siłą. -I dobrze. To się musi kiedyś skończyć.

Zdawało się, że koniec jest bliski. Zgiełk i blask ognia za ich plecami świadczyły o tym, że bitwa na rzece - co, do której wyniku nie było wątpliwości - szalała z niesłabnącą zaciekłością, jednak Fenrir tymczasem skręcił i szybkimi uderzeniami wiosel obrał kurs na osiadły statek. Co najmniej połowa załogi Burzyka, którego część takielunku i kasztel rufowy ciągle jeszcze płonęły, wyskoczyła już za burtę lub wyratowała się, dotarłszy z wody na brzeg, ale była też niewielka grupka dzielnych obrońców, którzy zgromadzili się wokół barona zu Guthenfelsa, żeby chronić swego pana z odwagą, jaką daje rozpacz.

Podobnie jak większość aktów desperacji, znaczył on niewiele więcej niż gest. Kilkoma mocnymi uderzeniami wiosel Fenrir podpłynął równolegle do większego statku i wojownicy, na czele z walczącymi ramię w ramię Wulfgarem i Erikiem, zaatakowali abordażem. W ciągu kilku chwil równie dzielna co głupia garstka obrońców została z łatwością obezwładniona i w końcu, przynajmniej tutaj, walki ustały. Nieliczni, którzy przeżyli, złożyli broń, a ku uldze Kathariny wojownicy Wulfgara zrezygnowali z zabicia jeńców; czego się spodziewała po tym, co zaszło w Ellsbusch. Ucichły krzyki i szcęk broni, przez moment słycać było tylko odgłosy rzeki, ciężkie uderzenia żagla i trzaskanie płomieni, a niekiedy jęk rannego.

Od rzeki nadal dochodziła do jej uszu wrzawa rzecznej bitwy, ale Katharina nie miała już siły, żeby się odwrócić i ponownie stawić czoła temu widokowi. Oba statki były skazane na zagładę, podobnie jak każda dusza na pokładzie. Za jej plecami ginęli ludzie, dziesiątki, jeśli nie setki, i nie dbała o to, co starali się jej wmówić Erik, Ansgar lub jej własny rozum. W głębi duszy uważała, że za całe to nieszczęście, za wszystkie cierpienia, ból i strach, i każde bezsensownie zgładzone życie winę ponosiła tylko ona.

I oto po raz pierwszy od lat - może nawet w ogóle pierwszy raz bez nakazu - Katharina zaczęła się modlić. Błagała Boga, żeby to zabijanie wreszcie się skończyło i nastąpiła cisza.

Długo trwało, zanim Bóg usłyszał jej błaganie.

Słońce weszło już jakiś czas temu, ale jaskrawy blask płonącego zamku nadal bez trudu przyćmiewał jego światło, dlatego ten nowy dzień wydał się Katharinie ponurym zmierzchem. Nawet tutaj, w odległości dwóch dobrych strzałów z łuku od wciąż płonącego stosu, który kiedyś był Wulfiborgiem, najdalej, jak się dało bez wchodzenia do lasu, gorąco było jeszcze tak duże, że piekła ją twarz po stronie zwróconej do ognia, tak że stale musiała ocierać łzy z oczu. Jakby tego wszystkiego było mało, wielki pożar dostał teraz mniejszego, ale nie mniej szalejącego brata, bo płomienie z rufy Burzyka rozprzestrzeniły się na cały statek i z sykiem go pożerały.

- Twój dziadek chce cię widzieć.

Katharina zamrugała, żeby pozbyć się kłujących ją jak igły łez, o których z coraz mniejszym przekonaniem wmawiała sobie, że pochodziły od gorąca i jaskrawego światła.

Niewiele to jednak pomogło. Brodata twarz, która wyłoniła się zza mglistych zasłon przed jej oczami, nie była jej znana; zamierzała spytać, którego z jej dwóch dziadków miał na myśli, poprzestała jednak na nieznacznym skinieniu głową i wstała. W zasadzie nie robiło to żadnej różnicy; chociażby dlatego, że podobieństwo między Erikiem a Wulfgarem było dużo większe, niż to sobie wyobrażała.

Jednak zamiast pójść za owym człowiekiem, odwróciła się i zeszła najpierw kilka kroków na dół do rzeki, gdzie usiadłszy w kucki, zmyła sobie krew z rąk. Nie potrafiła określić, od kogo pochodziła - czy od jednego z żołnierzy Guthenfelsa, czy od wojownika z jej ludu, nie miało to znaczenia. Kiedy po skończonej - w końcu - bitwie Jorun i tych kilka kobiet z obozu Wulfgara zaczęły opatrywać rannych, było im zupełnie obojętne, jakie ci nosili szaty i jakie godła. Katharina nie zastanawiała się nawet, czy powinna im pomóc, czy nie, po prostu zaczęła to robić i już wkrótce stało się dla niej jasne, że istniało coś niepomierne gorszego od widoku bitwy. Mianowicie widok pola bitwy po bitwie.

Dziewczyna zobaczyła tylko martwych przyniesionych na brzeg, nie tych, którzy utonęli, ani tych, którzy spłonęli w

ruinach Wulfiborga albo na Burzyku, ale nawet ci liczyli się w dziesiątki, a liczba rannych była bez porównania wyższa. Niektórzy z ludzi, którymi się zajęła, niewprawnie opatrując im rany, mieli nie dożyć następnego dnia, a zbyt wielu innych nigdy w pełni nie wydobrzało po straszliwych ranach, jakie odnieśli.

Gdy obmywała sobie ręce z krwi, jej wzrok smętnie przesuwiał się po wodzie. Cztery smocze łodzie, z których teraz składała się ich mała flota, przybiły do brzegu w pełnym szacunku oddaleniu od płonącej twierdzy, a ponieważ wiatr wciąż zmieniał kierunek, na pokładzie każdego statku pozostała mała załoga, bacznie pilnująca, aby latające iskry nie zapaliły poniewczasie takielunku. Jeden z okrętów Guthenfelsa, w połowie jeszcze nienaruszony, został obsadzony wikingami i wyciągnięty na brzeg lesistej wyspy; drugi osiadł na dnie i zwęglony, mocno przechylony na bok, blokował jedno z dwóch wejść do naturalnego portu. Jeśli popatrzyło się uważnie, można było dostrzec wiele nieruchomych ciał, zaczepionych przy wraku albo w zaroślach przy brzegu. Katharina sądziła, że przerazi ją ten widok, ale się myliła. Odczuwała co najwyżej jakieś tępe odrętwienie; jakby jej zdolność odczuwania bólu i trwogi po prostu się wyczerpała.

- Kara? - Rozpoznała głos Jorun, ale nawet nie podniosła na nią wzroku, ciągle myjąc sobie ręce, choć od dawna były czyste. Kobieta dała jej jeszcze trochę czasu, po czym podjęła łagodnym głosem: - Erik chce cię widzieć. Nie powinnaś kazać mu zbyt długo czekać.

Katharina wstała, wytarła sobie ręce do sucha w suknię i bez słowa poszła za Jorun. Idąc za służącą, usiłowała nie patrzeć na wszystkich tych rannych i zabitych, ale nie mogła nie słyszeć wszechobecnych jęków i lamentów. Przypomniła sobie, co Jorun opowiadała jej wczoraj na temat wojny i żołnierskiego życia. Wówczas tego nie pojmowała, a teraz tym mniej, co też znajdowano w tym fascynującego.

Wielki namiot rozbity przez ludzi Wulfgara na skraju lasu wydał jej się absurdalny. Strzegło go aż czterech chmurnych wojowników z tarczami i włóczniami. Wewnątrz panował półmrok i chłód, i wciąż jeszcze oślepienie blaskiem ognia oczy potrzebowały nieco czasu, żeby się przestawić i zacząć widzieć więcej, niż tylko bezkształtne mary i groźne cienie.

Jak zapowiedziała Jorun, Erik czekał już na nią, także Wulfgar, który jako jedyny nie stał, lecz siedział na stołku. Kathariny nie zdziwiła obecność Guthenfelsa i Guy de Pardeville'a, za to bardzo zaskoczył ją widok ich obu bez szwanku i rozbrojonych, ale nawet nie- związanych. Zaufanie Erika we własną siłę i miecz zdawało się bezgraniczne... albo też Vera miała rację we wszystkim, co mówiła o arystokratkach i władcach: istniał wśród nich rodzaj surowego kodeksu honorowego, który w takiej sytuacji nie dopuszczał nawet myśli o oporze.

- Karo, moje dziecko - powitał ją Erik. Wulfgar milczał, obserwując ją z jego ulubionym wyrazem twarzy, a mianowicie z żadnym.

-Wszystko z tobą w porządku? - ciągnął jarl, po czym przestraszony wciągnął ze świstem powietrze, zobaczywszy krew na jej ubraniu. - Co...?

- To nie jej krew - powiedziała prędko Jorun. - Nie martw się, jest nienaruszona. Pomagała mnie i innym kobietom opatrywać rannych.

- To dobrze - powiedział Erik, mimo to postanowił przekonać się długim i bardzo nieufnym spojrzeniem, czy Jorun aby mówiła prawdę. Następnie potrząśnięciem głowy zmienił temat. - Lecz nie dlatego kazałem cię przywołać, Karo. Jorun opowiedziała nam historię, która... daje mi wiele do myślenia.

- Historię?

- Ty i twoja przyjaciółka, ta dziewczyna od kuglarzy... - wmieszał się zu Guthenfels. - Opowiedz nam, co się z wami działo, po tym, jak was opuściłem.

Katharinę zdumiało trochę, że baron niepytany, a do tego zwyciężony i w niewoli, zabierał głos, ale ponieważ ani Erik, ani Wulfgar nie mieli nic przeciwko temu, po krótkim wahaniu zrobiła jak kazał.

- Zatem wieś była opuszczona? - upewnił się jarl. - I znalazłyście ślady naszych wojowników?

- Moich w każdym razie nie - powiedział Wulfgar.

- Tak, z pewnością! - teraz wmieszał się także Pardeville. - Założę się, że nawet nie znasz tego miejsca!

- Hostenansis jest mi dobrze znane - Wulfgar odpowiedział spokojnie. - Nie mamy żadnych sporów z tamtejszymi mieszkańcami.

- Wydał lekceważący świst. - Zanim coś powiesz, Franku, wiedz, że ci ludzie są zbyt ubodzy, żeby być do nich wrogo usposobionym.

Nie mają nic, co można by im zabrać.

- Poza życiem - parsknął Pardeville.

Guthenfels uniósł rękę, aby położyć kres rodzącej się kłótni, po czym ze zmarszczonym w zamyśleniu czołem zwrócił się do Kathariny. - Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć, dziecko?

- Zupełnie nic - szczerze odpowiedziała dziewczyna. - Ale Vera uważa, że to ktoś inny splądrował Hostenansis. I że wszystkie te rzeczy i ślady zostawiono właśnie po to, żeby zostały odnalezione.

- Czyżby? A któż miałby to zrobić? - parsknął Pardeville.

- Tego nie wiem - odpowiedziała, teraz może nie całkiem zgodnie z prawdą i zebrawszy całą odwagę, spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale wy i wasi ludzie znaleźliście się tam nad wyraz szybko.

- Co to ma znaczyć, ty przekłeta...? - obruszył się Pardeville, po czym z trudem przełknął resztę słów, gdy Erik rzucił mu groźne spojrzenie.

- Vera uważała także, że statek, który nas zaatakował, nie był wcale statkiem naszych ludzi - ciągnęła, kierując teraz swe słowa do Guthenfelsa.

- Czy to prawda? - spytał jarl. Pardeville wydał z siebie pogardliwy dźwięk, a Guthenfels zrobił bardzo skupioną minę, po czym odpowiedział równie zadumany tonem: - Tego nie wiem. Było ciemno, musieliśmy walczyć o życie. Ale to była smocza łódź, a ludzie na pokładzie byli ubrani jak wasi mężczyźni.

- Statek można ukraść, ubrania i broń też - stwierdził Wulfgar.

- Naturalnie, bo przecież smocze łodzie Normanów leżą gdzie popadnie - zadrwił Pardeville, po czym przemówił gniewnie do Erika. - O co ci chodzi, wikingu? Chcesz powiedzieć, że nie ponosicie żadnej winy za to, co się stało? Że brat twój nie jest zbirzem i łupieżcą, że w rzeczywistości jest misjonarzem i dobroczyńcą, pa-nem-samo-dobro? - Splunął pogardliwie. - Daj sobie spokój z tą drobiazgowością, wikingu! Dlaczego po prostu nas nie zabijesz, oszczędzając nam tych żałosnych scen.

- Nie chcę waszej śmierci, hrabio - odrzekł Erik opanowanym głosem. - Chcę wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło. Przelano krew.

Zbyt wiele krwi.

- Więcej jej się poleje! - dodał złowróźnie Pardeville. - Waszej krwi, wikingu! Co się tutaj stało, nie przejdzie bez echa ani pomsty.

Możecie mnie spokojnie zabić. Jeżeli moja ofiara przyczyni się do tego, że ludzie tutaj w końcu zrozumieją, kim naprawdę jesteście, to moje życie jest tego warte!

Erik już miał odpowiedzieć, lecz Guthenfels przerwał mu, smutno kiwając głową. - Tak mi przykro, stary przyjacielu - powiedział - ale hrabia Pardeville ma rację. Dzisiejsze wydarzenia będą mieć tragiczne konsekwencje. Ludzie zapomną, dlaczego tak się stało. Będą mówić o tym, co się zdarzyło. O tym, że flota wikingów zaatakowała żołnierzy cesarza, zabijając setki z nich. - Zamilkł na moment i coś zmieniło się w jego spojrzeniu, choć Katharina nie potrafiła określić, co. Nie było w nim już gniewu, ani nawet wyrzutu, tylko...

Nie. Nie udało jej się odczytać wyrazu jego oczu, ale wyczuła, z jakim trudem przychodziło nagle Erikowi wytrzymać jego spojrzenie.

- Dlaczego, Eriku? - zapytał. - Dawniej byliśmy przyjaciółmi.

Teraz stoimy naprzeciwko siebie z mieczami w dłoniach. Jak sprawy mogły zajść aż tak daleko? Dlaczego ze mną nie rozmawiałeś, zamiast zwabiać nas w pułapkę i kazać ginąć tak wielu ludziom?

- Mój brat przybył tutaj ze swoimi wojownikami, żeby mnie zaatakować i uwolnić wnuka - odpowiedział Wulfgar, nim Erik zdążył cokolwiek powiedzieć. - Trzeba wam było tylko odczekać, głupcze, a byśmy się nawzajem pozabijali.

Na moment zrobiło się tak cicho, jak gdyby każdy ze zgromadzonych wstrzymał oddech; w każdym razie Katharina tak zrobiła.

- Czy to... prawda? - wychrypiała w końcu.

Erik nadal milczał, ale Wulfgar odpowiedział: - Zdaje się, że twój dziadek kocha swoje wnuki bardziej, niż myślałem,

moje dziecko...albo jest bardziej uparty niż ty. Dał mi wybór, albo wydać twój brata, albo pozwolić, by miecz rozstrzygnął, do kogo należycie ty i twój brat.

- A mimo to połączyliście się, żeby walczyć przeciwko nam - rzekł zu Guthenfels.

- Krew nie woda - stwierdził ze wzdrgnąciem Pardeville, nim Wulfgar lub Erik zdążyli odpowiedzieć. - Bóg mi świadkiem, baronie, nigdy nie byliśmy przyjaciółmi i chyba nigdy nie będziemy! Ale otwórzcie wreszcie oczy! Pojmijcie, że miałem rację, ostrzegając przed tymi barbarzyńcami! Wiem, że niezłomnie wierzycie w dobro w ludziach i czyni was to może lepszym człowiekiem, niż ja kiedykolwiek będę.

Lecz w tym punkcie mylicie się, baronie! Nie zmienicie tych dzikusów! Ubrać ich w inne szaty i kazać im się modlić pod urągającym Bogu krzyżem to jeszcze za mało, by zrobić z nich szczerych chrześcijan. Bez względu na pozory zawsze pozostaną krwiożerczymi barbarzyńcami! Co musi się jeszcze zdarzyć, żebyście to w końcu zrozumieli?

- Trzymaj język na wodzy, Franku - warknął Wulfgar.

- Dlaczego? - parsknął Pardeville. - W przeciwnym razie mi go obetniesz?

- Kusząca myśl - odparł Wulfgar. - Z drugiej strony... odrąbaliście mojemu statkowi głowę. Zastanawiam się, czy nie powinienem jej wymienić na twoją.

- Przestań - rzekł Erik, głośno, ale raczej z rezygnacją niż ze szczerym gniewem. - To do niczego nie prowadzi. Słyszeliście, co powiedziała moja wnuczka, baronie, usłyszeliście też historię, którą miała do opowiedzenia Jorun. Cóż zadecydujecie?

- Obawiam się, że moja decyzja nie będzie mieć znaczenia - odrzekł ze smutkiem Guthenfels. - Wierzę wam. Wierzę też waszej wnuczce i jestem nawet gotów uwierzyć waszej służce, chociaż ją ledwie znam. Lecz kto oprócz mnie to uczyni? Słowo wiejskiej dziewczynki i pomocy kuchennej, która chce się zemścić na swoim panu?

Zrobię, co tylko będę mógł dla was i waszej rodziny, jednak obawiam się, że to nie wystarczy.

Erik skinął głową. Na jego obliczu nie było widać rozczarowania, ani nawet zaniepokojenia. - A zatem decyzja zapadła.

- O sposobie, w jaki nas zabijecie? - spytał Pardeville.

- Opuszczamy wasz gościnny kraj - rzekł na to Erik. - Wszyscy, jeszcze dziś. Wy i baron zu Guthenfels będziecie nam towarzyszyć.

-Jako zakładnicy? - spytał de Pardeville.

-Jeśli chcecie to tak nazwać. - Erik wzruszył obojętnie ramionami.

- Jak tylko dopłyniemy do ujścia Renu, puścimy was wolno. Macie na to moje słowo. Oraz słowo mojego brata.

Wulfgar skwitował to milczeniem, a twarz Pardeville'a wykrzywiła się szyderczym grymasem.

- Niejeden poczyta tę ucieczkę za przyznanie się do winy - zauważył Guthenfels.

- Wiem - odparł Erik. - Ale czy mamy jakiś wybór? Jak sami powiedzieliście, nikt nam nie uwierzy. Wyprostował się. - Wnieśmy rannych na pokład i skremujemy naszych zabitych, a potem odpłyniemy.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł z namiotu, a Katharina zrazu puściła się za nim, lecz po kilku krokach zatrzymała się i poczekała, aż wszyscy pozostali wyjdą z namiotu. Pardeville'a i barona natychmiast wzięli między siebie czterech wojowników, dotychczas z pozoru strzegących jedynie namiotu, Wulfgar wyszedł ostatni. Szedł powoli, dziewczynę uderzyła sztywność jego kroków.

Gdy wcześniej Ansgar powiedział jej o jego złym stanie, uznała, że przesadzał, teraz jednak nie była już tego taka pewna.

Ponieważ nikt nie odezwał się do niej słowem, dołączyła do Jorun, by dalej pomagać przy rannych, ale nie zdążyła dojść do brzegu, gdy podbiegł do niej Ansgar, wymachując z ekscytacją ramionami.

- Statek! - krzyknął. - Płynie jakiś statek!

Zaskoczona - i na powrót trochę zaniepokojona - Katharina spojrzała na wodę, lecz nie dostrzegła żadnego statku; w każdym razie żadnego, którego nie byłoby tam przed godziną. Chłopak powtórzył jednak swoje słowa jeszcze głośniejszym i z jeszcze większą ekscytacją, a zewsząd już nadbiegali mężczyźni, wśród nich także Erik, Wulfgar i dwóch rycerzy z ich strażnikami. Stało się coś dziwnego, choć niemal nikt nic nie mówił, a Erik uczynił jedynie kilka bezgłośnych, jakkolwiek

rozkazujących gestów, Katharina wyczuwała napięcie, jakie narosło wśród wojowników Erika i Wulfgara. Liczne zmartwione twarze zwracały się ku wodzie, a ręce opuszczały się na miecze lub sięgały po tarcze.

- Co się dzieje? - zapytała, kiedy Ansgar znowu się do niej przyłączył, jak wszyscy inni w napięciu i z frasunkiem na twarzy, wyglądając na rzekę.

Jej brat wzruszył tylko ramionami. - Kapitan Werdandi zasygnalizował tylko, że zbliża się jakiś statek - odparł. - Też nie wiem więcej. - Westchnął. - A myślałem, że już się skończyło.

Katharina przełękła się.

- Chcesz powiedzieć, że to... kolejny statek pełen żołnierzy?

- Jeżeli tak jest, to zatopimy go jak wszystkie pozostałe - zaperzył się Ansgar.

To przstraszyło ją jeszcze bardziej, ale widziała, że chłopak nie odpowiedziałby na żadne już pytania, więc cierpliwie czekała, choć z trudem jej to przychodziło. Upłynął jeszcze boleśnie długi czas, zanim Werdandi kilkoma zamaszystymi uderzeniami wiosł otworzyła wejście do portu, które do tej pory blokowała, i wpłynął nowy statek.

Katharina wytrzeszczyła oczy z niedowierzania.

Nie był to kolejny statek wojenny, przybywający na odsiecz Guthenfelsowi czy Pardeville'owi. Ta łódź była znacznie mniejsza, miała czerwono-biały prążkowany żagiel i z artystycznym wyrzeźbioną smoczą głowę, a napędzana była nie tylko siłą wiatru, lecz także mocą dwóch tuzinów wiosł; jakkolwiek nieco chybotliwych, jakby załoga nie była przyzwyczajona do obchodzenia się z nimi.

W dodatku postacie na pokładzie nie miały na sobie czarnych skór, żelaza ani futrzanych płaszczy wikingów, lecz wielobarwne szaty, a na głowach chusty i kapelusze w kolorach, z których niektóre zdawały się wprost krzyknąć.

- Ki diabeł? - rzucił Pardeville.

Erik najwyraźniej chciał go uciszyć gniewną uwagą, lecz Guthenfels go uprzedził. - Wyraziłbym to inaczej - powiedział. - Lecz zaiste... co to ma znaczyć, Eriku?

- Nie wiem - zaczął jarł, wtem wybałuszył oczy i ze świstem wciągnął przez zęby powietrze. - Na Odyna! Toż... to Heimdall!

Choć nie miało to żadnego sensu, Katharina wiedziała, że Erik się nie mylił. Ten smukły drakkar rzeczywiście był tym samym, który ostatni raz widziała na bagnach w pobliżu zamku, zaś kolorowo ubrane postaci za burtą to nikt inny jak Vera i jej przyjaciele wagabundzi.

Ale na wszystko w świecie - co oni tutaj robili?

Mało brakowało, a nigdy nie otrzymałaby odpowiedzi na to pytanie - albo przynajmniej nie tak prędko - bo nowa załoga statku niemal natychmiast udowodniła, że rzeczywiście była nowa (i nieszczególnie doświadczona). Heimdall sunął ku brzegowi na złamanie karku, z jakiegoś powodu na ostatnim odcinku nawet przyśpieszył, choć jego obsada rozpaczliwie próbowała go spowolnić, aż na koniec wystrzelił z wody daleko na brzeg, wywołując nie tylko falę wrzasków przerażenia, ale też istną burzę nerwowego ruchu, gdy ludzie Erika w lansadach czmychali w bezpieczne miejsce, żeby nie zostać rozjechani. Co najmniej dwa wiosła złamały się, kiedy Heimdall przewrócił się na bok z trzaskiem, który zabrzmiał jak jęk, a połowa przypadkowo dobranej załogi fiknęła kozła za burtę lub wpadła do wody. Pozostała jej część poszła za ich przykładem zaledwie chwilę później, mniej lub bardziej dobrowolnie; choć co prawda przynajmniej w przypadku Ardena znacznie bardziej elegancko.

Czarnowłosy kuglarz sprężystym susem wylądował na brzegu kilka kroków obok Kathariny i Ansgara, a zaraz za nim pojawiła się Vera.

Jej skok był niemal tak samo elegancki... może z wyjątkiem lądowania. Bądź co bądź nie wyłożyła się jak długa na piasku, a tylko upadła na jedno kolano i od razu wstała.

- Kto to jest? - chciał wiedzieć Wulfgar. - Kto to jest i skąd wzięli ten statek?

Katharina próbowała podejść do Very i jej brata i przeszła nawet jeden cały krok, gdy wtem jakaś kudłata brązowa rzecz odczepiła się od ramienia kuglarki i naskoczyła na nią ze świdrującym jazgotem.

Chociaż Dwegr ważył niewiele więcej niż duży kot, zderzenie z nim o włos ścięłoby ją z nóg. Trajkocząc z podekscytowania, z miejsca zabrał się do pociągania i szarpania Kathariny, na co Wulfgar wysunął na kilka palców miecz z pochwy u pasa, lecz nie pociągnął go do końca, bo Erik szybko pokręcił głową.

- Czy powinnam być zazdrosna? - spytała Vera, puszczając oko.

Katharinie z niejakim trudem udało się opędzić od nieprzyjemnych dowodów małpiej miłości. - Wręcz przeciwnie - wysapała.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś mogła mnie uwolnić od tego natrętnego potworka. - Próbowwała złapać Dwegra i odciągnąć go od siebie na długość ramienia, ale skończyło się na próbie. W każdym razie jej krótko obcięte włosy wystarczały drobnym małpim palcom, żeby się do nich przyczepić z zaskakującą siłą.

- Kim są ci ludzie? - zapytał ponownie Wulfgar. - I skąd wzięli ten statek? - Przy ostatnim pytaniu podniósł głos prawie do groźby.

- Już mówię - odpowiedziała Katharina. Raz jeszcze spróbowała odepchnąć od siebie Dwegra, ale udało jej się dopiero, gdy Vera wydała z siebie półgłosny gwizd. Obsypując Verę gradem wrzaskliwych obelg, Dwegr jednym susem przeskoczył z powrotem na jej ramię.

To krótkie zamieszanie wystarczyło Wulfgarowi, aby zbliżyć się do kobiety i groźnie nad nią stanąć. - Jak zdobyliście ten statek?

- syknął. - Mów! Skąd macie ten statek?

Jednym, szybkim krokiem Arden stanął między nim a swoją siostrą, lecz Wulfgar niemal przypadkowym ruchem usunął go z drogi i rzucił na ziemię, po czym wrzasnął: - Skąd macie ten statek?!

W powietrzu znowu zawisła przemoc. Żaden z towarzyszy Very nie miał przypasanego miecza ani żadnej podobnej broni, a mimo to zniemacka w ich rękach błysnęły noże, sztylety i inne bez wyjątku spiczaste i ostre przedmioty, i wokół kobiety i jej brata skupiły się błyskawicznie i bezgłośnie dwa tuziny obrońców. Wielu z nich przybrało dziwnie schyloną postawę, która jednak wyglądała jakoś... niebezpiecznie. Ludzie Wulfgara zbliżyli się do nich i wyciągnęli broń.

- Skąd wzięliście tę łódź? - Wulfgar zapytał po raz trzeci, lecz nie dał Verze okazji do odpowiedzi, tylko złapawszy ją lewą ręką za szyję, ścisnął za gardło tak mocno, że oczy wyszły jej z orbit. Arden z wściekłym warknięciem poderwał się na nogi i wyciągnął coś spod koszuli, co do czego Katharina nie była całkiem pewna, czy chodziło o szczególnie krótki miecz, czy też bardzo długi nóż, gdy Jorun odezwała się spokojnym głosem: - Przecież wiesz, Wulfgarze. Mówiłam ci o tym. Kara też.

Wulfgar chwilę jeszcze przytrzymał kuglarke, dając jej bratu powód do zrobienia groźnego kroku w jego kierunku, wreszcie puścił ją i gwałtownie odwrócił się ku pochyłonemu statkowi, którego smoczy łeb wznosił się wysoko nad nim. Oczy jarla zrobiły się jeszcze szersze.

Vera cofnęła się chwiejnym krokiem, sapiąc i łapiąc powietrze, i choć miała spory kłopot z utrzymaniem się na nogach, widząc swojego brata zupełnie poważnie gotującego się do skoku na Wulfgara, lewą ręką wykonała szybki obronny gest. Drugą ręką trzymała się za szyję.

- Zostaw go, Arden - wychrypiała. - To takie... - Zakaszła i za nim mogła mówić dalej, musiała zaczerpnąć kilka głębokich oddechów. - ...takie nasze stare dobre przyzwyczajenie, że staramy się nawzajem pozabijać.

Arden wybałuszył na nią oczy, ale zachował na tyle rozsądku, żeby w obliczu przewagi nie robić nic głupiego, ograniczył się więc do piorunowania Wulfgara wzrokiem. Po Dwegrze, który najwyraźniej jeszcze dobrze pamiętał swoje ostatnie spotkanie z wikingiem, nie było już śladu.

- To Heimdall - wymamrotał Wulfgar, z pozoru zapominając o Verze, jej bracie i wszystkich innych wokół. - Minęło wiele czasu, ale wciąż go rozpoznaję. - Statek Wulfgara! - Wtem odwrócił się i znowu ostrym tonem przemówił do Very. - Skąd go...?

Jednak nie wypowiedział tego zdania do końca. Przez kilka nieskończenie długich, ciężkich oddechów stał zupełnie bez ruchu, patrząc na kuglarke, po czym z niezgrabnym skinieniem obrócił się do Jorun. Jego oczy wypełnił smutek.

- Więc to wszystko prawda.

Jorun przytaknęła w milczeniu.

-I reszta także - odezwał się baron zu Guthenfels.

Niepowstrzymywany przez Erika ani żadnego z jego wojowników, podszedł do statku, odchylił głowę i długo mierzył Heimdalla wzrokiem spoza wąskich szczelin zmrużonych oczu. - To właśnie statek, który nas zaatakował - powiedział w końcu. - Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Rozpoznaję go.

Głęboko wstrząśnięty, odwróciwszy się powoli, obdarzył zadumany spojrzeniem najpierw Verę, potem Katharinę, wreszcie z trudem opanowywanym głosem przemówił do Guy de Pardeville'a. - Cyganka mówi prawdę, Pardeville. To nie statek Wulfgara nas zaatakował.

Pardeville prychnął pogardliwie. - I o czym to ma świadczyć? Po prostu wziął sobie inny statek, żeby nie rozpoznano jego własnej przeklętej wilczej łodzi, tak rzucającej się w oczy!

W jego głosie pobrzmiwała buta, lecz w oczach błąkał się z trudem tłumiony strach.

- Nie wikingowie nas zaatakowali, ale wasi ludzie - oświadczył Guthenfels. - Jak mogliście to zrobić, Pardeville? Wszystko tutaj, wszyscy ci zabici... Czy wasza nienawiść do Normanów jest tak wielka, czy też jesteście po prostu złym do szpiku kości?

- Miarkujcie słowa, baronie - odrzekł chłodno hrabia. - Nie znam tego statku. Czy chcecie przedłożyć słowo dziecka i zbiegłej kuglarki nad moje?

- A gdyby tak było? - spytał Guthenfels.

Pardeville zaśmiał się złowieszczo. - Bylibyście głupi, baronie albo co najmniej naiwni. Przedłóżmy tę sprawę u dworu. Stanę przed sądem, jeśli koniecznie chcecie wyjść na głupca! Zobaczycie, komu uwierzą!

- Prawdopodobnie wam - wtrąciła się Vera. Jej głos brzmiał nieco chropawo. Najwyraźniej Wulfgar nacisnął z całą siłą. Mimo to uśmiechnęła się słabo. - Chyba że zgubi was własna chytryść.

- Co to ma znaczyć? - Pardeville kłapnął zębami. - Jak śmiesz zwracać się do mnie bez pytania!

Vera uśmiechnęła się. Nic więcej nie powiedziała, ale skinęła swojemu bratu, a Arden z kolei dał znak reszcie towarzyszy, na co czterej z nich przywlekli dwóch ludzi ze spętanymi na plecach rękami.

Guthenfels głośno wciągnął przez nos powietrze, a wśród zgromadzonych wojowników rozległ się pomruk grozy i gniewu, bo dwaj więźniowie wyglądali na pierwszy rzut oka jak dwaj z nich.

Na drugi już nie. Wprawdzie nie mieli na sobie futrzanych płaszczy, poza tym jednak bezspornie ubrani byli jak Normanowie, aż po hełm z krótkimi, zakrzywionymi ku tyłowi rogami, wiszący przy pasie wyższego z dwóch mężczyzn. Także miecze, które im pozostawiono - w końcu byli związani - były typowymi wikingowskimi mieczami o krótkiej gardzie i okrągłej głowicy, nie zaś dłuższymi i cięższymi klingami, powszechnymi w tym kraju. Tylko ich twarze do tego nie pasowały. Nie były to twarze Normanów. Jeden był zasuszonym, niskim osobnikiem, mającym w sobie coś ze szczura, drugi wyższym i przysadzistym, lecz o zupełnie nieskandynawskich rysach. Obaj wyglądali tak, jakby zostali solidnie obici, i drżeli ze strachu.

- Znacie tych dwóch? - zapytała Vera. Pardeville w ogóle nie zareagował, czego Vera się widocznie spodziewała, bo zwróciła się pytającym spojrzeniem do Guthenfelsa, który jednak ze swej strony tylko pokręcił głową.

- No cóż, oni znają was - ciągnęła. - W każdym razie tak nam powiedzieli, kiedy zaskoczyliśmy ich na tym, jak zabierali się do podpalenia tego statku dla usunięcia śladów waszej małej szarady.

- To niedorzeczność! - parsknął Pardeville.

- Posłał ich, żeby spalili Heimdalla - ciągnęła Vera niewzruszenie, mówiąc teraz do Guthenfelsa. - Z początku zapomnieli języka w gębie, ale mój brat potrafi być bardzo przekonujący, kiedy chce.

Przyznali, że Pardeville im to zlecił. Brali również udział w ataku na nas.

Pardeville powiedział coś, czego nikt nie rozumiał i na co nikt nie zważał, zaś baron zbliżył się do niższego z dwóch więźniów i przyłożywszy mu rękę pod brodę, zmusił go, żeby na niego spojrzał.

- Czy to prawda?

Mężczyzna zaczął ślinić się ze strachu. Płynąca z ust ślina wymalowywała połyskujący ślad pośród brudu i krwi na jego potłuczonej twarzy. - Tak... tak jest, panie! - wyjąkał. - Ale to nie był nasz pomysł! Naprawdę nie! Graf Pardeville rozkazał nam, musicie mi uwierzyć!

Guthenfels puścił go i wolno odwrócił się do Pardeville'a, który sprawiał wrażenie, jakby pętały go niewidzialne łańcuchy.

- Ten kiep przecież łą! - zagotował się Pardeville. - Spójrzcie tylko na niego! Pobili go prawie do śmierci! Powiedziałby wszystko, co chcą usłyszeć!



-Jeśli to nie wystarczy, zapytajmy dobrych ludzi z Hostenansis - dodała wyniosłe Vera. -Jestem pewna, że przypomnę sobie, co się tak naprawdę stało, gdy dowiedzą się, że leżycie zakuci w łańcuchach i nie możecie im już grozić śmiercią, jeśli nie będą trzymać się historii, którą im surowo nakazaliście powtarzać.

Guy de Pardeville już się nie odezwał. Oczy płonęły mu nienawiścią. Zrobiło się bardzo cicho. Wreszcie tonem spokojnym i zdecydowanym baron zu Guthenfels ogłosił: - Guy de Pardeville'u, aresztuję was za morderstwo, pogwałcenie pokoju w kraju i spisek przeciwko cesarzowi. Udacie się ze mną na dwór, gdzie staniecie przed sądem.

Pardeville długo mierzył go wzrokiem. Nienawiść w jego oczach zmieniła się w coś innego i gorszego, w końcu oderwał spojrzenie od twarzy Guthenfelsa i na moment wbił wzrok w Verę i wreszcie w Katharinę.

- Ty? - powiedział cichym, przepelnionym nienawiścią głosem.

- Jakieś dziecko! Głupi, brudny bękart, który jeszcze kilka tygodni temu nie wiedział nawet, kto był jego matką? Wszystko to stało się tylko przez ciebie! Przekłete przez Boga, głupie dziecko!

Ostatnie słowo wykrzyczał, a potem wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Katharina zrozumiała, co się stało dopiero, gdy było już po wszystkim. Pardeville ryknął, jakby mu ktoś wraził w ciało rozżarzone żelazo, potem zrobił pół kroku w jej kierunku i sięgnął pod kaftan. Jeden z ludzi Erika próbował go pociągnąć do tyłu, ale chybił, a w dłoni Pardeville'a błysnął nagle wąski, polerowany sztylet.

- Ty! - zaryczał przeraźliwym, przechodzącym w dyszkant głosem. Sztylet przemienił się w rozmyty cień, gdy Pardeville, oddalony od Kathariny o mniej niż pięć kroków, cisnął nim z całej siły, z zabójczą precyzją celując w jej serce.

Jednak Wulfgar był szybszy. Jednym płynnym ruchem obrócił Katharinę, odepchnął ją w tył i rzucił się przed nią, aby ją zasłonić, i tak oto ciśnięty z całą mocą sztylet, zamiast wbić się w jej serce, przeszył z chrzęstem kolczugę wikinga i zatopił w jego ciele.

Wulfgar z głuchym jękiem zatoczył się do tyłu, a upadając, pociągnął za sobą Katharinę, zbijając ją z nóg, lecz zanim jeszcze dotknęła ziemi, Guthenfels, dopadłszy Pardeville'a, powalił go jednym potężnym ciosem z pięści. Trzej, czterej wojownicy zerwali się i wzniesli miecze, lecz Erik krzyknął: - Nie! On należy do mnie.

Przez długi moment Katharina nie mogła wyczołgać się spod Wulfgara, który upadając, przygniótł ją w połowie sobą. Czuli się sparaliżowani ze strachu. Ręce znowu miała we krwi i choć jeszcze nie do końca zrozumiała, co naprawdę się stało, jej przerażenie osiągnęło nową, nieznaną jej dotąd jakość, nekając ją cielesnym niemal bólem. Ledwie zauważyła, jak ją pochwyciły jakieś szorstkie dłonie i postawiły na nogi, a jeszcze niewyraźniej, jak kolejni ludzie pochylali się nad Wulfgarem, żeby mu pomóc. Wszystko zdawało się kręcić, jakby świat się raptem zachwiał w posadach.

Jak otumaniona patrzyła na Pardeville'a i pozostałych. Guthenfels stał nad nim z szeroko rozstawionymi nogami, w pozycji, która sprawiała wrażenie, jakby z jednej strony chciał go chronić, a z drugiej ledwo się powstrzymywał, żeby się na niego nie rzucić z furiackim impetem. Więcej niż pół tuzina wojowników z dobytą bronią otoczyło jego i Pardeville'a, ale rozkaz Erika powstrzymywał ich od użycia mieczy.

- Ty przekłety morderco - dyszał Erik. - Ty... - Głos odmówił mu posłuszeństwa. Powoli wyciągnął miecz, podszedł do leżącego grafa i dał mu kopniaka w bok, kiedy ten próbował się pozbierać.

Pardeville zajęczał z bólu i strachu, lecz mimo to zaraz znowu dźwignął się na czworaki i spojrzał na niego gniewnie.

- No już, zabij mnie! - rzucił zuchwale. - Zgładź, żeby każdy zobaczył, jakim jesteś barbarzyńcą!

Guthenfels uciszył go, uderzając z mocą wierzchem dłoni w twarz, tak że Pardeville ponownie upadł, plując krwią i śliną, Erik zaś przystąpił do niego o krok i podniósł miecz, jakby chciał z miejsca uczynić zadość jego żądaniu.

- Eriku! - wykrzyknął przestraszony Guthenfels. - Proszę was, nie czyńcie tego!

Erik zamachnął się jeszcze szerzej, jakby w razie potrzeby gotów był powalić Guthenfelsa na ziemię, gdyby ten nie zszedł mu z drogi, powstrzymał się jednak w połowie ruchu. Miecz zadrżał mu w ręku, a szczęki zacisnęły się tak mocno, że zazgrzytał zębami.

- Rozumiem was, Eriku - ciągnął Guthenfels zaklinającym to nem. - Zasługuje na śmierć, bardziej niż ktokolwiek inny, ale nie teraz! Błagam na wszystko! Pozwólcie mi go postawić przed sądem!

Daję wam moje słowo, że on zginie, ale nie tutaj i nie z waszej ręki!

To by tylko wszystko pogorszyło!

Erik zastygł na niekończącą się chwilę. Wzniesiony miecz gwałtowniej zadrżał w jego rękę, Katharina zaś dostrzegła, jak mięśnie pod jego kaftanem napięły się do granic wytrzymałości. Naraz gwałtownie opuścił broń i jeszcze gwałtowniejszym ruchem się odwrócił.

- Zabierzcie mi z oczu tę kreaturę! - syknął.

Aż czterej jego wojownicy brutalnie porwali Pardeville'a w górę i go odciągnęli, a Erik niedbale odrzucił swój miecz na ziemię i rzucił się ku bratu. Wielu mężczyzn otoczyło powalonego wikińskiego księcia; Jorun ukłękła za nim i złożyła jego głowę na swoim łonie. Jej prawa ręka spoczęła na jego czole, rozłożonymi palcami drugiej próbowała przyciskać ranę w piersi Wulfgara, lecz nie udawało jej się spowolnić strugi krwi. Kiedy Katharina napotkała jej spojrzenie, staruszka pokręciła głową w milczeniu.

Odegnawszy połowę ludzi na bok, Erik opadł na kolana obok swego umierającego brata. Drżąc, wyciągnął rękę do rękkojści sztyletu, wystającego z piersi Wulfgara tuż nad sercem, ale nie odważył się go dotknąć. - Wulfgar - wymamrotał. - Bracie!

Wulfgar mozolnie otworzył oczy. Jego usta złożyły się w jakieś słowo, lecz nie słychać było najcichszego nawet dźwięku, a z ust połała mu się krew. Erik pochylił się i przystawił ucho do samej jego twarzy, a Wulfgar raz jeszcze spróbował coś powiedzieć. Katharina i tym razem nie usłyszała żadnego dźwięku, lecz Erik skinął głową i wyprostowawszy się, rozglądał się przez chwilę, czegoś szukając, wreszcie jego wzrok zatrzymał się na jej twarzy.

- Karo! Podejdź!

Katharina posłuchała, ale z wahaniem, jako że ciężko jej było na duszy. Ten widok ścisnął ją za gardło, a serce kołatało jej tak, że ledwo oddychała. Wulfgar nie był jej przyjacielem. Przeciwnie, był człowiekiem, który wniósł w jej życie największe chyba nieszczęście i najgorsze niebezpieczeństwo, a jednak czuła tępy ból i coś na kształt rodzącego się smutku, o którym wiedziała, że jest tylko cieniem tego, co miało jeszcze nadejść. Gdy niepewnie, z drżącymi kolanami stanęła obok Wulfgara, Erik chwycił ją za ramię i z delikatnym przymusem pociągnął w dół.

- Ona jest tutaj, Wulfgarze - powiedział. - Kara jest tutaj. Przyprawiam ci twoją wnuczkę. - Wulfgar spróbował podnieść rękę, ale udało mu się to dopiero z pomocą Erika. Ręka, którą położył na przedramieniu Kathariny, była szorstka i gorąca jak kamień, który długo leżał na słońcu.

- Karo - wyszeptał. - To... naprawdę... ty.

Katharina chciała odpowiedzieć (nie wiedząc, co), ale nie mogła.

Głos odmówił jej posłuszeństwa, a oczy napełniły się palącym żarem.

- Zdejmij... suknię... dziecko - szepnął Wulfgar. - Niech cię... zobaczę.

Zrazu Katharina nie rozumiała, co miał na myśli, potem jednak odwróciła się i ściągnęła suknię z lewego ramienia. Ręka Wulfgara dotykała jej pleców niczym gorąca tarka, lecz nawet przez opuszki jego palców wyczuwała, jak szybko i z jakim wysiłkiem pulsowało mu serce.

- Więc to prawda - szepnął, podczas gdy czubki jego palców obrysowywały zarysy czerwonego znamienia pod jej lewą łopatką; Węża Midgardu.

- Naprawdę... nią... jesteś. Zatem na koniec... przepowiednia...jednak się spełni.

I z tym słowami umarł.

\*\*\*

Baron zu Guthenfels zaofiarował i tak już poważnie uszkodzony ostatni statek jego małej floty, ale wszyscy zgodzili się bez zastrzeżeń, że był tylko jeden właściwy wybór. Tak więc Fenrir i Werdandi odholowały Heimdalla na środek rzeki. Erik zaś jednym uderzeniem topora odciął ostatnią linę, a odczekawszy, aż pozbawiony kapitana statek obróci w nurcie swój smoczy łeb i z wolna podejmie rejs, podpalił go pojedynczą dobrze wypuszczoną strzałą.

Teraz Heimdall oddalał się powoli od małej wyspy na Renie, na której się zebrali, aby pożegnać brata Erika, dziadka Kathariny i wielkiego wojownika. Czarny dym podniósł się z rufy niewielkiej smoczej łodzi i zmieszał na niebie z dymem płonącego nadal Wulfiborga. Spomiędzy niego zamigotały już jednak pierwsza czerwień i oranż płomieni liżących ułożone w stos na pokładzie Heimdalla suche gałęzie. Zwłoki Wulfgara leżały na środku statku na zbudowanym

przez samego Erika płaskim podwyższeniu z nasączonego olejem drewna; Katharina pamiętała jeszcze zaskoczone spojrzenia licznych wojowników, a nawet Ansgara i Jorun, kiedy Erik pozwolił sobie przy tym pomóc jedynie baronowi Guthenfelsovi.

Podczas gdy porywany pędem nurtu statek coraz bardziej przyśpieszał, płomienie wgrzyzały się coraz dalej w pokład, liżąc najpierw maszt i mocno napięty żagiel, posuwając się po nich w górę, aż w końcu sięgnęły stosu Wulfgara, gdzie raptownie eksplodowały słupem ognia prawie do półtorej wysokości masztu. W mgnieniu oka Heimdall zmienił się w ogromny, pływający stos, którego blask z łatwością przyćmił nawet słońce na niebie.

Wokół Kathariny podniósł się chór mruczących głosów, które w pierwszej chwili wzięła za reakcję przestraszonych ludzi na widok słupa ognia i oślepiającego blasku płomieni, ale głosy nie ucichły, mruczenie i szepty przybrały nawet na sile, aż wreszcie rozpoznała niezwykłą, dziwnie melancholijnie nastrojającą melodię i zrozumiała, że przysłuchiwała się pieśni, którą wikingowie zaintonowali na cześć zmarłego przywódcy. Pieśń stała się głośniejsza, a jednocześnie poczęła się zmieniać na smutniejszą i do czegoś zagrzewającą.

Wreszcie Katharina zdała sobie sprawę, że była jedyną, która nie przyłączyła się do śpiewu; może z wyjątkiem Guthenfelsa, który z nieporuszoną twarzą stał obok Erika, w milczeniu składając hołd odpływającemu statkowi. Nawet stojący obok Ansgar, głosem jasnym i zaskakująco czystym, śpiewał z innymi żałobną pieśń, ani na chwilę nie odrywając wzroku od płonącego Heimdalla.

Ponieważ nagle poczuła się nie na miejscu, wycofała się cicho z grupy wikingów, idąc tyłem, w końcu odwróciła się i przeszła do małego obozu po drugiej stronie wyspy, gdzie zatrzymali się Vera i jej klan. Kuglarze siedzieli razem w małych grupkach, gadając lub grając w jakieś gry, których sens nie był dla niej oczywisty - jakoś nikt się nie śmiał - albo byli zajęci pakowaniem skromnego bagażu, który ze sobą przywieźli, a na który składało się niewiele więcej niż to, co mieli na sobie i nieco żywności. Vera i jej brat siedzieli przy prawie wypalonym już ognisku, kuglarka piekła nad nim jakieś małe zwierzę, które zapewne złapała właśnie tutaj na wyspie. Usłyszawszy kroki Kathariny, Arden wstał i oddalił się. Vera obserwowała go przez chwilę, marszcząc czoło, ale potem uśmiechnęła się do dziewczyny i przywołała ją ręką.

- Czy zdenerwowałam twojego brata? - spytała Katharina, z wahaniem siadając przy ogniu. Dwegr, siedzący dotychczas na swoim ulubionym miejscu na ramieniu Very, zatrząkotał potwierdzająco i zeskoczył na ziemię, żeby pobiec za Ardenem, Vera potrząsnęła jednak energicznie głową.

- Ardena? Nie, to nie ma nic wspólnego z tobą, mała. Myślę, że jest trochę rozczarowany. Ten głuptas najwyraźniej wbił sobie do głowy, że mogliśmy zatrzymać sobie ten statek.

-Jak to głuptas?

- Ponieważ to było naiwne wyobrażenie - odpowiedziała Vera, znowu kręcąc głową i cicho się śmiejąc. - Ludzie tacy jak my na długiej łodzi Normanów? Jak myślisz, jak daleko byśmy dopłynęli? Poza tym słusznie się stało, że otrzymał godny pochówek. Uważam, że był dobrym przywódcą.

-I mówisz to właśnie ty? - zdziwiła się Katharina.

- Dlaczego nie?

- Bądź co bądź usiłował cię zabić - przypomniała Katharina, lecz i tym razem kuglarka tylko się roześmiała.

- Ach, to - powiedziała, lekceważąco machając ręką. - To małe nieporozumienie, dawno już przecież zapomniałam. Zresztą za wszystko zapłacił, nie sądzisz?

Katharina zdziwiła się - czy Vera rzeczywiście tak szybko przebaczyła, czy tylko udawała z uprzejmości. Kiedy jednak jeszcze łamała sobie głowę nad właściwą odpowiedzią, coś zaszeleściło obok niej w trawie i przydreptały do niej chwiejnym krokiem, choć miauczac wniesobgłosy, dwa tycie czarne koty.

-Jedyni dwaj, których, zdaje się, zdenerwowałeś, to te dwa brzdące - rzekła Vera. -Już drugi raz porzuciłaś je na pastwę losu. Kiedyś wezmą ci to za złe.

- Na pewno już nigdy więcej nie zostawię ich w potrzebie - obiecała Katharina. Hugin i Munin popiskiwały oskarżycielsko, jakby wąpiąc w długotrwałą wartość tych słów, toteż Katharina zaczęła głaskać je po główkach, na co ich piszczenie zmieniło się w tym głośniejsze, błogie mruczenie. Słyszac to, Dwegr nadbiegł co tchu i wepchnął się między nie zazdrośnie, żądając odrobiny czułości. Kobieta zachichotała.

- Z drugiej strony, chyba już znalazły u nas przyjaciela - powiedziała. - Będiesz mieć serce, żeby tych troje rozdzielić?

Katharina przechyliła głowę na bok i spojrzała na nią pytająco.

- Co myślisz? - spytała Vera. - Moja oferta jest wciąż aktualna.

Możesz z nami pójść. Rozmawiałam już z resztą. Nikt nie miałby nic przeciwko. Myślę, że nawet Arden cię lubi, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Życie wśród nas nie jest najgorsze, uwierz mi.

- A czy ty poszłabyś z nami? - spytała Katharina.

- Z wami? Z Normanami, do ich zimnej ojczyzny? - Vera wzdrygnęła się przesadnie. - Boże broń!

- Widzisz? - rzekła Katharina.

- To przecież nie to samo - odparła Vera. Sądząc z jej głosu, nie była jednak naprawdę przekonana, mówiąc tak tylko dlatego, że uważała, iż była jej to winna; albo też samej sobie.

Po tych słowach ich rozmowa przestała się kleić. Zarówno Katharina, jak i Vera usiłowały jeszcze kilka razy ożywić rozmowę, ale chyba obie czuły, że to nie był czas na rozmowę o błahostkach, na koniec siedziały obok siebie w milczeniu.

Katharina nie wiedziała, jak długo to trwało, ale żałobna pieśń, którą, jak przypuszczała, śpiewano, póki płonący statek ostatecznie nie zatonał, dobiegła już końca. Minęło jeszcze sporo czasu, zanim przyszedł do nich Erik w towarzystwie Ansgara i Guthenfelsa, który teraz nie tylko poruszał się swobodnie, ale też znowu nosił swój miecz; choć jako jedyny. Uzgodnili z Erikiem, że jego pozostali przy życiu żołnierze nie będą wprawdzie traktowani jako jeńcy, ale ich broń dla ostrożności zostanie im wydana dopiero, gdy niewielka flota wikingów odbije od brzegu, żeby z czystej nerwowości nie doszło do jakiegoś nieszczęścia.

- Karo - zaczął Erik. Verze skinał tylko przelotnie głową. - Po myślałem, że cię tu znajdę. Rozmawiałaś już ze swoją przyjaciółką?

Rzucił kuglarce ukradkowe pytające spojrzenie, o którym jedynie on sam mógł sobie pomyśleć, że uszło uwagi Kathariny, a Vera zareagowała dokładnie tak samo słabo skrywanym skinieniem. Następnie bezskutecznie czekał kilka chwil na jakąś odpowiedź ze strony Kathariny.

- Już... czas - powiedział nieswojo. - Ostatni wchodzi właśnie na pokład. Musisz się zdecydować, moje dziecko.

- Zdecydować?

- Czy z nami płyniesz - odpowiedział zamiast Erika Ansgar.

- Czy też zostaję tutaj przy Verze? - Katharina żywo potrząsnęła głową. Czego miała jeszcze szukać w tym kraju? Nic jej już tutaj nie zatrzymywało.

- Zastanów się dobrze, moje dziecko - wmieszał się Guthenfels.

- Twoja rodzina wraca do swojej starej ojczyzny, ale tamtejsze życie może ci się nie spodobać. Twoja własna matka tego nie wytrzymała.

Dziewczyna nie odezwała się na te słowa, tylko spokojnie na niego patrzyła, aż Guthenfels zmienił taktykę i z bardzo poważną miną zwrócił się do Erika.

- To samo dotyczy ciebie, mój przyjacielu - rzekł. - Zostań tutaj.

Zadbam o to, żeby każdy się dowiedział, co naprawdę tutaj zaszło.

Guy de Pardeville otrzyma sprawiedliwą karę i nikt wam ani wasze mu ludowi nie będzie stawiać zarzutów, obiecuję.

Erik smutnie pokręcił głową. - Wiecie, że tak się nie stanie - powiedział. - Jestem pewien, że dotrzymacie słowa. Może nawet ludzie wam uwierzą... lecz to bez znaczenia. W ich sercach pozostanie wspomnienie tego dnia, baronie, i przelanej tutaj krwi. Dziękuję wam za wszystko, co dla nas uczyniliście, ale byłoby to bezcelowe. Wracamy do naszej ojczyzny, mój przyjacielu, gdzie nasze miejsce. Być może nadejdzie czas, kiedy nasze narody będą mogły żyć obok siebie jak przyjaciele, lecz ten dzień jest jeszcze daleki. - Westchnął, przywołując na usta nikły, bolesny uśmiech, a następnie zwrócił się do Kathariny.

- Nadszedł czas, Karo, musisz zdecydować. Baron zu Guthenfels zapewni ci dobry dom, jeśli będziesz tego chciała. Może lepszy, niż my będziemy mogli ci dać.

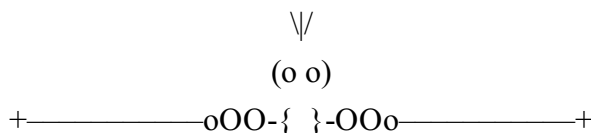
- A dokąd dokładnie płyniecie? - spytała Katharina.

- Do domu - odrzekł Erik.

Do domu. Katharina kilka razy powtórzyła te słowa w myślach, potem podniosła głowę i spojrzała na Erika, a w końcu na Ansgara i uśmiechnęła się. Pogłaskawszy Dwegra po raz ostatni po kudłatej głowie, wzięła kociaki na ręce, wstała i bez słowa stanęła u boku swojego brata i dziadka.

Do domu, pomyślała znowu. To brzmiało dobrze. Właściwie była to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała.

KONIEC



Zapraszam na TnTTorrent. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?refferal=1036847>